

PRZEGLĄD POWSZECHNY.



Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK PIERWSZY. — TOM I.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1884.



KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządkiem Jana Gadowskiego.
1884.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

CEL I ZADANIE PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO przez <i>X. M. Morawskiego T. J.</i>	1
FESTYNY LUTERSKIE W NIEMCZECH przez <i>Jana Ostoję</i>	68, 249
SOJUSZ MONARCHICZNY PRZECIWKO SOCYALISTYCZNEJ ANAR- CHII przez <i>X. M. Morawskiego T. J.</i>	337

Artykuły naukowe i literackie.

ROZWÓJ WIARY przez <i>N. A. Langerę T. J.</i>	7, 275, 425
WOLNA WOLA I OPATRZNOŚĆ W HISTORII A TEORIA BUC- KŁA przez <i>X. M. Morawskiego T. J.</i>	161
KLEMENS KSIĄŻE METTERNICH OD 1773 DO 1859 przez <i>Henryka Lisickiego</i>	229, 359
KORRESPONDENCYA NAUKOWA PUŁAW przez <i>Lud. hr. Dę- bickiego</i>	178
HORWACI W DALMACYI, przez <i>X. W. Zaborskiego T. J.</i>	197, 393
LUCYN W INFLANTACH przez <i>G. hr. Manteuffla</i>	18
ZE ŚRODKOWEJ AFRYKI przez <i>K. Niteckiego</i>	92
JAN SOBIESKI POD WIEDNIEM MATEJKI przez <i>Fr. Lu- trzykowskiego</i>	47

Dokumenta.

LISTY KARDYNAŁA DE CÔME DO O. A. POSSEWINA <i>T. J.</i> z Archiwum watykańskiego przez <i>O. Pawła Pier- lingu T. J.</i>	103, 288, 412
---	---------------

Przegląd piśmiennictwa.

	Stronnica
Listy Zygmunta Krasińskiego, przez <i>Lud. hr. Dębickiego</i>	113
Kard. Hozyusz i Kościół w Polsce za jego czasów, P. Żukowicza, przez <i>B. Jasięńczyka</i>	119
Questions sociales et ouvrières. I. Regime du travail, przez <i>M. Żmigrodzkiego</i>	297
Piśmiennictwo bułgarskie, przez <i>X. W. Zaborskiego T. J.</i>	302
Les espérances chrétiennes, par Augustin Cochin, przez <i>K. Niteckiego</i>	305
Najnowsze wydanie Kazań Skargi, przez <i>X. St. Zaleckiego T. J.</i>	450
Rok 1573 w dziejach i historyzofii narodu polskiego X. W. Witkowskiego, przez <i>H. L.</i>	459
Bibliografia. Z dzieł religijnych	129, 309, 464
Z dzieł filozoficznych.	130, 311, 466
Z dzieł historycznych.	129, 313, 467
Z dzieł literackich	317, 470

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Styczeń.

Z Rzymu: stosunek Leona XIII. do rządów; odwiedziny cesarzewicza niemieckiego; otwarcie archiwów watykańskich.	132
Z Berlina: dzisiejszy stan sprawy kościelno-politycznej w Niemczech; odwiedziny cesarzewicza u Papieża	135
Z Tonkinu: szczegóły geograficzne, etnograficzne i historyczne; stosunki polityczne Annamu z ościennymi państwami; stan obecny misyi w Tonkinie; dzisiejsze położenie polityczne	145
Z kraju: Akademia Umiejętności; Przegląd Polski.	158

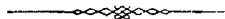
Luty.

Ze Szląska: stosunki narodowościowe; handel i przemysł; stosunki religijne, przez <i>X. Radziejewskiego</i>	319
--	-----

Z Rzymu :	stanowisko polityczne Stolicy Ś. wobec Rosyi, Prus, Anglii; usposobienie ogółu świata cywilizowanego wobec Kościoła; stan Kościoła we Włoszech; „Związek kółek parafialnych“; prasa włoska katolicka; szkolnictwo włoskie; projekt konwersyi majątku Propagandy	325
------------------	---	-----

Marzec.

Z Pragi :	wewnętrzne stosunki i stronnictwa w Czechach, stanowisko szlachty, dziennikarstwo, poeta Vrehlčki i malarz Brožík, walka językowa w szkołach	473
Z Rzymu :	zamach na Propagandę. Encyklika Leona XIII. do biskupów francuskich	480
Z Berlina :	wniosek Reichenspergera o przywróceniu artykułów wyznaniowych konstytucyi — rozprawy nad budżetem kultu — program frakcyi Centrum	486
Z Wiednia :	Dwoistość Wiednia — sojusz gazeciarsstwa z kapitałem — przygotowanie gruntu dla socjalizmu	496
Z kraju :	Założenie „stowarzyszenia rzemieślników pod opieką św. Józefa“	503



WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	12	przypisek ?,	<i>Vego Mor.</i>	czytaj	<i>Vego Mar.</i>
"	13	wiersz 2,	<i>więc</i>	"	<i>także</i>
"	19	" 29,	<i>Tehophil Gaechtengs</i>	"	<i>Tcofil Gaechtengs</i>
"	19	" 24, (w przyp.)	<i>Rzeżyny</i>	"	<i>R:ezycy</i>
"	32	" 1, "	<i>Novo</i>	"	<i>Nazwa</i>
"	82	" 15,	<i>naduornych</i>	"	<i>narodowych</i>
"	85	" 25,	<i>rozłączenie</i>	"	<i>rozkań</i>
"	90	" 8,	<i>mówię</i>	"	<i>mówęcę</i>
"	145	" 5,	<i>dlug...szer.</i>	"	<i>szer...dlug.</i>
"	161	" 12,	<i>Hurleya</i>	"	<i>Huxleya</i>
"	176	" 26,	<i>hipotezę</i>	"	<i>hipotezą</i>
"	275	" 1, (w treści)	<i>pojęcia</i>	"	<i>aktu</i>
"	348	" 8,	<i>złego sekciarstwa</i>	"	<i>złego: sekciarstwo</i>
"	357	" 24,	<i>wroga co</i>	"	<i>wroga mają, co</i>
"	408	" 1, (w przyp.)	<i>Arabów</i>	"	<i>Abarów</i>

CEL I ZADANIE PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO.

Podczas gdy tyle innych krajów w Europie przechodzi ciężkie koleje i widocznemu ulega rozkładowi, nasze społeczeństwo, dzięki Bogu, dzięki pewnym sprzyjającym okolicznościom a zwłaszcza próbom i niedolom, któreśmy przeboleli, zdaje się być na drodze pewnego organicznego postępu: praca mnoży się i doskonali, życie religijne i ruch naukowy zdobywają coraz szersze podstawy, klasy wyższe zajmują się szczerze ulepszeniem bytu i oświeceniem niższych, a te się wywdzięczają rosnącym co dzień zaufaniem, w politycznych stosunkach dajemy dowód trzeźwości i zgodności z porządkiem i władzą, jakich świat o nas nie przypuszczał, w dziedzinie umiejętności choć swoją grzędę skrzętnie uprawiamy, a w sztuce już głośne w świecie zajęliśmy stanowisko; wreszcie w ślad za tym organicznym rozwojem mnożą się pojęcia i zdania różnych odcieni i ścierają się żywo.

W takich warunkach nie wystarcza prasa codzienna, donosząca w lot o bieżących wypadkach, ale coraz potrzebniejszymi się stają pisma peryodyczne, któreby ten ruch duchowy w całości obejmowały, nadawały mu wyraźne kształty i poddawały go dokładnej i zasadniczej krytyce.

Pisma peryodycznych, tygodniowych i miesięcznych, mamy już nie mało; ale odliczywszy te co są wyłącznie oddane lżejszej literaturze lub pewnym fachowym studiom, odliczywszy także te, co nie rozumiejąc wiary i ducha narodu służą pozytywizmowi i innym importacyom zachodu, nie wiele takich pozostaje, coby sze-

rokie zadanie, o którym mowa, podejmowały. W każdym razie pole to nie jest zbyt robotnikami obsadzone, a obok wszystkich pism peryodycznych, jakie posiadamy, jest jeszcze miejsce. Jest, jak sądzimy, potrzeba pisma peryodycznego o szerokich ramach, któreby za hasło miało: *aktualność i zasadniczość* — podnosić na wszelkiem polu kwestye najaktualniejsze, a sprowadzać je do zasad, reasumować doniosłe wypadki i wybitne prądy myśli pojawiające się w kraju i po świecie, a dochodzić do ich gruntu i sądzić je rozumem oświeconym wiarą, doświadczeniem własnych nieszczęść i widokiem kolei, przez które dzisiaj sąsiednie narody przechodzą.

To miejsce chcemy zająć i tej potrzebie zadość uczynić założeniem *Przeglądu Powszechnego*. Mieliliśmy po roku dopiero rozpocząć, ażeby się więcej do dzieła przygotować, ale nakłoniło nas do rozpoczęcia bezzwłocznie ustąpienie z pola „Przeglądu Lwowskiego“.

„Przegląd Lwowski“ miał myśl przewodnią podobną do naszej; ale okoliczności, wśród których powstał, nadały mu właściwy charakter. Było to z końcem pamiętnego roku 1870, w chwili, kiedy nieomylnie papieska została orzeczoną, Rzym najechany, w Niemczech walka religijna wszczęta; walka ta oddziaływała na rządy i opinię całego niemal świata i odbijała się nawet w opinii naszego kraju. Wówczas to, kiedy mali kulturnicy galicyjscy zabierali się także do kamieni przeciwko Kościołowi, redaktor „Przeglądu Lwowskiego“ zajął mężnie stanowisko szermierza prawdy katolickiej, a szermierzył nie tylko dzielnie, ale i skutecznie. Wiele kłamstw umilkło, wiele gmatwanin się wyjaśniło, wiele złych pisemek pod jego razami rogatą duszę wyzionęło; a pierwszorzędni pisarze polscy jego czasopismo zasilali. Później, gdy się już pojęcia przetarły i faza walk minęła, charakter polemiczny, z którym „Przegląd Lwowski“ wyrósł, począł się niepodobać i odtąd powodzenie tego pisma zaczęło się zmniejszać. Z tem wszystkiem, zważywszy, ile w rzeczy samej „Przegląd Lwowski“ dobrego zdziałał a złego uchylił, zważywszy oraz, że jeden człowiek całe brzemie redakcyi i wszystkie troski wydawnictwa dźwigał, winniśmy oddać sprawiedliwość ustępującemu

z pola a trzynastoletnią pracą strudzonemu publiczycie, winniśmy mu przyznać, że zasłużył się niepospolicie Kościołowi i ojczyźnie; a jak mu na wstępie zawodu Pius IX mówił: *Strenue perge discutere tenebras...*, tak my mu na końcu powiedzmy: *Bonum certamen certasti.*

Podjmując tedy w naszym piśmie omówione wyżej zadanie, zakresłamy sobie plan następujący. Przedewszystkiem podnosić i opracowywać chcemy zasadnicze kwestye społeczne t. j. zagadnienia i interesa, które w życiu społeczeństw mają właściwe pole, ale których korzeni szukać trzeba w religii i filozofii, a ostatnie wyniki spotyka się w ekonomii i polityce. Od końca przeszłego wieku, kiedy poczęto w teorii i w czynie cały ustrój społeczny przerabiać i na nowych opierać posadach, zagadnienia te, wiecznie ważne, bo szczęścia ludzkości wprost dotyczące, zaczęły coraz więcej mężów stanu i mężów nauki zaprzętać; dziś wreszcie, kiedy widmo socjalizmu stanęło na widnokregu, stały się one piekące i świat zalekniony zadaje sobie pytanie, czy same podwaliny nowożytnego układu społecznego są dobrze postawione i na prawdzie oparte.

Obok tych kwestyi ogólnych i zasadniczych, podejmować także chcemy praktyczne sprawy i interesa na krajowym gruncie z dnia na dzień powstające, jak sprawy naszych szkół, stowarzyszeń, instytucyj dobroczynnych i t. p. czynników społecznego życia.

Polityka, w potocznem, dziennikarskiem znaczeniu, nie wchodzi w nasz zakres. Uwiadamiać o bieżących wypadkach politycznych jest rzeczą gazet codziennych i tych pismo miesięczne zastępywać nie powinno i nie może. Nawet miesięcznego przeglądu politycznego umieszczać nie będziemy, bo zdaje nam się, że takowy przychodziłby za rzadko dla uwiadomienia a za często dla sądenia o biegu wypadków. Ale doniosłe kwestye i fakta polityczne, o ile dotyczą zasad, o ile są w związku z kryteriami nauki społecznej, filozofii i wiary, należą najściślej do naszego planu.

Dalej, ponieważ postępy umiejętności z rozwojem życia społecznego w ścisłym stoją związku, otwieramy też nasze łamy

kwestjom naukowym, mianowicie doniosłym i aktualnym, które postęp nauki zaznaczają — i tu *nihil humani alienum putamus*: spodziewamy się, że teologia i historia, filozofia i etnografia, estetyka i nauki przyrodnicze wystąpią kolejno w naszym piśmie — i to zawsze w sposób, jak dziś mówią, przedmiotowy, t. j. szukając sumiennie prawdy w swoich odrębnych zakresach i właściwemi sobie drogami. Chcąc bowiem służyć wielkim prawdom i zasadom, z których żyje ludzkość, nie możemy tego celu lepiej dopiąć, jak taką dobrze pojętą przedmiotowością; gdyż prawda prawdzie tylko przysłużyć się może. Tak świeżo postąpił Ojciec św. Leon XIII, nakazując (w liście z 18 sierp. 1883 do kard. Hergenröttera) otworzyć dla wszystkich badaczy watykańskie archiwa. Postępek ten, zresztą bardzo naturalny, zaimponował uczonemu światu protestanckiemu, który wiecznie podejrzewał Kościół o lękanie się i tajenie prawdy historycznej.

Przy sposobności tego otwarcia papieskich archiwów, udało nam się z nich dostać dokumenta dotyczące naszych dziejów, a dotąd nieznanne. Wiedząc jak żywy interes budzi w naszym kraju historia i jak słusznie cenione są źródła, będziemy drukować w naszym piśmie te dokumenta w tekście oryginalnym, załączając polski przekład.

Dla tych samych co wyżej powodów umieścimy obszerniejszy dział literacki: w nim chcemy kolejno przeglądać ruch literacki w naszym i obcych krajach, zdawać sprawę z głównych jego kierunków i znamienitszych dzieł. Czasem też jakiś mniejszy literacki utwór może znaleźć miejsce w naszym Przeglądzie.

Do tego działu dodać zamierzamy bibliografię. Zachęcano nas do umieszczania regularnego i zupełnego wykazu polskiego piśmiennictwa; atoli, pominąwszy inne przeszkody, taki „Przewodnik bibliograficzny“ już istnieje; wolimy więc wymieniać tylko te książki, czy polskie czy zagraniczne, o których dodatniej treści będziemy dosyć uwiadomieni. W ten sposób spodziewamy się wartością zastąpić liczbę.

W końcu umieścimy co miesiąc kronikę religijno-społeczną, czyli sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego w kraju i po za krajem. Dzienniki donoszą zwykle o głośniejszych

zajściach, wybijających się od czasu do czasu nad powierzchnię społecznego życia; ale takie luźne fakta mało mówią, myślą nawet często, gdy ich nie wiąże znajomość wewnętrznych stosunków i prądów myśli miejscowych. Otóż do tej znajomości zmierzać chcemy w miarę jak siły i stosunki nasze, da Bóg, szerzyć się będą. W kraju naszym nie znamy różnic prowincyi; wszystkie nas zarówno obchodzą — granice dzielnic są tylko polityczne. Po za krajem w szczególniejszy sposób pragniemy zbliżyć naszych czytelników do tyłu słowiańskich ludów, z którymi nas wiąże pochodzenie, język, sąsiedztwo, często dzieje i nawet polityczny interes, a o których wogóle tak mało się u nas wie i mało myśli, mniej niezawodnie niż inni Słowianie o nas i wiedzą i myślą. Przedewszystkiem zaś chcemy łączyć czytelników naszych z życiem, działaniem i losami Kościoła katolickiego w świecie; narodowością ziemską odrębni od innych narodów, jak członek od członków, nadziemską duszą katolicyzmu jesteśmy „jedno“ z całym katolickim światem i do tej jedności i solidarności winniśmy się poczuwać, bo jak głęboko powiedział Tarnowski: „Kto chce „życie mieć, utrzymywać lub znaleźć, ten je musi połączyć z tem „co nieśmiertelne, siłę swoją oprzeć o to co niezwyciężone“.

Taki jest nasz plan. Nie taimy sobie wielkości i trudności podjętego zadania, ale ufamy w pomoc Bożą, liczymy na doznaną przychylność kraju, dla którego pracować chcemy, rachujemy wreszcie na pomoc wielu zasłużonych i cenionych pisarzy, którzy współpracownictwo w naszym piśmie łaskawie przyrzekli — mamy już między nimi przedstawicieli wszystkich stanów i dzielnic Polskiej i nawet zagranicy: Czech, Rosyi, Włoch, Anglii i Francyi. Da Bóg będzie ich coraz więcej. Z tego też powodu pojedyncze artykuły będą przez autorów podpisywane. Czytelnikowi w ten sposób milej będzie z rzeczywistym autorem mieć do czynienia, aniżeli z abstrakcyjną redakcją; redakcyja zaś złoży na autora odpowiedzialność za szczegóły jego pracy, a wymagać tylko będzie, by treść jej w ogólności godziła się z duchem i zadaniem Przeglądu.

Charakter naszego pisma ma być ile możności tetyczny i wykładowy, a nie polemiczny; osobistej zwłaszcza polemiki bezwarunkowo unikać chcemy. Niemniej jednak wystrzegać się

chcemy przeciwnego błędu t. j. chwalenia wszystkiego i wszystkich i kłaniania się wszelkiej renomie. A gdy spotkamy po drodze błędy, zwłaszcza przeciw zasadom wiary, zdrowej filozofii i nauki społecznej, wytkniemy je poprostu i nazwiemy po imieniu. Nie ma nic niezdrowszego dla społeczeństwa, jak obojętny w kwestyach żywotnych eklektycyzm — my go szerzyć nie chcemy.

Przeznaczeni wołą Bożą do służenia temu wiekowi, upewnieni z góry, że w nim, jak w każdej innej ostoji dziejów iści się pewna myśl Boża, winniśmy wyrozumieć jego dążności, znać jego potrzeby, by mu się wysłużyć korzystniej. Nie kłaniamy się zbyt nisko złocistej szacie jego materyalnych postępów, bo wiemy, że to szata, ale cenimy i kochamy w nim wiele wewnętrznych przymiotów, dla których i królestwo Boże mogło tak szczególnym w naszych czasach zajaśnić blaskiem; cenimy osobliwie w dziedzinie nauki pewną sumienność w badaniu, trzeźwość i pilność w szukaniu prawdy, jakich nie znało parę wieków poprzednich. A lubo z drugiej strony wiele jest zła i fałszu, jednak wierzymy zapewnieniu Pisma, że narody są uleczalne: *Sanabiles fecit nationes.*

Z otuchą więc, w imię Boże, bierzemy się do dzieła.

X. M. Morawski.

ROZWÓJ WIARY.

I.

Postęp w naszym wieku — postęp niewiary — czy i we wierze katolickiej możebny jest postęp? — św. Wincenty z Liryru o rozwoju wiary — dogmat rośnie przez wewnętrzny rozwój — czynniki tego rozwoju — wpływ herezyi na rozwój wiary — cel niniejszej rozprawy — jej treść, rozkład i charakter.

Hasłem naszego czasu jest postęp; postęp jest celem, do którego wiek nasz w istocie lub w mniemaniu swoim dąży; postęp jest nadgrodą, która wiele usiłowań naszych uwieńcza.

Istotnie, nietylko w dziedzinie materji i siły fizycznej możemy wskazać na postęp dokonany; ale postąpiliśmy też naprzód w dziedzinie umiejętności, na polu czysto umysłowych dążeń i walk, i na to nie potrzeba dowodu. O czemże świadczą te olbrzymie gmachy, w których wiek nasz wystawia od czasu do czasu zdobycze swego przemysłu i sztuki, jeśli nie o tem, że duch ludzki owałdnął i ujarzmił coraz więcej dzikie siły natury? Są to zaiste tryumfalne przybytki postępu, który wszędzie i na wszystkich polach zwycięża!

Nic przeto dziwnego, że duch ludzki świadomy coraz więcej swej potęgi. Widzi on jak się rozprzestrzeniają ciasne granice naszej wiedzy, jak coraz nowe widnokreśli otwierają się przed jego badawczym wzrokiem. Tajemnice, które zdawało się, że natura na wieki chce pogrzebać w swem łonie, wychodzą obecnie na światło dzienne i stają się przystępne wszystkim. A dumny tą potęgą zapomina, że ścisłe nieprzekraczalne granice zamykają dziedzinę jego wiedzy, i poczyna sądzić, że nie masz żadnej tajemnicy, którejby nie mógł przeniknąć.

A tak, oprócz postępu w dziedzinie wiedzy, musimy zaznaczyć jeszcze inny postęp ducha naszego: postęp w ocenianiu duchowej swej siły posunięty aż do przeceniania jej, — niestety postęp, który utorował drogę innemu jeszcze postępowi — postępowi

niewiary. Po za granicami wszelkiej wiedzy ludzkiej, rozciąga się jeszcze nieprzejrzone morze prawd innego rzędu. Wytryskują one wszystkie z wiecznie żywego źródła istności Bożej, a mądrość Boża obejmuje i pojmuje je wszystkie. Jako więc istność Boża wszystkie ziemskie, doczesne istoty, nieskończenie w mocy i doskonałości przewyższa, tak też i mądrość Boża wszelką prawdę obejmując, słabe światelko umysłu ludzkiego nieskończenie przewyższa.

Lecz czyż mądrość Boża nie udziela swych prawd rozumowi ludzkiemu? czy nigdy mu ich nie odsłania? — boć tylko mądrość Boża, która prawdy te obejmuje, może je umysłowi ludzkiemu przekazać. Słowem, czy Bóg raczył rozumowi naszemu otworzyć skarbnicę swej prawdy?

Nie było na ziemi narodu, któryby powątpiewał o rozwiązaniu tego pytania. Podania ludów całego świata świadczą jednogłośnie, że Bóg przez objawienie odsłonił nam pewną część swjej prawdy. Religia bowiem niczem innym nie jest, jak posiadaniem i znajomością tych prawd od Boga udzielonych. Jak każdy naród ma swą religię, tak każdy naród ma świadomość sobie właściwą objawienia Bożego. Od dziewiętnastu wieków stoi i trwa społeczność rozszerzona po całej kuli ziemskiej, która uważa się i głosi za jedyne posiadacza objawienia Bożego: społecznością tą jest Kościół katolicki. Opatrzony znakami posłannictwa Bożego Kościół ogłasza nam prawdy, które Bóg mu powierzył i żąda dla nich w imieniu Bożem silnej i niezachwianej wiary.

Zawsze i we wszystkich wiekach znajdowali się ludzie, którzy się wiary tej wyrzekali, którzy prawd objawionych uznać nie chcieli. Ale dawniej odnosiło się to do prawd pojedynczych; tu wrzała walka przeciw jednej jakiejś prawdzie wiary, tam przeciw drugiej. Każdy wiek miał swe odrębne walki o wiarę. Rozum ludzki zapoznawał zawsze granice swej wiedzy, usiłował zawsze mierzyć się z mądrością Bożą i wznieść się po nad nią i skoro mu się ta lub owa prawda nie spodobała, przeczył ją zuchwale. Dzisiaj już nie toczy się walka o pojedyncze prawdy objawione, o tę lub ową tajemnicę religii — dziś chodzi o podkopanie fundamentów całej wiary. Nie masz mówią objawienia, wiara

więc jest niedorzecznością. Nie masz żadnych tajemnic, objawienie więc jest kłamstwem i oszukaństwem. Źródłem rzekomego objawienia nie jest Bóg, który może nawet nie istnieje wcale, ale kasta księży ukuła w własnym interesie cały religijny system i trzyma lud powodujący się wyobraźnią w więzach duchowej niewoli. Wszyscy, którzy trzymają się wiary, są albo oszukani, albo oszuści, godni albo powszechnej litości, albo powszechnej wzgardy. Oto utarte formułki dzisiejszego postępu. Niepotrzeba wspominać, że ci, którzy się nim cieszą i chełpią, wyrzekają się naturalną koniecznością chrześcijaństwa i nie można ich uważać za wierne dzieci Kościoła katolickiego.

Lecz i pomiędzy wierzącymi znajdziesz wielu, którzy olśnieni duchem fałszywego postępu sądzą, że przed rozumem ludzkim wszystkie tajemnice ustąpić muszą, że nie ma dlań nic niedostępnego, im bowiem bardziej, im prędzej umysł się wykształca, tem więcej i szybciej znikają tajemnice. Jakżeż więc sobie postępują z tajemnicami wiary naszej świętej? Oto starają więc zbliżyć dogmata wiary do prawd czysto rozumowych; ogołacają je z nieskończonej ich wzniosłości i tak długo przerabiają niepojęte prawdy, które sama mądrość Boża w nieskończonej swej istności pojmuje, dopokąd nie uczynią je zupełnie przystępnymi ograniczonemu naszemu umysłowi. Zamiast wznosić rozum ludzki do mądrości Bożej, zniżają mądrość Bożą do pojęć naszego rozumu. Prawda, wielu wzięło się do tej pracy w najlepszym celu — chcieli oni uchronić wiarę od pogardy, na którą narażała ją u ludzi sama jej wyższość nad wszelki rozum ludzki. Ależ droga, na której postępowali Lammenais, Bautain, Hermes, Günther i inni, czy nie równem groziła niebezpieczeństwem dla wiary, jak droga tych, którzy otwarcie przyznają się do niewiary?

Czyliż więc w dziedzinie wiary postęp jest czynnikiem zniszczenia? Czyż w ogóle mówiąc nie masz postępu na tem polu wiedzy? — boć postęp, który niszczy, nie jest prawdziwym postępem. A więc podczas gdy duch ludzki wszędzie cieszy się i chełpi wspaniałym postępem, jedna tylko wiara pogląda nań okiem niechętnym? Albo może nauka kościoła jest skrzeplą skamieniałości, niegodną żywotnego, wiecznie w górę dążącego ludzkiego umy-

słu? Oto pytania, które nasuwają się jednym, oto zarzuty, które czynią Kościołowi i powtarzają drudzy.

Półtora tysiąca lat temu, taki sam zarzut uczynił sobie Lirineński pustelnik ¹⁾. „Może mię kto spyta: A więc czyż w Kościele Chrystusowym niemasz żadnego postępu we wierze?“ I odpowiada niemniej wymownie, jak głęboko teologicznie: „Może być postęp w Kościele i to postęp niemały. Któż pała taką zazdrością względem człowieka, taką nienawiścią względem Boga, aby śmiał temu zaprzeczyć! Ale ma to być prawdziwy postęp we wierze, a nie zmiana wiary. Postęp wtedy ma miejsce, kiedy jakaś istota sama w sobie rozwija się i rozprzestrzenia; zmiana zaś wtedy, kiedy istota w inną istotę się przemienia. Niechaj wiara rozszerza się i rośnie jak najwyżej, jak najszybciej, tak w jednostkach, jak w całym społeczeństwie, tak w każdym z wiernych, jak w całym Kościele, w każdym stanie i wieku, w każdym stuleciu, niechaj rośnie rozumienie, wiedza, mądrość wiary, ale niech rośnie w odpowiedni jej sposób tj. pozostając w granicach tegoż samego dogmatu, tego samego znaczenia i tejże nauki. Oby religia, ta własność duszy, naśladowała wzrost i rozwijanie się ciała. Ciało stopniowo rozwija i rozprzestrzenia w ciągu lat swe członki, ale są to zawsze te same członki, które w ciele od początku były. Zachodzi bezwątpienia wielka różnica między świeżością młodzieńca a dojrzałością starca; ależ starcem jest zawsze ten, co był wprzód młodzieńcem, a choć zmienia się wzrost i postać człowieka, zawsze przecież pozostaje jedna i ta sama osoba. Drobne są niemowlęcia członki, duże członki młodzieńca, ale są to jedne i te same członki. Ile członków miało dziecię, tyle ma ich mąż dojrzały, i te też, które okazują się dopiero w wieku dojrzałym, były już w zarodzie u dziecka; tak, iż nie się w starczym wieku nie wyjawia, coby już nie było w dziecięcym utajonem. Otóż iście prawdziwe postępu pojęcie, oto prawdziwie piękne prawo ustawicznego wzrostu: w biegu lat przybrać z latami takie kształty, jakie już w zarodzie mądrość Stwórcy utworzyła... Takiemu prawu postępu podlegać mogą

¹⁾ Vincentius Lirinensis. I. Commentar. C. 23.

„i dogmata chrześcijańskiej religii; bo one z biegiem lat zapusz-
„czają silniejsze korzenie w sercach wiernych, rozwijają się, rosną
„z postępującym czasem; ale zawsze i wszędzie pozostają w ca-
„łej swej pełni i doskonałości, nie zwracając się nigdy wstecz,
„nie tracąc nigdy swej właściwości, swego szczególnego zna-
„czenia“.

Na taki to postęp może wskazać święta nasza wiara, postęp osiągnięty już to nauką powszechnego Kościoła, już to usiłowaniami pojedynczych ludzi pod nadzorem Kościoła. Chrystus „założyciel i kończyciel wiary“¹⁾ złożył boską swą prawdę w żyźnej ziemi, by w niej na kształt bujnego nasienia wyrosła w drzewo wielkie, pod którego cieniem wszystkie narody mogłyby się zgromadzić. Ziemią tą jest Kościół nauczający; używającym jej czynnikiem jest Duch św., który wedle obietnicy Chrystusowej pozostać ma z *nauczającym* Kościołem aż do skończenia świata. W miarę jak nasienie się rozwija, zaczyna ono kiełkować, wydawać liście, kwiaty i owoce. Zrazu nie można było dojrzeć tych liści, kwiatów, owoców, a jednak w zarodku znajdowały się one w nasieniu. Podobnież prawda Boża mieści jakby w zarodzie nieskończenie wiele innych prawd; jest ona źródłem, z którego inne prawdy wypływają, i w którym je można rozpoznać. Tak więc pod oświecającem i ogrzewającym tchnieniem Ducha św., Ducha wszelkiej prawdy, rozwija się coraz bardziej w Kościele świadomość nauki mu powierzonej, okazują się nowe prawdy w nauce tej zawarte; jedna prawda siłą konsekwencji ciągnie za sobą drugą, a ta też samą logiczną koniecznością objawia znowu następną. W ten sposób rozwija się i wzrasta nasienie nauki Bożej. Niektóre z tych wyników, które zdawałoby się, że płyną z prawdy objawionej, odrzuca Kościół jako chybione umysłu ludzkiego wnioski; inne przyjmuje jako wiarogodne i za swoje uznaje. Nauki te, które Kościół uznał za swoje, czy należą one do dziedziny dogmatu, czy do obyczajów, czy to są przepisy karności kościelnej, czy określenia czci Bogu oddawanej i nabożeństwa — są zawsze owemi liśćmi, kwiatami i owocami, które w żyźnej ziemi

1) List do Żyd. XII. 2.

Kościół wyrosł z nasienia Bożego. I oto postęp w nauce i przez naukę kościelnej prawdy, to co w dawnych wiekach uczono i wierzone jakby pod zasłoną i zamknięte w innych prawdach, to dzisiaj wierzymy w jasno sformułowanych kształtach i bez zasłony.

Objaśnimy myśl naszą przykładem. Od początku Chrześcijaństwa uczył i wierzył Kościół w słowa, któremi Archanioł pozdrowił Najśw. Pannę: „Jesteś łaski pełną“. Dogmat ten o pełności łaski Matki Bożej był zawsze dla Kościoła kopalnią, z której wydobywał on wiele drogich klejnotów zdobiących Najśw. Pannę. Jeżeli Najśw. Dziewica jest łaski pełną, to króluje ona nad wszystkimi świętymi, bo święci wszyscy otrzymali tylko częśćkę łaski, którą Marya posiada w pełności 1); jeżeli jest łaski pełną, to nigdy skazić Jej nie mógł grzech, by też najmniejszy 2); jeżeli jest łaski pełną, to łaska ta chroni Ją od wszelkiej skazy pożądliwości, od wszelkiej walki ciała przeciw duchowi 3); jeżeli jest łaski pełną, to i w pierwszej chwili swego istnienia łaskę posiadała, więc jest niepokalanie poczętą 4). Tak w biegu czasów rozwija się świadomość wiary, jedna prawda wypływa z drugiej — tak i we wierze jest postęp.

Przejdźmy do innego rodzaju postępu we wierze, którego czynnikiem jest władza nauczania Kościołowi dana. Jest pewien fakt, którego każdy, co zwraca uwagę na duchowe swe życie, w sobie samym dostrzedz może. Prawda jakaś stoi dziś przed naszymi oczyma: zrozumienie jej lub uzasadnienie sprawia nam pewną trudność, przypatrując się jej, nie możemy zupełnej osiągnąć jasności; po dłuższym jednak czasie, gdy się ta rzecz uleżała niejako w naszym umyśle, jeśli znowu na nią uwagę zwracamy, zjawia się ona przed oczyma duszy w niespodzianem świetle i dawną swoją niezrozumiałość traci. Rzekłbyś, że ta prawda, bez świadomego naszego współdziałania wyjaśniła i wydobyła się sama na jaw w rozumie naszym. Nierównie więcej jeszcze rozjaśnia

1) S. Hier. Sermo de Assumpt. B. Virginis.

2) Trid. s. 6. c. 2.

3) Vego. Theol. Mor. Palaestr. IX. Cert. II.

4) Bulla Piusa IX. „Ineffabilis Deus“.

i opromienia jakąś prawdę długoletnie rozmyślanie nad nią. Często więc przeciwny błąd i konieczność zwalczania go dopomaga naszemu umysłowi do głębszego przeniknięcia. Podobnie dzieje się z prawdą Bożą. Bóg złożył ją do skarbnicy wiedzy Kościoła; w cichości wzrasta ona tam, przybierając pod wpływem Ducha św. coraz więcej wyrazistości i światła; albo raczej oko duszy wzmocnione wpływem Ducha św. przenika i poznaje coraz bardziej i jaśniej prawdę Bożą. Co wprzód pogrążonem było w cieniu, co wprzód zarysowywało się tylko w najgłówniejszych liniach, to teraz oświetlone i jasne przybiera coraz wyraźniejsze kształty. Do tej jasności w nauce Kościoła przyczyniło się najprzód tysiącletnie rozważanie dogmatu, bo nie masz ani jednej w nim prawdy, którejby nauczyciele wiary nie poddali pod wielokrotny rozbiór słowem i pismem, to przedkładając ją wiernemu ludowi, to znowu badając ją sami jak najdokładniej, zagłębiając się jak można najdalej w jej tajnikach. Przyczynił się także sam błąd jako negatywny czynnik, wywołując ową siłę odporną obrońców wiary, zmuszając ich do wszechstronnego badania prawdy, do dosadniejszego jej określenia, do przybierania jej w stałe i oznaczone formy. Ileż to właśnie wskutek oddziaływania przeciw błędom, zyskał na jasności i stanowczości dogmat o wcieleniu Syna Bożego! Zewsząd wyrastały coraz to nowe błędy przeciw tej prawdzie; już w pierwszym wieku Chrzecijaństwa utrzymywali niektórzy, tak zwani Doceci, że ciało Boga, który zstąpił na ziemię, nie mogło być ciałem prawdziwym, ale tylko fantastycznym, lub, że przynajmniej nie było z tej samej materji, co nasze ciało. Kiedy Kościół orzekł, że ciało Chrystusowe było prawdziwym ciałem, takim jak nasze, wtedy powstałi znów inni przeciw ludzkiej duszy w Chrystusie i albo zupełnie zaprzeczali jej istnienia, jak Appolinariści, albo przynajmniej duszy tej nie chcieli przyznać ludzkiej woli lub rozumu: a Kościół wykładając znowu naukę o wcielonym Bogu orzekł, że Chrystus ma duszę ludzką taką jak nasza z tym jedynie wyjątkiem, że nie podlega grzechowi. Inne herezye, jak Aryanie, a później Socynianie wystąpiły przeciw Bóstwu Chrystusa i zmusiły Kościół do jasnego orzeczenia tego dogmatu. Inni wespół z Nestoryuszem zaprzeczyli

jedności osoby Chrystusowej i znowu musiał Kościół wprost i wyraźnie zatwierdzić fizyczną jedność osoby Bożej, wytłómaczyć jak jedna i ta sama osoba, która od wieków była Bogiem, w czasie stała się człowiekiem. To daje znów powód nowym herezjom: uczą one, że Chrystus nietylko jedną jest osobą, ale że jedna tylko jest w Nim natura, że Boska i ludzka natura przeistacza się w Nim w jedną, podobnie jak w człowieku dusza i ciało przenikając się wzajemnie, jednoczą się w jedną ludzką naturę; lub też uczą, że natura Boska pochłania ludzką, podobnie jak kropla wina znika bez śladu w obszernem wiadrze wody. I znowu musi Kościół wziąć w obronę przeciw tym błędnym naukom różnicę obu natur w Chrystusie.

Tym więc sposobem błędne zrozumienie dogmatu przyczynia się do jego wyjaśnienia; tak błąd służy do postępu we wierze. Lecz jest jeszcze inny postępek — pod opieką Kościoła kwitnie i wzrasta postępek pojedynczych jego członków. Im w jaśniejszym i wyraźniejszym kształcie prawdy wiary podaje do wierzenia Kościół; tem jaśniej i wyraźniej może je pojąć wierny; im szerszy rozkwiera się horyzont wiary przed okiem mistrza; tem dalej sięgnąć może wzrok rozpoczynającego ucznia. Ale jest to jedyny możliwy postępek człowieka we wierze, postępek ucznia, spowodowany postępkem nauczyciela: postępek ten sam z siebie widoczny. Z drugiej strony postępek w wierze jednostki przyczynia się do postępu całego nauczającego Kościoła. O ile rozwinął Cyryl Aleksandryjski naukę o wcieleniu Syna Bożego: o tyle przyczynił się Augustyn do wyjaśnienia nauki o łasce. Wymowne słowa Wincentego Lireneńskiego równie dobrze dają się zastosować do postępu całego nauczającego Kościoła, jak do postępu pojedynczych ludzi. „O Tymoteuszu, o kapłanie, mistrzu i nauczycielu, jeżeli łaska Boża napełniła cię mądrością, rozumieniem i umiejętnością, to bądźże Bezelelem ¹⁾ przybytku Bożego. Obrób drogocenne kamienie Bożej nauki, rozłóż je wiernie, uporządkuj mądrze, dodaj im blasku, barwy i piękności: niech wierni przez wyjaśnienia twoje

¹⁾ „Bezeleel“ mistrz od Boga natchniony, który przyozdobił przybytek i wnętrze arki przymierza. Por. ks. Wyjścia XXXI. 1: XXXV. 30.

zrozumieją i poznają to, w co dotąd wierzyli, chociaż było to przed nimi zakryte w ciemnościach. Niech chlubią się wieki potomne, że prawdę, którą dawniej tylko czciły, przez ciebie zrozumiały. Wszakże tego tylko pouczaj, czegoś sam się nauczył od nauczającego Kościoła; nie mów nic nowego (t. j. nie takiego, w coby od początku Kościoła nie wierzone), ale mów rzeczy stare nowym sposobem“.

A więc i w dziedzinie wiary jest postęp. Zarzut podnoszony przeciw nauce Kościoła, że jest ona zamarłą, skamieniałą mumią, jest wprawdzie bardzo dawnym, ale nie mniej fałszywym, jak dawnym. Tak pojedynczy człowiek wierzący, jak cały Kościół w dwojaki sposób postępuje we wierze: postępuje od prawdy do prawdy, postępuje od jasności do jasności, a postępuje zawsze pod opieką i wspomżeniem Ducha prawdy.

Przeciw temu dwojakiemu postępowi wystąpił do walki innego rodzaju postęp: postęp od przeczenia do przeczenia, wiedzący aż do bezdennej przepaści niewiary, i postęp od błędu do błędu, aż do zupełnego zabłąkania się w labiryncie zepsucia.

Wobec tego stanu rzeczy każdy kto może, powinien przyłożyć rękę do odparcia fałszu i wystawienia prawdy katolickiej w rzetelnem jej świetle. Ten też jest cel niniejszych badań.

Przedmiot ich podwójny: sama wewnętrzna istota aktu wiary i przedmiot tego aktu — czyli *jak wierzyć i w co wierzyć*. Zapytamy rozumu ludzkiego, co może nam powiedzieć na obronę wiary, jakie ma przeciw niej zarzuty? Wstępujemy tu od razu na pole prawd wspaniałych i olbrzymich; zgłębienie ich wymaga wyteżenia wszystkich naszych sił duchowych. Już na pierwsze pytanie, czem jest wiara? — spotykamy się z tysiącem przeróżnych odpowiedzi. Lecz któraż odpowiedź jest prawdziwą?

Analiza pojęcia wiary zaprowadzi nas do rozważenia wstępnych warunków wiary (praeambula fidei). Są zaś nimi: Bóg osobisty, źródło wszelkiej prawdy; człowiek zdolny wierzyć i potrzebujący wierzyć; możliwość objawienia Bożego i charakterystyczne jego znamiona. Następnie zbadamy na podstawie historycznych źródeł, sam fakt objawienia; przekonamy się, że Chrystus jest założycielem wiary a Kościół wiernym jej stróżem; że skarb ten

wiary przechował się w Kościele nieskazitelny, cały, i nie-
tknięty.

Z kolei rzeczy zastanowimy się nad ważnym pytaniem: na
czem zależy istota aktu wiary? I tu będzie miejsce wykazać jego
nadprzyrodzoną genezę i naturę, i udowodnić, że wiara ludzi pro-
stych, niewykształconych nie jest nierozumną, że owszem nieroz-
zumne i śmieszne jest niedowiarstwo. Nakoniec przypatrzymy się
skutkom i wpływom wiary i niewiary na moralność, wiedzę,
szczęście człowieka i na całą społeczność ludzką i jej po-
myślność.

Załatwiwszy się z temi pytaniami, przejdziemy do dru-
giego działu t.j. do badań nad przedmiotem wiary. Zobaczymy,
co wiedza może wypowiedzieć za, lub przeciw pojedynczym pra-
wdom wiary; o ile przemawia za niemi, lub się im sprzeciwia.
Otworzy się przed nami zajmujący widok. Nie masz nauki,
któraby w biegu czasów nie podniosła zarzutów przeciw wierze,
ale każda czyniła to wtedy, kiedy sama jeszcze leżała w kolebce.
Skoro tylko zmężniała i wyrosła, odrzuciła przedwczesne swe
presady i przyczyniać się poczęła sama do utwierdzenia wiary.
Dziećmi będąc, z krzykiem i kamieniami rzucały się nauki na Ko-
ściół, który usiłował powstrzymać w karbach ich swawolę, ale
kiedy już wyszły z lat dziecięcych i młodzieńczego szału, wtedy
wszystkich swych kamieni użyły do wybudowania obronnego
wału dla wiary. Tak działo się zawsze. I przeto rzekł już Ba-
kon Werulamski, że filozofia zakosztowana tylko, odprowadza od
Boga, gruntownie pojęta, prowadzi do Boga.

Oto szereg zasadniczych pytań i zagadnień obchodzących
żywo każdy głębszy umysł. Rozwiążemy je poważnie, spokojnie,
unikając polemicznego tonu, ostrej krytyki, tembardziej gryzącej
ironii i sarkazmu. Doweip krytyki i satyra nadaje wprawdzie
uczonym badaniom wiele barwy i życia, bawi i zaciekawia, ale
na polu religii rzadko dobre przynosi owoce. W jakiejbądź ga-
łęzi wiedzy ludzkiej kto zbłądzi, nie lubi, żeby mu mówiono:
zbłądziłeś; woli sam przyznać się do pomyłki, a jeśli gdzie, to
przedewszystkiem rzecz się tak ma w kwestyach religijnych.
Rzadko kiedy drażliwa polemika przywiodła kogo do wyrzeczenia

się błędu, a uznania prawdy; błędnik zastawia się zawsze swymi dowodami i niech one będą najsłabsze, to niedostatek ich i niemoc zastępuje upór. Ton polemiczny nie odpowiadałby również usposobieniu naszych czytelników. Bo i któż będzie czytał te karty? Sądzę, że głównie ci, którzy przejęci miłością dla prawdy, znając ją już, głębiej jeszcze poznać ją pragną; dla ludzi zaś tak usposobionych, polemika jest oczywiście nie na swoim miejscu.

Przedsiębiorzem tedy pozytywny wykład, logiczne rozwijanie prawd jednych z drugich, uzasadnienie postawionych twierdzeń na podstawie wiedzy ludzkiej. Na zarzuty przeciw wierze nie myślimy odpowiadać wojowniczo, ale rozstrząsać je poważnie, oddzielając prawdę od fałszu, pozór od rzeczywistości. Taka jest nasza metoda.

Jeszcze jedna uwaga, aby czytelnik wiedział z góry, czego się ma po nas spodziewać. Pisząc te karty nie mieliśmy na oku biegłych teologów, ale ogół ludzi wykształconych. Przemawiając do teologa, należałoby trzymać się innej metody w przeprowadzeniu dowodów i ocenieniu zarzutów, w samym nawet doborze słów. Osobny bowiem jest język teologów, osobna też jest metoda teologiczna w dowodzeniu, w postawieniu i zbijaniu zarzutów; wydarza się więc często, że tam, gdzie teologowi wystarcza jedno słowo dla zupełnego zrozumienia rzeczy, tam nieobeznany z naukowym słownictwem i rutyną teologiczną, zaledwie po długich wywodach pojąć będzie mógł o co właściwie chodzi.

Dodajmy do tego, że i w świecie uczonym wykształcenie pojedynczych osób różni się niezmiernie. Ztąd co jednemu wydaje się jasnym i naturalnym, to dla drugiego jest ciemnym i niedostępnym; ten jeszcze namyśla się i wątpi, ów zaś dawno już pozbył się wszelkiej wątpliwości. Inaczej być nie może; chcąc być zrozumiałymi dla najsłabszych talentem i wiedzą, możemy się naprzykrzyć i wydać rozwlekłymi dla więcej zdolnych i uczonych — tych prosimy zawczasu o przebaczenie za poniewolną winę¹⁾. (C. d. n.)

X. A. Langer.

¹⁾ Wypełniając program autora, podamy w dalszych zeszytach szereg rozpraw, stanowiących każda dla siebie zaokrągloną całość.
(Od Redakcyi.)

LUCYN W INFLANTACH¹⁾.

I.

Inflanty, jak ogólnie wiadomo, obfitują w zabytki z czasów rycerskich. Co chwilę napotykamy w tym kraju zwaliska zamczysk żywo przypominających walki pokolenia silnego, równie niezmordowanego w tworzeniu, jak w niszczeniu. Ślady owych walk dają się tu dostrzedz niemal wszędzie.

Wiele z zamków inflanckich niegdyś bardzo głośnych na świecie, leży dzisiaj w ruinach; inne zupełnie znikły z widowni — pamięć ich żyje już tylko w historii krajowej.

Co dotąd pozostało z sążnistych murów i olbrzymich bastyonów, jakie te miejsca obronne niegdyś odznaczały, rozpada się coraz bardziej w gruzy, a częstokroć przedstawia same już tylko rumowiska.

Wkrótce i te ostatnie nieme świadki starodawnego rycerstwa bezpowrotnie ulegną zniszczeniu.

Atoli budowy ówczesne nawet w stadium ostatecznego rozpadania się, jeszcze zdumiewają widza. Zwaliska to dumne i poważne, ale posępne i jakby zapatrzone w przeszłość.

Olbrzymie mury, co swe przeznaczenie dawno straciły, żadnego już nie mają znaczenia dla życia tegoczesnego. Lecz z każdego ich złamu, z każdego ich kąta wieje tradycya poważna, wielka i nauczająca.

Kiedy je wznoszono, duch inny na świecie panował. Odtąd przechodziły stulecia, co zupełnie odmienny kształt społeczeństwu nadały.

Natura bezustannie niszcząc i tworząc, zrodziła inne otoczenie, zwaliska zaś zamków z koła życiowego już wykluczone, coraz bardziej stają się obcemi dla terażniejszości i wkrótceby się

¹⁾ Do niniejszego zarysu używamy przeważnie materiałów archiwalnych dotąd nieogłaszanych i niemal przez nikogo nietkniętych.

doczekały ostatecznego zatarcia w pamięci ludzkiej, gdyby za pomocą pisma i drzeworytnictwa nie przypominano od czasu do czasu o ich świetnem niegdyś istnieniu.

Ruiny Lucyna wraz z leżącym nieopodal parafialnym kościołem tejże nazwy, odtworzył w udatnej litografii ś. p. Napoleon Orda opatrując rysunek w opis równie krótki, jak... błędny¹⁾. Nie można się dziwić, że w dawnych czasach przy utrudnionych komunikacyach, a mniej rozległych stosunkach, wyrabiały się niedokładne pojęcia o odległych i niewiele znanych okolicach kresowych dawnej Polski; ale dzisiaj, gdy para nie obrachowuje przestrzeni, niema oddalenia i trudności, a kraj cały wraz ze swemi zbiorami archiwalnemi otworem stoi dla turystów — niezawsze o wiele są prawdziwsze wiadomości, jakie podróżni podają, a mniej jeszcze wierne i prawdziwe spostrzeżenia, jakie dzisiejsze wędrownie żórawie z Inflant do własnych przynoszą okolice, a następnie one w pismach najrozmaitszych ogłaszają²⁾.

1) Porównaj: *Napoleon Orda*. „Album widoków gubernii Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Witebskiej, Wołyńskiej, Podolskiej i innych.“

2) Przytaczam ich cały szereg: *A. Siementowski*. „Istoryczeskija swedenja ob ujezdnych gorodach Witebskoj gubernii“, oddrukowane w tak zwanej „Pamiatnaja kniżka Witebskoj gubernii na 1864 god“, str. 117—179.

2. *Juliusz Eckardt*. „Polnisch-Livland“, ogłoszone w roku 1868 w 27mym roczniku czasopisma „Grenzboten“, str. 281—294.

3. Tenże w książce: „Die baltischen Provinzen Russlands“. Lipsk 1868. Tutaj w „Polnisch-Livland“ zajmuje str. 319—334, w powtórnem zaś wydaniu str. 83—98.

4. *Pastor Tehophil Gaechtgens* „Eine (protestantische) Kirchweihe in Polnisch-Livland“, ogłoszone w Nrze 215 „Rigasche Zeitung“ z r. 1879.

5. Tenże „Ein wiedergewonnener Posten“, artykuł tendencyjny w „Mittheilungen und Nachrichten für die evangelische Kirche in Russland“, w zeszytach kwietniowych z roku 1880, Tom XXXVI, str. 154—179.

6. Tenże w łamach gazety „Zeitung für Stadt und Land“. Rok 1880, NNra 98, 99, 100 i 102. Jest to tylko powtórzenie artykułu „Ein wiedergewonnener Posten“, pisanego z prawdziwie sekciarską ślepotą i zjadłością predykanta-kulturtregera.

7. *Aleksander Jelski*. „Notatki z wycieczek w okolice Rzeżyny“, oddrukowane w NNrach 273, 274, 275, 276, 277, 278 i 279tym

Rozwój niezwykle i prawie nienaturalny codziennej pracy, przeglądów, pism peryodycznych i rozmaitego rodzaju wydawnictw, zamiast służyć do wyświecenia prawdy, do wyrobienia opinii i prostowania sądu tak o teraźniejszości, jako i o przeszłości kraju, nie w jednym już razie przyczynił się do skrzywienia zdania i rozszerzenia po świecie fałszu.

Dziennikarstwo i całe piśmiennictwo ulotne, służące często za wygodną i łatwą propagandę, niewiele troszczyło się o prawdę dla popierania teoryj, którym sprzyjało, albo umyślnie i systematycznie rozsiewało kłamstwa, przedstawiało czytelnikom swoim urojone, lub do niepoznania przeistoczone obrazy i wpoilo w publiczność w wielu nieraz względach fałszywe i zupełnie nieprawdziwe pojęcia o naszych stronach¹⁾.

„Gazety warszawskiej“ z roku 1880go, a dopuszczające się przesady w przeciwnym znouu kierunku.

Chwalebny zaś wyjątek stanowią ogłoszone przez protestanckiego pastora *A. Bielensteina* przy końcu roku 1882go „Reiseskizzen aus dem Oberlande“, w tomie XXIXtym poważnego czasopisma niemieckiego „Baltische Monatsschrift“. W tych pobieżnych „Szkiecach podróźnych“, część traktująca o Infantach polskich (Polnisch-Livland) obejmuje stronicie 707—743 tomu powyżej przytoczonego. Każdy ustęp pracy zdradza bezstronnego, inteligentnego i wielostronnie wykształconego badacza. Autor od lat wielu zajmuje zaszczytne stanowisko pomiędzy bałtyckimi uczonymi i oddawna piastuje urząd prezesa Towarzystwa lotewsko-literackiego (die lettisch-litterarische Gesellschaft).

¹⁾ Porównaj, cośmy o tem wypowiedzieli, w książce „Infanty“ (Poznań 1879), gdzie na stronicach 44—49 jest mowa o grubych błędach, jakich się dopuścił w swych pracach o naszym kraju petersburski akademik *Piotr Koeppen* (w „Bulletin historico-philologique de l'Académie de St. Pétersbourg“, T. VIII, pag. 200 et sequ., oraz w wydanej przez siebie etnograficznej mapie „Etnograficzeskaja karta jewropejskoj Rossii“), na str. 57, 58, 106 i innych traktuje się obszernie o mylnych poglądach *A. Brandta* (ogłoszonych o tychże stronach w czasopiśmie dorpackiem „Das Inland“), na str. 51, 52, 54, 56, 74, 106 i 114tej, prostują się liczne fałsze, rozszerzane systematycznie przez równie tendencyjnego, jak lekkomyślnego *Juliusza Eckardta*, a nakoniec na stronicach 134—136 wspomniano i o wielu innych pismach, traktujących o naszych Infantach, a które istotnie nietylko nie rozwiązują wielu ważniejszych kwestyj, ale nadto, pod względem historycznym, geograficznym, orograficznym, hydrograficznym, statystycznym, etnograficznym i historii rozwoju umysłowego powtarzają szereg grubych błędów tak dalece, iż oba-

Celem niniejszego zarysu jest zaznajomienie szerszego koła czytelników z przeszłością zamku i kościoła lucyńskiego. Posłuży on może zarówno obcym, jak i miejscowym, do dokładniejszego poznania starodawnego Lucyna. Pierwsi bowiem nie znalazłszy powabów w tutejszej okolicy kresowej, najczęściej zbyt krótko tu przebywają, aby zapoznać się mogli dokładniej z przeszłością Lucyna, drugim zaś zwykle codzienne sprawy nie pozwalają zwracać baczniejszej uwagi na to, co się bezustannie ich oczom przedstawia.

II.

Obok powiatowego miasta Lucyna w Inflantach polskich, stanowiących część dzisiejszej gubernii witebskiej, na wzniesieniu stoją w znacznej części dobrze jeszcze zachowane zwaliska rycerskiego zamku, wzniesionego w roku 1399tym przez prowincjonalnego mistrza krzyżackiego Wannewara *de Brüggennöie* nad jeziorem Łużą, obecnie zwykle *jeziorem lucyńskiem* nazywanem¹⁾.

Rozwaliny tego niegdys obornego zamku sterczą na wysokim wzgórzu, otoczonem ziemnymi wałami. Ich sędziwa postać, barwa ciemno - czerwonej cegły i położenie wyniosłe, obok czystych wód jeziora, razem stanowią obraz nader zajmujący. Odtwarza go kilkakrotnie *Jan Krzysztof Brotze* w swem wiekopomnem, a dotąd jeszcze nieogłoszonem dziele: „*Sammlung verschiedener Livländischer Monumente etc.*“, stanowiącem cenne *unicum* publicznej biblioteki miejskiej w Rydze. Rękopism ten złożony z olbrzymich dziesięciu tomów *in folio*, ozdobionym jest tysiącami ciekawych i jedynych w swoim rodzaju ilustracyj, odznaczających się wiarogodnością i po większej części przez samego autora w latach 1792—1797 nietylko osobiście wykonywanych, ale i odpowiednim tekstem zaopatrzonych²⁾.

łamucony czytelnik nie jest w stanie z pism tych dowiedzieć się, gdzie kraj ten leży, jaką była jego przeszłość, jaki jest jego ustrój i kto właściwie go zaludnia?

¹⁾ Porównaj: *Manteuffel*. „Inflanty“ (Poznań, nakładem Żupańskiego, r. 1879), str. 128.

²⁾ Widoki zamku i kościoła lucyńskiego umieścił Brotze w to-

Miejsce to przez dwieście sześćdziesiąt lat wiele cierpiało od najazdów Rusinów i Moskwy. Na obszernych równinach tej części kraju, pokrytych posępniemi świerki lub rozkosznemi gajami, stoczona była niejedna walka z groźącymi od zachodu Litwinami i Rusinami, którzy lubili zachodnie wójtowstwa inflanckie za punkt zaczepny obierać. W Lucynie stale przebywał wójt krzyżackich rycerzy, niższy w dostojenstwie od dynaburskiego komtura, którego także zwierzchność rozciągała się i do zamku lucyńskiego.

Los tego pogranicznego wójtostwa dawnego zakonnego państwa inflanckiego nie różnił się zgoła od innych warownych miejsc kraju. Często Lucynianie bronić się musieli przeciw napadom dawnych Łotyszów i Litwinów, często przedsiębrano ztąd wyprawy na pogańskich jeszcze mieszkańców kraju, które z rozmaitem kończyły się szczęściem, często osada lucyńska z wkraczającą od Pskowa Moskwą staczać musiała krwawe walki.

Sądząc z miejscowości śmiało twierdzić można, że większa część starego miasta Lucyna rozciągała się na wzniesieniu leżącym na południowo-zachodnim brzegu jeziora, a na południe od dawnego zamczyska, rozwaliny którego dowodzą, że znajdowały się w nim baszty ze strzelnicami broniącemi i miasto.

Dawniej było zwyczajem osiedlać się w niedostępnych miejscach. Regularnie i stromo skopane pochyłości wzgórz — pomimo że uległy zmianom skutkiem czasu i deszczów, wykopane pomiędzy niemi fossy i rowy, ślady których dotąd ocalały, służyć mogą za najbardziej przekonujący dowód, że te miejsca były niegdyś zaludnione i obwarowane w celu obrony od nagłych nieprzyjaciela napadów.

Północno-wschodnia część zamku ma długości sześćdziesiąt pięć, północna pięćdziesiąt siedm, zachodnia dwadzieścia siedm a południowa sześćdziesiąt sążni. W ostatniej widać ślady bramy

mie VII, na str. 57, 64, 153, 219tej, oraz w tomie VIII, na str. 99 i 102gtej.

Widok tegoż kościoła i zamku zdjęty z natury w roku 1877, znajdzie także czytelnik w przytoczonej powyżej książce naszej: „Infanty polskie, poprzedzone ogólnym rzutem oka na siedmiowiekową przeszłość całych Infantów“ (wydanej w Poznaniu, nakładem księgarzni J. K. Żupańskiego), na stronnicy 128mej.

wjazdowej ze zwodzonym na fossie mostem. Druga wjazdowa brama znajdowała się w stronie północnej; ruiny jednej i drugiej ocalały do dni naszych. Na drodze wiodącej z zamku do jeziora również znajdowała się brama, ale ta służyć mogła tylko do przywożenia wody.

W czasie ciężkiej wojny, którą w roku 1559 zakon rycerski inflancki z Moskwą prowadzić musiał, a w której Polska bardzo mu była pomocną, zamek lucyński razem z okręgiem Rzeżycą (*districtus Rositensis*) i innemi warownemi grodami tej części kraju dostał się tytułem wynadgrożenia kosztów wojennych królowi Zygmuntovi Augustowi na prawie zastawnem w posiadłość. We dwa lata zaś później, roku 1561 stanowił już integralną część tak zwanego województwa inflanckiego, znanego niegdyś pod nazwą „*Livonia australis*“, a będącego od wieków częścią dawnych Inflant, odtąd w całym swym obrębie wcielonych do Rzeczypospolitej polskiej¹⁾.

III.

Po utworzeniu województwa inflanckiego Lucyn w rękach polskich zostawał spokojnie do roku 1577, w którym to czasie wielki książę moskiewski car Iwan Wasilewicz wtargnął do tej części dzisiejszych Inflant polskich i oprócz innych miejsc opanovał także i zamek lucyński²⁾. Po kilku wszakże latach był zmuszonym odstąpić go Polsce³⁾.

Król Stefan Batory idąc na wyprawę moskiewską, miał etapę w Lucynie. Kwaterę obrał w zamku na drugiem piętrze,

1) Patrz: *Manteuffel* „Inflanty“, str. 128. Potwierdzają to nawet źródła rosyjskie. Porównaj: „Historją rosyjską“ *Karamzyna*, a mianowicie tom VIII, str. 175 i 182.

2) Porównaj współczesną tym wypadkom, bo już w r. 1584 spisana kronikę Russowa: „*Balthasar Russows Chronica der Prowintz Lyfflandt*“, a mianowicie str. 123, gdzie się opisuje wzięcie Lucyna w ciągu miesiąca Lipca r. 1577, przez Iwana Wasilewicza, obdarzonego zwykle przez ówczesnych kronikarzy niepoehlebnem mianem „*monstrum septentrionale*“

3) Porównaj *Karamzyna*, tom VIII, str. 18, tudzież tom IX, str. 150, a także dzieło rosyjskie pod tytułem: „*Istoryczeskija swedenja o Białorusi Bios - Kornilowicza*“, mianowicie str. 62 i 63cią.

orszak zaś jego mieścił się na trzeciem. Król znalazł ten zamek nader użytecznym. Miasteczko czyli tak zwaną „posadę zamkową“ przenieść rozkazał na inne miejsce, na którym leży dzisiejszy Lucyn, a garnizon zamkowy postanowił znacznie zasilić i podnieść do tysiąca żołnierzy¹⁾. Przy zawarciu traktatu 1582 r. znajdowało się tutaj 5 dział, falkonetów 2, berzów żelaznych 2 i hakownic 44²⁾. Mamy przed sobą ciekawy dokument w lat 17 po zawarciu wyżej wspomnionego traktatu pisany, a którego tytuł:

„Lustracyą Anni 1599ni Zamku Lucyńskiego z księgi Rewizorskiej Inflantskiej Anni 1599ni w Skarbzku Koronnym znajdujący się wypisana i w Warszawie 30go Stycznia r. 1748 wydana za podpisem Kicińskiego i odcisnięciem pieczęci Karola Józefa Odrowąża“, stronnic 24 *in folio*, sznurową potężną opatrzonych pieczęcią, okoloną napisem: „Carolus Josephus Odrowąż. . . Suae Regiae Majestatis Supremus Regni Thesaurarius.“

Egzemplarz ten w archiwum domowem ostatniego starosty lucyńskiego, Józefa Borchy, niegdyś starannie przechowywany, stanowi obecnie własność Władysława Sołtana, dziedzica Preżmy w Inflantach polskich, powiecie rzeżyckim³⁾.

Czytamy w tej lustracyi zamku lucyńskiego, iż zamek ten „leży od Granice moskiewskiej mil cztery y Grunty iego po „większej części z Gruntami Moskiewskimi się zeszły, które ie- „dnak błotami y zarosłami albo Lasami wielkimi się dzielą, tak „iż nietyła Woysko, ale y prywatni Ludzie pewnemi Szlakami, „za wiadomością straży, która na nich iest zasadzona, przechodzić „muszą. Jakosz Chłopow y luźnych Ludzi, którzy z niemałej „części Inflant do Moskwy uchodzą y zaprzędawiają się tam, na- „więcey imaią i karzą“⁴⁾.

1) Wiadomość zaczerpnięta z archiwum ś. p. Józefa Borchy, ostatniego starosty lucyńskiego a brata wojewody Bełzkiego Michała Borchy.

2) Patrz: Metr. Liit.

3) Kopię autentyczną tegoż samego dokumentu znajdujemy także w archiwum rodzinnem Manteuffłów. Patrz: J. M. Dział II, Nr. 4ty, pod rokiem 1599tym (Zeszyt spory, oprawny, stronnic 40 zawierający).

4) Rękopismu str. 3 (z archiwum Manteuffłów).

Następuje opis zamku temi słowy: „Leży ten Zamek na „kopcu dosyć wysokim ze dwu Stron Jeziorem, a z trzeciej prze- „kopem zelastym suchym obtoczony, więcey z Cegły a nisz z ka- „mienia murowany. Mur około niego niebardzo miąwszy, wszakże „nie gorszy, y nie niski. Do ktorego Zamku z przyiazdu Stakietu „trocha sosnowego, w którym Brama Drzewiana z Wrotami do- „bremi dębowemi, goździami zelaznemi nabiana, z Fortką na Za- „wiassach zelaznych z kuną, a Fortka z Rygłem, z klamką, „z Wrzeciędzem y z Skoblem. Na tey Bramie Wiezycza drze- „wiana, siedzenie letnie. Daley wchodząc do Przygrodku Wrota „w Murze Dębowe futrowane, stoczyste, goździami zelaznemi na- „bite, na Zawiassach zelaznych z Zamkami dwiema ślepemi, „u iednego zelazo wielkie, a u drugiego kuna zelazna. W tych „Wrociech fortka na Zawiassach zelaznych z Zamkiem ślepym „z rygłem. U tychże Wrot drąg miąwszy dębowy w Murze, w któ- „rym tesz Wrota zasuwaią. Nad temi Wrotami w Murze była „Baszteccka z balek nakształt Moskiewskiey zbudowana, ale iey „tylko maki są, balki pogniły. W koło tego przygrodku Mur, „o którym się wyzey wspomniało. Przy Murze na koło blanki „nowe ieszcze nie kryte, na które we czworę Wschody na tę y na „owę stronę po iednemu. Na Murze Baszteccka albo Wiezyczka, „nowo y z nakryciem dobrze zbudowana. W tymże Przygrodku „przy Bramie Wartownia dla Strażey; niedaleko niey było Budo- „wania po części do mieszkania, teraz tylko Izdebek starych dwie, „iedna przeciw drugiey, o Sience dla Podstarościego z Piecami „prostemi y z błonami skłanemi, z drzwiami, z Zawiassami, „z Skoblami y z Wrzeciędzami, Stoliki y ławy w koło. Tamże „daley iest kilka chałup po Moskiewsku budowanych, ale się iuż „wałą, pogniło wszystko. Po drugiey Stronie Piekarnia, przy „ktorey Sien y komora. Zaś na północy Staynia tego Roku zbu- „dowana prawie dobrze, ze wszystkim na Koni 100. Tamże nie- „daleko Słodownia nowa, przy niey Sień y Izba nowa, w Pośrodku „tego Przygrodku budowanie w którym Dom wielki albo Izba „Stołowa z Piecem prostym y kominkiem murowanym, w tey „Izbie Stoły dwa, ławy po dwu stronach, drzwi do tey Izby na „bieguniech. Z tey Izby drzwi do Komorki także na Bieguniech,

„z zaszczepką, w ktorey kominiek murowany; z tey Komorki „Drzwi na Dwor, a drugie do drugiey także Komorki, z ktorey „Komorki Komorka potrzebna, drzwi na bieguniech“¹⁾).

Stronnica szósta tegoż ciekawego rękopismu daje nam obraz dokładny dziedzińca zamkowego. Czytamy tam: „Do tego Dzie- „cinca (sic?) Brama sklepista długa, w ktorey Wrota stare dę- „bowe stoczyste, futrowane, z kuną zelazną, w nich Fortka na Za- „wiassach z Zamkiem ślepym, drąg w Murze dębowy do zasuwania. „W tey Bramie po prawey ręce był sklep, ale teraz spustoszał.“

„Wszedłszy do Dziecinca po prawey ręce były Gmachy dolne, „y Piwnice pod nimi, teraz zapadłe, za ktoremi Gmachami w rogu „Browar przez terazniejszego Pana Starostę naprawiony, w kto- „rym statki piwne, Kocień wielki, toki, Kadzi etc.“

„Podle tego Browaru na czwartey stronie w tym Dziecinu „Wieża wielka z Cegły murowana z Muru wysadzona, w ktorey „na dole Piwnica nowo przez Pana Starostę terazniejszego wy- „murowana y naprawiona, przed którą Szyia sklepista, drzwi do „niey na Zawiasach żelaznych z Wrzeczędzem y Skoblem; w tey „Piwnicy Okienko iedno do Strzelby z Kratą żelazną. Z tey „Piwnice Piwniczka mała, Drzwi u niey na Zawiasach żelaznych „z Wrzeczędzem y z Skoblem.“

„Podle tey Wieze na rogu były Gmachy, ale opadły y spu- „stoszały.“

„Przy Bramie po lewey ręce z Komory Ceygkhaus przez „Pana Starostę terazniejszego naprawiony, Drzwi do niego z za- „warcim warownym dobre“²⁾).

Następnie, przy stronnicy siódmej, przystępuje lustracya do opisu „Wtórych Gmachów“ w tymże dziedzińcu, do których „Wschod Drzewiany z poręczem z obu Stron nakryty. Blanki „Drzewiane po trzech Stronach, z których blankow ode Wschodu „Izba w oney Wieżey wyżey pomienioney, w ktorey Okien trzy „z Kratami zelaznymi y z błonami Szklanemi, Drzwi na Zawias- „sach zelaznych, Komin murowany, Piec, Ganeczek dla Muzyki.“

1) Rękopismu str. 4ta i 5ta.

2) Rękopismu stronnica 6ta i początek 7mej.

„Nad tą Izbą piątro do Strzelby, okien 5 po trzech Stronach, „Tey wieże p. Starosta na pułtora Człowieka kosztem swym nadmurować dał; pobicie na niey nowe z dranic.“

„Idąc daley temisz blankami, na rogu drugim przy Bramie „drzwi do Sieni na Zawiassach, w ktorey po lewey ręce Izba „swiezo naprawna ze wszystkimi potrzebami, z Piecem, Okny, „Stołmi, ławami, z błonami etc. zamczysta. Podle niey nad Bramą „druga Izba nowa Drzewiana; w niey okna trzy z błonami „szklanemi, piec, Drzwi na Zawiassach; przed tą Izbą Ws:hodek „drzewiany.“

„Z tey Sieni trzecia Izba przeciw pierwszey; w niey Piec „polewany, Okna cztery z błonami szklanemi, Stoł, Ławy, Drzwi „na Zawiassach“¹⁾.

„Dranicami Zamek ten wszystek pokryty“ — opiewa na innej stronnicy lustracya — „ktory Zamek iako był przez Moskwę spuszoszony, tak też mienia byđ przez Urzędniki Nieboszczyka Pana „Naruszewicza, ktory tam Starostą był, dla niepoprawowania „zniszczały, aż dopiero teraznieyszemu Panu Starościu, Panu „Skarbkowi, przyszło go poprawić, iakosz go dosyć znacznie „z niemałym kosztem poprawił“²⁾.

Co do obrony tego pogranicznego zamku wykazuje na dalszych stronicach lustracya z roku 1599go, iż w tym czasie mniej jeszcze posiadał broni, niż w roku 1582gim. Wylicza bowiem za ledwie jedno działo większe spiżowe na kołach, także drugie mniejsze — „kula do niego waży funtow trzy“ — quaterszlangów „w łożach y na kołach okowanych“ trzy, falkonetów spiżanych 2, berzów żelaznych w łożach 2 a trzecie bez łoża, hakownic w łożach dobrych 14 i hakownic starych zniszczonych 25.

Oprócz tego, powiada lustracya w ustępie „*Armata tego Zameczku*“, iż u tych wszystkich działek i falkonetów „koła iedne „połamane, drugie stare, złe, spruchniałe, także y zelazo na nich „częścią powypadało, a ostatek rdza ziadła.“

Niemniej ciekawym jest ustęp w tejsze lustracyi pod tytu-

¹⁾ Rękopismu str. 8ma.

²⁾ Rękopisu str. 9.

łem: „Zdanie z Strony tego Zamku Lucyńskiego“, który, jako nader charakterystyczny, tu całkowicie wypisujemy:

„Ten Zameczek acz nie iest wielki ani mocny, bo ma sobie „gorę przeciwną, bardzo bliską, tak wysoką iako y kopiec na „ktorym stoi, na ktorey zawsze Nieprzyziaciel Szańce bliskie po- „sadzic może y podkopem go snadnie dostawać. Za którą Górą „w dole kilka Tysięcy ludzi bez szkody Nieprzyziaciela zakryć się „może. Jakosz Kniaź wielki Moskiewski z niey go dobywał, „y snadnie wziął¹⁾. Jednak iż iest na wielkim Szlaku Moskiew- „skim blisko Granice y Zamkow Moskiewskich Siebieża y Opoczy, „więc y mieysca wszystkie trudne do przebycia pod sobą ma, „a do tego wielką Bramą iest do Litwy y do częścicy niemałej „Infant, o ktorym Ludzie w Rzemiośle Rycerskim biegli takie „zdanie swe daią: iż Zamek Lucyński gdyby miał Tysiąc Czło- „wieka, znacznieby mógł Nieprzyziacielowi, y z wielką szkodą iego, „przeprawy bronić, *In Summa* nieiest *Propugnaculum*, ale tylko „*Receptaculum* y Strażnica na Ludzi służebne“²⁾.

IV.

Ustęp „*Miasteczko albo Possada pod Zamkiem*“, w teźże lu- stracyi zamku lucyńskiego z roku 1599go parę stronnic zajmujący, wykazuje jasno, jak niepospiesznie się odbudowywała ta w ciągu swego pięciuwiekowego istnienia tylokrotnie burzona, a z rozkazu króla Stefana Batorego ostatecznie na inne miejsce przeniesiona miejscina.

„Za Pana Starosty terażniejszego“ — czytamy tam na stron- niey 13tej — „poczęło zasiadać (nowe miasteczko) y iuz iest „Chałup 24. Każdy (każda?) z nich ma mieć placu wszerz „y wzdłuż po 10 sążni, ogrody także do nich mają wymierzone „za Zamkiem nad Jeziorem, y drudzy także przy Placach, każdy

¹⁾ Działo się to w miesiącu Lipcu roku 1577go, jak świadczy współczesny Russow. Porównaj w *Scriptores rerum Livonicarum*: „Balthasar's. Russow's Chronica der Prowintz Lyfflandt“, pag. 123.

²⁾ Patrz: Rękopismu str. 11.

„z nich wzdluż y wszerz po 20 Sazeń. Pola także puścił im Pan „Starosta za Zamkiem ku Nerzy¹⁾ aż do Granice Islandskiej. „Jeszcze nic nie płacą. Mieli od P. P. Commissarzow Krola JErci „in anno 1590mo wolności pozwoloney od lat dziewięci, która im „iuz expiruje, o których JPan Starosta swiadectwo dawał, iż nie- „mal wszystkie służy jego Ludzie służyli, którym on dla ubostwa, „aby się tam tym chętnie dla Obrony y posiłku Zamkowi (czego „ile Ukrainie wielka iest potrzeba) utrzymali, swych własnych po „kilku Złotyeh na Rok, także y żywności dawa. I prosił abysmy „im tey wolności ieszcze, a przynajmniej do kilku lat, poki się „Przymierze iakie pewne z Moskiewskim nie stwierdzi, proro- „kowali. Co my bacząc rzecz słuszną y temu Zamkowi potrzebną, „pomknelismy im ieszcze tych wolności, za ktoremi od wszelakich „Podatkow tak Rzeczypospolitey iako y Zamkowych wolni bydz „maią do pięci lat, z tą iednak powinnością, iako y pierwey. „Naprzod, aby kazdy z nich miał Rusnicą dobrą y Szablę, Prochu „y Kul według potrzeby. Z którą Bronią przeciwko kazdemu Nie- „przyiacielowi Krola JErci y Rzeczypospolitey albo też na kazdą „trwożę Zamkową, gdyby byli przez Urząd Zamkowy obwieszczeni, „w Zamku się stawić maią. Do tego nieczyią inną Jurisdiction ieno „Zamkową na sobie ponosić maią“²⁾.

Ustępy obszerne o „*Folwarkach Zamkowych*“ wyliczają ich kilka a mianowicie: folwark *Zacharowski*, folwark *Pluszyński* i folwark *Nyrziński*, w nich „iednosz Poddanych niewiele“ powiada lustracya „y ci gdy im ciężko uczynią, za Granicę do „Moskwy uciekają. Tam też za się wysiedziawszy wolności cztery „lata, znowu nazad się wracają, y wielekroć to kazdy z nich „czyni, iakosz y ci ktorzy teraz pod Lucynem są, rzadki ktorzyby „raz albo dwa w Moskwie iuz nie był, a błaho siedzą z bardzo „ubodzy są“³⁾. Z ustępu „*Pustowszczyzny*“, umieszczonego na stronicy 30tej tegoż ciekawego rękopismu, dowiadujemy się wszakże,

1) Wieś *Nerzę* i jezioro tejże nazwy znajdujemy i obecnie w powiecie *lucyńskim*.

2) Rękopismu str. 14.

3) Rękopismu str. 16.

„że liczono tu niegdyś do sześciuset poddanych“. Czytamy tam bowiem:

„Pustowszczyzny to iest ziemia, na ktorey Chłopi przed „woynami siedzieli y oney używali, chociaż rozno po lesiech ni- „skich, także y między błotami sztukami tę ziemię mieli, iednak „teo Zamek Lucyn miewał do sześciuset Poddanych, y kiedyby „Pokoy był albo Przymierze stateczne z Moskiewskim, za kilka „lat by to zaś osiadło, y ten by Zamek Intratą między inszemi „pośledniejszy niebył“¹⁾.

Jak utrudnione były w owym czasie komunikacye w tej części kraju, daje się widzieć z ustępu „Porth“.

„Ten Zamek“, czytamy tam, „prawie między wszystkimi „inszemi Zamkami Inflantskimi w Porth iest nayuboższy, tak iż „zadnego niema, a Zboza, iesli mu co nad wychowanie zbędzie „(y to iako u rządneho Starosty mało co podobno, gdyż na Ukrai- „nie mieszkaiać, musi wiele ludzi około siebie bawić), musi zimą „do Rygi mil 60 prowadzić. Do Moskwy blisko, ale tam nigdy „nieprzeda, bo ludzie nie są po temu y maia swego zboza dosyć. „Do Dźwiny tesz chociaż mil 20, dla srodze błocistych drog „nie odwozą“²⁾.

Za to na puszczech i lasach nie zbywało tu wcale. „Tych „iest wielki dostatek“ — powiada lustracya — „drzewa rozmaitego „do Budowania godnego, w których Zwierz rozmaity, Łoś, Nie- „dzwiedz, Ryś, Swinia, Sarna, Kuna, Bobr, czego wszystkiego po „trosze w zimie dostaią. Towary leśne aczby bydz mogły, iednak „ich niesprawuią, iż Porthu niemasz“³⁾.

Ustęp powyższy obecnie czytany, tem większe sprawia wrażenie, że niedźwiedzie, łosie i rysie nadzwyczaj rzadko tu się dziś napotkać dają, a dzików i bobrów od parę wieków powiat lucyński wcale nie posiada.

Jeziór w obrębie zamkowym liczono w roku 1599tym do sześćdziesięciu. Z nich najznaczenieze *jezioro Lucen* pod zamkiem

¹⁾ Rękopismu str. 30.

²⁾ Rękopismu str. 31.

³⁾ Rękopismu str. 32.

„wzdłuż na milę, wszecz na $\frac{1}{4}$ mile, *Czermo* (dziś zwane Cyrną)
 „wzdłuż na milę, wszecz na dobre puł mile“, *Ilza* również pod
 zamkiem „wzdłuż na dobre $\frac{1}{4}$ mile, ale nie szerokie“, *Dunaklo*
 (dziś jezioro Zwirdzyńskie) „wzdłuż także na dobre $\frac{1}{4}$ mile.“

„W tych jeziorach“ — powiada lustracya — „szczuka dobra
 „y Sielawa wielka.“

„Te są głównejsze jeziora zamku Lucyńskiego“ — czytamy
 także na stronie następnej. — „Insze, ktorych iest rozno po le-
 „siech do kilkudziesiąt małych y większych, odłogiem leżą, do
 „Zamku w nich nie łowią, łowi kto chce.“

W ośmiu zaś większych jeziorach „*antiquitus*, ieszcze za
 „Mistrzow Krzyzackich Szlachcie nie było wolno łowić, aż pierw-
 „szy Zamkowy niewod przeszedł, którego zwyczajui y teraz (to
 „jest w r. 1599tym) Szlachta zażywa“¹⁾.

V.

W czasie następnego stulecia Lucyn, najpiękniejsze ze sta-
 rostw inflanckich, jako pograniczne i już polskie starostwo, nara-
 żony był niejednokrotnie na napady szwedzkie i moskiewskie.

Do ciekawszych dokumentów z tej epoki zaliczamy rękopism
 32 stronnic obejmujący, a którego tytuł:

„Inwentarz spisany Starostwa Lucynskiego y podanie Zamku
 „Lucynskiego przezemnie Bruna Krenika Faktora J. K. Mei a nay-
 „niższego sługę Wielm. Jmć Pana a Pana Gierharda Denhoffa
 „Woiewody Pomorskiego, Malborskiego, Kościerzyńskiego, Felin-
 „skiego, Lucynskiego etc, etc. Starosty, Pana mego Miłościwego
 „Jmci Panu Mikołajowi Zardanowi po odebraniu Zamku Miasta
 „Lucyna y wszystkiew Włości od Jmci Pana Gierharda Manteyfla
 „Seya (Gerhard von Menteuuffel genanut Szoegel) anni 1646 mense
 „Decembris, die 18ma“²⁾.

¹⁾ Rękopismu str. 34.

²⁾ Kopię autentyczną tego dokumentu znajdujemy w archiwum
 rodzinnem Manteuffłów, J. M. Dział III, Nr. I, pod rokiem 1646tym
 (Zeszyt oprawny stronnic 32 zawierający. *Ab extra* uwaga: „Rękopism
 niniejszy w oryginale zawiera stronnic 23 *in folio* i przechowuje się
 w archiwum J. Borchy starosty lucyńskiego).

Rękopism ten szczegółowy opisuje najprzód miasto Lućyn, rynkowe place, wyliczając właścicieli domów na pojedynczych ulicach, z których głównymi były w owym czasie: „*ulica wielka zamkowa*“, i „*ulica Rzeżycka*“. Znajdujemy tu osobno wyliczonych tych mieszkańców, co osiedli w roku 1636 i 1637mym, następnie tych, co się osiedlili w Lucynie w latach 1642 i 1643, a nakoniec i tych niewielu, którzy w roku 1646tym tu zamieszkali.

Dalsza część Inwentarza opisuje mieszkańców miasteczek *Słobody staro-Istrańskiej* i *Słobody nowej na Sładziowie*, a także włości zamkowych i wchodzących doń folwarków *Ozupinie* (dziś *Uzupin*) i innych. Jest mowa o włości mujży¹⁾ *Isnawdy*, „która „oddalona y nienależy do Starostwa Lucyńskiego, iako dobra wie- „czyste szlacheckie a nie krolewszczyzna, y należących do tej „Mujży poddanych spisano y iake wiele który dzierży naprzod „nad jeziorem *Pyłdą*, na nowinie zwanej *Werdelowo* i t. d.“²⁾.

Włość Hołyszowska i pustoszy do tej włości należącej obejmuje dalszy ciąg rękopismu. Przy nazwisku chłopca Michała Puszmucia obszerna uwaga „iż do tego ozwał się Pan Rymaszewicz „Imieniem Pana Sołtanowym, że należy Panu Sołtanowi przed „Jmć panem Akiersztafem wolne *forum* o to“³⁾.

Dalej następuje wyszczególnienie włości Nerzińskiej lub Nrzeńskiej, tudzież włości Plusińskiej, której starostka Jur Rudzin „iż czyniąc urzędowi y powinności dosyć, (zagrody) ustawicznie „niezamieszkiwa, rozkaza ma zamkowego, także robotników wy- „gania y pilnie onych y inszemi zabawami zamkowemi od go- „spodarstwa się swego często odrywa, za takową więc iego

1) Nowo „mujża“ w języku łotewskim oznacza dwór szlachecki. Z tem wyrażeniem spotykamy się nawet w dokumentach łacińskich. „Mojza“ pisano częstokroć w wieku XVI i XVII zamiast „curia“, lub „villa“, w dyplomach inflanckich, wydawanych przeważnie w języku łacińskim.

2) „Inwentarz starostwa Lucyńskiego y podanie zamku y miasta Anno 1646 die 18 Decembris“, str. 16.

3) Tenże str. 18. Dawna zagroda włościanina Puszmucia stanowi obecnie obszerne i pięknie zagospodarowane dobra *Poszmuciuwo*, w powiecie lucyńskim, składające osobną parafią *Poszmucowską*. Patrz: „Inflanty“ (Poznań, 1879), str. 157.

„pracę y posługi (zamiast $\frac{1}{2}$ służby) ma płacić kup 4 i kunią „jedną“¹⁾).

Przy tejże włości opisana i karczma: „Z karczmy Plusin-
„skiey, że dotąd pusta była, tedy początku (? porządku) niebyło
„żadnego, więc Pan Namiesnik ma arendować albo Zamkowe
„piwo y gorzałkę na wyszynk dawać y pozytek naylepszy do
„Skarbu JKMości przy główney Summie ma pokazać“²⁾).

Ciekawym też jest opis powinności poddanych Plusińskich.
„Na robotę niedziel sześć przez Rok z koniem maią chodzić, do-
„kąd zamkowe rozkazanie będzie. Na straż według zwyczaiu
„koleyno, ile tego potrzeba będzie, chodzić maią. Osobliwie do
„budowania zamkowych potrzeb na tydzień przez Rok po dwa
„z każdej służby a nie więcej, miasto gwałtu³⁾, chodzić maią,
„do czego rozkażą. Dolać maią dawać od wszelkiego zboża, które
„siał będą na każdy Rok, także y len, który siał będą, niepo-
„trącając w to lnu pogostowego. Podwod 3 do Wilna abo do Rygi
„przez Rok z każdej służby, balek Dziesięć do budowania Zam-
„kowego z każdej służby iakich trzeba“⁴⁾).

Lecz już niedługo podtrzymywano „budowania“ tego, jak
widzieliśmy wyżej, słabo bronionego kresowego zamku. Podczas
prowadzonej na początku XVIII wieku wielkiej wojny północnej
zajęli go Szwedzi; zburzonych przez nich szanieców nie odnowiono wię-
cej, zamek zamienił się w malowniczą ruinę, leżące u podzamecza
miasteczko niemal zupełnie zniszczało.

Przy rozbiórce Polski r. 1772 Lucyn, jako składowa część
Infant polskich, „*Livoniae polonicae*“ razem z Białą Rusią dostał
się do Rosyi⁵⁾, w sześć lat potem r. 1778, przy utworzeniu *Pro-*

1) Tamże str. 23.

2) Tamże str. 26.

3) *Gwałtem* zwał w Infantach, włościanin łotewski robocizną nadpańszczyźnianą aż do czasów swojej emancypacji.

4) Tenże rękopism na str. 27.

5) Zbiór praw rosyjskich (Połnoje Sobranje Zakonow) w tomie XIX str. 553 Nr. 13,850 pomiędzy prowincjami nabytemi od Polski w roku 1772, na pierwszym miejscu wymienia *Infanty Polskie* (Polskaja Liffandyja.)

wincyi *Dźwińskiej* a później Połockiego namiestnictwa, został powiatowem w niem miastem.

Następnie na mocy cesarskiego ukazu z dnia 12go grudnia r. 1796 połączono namiestnictwa połockie i witebskie w jedną tak zwaną *Białoruską gubernią*, etat jej z dnia 31 grudnia t. r. pomiędzy szesnastu powiatami wymienia i lucyński.

Cesarski ukaz z 20 lutego r. 1802, stwierdzając rozporządzenie rządzącego senatu, utworzył z gubernii Białoruskiej dwie niezależne gubernie, mohilewską i witebską; etat ostatniej z dnia 12 czerwca, wymienia roku 1758 z miasteczka na miasto podniesiony Lucyn, jako stolicę powiatu.

Lucyn w dniu 21 września r. 1781 otrzymał osobny herb, który od gubernialnego witebskiego różni się tem tylko, że uzbrojony rycerz czyli raczej pogoń litewska umieszczona *na czarnem* a nie na czerwono i biało przegowanem polu.

VI.

Po przyłączeniu Lucyna do Rosyi w r. 1772 liczono w nim zaledwie 195 mieszczan (po większej części katolików) i nie więcej jak 32 żydów.

W roku 1864 liczba mieszkańców dochodziła tu do 3530. W ich liczbie było 1200 katolików, 37 protestantów, 54 roskolników, 416 prawosławnych (złożonych przeważnie z żołnierzy oraz przysłanych tu przez wileńskiego generał-gubernatora Murawiewa urzędników rosyjskich) i aż 1778 żydów!

Spis ludności z r. 1880 wykazał 5258 mieszkańców płci obojga a domów 750, z których większa część na nazwę właściwych domów wcale nie zasługuje ¹⁾.

W tymże roku posiadał Lucyn kościół parafialny rzymskokatolicki 1, kościółek protestancki 1, cerkiew prawosławną 1, synagogę 1 i 4 żydowskie domy modlitwy.

¹⁾ Notaty o spisie ludności m. Lucyna z roku 1880 zawdzięczamy uprzejmości pana Justyniana Zahorskiego, dziedzica dóbr Medemujży w pow. rzeżyckim i honorowego sędziego pokoju tegoż powiatu.

Najstarszą z tych świątyń jest Kościół rzymsko-katolicki drewniany, założony tu w r. 1686, a w lat 40 później po pożarze na nowo z drzewa wzniesiony. O istnieniu katolickiej świątyni daleko dawniejszem liczne mamy dowody, ale Kościół kilkakrotnie podczas częstych wojen burzony, w końcu XVI wieku przez katolików odbudowany, dostał się na czas jakiś w posiadanie protestantów; czytamy bowiem w przytoczonej powyżej lustracyi zamku Lucyńskiego z roku 1599: „Jest Kościółek drzewiany na Górze przed zamkiem za Mostem przez terażniejszego „pana starostę zbudowany, na tymże też miejscu oddawna bywał, „który Moskwa spaliła. Do którego, iakeśmy od szlachty tameczoney wiadomość wzięli, dwie Służbie należały, iedno iż nie mogli wiedzieć na którym miejscu, a z Rewizyi pana Skuminowey „(de anno 1583tio) znaczy się: że te służby były nad Jeziorem „Lucen nazwanem. Naydzie się tesz w teyże Rewizyi pana Skumina, że Pleban miał pod zamkiem Folwarczek, do którego „ziemi należało na 40 Bieczek żyta, ale o tym nikt sprawy dać „nie umiał na którym miejscu, gdyż Poddanych starych coby się „tam rodzili niebyło, wszystkie Moskwa wysiekła, a terażnieysisą przychodniowie; iednak powiadali, że ta Góra między Jeziorem przed Zamkiem Kościołowi należała. Teraz minister Jewangelicki ten Kościół trzyma. Folwarczek zaś ma swoy na ziemi „Chłopskiej Zamkowej, za jeziorem Dunaklem, do którego ziemi tak wiele ma, ile zrobić może“¹⁾.

Przytaczany przez nas *Inwentarz starostwa Lucyńskiego y podanie Zamku y Miasta anno 1749 diê 18ma octobris* nic o kościele nie wspomina, gdyż w tym czasie oczywiście już żaden kościół tam nieistniał, jak to się wykazuje obecnie z ciekawego dokumentu jaki tu mamy przed sobą, a którego tytuł:

„*Erectio Ecclesiae Lucinensis anno 1686to m. Octobris 19 diê*“²⁾.

¹⁾ Lustracya zamku Lucyńskiego de Anno 1599 str. 12.

²⁾ Oryginał tego dokumentu przeszedł przed kilku laty z *Borchowskiego Archiwum* do Władysława Sołtana w Preźmie. Tamże przeszedł i drugi dosłowny wypis tegoż fundacyjnego aktu, wyjęty „*Ex Actis Anni 1689*“ już za czasów króla Stanisława Augusta. Niczem od pierwszego się nie różni jak pieczęcią i podpisem ów-

Naznaczeni konstytucyą Sejmu warszawskiego z r. 1683go komisarze królewscy i Rzpłtej: Aleksander Kotowicz biskup wileński, Konstanty Brzostowski biskup smoleński, Otton Fryderyk Felkierzamb wojewoda czernihowski, Eustachy Grotuz kasztelan żmudzki, Aleksander Mosiewicz marszałek lidzki, Władysław Sokołowski podkomorzy inflancki sejwezyjski i nizański starosta, Teofil Plater wojski inflancki starosta inturski oraz Jan Humowski podczaszy zakroczymski, oświadczają we wstępie tego dokumentu erekcyjnego iż: „odprawują się dla ufundowania w Xięstwie Inflantskiem chwały Bożej y Dóbr *pro sustentatione* Kapłanów, którzy *Constitutii tenor de verbo ad verbum* tak się ma:“ „Ponieważ *commissia* z Grodzieńskiego Seymu naznaczona *sub titulo*: „*Approbatio* kościołów Inflantskich, zda się być *partibus gravaminosa*, iako Urodzeni Posłowie Ziemsy Xięstwa Inflantskiego *deduxerunt*. Chcąc tedy *Religionem Romanam Catholicam, quam florentissimam*, mieć w tej Ziemi, powagą Seymu terażniejszego *ad instantiam* Urodzonych Posłów Ziemi tameczney naznaczamy *ex praesentibus* do nowey *Commissiey* Wielmożnych, Urodzonych *Commissarzów* wyżej mianowanych ¹⁾, którzy ziechawszy się do Inflant, *non obstante unius alteriusve absentia*, zniósłszy się z Starostami tamecznemi, *omni melioro modo* Kościoły powstawiają w tych Starostwach, gdzie *ad praesens* kościoła niemasz, *Sanctuaria* wydziela y *prowent pro sustentatione victus et amictus* Kapłanom obmyśla.“

Na stronie 5tej tegoż rękopismu oświadczają komisarze: „Gdy po skończoney *Commissiey in eodem opere* w Starostwie Rzeżyckiem Roku Tysiącznego Sześćsetnego Ośmdziesiąt Czwartego *ex vi ejusdem Constitutionis* po wydanej *in Diem Decimam primam Mensis Octobris* Innotescencyi roku 1686go ziechaliśmy

czesnego kanclerza. Kopia autentyczna pierwszego jaką obecnie mamy pod ręką, przechowuje się w Archiwum rodzinnem Manteuffłów (J. M. Dział II Nr. 2 pod rokiem 1686). Rękopism spory oprawny, zawierający stronic 24.

¹⁾ Są to ciż sami komisarze, których imiona jużesmy przytoczyli, poczynając od biskupa wileńskiego Kotowicza, a kończąc na podczaszym zakroczymskim Janie Humowskim.

„się do Lucyna y w zamku założywszy Juridikę porządkiem pra-
 „wnym Kościelnym *in praesentia* Ichmość Panow Obywatelów
 „o dawney Fundacyi Kościoła y Plebanii Lucyńskiej pytaliśmy
 „się, który Ichmość panowie obywatele *unanimiter* zeznali, że nie
 „wiedzą o żadney dawney fundacyi ieżeli by miała być iaka od
 „Przodków swoich żadney niemają tradycyi i pamiątki; stanaw-
 „szy Imé Xiądz Felician Pukin Kanonik Infantski y Piltyński
 „za mocą sobie daną na piśmie od Jaśnie Wielmożnego JMXię-
 „dza Mikołaja Popławskiego Biskupa Infantskiego y Piltyńskiego
 „nowey Fundacyi y Exdywizyi na Kościół y Plebanią w Staro-
 „stwie Lucynskiem także według dawnego zwyczaju Infantskiego
 „podług przywileju od Nayjaśnieyszych Królów Ichmościow Pol-
 „skich oddawanie Purowego *in vim* Dziesięcin od poddanych pla-
 „cenia u Nas Commissarzow prosił y domawiał się; zniosszy się
 „tedy ze wszystkimi Obywatelami Traktu Lucynskiego a osobli-
 „wie Imé Panem Pawłem z Braieczyni Zukotyńskim, który tamże
 „miał moc *exequendi voluntatem* JW. J. Pana Szczęsnego na Po-
 „dayeczach Potockiego Woiewody Krakowskiego, Sokalskiego,
 „Robczyńskiego, Tłumackiego, i Lucyńskiego Starosty, aby Chwa-
 „ła Boża w tamtym kraju iako naywiększe brata *incrementum*, na
 „wieczne czasy *ex mente* Jego Krolewskiej Mości Jana IIIgo
 „y całej Rzeczypospolitey *secundum tenorem* Constitucyi wyżey
 „allegowaney fundujemy y stanowimy:

„aby Jaśnie Wielmożny JMPan Woiewoda Krakowski
 „z włości Starostwa Lucynskiego zaraz da Bóg na Wiosnę
 „w Roku Tysiąc Sześćset Ośmdziesiąt Siodnym, Kościół
 „wystawił y wybudował ze wszystkim co do chwały Bo-
 „żey należy, to iest z Oltarzami, aparatami, kielichami,
 „chorągwiemi, takosz y Plebanią z mieszkaniem wygodnym
 „dla Xięży, Bakalarza, Organisty y kantorów, oraz szkołę,
 „szpital na tey górze na której Zamek stoi, gdzie *quondam*
 „Kościół Luterski był y Krzyże są staroświeckie kamienne
 „na mogiłach“¹⁾.

Lecz na tem nie koniec. Komisarze w pieczołowitości swojej

¹⁾ Przytoczonego rękopismu str. 8.

o rozszerzenie światła wiary prawdziwej na oddalonych kresach inflanckich idą nierównie dalej. Czytamy bowiem na dalszych stronach tegoż dokumentu erekeyjnego: „Po skończeniu tego Kościoła „przy Zamku Lucyńskim tenże JW Woiewoda Krakowski Starosta Lucyński *ex pietate et zelo in promovenda Sancta Religione Catholica Romana* wystawi drugi Kościół *cum omnibus necessariis* „w slobodzie nazwaney Sładziowo, która do tegoż należy Starostwa, a o mil 10 *distat* od Zamku Lucyńskiego dla pozyskania „Dusz Krwią Chrystusową odkupionych na tym mieyscu *in schismate graeco* ieszcze zostających. My Commissarze JKMcI y całej Rzpltey *praevia haec facta* od dawney funduszach *Inquisitione* „na pomienione Kościoły y Plebanią grunt pewny od Zamku Lucyńskiego nad Jeziozem Lucyńskim nazwanym wydzielamy „dług ograniczenia *ut sequitur:*“¹⁾

Następuje szczegółowy opis granic wiele stronnic zajmujący, począwszy od fossy zamkowej, do której przy końcu opisu granic znowu się powraca. Kończy się on bowiem temi słowy: „tą drogą „iść do Jeziora przez Fossę Zamkową y do Kopca pierwszego „z każd ograniczenie gruntow Plebańskich się zaczęło“.

Teraz następuje wyliczenie mieszczan i poddanych do tej nowo-erygowanej plebanii i do wszelkiej usługi kościelnej przez komisarzy wydzielonych nad jeziorem lucyńskim na wieczne czasy z gruntem i tak zwanymi „sznurami,“ czyli podłużnymi pasami ziemi ornej. Ci wszyscy poddani mają płacić po złotych 30 z każdej ćwierci, roboty mają pełnić „z każdej ćwierci na Rok niedziel Cztery, z czym każe Xiądz Pleban“²⁾. Przy tem z każdej ćwierci pud przasnego miodu wagi inflanckiej, pudek lnu wyczesanego dawać co rok mają; „y podwoda z służby „winna bydź do Rygi albo Taler bity“, dodają w końcu komisarze królewscy Jana III.

Do kościoła w Sledziowie (mającym niejako stanowić filią lucyńską) naznacza komisya na wieczne czasy rozmaitych mieszczan „z placami y morgami“ tudzież poddanych.

¹⁾ Rękopismu str. 9. i następne.

²⁾ Rękopism str. 13.

W jeziorze lucyńskim, przylegającym do gruntu księdzu plebanowi wyznaczonego, „gdzie tylko grunt zachodzi ma być „*libera piscatio cum retibus majoribus et minoribus*“, począwszy od rzeki Isnaudy aż do kopca przed zamkiem.

Do tychże wyżej nazwanych kościołów (w Lucynie i Sładziowie) na utrzymanie kapłanów, organisty, kantorów, bakałarzów i innych sług kościelnych komisya w tym obszernym dokumencie erekcyjnym wyznacza poddanym lucyńskim osobne powinności i wypowiada wyraźnie jako włość i poddani starostwa lucyńskiego powinni dawać „według starodawnego zwyczaju Infant-„skiego *in vim Decimarum* 63 pudy żyta, 63 pudy jęczmienia, „63 pudy owsa i pieniędzy na wino y воск złotych 63 *quotannis* „w Dzień Wszystkich Świętych“¹⁾.

Obowiązki zaś główne plebana lucyńskiego temi słowy dokument określa: „*Vigore* której Fundacyi powinien będzie Xiądz „Pleban przy Kościele Lucyńskim zawsze byź obecnym, y cho- „wać Vikariego w Słobodzie, także Organistę y Bakałarza y Kan- „tora mieć y onych z tey Fundacyi prowidować. W Słobodzie „zaś aby mieszczanie tameczni *schismate* zostaiący *ad unionem* „*Sanctae Romanae Ecclesiae* przychodzili, ma *sedulam applicare cu-* „*ram doctrinae Christianae et exercitio Cathesistico* y kazaniem „iako y w Lucynie *ut populis rudis in cultu Divino erudiatur, tem-* „*pore* zaś *hyemali*, gdy droga wczesna, powinien na włość iechać, „wizytować Poddanych, pacierza uczyć, Mszą Świętą co tydzień „za Króla Jmci Pana Naszego Miłościwego szczęśliwie Panują- „cego odprawiać *temporibus perpetuis* ma, tudzież drugą za Sta- „rostow Lucyńskich, a trzecią *pro Benefactoribus*“²⁾.

Podatki wszystkie i uchwały sejmowe x. Pleban „od swo- „ich poddanych *ad proportionem* Starostwa służby, abjuraty z dy- „mow czterech do Skarbu płacić ma i kwit na się odbierać“.

VII.

O dalszych losach tego w roku 1686tym z niezwykłą, jak widzieliśmy, troskliwością w Lucynie erygowanego parafialnego

¹⁾ Rękopism str. 17.

²⁾ Rękopism str. 20.

kościół powzięliśmy autentyczne wiadomości z dwóch dokumentów łacińskich, przechowywanych od niejakiegoś czasu starannie w archiwum kościoła Miławskiego, a uprzejmie nam nadesłanych dla użytkowania w pracy naszej: *Piltyń i archiwum piltyńskie*, ogłaszającej się obecnie w „Bibliotece warszawskiej“.

Są to obszernie sprawozdania o stanie ówczesnego Kościoła inflanckiego, wypracowane dla Stolicy Apostolskiej przez zarząd miejscowy dyecezalny i rzucające niemało światła nie tylko na słynną sprawę piltyńską dotąd całkowicie nierozjaśnioną, ale i na cały rozwój katolicyzmu w Kurlandyi i Inflantach.

Pierwsze z nich datujące z czasów dzielnego biskupa inflanckiego Krzysztofa Szembeka (późniejszego arcybiskupa Prymasa), a mianowicie z roku 1715go, zapelnia 28 stronnic *in folio* i nosi tytuł:

„*Relatio de statu Ecclesiae Livoniensis, ab Episcopo ejusdem Christophoro Szembek anno Domini 1715mo ad summum Pontificem Clementem XI facta*“.

Drugie zaś w lat kilkadziesiąt później pisane, liczy takichże stronnic 16, datuje z czasów inflanckiego biskupa Puzyny (mianowicie z r. 1749) i nosi napis:

„*Status Religionis Romano Catholicae Episcopatus Livoniae Semigalliae et Curoniae sive Piltensis, tempore Josephi Dominici de Kozielsk Pusinae, episcopi Livoniensis, anno 1749no descriptus*“.

Pierwsze z tych ciekawych sprawozdań łacińskich składało się pierwotnie z więcej niż 28miu stronnic, wszakże dalsze już uległy zniszczeniu. W części, jakiej ząb czasu dotąd nie zniszczył, stronnice 22—28 poświęcone są wyłącznie Inflantom polskim (*Livoniae mere polonicae*). Z tych zżółkłych i wypłowiałych kart troskliwą zapobiegliwością dwóch światłych miejscowych kapłanów (ks. proboszcza Daniela Rymkiewicza i ks. kanonika Augustyna Lipnickiego) od ostatecznej zatury szczęśliwie uratowanych, dowiadujemy się, że kraj ten rozległy w r. 1715 już najzupełniej był katolickim ¹⁾, wszakże tylko sześć posiadał parafialnych

¹⁾ „*Livonia mere polonica* — czytamy tam — subest immediato Dominio Regni Poloniae communibusque cum aliis Regni

kościół stałą mających fundacyą ¹⁾. W ich rzędzie kościół parafialny lucyński poważne bo tylko drugie zajmował miejsce, miał fundacyą na jednego kapłana (na proboszcza) niemal wystarczającą, brakło mu wszelako wikarego do obsługiwanego obszernej i gęsto już w owym czasie zaludnionej ośmiomilowej parafii; dla tego więc biskup Szembek w roku 1714tym sprowadza takowego aż ze Szląska ²⁾.

Przytoczone powyżej drugie sprawozdanie łacińskie o stanie dyecezyi inflanckiej za czasów biskupa Puzyny w połowie zeszłego stulecia (z roku 1749go), zawiera na stronnicach 13tej do 16tej wierny obraz Infant polskich pod względem rozwoju religijności i już ośm takich wylicza parafialnych kościołów, z których każdy ma stałą fundacyą, a jedenaście niemających zapewnionych sobie funduszów. I w tej oficjalnej relacji do Stolicy Apostolskiej kościół lucyński drugie zajmuje miejsce. Dowiadujemy się z niej oprócz tego, iż w roku 1736tym stał on się ofiarą płomieni, lecz wkrótce potem, bo już w roku 1738ym odbudował go z drzewa ówczesny proboszcz *Obrycki* officyał inflancki, w roku 1740tym obsługiwał go wielebny *Schroeter*, a z powodu gęstego zaludnienia ośmiomilowej parafii lucyńskiej, przydano tam księdzu *Schroeterowi* aż kilku kapłanów w charakterze komendarzy czyli wikaryuszów ³⁾.

Provinciis legibus gubernatur. Universa jam ex Dei Gratia catholica, exceptis paucissimis Lutheranis et Schismaticis“ (Rękopism, str. 22).

¹⁾ „Parochiales Ecclesiae stabilem vel quasi stabilem (quia in quibusdam adhuc controversam) foundationem, eamque tenuem habentes, in hoc tam vasto tractu tantum sunt sex“ (Tamże).

²⁾ Czytamy bowiem przy końcu strony 24 i na początku 25 przytoczonego przez nas rękopismu z r. 1715: „Secunda Ecclesia Lucinensis etiam lignea, habens foundationem pro uno Parocho mediocriter sufficientem. Coadjutoribus autem indiget; cum cura animarum inde peragatur per octo milliaria germanica, in populo frequentiore. Submisi illuc unum ex Silesia anno proxime elapso Sacerdotem“.

³⁾ Secunda Ecclesia Lucinensis Praesentationis Regiae postquam circiter tredecim annos casu infortunii prima combusta, nova erecta est, curâ perillustris Reverendissimi p. m. *Obrichi*, qui fuit et Officialis Livoniensis et Parochus ad eandem Ecclesiam, modo

Nieustawała odtąd gorliwość w rozszerzaniu światła wiary w tej okolicy kresowej.

Przy pierwszym rozbiórce kraju liczone w Inflantach polskich aż 9 klasztorów reguł rozmaitych, a kościołów parafialnych 32, z których niemal wszystkie miały mniej więcej odpowiednią dotacją. Oprócz tego było dwadzieścia kilka kościołów filialnych; niebawem przy wzrastającej stale ludności wiejskiej zamieniono je na osobne parafie.

Po pierwszym rozbiórce Polski Inflanty nasze przydzielono do nowo utworzonej archidiecezyi mohylowskiej 1783 r. Tworzą one odtąd sześć osobnych tak zwanych łotewskich dekanatów, liczących (po stopniowem zniesieniu ośmiu klasztorów) 59 parafij, 9 filij i 43 kaplic, zamieszkałych przeważnie przez ludność łotewską. Z tych dekanaty *Dyneburga wyższego* i *Dyneburga niższego* obejmują powiat dyneburski, dekanaty *rzeżycko-rażnieński* i *rzeżycko-lubański* powiat rzeżycki, a dekanaty *przed-lucyński* i *zalucyński* powiat lucyński¹⁾. Stolicą dekanatu przed-lucyńskiego (*Decanatus Cis-Lucinensis*) jest właśnie kościół lucyński, którego przeszłość całą w niniejszym zarysie usiłowaliśmy objąć, pragnąc skorzystać z bogatych rękopiśmiennych materiałów, jakie przypadkiem obecnie mamy pod ręką, a które z czasem mogłyby bez użytku zaginać, jak niezawodnie byłyby zaginęła wiadomość o zbawiennym wpływie, który niegdyś pod względem rozkrzewienia chwały Bożej na okolicę Lucyna wywierał klasztor Dominikanów Posińskich, gdyby o jego chwalebnej działalności na tych oddalonych kresach niebył w swoim czasie wspominał Dominik Chodźko w „Pamiętniku religijno-moralnym“ na rok 1856.

regitur a perillustri *Schroeter*. Haec Ecclesia habet foundationem pro uno Parocho sufficientem, et quia cura animarum inde peragitur in populo frequentiore per octo milliaria, sollicitudine paterna nostri Illustrissimi Loci Ordinarii Sacerdotes ibidem plures submissi sunt“ (Rękopism str. 15).

¹⁾ Porównaj: „*Słownik geograficzny ziem polskich*“ (Warszawa 1882) Tom III, str. 285. Nazwy łacińskie (kościelne) wspomnianych są następujące: 1. *Decanatus Dūneburg-Superior*; 2. *Dūneburg-Inferior*; 3. *Rositensis ad Rasnam*; 4. *Rositensis ad Luban*; 5. *Cis-Lucinensis* i 6. *Trans-Lucinensis*.

Dowiadujemy się z niego, że w dzisiejszym dekanacie przed-lucyńskim w miejscowości, od zraszającej ją rzeki *Sinej*, zwanej *Posinem*, zaraz po założeniu klasztoru w roku 1694 osiadło dwunastu zakonników *Ordinis Praedicatorum*. Ci ustawicznie wybierali się w głąb kraju dla oświecenia w ciemności pogrążonego ludu. Nieraz od miejsca pobytu swego tak bardzo się oddalali, że do klasztoru na noc wrócić nie mogli. Bezpiecznego zaś schronienia u miejscowej ludności znaleźć nie mogli; jedna część jej żyła w odszczepieństwie od katolickiego Kościoła, druga znowu pogrążoną była w dzikiem, groźnem i zaślepieniem pogaństwie. Z jednej więc strony spotykała ich wzdardliwa niegościnnność, z drugiej barbarzyńska rienawiść.

Cóż tedy czynią wierni swemu misyonarskiemu powołaniu Posińscy Dominikanie?

Żeby się ustrzedz od zmian powietrza i spokojny mieć przytułek, budują po różnych miejscach kraju lepianki z chrustu, prędzej do bud niż do mieszkań ludzkich podobne. Dwanaście takich chatek, to jest tyle, ilu w Posiniu było kapłanów, stanęło wkrótce w stronie zachodniej od Posinia, oraz na pobrzeżu gubernii Pskowskiej. Nazwy ich następujące: *Landskorona*, *Rundany*, *Brodajż*, *Rajpol*, *Pyłda*, *Słobodzińce*, *Ewersmujża*, *Brygi*¹⁾, *Słodzie większe*, *Słodzie mniejsze*, *Istra* i *Konieczpol*.

Z czasem przy tych niepokąźnych chatkach zbudowano kapliczki, później zaś — są słowa Dominika Chodźki, gdy się rozsunały ciemne pogaństwa chmury a promień wiary jaśniejszym już zaświecił blaskiem, z ośmiu pierwszych małych kapliczek wzniosły się kościoły parafialne, stanowiące dziś cały dekanat przed-lucyński (*Decanatus Cis-Lucinensis*)²⁾. Dekanat ten obecnie składają parafie:

1. *Ewersmujża*, kościół parafialny fundacyi Mikołaja Karnickiego na miejscu dawnej dominikańskiej kapliczki 1771 r. wzniesiony.

¹⁾ Kościół parafialny w *Brygach*, erygowany na miejscu dominikańskiej niegdyś kapliczki przez pobożny ród Ryków w roku 1800, z powodu sąsiedztwa parafii prawosławnej zniesionym został ostatecznie po r. 1873. Porównaj: *Manteuffel* „Inflanty“ str. 130, w przypiskach.

²⁾ Porównaj: „*Pamiętnik religijno-moralny*“, Tom XXXI, str. 133.

2. *Ślobodzińce*, kościół parafialny fundacyi Józefa Wereszczyńskiego 1826, stoi również na miejscu dawnej dominikańskiej kaplicy.

3. *Posiń*, kościół parafialny wspinały, niegdyś dominikański, dźwignięty r. 1761 przy pomocy Jana Borchy, późniejszego kanclerza w. k. przez OO. Dominikanów wraz z obszernym klasztorem w stylu włoskim. Dawniej od r. 1694 istniał tu drewniany klasztor dominikański fundowany przez gorliwego biskupa inflanckiego Mikołaja Popławskiego.

4. *Rajpol*, kościół obecnie parafialny, fundowany przez kanclerza Jana Borchy r. 1779 na miejscu dawnej dominikańskiej kapliczki ¹⁾.

5. *Landskorona*, kościół parafialny wspinały; dawniej stała tu kapliczka posińskich Dominikanów. Fundował go r. 1828 przy erygowaniu tu osobnej parafii gubernialnej marszałek Marcin Karnicki, powiększył go i ozdobił 1859 r. senator Jan Karnicki.

6. *Rundany*, kościół parafialny wymurował r. 1820 Andrzej Szachna na miejscu dominikańskiej niegdyś kapliczki.

7. *Pyłta*, kościół obecnie parafialny, wzniesiony z drzewa roku 1765 kosztem kasztelana inflanckiego a późniejszego wojewody mińskiego Jana Augusta Hylzena na miejscu dawnej dominikańskiej filii.

8. *Brodajż*, kościół parafialny na miejscu takiejże kaplicy dominikańskiej w r. 1813 przez Kazimierza Kiborta fundowany.

9. Nakoniec *Lucyn*, kościół obszerny parafialny, którego przeszłości znaczna część kart niniejszych jest poświęconą.

Dla uzupełnienia obrazu dodajemy tu jeszcze, że niemal każdy z przytoczonych powyżej kościołów parafialnych liczy w swojej parafii parę kaplic filialnych, z tych niejedna sięga czasów gorliwej działalności Dominikanów Posińskich na tych oddalonych kresach.

¹⁾ Kościół parafialny w *Rajpolu* zniesionym został r. 1864, a parafian rajpolskich do przyległych okolicznych parafii katolickich przyłączono w tymże roku. Patrz: *Słownik geogr. ziem polskich* (Warszawa r. 1880) Tom I, str. 360.

VIII.

Co do powiatowego miasta Lucyna, które w ciągu swego pięciowiekowego istnienia niejednokrotnie burzono i odbudowywano, znajduje się ono obecnie w tak lichym stanie, że na uwagę szerszego koła czytelników nie zasługuje. Zamieszkują je głównie odarci żydzi. Przedstawia ono nieregularny szereg słomą lub łupkami krytych drewnianych domków, z których ciekawie wyglądają kaprawi synowie Izraela lub zacierwienieni trunkiem przybysze.

Domy tylko rządowe, mieszkania dawnych polskich urzędników i kilku zamożniejszych kupców rosyjskich lub żydowskich, bardziej miejską mają powierzchowność; one to, niemniej jak próżniaczo wałęsające się po ulicach włóczęgi, przypominają miasto. Jedno co tu uderza, to że wśród lucyńskich żydów napotkasz pracujących ciężko parobków, podwodników, pasterzy i tragarzy. Zresztą przeważna ich część próżnuje; siedzą przed każdymi drzwiami, przez wszystkie okna wyglądają żydowskie głowy mężczyzn, kobiet i dzieci, ciekawie wytrzeszczają oczy na podróżnego, usilnie zapraszają go, aby wstąpił do nich i co kupić.

Bruk na głównej ulicy okropny, boczne zupełnie niebrukowane. Deszcz tworzy tu ogromne kałuże i dziury; obok nich wznoszą się kupy nawozu i śmieci, o których posiadanie walczą z sobą dzieci żydowskie.

Domy nawet na głównej ulicy są zmorszale i zadymione, na bocznych zaś i tam gdzie miasto od razu w płaszczyznę i pola przechodzi, widać chaty z drzewa, wrzosu i gliny zbudowane, a tak niskie, że głową do dachu sięgnąć można; zamiast okien widzimy tu często okrągłe tylko otwory, które w nocy i w czasie niepogody gałganami zakładają ¹⁾.

¹⁾ Patrz *Manteuffel* „Infanty“ str. 128. Niemniej pochlebny obraz miasta Lucyna podaje nam nowoogłoszona praca *A. Bibensteina*: „Reiseskizzen aus dem Oberlande“, w której w jednym ustępie powiada autor nader trafnie: „Die Kreisstadt Ludsen (Lucyn) unterscheidet sich dadurch von Rositen (Rzeżyca), dass sie keinen modernen Stadttheil hat, sondern nur Hütten und Schmutzhaufen“.

Lecz już dosyć o Lucynie w tym zakątku kraju, który dla starych ruin zamku rycerskiego i kościoła, erekcją swą sięgającego czasów bohatera chocimskiego, co w roku zeszłym jubileuszowym odżył na nowo w pamięci całego społeczeństwa, zasługuje na bliższe zapoznanie się z nim u źródeł autentycznych a dotąd jeszcze przez nikogo niezużytkowanych.

Rzuciwszy okiem na pracę niniejszą, a pomni, że u nas każdy biorący pióro do ręki, daleko surowiej powinien przestrzegać swych obowiązków niż gdzie indziej, — pierwsi uznajemy, iż przedmiot nasz w kilka tylko słabych ujęliśmy zarysów, poszukiwania jednak nasze źródłowe w taki sposób staraliśmy się zużytkowywać, ażeby myślący czytelnik wraz z nami do źródeł mógł zaglądać i tworzyć sobie o nich z łatwością sąd zupełnie bezstronny i podwójnie pouczający. Szczęśliwi będziemy, jeśli gromadząc w ten sposób wiadomości autentyczne o jednym z naszych najdalszych zamków kresowych, przyłożyliśmy maluczką cegiełkę do wielkiej budowy źródłoznawstwa, oddającej rzetelną usługę przeszłości historycznej kraju.

Tym, którzy łaskawem i chętnem udzielaniem dokumentów ułatwili nam pracę, szczerze składamy dzięki.

Gustaw br. Manteuffel.

a następnie opisuje tragiczno komiczny wypadek, charakteryzujący wybornie piękny stan ulic lucyńskich temi krótkimi słowy: „Bei der Abfahrt aus Ludsen erlebten wir ein tragikomisches Ereigniss, das leicht sehr ernsthaft hätte werden können. Wir sassen auf einem recht kurzen mit zwei Pferden bespannten Wagen. Als wir den steilen, steinigen Weg von der katholischen Kirche hinabfuhren, stiess das eine Vorderrad so heftig an einen Stein, dass der ganze Wagenkorb — nicht etwa seitwärt, sondern — vorwärts auf die Pferde zu überkippte und wir theils auf die Pferde, theils auf einander fielen, zunächst aber alle eine Weile in der Luft schwebten. Zum Glück rannten die frommen Pferde nicht weiter, und wir kamen mit dem Schrecken davon“. Patrz *Baltische Monatsschrift* (Riga 1882) Tom XXIX, str. 725 i 726.

JAN SOBIESKI POD WIEDNIEM

JANA MATEJKI.

Każde nowe malowidło Matejki jest ważnym wypadkiem w świecie artystycznym i dowodzi w sposób niezbity, że mistrz, który przecie ma już dwudziestopięcioletni jubileusz za sobą, dalekim jest od wyczerpania swojej potęgi twórczej, równie jak bogatej i samorodnej wyobraźni. Owszem, podąża on bez ustanku do coraz wyższych prawd, do coraz podnioslejszych ideałów, snując ze swej duszy ciągle nowe, świeże i potężne dzieła tak pod względem treści jak formy. Któż z nas nie podziwiał niezwykłej siły i energii w „Bitwie pod Grunwaldem“? Patrząc na tę kolosalną bitwę, w którą nasz mistrz włożył tyle zasobów swojego ducha, można było istotnie mniemać, że to jest najwyższy, kulminacyjny punkt jego rozwoju, po za którym z konieczności rozpoczynać się musi pochód wolniejszy, mniej natężony i wysilający. A jednak na skrzydłach silnej, niemal młodzieńczej fantazyi wielki artysta, niemyślący bynajmniej o spoczynku, wzbił się jeszcze wyżej. Po „Bitwie Grunwaldskiej“ pokazał się piękniejszy, doskonalszy „Hołd Pruski“. Na ten Hołd wylał Matejko tyle tęsknoty i miłości, że znowu można było pomyśleć, że serce wysilone nadmiarem uczucia, na drugi podobny akt miłości zdobyć się nie potrafi. Próżne obawy! Dla naszego mistrza był to tylko epizod jego zawodu, niejako wyższy szczebel drabiny Jakóbowej, co wiąże ludzkość z krainą światła, z oglądaniem nadziemskiej piękności. Nie upłynął i rok, gdy się pojawił nowy utwór jeszcze piękniejszy, jeszcze szlachetniejszy: „Jan Sobieski pod

Wiedzieliśmy. Duch artysty odtworzył tutaj, rzechy można, wywołał z grobu postacie bohaterów, co przed dwustu laty zadziwili świat poświęceniem i męstwem, wskrzesił ich, jak ów Piotrowin krakowski, aby złożyli głośne świadectwo prawdy o zasługach przodków, spływających prawem dziedzictwa na synów, wnuków i prawnuków. Tak tedy w tym postępie, dążącym do szczytów doskonałości i piękna, najwyższe miejsce zajął „Jan Sobieski“. Ze wszystkich dzieł Matejki jest to bezwątpienia najlepsze, ale nie będzie, da Bóg, ostatnie. Gdy otoczony znakomitymi obywatelami kraju, obchodzącymi dwudziestopięcioletni jubileusz ogromnej zasługi, Matejko oświadczył, że Sobieskiego przeznacza na ofiarę głowie Kościoła, i gdy to postanowienie wywołało zdumienie wśród obecnych, którzy nie byli przygotowani na czyn bezprzykładnej wielkości w rocznikach sztuki: mistrz nasz powstał i upewnił wszystkich, że nowy obraz namaluje, który pozostanie w kraju, a my dodamy z otuchą: obraz jeszcze piękniejszy od „Sobieskiego“.

Ta niez mordowana praca, to ustawiczne doskonalenie własnego jestestwa, to nienasycone łaknienie najwyższego dobra może zadziwiać tylko tego, kto się nie zastanawiał nad dziejami ludzi prawdziwie genialnych, którzy uprawiali jakąbądź gałąź umiejętności lub sztuki. Wszyscy oni w tem do siebie podobni, że nigdy się nie dali uspokoić pochwałami lub powodzeniem, a tem mniej materyalnym zyskiem, ale znając przepaść leżącą między ideałami ducha a ich zmysłową formą, starali się ten przedział jeżeli nie wypełnić, to przynajmniej zmniejszyć. Nieskończona tęsknota do bezwzględnej prawdy prowadzi te dusze wybrane na coraz wyższe, na coraz niebezpieczniejsze ścieżki, na których nie postać stopom zwyczajnego człowieka. Więc niemożliwym jest tutaj ów zastój, owo cofanie się i zapoznanie wyższych zadań, jakie spotykamy w życiu podrzędnych umysłów, co wydawszy dzieła często niemałej wartości zamieniali się na pospolitych spekulantów. Widziano artystów, używających powszechnej wziętości, jak zamieniali swe pracownie na warsztaty pieniężnego zysku, z których wychodziły dzieła zaopatrzone wprawdzie w godła i podpisy mistrza, niemniej jednak będące robotą niedojrzałych uczniów lub

wynajętych czeladników. Wszakże jest druga jeszcze przyczyna podupadania sztuki. Jest to odstępstwo od zasad wyznawanych, upadek wiary, psucie się moralnej wartości człowieka. Jeżeli ogromnym jest wpływ tych potęg zniszczenia na wszystko, co czyni lub zamierza duch ludzki, to wpływ ich na wewnętrzną wartość dzieł artystycznych jest istotnie zdumiewającym. W charakterach słabych, nieumiejących się oprzeć prądom panującym, znikanie pierwiastków szlachetnych, dodatnich z tego, co tworzą, wskazuje dokładnie, jak duch niewiary i zaprzaństwa szerzy się w nich i zakorzenia. Co było szczerem, prawdziwym, pełnym zapału i siły, to zamienia się na naśladowanie, na płaską manierę, na czczą formę bez treści i ducha. Kto się spoufalił z temi zjawiskami w dziejach sztuki, ten wie dobrze, że nawet w rodzaju świeckim, artysta bez zapału, bez namaszczenia, bez idealnych celów podobny jest do żeglarza na szerokim morzu bez gwiazd, bez przewodnika, bez busoli.

Jakże zacnie, jak po obywatelsku przedstawia się mistrz znakomity, który nie utracił udzielonych sobie talentów, ale owszem potrafił je pomnożyć i spotęgować! Jakże wielkim, jak szczytnym pokazuje się Matejko wobec powyższych przykładów! Dziś gdy przedmioty sztuki idą na rynki, na istne giełdy artystycznych produktów, gdzie grają wszystkie sprężyny chciwości, handlarskiego oszustwa i reklamy, byle wydobyć z kupca jak najwyższą cenę, on, ten nasz mistrz polski, wydający dzieła wiekopomne, odpycha zapłatę, gardzi pieniężnym zyskiem, a najszczytniejszy owoc swojego mistrzostwa, najwonnejszy kwiat swojego serca składa u nóg ubogiego starca, ale starca, którego oblicze jaśniej blaskiem wysokiego posłannictwa, godnością apostołskiego urzędu. Któż nie przyzna, że mąż pracujący dla takich celów, należeć musi do rzędu duchów wybranych, których dzieła będą echem i odbłyskiem ich wewnętrznej wartości.

Znane są u nas powszechnie wypadki dziejowe, które posłużyły Matejce za przedmiot do jego obrazu: „Jan Sobieski pod Wiedniem“. Dlatego zajmować się niemi obszerniej nie będziemy, a ograniczymy się do kilku tylko uwag, które uważamy za niezbędne do należytego wyjaśnienia jego treści i dążności.

Okład Turcy otomanscy ukazali się na widowni historycznych zdarzeń, zawsze byli nieubłaganą groźbą dla chrześcijańskiej cywilizacji. Po zniweczeniu cesarstwa greckiego i ujarzmieniu bałkańskich plemion aż po Dunaj, przyszła kolej na Węgry, Polskę i Austryę. Po długich i bohaterskich bojach, po wielkich zwycięstwach a większych jeszcze klęskach, kraina św. Szczepana prawie cała ugięła kark pod jarzmo tureckie i jęczeć musiała w ciężkiej niewoli półtora wieku. Niemniej walecznie broniła się Polska, a jakie zadawała klęski nieprzyjaciołom i jakie od nich odbierała ciosy, tego miarą są Warna, Cecora, Chocim, Kamieniec. W końcu utraciła dwie prowincye: Podole i Ukrainę. Teraz niebezpieczeństwo zważyło się straszonym ciężarem na ziemię rakuskie, jakkolwiek te, należąc do Rzeszy niemieckiej spodziewały się z tamtąd posiłków. Gdyby te trzy kraje zostały podbite ostatecznie, pogrom i upadek całej Europy byłby nieuniknionym. Tak chrześcijanie jak Turcy wiedzieli wówczas o tem doskonale. Ztąd pochodzi, że papieże jako naczelnicy chrześcijańskiego Zachodu nigdy nie spoczywali, nigdy nie usypiali, lecz ustawicznie pracowali z całych sił nad utworzeniem chrześcijańskiego związku, mogącego sprostać potędze tureckiej. Przez cztery wieki mieli ten cel na oku, gromadząc środki tak materyjalne jak moralne i organizując siły chrześcijańskiego świata. Można bez wahania powiedzieć, że wszelkie powodzenie swego oręża zawdzięczał chrześcijański Zachód mądrości i usiłowaniom papieży, jak również z drugiej strony, że nieszczęście i klęski spadały nań jako kara za wyłamywanie się ze systemu papieżkiego.

Napór turecki na katolicki Zachód nie działał zawsze z jednokową siłą i natarczywością. To się wzmacniał, to słabnął, aby wybuchnąć z nową energią. Trzy razy zdawało się, że organizm europejski, rozdrobniony politycznie a w następstwie czasu rozdarty i religijnie tak zwaną reformacją protestantów, nie wytrzyma okropnego militarne go nacisku Turków. Były to najazdy oznaczone zwycięstwami tureckimi pod Nikopolis, pod Warną i pod Mohaczem, potem upłynęło półtora wieku względnego wypocznienia, aż oto w czwartej ćwierci XVII. stulecia Islamizm

zawrzał nową żądzą podbojów, tem straszniejszy teraz, że sprzymierzony z wojenną potęgą Francji.

Ludwik XIV, zawzięty nieprzyjaciel Habsburskiego domu, poświęcił własnej ambicyi najdroższe interesa chrześcijaństwa. Gnębiona przewaga tureckiego oręża i uwikłana w sieci francuskich intryg utraciła wtenczas Polska ważne prowincye, ale Bóg jej dał Sobieskiego, a co to imię znaczy dla Polski, dla Austrii i dla Turcyi, wiadomo całemu światu. Na stolicy rzymskiej siedział wówczas Inocenty XI, który podjął politykę swoich poprzedników i całą uwagę wyteżył na bieg wypadków. Za staraniem papieża, pomimo zabiegów Francji i pomimo przeszkód wpływających z historyi, tradycyi i natury tak Austrii jak Polski, stanęło wiosną 1683 roku pomiędzy temi krajami zaczepno-odporne przymierze w celu wzajemnej obrony od Turków. Nie potrzeba dodawać, że papież zobowiązał się zapłacić koszta wyprawy.

Ogromna 200 tysięcy ludzi wynosząca armia turecka wyruszyła właśnie z nad Dunaju, kierując się przez Węgry prosto na Wiedeń. Na czele tej siły stał wielki wezyr turecki Kara-Mustafa. W początkach lipca Turcy szczerlnie opasali stolicę cesarza Leopolda. W mieście licho i na prędcie ufortyfikowanem zamknął się z garstką żołnierzy, zaledwie 5000 ludzi, hrabia Rydiger Staremborg. Oblężenie trwało dwa miesiące, a było ono jednym z najstraszliwszych, jakie zapisała historia. Z jednej strony niesłychane okrucieństwo Turków, z drugiej bohaterka obrona małej garstki żołnierzy, posiłkowaanych przez obywateli. Gorzej od nieprzyjacieli dały się wkrótce we znaki oblężonym głód, zaraza, zwątpienie. W tych chwilach krytycznych zesłał Bóg Wiedeńczykom anioła pocieszyciela, ojca chorych i nieszczęśliwych: był nim biskup Kolonitz. Przy jego boku stał zacy burmistrz wiedeński Liebenberg. Polak Kulezycki, narażając kilkakrotnie swoje życie, przekradał się przez obóz turecki i przynosił oblężonym dobre nowiny o zbliżaniu się wojska chrześcijańskiego. A jednak ta upragniona odsiecz nie nadechodziła, przyszło do tego, że Wiedeń zmordowany, wycieńczony do ostatka, przedstawiając jedną ogromną ruinę, trzymać się dłużej nie był w stanie. W dniu

11 września myślano powszechnie, myślał nawet sam Staremburg, że nazajutrz Turcy dobędą miasta, gdy z przeciwległego Kalenbergu błysnęły wieczorną porą rakiety w obłoki, jako umówiony znak, że wojska sprzymierzone stanęły pod miastem i jutro uderzą na nieprzyjaciela. Kto mógł, spieszył na wieżę św. Szczepana, z kąd można było dostrzedz białe chorągwie o czerwonym krzyżu, powiewające po górach.

Nazajutrz przed świtaniem król Jan Sobieski służył do mszy św. kapucynowi Marco d' Aviano wobec wodzów całego wojska. Świętobliwy zakonnik przy końcu mszy, zamiast: *ite missa est*, zawołał w przeczuciu proroczem: *vinces Johannes!* Następnie tak generałowie jak żołnierze przyjęli komunię św., poczem wojsko wynoszące 60 tysięcy uderzyło na nieprzyjaciela. Szyk bojowy chrześcijański był taki, że na lewem skrzydle działały oddziały rakuskie pod rozkazami księcia Karola Lotaryńskiego, w środku stanęły posiłki Rzeszy niemieckiej pod wodzą elektorów bawarskiego, saskiego i innych książąt niemieckich, prawe zaś skrzydło tworzyli Polacy pod w. hetmanem kor. Jabłonowskim i jego podkomendnymi Sieniawskim i Miączyńskim.

Król Jan Sobieski dowodził całą odsieczą. Bitwa była długa i straszliwie krwawa. Około godziny 3 po południu husaryja pancerna polska złamała szeregi tureckie i zdobyła obóz. Okropny popłoch objął hordy najezdnicze. Złamane i rozbite na wszystkich punktach poszły one w rozsypkę, pozostawiając w ręku nieprzyjaciela obóz, baterye, magazyny, ogromne skarby w pieniądzech i kosztownościach, wreszcie wielką chorągiew proroka uważaną jako zakład pomyślności kalifatu. Zwycięstwo chrześcijan było tak bezprzykładne, tak zupełne, że za cud było poczytane.

W namiocie Kara-Mustafy, który król objął w swoje posiadanie, opisał Sobieski tej samej nocy swoje zwycięstwo w liście do Innocentego XI. List odszedł do Rzymu razem z mnóstwem upominków złupionych na nieprzyjaciółach chrześcijaństwa, między którymi znajdowała się i zielona chorągiew Mahometa, zawieszona z rozkazu Ojca św. w bazylice Lateraneńskiej, gdzie do obecnej chwili pozostaje.

Otóż wszystkie żywioły i momenta, wyliczone w powyższym

przeглядzie, znajdują się, naturalnie w sposób właściwy sztuce malarskiej w obrazie Matejki: „Jan Sobieski pod Wiedniem“. Jest to płótno kolosalne, w niezwyklej tylko sali dające się wystawić. Obejmuje ono 42 metrów kwadratowych powierzchni. Zaopatrzone w ramy, które u Matejki zawsze sute i wspaniale być muszą, dorównywa rozmiarami największym znanym obrazom olejnym. Można wnosić o jego rozmiarach już ztąd, że postacie umieszczone na pierwszym planie, przewyższając o wiele naturalną wielkość człowieka, są istotnymi olbrzymami. Że takie postacie nie sprawiają nieestetycznego wrażenia, zależy to od tego, że widz z pewnej tylko odległości na nie wpatrywać się może, inaczej bowiem nie objąłby wzrokiem ani jednej większej grupy, a tem mniej całości obrazu. W ten sposób figury olbrzymie schodzą do zwyczajnej wielkości ludzkiej.

Teraz przebiegnijmy z czytelnikiem najglówniejsze szczegóły obrazu. Na samym środku sceny widzimy Jana Sobieskiego siedzącego na arabskim rumaku, który należał do w. wezyra Kara-Mustafy i dlatego kapie od złota, klejnotów i wszelkiego oryentalnego przepychu. Król trzyma w lewem ręku złotą laskę naczelnego wodza, prawą zaś oddaje list do papieża kanonikowi krakowskiemu Denhofowi. Na nim jasno-błękitna wolno spadająca suknia z aksamitu, na ramionach narzucone bogate futro, a na głowie polski kołpak z dyamentową kitą. W powietrzu unosi się nad królem biała gołębnica jako symbol nadprzyrodzonej łaski.

Razem z Denhofem tworzą wspaniałą kapłańską grupę polski dominikanin Skopowski i kapucyn Marco d' Aviano, siedzący obyczajem rzymskim na osiołku i trzymający w ręku cudowny obraz Bogarodzicy, znaleziony w tureckim obozie. Tuż obok tych duchownych osób widzimy elektora saskiego, ojca naszego Augusta II., i elektora bawarskiego, przyszłego zięcia króla Jana; w głębi za nimi innych panów niemieckich, wszystkich konno. Dalej na prawo od króla a na lewo od widza napotykamy nadzwyczajnej piękności grupę wodzów polskich, ubranych z przepychem i okazałością, właściwą ówczesnym magnatom naszym. Są to Jabłonowski, Sieniawski i Miączyński. Obok nich a raczej przed nimi, wkraczając niemal na pierwszy plan obrazu, harcuje

na koniu herkuliczna postać chorążego królewskiej chorągwi, na której widzimy zatknięty złoty turban turecki a na nim ogromnego orła z rozpostartymi skrzydłami.

Po lewej ręce Sobieskiego młodziutka nadobna postać królewskiego syna Jakóba i tuż obok niego młody rycerz w dojrzałym wieku, może towarzysz młodości, trzymający proporzec o godłach krajowych. Gdy ojciec przedstawia typ skończonego Sarmaty, to syn wychowaniem i kostiumem należy już do generacji Polaków zfrancuziałych. Jakób Sobieski wita uchyleniem kapelusza dostojnych gości, co uroczyscie przybywają z oswobodzonego Wiednia na powitanie króla bohatera. Jest to książę Lotaryński i hrabia Staremborg, obadwaj w rycerskiej zbroi lecz w długich francuskich perukach. Zdejmują oni kapelusze przed królem Sobieskim a chorążowie im towarzyszący zniżają ku ziemi wojenne proporce na znak uszanowania. Za nimi podążają biskup Kolonitz i burmistrz wiedeński Liebenberg. Dalej na lewo marszałek austriacki książę Lubomirski, który zaciągnąwszy w Polsce oddział ochotników wojował z Turkami pod bokiem Karola Lotaryńskiego. Z tyłu tych wszystkich postaci występuje w tryumfalnym pochodzie pancerna polska husaryja, szumiąca długimi krogulczemi skrzydłami i najeżona lancami o białych chorągiewkach z czerwonym krzyżem. Wszystko to są wasale silnego ramienia i żelaznej prawicy, przed którymi pierzchnęły wojska Kara-Mustafy. Te sceny odbywają się w obozie tureckim pośród niezliczonych namiotów z kosztownego różnofarbnego jedwabiu, na których błyszczą złote półksiężycy Mahometa.

Kiedy się to dzieje na drugim środkowym planie obrazu, to na pierwszym mamy przed oczyma ślady okropnej bitwy, która tutaj wrzała przed niewielu jeszcze godzinami. Deptana kopytami królewskiego rumaka leży na ziemi nadzwyczaj wspaniała, zielona chorągiew turecka, chorągiew Mahometa, tak wielką mająca wagę w wyprawach tureckich. Po ten dowód bezprzykładnego w dziejach zwycięstwa schyla się rycerz polski zakuty w zbroi, mąż olbrzymiego wzrostu i siły, prawdziwe uosobienie polskiego męstwa. Ludzie poselstwa odchodzącego do Rzymu, które ma zabrać tę chorągiew, pakują w wielkie tłumoki skarby przeznaczone dla

Ojca św. Między osobami krzątającymi się tutaj spotykamy kochaną w Wiedniu do dnia dzisiejszego, na pół polską na pół turecką postać Kulezyckiego z towarzyszami. Przy zielonej cheragwi proroka leży na ziemi konający Arab, snąc jej stróż i obrońca, którego widocznie więcej boli ta sromotna strata, niż śmiertelne rany okrywające jego ciało. Obok niego trup chrześcijańskiej dziewicy, a przy niej leży jej morderca, janczar turecki, ugodzony śmiertelnym razem chrześcijańskiego mściciela. Dalej widzimy dwie olbrzymie żołnierskie figury, spracowane krwawą robotą ostatnich dni, które oparli się o olbrzymie działo, rozprawiają w tonie namiętym, obozowym o wypadkach, co w nich czynny mieli udział. W końcu jako godne zamknięcie całego obrazu, siedzi na ziemi, najbliżej widza, wielka postać siwego brodatego Turka w bogatym turbanie, w szatach kosztownych, jedwabnych, siedzi i дума z fatalistyczną rezygnacją widocznie o losach swego kraju i narodu, postać wspaniała, uosobiony niejako duch tureckiego Islamizmu, który obok wad i występków Wschodu przedstawia niejedną cnotę godną naśladowania.

Inne krwawe ślady wojny usunął artysta z widoku dla względów estetycznych. Ale natomiast umieścił znaki, dające wyrozumieć, jak straszne plony śmierci tutaj pożyła. W powietrzu ponad tureckimi namiotami latają niespokojnie wielkie stada czarnych wron i kruków, rzucające się z żarłocznością na trupy poległych ludzi i zwierząt. Jakkolwiek nie pokazał nam malarz pola bitwy w całej naturalnej okropności, to jednak i te kilka rysów, które rzucił na płótno, uważał za stosowne złagodzić epizodem, zdolnym rozproszyć czarne myśli widza. Tam na polu, gdzie leży tyle poległych i gdzie Sobieski odbywa w świetnym orszaku uroczystość tryumfalną, jest ktoś, co nie podziela ani wesołych ani smutnych wrażeń, bo głowa jego czem innem zajęta. Oto poważny rycerz, już niemłody, należący do panującego stanu w kraju, Marek Matczyński, siedzi na ziemi między mnóstwem tureckiego oręża, szabel, flint i różnokolorowych buńczuków. On wyjął z pochwy jedną szablę, przygląda się jej z zapalem, bada złotem ryte napisy Alkoranu; widocznie musi to być znakomity okaz tego rodzaju. Matczyński jest namiętym zbieraczem i znawcą; kto wie,

czy dla niego wojenne wyprawy nie z tego głównie tytułu mają powab, że w nich dużo ciekawych szabel i karabinów złupić można. Matejko traktuje tę postać z nieporównanym humorem, który nam przypomina epizody Homera, wprowadzające pośród najzawziętszej walki sceny wesołe i dowcipne.

Owoż daliśmy niejaki wyobrażenie tego, co mistrz umieścić na pierwszym i na drugim planie; teraz należy nam o tem wspomnieć, co się znajduje w głębi i na tle obrazu. Za grupami wojska i rycerzy uśmiechają się do nas najpiękniejsze widoki natury. Na prawo z jesiennej zieleni wyglądają pałace i kościoły, baszty i wieże oswobodzonego grodu, z pomiędzy których najśmielej i najwyżej strzela do nieba wieża św. Szczepana. Nie jestto Wiedeń dzisiejszy, karmiący milion ludzi w swych murach, ale Wiedeń XVII. wieku, stanowiący tylko dziesiątą część dzisiejszego. Matejko skreślił go na podstawie historycznych dokumentów. Na lewo wznoszą się dwie góry, uwieńczone białą koroną kościołów i domów, które tak ściśle wiążą się z dziejami Wiednia: jedna zowie się Kalenbergiem, druga górą św. Leopolda. Na ciepłym niebie przesuwają się czarne i wilgotne chmury; zda się, że powietrze przepełnione jest zapachem elektryczności. Widać, że gwałtowna burza przeleciała dopiero co nad tą krainą obfitości i wdzięku. Wspaniała tęcza zarysowała się na obłokach, opierając się jednym ramieniem na Wiedniu, drugim na Kalenbergu. Ta tęcza zwiastuje ludziom pokój po gwałtownem wstrząśnieniu żywiołów, co nosły w swem łonie ztratę!

Gdy, jakśmy to teraz uczynili, czytelnik przebiegnie i zbada wszystkie grupy i szczegóły tej zadziwiającej kompozycji, zaraz się zapyta o jej moralną doniosłość, o jej wagę i znaczenie. Zarzucano Matejce, a zarzucano z udanym wyrazem szczerości, że dla ustawienia w jedno ognisko bojów stoczonych pod Wiedniem, zbyt drobną, zbyt nieznaczącą wybrał chwilę. Oddanie listu do papieża, coż to jest? — pytano. Nietylko ten moment nie może wyczerpać ani w części ważności zdarzeń, ale po prostu wcale go nie było. Nie jest to chwila dana przez historią, lecz wynaleziona, wymyślona dowolnie przez artystę, czego bynajmniej nie zachodziła potrzeba. Takie pytania i takie uwagi robią dobrzy

przyjaciele. Na to można im odpowiedzieć, że Matejko wybrał naumyślnie tę chwilę idealną, żeby uczcić zasługi papieża, położone dla ludzkości w wiedeńskiej wyprawie. Postępując inaczej, nie byłby mistrzem historycznym w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu, albowiem pominąłby milczeniem jedną z najpotężniejszych przyczyn i sprężyn wypadków. Pragnął on uczcić króla wojownika i naród bohaterski, którego jest dzieckiem, ale zarazem uszanować wysokie posłannictwo papieżstwa między narodami. W jaki sposób tego dokonał, to zaiste przynosi zaszczyt jego inwencji. Najwyższy wódz z pod Wiednia, otoczony świetnym gronem panów i rycerzy, wobec zdeptanego wroga, oddaje nazajutrz po zwycięstwie, na ziemi kurzącej się jeszcze krwią ludzką, list do papieża, niby urzędowe doniesienie tego, co zaszło, i przyznaje przez to nad sobą i nad wszystkimi obecnymi jego moralne kierownictwo. I taki był istotnie stosunek Stolicy Apostolskiej do ówczesnych wypadków. Tego stosunku Matejko nie wymyślił, ale jest on istotnie faktem historycznym, niewątpliwym. Dwa portrety umieszczone na ramach obrazu: Inocentego XI. i Leona XIII., są nam rękojmią, że taką, a nie inną była myśl kompozytora.

Zresztą gdyby tak zacień spłacony dług wdzięczności miał urazić kogo, niech nie narzeka, albowiem jak wskazują liczne symbole i znaki, Matejko nie miał tu na myśli samej osoby papieża, ale to, co ona wyraża, a zatem wielkość chrystyanizmu, potęgę Kościoła, rządu Opatrzności nad światem. W tem znaczeniu występują tutaj zwycięzcy i zwyciężeni, lud i kapłani, żołnierze i wodzowie, Staremborg i Lotaryńczyk, Sobieski i papież jako narzędzia Tego, co jest dawcą zwycięstwa i wszelkiego dobra. Że, jak to przystoi na artystę chrześcijańskiego, Matejko wielki tryumf pod Wiedniem odnosi do Boga i swoim znakomitą dziełem Jego chwałę opiewa, to wyraża napis jaśniejący złotemi głoskami na jego obrazie: *Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini tuo da gloriam.*

Gdy taką jest ostateczna myśl tego utworu, ztąd pochodzi jego wysocki nastrój, jego entuzjazm, jego wstrząsająca poezya. Jest to niejako hymn dziękczynienia za dobrodziejstwa zlane na lud polski i chrześcijaństwo. Wyraża to przedewszystkiem Jan

Sobieski w swojej osobie. Nie jest to jowialny szlachcic a przytem zawołany rębacz, co chwila sięgający ręką do sumiastych wąsów, jak imaginacya narodu lubi go sobie wystawiać, ale mąż natchniony, namaszczoney wyższem posłannictwem, który czuje, jak wybranem naczyniem Pana jest w tej chwili. Tryumf i radość kipiąca koło niego, obecność dostojnych gości, mnogość rycerstwa, zgroza zasłanego trupami pobojuwiska; wszystko to nie wiele zdaje się go obchodzić. Jego oko pełne dziwnej zadumy patrzy w niezmierną przestrzeń a raczej w przyszłość bez końca, gdzie zdaje się napotykać tajemnicze wskazówki i napomnienia. Idealny styl Matejki dochodzi tu do ostatnich granic możebności. Wiele cudownych głów namalował ten mistrz, ale nie namalował jeszcze żadnej z tą potęgą, z tym spokojem i z tą miłością. Da się ona porównać do tego, co najszlachetniejszego wydała sztuka chrześcijańska, a może bezwątpienia stać obok głów Michała Anioła w sykstyńskiej kaplicy.

Z największą starannością wyszczególnił, wydzielił mistrz postać Sobieskiego ze wszystkiego, co ją otacza. Zajmuje ona położenie środkowe i przewyższa wszystkie inne osoby powagą, wyrazem i postawą, nawet kolorystycznie wystaje ostro z masy ogólnej. Sobieski sam jeden odziany suknią błękitną a ten kolor nawet w odcieniach przejściowych nie powtarza się więcej na tak wielkim obrazie. Koń nawet wydziela się silnie i plastycznie z bogatym rzędem i całą masą oryentalnego zbytku. Można powiedzieć, że wszystko inne, ludzie, niebo, zwierzęta i cała natura służą do podniesienia, do uwielbienia jednej postaci królewskiej. Jak daleko można sięgnąć myślą i pamięcią, nie ma przykładu, aby mistrz zdołał z takim efektem uwydatnić swego bohatera. Jest to jakby Achylles w orszaku królów i kapłanów składający na świętych ołtarzach ofiarę zwycięstwa, wyższy od wszystkich głową, męztwem i przyjaźnią bogów. Tylko że między bohaterem z pod Wiednia a bohaterem z pod Troi leży trzy tysiące lat dziejów, leży rozkwit Hellady, potęga Romy i cały rozwój chrześcijaństwa. Dlatego, jeżeli Jan Sobieski Matejki podobny do Achyllesa, to tylko wewnętrznym stosunkiem do żywiołów otaczających; duchem, sercem i intencją przewyższa go bardzo. Chrześcijańskiego

króla i wielkiego wojownika, który po zwycięstwie wiedeńskim wyrzekł: *veni, vidi, Deus vicit*, byłoby chyba najstosowniej porównać z królem bojów krzyżowych, z owym Godfrydem, który nie kładł na głowę złotej korony tam, gdzie Zbawiciel nosił koronę cierniową a nazywał się tylko baronem Chrystusowym i stróżem jego grobu. Obadwaj oni walczyli za dziedzictwo Chrystusowe przeciwko synom Mahometa, powolni na głos tego, co siedzi na stolicy Piotrowej, strzegąc bezpieczeństwa powierzonej mu trzody. Gołąb unoszący się nad głową Sobieskiego i tęcza na niebie mogłyby usprawiedliwiać przypuszczenie, że mistrz czyni tu allucyą do Noego i potopu. W istocie możnaby porównać zalew muzulmański i dzieło oswobodzenia z potopem i arką Noego, gdyby Matejko nie powtórzył tylko tego, co wyczytał o gołębiczy i tęczy w pomnikach współczesnych.

Po Sobieskim wzrok i serce zaraz się zwraca ku grupie kapłańskiej, mającej w sobie niezmiernie wiele subtelnej charakterystyki. Są to trzy typy napotymane w Kościele a przeprowadzone z dziwną delikatnością uczucia. Kapucyn Marco d' Aviano, to mąż święty, to wzór chrześcijańskiej doskonałości, który wie, rozumie, przewiduje wszystko w świetle nadprzyrodzonej łaski, zakonnik święty, dla którego istnieć przestały wszelkie popędy samolubne a jest tylko miłość Boga i bliźniego. Polski Dominikanin przedstawia charakter naiwny, prosty i świętobliwy, ale nie przetrawiony jeszcze należycie pracą ducha. Unosi się on i zdumiewa nad tem, co dokoła widzi i co dlań jest niespodzianką, tymczasem gdy kapucyn nad niczem się nie unosi, wiedział z góry, że tak być musi. Wreszcie w kanoniku krakowskim i opacie mogińskim widzimy księdza pobożnego i zacnego, ale wielkiego pana, bywałego na dworze krakowskim, który znając formy i wymagania dyplomacyi, bywa używanym do poselstw i innych zleceń. Już to prawdę mówiąc, nie było pono artysty, któryby traktował kler katolicki z taką jak Matejko psychologiczną prawdą i artystyczną życzliwością. Ci biskupi i kapłani, ci zakonnicy Matejki tak pełni mądrości i powagi, biorą naczelny udział w sprawach kraju, są doradcami królów, obrońcami i przewodnikami ludu. Nigdy przeznaczny mistrz nie przedstawił kapłana polskiego w ja-

kimkolwiek dwuznacznem położeniu, ale najczęściej otoczył jego skronie aureolą świętości i chwały.

Miejszem radości, wesela i szczęścia jest grupa austriacka, składająca się, jakśmy widzieli, z Karola Lotaryńskiego, ze Staremberga, Kolonitza, Lubomirskiego i innych. Są to przedstawiciele wielkiej monarchii, która stała na kraju zguby a dziś święci swój tryumf, nie dziw przeto, że serca ich przepelnia uczucie wdzięczności i wesela. Fizyonomie te scharakteryzował artysta z wielką siłą tak pod względem narodowości jak i wysokich przymiotów umysłu. Co się tyczy burmistrza wiedeńskiego Liebenberga, umieszczonego w tej grupie, wiadomo, że tenże wtenczas już nie żył. Dawszy niezliczone dowody obywatelskiej cnoty i starawszy nadmiarem poświęcenia żywotne siły, stał się ofiarą grasującej w mieście zarazy i umarł 10 września. We dwa dni potem Sobieski odpędził Turków od Wiednia. Gdy każda kompozycja Matejki przedstawia obraz ogólnej historycznej sytuacji, a nadto ma za przedmiot pojedynczy wypadek, nie należy poczytywać za anachronizm podobne ustawienie umarłych z żyjącymi, które leży w charakterze tego rodzaju utworów.

Jeżeliby w powyższej grupie można wytknąć jaki brak, to chyba ten tylko, że Matejko nie uwzględnił Czechów. Nietylko bowiem obok Polaków, Węgrów i Niemców, bili się walecznie i Czesi pod murami Wiednia, ale jeden z nich, hrabia Zdenko Kaplerz, sprawował po Starembergu najwyższy urząd w mieście. Był on gubernatorem cywilnym i zastępcą komendanta Staremberga. Zarząd miasta prowadził z wzorową roztropnością, a podczas choroby Staremberga kierował operacjami wojennymi energicznie i szczęśliwie. Uczni i literaci czescy dwa lata prowadzili z Wiedniem walkę, aby w uroczystości dwuwiekowego jubileuszu i na pomnikach ztąd powstałych, otrzymać zaszczytne miejsce dla sławnego rodaka. Ogłosili oni niejedną cenną pracę i mnóstwo artykułów dziennikarskich wyświecających zasługi hrabiego Kaplerza. Jeżeli od radykalnej municypalności Wiednia nie otrzymali zadosyćuczynienia, to się da wytłómaczyć znaną niezyczliwością wiedeńskich Niemców do wszystkiego, co czeskie, ale że Matejko nie oddał sprawiedliwości pobratymcom naszym, można

to objaśnić chyba tem, że ani o zasługach hrabiego Zdenka, ani o walce literackiej o niego toczonej nie miał przy rozpoczęciu swego dzieła dostatecznych relacyj.

Dziwnie piękna ale nie wszystkim zrozumiała jest grupa wodzów polskich. Nie jestże rzeczą naturalną, aby wojownicy co dokonali cudów waleczności i zasłużyli swemu narodowi na sławę niepożytą, doznawali żywego uczucia radości na równi ze wszystkimi na widok wielkich rezultatów swego męstwa. Tymczasem Jabłonowski, Miączyński i Sieniawski nie podzielają powszechnego wesela. Usunawszy się na stronę, trzymają się dumnie, po pańsku i prowadzą między sobą cichą, tajemniczą rozmowę. O czem myślą? o czem mówią? Czy może żal im, że tyle polskiej krwi wylano dla cudzej sprawy? Czy może przewidują czarną niewdzięczność za oddaną przysługę, za wielką ofiarę? Słyszeliśmy głosy bardzo poważne, które w zachowaniu się trzech magnatów upatrywały opozycją przeciwko królowi, opozycją już wtenczas zatruwającą stosunki publiczne w Polsce. My nie podzielamy tego zdania, raz dlatego, że Matejko nie mógł myśleć o opozycji tam, gdzie jej nie było, a powtóre, że w obrazie mającym uczcić największy czyn Polaków i przeznaczonym do Watykanu nie mógł on ostentacyjnie produkować wad krajowych. Wojsko polskie spieszące pod Wiedeń kochało swego wodza, było mu całkowicie oddane, inaczej nie byłoby dokonało czynów świat zdumiewających. Przeto jeśli ta grupa zamiast się radować pograżona jest w smętnej zadumie, to dlatego tylko pono, że żywioł szlachecki, żywioł naczelny w kraju zawsze jest u Matejki nie wesołym, lecz przyćmionym chmurą troski, tęsknoty, tak dalece, że choćby się około niego działy rzeczy napozór bardzo pomysłne, on zawsze zdaje się upatrywać w nich zarody wielkich nieszczęść. Uderzający przykład tego usposobienia mamy w „Hołdzie pruskim“, gdzie dygnitarze kraju i ludzie co najznakomitsi owego czasu, uczestnicząc w uroczystości zaszczytnej dla kraju, mają niewątpliwe przecucie tego, co ztąd wyniknąć miało. To pewna, że taką nie była szlachta polska, znana po świecie ze swej wesołości i humoru, ale duch mistrza poważny i tęskny wyciska na niej, może pomimo woli, swe piętno.

Kończąc przegląd merytorycznej, materyalnej strony „Sobieskiego pod Wiedniem“, niech nam wolno będzie zrobić następną uwagę. To pakowanie tłumoków mających odejść do Rzymu z upominkami dla Ojca św. nie wydaje nam się ani dosyć szczerliwym, ani bardzo potrzebnym motywem. Jak gdyby nie było nic lepszego do zapełnienia miejsca. Naszem zdaniem byłoby to podniosło prawdę historyczną obrazu, gdyby artysta był tu wprowadził lud wiedeński, tych wesołych bürgerów z żonami, mieszkańców Ottakringu, Hernalsu, Währingu, co na ich terytoryach złamaną została potęga Turków, zresztą może nieco gawiedzi polskiej, tak zwanych „ciurów“, których niemała liczba towarzyszyła armii Sobieskiego. Kiedy w innych swoich malowidłach Matejko starannie uwzględnił żywił nawet chłopca polskiego a w „Hołdzie“ kreślił humorystyczne sceny obyczajów krakowskich, to pod Wiedniem, gdzie przecie na widok Sobieskiego wybuchął między ludem entuzjazm nie do opisania, nie widział potrzeby uwzględnić tych nader miłych i zaszczytnych oznak publicznej radości. Tym sposobem widowisko w najwyższym stopniu narodowe, zamieniło się, nie bez niejakej szkody, na paradę urzędową, wojskową.

Pędzel Matejki zawsze był płodny w tworzeniu postaci duchowego piękna i moralnej siły, tak dalece, że trudno zdać sobie sprawę, czy pod tym względem zachodzi znaczny postęp w kompozycjach późniejszych w porównaniu z wcześniejszemi. Wszakże już w początkach swojej karyery stworzył mistrz Rejtana i Skargę, a są to zaiste postacie tak potężne, że nic lepszego w tym rodzaju Matejko w następstwie czasu nie namalował. Zapewne, że Sobieski wyższym jest od Zygmunta Starego, Batory od Zygmunta Wazy, ale te różnice więcej pono wynikają z historycznego położenia danej osobistości niż wydoskonalenia stylu. Batory, stojący w obec upokorzonego nieprzyjaciela, ma wyraz uroczystej powagi, ale daleko wspanialszym, uroczystszym musi być Jan Sobieski, który podeptał i zniweczył nieprzyjaciela cywilizacji i ludzkości. Za to jakże wielkie postępy można zaznaczyć w dziełach Matejki pod względem układu i kompozycji danego materiału!

Pierwsze dzieła naszego mistrza odznaczają się tak wielką

prostotą, że brak im prawie wyższego kombinacyjnego elementu. „Rejtana“ „Skargę“ i „Unią“ widzimy w kościele lub w zamkniętych salach, gdzie niewielkie są wymagania pod względem perspektywicznej techniki, a przytem grupy i masy nie mają należytej głębi. Te braki usuwa mistrz z Batorego, wyprowadzając akcją na otwarte pole. Mamy tedy dużo powietrza, zimową naturę, rozległe widoki a w głębi malownicze mury warownego grodu. W „Bitwie pod Grunwaldem“ Matejko podnosi się do kompozycyi niezmiernie, powiedziałbym, niebezpiecznie skomplikowanej, gdzie wszystko jest starannie obrachowane, wymierzone. Daje się tu czuć coś jakby rodzaj retoryki malarskiej, która do każdego szczegółu stosuje inne prawidło. A przytem większy, niżby może należało, kładzie się nacisk na pojedyncze szczegóły ze szkodą całości.

W tej „Bitwie“ Matejko musiał spostrzedz, że tak skomplikowane sytuacje daleko mniej odpowiadają naturze jego geniuszu niż owe, gdzie położenie jest spokojniejsze i prostsze, ale za to przejęte pierwiastkami kontemplacyjnego ducha. Jabym sądził, że nasz mistrz nie tyle jest malarzem bitew, scen gwałtownych, wypadków pełnych akcji i ruchu, ile sytuacji uroczystych, w których duch nieśmiertelny rozpamiętywa wagę dokonanych zdarzeń lub obmyśla środki dla dopięcia ważnych celów w przyszłości. Dlatego też „Hołd pruski“ oznacza dalszy stopień udoskonalenia. Obraz ten zachwyca nie tylko pięknnością charakterów tu nagromadzonych, ale wysoką, bardzo estetyczną a przytem pełną stylu i harmonii prostotą. Tylko że prostota ta przedstawia się jako wynik nauki i doświadczenia a może i doznanych zawodów. Nie ma tu natłoku, wszystko się porusza swobodnie, perspektywa wyborna, tło architektoniczne bez skazy. W Sobieskim obok prostoty stylu napotykaemy nowy bardzo znaczący pierwiastek kompozycyi, który w innych poprzedzających utworach Matejki istniał zaledwie w zarodku. Mamy tu na myśli krajobraz jako tło, na którym się odgrywa cała akcja. Ku powszechnemu zdumieniu artysta okazał się i w tym rodzaju malarstwa mistrzem samodzielnym i znakomitym.

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli o najnowszym obrazie Ma-

tejki, czytelnik, któryby go nie widział, utworzy sobie przybliżone wyobrażenie o jego układzie. Mistrz miał do zwalczenia olbrzymi materiał, a jednak potrafił go ująć w prosty i powabny, aczkolwiek bardzo umiejętny system. Co tu jest ciekawem przedewszystkiem, to to, że układ grup i naczelnych osobistości odpowiada dokładnie szykowi bojowemu, w jakim wojsko chrześcijańskie uderzyło na Turków w dniu 12 września. Jestże to przypadek? nie myślimy, albowiem mistrz tak rozważny i sumienny niezawodnie nie pozostawia na los przypadku. Na lewem tedy skrzydle widzimy rycerzy austriackich wraz z komendantem i burmistrzem Wiednia; na prawem występują konni wodzowie polskich szyków, a w środku książęta Bawaryi i Saksonii z innymi przedstawicielami Rzeszy niemieckiej. Ponad wszystkimi unosi się wysoko podniosłością ducha i mocą prawicy szlachetna postać króla bohatera. Obok, przesłiczna grupa katolickich kapłanów, bez których taka armia obejść się nie mogła. Ten orszak tryumfalny zatacza świetnem półkolem przed obozem tureckim, gdzie obok ofiar wojny siedzi opisany wyżej stary Turek jako przedstawiciel kalifatu chylącego się do upadku i Marek Matczyński jako szczytny wyraz rycerskiego poświęcenia. Pod Parkanami oddał on życie, zasłaniając króla Jana własnymi piersiami w chwili niebezpieczeństwa. Tych wszystkich ludzi posiłkujących się wzajemnie, to znowu uderzających na siebie wrogo, obejmuje bez różnicy tkliwą miłością matka natura, ubrana w płaszcz bogaty pól, gór i lasów a mająca na skroni brylantową koronę z białych grodów i siół. Jako znak błogosławieństwa, jako obietnica pokoju jaśnieje na niebie siedmiobarwna tęcza. Spostrzegają ją ludzie, spostrzega przedewszystkiem znakomity biskup Kolonitz i wskazuje na nią jako na widoczny znak Bożego udziału w losach człowieka.

Choć to po powyższych uwagach niebardzo pono stósownie mówić o koniach, to jednak z porządku rzeczy wypada wspomnieć tutaj o tych zwierzętach, których tak wiele widzimy na obrazie Matejki. Gdy się zważy, jak niedogodnym i niepokojącym pierwiastkiem jest koń w kompozycjach malarskich, gdy następnie się pomyśli, że z wyjątkiem dwóch księży wszystkie osoby naszego obrazu na drugim i trzecim planie występują konno, nie

trudno będzie zrozumieć, dlaczego mistrz z taką ostrożnością i pilnością traktował ten element. Doświadczenie nabyte w „Bitwie pod Grunwaldem“ zalecało mu takie postępowanie. Z zupełną prawdą można twierdzić, że nie się tak mocno nie przyczyniło tam do zaniepokojenia i przeciążenia akcji jak właśnie traktowanie koni. Głowy końskie, ogony, kopyta i inne części końskiego ciała rzucają się zbyt rażąco w oczy tak dalece, że ludzi trzeba tam szukać z pewnem wysileniem. Otóż tej niewłaściwości nie ma w Sobieskim. Człowiek zajmuje tutaj główne miejsce, koń zaś, jak być powinno, podrzędne. Warto się zastanowić, jakimi środkami Matejko osiągnął ten pożądaný rezultat. Najczęściej, aby nie zasłaniać ludzkiej postaci, ma koń z różnych powodów głowę pochyloną ku ziemi, a u Jakóba Sobieskiego odpędza nosem muchę siedzącą na nodze. Komuś, co napisał o tym obrazie broszurkę po polsku i po niemiecku, dało to powód do osobliwej uwagi, że przed królem Sobieskim kłaniają się ludzie, proporce i — konie! To fatalne słowo pochwyliły niektóre judajsko-liberalne dzienniki Wiednia, lubiące poniżać wszelkie prace polskiego ducha, i zrobiły z niego odpowiedni użytek.

Nasz Matejko jest nietylko malarzem, ale także dziwnie biegłym rysownikiem, co nie zawsze chodzi w parze. Jego rysunek lubi przedewszystkiem postawy trudne i wyszukane, które mistrz jednakże tak przeprowadza, że niewtajemniczonemu oku wydają się bardzo prostemi. Na tem się też zasadza wysoka sztuka. Rzeczy pospolitych, banalnych nie znosi geniusz naszego mistrza. Obraz, o którym tutaj mowa, składa się prawie wyłącznie z przedmiotów dziwnie pięknie pomyślanych i elegancko wykonanych. Gdzie wszakże szukać trzeba postaci artystycznego przepychu i wykwintnego smaku, to na pierwszym planie, na pobojuwisku. Ci dwaj żołnierze naprzykład, oparci na moździerz, jeden obrócony do nas bokiem, drugi plecami, stanowią grupę tak kunsztownie narysowaną, iż raz widziana nigdy nie wychodzi z pamięci. Ów Turek, który jak zmora duma na pobojuwisku, nie jestże wzorem bardzo wyszukanej kompozycyi, przechodzącej w prostotę i harmonię? A ten znawca rzadkiej broni, Marek Mateczyński, nie stanowiż on sam przez się arcydzieła? Wreszcie zastanawia ów

robotnik przy pakowaniu rzeczy, który rzemieniami ściąga tłumok napełniony, przyczem praca, natężenie fizyczne znajduje bardzo odpowiedni wyraz w pojedynczych członkach i całym organizmie. Wiele, bardzo wiele potrzebaby czasu, aby choć krótko wskazać wszystkie te piękności.

Co się tyczy efektów światłocienia, nieskończonej gry farb w ich przejściach i modulacyach, w których nasz mistrz tak nieporównanym jest czarodziejem, należy zauważyć, że obok pierwiastka kompozycyjnego, koloryt ma w tym obrazie szczególne znaczenie pod względem ustalenia artystycznej jedności, gdy Sobieskiemu, wyniesionemu tak wysoko skądinąd, zapewnia naczelne, panujące stanowisko jeszcze za pomocą farby. Jedność u Matejki jest zawsze bardzo silna a do jej postawienia musi u niego współdziałać nietylko układ i rysunek, ale i koloryt: wszakże do równie potężnego efektu jedności jak w tym obrazie dochodzi Matejko zdaniem naszym pierwszy raz. Cokolwiekby siła jego kolorytu jaśnieje tym samym, co lat poprzednich, blaskiem, tem samem ciepłem, tą samą głębokością. Mianowicie jego aksamity i jedwabie, ciężkie materye i lekkie tkaniny tak naśladowują naturę, że budzą powszechne zdumienie. Taką jest chorągiew proroka, sporządzona z zielonego jedwabiu i usiana złotymi gwiazdami, co się mieni w tęcze kolory i niezliczone odcienie. Takimi są suknie wszystkich postaci, chorągwie i proporce, rzędy na konie i wszelkie inne sprzęty. Równem złudzeniem odznaczają się przedmioty metalowe, mianowicie szable, miecze, rynsztunki, tak dalece, że prawie niepodobienstwem jest wskazać drugiego artystę, któryby z równą łatwością potrafił odtworzyć tak duchową, wewnętrzną naturę człowieka jak i wszelkie manifestacye zewnętrznego świata.

Na zakończenie tej pracy chciałbym wypowiedzieć kilka uwag, skoro się gwałtem cisną pod pióro. Polak zwiedzający Rzym, musi wyznawać przed samym sobą na każdym kroku, że z pomiędzy wielkiej liczby pamiątek nagromadzonych tutaj przez wszystkie narody, niewiele przypomina Polskę. Jakież to dowody wiary i czułości, że pominię Włochy, złożyła tutaj Francya, Hiszpania, Niemcy, Anglia i inne kraje, w których żyje duch ka-

tolicki. Polska jedna nie ma tu odpowiedniego stanowiska. Zapewne, że czy to w polityce, czy w nauce lub w życiu społecznem nie było u nas ważniejszego zdarzenia, któreby się nie odezwało tak lub owak we wspomnieniach papieżkiej Romy. Niemniej jednak te ślady naszego historycznego rozwoju nie są ani dosyć wyraźne, ani tak doniosłe, iżby mogły zaspokoić pewne szlachetniejsze ambicje. Rzym był i jest ogniskiem nietylko wiary lecz i chrześcijańskiej sztuki. Otóż jeżeli spotykamy tu ślady naszych świętych, naszych biskupów i mężów znamienitych, to nie znajdujemy nic takiego, coby przypominało naszych mistrzów, dla prostej przyczyny, że ich nie było w naszym kraju. Tej potrzebie zaradziła wspaniałomyślna i mądra ofiarność naszego mistrza. Wystawiając w Watykanie, na grobie św. Piotra, swego „Jana Sobieskiego“, wznosił on pomnik wieczysty i drogocenny nietylko sławie narodowej, ale i sztuce polskiej.

Ztąd wynika, jak małym, jak drobiazgowym jest serce tych, co mniemają, że „Jan Sobieski“ stając się własnością Ojca św., przechodzi „w cudze ręce i ginie dla kraju“. My protestujemy, aby papież był u nas osobą cudzą lub obcą. Nie jestże niedorzecznością mówić, że ojciec może być cudzym człowiekiem dla własnych dzieci? Odkąd Polska jest katolicką, zawsze papież był u nas w domu, u siebie, wśród swoich, a jeśli Matejko wzmacnia ten odwieczny węzeł duchowego pokrewieństwa, tem większa jego zasługa, tem szacowniejsza ofiara. Ani o stracie dla kraju może być mowa tam, gdzie nie chodzi o zmysłowe, lecz o duchowe, estetyczne używanie. Wysokie zalety tego dzieła równie dobrze, owszem lepiej można smakować w Rzymie niż we Lwowie, albowiem dla jego artystycznego ocenienia więcej mamy danych nad Tybrem niż nad Pełtwą. Co się zaś tyczy samego artysty, który przecie troskać się musi o uczciwy rozgłos dla płodów swego ducha na możebnie obszernej widowni, być cenionym i podziwianym w wiecznem mieście, w ojczyźnie Rafaela i Michała Anioła, gdzie wiara i sztuka chrześcijańska znalazły swój najszczytniejszy wyraz, jest losem, jaki tylko małej liczbie wybranych dostaje się w udziale.

Franciszek Lutrzykowski.

FESTYNY LUTERSKIE W NIEMCZECH.

Już przeszło rok temu rzucono pomysł uroczystego obchodzenia w minionym roku w Niemczech czterowiekowej rocznicy urodzin Marcina Lutra, „wielkiego reformatora Kościoła“. Mniejsza o to, że rok jego urodzenia nie jest historycznie zupełnie pewnym. Epoka nasza jubileuszów takie drobnostki pomija i słusznie; nie chodzi tu bowiem o ścisłość badań historycznych, ale raczej o manifestacyą i jej cel. Kto pierwszy myśl tę podał, co było do tego powodem, nie wiadomo; z przygotowań jednak i przebiegu tych obchodów nie trudno będzie odgadnąć tendencye i przyczyny tych ruchów hałaśnych. Niewątpliwie nie urządzono ich dla czezej igraszki; ci co je wywołali i w nich przewodzili, mieli swój cel. Czy i kto go osiągnął, pokażą skutki. Objawy powszechnego usposobienia w pochodach, kostiumach, a szczególnie w przemowach z okoliczności tych festynów wygłoszonych, są tak różnorodne, tak często z sobą niezgodne, a nawet sprzeczne, że ich niepodobna zrozumieć bez jakiegokolwiek znajomości obecnego stanu protestantyzmu w Niemczech, a mianowicie w Prusach. Z tej przyczyny robimy tu kilka uwag nad tym przedmiotem.

I.

Nie zapuszczając się w rozbiór i przedstawienie pierwiastkowej nauki Marcina Lutra, Zwinglego, Kalwina i w ogóle poprzednich i współczesnych mniemanych reformatorów, ani ich różnic dzielących ich tak od Kościoła katolickiego, jak nawzajem od sie-

bie, trzymamy się tylko głównej zasady, na której wszyscy bez wyjątku w stosunku do Kościoła katolickiego się opierali i dotychczas stoją. Tym wspólnym fundamentem wszystkich jest zaprzeczenie *żyjącej w Kościele katolickim nieomyłnej powagi Boskiej w rzeczach nauki wiary i obyczajów*. Jest to wprawdzie zasada ujemna, ale jedyna, jaka jest wspólna wszystkim protestantom bez wyjątku. O „kościół ewangelickim“, jak tego wyrazu używają oficjalnie rządy, konstytucye, konsystorze protestanckie i t. p. mówić w ścisłym znaczeniu tego wyrazu nie można, bo z tego, co powszechnie przez wyraz „Kościół“ rozumiemy, nie pozostało nic prócz nazwy. Zresztą musielibyśmy o dwustu przynajmniej mówić kościołach, gdyż na tyle sekt już jest rozbity ten mniemany kościół. Lecz na tem jeszcze nie koniec, bo każdy niemal dzień nowe przynosi zdania, nowe pomysły, jednym słowem, *quot capita, tot sensus* (co główę, to zdanie czyli sekta). Co więcej, są pomiędzy nimi i takie sekty, które ewangelii za objawione słowo Boże nie uznają, jakże je tedy nazywać, kościołem ewangelickim? Z tej przyczyny nie używamy wyrazu: „kościół ewangelicki“, którego w rzeczy samej nie masz, ale wyrazu: *protestantyzm*. To bowiem wyrażenie obejmuje wszystko, obejmuje wyznania luterskie, kalwińskie i inne sformułowane w XVI. i XVII. w. i później, o ile jeszcze istnieją, a nadto wszystkie odnogi, odłamki i drobne kawałki, na jakie się główne grupy w wieku XVI. od Kościoła oderwane rozpadły; co więcej, obejmuje wszystkie stowarzyszenia religijne, a w rzeczy samej niereligijne, jakie się z tego odłamu potworzyły, począwszy od Lutra aż do Hegla, Straussa, Bauera, Hartmanna itd. Wszystko to są dzieci jednej matki, wszyscy się do niej przyznają, wszyscy bowiem począwszy od tych, którzy jeszcze przechowali wiarę w nadprzyrodzone objawienie Boskie i w Chrystusa Pana, jako Syna Bożego, aż do ostatnich liberałów w nic, w Boga nawet nie wierzących, liczą się oficjalnie i nieoficjonalnie do protestantów. Żaden z ostatniej kategorii nie przyznaje się, ani do wyznania luterskiego i kalwińskiego, ani do żadnego innego, przeciwnie uważa je za niedorzeczne przesady i drwi sobie z nich, ale każdy protestantem się zowie i w rzeczy samej nim jest. Jakże tedy nazwać ewangelikiem czyli

członkiem „kościola ewangelickiego“ człowieka, który nie już w księgach nie każdemu dostępnych, ale jawnie z trybuny parlamentarnej, jak Virchow, ewangelią księgą mitologii chrześcijańskiej zowie? Jakże ktoś być może ewangelikiem bez ewangelii, a nawet przeciw ewangelii? Nikt wymagać tego po nas nie może, abyśmy się w takie sprzeczności wtkłali. Lecz, gdybyśmy to nawet chcieli uczynić i nazwać ich „ewangelikami“, to nam się znowu nowe narzuca pytanie: jakimi? Czy luterskimi, czy kalwińskimi, czy jeszcze innymi, kiedy wyznań jest wiele, a każde się być mieni ewangelickiem, każde utrzymuje, że czystą i żadnymi dodatkami nieskażoną posiada ewangelią? Nie masz zatem innego środka; aby przyjść do ładu, musimy ująć to, co wszystkim jest wspólne, a tym węzłem, który wszystkich bez wyjątku w jedną spaja całość jest: *negacya* Kościoła katolickiego. Wyraz zatem: protestantyzm jest najwłaściwszy, bo obejmuje całość wszystkich od Kościoła katolickiego w XVI wieku oderwanych sekt pod ogólną nazwą „reformacyi“.

Cały ten protestantyzm w Niemczech, a szczególnie w Prusach, które jak we wszystkim innem tak i w rzeczach religii ton nadawały i nadają, rozpada się na dwa główne obozy, t. j. na prawowiernych (ortodoxów), którzy się jeszcze jakiegokolwiek wyznania trzymają czy augsburskiego, czy helweckiego, czy wreszcie tylko składu apostołskiego (apostolicum), jednym słowem, którzy jakiegokolwiek prawidła wiary (regulam fidei) uznają; i na liberalów, którzy się z wszelkich wyznań, z wszelkiego prawidła wiary otrząsnęli i sami sobie są prawidłem i regułą wiary. Pierwszych reprezentują rządy, w Prusach najwyższa rada kościelna (Oberkirchenrath), konsystorze, a szczególnie predykanci nadworni (Hofprediger), jak znany antysemita Stoecker, Baur, Koegel i inni, tudzież niektórzy predykanci po prowincjach. Ostatnich t. j. liberalów reprezentuje głównie „Stowarzyszenie protestanckie“ (Protestantenverein). „Prawowierni“ rozpadają się znowu na różne stronnictwa i odcienia. Jedni bowiem trzymają się jeszcze wyznania augsburskiego (Altlutheraner), liczba ich bardzo mała, drudzy helweckiego (Reformirte), inni „Unii“ t. j. połączenia obydwóch co dopiero wymienionych wyznań, niektórzy

zaś tylko składu apostołskiego (symbolum apostolicum), ale wszyscy przyjmują biblią czyli pismo św. za podstawę i źródło nauki objawionej, wierzą w bóstwo Chrystusa Pana i przyjmują dzieło Odkupienia, a z niem wszystkie konsekwencye.

Dla zrozumienia rzeczy wypada nam tu nadmienić, że tak nazwana „Unia“ jest dziełem Fryderyka Wilhelma III. z r. 1817, który pragnąc w swoich krajach sprowadzić protestantów do jednego mianownika, połączył luteranizm z kalwinizmem i w r. 1823 wspólną dla nich wydał agendę, której się każdy predykant pruski przy sprawowaniu aktów ministryalnych obowiązany jest trzymać. Połączyć dwie tak z sobą sprzeczne nauki, jak luterska i kalwińska i oparte na nich wyznania, jest rzeczą niepodobną, chyba że jedna i druga strona do swego wyznania żadnej nie przywiązuje wagi, czyli że jest w rzeczach religii obojętną. Stało się to przecież, a mdłą opozycją stłumił rząd w krótkim czasie. Kilku tylko twardych predykantów luterskich padło tej unii ofiarą i wyniosło się do Ameryki, a unia odniosła zwycięstwo i stała się podstawą tak nazwanego urządzenie „kościół krajowego pruskiego“ (preussische Landeskirche), w którym król jest najwyższym biskupem (summus episcopus). Wyznawcy tej unii liczą się do „ortodoxów“, bo się do jakiegokolwiek prawidła wiary przyznają i biblią za podstawę przyjmują.

Liberalne zaś stronnictwo odrzuca, jakeśmy to wyżej już powiedzieli, wszelkie prawidła wiary wraz z składem apostołskim czyli „Credo“, a trzymając się głównej zasady wypowiedzianej i przeprowadzonej przez Lutera, mocą której potargał prawidła wiary od 1500 lat istniejące i do dziś żyjące, utrzymują, że ani on nie miał ani po nim nikt nie ma prawa narzucać im nowych więzów i przepisywać, w co mają wierzyć, bo to jest sprawą ich wiedzy i sumienia; że przez Lutera pozbyli się jednego papieża i nie chcą mieć w osobach królów, książąt, ich konsystorzy itd. tysiąca papieżatek (Paepstlein). Ta wolność jest jedyną zdobyczą i zasługą Lutera, reszta blichtrzem, a raczej niedorzecznością. To najliczniejsze pomiędzy protestantami stronnictwo dzieli się podobnie, jak „ortodoxów“ na niezliczone kierunki i odcienia aż do zupełnego ateizmu i materyalizmu. Nadmieniliśmy już wyżej, że

głównym przedstawicielem tego kierunku jest „stowarzyszenie protestanckie“. Nazwa i zasada są z sobą w zupełnej zgodzie, bo w rzeczy samej protestują przeciw wszystkiemu, przeciw wszelkiej objawionej i danej religii, każdy to tylko uznaje i wyznaje, co sam wynalazł i wymyślił. Wymienione co dopiero stowarzyszenie wraz z całym stronnictwem stoi pod dyrekcją masonii pruskiej albo niemieckiej, najwyżsi dostojnicy ostatniej są najprzedniejszymi jego przywódcami.

Te dwa główne obozy „ortodoxów“ i nieortodoxów, wierzących i mało albo nie wierzących, konserwatywnych i liberalnych, prawicy i lewicy, bo i te parlamentarne przybierają nazwy, wiodą z sobą bój zacięty na śmierć i życie. Nie mniej i w każdym z osobna obozie staczają z sobą rozmaite stronnictwa bezustanne utarczki; i nic dziwnego, bo wszystkie pozbawiwszy się boskiej i nieomyślnej powagi, opierają się na ludzkiej, a zatem chwiejnej powadze, każde zatem zdanie, każda opinia równe ma prawo, równe znaczenie, nie masz dla nich najwyższego sędziego, któryby zdołał stanowczo orzec, co jest prawdą, a co fałszem. Jest to zatem ustawiczna wojna wszystkich przeciw wszystkim. Położenie „ortodoxów“ jest w tej walce nieznośnem, bo cała ich egzystencya opiera się na najoczywistszej sprzeczności. Luter sam łątwa się z tej matni wydobył, oświadczaając: „że rozum jest nierządnicą djabelską i w rzeczach religii nie ma nic do mówienia“. Ale rozum nie długo pozwolił się tak deptać i dopominając się praw swoich, roztoczył jak robak w krótkim czasie dzieło swego gwałciciela i poniewiercy i spustoszenie swoje rozszerzył dalej, niż się zwolennikom tak nazwanej reformacyi marzyć mogło. Z tego, co Luter zbudował, nie został kamień na kamieniu. Cała jego nauka, z której wszystko inne wynikało, zawiera się w dwóch zdaniach: słowo boże, czyli pismo św. jest *jedyną* i najwyższą powagą w rzeczach religii — każdy je sobie podług swego natchnienia tłómaczy; usprawiedliwienie, a następnie zbawienie człowieka wieczne zawisło *li tylko od wiary*, a dobre uczynki są same z siebie grzechem. Człowiek bowiem, któremu Luter odmówił wolności woli, a nawet zdolności wolnego wyboru, jest mówiąc jego własnymi słowy „osłem, na którego gdy wsię-

dzie Bóg, zawiezie go do nieba, a gdy wsiedzie djabeł, zawiezie go do piekła“. Książka jego: *de seruo hominis arbitrio*, która i drwinkującemu sobie z rzeczy świętych Erazmowi Rotterdamczykowi humor zepsuła, prócz wiele innych niezliczonych miejsc po jego pismach rozrzuconych, wypowiada z całą jemu właściwą drastycznością tę straszliwą zasadę. W koniecznem następstwie tej nauki musiał Bóg zostać sprawcą złego, grzechu, a człowiek zwolnionym od wszelkiej odpowiedzialności za swe uczynki. I to nazwano „wolnością chrześcijańską“. W imię tej „wolności“ podnieśli się w Niemczech chłopi i straszliwy rozlew krwi zrzadzili. Iluż się dziś jeszcze znajdzie luteranów nawet pomiędzy „ortodoxami“, którzy się na seryo do tej nauki przyznają? Jakże obronić taką zasadę wobec umiejętności, a nawet wobec zdrowego prostego rozumu i wewnętrznego doświadczenia?

A cóż się stało z jedynym i najwyższym sędzią w rzeczach wiary t. j. z biblią? Pomijając teologów katolickich, którzy zupełną bezskuteczność takiego sędzię wykazywali, z pomiędzy wielu nowszych klasycznych autorów niemieckich, odwołuje się tylko na Wielanda, który oceniając z praktycznego jedynie stanowiska ten przedmiot, dowodzi, że po odrzuceniu tradycyi i wszelkiej żywej powagi nieomyślnej Kościoła, soborów, papieża i ojców Kościoła pozostała tylko ta niema i martwa powaga biblii, która wkrótce swoją zupełną okazała niemoc i mówi dalej: „Dostyc na tem, rychlej czy później musiano się spostrzedz, że książka, chociażby była nieomylną i boską, w takim tylko razie mogłaby być najwyższym sędzią w rzeczach wiary, gdyby podobnie jak początki geometryi, taką miała własność, że wszyscy ludzie, którzyby ją czytali i rozumieli, nie tylko jednej pozostali myśli przy jej czytaniu, ale nadto o prawdzie jej treści każdemu zarówno zrozumiałej i różnemu nie ulegającej tłumaczeniu tak byli pewno i głęboko przekonani, żeby im całkiem niepodobnem było o niej wątpić lub o znaczeniu i tłumaczeniu tego lub owego miejsca innego być zdania. Czy książka taka jest możliwą, na to pytanie nie odpowiadam; ale tego z pewnością nikt nie będzie śmiał zaprzeczyć, że biblia taką książką nie jest“. (Vermischte Aufsätze t. 29 str. 113). Ciekawa w tej mierze jest polemika Lessinga z głównym

pastorem Hamburga, w której broniąc zwyczajko też swoich, dowodzi logicznie i historycznie niedorzeczności tej zasady i wreszcie powiada: „Gdybyście tego mieli dokazać, żeby nasi luterscy pastoresy mieli naszymi zostać papieżami, żeby nam przepisywać mieli granicę, na której nasze badania pisma św. zatrzymać się mają, natenczas pierwszym będę, który te papieżątka odda za papieża“ (Less.-Sämmtl. Werke Berlin 1825 t. VI. str. 113). Lecz mniejsza o praktyczne trudności i niepodobieństwa, na to znalazliby „ortodoxi“ tysiączne tłumaczenia i wybiegi, jak osobista inspiracya i t. p. Trudniejsza jest ich pozycya wobec nauki i nieubłaganej logiki. Tu nie masz żadnego wyjścia, najmniejszej nawet fórtki z tej sprzeczności? Tu tylko gwałtem depeącym wszelkie prawa zdrowego rozumu na takiej pozycyi utrzymać się można powtarzając razem z Lutrem: *sic volo, sic jubeo, stet pro rat. one voluntas*. I tak w rzeczy samej do dziś dnia jest. Wytykano tę sprzeczność reformatorom od samego początku ze strony katolickiej, ale na głos katolików były i są do dziś dnia uszy głuche. Nadeszła już od dawna chwila, kiedy katolików wyręczają w tej pracy sami protestanci, którzy nietylko z praktycznego, ale także i z umiejętnego stanowiska najoczywiściej dowodzą, że wobec światła rozumu nauka „ortodoxów“ na biblii i wyznaniach oparta ostać się nie jest w stanie. Najsilniej Hegel w swej filozofii religii ten fałszywy fundament podważył. Z pomiędzy innych rozlicznych tego rodzaju wywodów ośmielam się w tej materji przytoczyć słowa jednego z najnowszych, Edwarda Hartmanna, autora „Filozofii nieświadomego“ (Die Philosophie des Unbewussten), który mówi: „Reformatorowie nie spostrzegli się wcale, że ich wiara w nieomylność pism kanonicznych, którą z mlekiem matek wyskali jedynie na wierze w nieomylność Kościoła dającego o nich to świadectwo i na tradycyi kościelnej spoczywała, a ponieważ ich wiara w nieomylność pisma św. przeszła każdemu z nich w ciało i krew, przeto na myśl im nawet nie przyszło, że protestując przeciw nieomylności Kościoła i tradycyi, podkopali grunt własnej wiary, że tym krokiem pierwszy kamień z szczelnej budowy Kościoła wyłamali, za którym pod wpływem czasu kamień po kamieniu odrywać się i spadać musiał. Z jednej strony wywiesili

chorągiew swobodnego badania i wolności sumienia, a z drugiej mniemali, że puszczoneму prądowi dezorganizacyi dogmatu przez dowolnie postawione zapory, przez ustawy ludzkie ich własnego wymysłu i przez odkazywanie się resztką dogmatyczną, tamę położyc zdołają, rojąc sobie, że ludzie pod takie dowolne ustawy, jak gdyby pod jakie nieugięte jarzmo karki swoje uchylą, kiedy już nieomylna na żywej i nieustannej inspiracyi spoczywająca powaga kościoła poszła w rozsypkę“ (Die Selbstzersetzung des Christenthums, str. 9).

Ta oczywista i rażąca sprzeczność, która w następstwie rozliczne inne sprzeczności za sobą pociąga, jest jedynym fundamentem, na którym się „ortodoxya“ protestancka dotychczas opiera, i dlatego taka bezwładna i słaba. Z biblią w ręku protestują przeciw żywej i ciągle obecnej powadze boskiej kościoła i wszelkim prawidłom wiary, a mimo to czują się jednak sami zmuszeni do ścisłego sformułowania wyznania czyli prawideł wiary, z tą tylko różnicą, że zamiast jednej nieomylnej, mają ich wiele bez pewności; czy w nich zawiera się istotnie prawda! Lecz jakież te wyznania, czyli *regulae fidei* wobec protestanckiej zasady swobodnego badania mogą mieć znaczenie, jaką powagę? Otóż nie inną, jak ludzkiego zdania, przekonania, nie są zatem nieomylnie, nie roszczą sobie nawet pretensyi do nieomylności. A jednak mimo to wymagają konsystorze królewskie, książęce i t. d. od predykantów, którym udzielają posady duchowne lub tylko na nie potwierdzają, przysięgi, że się w naukach, sprawowaniu sakramentów i innych aktów ministeryalnych tego lub owego wyznania, jako prawidła wiary trzymać się będą. Tu nie jest od rzeczy zapytać się, czy wymaganie i odbieranie takiej przysięgi może być moralnie dozwolonem? Z drugiej strony, z jakim sumieniem może młody kandydat teologii składać tego rodzaju przysięgę, jeśli sam nie ma żadnej pewności, czy prawdy, które się pod przysięgą z ambony i w szkole ogłasza zobowiązuje, są w rzeczy samej prawdami przez Boga objawionemi, a zatem nieomylnemi; czy sakramenta, które w ten, a nie inny sposób ma sprawować, są niemi rzeczywiście lub nie? Z obu tedy stron jest rzeczą nader wątpliwą, czy to samo zobowiązanie jest mo-

ralnie godziwem. Nie przeto dziwnego, że już oddawna pojawiły się w tej mierze spory. Jedni z predykantów utrzymywali, że dlatego tę przysięgę złożyli, ponieważ (quia) podług ich przekonania to właśnie wyznanie zgadza się z biblią, inni zaś twierdzili, że o tyle tylko zobowiązali się trzymać tego wyznania, o ile (quatenus) podług ich zdania zgodne jest z biblią. Lecz cóż się na tej różnicy zyska? Czyż tak w pierwszym jak w drugim razie nie rozstrzyga ostatecznie o najwyższych prawdach zbawienia przekonanie tylko indywidualne? Czyż wierni mogą mieć tę pewność, że odbierają naukę o prawdach objawionych w sposób niewątpliwy i pewny, jeśli to zawisło jedynie od przekonania indywidualnego predykanta, a nie od prawdy przedmiotowej ponad wszelką wątpliwość wyniesionej? Jakiem prawem mogli i mogą protestanckie konsystorze, ministrowie kultu i t. d. pociągać tych predykantów do odpowiedzialności, jeżeli pomimo przysięgi nie trzymają się przepisów wyznania, odwołują się tak, jak Luter niegdyś wbrew nauce całego powszechnego Kościoła, na biblią i oświadczają, że w piśmie św. tej nauki, jaką im przepisane wyznanie do wierzenia podaje, wcale nie znajdują, ale raczej wręcz coś przeciwnego? Zkąd królewski konsystorz, zkąd minister kultu, który podług prawa mógłby być żydem, ma upoważnienie do nakazania mu, aby tak wierzył i nauczał, tak rozumiał pismo św. jak je rozumie konsystorz lub minister, a zwłaszcza, jeśli udowodni, że ich właśnie zdanie mylne, fałszywe? A czyż o dowody trudno? Czyż Aryjusz, Pelagiusz, Wiclef, Hus, Luter, Zwingli, iż tylko więcej znanych wymienię, i wszyscy inni heretycy nie dowodzili swej przewrotnej nauki w ten sam sposób? Cóż tu w takim położeniu robić? Mają królewskie władze duchowne protestanckie, mają ministrowie kultu, którzy *mutatis mutandis* są swoich królów i książąt wikaryuszami jeneralnymi, gdyż panujący piastują rzeczywiście najwyższą władzę duchowną nad ludami protestanckimi swych krajów, mają mówić, patrzeć obojętnem okiem na predykantów i ze skarbu publicznego utrzymywać tych, którzy w kościele i szkole podkopują wszystkie artykuły wiary chrześcijańskiej jako to: wiarę w Trójcę przelnajświętszą, bóstwo Chrystusa

Pana, Jego Zmartwychwstanie it. d. it. d.? Dopóki imię chrześcijańskie na sobie noszą, nie wypada im na takich ministrów „słowa Bożego“ przez szpary patrzeć, a chociaż to, o ile tylko możebnem jest czynią, to jednak wydarzają się często przypadki tak uderzające, tak obrażające uczucia chrześcijańskie, że wobec parafian i potężnego głosu wierzących jeszcze protestantów milczeć nie mogą. Skoro tedy tego lub owego predykanta tego rodzaju pociągną do odpowiedzialności, a co więcej, jeśli go skarżą, co się nader rzadko zdarza i nader łagodnie wykonywa, natenczas podnosi się krzyk na całej linii liberalnej: „oto mamy inkwizycyą“, „sądy kacerskie“, „klątwy papieskie“, „gwałt sumienia“ i któżby resztę tych dosadnich i stereotypowych wyrażen wyliczył! Cała prasa liberalna polityczna, a szczególnie żydowska wtóruje tym okrzykom z całej siły, wynosi oskarżonych do czci męczenników wolności i spisuje pilnie ich martyrologie. Z każdym prawie rokiem wzrasta na tem polu w liczbę i potęgę liberalizm, nie przeto dziwnego, że podług zdania jednego z nich; ostatnie trzynastolecie więcej w Niemczech, a szczególnie w Prusach przyniosło „procesów kacerskich“, niż całe upłynione stulecie. Ponieważ nazwiska tych bohaterów niewiary często się po dziennikach kręcą, przeto wymieniamy niektóre: Topf, Hanne, Schroeder, Sydow, Lisco, Klapp, Hossbach, Lühr i w. i.

Pojmujemy i cieszymy się z tego, że protestancka zwierzchność kościelna w jakimkolwiek znajduje się dziś ręku, przeszkadza szerzeniu antychryścjanizmu z urzędu t. j. z ambony i w szkole; ale tego zaprzeczyć nie możemy, że to czyni tylko prawem mocniejszego, że tem zadaje sama gwałt najistotniejszej zasadzie formalnej protestantyzmu i podcina tę gałąź, na której sama siedzi. Formalnie zatem nie możemy obwinionym konsekwencyi i słuszności odmówić, jeśli opierając się na głównej zasadzie protestanckiej, podnoszą krzyk na to postępowanie niekonsekwentne i razem z Bluntschlim utrzymują, „że są prawowitemi dziećmi i synami należącymi do domu protestanckiego“. Tą sprzecznością żył i karmił się protestantyzm przez trzysta i kilkadziesiąt lat i to głównie w narodzie myślicieli. Jest to nie łatwa zagadka dla tych, którzy nie wierzą. Nie tu jest miejsce

do zajęcia się nią, a nawet do wytłómaczenia tylko tej okoliczności, dlaczego dawniej te „procesa kacerskie“ nie powtarzały się tak często, jak teraz. Lecz to jest pewną, że żadne dowody choćby najściślejsze, najdoskonalsze, tak jasno, tak oczywiście, tak dobitnie wykazać tego błędnego koła, w którym się prawowierny protestantyzm obraca, nie są w stanie, jak właśnie praktyczne tego rodzaju wypadki. Czynią bowiem w zasadzie to samo, za co innych ścigają. A jednak ci nawet protestanci, którzy szczerze wierzą i czczą w Chrystusie Panu Syna Bożego i gorzko ubolewają nad tem, co się u nich dzieje, nie mogą czy nie chcą znaleźć drogi wyjścia z owego zakłętego koła błędu. Ludzie znakomici nauką i rozumem, którzy najzawilsze i najtrudniejsze przedmioty na polu innych umiejętności rozumieją, nie widzą tu tego oczywistego błędu, który się najprostszemu umysłowi sam narzuca. Straszna to potęga ciemności! Straszna siła herezyi! Jakaż tego niepojętego zjawiska przyczyna? Czy brak jasnego pojęcia i zrozumienia? Zdaje się prawie niepodobnem w tak oświeconych umysłach. Czy brak czystości intencji i dobrej wiary? Trudno to w szlachetnych i religijnych duszach przypuścić. Czy zakorzenione uprzedzenia, głęboki wstręt i ztąd powzięta zaciętość? Niewątpliwie i te mają przeważny udział w utrzymaniu tego zaślepienia. Czy nareszcie fałszywy wstyd i obawa dotkliwego upokorzenia? Fryderyk Perthes, jeden ze znakomitych protestantów, przypisuje wielki wpływ ostatniemu pytaniu, kiedy mówi: „Pismo św. potrzebuje opieki przeciw swawoli ludzkiej, a obok tego tłómacza. Instytucją, która tę podwójną potrzebę zaspokoić powinna, jest Kościół, ale gdzie jest, kto go ma? . . . Gdybyśmy się nie wstydzili, gdybyśmy się nie obawiali kościoła katolickiego, jakże głośne, jak rozpaczliwe usłyszelibyśmy wołania wierzących protestantów o pomoc i powagę kościoła!“ (Kirche oder Protestantismus, str. 314).

Mimo potęgi materyjalnej, jaką kościelna zwierzchność protestancka rozporządza, bo sama jest integralną częścią rządu i ma wszystko na swoje rozkazy, okazuje się jednak wobec liberalnych i konsekwentnych predykantów słabą i całkiem bezwładną. Począwszy od sprawy Sydowa w r. 1872 aż do ostatnich Hannego

i Luehra, wszystkie kończyły się pewnym rodzajem kompromisu. Najpierw wlekły się te sprawy po kilka lat, a kiedy już o nich prawie zapomniano i krzyki prasy liberalnej ucichły, wyszedł wyrok ostatniej instancyi, którą dla dawniejszych prowincyj państwa pruskiego jest najwyższa rada kościelna (Oberkirchenrath), a dla nowo nabytych minister kultu. Zwykle ostatnia instancya albo całkiem wyrok konsystorski znosiła albo go do tego stopnia łagodziła, że się takiej kary jak np. „nagany“, „przestrogi“, „zalecenia większej ostrożności“ na przyszłość nikt nie miał powodu obawiać. Sydow np. został przez konsystorz brandenburski złożony z swej posady za to, że zaprzeczył bóstwa Chrystusa Pana, a przez najwyższą radę kościelną uwolniony z tego powodu, że to uczynił „nie urzędownie, nie z ambony“, ale w rozprawie drukowanej i publikowanej, a zatem nie w trybie swego urzędowania duchownego. Hanne, który urzędownie, z ambony mówił przeciw Trójcy przenaświętszej, a następnie i przeciw bóstwu Chrystusa Pana, dostał od rady hamburskiej upomnienie, „aby na przyszłość więcej zachował ostrożności“. Podobnie w roku bieżącym skasował minister kultu Gossler wyrok konsystorza kielskiego orzekający za ten sam występek złożenie z posady predykanta Luehra i dał mu tylko naganę z powodu „że się dotychczas dobrze prowadził“ i po pierwszy raz nauki kościoła naruszył. Nigdy i nigdzie nie występuje protestancka zwierzchność kościelna stanowczo w obronie nauki kościoła czyli wyznania i czepia się rzeczy ubocznej, jak gdyby sama czuła, że nie ma pod nogami pewnego fundamentu, że nie ma do tego prawa. Takie wyroki słusznie obie strony oburzały. „Prawowierni“ słusznie się żalili, że takie wyroki uzuchwalają predykantów bez wiary i otwierają niedowiarstwu i bezbożności na rozcież wrota „kościół ewangelickiego“, w którym odtąd nietylko „słowo Boże“, ale także i nauki i zasady pogańskie wolno ogłaszać. Liberalni zaś podnieśli głos przeciw gwałceniu zasad protestanckich „reakcy“, „romanizowania“, „tłumienia wolności myśli, sumienia“ i t. p. Czyż w rzeczy samej obie strony każda ze swego stanowiska nie miały i nie mają racyi? Cóż sądzić o takiej władzy kościelnej, która ma wprawdzie potęgę materyalną, ale w braku siły moralnej nie śmie jej

użyć, nie śmie brać w obronę swoich wiernych i chronić od zatrucia religijnego i moralnego? Czyż tu nie czuć wyraźnie braku upoważnienia z góry do wyrokowania w rzeczach wiary? Ten właśnie cichy i nieśmiały głos sumienia, który szepce tej zwierzchności kościelnej, że nie jest w istocie tem, czem się na zewnątrz być mieni, że to władza uzurpowana, a zatem bez wagi i znaczenia, pozbawia ją wszelkiego zaufania do siebie, wiary w dobroć sprawy, a tem samem siły i mocy.

Jest to jedna dopiero słaba strona „ortodoxów“, która sama jedna wystarcza, aby ich stanowisko na przyszłość podkopać i niemożliwem uczynić. Prócz tego mają jeszcze wiele innych nie mniejszej wagi kłopotów. Jak od samego początku, tak szczególnie w bieżącym stuleciu powstały w własnem ich łonie liczne i rozmaite niezgody i rozterki. Jak z liberałami, tak nie mniej pomiędzy sobą wadzą się i kłócą bezustannie. „Unia“ z r. 1817 łącząca pozornie dwa w niektórych punktach całkiem sprzeczne z sobą wyznania, luterskie i kalwińskie, na papierze je pogodziła, ale w rzeczy samej nie, bo prawowierni luteranie pozostali luteranami, a kalwini kalwinami, unię zaś samą przyjęli na seryo ci tylko, którzy w rzeczach religii byli obojętni. Nic zatam dziwnego, że te rozmaite kierunki wyznaniowe z sobą się ścierają, a zwłaszcza od czasu, kiedy Hanower i Schleswig, gdzie luterskie wyznanie przeważa, do Prus przyłączone zostały. Jedni z nich trzymają się jeszcze wyznania augszburckiego, inni reformowanego czyli kalwińskiego, znaczna liczba przyznaje się do „Unii“, a pewno największa mała się troszczy o wyznania i trzyma się li tylko składu apostolskiego. Nadworni nawet predykanci, którzy ton nadają, porzucili już pojedyncze wyznanie i ograniczyli się na obronę składu apostolskiego. Ci zaś, którzy jeszcze pozostali wiernymi swym wyznaniom, a tych mała tylko garstka, oburzają się na tę słabość w obawie, że ich własni zwolennicy z czasem resztę nauki chrześcijańskiej uronią. Jakoż gdy w synodzie jednego okręgu berlińskiego (Berlin-Coeln), do którego należy tum i predykanci nadworni, zrobiono wniosek o uchylenie z agendy składu apostolskiego przy sprawowaniu sakramentów i innych obrzędów kościelnych, aby nie zmuszano tym sposobem do odmawia-

nia go tych, którzy w treść jego nie wierzą, jak np. ojców chrześcijańskich i t. p., predykanci nadworni zamiast bronić do upadłego tej resztki wiary chrześcijańskiej, zrobili wniosek omijający walkę i odraczający rzecz do wspólnego się zebrania synodów okręgowych Berlina i decyzji zwierzchności kościelnej. Działo się to w roku 1878. Rzecz ta musiała w samym Berlinie zaniepokoić umysły obawą, że przyjdzie do zupełnego rozdwojenia, gdyż predykanci nadworni uczuli potrzebę wydania listu pasterskiego do tegoż okręgu. Pomiędzy innymi, dla nas katolików niepojętymi dziwactwami, znajdują się w tem piśmie słowa pociechy dla tych szczególnie, którzy się rozdwojenia obawiali. „Nie dopuszczajcie zwątpienia — mówią autorowie tego głosu pasterskiego — nie dajcie wzmóc w sobie, jakobyśmy lub kto inny mieli zamiar, wszystkich słabych i na pół wierzących, a nawet samych niewierzących tylko z łona kościoła naszego wykluczyć. Kto wam to mówi, to nie wie, co mówi, a jeśli wie, to się dopuszcza oszczerstwa. My rozróżniamy pomiędzy członkami a przywódcami kościoła. Nikogo nie przymuszamy do wystąpienia, dopóki go miłość do naszego drogiego kościoła ewangelickiego ożywia i trzyma; przeciwników nawet kościoła nie oddalamy“ (Wyjęte z Westermayer. *Luthers Werk im Jahre 1883*). A zatem luteranie i kalwini, kwakry i mormony i t. d. wierni i niewierni mogą być członkami tego prawowierznego kościoła ewangelickiego, dopóki tylko sami w nim zechcą pozostać. Tu się już żółci ułało starym luteranom, takiego chaosu w wierze już znieść nie mogli i wystąpili ostro przeciw tej połowicznej ortodoxyi predykantów nadwornych. Szczególnie pastor luterski Schüler zaczepia nielitościwie tę pruską ortodoxyą unii w ciekawej książce noszącej tytuł: „Znamiona śmierci na krajowym kościele Prus“ (*Todeszeichen an der preussischen Landeskirche. Leipzig 1878*). Wyliczywszy im wiele ciężkich grzechów przeciw ortodoxyi popełnionych, powiada narreszcie: „w rzeczy samej któż może te wszystkie środki, jakimi pruscy predykanci nadworni ich kościołowi w godzinie jego śmierci pomoc przynoszą, bez wstydu, bez bólu, ale także bez oburzenia czytać?“ W samem gronie predykantów nadwornych nie masz zgody. Podczas, gdy p. Stoecker szuka dla kościoła ewangelickiego pe-

wnej konstytucyi i stałej powagi, jak niegdyś Stahl — własny jego kolega Baur powiada: „Podług naszego przekonania kościół spoczywa na gminie: gmina decyduje o jego konstytucyi, gmina wybiera sobie duchownych, gmina orzeka o wyznaniu wiary tak, iż kościół protestancki jest wyrazem woli potestanckiej ludu“ (Westermayer. l. c. str. 101). Dokądże taka teorya w następstwie logicznem koniecznie prowadzi? Jeśli gmina wydała z siebie w sposób naturalny naukę chrześcijańską, jej głosiciele czyli kapłanów i biskupów, musiała także koniecznie wydać z siebie i apostołów, a następnie i tego, w którego imieniu apostołowali t. j. Chrystusa. Nauka zatem chrześcijańska nie jest nauką objawioną, nieomylną i niezmienną, ale utworem ludzkim, wymysłem rozumu i wyobraźni, a Chrystus nie Synem Bożym, ale zwyczajnym śmiertelnikiem. To są konsekwencye marzeń o kościołach ludowych, nadwornych. Pomiędzy samymi ortodoxami takie fundamentalne zachodzą różnice.

Tak nazwani reformatorowie XVI-go wieku odrzuciwszy hierarchią kościelną z ustanowienia boskiego pochodzącą, nie mogli jej także przekazać swoim następcom, a potrzebując pomocy i opieki książąt świeckich, nadto szukając w tym odmieńcu jakiego takiego porządku i ładu, oddali władzę biskupią, której sami nie mieli, w ich ręce. Skwapliwie pochycili ją więksi i mniejsi monarchowie i dzierżą ją do tej chwili w charakterze *summorum episcoporum*. Lubo protestanci od dawna usiłowali wydobyć swój kościół z pod świeckich rządów monarchów przez nadanie mu jakiegokolwiek autonomii i niezawisłości, to im się jednak nie udało, a od czasów życia konstytucyjnego stała się ta kwestya dla nich palącą i stanowi do dziś dnia przedmiot sporów i kłótni w jednym i drugim obozie, chociaż logika jak najoczywiściej wykazuje, że tej kwestyi nigdy nie roztrzygną stanowczo, dopóki się na protestanckiej opierają zasadzie. Śmiesznością bowiem jest, budować organizm katolicki na antykatolickim fundamencie. Już Stahl, jeden z znakomitych prawników i teologów protestanckich (1859) śmiało się przeciw rządowi królewskiemu w kościele oświadczył: „rządzenie kościołem przez monarchów jest rzeczą w kościele aż do reformacyi nieznaną i ewangelia o takiej władzy kościelnej nie

nie wie. Nie należy do świeckiej zwierzchności, sprawować rządy kościoła, piastować powagę, która wszystko w kościele urządzi; nie należy do niej przywłaszczać sobie prawa biskupie, pełnomocnictwo władzy rządzenia, złane na apostołów w owem: *paß owce moje*“. Stahl żąda dalej zaprowadzenia systemu episkopalnego z wyjątkiem papieża, aby do jakiejś przynajmniej przyjąć powagi. Na to mu słusznie przeciwnicy odpowiedzieli, że obdarłszy propozycje jego z frazeologii protestanckiej, będziemy mieli wykoślawiony Kościół katolicki, lepiej tedy do prawdziwego powrócić, niż mizerne naśladowanie przyjąć. Lecz przypuśćmy, żeby prawowierni byli przyjęli propozycje Stahla i ustanowili biskupów, cóżby na tem byli zyskali? Cóżby miał za znaczenie, za powagę biskup przez nich lub przez rząd ustanowiony? Jakże mu mogą dać to, czego sami nie mają t. j. władzę duchowną od apostołów pochodzącą? Wszakże Fryderyk Wilhelm IV. zrobił tę próbę, a na cóż się to przydało? Powaga takiego biskupa, chociażby go wszystkimi godnościami i dostojenstwami obsypali, będzie jednak w rzeczach wiary powagą tylko ludzką, taką samą, jaką mają superintendenci, królewskie konsystorze, najwyższa rada kościelna, ministrowie kultu i sami nawet królowie. Jest to zatem także kołem błędnem, z którego na obranej drodze nigdy nie wyjdą. W sierpniu b. r. kiedy wstępne przygotowania do obchodów Luterskich już były w biegu, odgrzebali prawowierni znowu, a w szczególności „Reichsbote“ projekt Stahla o zaprowadzeniu systemu episkopalnego. Upojeni zwodniczą nadzieją, że uroczysty obchód czterowiekowych urodzin Lutera obudzi uspiomy całkiem zapach religijny, którym wsparci zdołają utworzyć jakąś powagę celem ukrócenia niewygodnych i niebezpiecznych zapędów skrajnej swej lewicy. Mniemamy, że już osiągnęli, lub jeszcze osiągną całkiem coś przeciwnego temu, co zamierzali.

Oto stan w najciaśniejszych, jak można, skreślony ramach dzisiejszej prawicy czyli ortodoxyi protestanckiej. Grono to nie-liczne, silne tylko potęgą materyalną, bo stoi u steru, a niepodobienstwem jest, aby *summus episcopus* miał stanąć już dziś po stronie Hartmanna, czyli zupełnej niewiary. Lecz, gdyby się karta miała odwrócić i lewica przyszła do rządów, skurczyłoby się to

szczupłe gronko jeszcze bardziej. Ten tedy obozisk wiernych luterskich bez pewnej i stałej podstawy boskiej, bez fundamentu nawet teoretycznego, na którymby się śmiało mógł oprzeć, wewnętrzną trapiony niezgodą, która go na rozliczne dzieli stronnictwa i partye, zmuszony liczyć się z najrozmaitszemi względami u góry i na dole, ma skutecznie stawić czoło i wytrzymać atak liczniejszej bez porównania lewicy, opartej na stałych, choć równie fałszywych zasadach, mającej konsekwencyą po sobie, nie skrępowanej żadnemi względami, ulubienicy masonii i niesionej na barkach tak zwanej opinii publicznej. To walka dla ortodoxyi zbyt nierówna, aby z niej wyjść zwycięsko. Podług naszego zdania wygrana już jest po stronie lewicy. Potężne tylko ramię świeckie podtrzymuje jeszcze tę z gruntu podminowaną, a w spójniach swoich spruchniałą i roztoczoną budowę. „Tryumf państwa, mówi Hartmann, nad katolicyzmem zdmuchnąłby („ortodoxów“) tych lichych przeciwników jak pył ze starej księgi“ (Tamże str. 32).

Za długo zatrzymaliśmy się w obozie ortodoxów w stosunku do całości rozprawy. Pochodzi to ztąd, że w tem stronnictwie mamy jeszcze znaczne szczątki chrystyanizmu, wyniesione niegdyś z Kościoła katolickiego i dotąd nie uronione całkiem. Z tej przyczyny znajdujemy się z niem, iż tak powiem, w jakimkolwiek pokrewieństwie. Mniejsza o to, że z fałszywej wychodząc zasady, mogą tylko mocą sprzeczności niektóre prawdy chrześcijańskie czyli objawione utrzymać, zawsze się jednak do nich przyznają i wspólnie z Kościołem katolickim je wyznają. Powtóre, to stronnictwo w tej chwili reprezentuje w wszystkich krajach niemieckich, a nawet i dalej „kościół oficjalny“, piastuje w swoim ręku władzę kościelną i dla tego ma wpływ przeważny szczególnie w sferach duchowieństwa protestanckiego, bo od niego zawisło obsadzanie posad predykanckich.

Protestantyzm ze zdobyciem i ustaleniem wolności w wszystkich dziedzinach umysłowego życia narodów, dochodzi w swoim rozwoju historycznym do ostatecznych wyników swojej pierwiastkowej i fundamentalnej zasady. Dzieło tak nazwanych reformatorów XVI-go wieku samo się swoją wewnętrzną ne-

gacją pożera i pochłania tak, jak każda rewolucya. Dopoki rządy absolutne, a szczególnie protestanckie trzymały tę potęgę negacyi w karbach, nie mogła się rozwijać i na widowni świata zupełnie jawnie manifestować; lecz, gdy jej przyszła rewolucya polityczna w pomoc i te pęta policyjne, sięgające aż do tajnik przekonania potargała, pokazała wkrótce czem w zarodzie swym była i czem w rzeczywistości jest. W Prusach z objęciem rządów przez cesarza Wilhelma, w charakterze następcy tronu 1878 podniosło stronnictwo liberalne śmiałej głowę i rozwieliło się na dobre. W programie dnia 8 listopada tegoż roku do ministerstwa wydanym dodał im szczególnie ten ustęp otuchy: „W kościele ewangelickim zagnieżdżyła się ortodoxya, zaprzeczyć tego nie możemy, która z jego zasadniczą myślą nie da się pogodzić i w następstwie swem nieuchronnie obłudników rodzi. Ta ortodoxya zbawiennemu wpływowi ewangelickiej unii stoi na przeszkodzie tak, iż rozpadnięcie się jej było niedalekiem. Utrzymanie i dalszy jej rozwój jest moją stanowczą wolą i postanowieniem, co nie wyklucza słusznego uwzględnienia wyznaniowego stanowiska, jak to odnoszący się do tego przedmiotu dekret przepisuje. Aby to zadanie spełnić, trzeba troskliwie wybrać odpowiednie organa do jego przeprowadzenia, a po części zmienić. Wszelką obłudę, wszelkie świętoszkowanie, wszelkie używanie spraw kościelnych za środek do celów egoistycznych, należy, o ile tylko można, bez litości odsłonić“. To dodało lewicy odwagi i mocy, ta wolność przyspieszyła rozłączenie tego kościoła ewangelickiego. Dziwnem to zapoznaniem, a raczej nieznajomością rzeczy twierdzenie, że Kościół katolicki nie znosi wolności tak, jak protestantyzm, kiedy przeciwnie wszędzie, gdzie tylko Kościół katolicki używa wolności, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w Anglii, wzrasta i kwitnie, podczas gdy protestantyzm wypuszczony z pod niewolniczej opieki rządu, rozpada się nie już na kawałki, ale na pył i dobiega do najzupełniejszego nihilizmu religijnego. Takie objawy ponawiające się wszędzie i zawsze nie są przypadkowe, ale są w najściślejszym związku z zasadami jednego i drugiego. Kościół katolicki nie znosi swawoli, ale wolność prawdziwa jest jego żywiołem; przez trzy wieki bronił wolności sumienia przeciw starożytnemu po-

ganstwu, a teraz broni jej przeciw nowożytnemu. Lubo Kościół nie uważa zupełnego rozdziału kościoła od państwa za stan normalny i słusznie, to jednak przenosi go nad stan niewoli, chociażby nawet złotej. Ileż to razy wnosili w sejmie pruskim katolicy przyciśnieni niewolą ustaw majowych w ciągu „Kulturkampf“ o zupełny rozdział kościoła od państwa, aby z dwójga złego wybrać mniejsze! A cóż im na to rząd, liberały i nieliberały odpowiedzieli? Udarowanie Kościoła katolickiego wolnością byłoby rozbiciem naszego kościoła ewangelickiego, który się wobec niego nie utrzyma. Takie fakta powinnyby tym nawet, którzy zasad jednego i drugiego nie znają i tylko obce frazesa powtarzają, oczy otworzyć.

Trzysta lat było potrzeba do roztoczenia dzieła tak nazwanej reformacji. Jest to wprawdzie przeciąg czasu bardzo długi, ale wobec Boga, wobec życia ludzkości niczem. Aryanizm też tak długo prawie przetrwał, nim bez śladu zniknął, a później w słabej kopii socyanizmu się pojawił, aby się w nim rozpląnąć. Przebieg tego rozkładu odbywał się z powodu nacisku rządów protestanckich i nadwornych teologów wolno i w pewnych stadyach. Pierwsze i wszystkie fatalne następstwa zawierające w sobie stadyum było oderwanie się czyli apostazy od Kościoła, zaprzeczenie żywej i wiecznej w Kościele obecnej powagi, przez Chrystusa Pana ustanowionej. Z biblią w rękę protestowali mniemani reformatorowie przeciw nauce i powadze Kościoła i deptali prawidła rozumu. Ortodoxya bez przyrodzonego światła rozumu szalała i parła powagę biblii do ostateczności, do śmieszności. Każdy wyraz, każde słowo tych ksiąg stało się inspirowane, netykalne. Ta martwa powaga na martwej także musiała się opierać literze, bo żywego słowa nie było. Lecz wkrótce rozum praw się swoich dopomniął, krytyka dowiodła, że w jednym manuskrypcie są wyrazy takie, a w drugim inne itd. W XVIII-ym wieku zaczyna panowanie swoje rozpościerać płytki i swawolny racjonalizm, obdziera tę jedyną powagę najpierw z cudów, a następnie z charakteru nadprzyrodzonego objawienia i z wszelkiej treści wzniosłych idei religijnych. Ta poziomość i wodnistość ówczesnej exegezy protestanckiej i opartego na niej kaznodziej-

stwa oburzyły do żywego samego Schellinga, który w biblii mniemał znaleźć idee swojej spekulacji filozoficznej. Uniesiony gniewem na tych mizernih teologów porównywa ich z owymi „nieszczęsnymi Dantego, których niebo wyrzuciło, a piekło przyjąć nie chce“ (Vorlesungen über die Methode des akademischen Studium. Tübingen 1803 s. 21). Nie mniej Hegel nietościwie w swej „Filozofii religii“ zaraz na wstępie odsłania nędzę tego płytkiego racjonalizmu w teologii. Lecz i on nie czyni tego z gorliwości w obronie prawd chrześcijańskich, ale z powodu, że w tajemnicach wiary chrześcijańskiej znajdował ukryte idee swej panteistycznej filozofii. Ta nieracjonalna początkowa hyperortodoxya, jak ją słusznie nazwano, przedzierzgnęła się w hyperracjonalizm najpospolitszy, który ją pozbawił wszelkiej treści chrześcijańskiej i spoczął na czczym i pustym deizmie. Ten ani rozumu ani serca ani wymagań etyki zaspokoić nie był w stanie. Gdy tedy najpierw Schelling, a potem Hegel w swym na pozór idealnym panteizmie mówił, używając terminologii chrześcijańskiej, o Bogu Ojcu, o Synu Bożym, o Duchu św. i t. d., myśleli wszyscy, którzy niedostatecznie z filozofią chrześcijańską obeznani byli, że Hegel prostuje i objaśnia wielkie prawdy chrześcijańskie właśnie, gdy je roztoczył zupełnie i na nihilizmie skończył. Rząd sam łudził się długo i uczniom tej szkoły wszędzie we wszystkich gałęziach administracji, sądownictwa i naukowych zawodów do kariery wrota otwierał. Dopiero, gdy wystąpił uczeń jego, Dawid Strauss i teorye jego panteistyczne zawsze mniej lub więcej ciemne, wiernie zastosował *in concreto* w r. 1835 do religii w dziele „Żywot Jezusa“, przerazili się ci nawet, którzy temu kierunkowi sprzyjali. Są bowiem ludzie, którzy ogólne zasady, teorye, które dla nich mgłą są okryte, przyjmują, ale przed następstwami się wzdrygają. Tymczasem logika i myśli i faktów jest nieubłagana. Protest przeciw żywej powadze boskiej w Kościele doprowadził z żelazną konsekwencyą do protestu przeciw martwej powadze boskiej, a protest przeciw martwej powadze boskiej, przywiódł do protestu przeciw Chrystusowi, a ten przeciw Bogu. Tak apostazyja XVI. wieku od Kościoła doszła konsekwentnie do apostazyi od chrystyanizmu, co więcej, do antychrystyanizmu,

i do apostazy od Boga — ateizmu; a ostatnim szczeblem tego straszliwego upadku jest nienawiść Boga (odium Dei), czego już nie zbyt rzadkie mamy dowody. Słusznie zatem jeden z dawniejszych deputowanych Izby poselskiej pruskiej, postępowy protestant prezes sądu apelacyjnego w Opolu, Kirchmann, powiada: „Nie prawdą jest, jeśli kto dzieło Lutra za reformacją uważa; mimo jego dobrych intencji nie możemy w nim uznać reformatora, ale raczej *dewastatora wiary i kościoła*... Gdyby (Luter) te następstwa był przewidział, byłyby go z pewnością od spełnienia swego przedsięwzięcia odstraszyły“¹⁾.

Taki jest dziś stan liberalnego czyli właściwego, bo konsekwentnego protestantyzmu. Negacya zakończyła na tem polu swoją pracę, bo już nie pozostało nic do negowania. „Historycznym zadaniem protestantyzmu, mówi na innem miejscu Hartmann (l. c. s. 12), było zaprzeczyć, zburzyć i zniszczyć dogmata chrześcijańskie.“ Tego dokazał już na polu teoryi i nauki, a w rzeczywistości rozpoczyna dopiero pracę w socyalizmie i komunizmie. Różnice i kierunki są w nim rozmaite, jak w ortodoxyi; jedni, nie oglądając się na nic, występują otwarcie, jaskrawo z swoim przekonaniem na jaw, drudzy nieśmiało i trwożliwie, aby jeszcze jako tako wierzących zbytecznie nie zrażać i do uczęszczania do zboru zupełnie nie odstręczać, lub karyery sobie nie tamować; ale w rzeczy samej wszystkie te kierunki i odcienia z jednego pnia wyrastają i ten sam wydać muszą owoc. W naukach i kazaniach posługują się tego rodzaju profesorowie, predykanci i t. d. terminologią chrześcijańską tak, iż nieświadomych łatwo w błąd wprowadzają, mówią n. p. o wcieleniu Syna Bożego, a rozumieją przez to odwieczne i nieustanne przechodzenie idei absolutnej w rzeczywistość; mówią o Synu Bożym, a rozumieją przez to każdego śmiertelnika; mówią o nieśmiertelności duszy, a rozumieją przez to rozpląnienie się inwidualnej eksystencji w morzu wszechświata, gdzie wprawdzie nie ginie abso-

¹⁾ Die Reform der evangelischen Kirche in Lehre und Verfassung mit Bezug auf die preussische Synodalordnung vom 20 Januar 1876. s. 29 i t. d.

lutnie, jak nie ginie, ale osobno nie żyje. W ten sposób wyobrażenia czysto pogańskie przybierają w chrześcijańskie szaty. Na zarzut, że te wyobrażenia oddziela nieprzebyta przepaść od prawd chrześcijańskich, że zatem uroczystości roku chrześcijańskiego w takim systemie nie mają wcale sensu, a następnie nie mogą być obchodzone, odpowiada Lang: „Nie możemy obchodzić Bożego Narodzenia? Czyż dlatego, żeśmy doszli do poznania, że powieści ewangeliczne o Bożem Narodzeniu są tylko wonnym kwiatem rozgrzanego przez Chrystusa serca pobożnego, wieńczącym fakt tęsknoty całego świata za wyzwoleniem z ucisku i niepokoju, które w religii synostwa Bożego znalazł? Nie możemy obchodzić więcej Wielkiego Piątku dla tego, że już nie wierzymy w śmierć Boga, który dla przebłagania gniewu swego zstąpił na ziemię i krew swoją przelał?“ (Hettinger. Die Krisis des Christenthums 58. itd.). W tym tonie broni autor dalej stylem kwiecistym swego stanowiska chrześcijańskiego, na tle pogańskiem spoczywającego.

Dziwna doprawdy rzecz, że ci apostaci, ci nowożytni poganie, jakieśmy z przytoczonego miejsca przekonać się mogli, przywłaszczają sobie miano chrześcijan. Już na Straussa, który w swoim wyznaniu: *Stara i nowa wiara*, przed dwunastu laty na pytanie: czy jesteśmy jeszcze chrześcijanami? stanowczo odpowiedział, że „nie“, podniesiono krzyk w łonie liberalnego protestantyzmu na tę zniewagę im wyrządzoną. Przykro to zaiste być mogło profesorom teologii ewangelickiej i predykanom czystej i nieskalanej ewangelii powiedzieć w oczy: nie jesteście wcale chrześcijanami, chociaż nauczycielami religii chrześcijańskiej jesteście. A niewątpliwie tak było już za Straussa, i tak jest dziś. Nie śmieli tej ostatniej i koniecznej konsekwencji wyciągnąć, czy ze wstydu przed samymi sobą, czy przed światem; dość, że stosunek ich do konsekwentniejszych, jak Strauss i t. p. stał się tym samym, co ortodoxów do nich. Takie połowiczne stanowisko jest na czas dłuższy niepodobnem, a nawet pod pewnym względem nieuczciwem.

Słusznie tedy pyta ich Hartmann: „Jakiem prawem libe-

ralni protestanci, krom tego, że rodzice dali ich ochrzcić i konfirmować, śmia się nazywać chrześcijanami? Po wszystkie czasy było i jest wszystkich wyznawców religii chrześcijańskiej wspólnem znamieniem: wiara w Chrystusa. W Boga Chrystusowego wierzą żydzi i mahometanie także, a w Chrystusa, jako mądrego, cnotliwego i szczerólniejszej miłości Boga godnego proroka wierzą i mahometanie. Gdyby to wystarczało, wierzyć w Chrystusa, jako rozumnego, religijnego, mówię, ludowego, toby mahometanie tak samo, jeśli nie słusniejsze mieli prawo do nazywania się chrześcijanami. Wiara zatem w Chrystusa musi być w treściwszem i ściślejszem znaczeniu wziętą, jeśli ma komuś nadać prawo noszenia imienia chrześcijańskiego. Tymczasem z tego, cośmy wyżej powiedzieli, przekonaliśmy się, że liberalni protestanci, nie mogą wierzyć w Chrystusa ani tak, jak w Niego wierzył Luter, ani tak jak Tomasz z Akwinu, ani tak jak Paweł, ani tak jak Piotr, a najmniej tak, jak Jezus sam w sobie jako Chrystusa (Namazańca, Messyasza) wierzył. Jakże tedy inaczej wierzą w Niego? Wierzą w Niego jako założyciela religii chrześcijańskiej* (l. c. s. 64 i 65). Dalej dowodzi Hartmann, że taką wiarę w Chrystusa mają i wszyscy niechrześcijanie. Jakoż w rzeczy samej i my wierzymy, że Mahomet był założycielem religii mahometańskiej, a czyż dla tego jesteśmy wyznawcami jego religii?

Ta zatem cała część liberalnego protestantyzmu, która się od dawna wyparła Chrystusa, jako Syna Bożego i jego nauki, a nie śmie się z katedr teologicznych i ambon nazwać po imieniu, znajduje się w takim samem położeniu nieznośnem, jak stronnictwo ortodoxów i rychlej czy później zostanie parte konsekwencyą nieubłaganą ostatnie wyrzec słowo. Z dwóch stron parzone ogniem przez ortodoxów i skrajną lewicę, nie ma żadnego rozumnego wyjścia. Zarzuty z obu stron miotane, że krom nie logiczności dopuszczają się nierzetelności, że w znaczeniach chrześcijańskich podają ludowi naukę wiary i moralności niechrześcijańską, a nawet antychrześcijańską, pogańską, że ludzą frazeologią chrześcijańską siebie i drugich, są tak ugruntowane

i słuszne, iż nie masz argumentów ani sofistycznych wybiegów i wykrętów na skuteczne ich odparcie — *impū in circuitu ambulans*. Bądź co bądź i ta część stronnictwa liberalnego rączo pracuje nad wykorzeniem chrystyanizmu.

Taki jest stan obecny protestantyzmu w Niemczech. Zobaczymy później, jak się te stronnictwa zeszeregują w obchodach czterowiekowej rocznicy Lutra. (C. d. n.)

Jan Ostoja.

Z ŚRODKOWEJ AFRYKI.

Jak niegdyś Hiszpania i Portugalia, tak dziś Anglia przoduje odkryciom i badaniom geograficznym, plon dalekich wędrówek składając przeważnie w ręce kierowników czasopisma, będącego organem Towarzystwa geograficznego. Chcąc więc z pierwszej ręki otrzymać wieści o nowych zdobyczach pionierów oświaty, należy czerpać w czasopiśmie równie ciekawem, jak szacownem, którego sam tytuł dostatecznem jest zaleceniem: *Proceedings of the Royal geographical Society and Monthly Record of Geography.*

Jeśli w XVI. wieku wszystkie żeglarzy usiłowania zmierzały ku odkryciu pól bajecznych Indyi, dziś główny interes podróżników i badaczy skupia się w owem tajemniczem łonie Afryki, domniemanem pustkowiu bezwodnem, gdzie dopiero nowsi wieku naszego wędrowcy wykryli utajone bogactwa, świetność roślinną, skarby tym strefom właściwe, oraz ułatwiony do nich przystęp mnogością niesłychaną wód, tworzących przyrodzone drogi handlowe.

Z pośród nazwisk, które niby światła przewodnie, w tym kierunku błysnęły, najsympatyczniejszym jest niezawodnie imię Stanleya. Wsławiony odszukaniem Livingstona, dał się lepiej jeszcze poznać czytającej publiczności zapiskami z później odbytych wędrówek *Across the dark Continent*, jak trafnie opiewał tytuł podróży, wiodącej zarazem przez ciemną murzynów krainę i przez dolinę cieniów śmierci. Nic jednak bardziej nie przywiązuje do miejscowości nad trud osobiście podjęty. Ztąd też Stanley nietylko życie poświęcił całe na bliższe rozpoznawa-

nie tej olbrzymiej rzeki, przy ujściu swem Kongo nazwanej, choć krajowcy w dalszych jej zakątkach mianują ją Sualabą, a nowsi badacze przechrzcili ją próbując na Livingstonię; otóż Stanley nie zadawałnając się obieganiem brzegów głównej wodnej arteryi środkowej Afryki, nadto stałe tam założył stacye. Jeden z ostatnich poszytów angielskiego czasopisma geograficznego przynosi nam urywek z dziennika podróży przyrodnika H. Johnstona, opisujący owe nadbrzeżne stacye. Autor przybył do Afryki w listopadzie 1882 r. z zamiarem studyowania historii naturalnej porzeczka Kongo. Tymczasem zaledwie rozpoczął swe badania u ujścia samego rzeki, a następnie dotarł do Vivi, niedalekiej osady belgijskiego stowarzyszenia międzynarodowego, otrzymał uprzejme zaproszenie od Stanleya, aby odwiedził go w jego siedzibie i zarazem posunął w głąb kraju zakres studyów przyrodniczych. Z początkiem tedy 1883 r. Johnstone ruszył w drogę, pod przewodnictwem trzech ludzi dodanych mu przez samego Stanleya i z odpowiednią karawaną. Prosta ścieżka, ginąca nieraz w trawach lub bagnie, jedyną stanowiła drogę, załamującą się z góry na dół, przez skały i leśne doliny, przez błota i potoki. Widnokrąg cudowny przybierał niekiedy rodzime cechy, w miejscach gęsto zarosłych jodliną i paprocią, co podróżnym przypominało lasy ojczyste. Gwałtowne deszcze nie pozwalały jednak używać rozwijającego się przed oczyma widoku. Zapewne skutkiem wilgoci i znużenia, stanąwszy u celu podróży, po kilkotygodniowych niewczasach p. Johnstone zapadł na zdrowiu i pierwsze tygodnie pobytu w Leopoldville spędził w łóżku.

Leopoldville jest główną stacją założoną przez Stanleya nad t. zw. Stanley Pool, czyli jeziorem, a raczej stawem Stanleya. Staw ten powstał z rozlewu rzeki Kongo i obejmuje spory kawał kraju, bo 25 mil angielskich długości a szesnaście szerokości. Doliczyc się można na tej przestrzeni siedmnastu znaczniejszych wysep, a prócz tego jezioro Stanleya obfituje w mielizny piaseczyste, sterczące nad powierzchnią wód; w porze suchej roku nie brak tam i pływających wysepek, wzrosłych ze zbitej bujnie roślinności; splecione silnie korzenie i łodygi wytwarzają niekiedy pomost, po którym człowiek bezpiecznie stąpać może.

Owo rozlanie rzeki przedstawia tu kształt miednicy, okolonej malowniczymi górami, których wysokość domniemaną liczyć można na 1000 do 4000 stóp nad powierzchnią morza. Brzegi same jeziora nierówne przedstawiają cechy. Od strony północnej i północno-wschodniej widok rozwija się piękny. Mur leśny zda się z wód wyrastać, a płynąc w niebotycznych drzew cieniu, nie dojrzyśz niemal ich szczytów i koron. Po drugiej stronie białe kredowe skały, uwienieczone zieloną murawą, stanowią krawędź jeziora. Powoli z obu stron wybrzeża się zniżają, i zamieniają w płaszczyznę gęsto lasem porosłą tak, iż gdy podróżny stanie w Brazza Ville osadzie francuskiej, położonej naprzeciw głównej stacji Stanleya, już ląd na równi z poziomem wody się znajduje. Tu spotykamy się z spóźzawodnictwem europejskich narodów, walezących o pierwszeństwo w tych odległych strefach. Francuzko-włoski podróżnik de Brazza założył tu osadę nie dotąd nieznaczącą, ale podobno marzy o zdobyciu niedalekiego punktu, stanowiącego poniekąd klucz całej żeglugi i zwanego Gibraltarem Stanleyowskiego jeziora. Jest to skała z czerwonej gliny, wystająca na pięćdziesiąt stóp nad powierzchnią wody i panująca nad miejscem, w którym jezioro się zwęża w wypływającą dalej rzekę. Prąd tu szalony i niebezpieczny. Owa skała nazwana została *Calina Point*, odkąd belgijski oficer tego nazwiska tutaj się utopił. Krajowcy dotąd nie chcą przystać na założenie tamże europejskiej stacji i stanowczą dali odprawę tak francuzkiemu jak i angielskiemu podróżnikowi.

Z końcem lutego p. Johnstone wybrał się dużą łodzią w kierunku Bolobo, najdalszej, w głąb kraju wysuniętej nadbrzeżnej stacji Stanleya. Wszelako nowe ulewy zaraz na wstępie utrudniły mu podróż i zmusiły go do schronienia się w gościnne progi mieszkańców wioski, nie bardzo dla Europejczyków przyjaznej. Zmokłego wędrowca łaskawie jednak przyjęto w jednej z chat nadbrzeżnych, której schludność zachwycała Anglika. Mimo rozpalonego w środku ogniska i dymu napełniającego izbę, ogólnym wrażeniem był porządek, z jakim w około rozwieszono i rozmieszczono sieci rybackie, rogi, haki, wory z kozłej skóry itp.

Nazajutrz, 21 lutego p. Johnstone w dalszą puścił się wędrówkę, podziwiając wspaniałe rozszerzenie Stanleyowskiego jeziora, które mu się teraz w całym przedstawiło ogromie. Na nieprzeliczonych wysepkach rosła palma z gatunku *Borassus*, odznaczająca się symetrią i pięknnością kształtu, oraz mnóstwem wiszącego na niej jaskrawo-żółtego owocu. Roślinność tych wysep świetnością zachwyca, mnóstwo żółtych kwiatów i liliowych powojów urozmaica zieloność, na której błyskają zdala szkarłatne strączki pewnego rodzaju wijącego się grochu. W gąszczu pełno ptactwa i świergotu, hipopotamów w tych wodach nie brak. Nasz podróżny zoczył ich kilka stad, liczących zawsze około dziesięciu sztuk, które trzymały się razem. Zwierzęta te tak są śmiałe, tak bez trwogi zbliżają się do ludzi i łodzi, iż możnaby przypuścić, że nie wielkiego doznają tu przesładowania. Tymczasem ustawicznie krajowcy na nie polują. Możliwość sądzić, iż się jest w obrębie jakiego zoologicznego ogrodu, tak się te olbrzymie potwory śmiało do człowieka zbliżają. Nieraz też, gdy poziewając otwierały paszcze zbrojne w kły błyszczące, przejezdny Anglik mimowolnie sięgał do kieszeni po bułki, które w dzieciennych latach zwykł był rzucać uwięzionym w menażeryach lub ogrodach zwierzętom. Po nad wodami przelatywały w znacznej ilości szare papugi, na przemian skrzecząc i świstając wdzięcznie.

Podróż trwała sześć dni, a rzeka, po wypłynięciu z Stanleyowskiego jeziora nierówną uderzała szerokością. Deszcze wciąż utrudniały żeglugę; po krótkim wytechnieniu w Msuata, wiosce stanowiącej jedną z najładniejszych i najweselszych stacyi Stanleya, podróżni udali się dalej, ku ujściu wielkich połączonych dopływów rzeki Kongo, zwanych Wabuma i Kwango. Ten ostatni płynie z Angoli i łączy się z Wabumą, nie zlewając wszakże wód wyraźnie barwą rozróżnionych: Wabuma ciemnoszafirowe ma fale, Kwango zaś mętno-żółte. Wabuma u ujścia swego do Kongo tak jest szeroką, jak Tamiza pod Londynem, wypływa zaś z jeziora Leopolda II., jak nowsi podróżnicy nazwali przestrzeń wód, stanowiących źródła tego znacznego dopływu.

Wielka osada z plemienia Bayansi znajduje się przy ujściu

połączonych rzek. Zdala mnogie i schludne domki malowniczością nęcą, prowadzi do nich szeroka droga, palmowe i bananowe drzewa gęsto porastają; zbliżka to miłe wrażenie się rozwiewa, z powodu straszego czarnego błota, w którym brodzić przychodzi. Lud w tej osadzie jest bezwarunkowo najpiękniejszy z całego kraju. Nasz podróżny twierdzi, iż jest coś greckiego w rysach i kształtach mieszkańców owej wioski. Wesoły wyraz opromienia ich pogodnie oblicza, włosy trefią w najdziwaczniejsze sposoby, to skręcając nad czołem niby rogi, to zaczesując w górę, to znów opuszczając je nisko; kobiety podobnież dziwy wyprawiają z czesaniem długich włosów, splatając je np. w mnóstwo małych warkoczyków, niby mysie ogonki, które sztywne i nastrzępione odstają od głowy. Pewna czerwona farba, wygotowana z kory drzewnej, służy im do ubarwiania paznogi, ciała i szat zarazem.

Domki w tej wiosce muszą być porządniejsze od wielu chat europejskich, skoro p. Johnstone wspomina, iż zwykle składają się z trzech izb, z których jedna służy za sypialnię, druga za kuchnię, trzecia za bawialnię.

Po kilkodziowym pobycie w Bolobo, nasz Anglik wrócił do Msuaty, i tam spędził sześć nader przyjemnych tygodni, studyując i rysując miejscowe ciekawości. Krajowcy go ujeli życzliwością uprzejmą i wesołym usposobieniem. Obok niezwykłej urody i siły posiadają oni rzadkie artystyczne zdolności, uwydatnione ozdobami ich sprzętów lub broni. Rozmówkami w muzyce, posiadają nadzwyczajny zmysł rytmu i harmonii, i na pięciostronnych narzędziach rzewne zawodzą tony. W mowie i ruchach przestrzegają ściśle spraw skromności, natomiast pomijają ją nieraz w rysunkach.

Za powrotem, angielski przyrodnik zastał Stanleya w Leopoldville i przepędził z nim przyjemnie dni dziewięć, żeglując w różnych kierunkach po jeziorze. Gdy jednak Stanley wybierał się w nową podróż wzdłuż rzeki, której poznaniu życie swe poświęcił, zabrał się i Johnstone w drogę ku wybrzeżom Afryki, chwając sobie książęcą gościnność z jaką go Stanley i jego towarzysze podejmowali.

Inny podróżnik w tym samym poszycie geograficznego czasopisma podaje nam nowe szczegóły o wnętrzu Afryki. Pan Last w jesieni 1882 r. odwiedził dwa plemiona osiadłe w wschodnio-środkowej Afryce, niedaleko Mamboia, zwane Mangaheri i Waitumba. Ci ostatni odznaczają się w górniczym kierunku, dobývając rudę żelazną i przerabiając ją na rolnicze narzędzia. Podróż ta miała tę ciekawą stronę, iż zawiodła pana Lasta w okolice gdzie dotąd nigdy europejska nie powstała noga. Dwójaki cel sobie założył: poznanie górnictwa afrykańskiego i zasianie choćby kilku ziarn chrześcijańskiej prawdy na tych dalekich równinach. Karawana składała się z dziesięciu tragarzy, przewodnika i kuchty. Ten ostatni niegdyś służył u Livingstona. Droga prowadziła pagórkowatą okolicą, zarosłą naprzemian lasem i bambusami. W około licznych wiosek każdy możliwy kawałek gruntu starannie był uprawiony i zasiany zbożem, ryżem, słodkimi ziemniakami, dyniami, tabaką, bobem i t. p. W niektórych nawet miejscach nasz wędrowiec spostrzegł sztuczną irygacyą, wybornie przeprowadzoną, a plony tych ogrodów wspaniale się przedstawiały.

Plemię Mangaheri składa się z spokojnych i cichych ludzi, ogólny ich charakter łagodnym i bojaźliwym być musi. Od czasu do czasu pojawia się mąż silniejszego ducha i żwawszego usposobienia. Ten nowe życie przelotnie wprowadza do całego pokolenia i w krótkim czasie zostaje dowódcą i panem całej okolicy. Pojedyncze osady, a raczej okręgi, tworzą poniekąd odrębne państwa, rzadko kiedy udzielając sobie wzajemnej pomocy. Gdy przyjdzie do bitwy i zbrojnego spotkania, krajowcy z wielkim hukiem strzelają bez celu, używając długich strzelb z krzesiwem; ale niechno tylko wróg choć jednego z nich uprowadzi w niewolę, natychmiast wszyscy w nogi uciekają jak zające. Jest to zresztą ogólnym rysem cechującym wschodnio-afrykańskie plemiona.

Szczupłe ich odzienie stawia ich jednak po nad inne głębiej zamieszkałe pokolenia, noszą bowiem perkalowe przepaski zamiast skór zwierzęcych. Te ostatnie służą im tylko za odzież roboczą, np. kobietom przy pracy w ogrodzie lub zajmowaniu się niemo-

włętami. Niedostatek zbyt skąpej szaty zastępują grubem smarowaniem ciała maścią wytworzoną z czerwonej glinki i tłuszczu zwierzęcego; utrzymują oni, iż to skutecznie chroni skórę od zimna. Każdy tu jest urodzonym budowniczym i kowalem: kują wcale zgrabnie broń różnorodną, lemiesz, haczki i inne rolnicze narzędzia. Kobiety przeważnie oddają się ogrodnictwu; a jeśli im cięższa wypadnie robota, męskiej wzywają pomocy. Przy żniwie wszyscy razem, i mężczyźni i niewiasty pracują. Po zebraniu zboża czas schodzi głównie na rozmowach, nawiedzaniu się wzajemnem i piciu krajowego piwa, t. zw. *pombe*. Nie jest to trunku zbyt upajający. Podróżnik widział ludzi pijących tak przez dzień cały, a za ledwie nad wieczorem stali się rozmowniejsi. W ogrodach głównie hodują zwykłe tych stref zboża, które tu plonowity wydają.

Domy czyli *tembe* budowane są po trochu na kształt naszych słowiańskich lepianek. Po ustawieniu głównych słupów, wyplatają ściany chróstem i tyczkami, wyrzucając to wszystko następnie czerwoną glinką, która i dach grubo pokrywa. Drzwi ciasne, okna małe, całość brudna i niewygodna, sprzętów niewiele.

Dalsza droga wiodła okolicą coraz mniej ludną i coraz nędzniejszą. Ciągłe napaści Arabów, a raczej dzikiego nadbrzeżnego plemienia, które na rzecz Arabów prowadzi wojnę i rabunek, niszczy tu systematycznie i wyludnia niegdyś pono kwitnącą krainę. Mieszkańcy tych gór mało się trudnią rolnictwem, zarzucili hodowlę trzód i bydła, aby wyłącznie oddać się zawodowi górniczemu, który ich snadź nie wzbogaca, mimo podjętych trudów.

Mężczyźni są tu rośli i silni, z pozoru przypominają fabryczną ludność europejskich kopalń rudy żelaznej. I u nich, jak to zwykle u rzemieślników się zdarza, widać ostrzejszy dowcip i żywszy umysł niż u sąsiednich rolniczych plemion. Kopanie i oczyszczanie rudy żelaznej głównie przez kobiety jest dokonywanem. Mężczyźni wyłącznie kują szacowny kruszec i przerabiają go na radła i pługi. Zdaje się, iż niegdyś obfitość rudy była tu o wiele znaczniejszą, może dla tego, iż głębiej w ziemi jej szu-

kano. Teraz co najwięcej kopią doły na dwie stopy głębokie, wydobywając piasek czerwony, w którym zaledwie pięć procent żelaza się znajduje. Szereg sztucznie zbudowanych studzienek, przez które zřęcznie przeprowadzono wodę strumyka, służy do mycia rudy, która wraz z kamyczkami na dno opada; zaczem ją suszą, a następnie wieją na kształt zboża, cięższe bowiem żelazo odłącza się od lżejszych stosunkowo kamyczków. Oczyszczony kruszec składa się natenczas w kosze, i w tym stanie nazywa się *mudapu*. Surowiec ten wymieniany na odpowiednią ilość czystego zboża, przechodzi natenczas w ręce właścicieli pieców, którzy go przetapiają.

Przygotowawszy odpowiedni zasób węgla drzewnego, przedsiębiorcy ustawiają dość misternie rury gliniane i miechy do dmuchania. Następnie w głębi odpowiedniej studni rozpalają ogień, i rzucają nań surowiec, przesypując warstwami węgla, w stosunku ośmiu garści na dwie garście kruszczu. Kilku ludzi ustawicznie dmie w miechy i rurami przepędza wiatr dla podniecania ognia. Gdy się już cały surowiec przetopi, zalewają ognisko wodą, i ostudziwszy wydobywają oddzielone od węgla łomy kruszczu, które raz jeszcze zostają na drobne kawałki rozbite, powtórnie przepalone, i dopiero na kamiennem kowadle dużym młotem kute, zkad już gotowe żelazo idzie do zwykłej kuźni, aby się przekształcać w narzędzia rolnicze lub obronne.

Z pośród ciekawych spostrzeżeń p. Last'a przytoczmy jeszcze społeczne podziały ludów wschodnio-afrykańskich: każdy naród rozpada się na pewną liczbę pokoleń, te zaś dzielą się na domy czyli rodziny, z których jedna bywa panującą i przewodnią. Każdy ród odznacza się właściwem godłem, zwanem *kolo*, np. lwem, wężem, bawołem, gołębiem, itp. Jeśli rodzina jeszcze pomniejszemu ulegnie rozdzieleniu na gałęzie, te znów przybierają odrębne *kolo* czyli herby.

Z opisów przebytych miejscowości warto wspomnieć dziwne w przyrodzie zjawisko jeziora znajdującego się na szczycie jednej z gór, które p. Last w owej wędrówce przebył. Jezioro to w narzeczu krajowem zwie się Tetemeko, okrywa przestrzeń nie całej mili angielskiej, a tak grubo jest zarostem posplataną z sobą ro-

ślinością, iż można bezpiecznie na niej stąpać, choć cała się porusza jak na sprężynach. W końcu, z pod tego naturalnie splecionego kobierca, wypada strumień najczystszej wody, smacznej i zdrowej do picia, co nie zawsze w tych stronach znaleźć można; właśnie zaś nasz podróżnik nieraz narzeka na niegodziwą wodę, którą w drodze orzeźwiać się musiał, a która dość dziwnym skutkiem sprawiała mu straszny ból zębów.

Zbudzony powszechnie interes dla sfinksowego wnętrza Afryki uwydatnia się w publikacjach towarzystwa geograficznego. Najwięcej niemal odgłosów z tamtąd nas dochodzi, a powyżej wzmiankowany p. J. T. Last stale dostarcza szacownemu czasopismu wiele zajmujących notatek i spostrzeżeń. Z innego poszytu wyjmujemy tegoż podróżnika zapiski dotyczące obyczajów plemienia Masai, zajmującego bezwarunkowo najznacniejszą przestrzeń ziemi w wschodnio-środkowej Afryce. Lud to rosły i kształtny, mało zachodzi różnicy wzrostu między mężczyznami a kobietami. Cery są ciemnej, niemal czarnej, włosy mają twarde i kędzierzawe, kobiety nie zbyt w czesaniu wymyślne, za to mężczyźni dziwy z włosów swych wyrabiają. Nie mogąc doczekać aby im długie urosły, wplatają doń łyeczko z pewnego krzewu, a wysmarowawszy to razem dobrze pomadą z tłuszczu i gliny, noszą warokcze kształtem swym przypominające ogony trzody chlewnej, tylko że na dwie stopy długie. Co do odzieży, ta bywa nader skąpą. Zwykle sukno, zwane *engobito* jest tu rzadkością wielką; odznacza dowódców, przystraja młodzieńców wychodzących na wojnę. Nie używają go atoli aby nagość swą osłonić, jeno jako ozdobę, zawieszoną na szyi, i wolno spływającą z ramion. Najzwyczajniejszym strojem męzkim od piętnastego do czterdziestego roku życia bywa t. zw. *olmagiti*. Jestto skóra bawola, rzemieciem u szyi związana. Dzieci najczęściej nago chodzą. Za to kobiety starannie bywają odziane, strój ich pełen skromności i mallowiedczego wdzięku. Ozdoby niemal wyłącznie noszą żelazne, mianowicie naszyjniki i naramienniki druciane. Głównem niewiast zajęciem jest chodzenie około bydła i dojenie krów rano i wieczór. Pomagają także czynnie przy budowie chat swoich.

Z broni, plemię to używa łuków i włóczni, maczug, nożów,

tarczy, oszczepów i szabli. Maczugi drewniane sami sobie wyrabiają, po żelazo muszą do sąsiednich udawać się ludów, nie posiadając tego kruszcu u siebie.

Domowemi zwierzętami Masajów są woły, krowy, owce, kozy i psy. Nie znają kotów ani drobiu. Tu i owdzie trafi się osiołek z lichego gatunku, żółto-szarej barwy. Główne bogactwo polega na liczbie wołów. W jednej tylko wiosce, gdzie dłużej p. Last bawił, mogło ich być do trzech tysięcy. Woły te są garbate, z wielkimi rogami, kozy i owce zwyczajnego tam są rodzaju.

Masajowie najlepiej lubią białe lub czerwone sukno, w cztero-łokciowych sztuczkiach kwadratowych. Cieszą się też niezmiernie kolorowemi paciorkami, ale nie ich zapachu do tyła nie wznieca co duże czerwone z białym środkiem szklanne perełki.

Najczęstszym powodem do wojny z sąsiadami bywa rabunek bydła. Plemię to posiada pewne pojęcia o Bogu — *Engai* — jako źródle wszystkiego dobrego, i szatanie — *Essatan* — początku wszego złego. W czasach wojny, choroby lub głodu, częste Bogu składają ofiary na górach wysokich.

Gdy który z nich umrze, nie obmywają ciała, ale wynoszą pod jakie drzewo, przykrywają trawą i skórą zwierzęcą, a złożąwszy obok zabitego wołu i czarę mleka pełną, powtarzają: „Śpij dobrze, aby się dzieciom twoim powodziło“.

Jeśli kto w samejże umrze osadzie, następuje rodzaj puryfikacyi domu, skrapiają go wodą wedle pewnych obrzędów przysposobioną. Ci, którzy ciało wynosili, idą się kąpać do rzeki. Gdy dziecko umiera, niema tych ceremonii. Mażeńskie obchody nie różnią się od podobnych obrzędów u innych plemion Afryki. Upatrzawszy sobie małżonkę, młodzieniec wysyła jaką poważną osobę do traktowania z ojcem panny o cenę zależącą od położenia i majątku oblubieńców. Jeśli to syn przywódczy równą sobie obiera towarzyszkę, złożyć musi w darze czterdzieści wołów, tyleż krów i dwadzieścia owiec. Gdy obie strony są niemajątne, wystarcza okup czterech wołów, pięciu krów i trzech owiec. Nadto z obu stron rodzice dają wołu na wesele. Ojciec zaś panny zwykle ją obdarza kilku krowami i cielętami, jako na początek

zagospodarowania się. Zresztą żadnych nie bywa modlitw, ani obrzędów ślubnych, czysto kupiecka transakcyja, po której mąż bezpośrednio do domu swego zabiera nabytą tym sposobem żonę. Jeśli się kobieta źle prowadzi, mąż ją odsyła ojcu, zatrzymuje jednak dzieci, a o bydło złożone z okazji zawartego małżeństwa upomina się napowrót. Jeśli zaś mąż się źle pokieruje, może żonę odesłać, ale nie wolno mu żądać zwrotu bydła, zwłaszcza jeśli są dzieci. Gdy mąż zbyt często żonę bije i poniewiera, wolno jej schronić się do ojca i prosić aby oddał bydło, za które wymienioną została, poczem godzi jej się nowe zawierać związki, ale już nie może do pierwszego wrócić małżonka.

Wolno im mieć tyle żon ile się komu podoba. Ubożsi jednak zwykle dwoma się kontentują. Pan Last słyszał o wodzu który miał ich posiadać dwieście, co jednak uważa za przesadzoną liczbę. Wielożeństwo jest tedy uprawnionem; o wielo-męztwie nigdy nie słychać.

Zabójców karzą śmiercią. Jeśli kto przypadkiem został zabitym, ten co był powodem nieszczęścia musi złożyć okup krwi. Wodzowie Masajów dość szeroką nad ludem swoim mają władzę. Sądzą zatargi i ściągają podatki, wyprawiają poddanych na wojnę lub używają do robót, budowli i chodowania bydła. Masajowie nie są jednak ludem pracowitym, uważają robotę za poniżenie, wyręczają się podbitem murzyńskim plemieniem, i tylko wtedy biorą się do pracy, gdy nie mają kim się zastąpić.

Na drogach otworzonych przez kilku wędrowców, postępują dziś liczne oddziały misyonarzy, których zajmujące i budujące listy uzupełniają nam zapiski podróżników, i pozwalają głębiej wniknąć w duchowy ustrój tych nieznanych dotąd ludów. Poświęcenie uczonych toruje drogę ofercie apostołów, spieszących nieść wiary pochodnie w te wydziedziczone strefy. Obok szlachetnego trudu, nieraz i śmierć uwieńcza ich usiłowania, a na tym nowym gruncie zdobywanym prawdzie i chrześcijańskiej oświacie, nie brakło już rodzajnego krwi posiewu.

K. Nitecki.

DOKUMENTA.

Listy kardynała de Côme do O. Antoniego Possewina T. J.
wyjęte z Archiwum watykańskiego,
przez
O. Pawła Pierling'a.

W archiwach watykańskich znalazłem niewielki fascykuł pod napisem: *Germania 13. al P. Possevino dal 1579 al 1585.* Zawierają się w nim bruliony listów kardynała de Côme sekretarza stanu za Grzegorza XIII. do O. Antoniego Possewina T. J. nadzwyczajnego posła papieskiego do Szwecyi i Moskwy Listy w sprawie szwedzkiej nie są liczne, dwa z nich pod dniem 7 listopada 1579 r. i 14 maja 1580 ogłosił Theiner w swym zbiorze *la Suède et le Saint-Siège.* Ogłaszamy więc resztę niewydanych dotąd, zwłaszcza te, które się dotyczą Rosyi, Polski i Siedmiogrodu.

Listy kardynała de Côme są uzupełnieniem znanych nam już listów i sprawozdań O. Possewina; należy mieć obydwie te zbiory przed oczami, ażeby wyrobić sobie dokładne pojęcie o pośrednictwie Stolicy św. w tyle głośnym pokoju Zapolskim 1582 r. i o jej stosunkach z Polską i dla tego sądzimy, że ogłoszenie tych dokumentów obudzi żywe zajęcie uczonych i nie będzie bez korzyści dla historyi.

Zaczynamy od niewydanych dotąd listów o Szwecyi, umieszczając obok oryginalnego tekstu włoskiego wierny przekład polski i objaśniając je dopiskami.

I.

27 giugno 1579.

Dnia 27 czerwca 1579 1).

Molto Reverendo in Christo
Padre. Ricevei il piego che Vo-

Przewielebny w Chrystusie Oj-
cze. Otrzymałem pakiet listów,

1) List poprzedzający z d. 1. maja 1579 ogłosił Theiner w dziele *La Suède et le Saint-Siège* t. III. str. 261. Wiadomo, że d. 16 maja 1578 król szwedzki Jan Waza złożył sekretne wyznanie katolickiej wiary w ręce Jezuity Possewina nadzwyczajnego posła papieskiego. Publiczne swoje i królestwa Szwecyi przystąpienie do Kościoła kat. uczynił król Jan Waza zależnem od pewnych warunków, mianowicie: aby Stolica św. zezwoliła 1^o na mszę św. w języku narodowym przynajmniej w niedziele i święta, 2^o na komunię św., pod dwoma postaciami, 3^o na żeństwo kapłanów. Z temi warunkami powrócił Possewin do Rzymu, osobna kongregacya kardynałów roztrząsała je i odrzuciła wszystkie a Possewin otrzymał od Grzegorza XIII. brewem datowanym 1 grud. 1578 powtórnyą missyą do Szwecyi z poleceniem, aby króla Jana nakłonić do publicznego przystąpienia do kat. wiary, bez domagania się spełnienia onych warunków, które zdaniem Stolicy św. nie wiodły do celu. To samo breve mianuje Possewina wikaryuszem papieskim dla całej Skandynawii i krajów północnych jak Morawa, Litwa, Ruś, Węgry, Pomorze i Saksonia w tych miejscach, gdzie nie ma katolickich biskupów, i obdarza najobszerniejszą władzą wikaryusza papieżkiego in partibus infidelium et haeresi infectis. Z początkiem 1579 r. widzimy Possewina zatrzymującego się po drodze do Szwecyi najprzód w Augsburgu na dworze Alberta księcia bawarskiego, który całemi siłami popierał sprawę katolicką w Niemczech, a króla Jana szwedzkiego gorącemi listami zachęcał do wytrwania na drodze powrotu na łono kat. Kościoła. Dnia 11 lut. 1579 opuścił Possewin Augsburg i wyruszył do Pragi, do cesarza Rudolfa II. opatrzone w potrzebne pieniądze przez papieskich bankierów Fuggerów. Z Pragi podążył Possewin do Ołomuńca, dokończył tam przeszłorocznej fundacyi jezuickiego kolegium, przy którym założył seminarjum dla misyonarzy przeznaczonych do Szwecyi i całej Skandynawii. Z początkiem kwietnia 1579 stanął w Krakowie, w kilkanaście dni później w Brunsberdze, gdzie dla ostatecznego urządzenia seminarjum brunsburskiego założonego w roku przeszłym, dłuższy czas pozostał. W czerwcu widzimy go już w Wilnie pracującego wraz z królem Batorem nad obroną katolicyzmu w tych tam stronach i ufundowaniem kolegium jezuickiego. Odjeżdżającemu do Szwecyi Possewinowi dał Batory gorąco polecający list do króla Jana Wazy i upoważniający go do traktowania sprawy sojuszu przeciw Turkom i Rosyi. Do tej więc epoki odnosi się list kardynała de Côme z d. 27 czerwca. Possewin bawił podówczas w Gdańsku, zkąd 7 lipca na fregacie szwedzkiej odpłynął do Sztokholmu.

stra Reverentia lascio in Praga a la partita Sua di la, nel quale erano le scritture sopra il ritratto de le cose da lei negoziate; et de Cracovia poi hebbi la sua de li 3 d' Aprile con li ordini che haveva lasciati in Olmuz per indirizzo di quel Collegio, di che diedi parte a Nostro Signore che l'udi volentieri. Li dui brevi per il Senato d' Olmuz et per il sotto camerario di Moravia, de quali V. R. mi scrisse, furono spediti secondo la nota sua et inviati a Mons. Nunzio Malaspina per farli ricapitare. Da Varsavia poi ho ricevuto le altre di 17 et 23 del sopra nominato et ultimamente quella di 5 del passato, di Dantzie, con la quale erano li conti dele spese fatte, sin a quel tempo; sopra di che veduto lo scrupolo che li era nato per la spesa di quei dui

który Wielebność Twoja przy swym wyjeździe zostawił w Pradze — były w nim pisma dotyczące się spraw przez W. T. załatwionych. Później otrzymałem list W. T. datowany z Krakowa d. 3 kwietnia z poleceniem, jakie zostawiłeś w Ołomuńcu dla tamtejszego kolegium; przedłożyłem je Ojcu św. — wysłuchał je chętnie ¹⁾. Dwa *breve*, jedno dla senatu ołomunieckiego, drugie dla podkomorzego w Morawii, o których W. T. wspomina, wysłano według twego życzenia i doręczono JX. Nuncyuszowi Malaspina do przejrzienia ²⁾. Od tegoż nuncyusza otrzymałem później z Warszawy listy z 17 i 23, a wreszcie z 5 przeszłego miesiąca list z Gdańska; podane w nich rachunki dotychczasowych wydatków; widząc, że miałeś pewną wątpli-

1) Grzegorz XIII. częścią założył, częścią lepiej uposażył 23 seminaria pontificia czyli szkoły duchowne pod zarządem Jezuitów przeznaczone na wychowanie kapłanów, w Rzymie dla Niemiec i Węgiei, dla Anglii i Irlandyi, dla Greków i Ormian. W seminaryach w Ołomuńcu i Brunsberdze wychowywano w myśl regulaminu Grzegorza XIII. młodzież duchowną „e Suecia, Gothia, Vandalia, Norwegia, Dania, Pomerania, Prussia, Livonia, Moscovia, Russia seu Lithuania et Hungaria“ a to na sposób seminariów papieskich „jak to O. Antoniemu Possewinowi Ojciec św. polecił“. Fundusz papieski mający starczyć na 100 alumnów wynosił rocznie 2400 dukatów. Z swej strony król Jan Waza gorliwie popierał wychowanie katolickiego kleru dla Szwecyi. Młodzi „Gotowie“ kształcili się na kat. księży w kolegium niemieckiem w Rzymie, w Brunsberdze, Ołomuńcu i Fuldzie. Possewin zabrał z sobą r. 1578 sześciu alumnów ze Szwecyi do Rzymu (Patrz: Theiner La Suède et le Saint-Siège t. II. str. 230 i 416). Rozporządzenia Possewina, o których w liście wzmianka, tyczyły się tej sprawy.

2) Obydwa te brewia do Rady ołomunieckiej i do gubernatora Morawii, Jana Haugwitz, ogłosił Theiner II. 429, 421; zawierają one słowa podzięki za udzieloną pomoc w założeniu papieskiego seminaryum.

Padri ho voluto per liberarla, farne parola con la Santita sua, la quale, come ben sapevo, ha detto, che si metta a conto con le altre spese, et rimettendosene in tutto a la R. V.

Quanto al Seminario che si fara in Brunsberga, V. R. non dubiti che per ordine di qua li habbino da esser occupati li luoghi, perche se ne lasciara a lei il pieno giudicio et dispositione, sapendo che indrizzera tutto a quel fine perche si fa, che è la gloria di Dio et salute de le anime.

Si è cominciato a trattare con M. Domenico Basa stampatore, per quello che V. R. ha ricordato di metter una libreria in Cracovia, et egli vi si mostra inclinato.

Si attende parimente a procurar operaii per la Citta di Dantzie et per Augusta, secondo che anchora è stato scritto da lei, et seben non mancano difficultà, havendosi da proveder a tanti luoghi, si fara non di meno ogni sforzo per superarle.

Aspettiamo hora d' intender

wość co do wydatków tych dwóch księży ¹⁾, a chcąc ją usunąć, oznajmiłem o tem Ojcu św., który, jak to dobrze wiedziałem, polecił owe wydatki doliczyć do innych, i całą tą rzecz zostawić zdaniu W. T.

Co do przyszłego seminaryum w Brunsberdze ²⁾, niech W. T. nie sądzi, jakoby wolne miejsca miały być rozdawane, według tutejszych rozporządzeń — ale przeciwnie sąd o tem i rozrządzenie zostawia św. W. T. w tem przekonaniu, że poprowadzisz wszystko do celu, dla którego się to czyni, a jest nim chwała boża i zbawienie dusz.

Rozpoczęto układy z panem Dominikiem Basa drukarzem, ponieważ W. T. zwróciłeś uwagę na potrzebę otwarcia księgarni w Krakowie; okazuje się on do tego dosyć skłonny ³⁾.

Staramy się również znaleźć dosyć robotników (kapłanów) dla miasta Gdańska i Augsburga jak o tem W. T. pisałeś, a chociaż niebrak trudności, gdyż potrzeba ich dostarczyć dla tylu miejsc naraz, to jednak zrobimy wszystko, aby je usunąć.

Wyglądamy teraz nowin o twem

¹⁾ Z Possewinem wyjechało z Rzymu w grudniu 1578 dwóch Jezuitów przeznaczonych na dwór polski. Jeden z nich, O. Alojzy Odescalchi udał się z Krakowa do Węgier i Siedmiogrodu dla apostołowania katolicyzmu.

²⁾ Seminaryum to fundował jak wspomnieliśmy Grzegorz XIII. dla 50 alumnów przy istniejącem już od r. 1565 kolegium Jezuitów fundacyi Hozyusza. W rozdawnictwie stypendyów i przyjęciu alumnów zostawiono zupełną wolność i władzę Possewinowi.

³⁾ W plan króla Jana przywrócenia katolicyzmu w Szwecyi wchodziły także druki katolickich książek w szwedzkim języku. Possewin założył szwedzką drukarnię w Brunsberdze i w Krakowie. (Theiner II. str. 193).

il salvo arrivo suo in Svetia et in che dispositione haverà trovato le cose di là, le quali piaccia a Dio che siano in miglior termine di quello che mostravano le lettere del secretario Tipotio de le quali mandai copia a V. R. che è quanto per hora mi occorre, con pregar Dio che la conservi et corrobora al suo santo servitio. Di Roma.

szczęśliwem przybyciu do Szwecyi ¹⁾ i oczekujemy wiadomości, w jakim stanie W. T. znalazł tamtejsze sprawy; daj Boże aby one były w lepszym, jak je przedstawiały listy sekretarza Tipotio ²⁾, których kopię przesłałbym W. T., lecz obecnie jest mi potrzebna. Niech Bóg zachowa i wzmacnia W. T. w swej św. służbie.

II.

16 luglio 1580.

Dnia 16 lipca.

Molto Reverendo in Christo Padre. Hebbi a di passati le

Przewielebny w Chrystusie Ojczy. Otrzymałem w tych dniach

¹⁾ Było ono pełne niebezpieczeństw. W czternastym dniu po odbiciu z portu gdańskiego 21 lipca 1579 straszliwa burza rzuciła okręt wśród skał o mil 80 od Sztokholmu, dzień cały i noc przebyli między życiem a śmiercią. Druga trzydniowa burza o mało nie rozbiła okrętu blisko Sztokholmu.

²⁾ Lichego to charakteru człowiek ten Włoch Typotio. Katoikiem będąc popierał na dworze króla Jana intrygi predykantów luterskich i echiwego na majątki klasztorne Pontusa de la Gardie, ożenionego z naturalną córką króla Jana, piękną Zofią. Sekretarzem króla będąc, nadużył zaufania, bo bez wiedzy króla a w imieniu jego pisał listy twarde i cierpkie do kardynałów de Côme i Granville. On to listem z d. 30 list. 1578 nalegał na kardynała de Côme o wyjednanie pozwolenia papieskiego na komunię pod dwoma postaciami, żeństwo księży, mszą św. w języku szwedzkim, grożąc upadkiem całej sprawy katolicyzmu w Szwecyi. Intrygi jego wykryto r. 1580 i wtrącono go z rozkazu króla do więzienia (Theiner III. 20—25. 52).

Po wyjeździe Possewina ze Sztokholmu 1578 r., otoczyli króla siecią intryg obludni katolicy, sekretarze królewscy Jan Heinrichsson i Typotio, oraz Pontus de la Gardie, głośny awanturnik, rodem z Karkasony, poseł króla Jana do Rzymu i Wiednia, naczelny wódz armii, który z obawy aby nie musiał zwrócić klasztorne dobra stanowiące część posagu jego żony, przeszkadzał układom rzymskim. Ci wraz z luterskimi profesorami jak Chytreus, i predykantami jak Klint, odwrócili umysł króla od katolicyzmu i utwierdzili w upornem obstawaniu przy komunii pod dwoma postaciami. O ten punkt rozbiło się wszystko, zwłaszcza po śmierci królowej Katarzyny Jagiellonki 1583. Król ożenił się powtórnie z Gwinelą Bjelke, żarliwą luterką.

lettere di V. R. di 2. 18. 19 et 24 di marzo dopo le quali sono poi venute le altre di 25 del medesimo. Per esse si e intesa la consolatione che V. R. ha dato ne le cose spirituali a quelle buone et devote monache di Sta. Brigita, confermandol'Abbadessa et Prioressa sopra di che si è ordinato un breve di ratificatione, secondo che V. R. ha ricercato et come sia spedito si mandera. Si fa diligentia per ricapitare quelle lettere senza soprascritto per li monasteri di detto ordine, anchor chenou dia quella charezza che sarebbe stata di bisogno, dove siano, essi monasteri, et che a quelli di Fiandra sara molto difficile di mandarle di qua.

Il ricordo che lei ha dato di crear uno o dui Cardinali Protettori di cotesti paesi, a fine di tener

listy W. T. z dnia 18, 19 i 24 marca, po których naszedł inny z 25 t. m. Zrozumieliśmy z nich jak wielką pociechę duchowną sprawił W. T. tym dobrym i pobożnym zakonnikom św. Brygidy, zatwierdzając ich ksienię i przeoryszę, — breve zatwierdzenia ma być wydane tak jak W. T. tego pragnął, a skoro będzie gotowe odeślemy je. Staramy się, ażeby listy owe doszły, bez położenia na nich adresu do klasztorów rzezonego zakonu, chociaż przez to (nieadresując listów) nie pada się tej dokładności, jakaby była potrzebna do oznaczenia gdzie są owe klasztory, a do klasztorów we Flandryi będzie bardzo trudno ztąd (z Rzymu) je przesłać¹⁾.

Myśl, którą W. T. podał, kreowania jednego lub dwóch kardynałów protektorów dla

¹⁾ Wśród powszechnego niemal odstępstwa od wiary kat. w skutek prześladowań okrutnego króla Eryka, pozostał wierny Kościołowi klasztor PP. Brygidek w Wadstanie. Possewin jako wikaryusz apostolski zatwierdził na urządzie ksienią Katarzynę Benedikti i przeoryszę, posłał z subdelegowaną władzą gorliwego kapłana Jana Ardolfa, Bawarczyka wychowanego w kolegium germanicum w Rzymie na spowiednika zakonnikom. Przywiózł on z sobą trzy papieskie breve, jedno na oltarz uprzywilejowany, który też w klasztorным kościółku natychmiast urządził, drugie na papieskie odpusty na lat 20 dane, które natychmiast ogłosił, a trzecie regulujące wybór ksieni. Później, 1580 r. napisał Possewin z polecenia Grzegorza XIII. reguły dla ksieni wadstenskiej dotyczące się ogólnego zarządu duchownego klasztorom (Theiner III. 284, 303). Oprócz klasztoru wadstenskigo, pozostało tajemnie jeszcze kilka innych klasztorów reguły św. Brygidy w Szwecyi i Holandyi przy kat. wierze. I do nich także wysłano potrójne owo breve, ale dla nienarażenia zakonnikom na nieprzyjemności, wreszcie gdyby owe listy papieskie przejęte zostały przez heretyków, nie zaadresowano ich a nawet w samym tekście listów nie wyrażono dokładnie miejscowości, w których one klasztory położone.

cura de le reliquie catholieche che vi sono è molto buono, ma converrà di trattarlo in presenza, dopo havuto la notitia che essa portera piu piena de le cose di là.

Quanto al desiderio de la Ser^{ma} Regina circa el Santo Giubileo, Sua Santita si contenta, che si possa conseguire per tutta l'ottava precedente et seguente di Pasqua di Resurrettione et degli altri tre termini, ne quali è stato concesso.

Si è ordinato che si trovino quei brevi d'indulgenza plenaria concessa a chi si converte a la fide et si confessa et comunica per farli estendere a le altre Provincie nominate ne le facultà di V. R. conforme a la sua dimanda.

tychże krajów ¹⁾, aby mieli staranie o pozostałych tam katolikach, jest bardzo szczęśliwą, ale należy rozmówić się o tem osobiście po odebraniu dokładniejszych wiadomości o sprawach tamtejszych, które W. T. nam tu przywiezie.

Co do życzenia najjaśniejszej królowej względem św. Jubileuszu to Ojciec św. pozwala chętnie, aby go można było uzyskać ośm dni przed i po wielkiej nocy i tyleż dni przed i po trzech innych uroczystościach, na które został nadany ²⁾.

Polecono odszukać to breve odpustu zupełnego nadanego każdemu kto nawrócony do wiary św. wypowiada się i wykomunikuje, i rozciągnąć je na inne kraje wymienione w instrumencie W. T. ³⁾ tak jak o to prosiłeś.

¹⁾ Dla Szwecyi Norwegii i innych krajów północnych, dla których Possewin był mianowany wikaryuszem apostołskim.

²⁾ Dnia 25 list. 1278 r. ogłosił Grzegorz XIII. jubileusz czyli odpust zupełny dla całego świata katolickiego w celu uproszenia łaski nawrócenia heretykom i uspokojenia kat. Kościoła. Uzyskać go można było w te cztery dni: Narodzenia, Zmartwychwstania Wniebowstąpienia Pańskiego i w dzień WW. Świętych. Warunki dostąpienia: spowiedź i komunja św. i modlitwa na intencją powyższą Papieża. Odpust ten nadany na lat 20. (Theiner II. 364). Dla Szwecyi zaś ogłosił Grzegorz XIII. jubileusz osobnem brevem tegoż z dnia 26 list. 1579 nieznaczając wszelako dni, w których może być uzyskany, ale zostawiając do wyboru. Stoi tam: *omnibus utriusque sexus personis Regni Suetiae . . . in uno die per eos eligendo*. Pobożna nasza Katarzyna Jagiellonka miała pewną wątpliwość w tej mierze i o jej rozwiązanie pytała przez Possewina Ojca św. Dano z Rzymu odpowiedź, że uzyskać może w ciągu ośmiu dni przed i po onych czterech uroczystościach wymienionych w jubileuszowem breve do całego świata katolickiego (Theiner III. 365).

³⁾ W instrumencie czyli w *breve* z d. 1 grud. 1578, mianującym Possewina wikaryuszem apostoł. wliczone są te kraje: *Suetia ac finitima regna Daniae et insularum septentrionalium, Moscovia, Livonia, Russia, Hungaria, Pomerania, Saxonia*. (Theiner III. 361), a więc i w tych krajach można było uzyskać jubileusz raz na rok w jakim dniu dowolnym.

Circa li altari privilegiati Nostro Signore giudica che si debba, proceder con molta circospettione et non metterli, se non in citta et luoghi principali, ne quali si conservi chiesa propria pei catholici con sufficiente numero di Canonici o preti, et vi siano tali reliquie di catholici che se li convenga una tal gratia, et che per cio sia necessario haver notitia di tutte queste circonstanze inanzi di far la concessione.

Sua Santita si contenta che V. R. non sia tenuta di far inserir il breve de le sue facultate ne le gratie che concede et bisognando se ne farà spedir un breve a parte.

Se V. R. mandera quel libro del Cithreo, si procurerà che li sia fatto conveniente risposta.

Co do ołtarzy uprzywilejowanych ¹⁾, to mniema Ojciec św., że należy postępować z wielką ostrożnością i nie pozwalać na nie, jak tylko w mieście, albo w miejscach główniejszych, w których istnieje Kościół katolikom wyłącznie na użytek oddany z dostateczną liczbą kanoników i kapłanów, i aby tam pozostawało tyle katolików, żeby taka łaska była dla nich odpowiednią i dla tego należy pierwej upewnić się o tych wszystkich okolicznościach, zanim się udzieli pozwolenia.

Ojciec św. zezwala, aby W. T. nie był obowiązany wpisać do *breve* swojej władzy ²⁾ tę świeżo nadaną łaskę ³⁾, a w razie potrzeby wystawi się osobne *breve*.

Skoro tylko W. T. przysze książkę Chytreusza, to postaramy się aby mu dano należytą odprawę ⁴⁾.

¹⁾ *Altare privilegiatum* nadaje Ojciec św. osobnem *breve*. Przywilej ołtarza polega na tem, że każda msza św. przy nim odprawiona za pewną duszę w czyscu, jedna jej zupełne darowanie kar czyscowych.

²⁾ Do *breve* z d. 1 grud. 1578 mianującym Possewina wikaryuszem apostołskim.

³⁾ Łaskę a raczej władzę erygowania ołtarzy uprzywilejowanych.

⁴⁾ Dawid Chytraeus, zdolny ale przewrotny profesor w Rostoce, usiłował odwieść od Kościoła cesarza Maximiliana. Gdy mu się to nie udało, zwrócił się do króla Jana Wazy, zawiązał z nim naukową korespondencją, dedykował mu swoją *Historią wyznania augsburskiego* a świeżo teraz 1579 r. przysłał Janowi rozprawę swoją o *obecnym stanie kościołów w Grecyi, Azyi i innych krajach wschodu*, nędzną ramotę, którą skleił 1569 r. na podstawie tego co słyszał od Europejczyków podróżujących po wschodzie, a w której oprócz oszczerstw na Kościół kat. usiłuje dowieść, że doktryna luterska zgadza się zupełnie ze starą, grecką wiarą. Przeczytawszy tę ramotę teologowie protestancy w Tybindze i Wittemberdze powzięli zamiar połączenia kościoła protestanckiego z greckim, nawiązali z patriarchą Carogrodzkim Jeremiaszem stosunki w tej mierze, posłali mu wyznanie

Sopra li dui quesiti uno de la communione de la monache di S. Brigita et l'altro sopra li matrimonii si è fatto la debita consideratione et se ne manda la risposta in scritto a parte.

Si à inteso quel che con la gratia di Dio fu operato col Principe et Principessa questo Natale passato, nei quali piace-

Co do dwóch kwestyj, pierwszej względem komunii zakonnic św. Brygidy ¹⁾, a drugiej co do małżeństw ²⁾, rozbierano ją tutaj należyte i wysyła się na nie odpowiedź w osobnem piśmie.

Otrzymaliśmy wiadomość o tem co za łaską boską zdziałało się z księciem i księżną w przeszłe Boże narodzenie ³⁾; niech Bóg

augsburskie przetłómaczone na greckie przez Polaka Pawła Dolskiego i ogłosili to drukiem 1584. W chwili kiedy nasz Possewin stanął na dworze sztokholmskim, król Jan rozczytywał się w onej książce Chytreusza, i o niej tu w liście mowa.

1) Król Jan upierał się przy komunii św. pod dwoma postaciami, zmusił nawet raz do tego królową Jagiellonkę -- być więc może, że i na zakonnic wadsteńskie wywierany był w tej mierze nacisk, że nawet chwilowo uległy, trzydzieści bowiem lat zostawały bez opieki biskupiej i kapłańskiej. Trudności ztąd wynikłe usunąć miała Stolica św.

2) W epoce szerzenia się herezyi pozawierano w Szwecyi jak i indziej wiele małżeństw nie zważając na przeszkody kościelne co do stopnia pokrewieństwa i powinowactwa, wracającym do katolicyzmu potrzebne były w wielu razach dyspensy papieskie. Narobiło wiele hałasu w tym czasie małżeństwo sekretarza królewskiego Jana Henrichsson z Anną Magnussohn w przekonaniu, że jej pierwszy mąż utonął na morzu. Tymczasem on ocalał i po kilku latach wróciwszy do Sztokholmu, domagał się oddania swej żony. Król Jan stanął po stronie swego sekretarza i przez X. Nicolai prosił Papieża o dyspensę, być więc może, że o niej w liście wzmianka.

3) Przez cały 1579 r. chwiejny król Jan ulegał naprzemian to wpływowi Jezuitów, to swoich sekretarzy, Pontusa de la Gardie i predykantów luterskich, wreszcie uparł się przy komunii pod dwoma postaciami, i od jej pozwolenia przez Stolicę św. uczynił zależne nawrócenie Szwecyi. Gdy mu to stanowczo odmówiono, skłonił się wyraźnie do luteranizmu, a syna Zygmuntazato, że znaciskiem oświadczył, iż nie zostanie nigdy luteraninem, uderzył w twarz. Tem usilniej przeto pracował Possewin przez X. Warszewickiego nad utrzymaniem w wierze królowej Katarzyny i jej dzieci i doręczył mu pismo pewnego teologa, wystosowane do biskupów katolickich podczas prześladowania Gustawa Wazy, i wskazujące im sposób postępowania w obronie wiary. Dokument ten odczytał X. Warszewicki królowej i jej dzieciom w noc Bożego narodzenia. Potem o północy odprawił w kaplicy zamkowej w Westeraes mszą św. towarzyszył Warszewickiego X. Wysocki, a podawszy komunią św. królowej pod jedną posta-

ra a Dio di conservare et accrescere la buona volontà che mostrano perche almeno resti questo frutto de le fatiche che si sono fatte, già mancando tanto le altre speranze nel negotio nostro principale, nel quale io vedo bene hormai che non si può far altro che raccomandarlo a Dio benedetto.

Con le ultime mie avvisai V. R. de la pensione data da Nostro Signore di 200 scudi al S. Magno per il che et per le altre cose che vi sono in risposta de le sue, m'è parso mandarne un duplicato, con la presente, per fine de la quale a lei mi offero di core et prego Dio che le conservi et accresca di continuo la sua santa gratia. Di Roma.

zachowa i wzmacnia dobrą wolę jaką okazują, ażeby przynajmniej ten pozostał owoc z prac poniesionych, gdy nie dawno zawiodły nas inne nadzieje tyżące się naszej głównej sprawy, w której widzę to dobrze, że nie można nic innego zrobić jak powierzyć ją Bogu wszechmogącemu.

W ostatnich moich listach doniosłem W. T. o pensyi 200 szkodów w złocie danej od Ojca św. panu Magno ¹⁾, dla tego niemniej jak dla innych rzeczy w nich zawartych w odpowiedzi na sprawy W. T. zdaje mi się właściwem posłać duplikat tamtych listów wraz z niniejszym ²⁾, który kończąc polecam z serca i błagam Boga, aby Go zachował i pomnażał na zawsze w swej świętej łasce. — Z Rzymu.

(C. d. n.)

cią, wysłuchał spowiedzi królewicza Zygmunta, przyjął od niego wobec najsw. Sakramentu uroczystą obietnicę, że nie będzie nigdy komunikował pod dwoma postaciami z rąk heretyckich, i podał mu komunię św. pod jedną postacią. Dwadzieścia osób ze dworu króla i królowej, między nimi dwaj radcy stanu, komunikowali także. Do tego wypadku odnosi się wzmianka w liście (Theiner III. 75—79).

¹⁾ Wawrzyniec Magno potomek bogatej rodziny, ale którą dla wierności Kościołowi kat. Gustaw Wasa odarł z mienia, był bratankiem sławnego arcybiskupa upsalskiego Magnusa. Król Jan wyprawił go 1578 r. do Rzymu. Spełniwszy misyą zatrzymał się w Brunsberdze i od biskupa Kremera wyświęcony został na kapłana. R. 1580 wakowała dziekana kolegiaty wrocławskiej, przynosząca 200 szkodów rocznego dochodu. Grzegorz XIII. nadał to beneficjum księdzu Magno (Theiner III. 30, 375).

²⁾ Dla tem pewniejszego dojścia listów, wyprawiono jeden i ten sam list w duplikacie czyli dwoma drogami.

Przegląd piśmiennictwa.

Listy Zygmunta Krasieńskiego, dwa tomy: tom 1. korespondencya z Konstantym Gaszyńskim, tom 2. korespondencya z Adamem Sołtanem. Lwów 1883, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

Jest przypowieść o zmarłym, którego rodzina nieutuloną była w rozpacz, oplakiwali go przyjaciele i głosili nad grobem, że tej próżni nigdy nikt zapełnić nie zdoła. W lat dziesięć nieboszczyk ożył, ale radość jaką wzbudził jego powrót do życia, wcale niedorównywała żałobie po jego stracie. Stosunki rodziny tak się zmieniły, że nie było już dla zmartwychwstałego miejsca przy domowem ognisku, a jak w rodzinie, tak w całym społeczeństwie zarównała się ta próżnia a samo nawet wspomnienie znacznie się zatarło.

Sceptyczną tę przypowieść przywodzi nam na pamięć ukazanie się dwóch tomów korespondencyi Zygmunta Krasieńskiego. Upominano się o tę publikacją natarczywie, bez uwagi na prawa rodziny i inne ważne względy, które ją wstrzymywały. Dziś powraca do życia zmarły wieszcz, budzi się ze snu, przemawia tak, jak mawiał do przyjaciół, odkrywa tajniki myśli i uczuć najbardziej wewnętrznych. Ale powracając czy wzbudza to wrażenie magnetyczne u ogółu, czy będzie tak jak dawniej odgadywanym i rozumianym, czy zastaje ten sam nastrój ducha, jak wtedy gdy kruszył lutnię:

Lutni mej, lutni nigdy nie nastroje,
Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!

Kult poezyi u nas, który miał swoją przesadę i jedno-

stronność, gdy w poezyi kazał szukać rozwiązania wszystkich zagadnień, kładł jej księgi na ołtarzach świątyni narodowej w miejsce Ewangelii, w przybytkach spraw publicznych jako księgę narodowego zakonu — na katedrach jakby koran, w którym wszelka zamknięta mądrość, ten kult utrzymujący się tylko pozornie i z tradycyi, uległ w istocie reakcyi znów jednostronnej.

Stawiamy pomnik hetmanowi poezyi i dzień jego zgonu zamieniliśmy w rodzaj święta narodowego, lecz przy tych uroczystościach powtarzają się dysonanse, a te kadzidła bywają niekiedy raczej zniewagą niż czią oddaną jego pamięci, gdy są fałszerstwem jego słów i myśli, lub wyrażają odstępstwo od ducha Mickiewicza.

Znikł niemal ze szczerem rój naśladowców Słowackiego, a Kraśiński, który był myślicielem więcej jeszcze niż poeta, który nietylko tak jak Adam chciał panować nad sercami, ale władał umysłami wiodąc je w niedoścignione strefy ideału: czy dierży jeszcze to berło, czy w braku naśladowców zachował wyznawców?

Powracającego poetę przyjmą jedni z hołdami literackimi, inni poddadzą go krytycznej analizie, frazes po frazesie, szczegół po szczególe; odezwie się może i szyderstwo ze skarg, boleści i goryczy, którymi zatruty ten żywot — ogół zaś, podobno przyjmie te zwierzenia obojętnie.

Reakcyja ta jest znów drugą, przeciwną jednostronnością i niesprawiedliwością. W tem nawet, co bezwzględny kult poezyi mógł mieć szkodliwego, upajającego, denerwującego, nie wina poetów, że ich nadużyto. Oni podawali w złotej czarze czysty i zdrowy napój, ale społeczeństwo nie może się karmić wyłącznie nektarem, ani żyć w obłokach, choć się wznosić winno od prac i trudów tej ziemi w wyższe strefy na skrzydłach poezyi, jak winno patrzeć w niebo wzrokiem wiary.

Byłoby największą niesprawiedliwością zaprzeczać uszlachetnieniu, jakie przyniosła z sobą epoka poezyi, a lubo w niejednym była ona błękaniem się po przestworach, tu i owdzie zbaczała z torów ścisłej, dogmatycznej wiary, w ogólnej atoli sumie przeważała szala dodatnia. Wieszcza ta często rzucająca mgliste wróżby, niekiedy słowa rozpaczy, przez dumę lub boleść

podnosząca bunt przeciw rządzeniom Opatrzności — wtedy nawet bunt to nie był niewiary i zaprzeczenia, ale niecierpliwością domagającą się cudów; wnet jednak korzyła się w skrusze, z Konradem w celi przed księdzem Piotrem, a w głównych swych rezultatach była córką lub siostrą religii! Poezya nasza w chwilach zboczeń mogła wpadać w herezyę, nigdy w sceptycyzm i niedowiarstwo, bywał tam nadmiar uczuć wiary niezawsze dobrze pokierowany, nigdy ich brak. Kiedy Zachód zsuwał się w coraz to głębsze przepaście rewolucyjnych doktryn i praktyk, a Niemcy ogarnęła gruba pomroka panteizmu, myśmy te problemata społeczno-polityczne lub naukowo-filozoficzne rozwiązywali wyobraźnią naszych poetów i przebywaliśmy ten wielki proces idei za pomocą ich natchnień. Wrażliwi z natury, a bardziej jeszcze ulegający obcym wpływom w skutek anormalnych warunków, w jakich żyć nam przyszło, poetom naszym przeważnie zawdzięczamy, żeśmy nie uronili w tych zapasach ducha, moralnej spuścizny ojców, żeśmy z tyłu pokus i obłądów nie bez zboczeń i błąkania się, a zwłaszcza nowych klęsk i strat, to jednak wyszli zwycięzko, jednolici, czyści a może zdrowsi niż inni!

Zygmunt Krasiński należy do najszczytniejszych bezsprzecznie duchów naszego stulecia. Poeta myśli więcej niż formy, nie stworzył postaci posągowych, ale rozwiązał wiele zagadnień, przeczuwał bieg wypadków i nieraz ostrzegał przed manowcami. „Syn szlachecki“ — jak go zwał Słowacki — wsparty o przeszłość, przebył cały odmęt epoki, wpatrzony w przyszość.

Panteizm niemiecki ogarnął całą atmosferę współczesną, on z nim walczył i wbrew tym, którzy chwytając za słowa poetę w jego obrazach i wyrazach, w owych „wszechświatach“ i „wszechbytach“ upatrują emanacje ducha z jakiegoś absolutu w nim napowrót tonące; Krasiński nigdy Hegłowi się nie poddał, indywidualizm Boga i jaźń człowieka zatwierdzał, aż wreszcie rzucił przekleństwo w znanym liście: „Przekłęci Niemcy panteiści“. . . Nowych dowodów tej obrony i zwycięstwa nad panteizmem dostarczają w wielu miejscach korespondencye, zwłaszcza z Konstantym Gąszińskim, gdy przyjaciela ostrzega przed tą filozoficzną trucizną.

Idealista pragnął naród krzepić i wyprowadzać go na coraz szczytniejsze wyżyny, wmawiając weń „nadeuropejskie cnoty“. Od Woronicza aż do mesyanizmu powtarza się w poezji naszej ta sama pokusa porównań męczarni narodu z dziełem odkupienia przez Zbawiciela świata. Naród jak człowiek może i powinien wpatrywać się w krzyż Chrystusowy, gdy dźwiga swój krzyż i wolno mu ztąd czerpać otuchę, ale Krasiński zbłądził metaforami gdy dwa zestawiał kielichy ofiarne, gdy równał niemal ofiarę Boga-człowieka, z nieszczęściem czy karą spadającą na naród. Szkodliwie zaś oddziałał na ogół idealistycznym, że tak powiemy szowinizmem. Kiedy trzeba było wejścia w siebie i prawdy dziejowej, „niechaj boli jako chce“, w Przedświcie rozgrzeszył całą przeszłość z dawnych win, a dając w Psalmach najzbawieniejsze ostrzeżenia i rzucając złowrogie lecz sprawdzone wróżby, wmawiał w naród jakąś świętość i anielskość, do której dążyć trzeba, ale z której przechwalać się nie mieliśmy prawa.

Ztąd wzięła początek teoria o wyjątkowości historyzoficznej, która nas miała stawiać po za warunkami innych społeczeństw. Wieszczył co zwiastował „mord i srom“ 1846 r., który dojrzał i dalsze jeszcze pogromy, ostrzegając przed „bohaterstwem, co nie pewnią zwycięstwa“ nie został może bez wpływu na ten piękny ale złudny prolog nowej katastrofy, a rok 1861 wskazał, że co u poety było szlachetnym złudzeniem, to w zastosowaniu stało się zgubną obłudą.

A jednak Krasiński zatrzymał się na granicy mesyanizmu, i nie przekroczył jej, uchronił się od sekty towianizmu, od której Mickiewicz się nie obronił.

O ile nadmiar miłości wiódł go do uidealizowania narodu, o tyle patrzył bystro i trzeźwo w prądy wieku. Tu był bez złudzeń: Komedia nieboska, poniekąd Niedokończony poemat a zwłaszcza Psalmi tego dowodem. Któż zmierzył tak do głębi całą tę otchłań rewolucji współczesnej, któż przewidział tak jej orgie, rozkład i barbarzyństwo tam, gdzie upatrywano jutrzeńkę; chyba jeden Józef de Maistre, a drugi Krasiński. I tu wieszcz prawdziwy był politykiem zdrowym, moralistą narodowym i historyzofem.

Lecz gdy mu przesuują się w podziemiach weneckich wieki przeszłe, lub gdy w Legendzie patrzy na walącą się kopułę św. Piotra, rozwiązuje wiele zagadnień przeszłych i przysłych, wszędzie korzy się przed postacią Chrystusa, jak w Nieboskiej powtarza *Galilee vicisti* — ale nie zawsze rozumie całą potęgę Kościoła, jego zbawczą w dziejach misję i jego niewzruszoność. On wie, że Chrystus przyniósł całą prawdę, ale sądzi, że ona jeszcze cała się nie wyłoniła, i wróży erę Jana po erze Piotra. Postęp ducha ludzkości w przebiegu wieków zna ten historyzof, „duch płynie a nie skacze“, ale jest w obłądnie, gdy to prawo postępu do niewzruszonej i pełnej stosuje prawdy.

Zawsze chrześcijański, na końcu jest sóiśle katolicki. Od ruin i zwalisk rzymskiego Koloseum zwraca się do krzyża, „który się wzbil zwycięzko“. W psalmie *Resurrecturis* jest już tylko wielkim moralistą, dającym narodowi najszczytniejsze etyczne prawdy. W testamencie oddaje pisma pod sąd kapłana-żołnierza, O. Kajsiewicza, przed którym i Mickiewicz wyrzeka się mistrza sekty mesyańskiej.

Mieliśmy mówić o dwóch tomach listów, a powitaliśmy powracającego wieszczą. Listy są tylko uzupełnieniem pism Krasińskiego, są tylko odbiciem tego procesu idei, jaki przebywał poeta w dwudziestoletnim niespełna okresie swej twórczości. Choć poeta mało mówi o swych pismach i tai się przed najbliższymi, osłaniając się anonimem, lub autorstwo przypisując innym, listy te są komentarzem pism, bo wskazują wpływy zewnętrzne, stan duszy i rodzące się natchnienia, bo ukazują nam człowieka.

Biograficzna strona mniejszą tu ma wagę; nie podzielimy w ogóle tej drobiazgowej ciekawości, która bawi się zbieraniem najpowszechniejszych szczegółów codziennego życia, wdzierając się w stosunki czysto osobiste lub rodzinne, wymagające niekiedy zasłony. Najpiękniejsza twarz o greckich rysach, gdy się na nią patrzy przez mikroskop, traci na uroku, bo znika nam jej wyraz i harmonia, a dostrzegamy zmarszczki i nieregularności. Krasiński w najpoufniejszych swych zwierzeniach nie ma nic codziennego, podobnego do ogółu. Nawet powiedzieć można, że ten ton podniosły poety-filozofa, który świetnością stylu olśniewa, może jeszcze

więcej w listach, niż w wierszach niezawsze równej siły, nurzy brakiem prostoty. A jednak ta podniosłość tonu, ten wysoki diapazon był jego naturą, gdy bowiem w drugim tomie przemawiając do starego żołnierza, nie poety — stara się o dosadność wyrażeń, przestaje być sobą. Prostota tu przybrana, ale szczerą jest zawsze niezrównana dobroć serca i olbrzymi smutek.

Stosunek z Konstantym Gaszyńskim jest znany. Poeta tu przemawia do poety lubo niższego o wiele od siebie, pragnie mu przelać w duszę to co ma najszczytniejszego i najzdrowszego, pragnie go uchronić od zbroczeń i upadków, rozciąga nad nim pomoc materyalną i pieczę duchową. Wyjątki z tych listów znane już z dawniejszej publikacji, dały miarę tych nauk i zwierzeń. Całość jest jednym poematem, jest kilkunastoletniem obcowaniem duchów, obcowaniem, w którym się przesuwają wrażenia z walk myśli i wypadków współczesnych. A więc od tej szlachetnej zazdrości żołnierskiej służby, i tej boleści, że przykuty i rozkrzyżowany przeciwnościami nie mógł podzielić i chwały i klęski; aż do piorunujących wrażeń katastrofy 1846 r., odbicia wypadków 1848 r., upatrywania przyszłej ery, świtającej po za chmurami. Pereł tu pełno, a raczej gorzkich łez. Mniej podniosłe, mniej bogate myślą, są listy do Soltana, ale są bardziej podmiotowe, zwierzeniem własnych uczuć. Przeważa w nich ton skargi, boleści, jest to jakby przeciągły jęk, w którym mięsza się czasem choroba fizyczna z jakimś *Welt-schmerzem*. Litość zbiera i zdziwienie, dlaczego tyle warunków szczęścia składa się na jedno nieszczęście. Czy to konieczność natury poety, wszak Mickiewicz czuł za miliony, a miał swobodę szlachcica litewskiego. Jest tu także skutek stosunków anormalnych. Gdy się niema trudności zewnętrznych, walki o byt, jarzma codziennego trudu, odczuwa się tem silniej moralne cierpienia, a wyobraźnia je potęguje i stwarza nowe. W obczyźnie tęskni Krasziński za krajem, zbliżając się do jego granic rozpacza. Dzielać się własną boleścią odczuwa nieszczęścia przyjaciół i co chwila woła: serce mi pękło! Ale w tej melancholii niema jednej kropli goryczy, dobroć serca zawsze ta sama, i umie się zniżyć do drobnych, codziennych trosk, gdy chodzi o przyjaciół.

Tom pierwszy, korespondencya z Gaszyńskim to klucz do dzieł Zygmunta — tom drugi, korespondencya z Sołtanem to wyznania i spowiedź osobista. Publikacya tak dawno oczekiwana jest wypadkiem w literaturze. Zwrócić ona winna ogół czytający ku wielkiemu poecie, którego myśl nie jest jeszcze dotąd wyczerpaną, wyjaśnioną i zużytkowaną.

Ludwik Dębicki.

Кардиналь Гозиѣ и Польская Церковь его времени.

Сочиненіе П. Жуковича.

С. Петербургъ 1882.

Kardynał Hozyusz i Kościół polski za jego czasów.

Przez p. Żukowicza.

Historya reformacyi w Polsce znalazła odrazu dwóch uprawiaczy w rosyjskiej literaturze. Panowie: Lubowicz w Warszawie, Żukowicz w Petersburgu ogłosili niemal równocześnie swoje na tem polu prace. Poddamy obydwie rzetelnej krytyce. Rozpoczynamy od monografii Hozyusza, około którego skupił P. Żukowicz dzieje reformacyi w Polsce. Autor, doktorant teologii prawosławnej w Petersburgu, wolny jest od wielu utartych przesądów i uprzedzeń, poglądy jego częstokroć zdrowe i godne historyka, z pióra jego nie tryska jad nienawiści, lecz owszem pewna powaga i spokój przebija się w całym opowiadaniu; przytem sumiennosc w przytaczaniu źródeł historycznych, pewien zasób erudycyi i styl poprawny, świadczą dobrze o jego zdolnościach. Dwa główne niedostatki psują tę harmonijną całość. Pierwszy z nich leży w krytycznych zapatrywaniach autora na całe społeczeństwo polskie i na wybitniejsze postacie XVI. wieku. W poglądach tych przebija pewien sceptycyzm zaćmiewający najpiękniejsze charaktery, tłómaczący poświęcenie zręczną polityką, heroizm zimną rachubą, miłość Boga i ojczyzny namiętym fanatyzmem. Drugi błąd autora — to niedostateczne wyrozumienie przyczyn wzrostu i upadku reformacyi w Polsce. Według książki p. Żukowicza

prąd nowatorski wiejący z zachodu wstrząsa odrazu całą Polską i Litwą, głos nowinkarzy odbija się bratniem echem od Bałtyku do morza Czarnego, idea odszczepieństwa, jak iskra w proch rzucona, zapala całe masy mieszczaństwa, szlachty i magnatów, porywa duchowieństwo, wkrada się nawet pod biskupie infuły i królewską koronę; wulkan wre, kipi, wybucha i zalewa ognistą swą lawą kraj cały — katolicyzm zgnieciony tym wybuchem znika z miast i dworów, zepchnięty kędyś do biednych chat wieśniaczych. Wtem, odziany purpurą kardynalską, zjawia się Hozyusz i fanatycznym swym zapalem, jakby różczką czarodziejską wskrzesza wiarę praojców, zamkniętą już w grobie, a zręczna polityka Commendoięgo i Jezuitów dokonywa tryumfu katolicyzmu.

Niezupełnie to prawdą. I tak episkopatowi polskiemu zarzuca autor „apatyą“ w sprawach religii, uganianie się za materialną tylko korzyścią a nawet powszechne zepsucie obyczajów (str. 37). Tyczyć się ten zarzut może tylko pewnej części duchowieństwa, ogół bowiem kleru miał w sobie podówczas wiele stron dodatnich; wszakże w pierwszej połowie XVI. stulecia widzimy trzy synody zwołane do Łęczycy i tyleż do Piotrkowa w celu naprawy obyczajów i powstrzymania napływu nowinkarzy. A duchowieństwo to w początkach reformacji nie było tak zepsutem, jak je p. Ż. przedstawia (str. 39, 40). Jan Łaski, Piotr Tomicki, Maciejowski, Chojeński, Konarski, nie byli to mężowie apatyczni, albo sybarici w życiu, owszem swoją prawością charakteru, usługą publiczną powszechny zjednali sobie szacunek. Dopiero koło r. 1545 wkrada się frymarka infuł i beneficjów, a z nią najsmutniejsze nadużycia, gdyż Zygmunt, osłabiony już wiekiem, nadał Bonie przywilej nominacyi na wszystkie dostojęstwa kościelne¹⁾. Ale i wówczas nawet taey biskupi, jak Gamrat lub Łatałski hojnością i miłosierdziem nagradzali, choć w części, hulaszczę swoje wybryki; z kuchni Gamrata stu ubogich co dzień się żywiło, a gdy w podróż wyjeżdżał, to szły za nim dwa wozy z odzieżą dla biednych włóścian i żebraków. I na

¹⁾ Theiner t. II, p. 550.

potrzeby publiczne duchowieństwo nigdy nie uchylało się od ofiar: w r. 1511 składa ono dobrowolnie znaczną wówczas sumę 40.000 dukat. na wojnę pruską, a w r. 1561 na synodzie warszawskim 60.000 talarów. Prawda że beneficya i majątki biskupie równały się księstwu niemieckim, ale pamiętać należy, że w tych beneficyach stokroć lepszym był stan kmiotka, niżli u świeckich magnatów¹⁾, że z tych beneficyów i dziesięcin Łokietek podniósł niegdyś i odbudował spustoszoną Polskę, że te beneficya wreszcie uposażały uniwersytet i bursy krakowskie, a klasztory polskie były zawsze obroną mieszkańców, skarbcem narodu, przedmurzem przeciw Litwie i Tatarom. Nie bez przyczyny wspominamy o dawniejszych zasługach polskiego duchowieństwa, bo p. Ż. sięga i w przeszłe pokolenia, wyrzucając im „że na sumieniu wyższych klas społeczeństwa polskiego ciąży tak wiele grzechów przeciw narodowości“, i że dopiero w miarę przybliżania się do XVI. w. budzi się w Polakach, nie bez wpływu husytyzmu „poczucie narodowe“ („национальное сознание“), (str. 49, 53, 54, 55). Śmiesznym wydać się musi ten zarzut temu, kto wspomni, że naród, który z pod wpływu niemieckich cesarzów sam się oswobodził, który pomimo wewnętrznych zaburzeń, pomimo walk z Rusią, Litwą i Ordą stanął w jednym rządzie z pierwszemi państwami Europy, który wreszcie, wśród zamętu kilkunastoletniego bezkrólewia potrafił przebić się do świetnej epoki Jagiellonów, że taki naród musiał mieć w sobie tę potężną siłę żywotną, którą P. Ż. nazywa „poczuciem narodowem“. A siły tej nie czerpał zaiste z mętnej nauki Husa, która w kraju naszym nigdy głębokich nie zapuściła korzeni i tak wśród duchowieństwa, jak w całym senacie na nieprzełamany napotkała opór. Bo chociaż w nadziei pojednania Czechów ze Stolicą św. sprzyjano zrazu na dworze polskim husyckiemu ruchowi, to jednak, przekonawszy się o jego antikatolickich celach, wnet go zostawiono jego losowi; a Zawisza z Garbowa i później Niedźwiecki biorą nawet udział w krzyżowych wyprawach przeciw Husytom. Błędne jest także zapatrywanie się autora na przyczyny i okoliczności, sprzyjające roz-

¹⁾ Łętowski, Katalog I. p. 248.

wojowi reformacji w Polsce. Widzi on je w „anomaliu katolickiego kościoła (str. 48) i jego hierarchii“, skutkiem czego wybuchła walka możnowładców świeckich z episkopatem i rośnie coraz bardziej „powszechne“ niezadowolenie z ówczesnego stanu Kościoła (str. 42, 46, 47, 53); pierwszym jego objawem miały być sekty Waldensów, Biczowników i Fratricellów, ostatnim zaś i najcharakterystyczniejszym „powszechne“ żądanie narodowego kościoła, sformułowane w pismach Frycza Modrzewskiego. „W protestie Lutra, pisze z młodzieńczym zapałem p. Ż. (str. 93), brzmiało dla myślącego Polaka tyle nut rodzinnych — w nim myśli, pragnienia, uczucia polskiego społeczeństwa znajdowały swe urzeczywistnienie! Kiedy potężne dźwięki, rozlegające się w Wittenberdze błyskawicą obiegały Europę, *czyszcząc i odświeżając myśl europejską*, polskie społeczeństwo z szczególną uwagą i rozkoszą przysłuchiwało się tym nowym dłań tonom“. Tymczasem niechęć szlachty, ani powszechną nie była, ani też skierowaną przeciw Kościołowi. Nie była powszechną, bo nawet w latach najszerzego rozwoju reformacji tylko żywioł niemiecki t. j. mieszczaństwo powszechnie skłaniało się ku niej, lud zaś wszystek i szlachta szaraczkowa i wioskowa, oraz całe Mazowsze stali niewzruszenie przy ś. wierze swych przodków; a na 250.000 rodzin szlacheckich (barones, milites) zaledwie 742 znakomitszych domów, dało się oczarować owym „dźwiękom“, płynącym do nas nietylko z Wittenbergi, ale z Włoch, Szwajcaryi, lub Francyi ¹⁾. Jak w każdym społeczeństwie konstytucyjnem, istniał w Polsce, od czasu zwłaszcza Zbigniewa Oleśnickiego pewien antagonizm między senatem świeckim i magnatami a senatem duchownym, ale nosił na sobie cechę wybitnie polityczną i złagodzony był znacznie faktycznem zawieszeniem jurysdykcji biskupiej i częściowem usunięciem sporów o dziesięcinę. Właściwą przyczyną chwilowego powodzenia reformacji, jak w Niemczech była chciwość, w Anglii lubieżność, tak u nas częścią lekkomyślność i lgnienie do blichtru nowości, częścią zaś polityczna rachuba. Wiadomo przecie, że taki n. p. Mikołaj Czarny Radziwiłł stał się jednym

¹⁾ Dzieduszycki „Skarga i jego i wiek“ t. I, p. 118.

z najgorliwszych apostołów kalwinizmu w tym głównie celu, by zerwawszy najsilniejszy węzeł między Polską a Litwą, osadzić ród swój na udzielnym tronie Olgierdów i Giedyminów. — Nie-równie mniejszą była liczba zwolenników kościoła narodowego. Z biskupów Uchański tylko i Drohojowski chwilowo o nim marzyli; zresztą nawoływania Modrzewskiego przebrzmiały bez echa. Inaczej też być nie mogło, bo idea kościoła narodowego jest tak samo niemożliwą chimerą jak n. p. idea ducha materyalnego. Kościół bowiem, to instytucja boska, w porządku nadprzyrodzonym dla całego rodzaju ludzkiego, kościół zaś narodowy, czy to według teorii Frycza, czy Napoleona I. to niewolnik i sługa tego lub owego politycznego systemu rządowego, jakiby on nie był, monarchiczny czy republikański.

Mówiąc o dawnych papieżach i katolicyzmie, nie ustrzegł się p. Ż. uprzedzenia i krzywdzących sądów. „Na Stolicy Apostolskiej, mówi on (str. 532), zasiadali niegdyś („воры, уби́ицы, атенсты, клятвопреступники, прелюбодки“), „złodzieje, mordercy, ateści, krzywoprzysięscy, rozpustnicy“. Katolicyzm jest dlań tylko synonimem fanatyzmu i ciemnoty, lecz zato reformacja — to ideał, to źródło oświaty, to zbawienie rodu ludzkiego! (str. 52). „Myśl ludzka, woła z uniesieniem, pod wpływem reformacji z niepowstrzymaną siłą zrzucała z siebie poniżające kajdany wielowiekowego niewolnictwa i pod nowem godłem swobody dążyła naprzód“ (str. 367). Nie nowina to u duchownych cerkwi rosyjskiej to lgnienie i te sympatye dla protestantyzmu. My się im tem mniej dziwimy, że wielu polskich pisarzy jak: Bentkowski, Maciejowski, Łukaszewicz i nowszych kilku na protestanckie sympatye potężnie chorują i wraz z p. Ż. złoty wiek literatury polskiej zasługą reformacji być mienią. Gdzieindziej wykazaliśmy mylność podobnych zapatrywań i sądów; tu bierze ochota wskazać na orgje i bezprawia, dokonane w krajach, gdzie się przyjęła owa „wielka myśl germańskiego reformatora“. Płonące stopy na rynku Norymbergi, zwierzące orgje w Monasterze, tortury i szubienice w Londynie, cały Zachód krwią bratnią zbryzgany, łuny pożarów, sterczące zgliszczą całych prowincyj, wandalizm wśród pomników nauk i sztuk pięknych, wreszcie

obniżenie się poziomu naukowego pod koniec wieku XVII. — oto cywilizacya nowatorska, oto swoboda ludzkiego ducha! A w Polsce, czyż lepsze owoce przyniosła reformacya? Zepsucie obyczajów, niezgody i rokosze, niedola włościan, upadek władzy królewskiej i owe zgubne sejmiki — oto dziedzictwo po niej pozostałe. Nie tu miejsce dłużej się nad tem rozwodzić; nadmienię tylko, że na próżno odwołuje się p. Ż. do powagi Mikołaja Reja, jako twórcy Zygmuntońskiej literatury. Rej bowiem wprzód miał sławę poety i znaczenie na królewskim dworze, nim jeszcze przyjął helweckie wyznanie.

Mylnie także tłumaczy p. Ż. religijność Zygmunta I. taktyką polityczną, a przychylność Zygmunta Augusta względem biskupów prostą i naturalną wdzięcznością za pomoc, jakiej od nich doznał w przyprowadzeniu do skutku wbrew woli magnatów koronacyi Barbary. Zygmunt I. tak wysoko stał w oczach Rzymu, duchowieństwa i całego katolickiego świata, że udowodniać jego przekonania katolickich jest rzeczą zbyteczną. Zygmunt August nie przez wdzięczność tylko popierał biskupów, boć z grona ich jeden tylko Maciejowski bronił otwarcie jego związku z Barbarą; większość z prymasem na czele uważała związek ten za nieprawy. Miękkich i wolnych obyczajów, ulegając nadto wpływowi Radziwiłłów i Lismaniniego, pobłażliwym był August dla innowierców; pozwalał nawet Dyskordyi i Janowi z Koźmina miewać kazania na wileńskim dworze, lecz gdy mu Maciejowski wyrzucał to postępowanie, król odpisał: „*Persuadeat sibi Paternitas v. nos Christianos esse et fidem a majoribus nostris traditam sanctissime observare, in eaque ac pro ea, ubi opus fuerit, et emori velle... mittat P. v. huc hominem litterarum non ignarum, qui audiat et referat*“¹⁾. To przywiązanie do katolickiej wiary stwierdził Zygmunt August publicznie i to na kilka zawodów: raz, gdy w imieniu senatu przyjął bez roztrząsania ustawy Trydenckiego soboru, drugi raz gdy odmowę rozvodu z Katarzyną Austryaczką zniósł pokornie, choć przedtem nieraz powtarzał, że woli raczej dać gardło, niż żyć z nieznośną mu żoną.

¹⁾ Act. Hist. t. 1. a. 1525—1550.

Pomnijmy nadto, że wiek XVI. był wiekiem Henryka VIII w Anglii, Chrystyerna II, Nerona Północy w Danii, Karola IX. we Francyi, Selima II. w Turcyi; — obok takich monarchów, nikną zaiste wady ostatnich Jagiellonów. Niesłusznymi są zapatrywania p. Ż. na lud nasz i szlachtę uboższą. Wytrwałość włościan w wierze kat. przypisuje autor ubóstwu ich i „żelaznej egipskiej niewoli“ (str. 89 i 524). Dziwna to doprawdy loika. Jeżeli lud zostawał w egipskiej niewoli, toć prosty rozkaz zheretyczalego dziedzica wystarczył, aby opuścił swą wiarę, tymczasem on trwa przy niej, chociaż nie brakło na zheretyczalnych panach, którzy „batogami“ lud pędzili do zborów. Dowiedzioną to zresztą rzeczą, i zlotousty Skarga publicznie z ambony tego dowodził, że stan chłopka polskiego znośny w dobrach szlacheckich, znośniejszy w królewszczyznach¹⁾, pogorszył się znacznie od nastania u nas „religijnych nowinek“, gdyż dotąd był on daleko mniej upadający, niż jak w Szwajcaryi, Niemczech, Saksonii lub Francyi, w wiekach zaś poprzednich nie był gorszym od stanowiska szlachty średniej²⁾.

Najnielaskawiej obszedł się p. Ż. z Hozyuszem i Jezuitami. Hozyuszowi przypisuje czystość obyczajów, szlachetność charakteru, dobroczynność dla ubogich. „Była to postać, mówi on, otoczona aureolą świętości i uczoności, zakuta w pancerz nieskazitelnych obyczajów, postać, przed którą kłaniały się tłumy, którą szanowali nawet nieprzyjaciele, bo każdy widział, że on nie walczył dla siebie, tylko dla idei“. Świadectwo to prawdzie oddane pięknie brzmi w ustach rosyjskiego publicysty, ale widać

¹⁾ Za zabicie szlachcica Kaźmierz W. ustanowił karę 30, później 60 marek, Jan Alb. i Zygmunt Aug. 120 mar. i więzę. Zabójstwo zaś kmiecia Kaźmierz Jag. karać rozkazał 10 mark., a prawo to potwierdził Zygmunt August w Piotrkowie r. 1538. *Herbert Stat. regn. pol. tit. Homicid.* Za Stefana Batorego szlachcic za zabicie chłopca płacił 30 grzyw. *Vol. Const. tit. homic.* W Prusiech zaś głową karano bez różnicy między prostym i szlachcicem. *Const. Pruss. a. 1538 §. Statuimus praeterea. R. 1538* zniesiono prawo o aresztowaniu zbiegłych włościan i tym ostatnim wolno było zanosić skargi do starostw na swych panów. *Bandtke Corp. jur. pol. art. Korczyn. a. 1565 §. X.*

²⁾ *Jadwiga i Jagiello t. II.*

mu pilno z wieńca tych pochwał zdzierać listek po listku. „Hozyusza pisma, tak mówi dalej, nie były jednak słowem miłości i pokoju, lecz fanatyzmu i nienawiści ku różnowiercom... Kardynał na każdym kroku naruszał rozkaz Chrystusa: „Oddajcie cesarzowi, co cesarskiego“; owszem pozbawiony był nawet uczuć ludzkich“ (str. 540). Winniśmy na te zarzuty krótką odpowiedź. Hozyusz trzymał się dewizy św. Augustyna: „nienawidźmy błędu, miłujmy błędzących“: nienawidził on herezyi, lecz kochał heretyków; chętnie widywał ich u swego stołu i uprzejmie z nimi rozmawiał¹⁾. W Wiedniu innowiercy podziwiali jego łagodność i słodycz, a on sam z wrodzoną sobie szczerością wyznaje, że tylko Bóg był celem wszystkich jego usiłowań: „Testis est mihi Deus, quod in omnibus studiis et contentionibus meis, ea quae sunt Jesu Christi semper quaerere volui“²⁾. Nie wiemy zaś zupełnie kiedy to Hozyusz nie oddawał „cesarzowi co jest cesarskiego?“ Owszem, postępowanie jego dowodzi i szacunku dla króla i miłości dla kraju. Gdy papieże naglili go do przyjęcia kardynalskiego kapelusza, on kilkakrotnie pisał z Rzymu do króla z prośbą o zezwolenie na przyjęcie tej godności. W r. 1566 wykrył w Prusach spisek, uknuty przeciw królowi, za co go tenże uczcił mianem „Ojca ojezyny“. W Rzymie założył szpital dla Polaków, a ubogich swych ziomekóv hojnie z własnej opatrywał szkatuły. Za kraj swój często i gorąco się modlił i dla dobra tego kraju poświęcił całe swe życie. A że czasem w swych pismach jaskrawszemi wyrazy gromi nowatorstwo, to wyrazy te dalekie są jeszcze od fanatyzmu, chyba że fanatyzmem też nazwiemy pisma Grzegorza Nyssa, Bazylego, Chryzostoma i Atanazego. Odpowie nam na to p. Ż., że Hozyusz, pisząc do Henryka Walezyusza „sprawcy krwawej nocy św. Bartłomieja“ (str. 450), gorąco go zachęca, by w Polsce postępował tak, jak we Francyi. Ależ to rzecz powszechnie wiadoma, że myśl pozbycia się groźnych przeciwników podała Katarzyna Medicis, a wykonał ją

¹⁾ *Vita Hosii* Auct. Stan. Rescio L. I. c. 16.

²⁾ *Ibid.* L. II. c. 3.

Karol IX. i Henryk Guise. Zresztą pobudki do tego krwawego czynu miały cechę polityczną. Że zaś Hozyusz cieszył się z tego wypadku, owszem dodamy, że nawet Grzegorz XIII. dziękczynne nabożeństwo odprawić rozkazał, to wszystko odnosiło się do faktu, nie jakim on był w istocie, lecz jakim go przedstawiono Stolicy Apost. i całemu światu. Pisano bowiem z Paryża, że zbrodniczy spisek Hugonotów odkryto na chwilę przed jego wybuchem i szczęśliwie, choć nie bez licznych ofiar przytłumiono. W takim świetle fakt ten przedstawiony, mógł się wydać istotnie radosnym dla Rzymu i Hozyusza, jak każde zwycięstwo katolickiego króla... Braku uczuć ludzkich w Hozyuszu dowodzi autor z wypędzenia z Brunsbergi apostaty Jana Preuka, ale pomijając już inne względy, upoważniały go do tego kroku istniejące podówczas prawa cywilne Warmii.

Zarzuca mu jeszcze p. Ż. przewrotne działanie wbrew Ewangeli i sumieniu, zwłaszcza gdy doradzał Henrykowi wycofać się z przysięgi na zachowanie konfederacji warszawskiej, a Batoremu podał „znane jezuickie tłumaczenie“, że istota przysięgi zawisła nie od słów, lecz od myśli przysięgającego. W zarzucie tym przebija u p. Ż. albo brak rozumienia pierwszych zasad moralnych, albo brak uczciwości, historykowi tak potrzebnej — do wyboru. Każdy wie, że przysięga nie czyni złego czynu dobrym, że więc kto zaprzysiągł rzecz niegodziwą, ten źle czyni gdy ją wypełnia; każdy też wie, że nie godzi się inaczej wyrażać przysięgę, aniżeli się ją pojmuje, lecz oraz, że przysięga nie jest przysięgą, tylko o ile jest pojętą i zrozumianą. W danym wypadku zachodziła jeszcze ta okoliczność, że „artykułom Henryczańskim“ w konfederacji warszawskiej, można było śmiało zaprzeczyć prawomocności, bo przeciw niej protestował interrex, protestowali biskupi i znaczna część szlachty, sprzeciwiała jej się stanowczo inne konstytucye; to też Henryk Walezy, ponawiając przysięgę na Wawelu, ujął ją w formę bardzo nieokreśloną: „Pacem inter dissidentes de religione tuebor et manutenebo“. Mógł więc Hozyusz sumiennie oświadczyć Batoremu, że go taka przysięga nie obowiązuje do pobłażania zgu-

bnym roszczeniom heretyckim, przechodzącym już wówczas wszelką granicę¹⁾.

Największym błędem czy winą Hozyusza było zdaniem p. Ż. sprowadzenie Jezuitów do Polski i gorące ich popieranie u biskupów i ludzi wpływowych. Autor nie odmawia Jezuitom wielu zalet: podnosi ich wykształcenie, talenta, cierpliwość i bohaterską odwagę nie cofającą się nawet przed kamieniami które ich ambony obsypywało na wstępie niemieckie mieszczaństwo. Mimo to wszystko jednak, widzi po za tą maską jezuickiej cnoty ukryte, tajemnicze cele. „Jezuici, mówi on (str. 403), objawszy w swe posiadanie kościoł (w Wilnie) tak go urządzali, że cały ustrój zewnętrzny, świetność nabożeństwa, muzyka it.p. wpływały silnie na umysły modlących się. Pospółstwo, u którego uczucie ważniejszą gra rolę niż rozum, łatwo wpadało w jezuickie sieci i przywiązanie swe do wiary przenosiło na Jezuitów. Takim to sposobem chytry Jezuita pociągał ciemnego człowieka do swego konfesynału, gdzie w końcu wkradał się do jego duszy i sprawiał w nim powoli metamorfozę, której ostatecznym skutkiem był ślepy fanatyzm. Nawet z morowej zarazy umieli skorzystać Jezuici: bo gdy inni uciekali z Wilna, oni spieszyli do chorych z lekarstwem, pociechą, wsparciem, spowiadali i opatrywali ich śś. sakramentami, a niejeden z nich wtedy padał trupem przy łożu zarażonych.“ Nie dziwimy się rosyjskiemu publicyście, — powtórzył on tylko oklepane i dawno zbite zarzuty niektórych historyografów polskich — owszem podziwiałoby należało, gdyby ich nie był powtórzył. Pojmujemy i to, że chcąc być loicznym w powtarzaniu anti-jezuickiego pacierza, musiał rzucić zakonowi w oczy wrękomą jego zasadę „cel uświęca środki“. Autor sam wyliczył co dopiero te środki — a były nimi: nauka, znajomość serca ludzkiego, praca i poświęcenie — sąż one złe i niegodziwe? Ukryte jezuickie cele oburzają autora. Pytamy napróżno — jakie to cele? dlaczego ich ani on, ani ci za którymi ten zarzut powtarza nie odkryli? — ogólnikiem: „Jezuici mieli ukryte cele my

¹⁾ Tak też rzecz tę przedstawia St. Reszka w życiu Hozyusza Vita Hosii. lib. III. c. 9. 10.

nie wiemy jakie, ale mieli“ zbywa się całą odpowiedź. Pomijamy resztę innych i już dawno zbitych zarzutów o fanatyzmie, obskurantyzmie i zgubnych wpływach na młodzież — o „oczarowaniu magnatów“ i dworskich intrygach: „Jeszcze parę dziesiątków lat, przepowiada autor z przekąsem (str. 510), a Jezuita będzie królował u domowego ogniska polskiego magnata i szlachcica, panować będzie i w senacie i w gabinecie królewskim, wszystko przejrzy, wszystko zrozumie, wszystko spożytkuje „*Ad majorem Dei gloriam*“. My na to:

„Każdy w sobie ma olbrzyma,
Który z prawdą, nie z nim trzyma“ (Kraśniński).

Przebiegliśmy głównejsze przynajmniej błędy i usterki książki p. Żukowicza, wynosząc z nich to przekonanie, że głównem ich źródłem są pewne uprzedzenia, których pozbyć się człowiekowi miłującemu prawdę nie będzie znowu tak trudno.

B. Jasińczyk.

BIBLIOGRAFIA.

SKARGA PIOTR T. J. **Kazania na niedziele i święta całego roku.**

Tomy 2. str. 494, 392. Lwów 1883 nakład Gubrynowicza i Schmidta.

O tem jedenastem wydaniu Kazań Skargi pomówimy w następnym zeszycie.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej polskiej.

Tom IX.

Jestto ostatni tom cennego wydawnictwa źródeł do dziejów Polski z tak zwanej epoki dyplomatycznej, aż po koniec panowania króla Aleksandra. Dokumenty wyjęte bądź z archiwum miasta Nowego-Sącza, bądź z archiwum lwowskiego wyjaśniają nam dzieje tegoż miasta z uwzględnieniem średniowiecznych stosunków miast w Polsce w ogóle. Najstarszy dokument sięga r. 1387. Kilkadziesiąt dalszych pochodzi z archiwum miasta Lwowa, które się również do czasów Jana Olbrachta i Aleksandra odnoszą. Umiejętna metoda w układzie i wzorowa staranność w odczytywaniu dokumentów cechują żmudną pracę, której przewodzi zaszczytnie znany badacz naszych dziejów dr. Liske prof. uniw. we Lwowie.

KORBON TADEUSZ. Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta 1764—1794, badania historyczne ze stanowiska ekonomicznego i administracyjnego. Tomy 2. Kraków 1883. 8 złr.

Nie zawsze godzić się można na polityczne poglądy i sądy autora, za to co do wewnętrznego stanu Polski odstonił autor zupełnie prawie nieznaną, nową kartę dziejów. Jedna to z najpoważniejszych publikacyj historycznych, jakie się w ostatnich dwóch latach u nas ukazały.

DĘBICKI WŁAD. MICHAŁ. Nieśmiertelność człowieka jako postulat filozoficzny przyrodoznawstwa. Warszawa 1883. 1. rubl. 50 kop.

Wobec szerzących się coraz więcej zgubnych dla społeczeństwa teoryj materialistycznych, wystąpił autor z tezą o nieśmiertelności duszy, dowodząc jej konieczności z praw fizycznego świata i przytaczając powagi badaczy przyrody. Szlachetna w swych intencjach książka nie jest wolną od usterek filozoficznych, brak w niej jasno sformułowanych pojęć i definicyj, ztąd zamęt i nieład w rozumowaniach. Nie zawsze też pisać się można na jego teorye o różnych stadyach duszy po śmierci ciała, a sposób tłumaczenia niektórych tekstów pisma św. jest mylny.

DUBIECKI MARYAN. Obrazy i studia historyczne. Serya I. Warszawa 1884. Nakład Gebethnera i Wolffa. 2 rubl.

Spisaniem tych szkiców skracał sobie autor długie chwile pobytu w Dauryi Nerezyńskiej i na Niżu Dnieprowym. Budzą one żywy interes, urozmaicone mnóstwem szczegółów czerpanych z kronik współczesnych. — Jest ich sześć. — Jan Długosz — Osadczy ziemi Mandżu w XVII w. — Gniazdo hetmańskie (Koniecpolscy). — Czarniecki w Danii. — Miłość wieków ubiegłych (z pamiętników Paska). — Jeden dzień życia w Piotrkowie w XVIII w. (wjazd na starostwo Jacka Małachowskiego). Polecamy tę książkę czytelnikom.

SEWER. Szkice z Anglii w trzech częściach. Lwów. Nakładem K. Łukaszewicza 1883. (Cena 2. 40).

Książka ta zawiera ciekawe szczegóły z życia Anglików, a właściwie tylko mieszkańców stolicy. Obraz to nie na wielkie rozmiary, z którego może zbyt jaskrawie występują przywary oryginalnych wyspiarzy. Namiętna chęć zysku, traktowanie każdej sprawy począwszy od religii jako interes *business*, zamiętanie reklamy i humbugu, wreszcie śmieszna nieco emancypacya kobiet, oto czynniki

poruszające osobami przedstawionemi jako typy przez autora; żadnego rysu o wyższym nastroju, ani szlachetniejszego uniesienia. A jednak pisząc o kraju poważnej i wytrwałej pracy, karności i porządku, o narodzie najrozumniejszym i najwspanialszym i najracjonalniejszym, jak go sam autor nazywa, warto było podnieść dodatnie strony. Treść nieco sucha i mało urozmaicona, sceny ciekawsze i bardziej charakterystyczne zachodzą w pierwszej i trzeciej części, w drugiej napotykaemy epizody niesmaczne i trywialne, które działają ujemnie na ogólne wrażenie. Styl nie zawsze poprawny, w ostatniej części dopiero nabiera pewnej barwności i budzi żywszą uwagę w czytelniku.

Decreta authentica s^{ae} Congregationis Indulgentiarum sacrisque Reliquiis praepositae ab a. 1668—1882 edita jussu et auctoritate SS^{mi} D. N. Leonis P. P. XIII. Ratisbonae sumtibus Fr. Pustet 1883 — p. XX et 582. (cena 6 marek).

Niezbędna to książka, zwłaszcza przy tych wątpliwościach, jakie w kwestyi odpustowej często się nasuwają. Dodany także z rozkazu Leona XIII zbiór modlitw odpustowych.

MAKUSCEW. Monumenta historica Slavorum meridionalium, vicinorumque populorum e tabulariis et bibliothecis italicis deprompta, collecta atque illustrata a Vincentio Macusev. Tomus I. Volum. I. Ancona, Bononia, Florentia. Varsaviae 1874.
— Volum. II. Genua, Mantua, Mediolanum, Panormus et Taurinum. Belgradi 1882.

Pierwszy tom ma skorowidz chronologiczny, niema alfabetycznego, drugi tom niema żadnego; te braki utrudniają poszukiwanie w dość zresztą bogatym materyale.

D'EVERLANGE l'ABBÉ. Histoire de Saint Gilles, sa vie, son Abbaye, sa Basilique et son tombeau. Septième édition, illustrée de sept gravures à l'eau forte et enrichie d'une lettre-préface du comte A. de Pontmartui. Avignon-Séguin Frères — p. 332-table des documents. 8.

Spotykamy się w książce tej z rozdziałami o stosunkach Polski z opactwem św. Idziego w XII w. oraz za Zygmunta III., wreszcie o czynionych tam na miejscu badaniach ś. p. Aleksandra hr. Przeździeckiego. Całe dzieło poucza i zajmuje, godne pilnego czytania.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Z Rzymu. Leon XIII. pełni dalej swą missyę opatrnościową, mającą widoczny stosunek dopełnienia do wielkiej missyi Piusa IX. Pius IX. kruszył pęta, w które stara dyplomacya burbońskich i józefińskich dworów wikłała Stolicę Apostolską, przechodząc po głowach liberalnych rządów docierał wprost do serca ludów, zdobywał dla papieżstwa to wyjątkowe jedynie przynależne miejsce wysokie wobec rządów, niskie dla ludów, a wszystkim bliskie; Leon XIII. nie cofa się z tego stanowiska, jak wielu mylnie przypuszczało, ale co Pius siłą zdobył, to on łagodnością ustala i taktem uprawomocnia.

Kwestya wizyty cesarzowicza stała się już wypadkiem historycznym. Jest ona tylko nowym wyrazem zbliżenia się niemieckiego tronu do Stolicy św., więc pokojowego dokonania przez Leona XIII. moralnego zwycięstwa przez Piusa zaczętego. Ta grawitacya cesarstwa do Rzymu coś więcej znaczy, niż chwilową parlamentarną potrzebę. Pierwsze do niej zachcianki objawiły się nazajutrz po koronacyi Wilhelma I. w Wersalu, wezwanie prymasa Gnieźnieńskiego do Wersalu — missya do Rzymu — było to tylko przelotne światółko, po którym nastąpił wnet gorzki zawód, 12-letnie prześladowanie. Dziś kiedy cesarstwo niemieckie w sobie się ustaliło i przewagą dyplomatyczną zaważyło równocześnie na wschodzie i na zachodzie, znowu myśl o Stolicy Piotrowej wraca, jakby ich cień Karola Wielkiego nawiedzał. Decy-

zyą podróży cesarzewicza do Rzymu powziął cesarz 6 grud. w rozmowie z sekretarzem stanu hr. Hatzfeldem. Trudno przewidzieć jak daleko sięgną następstwa tego ważnego kroku. Ale to pewna, że kto myśli o cesarstwie w prawdziwym znaczeniu t. j. o politycznym przewództwie w cywilizowanym świecie, ten naturalnie party jest do jednego z dwojga: albo wejść w szczerzy sojusz z duchowem przewództwem świata, t. j. z papieżstwem, albo z niem walczyć — albo być Dyoklecyanem albo Karolem W. Bogu dzięki, świat jest dziś do tyła chrześcijańskim, że tylko Karolowe cesarstwo miałyby szanse ustalenia się i życia.

Co się tyczy rokowań Leona XIII. z rządem rossyjskim, słyhać gdzieniegdzie w naszym kraju narzekania, że nie wszystko się uzyskało, czegośmy pragnęli, że Ojciec św. niby zapomniał o pewnej części owczarni swojej. Gdyby było przyszło do zgody uroczystej, do konkordatu, te uzalenia się byłyby, nie mówię uprawnione, bo nikt nie ma prawa sądenia Namiestnika Chrystusowego, ale choć na jakiejś oparte podstawie, bo konkordat jest wyrazem stanowczego porozumienia Stolicy św. z drugim rządem. Ale właśnie dla tego, że Ojciec św. niczego nie zapomniał, niczego nie zaniechał, a wszystkiego uzyskać nie mógł, do takiej zgody uroczystej nie przyszło.

W dziedzinie nauki Pius IX. gromił błędy jedne po drugich, Syllabus jest tylko częściowym spisem potępionych przez niego fałszów. Leon XIII. wzywa do studyów, któreby powody błędów wykryły i prawdę uzasadniły. Przed kilku laty w encyklice *Aeterni Patris* zachęcał do studyów filozofii i w nich św. Tomasza za wodzą wskazywał. Tego roku w liście do trzech kardynałów z d. 18 sierpnia *Saepe numero considerantes* drugi główny odłam wiedzy ludzkiej porusza, wzywa do studyów historii, i dla niej archiwa watykańskie jako najbogatsze źródło dziejowe prawdy otwiera. Wówczas nie wątpił że najsurowsza krytyka filozoficzna uzna wyższość filozofii katolickiej św. Tomasza, i że to wezwanie do filozofii na korzyść prawdy i nauki katolickiej wypadnie. Teraz również nie wątpi, że krytyka dziejowa do samych źródeł historii Kościoła przypuszczona, obróci się na chwałę jego czynów

i odda cześć jego zasługom dla dobra ludzkości. Papiestwo jest zawsze siebie pewne, boświadczone posiadania prawdy. Zrozumieli to doskonale sami przeciwnicy Stolicy św. „Niesłusznem byłoby, pisze *Diritto*, nie uznać u Leona XIII. zasady przychylniej dla wolnego rozbioru, gdyż nie mógł on sobie taić, że badaniom na jego korzyść czynionym przeciwstawia się badania w przeciwnym kierunku... Oddajemy mu tem chętniej należną pochwałę, iż nie wątpimy, że ten turniej naukowy o zasługi papiestwa nie może wypaść na korzyść tego, który go wywołał“.

W tym samym duchu piszą *Gazetta d'Italia* i inne liberalne dzienniki, obsypując Leona XIII. pochwałami, lecz oraz dzieląc te mylne nadzieje, a raczej wymuszone przechwałki o zawodzie papiestwu zgotowanym. Jak w sprawie filozofii Ojciec św. nie poprzestał na Encyklice zachęcającej do filozoficznych studyów, ale założył akademię św. Tomasza, po uniwersytetach wzniecił katedry filozofii katolickiej, znakomitych filozofów nakłonił do poważnych dzieł w tym kierunku, a prace ich uwieńczył i nagroził; tak dziś nie poprzestaje na wezwaniu do badań historycznych i otwarciu archiwów, ale też ustanowił osobną komisję złożoną z kardynałów: Pitra, Hergerröther, Bartolini i Casocchi. Na posiedzeniach tej komisji z d. 7. i 22. list. (na tem ostatniem był obecny Ojciec św.), postanowiono wydać w łacińskim języku *regesta papieży* (dokumenta polityczno-kościelnej cechy) od Leona X. począwszy. Wykonanie tej myśli powierzono subarchiwaryuszowi, O. Denifle, Dominikanowi z prowincyi Austrii. Objął on swój urząd nie dawno temu po prałacie Balan'ie, który nie dla wrzekomych uchybień przeciw powadze Leona XIII., ani w skutek nadużycia swego urzędu, jak to rozgłosiły liberalne dzienniki, opuścił tę posadę, ale jedynie dla choroby ócz, która od dwóch lat go trapi. Publikacya regestów papieskich ułatwi o wiele poszukiwania historyczne w labiryncie rękopisów i dokumentów watykańskich, chociaż już teraz skutki otwarcia biblioteki watykańskiej są widoczne. Wspomniany bowiem wyżej prałat Balan wydał część I. obejmującą 140 dokumentów dotyczących Lutry i reformacyi od 1520—1523, z których przeważna część zupełnie dotąd nieznaną, inne zaś ogłoszone były drukiem

ale niedosyć wiernie. Inny uczony, oratoryanin O. Calenzio ogłosi niebawem ośm tomów dokumentów do historii kościelnej jako dalszy ciąg roczników Baroniusza.

Od 13 listop. odbywają się pod przewodnictwem osobnej komisji kardynałów — wchodzi do niej między innymi kard. Symeoni prefekt, Mgr. Jacobini sekretarz kongregacyi Propagandy — narady jedynastu arcybiskupów ze Stanów zjednoczonych Ameryki, lub ich zastępców, w celu przygotowania materiału do synodu prowincjonalnego w Ameryce, na którym ułożony ma być sposób wprowadzenia do dyecezyj amerykańskich prawa kanonicznego. Dotąd bowiem dyecezye te uważane były jako będące „w stanie misyi“. Lat kilka temu podobna reforma w duchu prawa kościelnego przeprowadzoną została w Anglii.

W chwili kiedy to piszemy deputacya nasza z mistrzem Matejką na czele powraca od Ojca św., u którego stóp obraz „Sobieski pod Wiedniem“ w imieniu narodu złożyła. Nad znaczeniem i doniosłością tego wypadku nie widzimy potrzeby długo się rozwodzić. Wskreszenie to tylko i odnowienie dawnych tradycyi katolickiego narodu, zatartych nieco wiekowem cierpieniem i wrogimi prądami ducha czasu, — oraz uroczyste zatwierdzenie synowskiej jego wierności i przywiązania do Stolicy św. Tak pojmował „dar“ swój sam mistrz Matejko, tak go pojęła deputacya a wyrazili to *urbi et orbi* w swych przemówieniach, prymas kardynał Ledóchowski i hr. Tarnowski.

Z Berlina. Sprawa kościelno-polityczna znajduje się od lat kilku w takim stadyum, że nawet zwolennicy księcia Bismarka otwarcie wyrażają powątpiewanie, czy ma silną wolę położenia końca nieszczęśnej walce, a ludność katolicka najwyższą napełniona jest obawą co do przyszłości. Po rozmowach żelaznego kanclerza z nuncyuszem apostolskim w Kissingen, po układach wiedeńskich i po pertraktacyach posła Schloezera z sekretarzem stanu kardynałem Jacobinim, byłoby można spodziewać się lepszych skutków, gdyby kierownik polityki niemieckiej nie poplątał z sprawą religijną rzeczy najróżnorodniejszych, które dla Stolicy apostolskiej zupełnie są obce, i na które ona żadnego wpły-

wu wywierać nie może. Jak już na samym początku walki książe Bismark usiłował bezskutecznie, aby kardynał Antonelli zganił postawę frakcyi centrum względem sprawy niezawisłości papieskiej, tak pozostanie na zawsze znamieniem charakterystycznym, że kanclerz w urzędowych dokumentach narzekał na to, iż centrum w drobnych nawet sprawach opozycyą mu robi n. p. w sprawie zakazu zbierania jagód po borach i lasach. Gdyby tak bystry mąż stanu, jakim niezawodnie jest książe, prostą drogą dążył do zakończenia walki a nie pragnął, aby Stolica apostolska na korzyść polityki jego kierowała frakcyą centrum, mielibyśmy już dawno szczery, prawdziwy i stały pokój w dziedzinie kościelnej.

Jaki tymczasem jest rezultat rozmów, układów, rozpraw sejmowych i kompromisów, które w przeciągu ostatnich lat czterech miały miejsce? Dopiero po zerwaniu układów wiedeńskich z strony pruskiej, doczekaliśmy się w roku 1880 po namiętnych rozprawach t. z. lipcowej ustawy, z d. 14 lipca, zaznaczającej zmianę ustawodawstwa kościelno-politycznego. Uchwalono ją naprzekor stronnictwu środkowemu i Polakom, a powierzono nią rządowi pruskiemu tak zwaną władzę dyskrecyonalną, która w tych już kilku latach zdyskredytowaną została, ponieważ rząd nie wprowadził jej w życie. Jak skąpe i niedostateczne ulgi przyznaje katolikom ta ustawa lipcowa, o tem sama już jej treść poucza. I tak 1^o osławiony trybunał kościelny nie miał już „składać z urzędu“ biskupów i kapłanów, lecz orzekać o „niezdolności ich do piastowania urzędu“: w zasadzie jednak nie się nie zmieniło, trybunał bowiem usuwa jak pierwiej tak teraz mężów niedogodnych rządowi, i przywłaszcza sobie władzę duchowną. 2^o Roku 1874 uchwalono, aby zarządca dyecezyi przed objęciem swej władzy składał przysięgę, nie tylko na ustawy majowe, ale i na wszelkie możliwe ustawy i rozporządzenia nie istniejące jeszcze wcale. Ustawa ta była w gruncie tak niemoralną, że jak przyznali to sami przeciwnicy nasi, żaden człowiek z charakterem takiej przysięgi zadającej gwałt sumieniu składać nie mógł. Ustawa lipcowa upoważnia tedy rząd do zwolnienia z tej przysięgi administratorów, którym zarząd kilku dyecezyi osieroconych śmiercią biskupów miał być powierzonym; rząd był w konieczności korzystania z swej władzy dyskrety-

nalnej, inaczej nie znalazłby żadnego kapłana, któryby był gotów objąć zarząd dyecezyi osieroconej; tak samo nie zażądał rząd przysięgi od biskupów nowych. Tym sposobem otrzymały dyecezye trewirska, osnabrücka, paderbornska, fuldajska i wrocławska prawowitych pasterzy. 3^o Ustawa lipcowa upoważnia rząd dalej do odwołania komisarza rządowego, który w zastępstwie biskupa zawiaduje majątkiem kościelnym w wszystkich dyecezyach, pozbawionych biskupa. Dotychczas nie wprowadził rząd tego paragrafu w życie; przepis ustawy, że tylko na mocy uchwały całego gabinetu a nie *ipso facto*, w razie śmierci biskupa komisarz królewski miał objąć zarząd majątku kościelnego, pozostał dotychczas także martwą literą, gdyż od lipca roku 1880 żaden biskup nie umarł. 4^o Ustawa upoważnia ministerstwo do wypłacania pensyi i innych prestacyi duchowieństwu; w żadnej dyecezyi osieroconej rząd nie zrobił użytku z tej władzy a nawet nie uczynił tego tam, gdzie biskupi dotąd nie „złożeni z urzędu“ t. j. w dyecezyi warmińskiej, chełmińskiej i hildesheimskiej. 5^o Jedyną prawie, ważną ulgą dla ludności katolickiej było to, że księża przed ustawami majowemi ordynowani, mogli bezkarnie nieść pomoc kapłańską parafiom osieroconym lub pozbawionym chwilowo, czy to przez chorobę czy w inny sposób swego pasterza; ustawa równocześnie jednak grozi dawnemi karami tym kapłanom, których (n. p. z powodu częstego sprawowania posług kapłańskich w parafiach osieroconych) można posądzać, że „przywłaszczają sobie urząd“. Jakoż rzeczywiście, pomimo lipcowej ustawy, mieliśmy częste procesa i kondemnaty za wykonywanie czynności kapłańskich, nawet przeciwko proboszczom dawno przed prawami majowemi ustanowionym; lipcowa bowiem ustawa milczy o pomocy duchownej w parafiach mających swych pasterzy, ale którzy tak byli obarczeni pracą, iż wymaganiom parafian licznych zadość uczynić nie byli w stanie. Sądy musiały w takich przypadkach skazać na karę sąsiadów litościwych, którzy swych współbraci wyręczali; i właśnie najgorliwsi kapłani padli ofiarą tego nieszczęśliwie ułożonego paragrafu. I tak nad Renem toczył się przez dwa lata proces o użyczenie pomocy sąsiedniej podczas misyi, zwróconej głównie przeciwko pijaństwu; dopiero przed miesiącem za-

padł ostatecznie wyrok uwalniający cały szereg gorliwych księży, a to jedynie dzięki temu, że sąd wychodził z zasady, iż działali w dobrej wierze przeciwko pijaństwu, nie znając dostatecznie doniosłości ustawy lipcowej. Proces ten, głośny w całych Prusiech, szkodził niezmiernie, ponieważ gorliwi kapłani nie śmieli nigdzie urządzić misji tak użytecznych zawsze, a tembardziej w tej dobie. 6^o Wreszcie upoważnia ustawa lipcowa ministerstwo do pewnego zwolnienia dozoru ścisłego nad zakonami, które zajmują się pielęgnowaniem chorych, innych bowiem nie masz już w Prusiech; zakonom i kongregacyom dozwolono zajmować się idiotami, głuchoniemymi, ociemniałymi, kobietami upadłemi i dziećmi, ale tylko do roku szóstego, gdyż starsze obowiązane są chodzić do szkoły państwowej. Ministrowie pozwolili tu i owdzie na założenie nowych osad zakonnych i na powiększenie liczby kandydatek do kongregacji. Ulga ta zawsze jest niedostateczną; liczne bowiem miasta domagają się napróżno sióstr miłosierdzia, chcąc im oddać lazarety i szpitale; nawet lazarety wojskowe nie mają dostatecznej liczby. W dodatku poczciwe te zakonnice zostają pod ścisłym dozorem, prawie na równi z włóczęgami, gdy tymczasem protestanckie dyakoniski są od niej wolne zupełnie; podejrzywa je rząd, mianowicie w księstwie Poznańskim i w Prusiech zachodnich o agitacyą polską, jakoby usiłowały spolszczyć dzieci niemieckich katolików, a gdzie indziej obawiają się wpływu ich na korzyść religii katolickiej. Rozprawy sejmowe rzuciły nieraz jaskrawe światło na te stosunki a zapewne i w obecnej sesyi usłyszemy uzasadnione skargi posłów katolickich na dowolność władz rządowych względem sióstr naszych.

Niektóre paragrafy ustawy miały pozostać prawomocne do 1 stycznia r. 1882, mianowicie o przysiędze administratorów, o komisarzach królewskich i o wypłacaniu pensyj zatrzymanych. Kiedyśmy przed dwoma laty o drobnym tylko kroku zbliżyli się do rewizyi ustaw majowych, zażądał rząd przedłużenia władzy dyskrecyjnej; i znowu projekt do tego umyślnie tak był ułożonym, że zwracał się ostrzem przeciw frakcyi centrum i Polaków. Stronnictwa jednak liberalne będąc w innych sprawach w opozycyi przeciwko rządowi, nie pochwalały polityki kościelnej księcia Bismarka i tą

razą odmówiły poparcia. Konserwatyści udali się tedy do centrum o pomoc. Po długich naradach zawarto wreszcie kompromis, korzystniejszy nieco dla nas a ułożony w takiej formie, że katolicy bez obrażenia sumienia za nim głosować mogli. Kompromis przedłużał dyskrecjonalną władzę rządu na jeden rok, tymczasem izba panów dała się namówić do przedłużenia tego terminu aż do dwóch lat, t. j. aż do 1 kwietnia 1884 r. Centrum i koło polskie przyjęły tę zmianę po dojrzałym namyśle, nie chcąc tracić korzyści choćby chwilowej tylko.

Ważniejsze niż przedłużenie władzy dyskrecjonalnej, były trzy paragrafy ustawy, która po namiętnych dyskusjach przyszła do skutku. Upoważnia ona wyraźnie króla do ułaskawienia biskupów „złożonych z urzędu“ i kapłanów tak, iż już nie potrzeba nowego wyboru biskupa. Punkt ten włożono do ustawy dlatego, że prawnicy ministeryalni oświadczyli, iż bez tego wyraźnego dodatku akt ułaskawienia mógłby być przez sądy zakwestyonowanym. Dalej opiewa ustawa, że ani patron ani parafia nie może już wprowadzać tak zwanych księży rządowych wbrew woli władzy duchownej; tym sposobem instytucja tyle osławiona księży rządowych została zniesioną, samych zaś księży rządowych pozostawiono tam, gdzie się znajdują. Zniesiono również tak zwany egzamin kulturny, jakiego pierwsza ustawa z roku 1873 wymagała od każdego księdza. Najważniejsza to zasadnicza zmiana w ustawodawstwie majowem. Wiadomo bowiem, że podług pierwszej ustawy 1873 r. każdy ksiądz po ukończeniu gimnazjum miał przez trzy lata słuchać teologii na uniwersytecie niemieckim i następnie składać egzamin z ogólnego wykształcenia naukowego, mianowicie: z filozofii, historii i literatury niemieckiej. Żaden ksiądz nie składał tego egzaminu, jakiego nie żądano ani od urzędników wyższej administracji, ani od sędziów ani od lekarzy. Protestanci poddawali się zrazu temu, wkrótce jednak podniosły się tak liczne głosy protestanckie przeciwko tej inowacyi, iż rząd przy niej dłużej nie obstawał, tembardziej że i w Badenie zaniechano podobnych wymagań, utrudniających niepotrzebnie studyum teologiczne. Zmieniono tedy pierwotną ustawę tak, iż kandydaci do stanu duchownego podczas trzechletniego studyum teolo-

gicznego u uniwersytecie niemieckim lub w seminaryum przez rząd zatwierdzonem mają służyć wykładów filozofii, historii i literatury niemieckiej, osobnego zaś egzaminu składać już nie potrzebują. Kto wymaganiom tym nie odpowie, może otrzymać dyspensę od ministra oświaty; zasady, podług których dyspensa ma być udzielana, ułożono na radzie ministeryalnej i otrzymać miano na to potwierdzenie królewskie, nie zostały one jednak dotąd ogłoszone. Zdaje się, że książę Bismark długo opierał się tej uchwale powziętej przez większość złożoną z konserwatystów, centrum i Polaków, gdyż dopiero 31 maja 1882 r. uzyskała ona sankcyą królewską, i pomimo tej sankcyi pozostała martwą literą aż do początku grudnia 1883 r. t. j. aż do ułaskawienia biskupa limburskiego, ks. dr. Blum'a. Parafiom osieroconym nie przyniosła ona wielkiej ulgi, nawet w dyecezyach mających swego biskupa nie mogło być mowy o wysyłaniu księży na parafie, chyba tam, gdzie król miał prawo prezenty na probostwo; a to dlatego, iż żaden biskup nie mógł wysłać nawet wikaryusza, tem mniej proboszcza na parafią, bez poprzedniego przedstawienia go rządowi, który rościł sobie prawo do odrzucenia księży niemiłych, na co znów biskupi zgodzić się nie mogli. O usunięcie tego twardego warunku dopominali się katolicy usilnie, a gdy wniosek Windthorsta domagający się, aby sprawowanie sakramentów i odprawianie mszy św. żadnym karom już nie podlegało, obudził w całym kraju i wśród niechętnych nawet nam stronnictw żywe sympaty, wtenczas rząd ustąpił niespodzianie i po zaciętej parlamentarnej walce, uchwaliła większość złożona z konserwatystów, znowu przeciwko centrum i Polakom, ustawę z dnia 11 lipca r. 1883, której ten jest punkt główny, iż rząd domaga się przedstawienia kandydatów tylko na beneficya właściwe i administracye, nie troszcząc się już wcale o wikaryuszów, zastępców i wszystkich niosących jakąkolwiek pomoc duchowną, w parafiach osieroconych lub nie. Wolno także biskupom wykonywać pojedyncze czynności, będące wynikiem sakry biskupiej, w dyecezyach osieroconych. Przedstawianie kandydatów na beneficya nie jest dotąd uregulowane, to tylko pewna, że w razie odrzucenia kandydata przez naczelnego prezesa prowincyi, już nie osła-

wiony trybunał kościelny, lecz minister oświaty ma być instancją wyższą. Zmiana ta nie ma na dziś praktycznego znaczenia, ponieważ rząd nie porozumiał się jeszcze z Stolicą apostolską w sprawie tak zwanej *Anzeigepflicht*, i dotąd żadnego kandydata na beneficjum nie przedstawiono rządowi do zatwierdzenia.

Należało przypomnieć tę gmatwaną prawodawczą, aby tem łatwiej zrozumieć położenie kościelno-polityczne i dążenia z jednej strony rządu, z drugiej strony Stolicy apostolskiej i centrum, oraz i koła polskiego, które w tych sprawach dotąd zawsze z niem (centrum) głosowało i zapewne nadal głosować będzie. Pół roku minęło od sankcyi ustawy lipcowej, a jednak nie weszła jeszcze w życie. Księża bowiem, którzy studia swoje odbyli po zapadnięciu głośnych ustaw majowych t. j. po r. 1873, a którzyby teraz mogli być wysyłani na parafie, nie odpowiadają wcale wymaganiom ustawy z 31 maja 1882 r.; przeważna ich liczba słuchała teologii po za granicami Niemiec, lub w seminariach duchownych po za granicami Prus. Ci wszyscy potrzebują dyspensy ministerjalnej. Samo jednak podanie prośby o dyspensę do ministra, jest przyznaniem w zasadzie supremacyi państwa nad Kościołem; nie mogli tedy biskupi na własną rękę pozwolić na to. Odnieśli się do Stolicy św., która po długich naradach zezwoliła wreszcie. Prośby te miał wnieść jako senior episkopatu pruskiego ks. biskup chełmiński Marwicz w imieniu wszystkich biskupów, nawet i tych, którzy zostają na wygnaniu. Wezwano więc księży do złożenia świadectw z odbytych studyów; sprawa jeszcze jest w toku, gdyż dopiero w połowie grudnia p. r. JX. biskup Marwicz wysłał część onych prośb do ministra. Nie jesteśmy wszelako wolni od obaw. Pamiętamy bowiem, że minister Falk zabronił kandydatom do stanu duchownego uczęszczać do zakładów naukowych zostających pod zarządem Jezuitów; pamiętamy także wywody ministra Putkamera przeciw Collegium Germanicum w Rzymie i wiemy, że jeszcze na wiosnę roku 1883 pewna agitacya usiłowała zożydzić naukę prawa wykładaną w temże Collegium. To wszystko ma pewną doniosłość, mianowicie dla nas Polaków, gdyż pewna liczba księży z archidiecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej na początku prześladowania religijnego kształciła się na uniwer-

sytecie w Insbruku, gdzie nauczają Jezuici. Z dobrego źródła wiemy, że minister oświaty robił pewne trudności w udzieleniu dyspens tym księżom, którzy w seminaryum Poznańskim 1873 r. studia teologiczne ukończyli lub znaczny czas tamże przepędzili. Czy względem innych dyecezyi minister okaże się równie trudnym nie możemy powiedzieć. Niewielu księży młodszych wykształconych podług wymagań ustawy z 31 maja 1882 r. wysłali już biskupi zeszłej jesieni na parafie; jak to n. p. miało miejsce w dyecezyi warmińskiej.

Skoro się rozeszła wiadomość, iż Stolica apostolska w sprawie dyspens zajęła postawę pojednawczą, przycichła na chwilę wrzawa dziennikarstwa liberalnego, które zarzucało przedtem dyplomacyi rzymskiej, że dla wątpliwości zasadniczych nie chce korzystać z ulg przyznanych ostatnią ustawą, a niezadowolenie osieroconych parafii zamierza wyzyskać w celach politycznych. Czempredzej pognął do Rzymu poseł Schloezer, porozumiawszy się pierwej z kancle-rzem, aby dobić targu w nader drażliwej i trudnej sprawie. Pomimo bowiem pewnej ulgi z ustawy 11 lipca 1883 wynikającej i pomimo tego, że księży młodzi z dyecezyi „osieroconych“ wnieśli prośbę o dyspensę, to pozostała jeszcze ta trudność zasadnicza, że w dyecezyach, których biskupi są na wygnaniu, nie ma żadnej przez rząd uznanej władzy duchownej, któraby dyspensowanych księży mogła wysłać na parafie i w razie potrzeby przenosić z miejsca na miejsce. Otoż pan Schloezer otrzymał polecenie, uzyskać w Rzymie rezygnacyą dwóch dostojników: ks. kardynała Ledóchowskiego i ks. Melchersa arcybiskupa kołońskiego, aby na ich miejsce można zamianować dygnitarzy nowych, a biskupi, limburski ks. Blum i monasterski ks. Brinkmann, mieli z wygnania powrócić do stolic swoich. Usiłowania te spełzły na niczem. Komisya kardynałów, której Ojciec św. sprawę rezygnacyi przedłożył do roztrząsania, odrzuciła żądanie pruskie jednogłośnie. Pomimo to prosił poseł pruski Leona XIII. o audyencyę, aby od wyroku komisji założyć apelacyę do głowy Kościoła. Krok ten pozostał bezskutecznym. Ojciec święty przekonał podobno pana Schloezera, że zanim o tak ważnem ustępstwie może być mowa, to należy przedewszystkiem załatwić zasadniczo

kwestye, dawniej już w własnoręcznym liście papieskim do cesarza Wilhelma, jako nieodzowne warunki swobody Kościoła w sprawach religijnych wskazane, jakimi są: niezależne od rządu wychowanie duchowieństwa i zupełna swoboda urzędowania duchownego.

Jakkolwiek ta sprawa jest jasną, to jednak rząd pruski coraz to nowe wynajduje trudności. Od lat przeszło dziesięciu są wszystkie seminaria duchowne w całym królestwie pruskiem zamknięte, ponieważ biskupi nie mogli w żaden sposób poddać się prawu o nadzorze władzy świeckiej nad temi zakładami, mocą którego nietylko plan nauk ma być przedłożonym rządowi, nietylko profesorowie przez rząd zatwierdzeni, ale nadto protestancki rząd ma czuwać nad karnością i nad ćwiczeniami duchownymi katolickich alumnów. Tym sposobem seminaria stałyby się szkołą rządową. Stolica św. domaga się zdjęcia tych pęt z Kościoła; może się to stać jedynie na drodze ustawodawstwa, ponieważ nie na mocy rozporządzeń ministeryalnych surowe te przepisy zostały zaprowadzone, lecz przez ustawę uchwaloną przez sejm i sankcyonowaną przez króla. Z równym uporem nie chce rząd pruski zezwolić na zupełnie swobodne spełnianie czynności kapłańskich. Stałość Ojca św., która wśród ludności katolickiej znalazła zupełne zrozumienie i wywołała żywą radość, podała dziennikom liberalnym sposobność do ponowienia starego zarzutu, jakoby Stolica św. nie pragnęła wcale zgody z Prusami. W zamian za to prasa katolicka wykazawszy nicość podobnych oskarżeń, zażądała odwołania biskupów wygnanych, bo to jedyny praktyczny sposób zastosowania w ich dyecezyach ostatniej ustawy kościelnej, a korzystając z odsłonięcia (we wrześniu) pomnika Germanii w Niederwaldzie nad Renem w dyecezyi limburskiej, polecała łasce monarszej mianowicie limburskiego biskupa, który nawet zdaniem liberalnej prasy, okazywał pojednawcze usposobienie i niemałe miał zasługi patryotyczne, gdyż dopiero 1866 r. z częścią swej dyecezyi został poddany pruskiemu, a w dodatku jest ociemniałym prawie starcem. Nic to nie pomogło.

W listopadzie 1883 r. zwołano sejm pruski. W mowie tronowej zagajającej sesję sejmową nie było najmniejszej wzmianki

o sprawie kościelno-politycznej. Oburzyło to katolicką ludność a uczuciu temu dała prasa wyraz wcale nie dwuznaczny. Rząd mógł spodziewać się żywych skarg i silnych zarzutów przy rozprawach nad etatem wyznaniowym, zwłaszcza, że przy rozprawach budżetowych dotknięto drażliwej tej kwestyi. Frakcyja centrum obradowała nad tem, co uczynić, a kiedy wpływowi członkowie dnia 2 grudnia oświadczyli się za żądaniem przywrócenia zniesionych artykułów konstytucyi, poręczających swobodę Kościoła katolickiego, cała frakcyja przyjęła wniosek jednogłośnie; nazajutrz wniesiono go w izbie, koło polskie poparło go swemi podpisami. Rządowi była ta akcyja oczywiście niemiłą; zwolennicy jego, konserwatyści, byli nią zaniepokojeni a liberalna prasa szczując po swojemu przeciwko partyi centrum, żywiła nadzieję, że liberalne stronnictwa dojdą znowu do steru, jako konieczne i niezbędne dla Bismarka, w razie gdyby zechciał zerwać z centrum i prowadzić dalej swą politykę gospodarczą i socyalną. Wśród tej polemiki dziennikarskiej spada niespodzianie z rządowego źródła wiadomość, że sędziwy biskup limburski 3 grudnia został ulaskawionym i niebawem wraca do swej dyecezyi, rozchodzi się dnia 8 grudnia, w izbie poselskiej, a równocześnie zjawia się w urzędowym Staatsanzeigerze pruskim. Jakkolwiek radość katolików była niemałą, że wreszcie lód został przełamany i po raz pierwszy władza dyskrecyonalna w tym względzie zastosowaną, to jednak zrozumiano łatwo, że akt ten łaski jest tylko zręcznem pociągnięciem na szachownicy sprawy kościelno-politycznej, poprzedzającym obrady nad wspomnianym wnioskiem, zrozumiano to, że traci on na swej doniosłości dlatego, że sędziwy biskup dostanie koadjutora w osobie prałata u rządu mile widzianego, ks. Kleina.

W tymże samym dniu rozpuszczono wieść, że cesarzewicz niemiecki wracając z podróży hiszpańskiej uda się do Rzymu, aby Ojcu św. złożyć uszanowanie. Łatwo pojąć, jakie wrażenie wiadomość ta zrobiła wśród społeczeństwa, które krótko przedtem obchodziło 400-letnią rocznicę urodzin Lutra i tegoż samego cesarzewicza widziało składającego wieniec wawrzynowy na grobie wrzekomego reformatora. Wyraz „Canossa“ zdawał się

prasie liberalnej za słabym dla oddania wrażeń pierwszej chwili. Katolicy zajęli postawę wyczekującą i mieli słuszność. Prasa rządowa, mianowicie przyboczny organ księcia Bismarka, przedstawiła następnie rzecz tak, iż cesarzewicz nie może przejeżdżać przez Włochy po raz wtóry, nie oddawszy wizyty królowi Humbertowi, związanemu z nim osobistą przyjaźnią; obowiązkiem zaś grzeczności jest, złożyć równocześnie uszanowanie „drugiemu monarsze“ (Souverain), rezydującemu w Rzymie, papieżowi, z którym Niemcy żyją w przyjaźni. Wyraźnie podnosiła „Norddeutsche Allgemeine Ztg“, że ani jedna ani druga wizyta nie została spowodowaną szczególnymi względami politycznymi a cesarzewicz nie ma misji politycznej. Tymczasem cesarzewicz d. 17 grud. odwiedził papieża, rozmawiał z nim długo, a *Moniteur de Rome* upewnia, że omawiano zasadniczo kwestyą kościelną. Centrum nie wiedziało co się dzieje; niektórzy twierdzili w prawdzie z miną tajemniczą, że na wielkie rzeczy się zanosi, lecz mało znajdowali wiary. Po dłuższych debatach przeważało zdanie tych, którzy obecną chwilę uważali za nieodpowiednią do tak ważnej akcji: tym sposobem zostały obrady nad wnioskiem Windthorsta odroczone aż po wakacjach parlamentarnych. Nawiasem wspomnimy, że wniosek nie ma żadnych widoków powodzenia, gdyż nietylko liberalni, lecz i konserwatywni przeciwko niemu głosować będą; stronnictwo środkowe zamierzało głównie zmusić rząd do wyjaśnienia sytuacji.

Tonkin. Wielki półwysep azyatycki, głową sięgający śnieżnych szczytów himalajskich, kąpiący stopy w warach wód równikowych, długi niemal jak cała Europa, słusznie nosi nazwę Indo-Chin. Indye i Chiny, a więc prawie wszystkie szczepy mają tam swych przedstawicieli: Aryowie, Semici, Turanie, Malaje, Papuasi, różnemi czasy i różnemi drogami zajmowali wybrzeża morskie, doliny Mekongu, Ajrauadi i rzeki Czerwonej, wypierali się wzajemnie, krzyżowali między sobą i wreszcie urobili rasę, która typem, mową, zwyczajami nosi niestarte znamiona dwu oddzielnych cywilizacyi, indyjskiej i chińskiej, dwu ras, białej i żółtej. Nie znalazł się dotąd żaden zdobywca, któryby owdładnąwszy całym

krajem umiał, mądrą głową a żelazną wolą, nadać rozstrzelonym pokoleniom jedność polityczną, a tem mniej etnograficzną; moc ludów zgrupowanych pod osobnymi władcami, w części zależnie od innych silniejszych, w części niezależnie, zamieszkuje przestrzenie od 0° do 30° dług. półn., od 90° do 110° szer. wsch.; kilka jednakże państw zajmuje tam wybitniejsze stanowisko. Etnografowie trzy główne rozróżniają tu plemiona: Barmów, Siameczyków i Annamów; opuszczamy Malakę, jako niewchodzącą w zakres naszego przedmiotu.

Bramaputra, a właściwie Assam na zachód, odnogi gór Himalajskich i Seczuańskich na północ, Ajrauadi, Sittang, Saluen, ich dopływy i wybrzeża wielkiej zatoki Bengalskiej są granicami Barmy (Burma, Birmania). Ludy o nazwach: Tungta, Kiungta, Banghi, Pancho, Chami, Kaczieni (Kakieni), Kareni, Szani... zamieszkują ten kraj, najpotężniejsi między nimi zowią się Mjama albo Bama; nazwa pochodząca od Brahma przez wyrzucenie r, a przez jego przestawienie zamieniona w Barma, nadała nazwisko ludowi, krajowi i państwu. Barmani wywodzą swój początek od Ajodja z nad Gangesu, typami jednak przypominają więcej „dzieci Han'a“, aniżeli potomków „Słońca i Księżyca“; język ich jest mieszaniną jednozłogkowego chińskiego ze sanskrytem, intonacja zmienia znaczenie wyrazu, pismo urządzili na wzór sanskryckiego. Większa część ludów barmańskich wyznaje buddhaizm i posiadają księgi pisane językiem pali; inne, dziko żyjące, zachowały poganizm a nawet fetysyzm.

W wieku dopiero XVI-ym poczęto tu głosić wiarę chrześcijańską, ale trudność dalekiej podróży, zwrócona działalność ku nowemu światu a następnie niesnaski w Europie nie pozwoliły rozwinąć się tutejszym misyom. W roku dopiero 1868 kapłani francuscy z zakładu „Misyi zagranicznych“ wzięli się gorliwie do pracy. Barma podzieloną została pod względem kościelnym na północną, południową i wschodnią; dwoma pierwszymi zarządzają wikaryusze apostołscy, ostatnią prefekt apostołski. Obydwie Barmy liczą dziś: 2 biskupów, 44 kapłanów, 62 kościołów i kaplice, 60 szkółek i 25.000 katolików.

Ludy barmańskie, w szczególności nadbrzeżne, stoją na dość

wysokim stopniu cywilizacji, dobrymi są rolnikami, biegłymi w rzemiosłach, celują głównie w tkactwie, w wyrobach rzeźbiomych z drzewa i odlewach brązowych, a przytem otrzymali w spuściznie od swych przodków „po kądzieli“ żyłkę handlarską. W każdej wiosce widać na rynkach kupców i kupcowe obok towarów rozłożonych pod gołym niebem; drogi przepełnione są targarzami, bydłem jucznym i wozami wołowemi, które budową przypominają gondole weneckie, a skrzypieniem kół, nasze dawne wozy bałagulskie, odstawiające podolską pszenicę do Odesy.

Barma politycznie rozpada się obecnie na Barmę angielską i Barmę niepodległą. Anglicy zajmują całe zachodnie wybrzeża po międzymorze Kra, 87.220 mil kw. ang. i lud. 3,736.771 (1881); miasto główne Rangun nad deltą Ajrauadi (Irrauadi). Porobili oni drogi, mosty, koleje żelazne; „Irrawaddy flotilla Company“ posiada dzisiaj 30 parowców i 44 wielkich statków przewozowych, które dochodzą do Mandalej (Mandalay) a nawet do Bamo (Bhamo) w pobliżu Junanu. Obrót handlowy w Barmie angielskiej wynosił 18,280.416 funt. szterling. w r. 1881.

Barma, tak zwana niezależna, ze stolicą swą Mandalej a dawną Ava, co do obszaru dwa razy większa od angielskiej, równa jej co do ludności, o wiele od niej stoi niżej pod względem cywilizacji, przemysłu, handlu, dobrobytu, a jeszcze bardziej pod względem potęgi. Hołdownicy Barmy: Szanowie, Karen, Singpho, Kaczini, osiedleni w górnych dopływach Ajrauadi, lada dzień przejdą na żold angielski, a „Britisch Political Agent“ dopomagać będzie w Mandalej cesarzowi do rządzenia krajem.

Państwo Siamskie zajmuje dorzecza Menamu i Mekongu. Trzy główne plemiona: Szan, Lowa albo Laos i Siam, należące do głównego szczepu Tej (Thai), zamieszkują te kraje. Szanowie i Laosowie w górnych dorzeczach Meongu, Saluenu i Sittangu (Tsit-toung), podzieleni na drobne królestwa, podlegają władcy Bangkoku. Siamczycy wywodzą, również jak Barmani, ród swój z Indyi, a również jak ci ostatni, z powodu krzyżowania ras, noszą niestarte znamiona Chińczyków i Hindusów. Język ich, zasadniczo jednozgłoskowy, zapożyczył z sanskrytu i pali wyrazów i wyrażeń, na wzór indyjskich wyrobił sobie oddzielne pismo,

uzupełniając je znakami zastosowanymi do intonacji chińskiej. Wiele obrzędów i zwyczajów tutejszych przypomina przepisy chińskie. Cesarz, jakkolwiek samowładny, obowiązany jest do ścisłego trzymania się ceremoniału, określającego jego działanie. Uroczystości narodowe, udział jaki ma wziąć w nich cesarz, mowę jaką ma wygłosić, wszystko jest przepisane i określone. Uroczystość doroczna, na cześć rolnictwa, jak w Chinach, z wielką odbywa się okazałością. Bogato przystrojone słonie, tysiące statków o najdziwniejszych kształtach i barwach, dziesiątki tysięcy panów, mandarynów, wojskowych, stanowiących świątę cesarską, świetny przedstawia widok. „Pan ziemi“, dawny wasal, wspaniałością pochodu daleko pozostawia za sobą swego byłego władzę „Pana niebios“.

Państwo Siamskie, właściwie zaś, jak sami je nazywają, Muang-Tej, t. j. królestwo Tej ma przy 6 (przeszło) mil. ludności 800.339 kil. kw. rozległości. Stolica państwa Bangkok albo Si-Ajutia-maha liczy pół miliona mieszkańców. Miasto położone nad rzeką Menam, poprzerzynane jest kanałami, które zarazem stanowią ulice miasta. Domy małe i schludne, przyozdobione na zewnątrz rzeźbami, malowidłami o żywych barwach, wykładane mozaiką, złotymi listkami, ocienione zwrotnikową roślinnością, pociągający przedstawiają widok. Tysiące nadto innych domków kołyszących się na wodach Menamu, olbrzymie i oryginalne pomniki buddhystyczne, malownicze ubrania mieszkańców, wszystko to nadaje miastu cechę prawdziwie orientalną i ludzącą. Wenecya Siamska jest nierównie ciekawszą i bardziej czarującą aniżeli Wenecya włoska.

Chińczycy chętnie osiedlają się w Siamie (półtora miliona), którego obyczaje i język tak są pokrewne „państwu niebieskiemu“; w ich ręku leży cały drobny handel. Jakkolwiek Siam żyje w przyjaznych stosunkach z wszystkimi państwami i jest niezależnym, jednakże wpływ angielski jest tam wszechwładny. Najważniejsi kupcy w Bangkoku są albo Anglicy, albo też poddani angielscy z Indyi, Barmanu, Hongkong i Singapur; na 182 parowców, które w r. 1880 zawinęły do Bangkoku, 153 było angielskich; obrót handlowy 86,486.310 frank. (w r. 1879) zapisany jest w aktywach angielskich.

Siamczycy, z wyjątkiem dzikich pokoleń, wyznają buddhaizm, najznakomitsze pomniki architektoniczne są poświęcone ku czci Buddy. Świątynia Xotuphon w Bangkoku posiada statwę Buddy, która wypełnia całą nawę 50 metrów długą; inna świątynia ozdobiona jest podobną statwą ze szczerego złota, inne jeszcze wysadzane są drogiemi kamieniami, perłami, rzeźbami złotemi itd. Buddhaizm dostał się tu z Cejlonu wraz z księgami pisanemi w języku pali; każdy wykształcony Siamczyk mówi tym językiem.

W r. 1554 misyonarze katolicycy zawitali do Siamu i chrześcijaństwo poczęło się krzewić, wojny jednak domowe a następnie prześladowania zachwiały jego wzrost. Dziś zarządzają tu misyami kapłani francuscy z „Misyi zagranicznych“; wikaryusz apostołski w godności biskupiej ma do pomocy 33 misyonarzy. Wikaryat liczy obecnie 13.180 katolików, 34 kościołów i kaplic i 46 szkółek dla dzieci.

Druga połowa (wschodnia) półwyspu Indo-chińskiego zajęta była dawniej przez dwa potężne ludy Chmer (Khmer) i Ciampi (Tsampi). Chmerowie, wedle podań tutejszych, na siedem wieków przed naszą erą przesiedlili się z Indyi i założyli państwo nad Mekongem, mianowicie zaś w dolinach jeziora Tonle sap. Zawikłane tradycye i niedostateczne kroniki miejscowe nie były dostateczne do zbadania dziejów tego państwa, ale znakomite zwaliska w Angkor-Wat i Nakhoor-Wat wymownie świadczą o wysokim stopniu starej cywilizacyi, która przeniesiona z nad Gangesu czy też z Lanki, wyrobiła tu sobie takie własne, osobne znamiona, iż uczeni orientaliści zaliczają styl ich architektoniczny do oddzielnego rzędu, zwanego stylem chmerskim.

Obce ludy z zachodu i wschodu zgmiotły państwo i kulturę starego Maha-Nokor; królestwo, które powstało od r. 1863 po wybiciu się z pod Siamu, nosi dziś nazwę Kambodży i zostaje pod opieką Francyi. Rozległość jego wynosi 84.000 kil. kw., ludność zaś 890.000; miastem stołecznem jest Pnom-penh i liczy 30.000 mieszkańców. Język zasadniczo aryjski ma przymieszane wyrazy malajskie i chińskie; pismo jest ułożone na wzór sanskryckiego. Mieszkańcy wyznają buddhaizm przesiąkniętym brahmanizmem; chrześcijaństwo zaczęło się powoli krzewić od r. 1848,

w którym powierzona została Kambodża kapłanom z Zakładu francuskiego „Misyi zagranicznych“. Wikaryat kambodżski zostający pod zarządkiem biskupa posiada obecnie 19 kapł., 59 kościółów i kaplic, 34 szkółek i 14.800 wiernych.

Cały wielki płat wschodni półwyspu jeżeli nie był wyłącznie zamieszkały przez jednolite plemię, w każdym razie jedno plemię było panującym i nadało nazwę całemu krajowi. Ciampi, zwani w różnych gwarach: Szam, Chiam, Ciam, Hoaji, do najścia Annamów władali tą ziemią; nazwisko chińskie Ko-Czeng-Czing, które znaczy „stara Ciampa“, przerobione zostało na Ko-czin-czin a wreszcie na Kochinchinę i pod tem ogólnem mianem znany jest i zwany w Europie cały wschodni ład wielkiego półwyspu. Lud Ciampa, pochodzenia malajskiego, pomieszał się z Annamami i Chmerami, wyznaje buddhaizm i mahometanizm a żyje dziś pod różnemi rządami; dawne zaś jego państwo, „stara Ciampa“ czyli Kochinchina, rozpadło się na trzy części, na Kochinchinę właściwą czyli francuską, Annam i Tonkin.

Południowo-wschodnia część półwyspu została zajęta przez Francją w r. 1859, ma ona 59.458 kil. kw. i 1,900.000 ludności. Sejgon (Saïgon), miasto stołeczne, liczy 65.000 mieszkańców. Ludność Kochinchiny składają Chmerowie, Annamowie i Chińczycy; Francuzów było (1881 r.) tylko 970, a tak zwanych „Assimilés“ 1797. Obrót handlowy w r. 1880 wynosił 155,105.000 fr.; mniejszy handel znajduje się w ręku Chińczyków, Anglicy są panami większego. Dzięki paryskiemu Stowarzyszeniu „Misyi zagranicznych“ chrześcijaństwo poczęło się krzewić przed zajęciem kraju przez Francuzów. Istnieją tam trzy wikaryaty apostolskie: zachodni i wschodni założone w r. 1844, północny w 1850; wikarzy apostolscy mają godność biskupią. Wszystkie trzy wikaryaty liczą: 178 kapł., 498 kość. i kapł., 114 szkółek i 117.280 wiernych; seminarjum w Sejgon przygotowuje młodzież krajową do stanu duchownego. Misyjonarze katolicy używają głoski łacińskie ze stosownemi znakami do intonacji dla języka miejscowego, który jest tylko szczególnym gwarem chińskim.

Królestwo Annam, a raczej Ngan-nan (po chińsku „Południe spokojne“), nie wiadomo w którym powstało wieku. Dżiao-ki

(Giao-chi), lud rasy żółtej, chiński albo japoński, nadpłynęli z północnego wschodu, pobili i wyparli Ciampów, w XVII. w. zgnetli Chmerów i doszli do dolnego Mekongu; pomieszali się częściowo z podbitymi plemionami, lecz w typach osobistych, języku, zwyczajach i obyczajach pozostał głównie pierwiastek chiński. Wszystkie instytucje społeczne w Annamie urządzone są na wzór chińskich; język i pismo, sympaty i aspiracje są chińskie: a chociaż od dwu wieków przeszło Annam przestał być prowincją „państwa niebieskiego“ „dzieci Hana“, którzy się chętnie tu osiedlają, uważani są od Annamów za „starszych braci“ i „nauczycieli“, sam zaś król czy cesarz annamski, jakkolwiek niezależny, uznaje się wasalem „Pana niebios“.

Ziemie na północno-wschodnim krańcu graniczące z Chinami a przetrzynięte rzeką Song-Kuaj, rzeką Czerwoną, noszą nazwę Tonkinu, Tong-king. Ludność Tonkinu składa się z Annamów, Chińczyków i wielu pokoleń dzikich i napół dzikich, różne noszących nazwiska; od czasu do czasu grupują się te ludy pod różnymi znakami i służąc temu kto więcej płaci, rabując na własny rachunek, pod nazwą „Chorągwi czarnych“, „Chorągwi żółtych“, „Chorągwi o pięciu barwach“, są prawdziwą plagą kraju.

Państwo Annamskie (wraz z Tonkinem) posiada 440.000 kil. kw. rozległości, ludność zaś podają na 21 milionów. Na wybrzeżach zachodnich leży stołeczne miasto Hue (Hua-Thien, Pu thua, Phu-Xudan) z 60ciu-tysięczną ludnością; drugie wielkie miasto, większe od samej stolicy, liczy bowiem 130 tysięcy mieszkańców, jest Ha-nuaj (Hanoi) albo Keszo (Kecho) i jak wszystkie tutejsze miasta nosi jeszcze kilka innych nazwisk: Bak-thanh i Don-kinh. Hanuaj, położone na prawym brzegu rzeki Czerwonej, posiada wielką twierdzę, zbudowaną w początkach tego wieku przez oficerów francuskich, a dwa razy już przez Francuzów zdobytą, w r. 1873 i 1882. Inne większe miasta są: Nam-dinh, Haj-dzuong, Hajp-ong, Ha-koj, Songtej. Annamowie i Tonkinianie wyznają konfucyzm i politeistyczny buddhaizm chiński.

Historia Annamu i Tonkinu z dwóch ostatnich wieków ściśle złączona jest z rozwinięciem się chrześcijaństwa w tych

krajach. X. Diego Advarte rozpoczął tu opowiadanie słowa Bożego z końcem XVI. w. W r. 1627, dwaj Jezuici, O. Busomi Włoch i Francuz O. Aleksander de Rhodes znakomitą rozwinęli tu działalność tak, iż w r. 1662 było już około 300.000 nawróconych z pogaństwa. Przybyli z pomocą niebawem OO. Dominikanie hiszpańscy i kapłani z paryskiego Stowarzyszenia „Misyi zagranicznych“, rozrastał się Kościół tonkiński, ale nie bez potu i krwi. Co lat kilkanaście, a czasem co kilka, raz w tej, to znów w innej prowincyi wzniecano prześladowanie religijne: rabowano i burzono mieszkania chrześcijan, a ich samych więziono i tracono w okrutnych męczarniach. Zdarzały się i odstępstwa, ale najczęściej wyznawcy Chrystusowi odważnie dawali głowy swoje pod miecz katowski. Naturalnie, iż przedewszystkiem wyszukiwano kapłanów, a po ujęciu, najwięcej się nad nimi pastwiono. Kościół tonkiński długą posiada listę męczenników z Zakonu OO. Jezuitów, Dominikanów, kapłanów francuskich, z „Misyi zagranicznych“ i wreszcie kapłanów pochodzenia tonkińskiego. Dzięki pośrednictwu misyonarzy francuskich król Annamu Dzia-long zawarł w r. 1787 przymierze z Francją i uzyskał kilkunastu zdolnych oficerów, którzy mu pobudowali twierdze i urządzili wojsko. Za panowania Dzia-longa chrześcijanizm spokojnie szerzył się po całym państwie, lecz następcy jego Minh-Manh (1820—1841), Thien-Tri (1841—1847) i ostatni Tu-Duk broczyli swe ręce we krwi chrześcijan, choć nigdy im to na sucho nie uszło: okręta wojenne francuskie, każdą razą, krwawym odpłacały odwetem barbarzyńskie postępowanie.

W r. 1858 w skutek mordów dokonanych z rozkazu Tu-Duka na chrześcijanach, floty sprzymierzone, francuska i hiszpańska zbombardowały forty Turanu; wojna się przeciągnęła, Francuzi zajęli Kochinchinę, wreszcie w r. 1862 Tu-Duk zobowiązał się do odstąpienia Francyi trzech prowincyj południowych, zapewnił swobodę wyznawania religii chrześcijańskiej swym poddanym, misyonarzom zaś wolności jej opowiadania. Klęski Francyi w r. 70 oddziaływały na jej stosunki wschodnie, popłynęła krew męczenników chrześcijańskich w Tonkinie, lecz nadpłynęła zarazem i flota francuska. Po łatwych zwycięstwach nad Annami i rozproszeniu

„czarnych chorągwi“ zawarto r. 1874 pokój, podpisano warunki ugody. Paragraf II brzmi jak następuje: „J. E. prezydent Rzezypospolitej francuskiej uznając prawa króla Annamu, jego zupełną niezależność względem wszelkiej potęgi zagranicznej, obiecuje mu pomoc i wsparcie: zobowiązuje się dostarczyć mu, na żądanie, bez żadnego wynagrodzenia posiłków potrzebnych do utrzymania porządku i spokoju w jego państwie, bronić go w razie czyjejbądź zaczepki i wypłenić rozboje, które kraje jego niszczą“. Należy tu dodać ważną jedną uwagę, iż cały ten traktat pokoju podany był do wiadomości mocarstwom zagranicznym, między którymi nie pominięto dworu pekińskiego, otóż wice-król Li-Hung-Szang ani jednym słowem nie zaprotestował przeciw temu aktowi, który jednakże znosi wszelkie roszczenia Chin do zwierzchnictwa nad Annamem a uprawnia zależność jego od Francyi. Francuzi zostawili małe załogi wojskowe w kilku punktach strategicznych, spokój powrócił, chrześcijaństwo mogło się bezpiecznie szerzyć. Dane statystyczne dadzą pojęcie tego wzrostu, a są one z r. 1880. Tonkin podzielony jest na cztery wikaryaty apostolskie: środkowy, południowy, wschodni i zachodni; pierwszym i ostatnim zarządzają OO. Dominikanie hiszpańscy, drugim i trzecim kapłani francuscy z „Misyj zagranicznych“.

	Data założenia.	Bisk.	Kapł.	Kość. i kaplic	Szkół	Ludność chrześć.
Wikar. środkowy	1844	2	46	546	—	142.000
„ południowy	1846	1	76	303	—	73.000
„ wschodni	1679	1	123	595	504	155.000
„ zachodni	1679	2	42	302	—	420.000
Razem		6	287	1646		790.500

Spokój trwał do r. 1880. Chiny miały zbyt wiele na głowie: zatargi z Rosyą o Kuldżę, z Japonią o wyspy Liu-Sziu, rewolucyą w Korei. Odzyskano Kuldżę, choć grube zapłacono miliony, uspokojono Koreę i utwierdzono jej zależność, lecz Liu-Sziu przestały składać prowincyą chińską. Nie pomogło srożenie się i grożenie wojną, Japonia stanowczo odmowną dała odpowiedź. „Syn Niebios“, pocieszając się odwetem kiedyś, poślknął

tymczasem w milczeniu tę przykrą pigułkę swego dawnego wasala. Czy gdzieindziej nie da się co utargować? Tu-Duk chce złożyć swemu zwierzchnikowi poddańczą daninę stu tysięcy worków ryżu. Rzecz co najmniej bardzo szczegółna, z kąd taka ochota przysłała naraz Tu-Dukowi, bo chociaż ryż nie jest tam tak drogi jak u nas, trzynaście milionów funtów i w Tonkinie coś znaczy. Jakkolwiek rzecz się ma, Chińczycy uznali za potrzebne budowanie spichrzy w Haj-Phong, który zajmują Francuzi. Miejscowość to bardzo dogodna do przesyłania broni i amunicji bandom „czarnych i czerwonych chorągwi“, które właśnie wtargnęły były z Junanu i poczęły na dobre grasować po Tonkinie. Francuzi w moc traktatu z r. 74 rozbijają bandy rozbójnicze, biorą jedną, drugą twierdzę i gdyby nie bezrząd władzący w Paryżu, byliby podbili i zajęli Tonkin, zanimby Chiny zdołały położyć swe veto. Teraz trochę już zapóźno, ale wszystko nie jest jeszcze stracone. Chiny żądają uznania swego zwierzchnictwa nad Annamem i Tonkinem, a stawiają to jako ultimatum. W odpowiedzi Francuzi wotują 10 milionów kredytu i posyłają 3000 żołnierza — jakie będą następstwa?

Nie chcemy tu rozstrzygać o możebnościach i niemożebnościach wojny, zastanowimy się jednakże nad pytaniem mogącym wiele rzecz tę wyjaśnić, mianowicie: jakim sposobem Chiny mogły się zdobyć na tak wyzywające stanowisko? Otóż trzeba sobie przypomnieć, iż wieść o zwycięstwach Francuzów w Tonkinie, przed wystąpieniem jeszcze Chin, bardzo niechętnie przyjętą została w Anglii; Anglicy oburzali się na myśl, iż Tonkin może się stać posiadłością francuską. Anglicy chętnie się zgodzą, iżby Tonkin był niezależnym, niechby należał do Annamu, mogą zabrać go Chińczycy, ale Tonkin w ręku Francuzów nie jest na rękę Anglikom. O co idzie? o rzecz ważną, bo o funty. Dwudziestu dwoma portami oceanu Spokojnego sphywają towary angielskie do Chin, trzeciorzędna w świecie rzeka Jaug-ci-Kiang roznosi je do wnętrza, do Jszang a nawet do Czug-czeng, ale najbogatsze prowincye Szczen'u zachodniego nie mogą korzystać z wyrobów Sheffield'skich i Manchesterskich, opium nawet sprowadzają z Kuldży. Od wielu lat pracują Anglicy nad otworzeniem sobie bezpośredniej drogi do Chin

zachodnich z Bengalu lub z Barmy. Droga z Sadya do Bathang uznaną została w obecnych warunkach za niemożliwą; z Rangunu do Bhamo łatwa jest, choć dzisiejsze napięte stosunki z cesarzem barmańskim nieco przysporzyły trudności, ale między Bhamo a Tali-fu badaniom nawet terenu stoją na zawadzie dzicy Kaczini i „chorągwie czarne“ z nad Saluinu i Szueli: Margary przypłacił niedawno życiem swe naukowe poszukiwania. Anglicy wszakże nie dają za wygraną, pociągnie się czas jakiś, lecz w końcu dopną swego, albowiem jeżeli dzisiaj między Bhamo i Tali, po ścieżkach i urwiskach gór, z niebezpieczeństwem życia i mienia przenoszą karawany w jukach towarów za 3½ miljona funt. szterl., za ile to można będzie wysłać i wywieść, gdy stanie droga dobra i pewna! Ale rzeka Czerwona w Tonkinie prowadzi do Junanu, i Francuzi mniejszym kosztem i zachodem mogą się dostać do zachodnich Chin — inde irae.

Czy Chińczycy nie cofną się po ostatnich uchwałach Izb francuskich, a co na jedno wyjdzie, czy Chińczycy przygotowani są do wojny? Flota chińska nie jest zdolna stawić czoła francuskiej. Marynarka chińska posiada dwa ciężkie pancerne okręta, jeden monitor, dwie fregaty, dwanaście korwet, z których dwie tylko pancerne, trzydzieści drewnianych kanonierek, dwa większe statki parowe, dziesięć małych i wreszcie wielki pancernik „Ting-Juen“, sfabrykowany w Szczecinie. Wszystko w tym okręcie bardzo scyntyficznie obliczone, wszelkie zdobycze nauki znajdują tam swe zastosowanie, ale czy będzie praktyczny? — to inna rzecz. Jak mara przychodzą na pamięć owe dwa słynne wojenne okręta, z tychże samych podobno warsztatów pochodzące, które w biały dzień, w oczach całej Anglii, o kilkaset metrów od brzegu, przy zwierciadlanem morzu, za ledwie wyruszyły z portu, wpadły na siebie i pogruchotały się. Sic transit gloria.

Wojsko lądowe wprowadzie już na lepszej stopie, aniżeli było podczas spalania pałaców cesarskich w Pekinie, mustrują je, a jak Niemcewicz mówił „biją po prusku“ pruscy oficerowie, lecz czy chlubna jego nazwa „Braves“ odpowiada rzeczywistości! Gwardya przyboczna cesarska, a więc wybór „walecznych“, złożona z 17.000 ludzi, dzieli się na sześć batalionów, z których

cztery uzbrojone są odytlcówkami, a dwa po dziś dzień posiadają jeszcze stare rusznice z lontami; każda rusznica potrzebuje dwu ludzi, jeden ją nosi a drugi zapala: ztąd wnieść można o całej armii, która liczy 300.000 ludzi — na papierze. Zresztą w którym miejscu armia chińska ma zajrzeć w oczy francuskiej? Żadną miarą w granicach państwa niebieskiego. Francya nie kusi się o zdobycie Chin, ani nowych „koncesyi“ w Chinach, nie myśli zatem o przesyłaniu swego wojska na ocean Spokojny; ale czy jaki jeden lub drugi okręt wojenny francuski, nie zagrozi lub nie zbombarduje którego portu chińskiego, to inne pytanie, ale rzecz nie trudna ani nie jest niemożliwą; dotąd bowiem samo ujście Pej-ho bronione jest torpedami pruskimi: iedyny zatem możliwy plac boju byłby w Tonkinie. Otóż do Tonkinu wojsko chińskie nie dostanie się morzem, dżonki byłyby potopione w połowie drogi, lądem zaś inne przedstawiają się trudności. Najprzód w całej prowincyi Junan, graniczącej z Tonkinem niema dotąd wojska chińskiego; podróżnik angielski Colquhoun widział wprawdzie tam żołnierzy roku 1882, ale takie dał sprawozdanie o nich: „Broni nie mieli, ale mieli fajki do opium, lampy do ich zapalania, szaliki około szyi do obcierania potu i nieodstępny wachlarz“... Armia kantońska może lądem dostać się do Szan-Tien-Jen a ztamtąd skierować i ku Bak-Ninh lub Kuang-Jen, ale ta miejscowość zajęta już jest przez Francuzów. Korpus chiński z prowincyi Kuang-Si wybrałby zapewne dorzecza rzeki Si-Kiang i po trudnem, niebezpiecznem a nawet niewiadomo czy możebnem przebyciu porohów i wirów doszedłby do Kam-S'on a ztamtąd należałoby się przedostać do Bak-Ninh niesłychanie uciążliwemi bezdrożami. Jedyna armia Junanu, gdyby istniała, dotarłszy z łatwością do Mang-Hao, nad rzeką Czerwoną, mogłaby wodą przewozić materyał wojenny, ścieżkami górskimi zdążać ku ujściu Song-Kuaj. Inne teraz pytanie, czy i o ile mogą Chiny liczyć na sprzymierzeńców? Annami regularni nie są dobrze ćwiczeni, uzbrojeni jak najgorzej, na odwadze zaś im zbywa jak ich pobratymcom Chińczykom. „Choraągwie Czarnych, Czerwonych“, oprócz niewielkiej liczby posiadających broń europejską różnych systemów i kalibrów

która z wyczerpieniem ładunków, jakimi są zaopatrzeni, przestanie być groźną a nawet stanie się nieużyteczną, reszta tych band rozbójniczych uzbrojona jest w łuki, dzidy i kije. Jako ilustracya waleczności Annamów i Chorągwi Czarnych może służyć przykład z ostatniej wojny francuskiej w r. 1873. Młody uczeń (aspirant) podówczas marynarki Hautefeuille d. 3. grudnia na czole *siedmiu* majtków francuskich i jednego Sejgończyka zdobył Ninh-Binh; 1700 ludzi garnizonu po złożeniu broni, na klęczkach błagało zwyciężcę o życie. Komendant ówczesny francuski Garnier, dla zabezpieczenia warowni nadesłał posiłki składające się z *trzech* majtków. Czasy się wprawdzie trochę zmieniły. Ninh-Binh już i tą razą jest wzięte, ale wymagało ofiar ze strony francuskiej. Czy Chińczycy liczyć mogą na innych sprzymierzeńców? Interesa jedynie angielskie są tu zaszachowane, Anglicy jedynie mogliby wystąpić biernie a nawet czynnie. Jednakże do otwartej wojny nie staną przeciw Francyi. Anglicy chętnie robią zakłady i grubo stawiają, ale zbyt są praktyczni aby całą fortunę kładli na kartę. Republika francuska gotowa zaś ryzykować, dwakroćstotysięcy „nowych Rzymian“, ubiegłszy czujność argusa albiońskiego, mogłoby zgotować londyńskiej „City“ losy starej Kartaginy. Ale i bierne zachowanie się Anglii nie jest możliwe. Anglicy straszą wprawdzie Francuzów, iż w razie wojny z Chinami, nie będą mogli pozwolić parowcom francuskim zaopatrywać się w swych magazynach w węgle; okoliczność ta ważną jest dla marynarki francuskiej, ale coby powiedzieli na to, gdyby Francuzom przyszło na myśl bombardowanie Szang-haj'u? Szang-haj tyle znaczy ile 1.014,737.720 franków, bo taki był obrót handlowy w tem mieście w r. 1881, a te miliony, prawie wszystkie, są aktywami angielskiemi. Nie, Anglicy nie dopuszczą wojny pomiędzy Chinami i Francją. Może Francuzi ustąpią? Nie zdaje się. Wysłali już 10 milionów, w tych dniach stawić mają wniosek o 20, prawdopodobnie przejdzie jak pierwszy. Francuzi wprawdzie nie mają żadnych interesów materyalnych na widoku, kolonie francuskie nie procentują, na Kochinchinę wyklada państwo rocznie 3 miliony, na utrzymanie się przy Tonkinie możeby trzeba wydawać więcej, ale Francuzi są dość

zamożni izby dla utrzymania honoru Francyi obstawali przy swoim. A czy tylko idzie o honor? Rzecz godna zastanowienia, iż jedynym motywem za uchwaleniem kredytu były słowa republikanina p. Charmes: „Skorobyśmy opuścili Tonkin, prześladowanoby tam i rabowano chrześcijan“. Tak więc ci sami republikanie, którzy wotują ostracyzm na zakonników w swym kraju, zaprowadzają nietylko bezwyznaniowe ale i bezbożne, bo z wykluczeniem Boga, szkody, prześladują i rabują swoich własnych braci, dlatego że są chrześcijanami (jak to dobrze p. Cassagnac temuż mowcy powiedział), po za granicami jednak kraju i Europy występują w imię idei, w imię chrześcijanizmu. W dzisiejszej przesiąkłej bezwyznaniowością i anarchizmem Francyi trudno się dopatrzeć potomków dzielnych niegdyś krzyżowców, zaginęła, zdawałoby się rasa, skaziła się szlachetna krew synów Ludwika Ś., lecz od czasu do czasu odzywa się jeszcze echo wyższego nastroju, wspomnienie wzniosłej przeszłości, a kto wie czy nie zapowiedź jutrzeńki odrodzenia. Francya wiele wyrządziła i wyrządza złego sobie i innym, ale bądź co bądź, nie splamiła się nigdy judaszowską miłością srebrników, niezaprzeczenie zaś wielkie oddała usługi społeczeństwu. Od Pipina począwszy, w ciągu jedynasto-wiekowego swego istnienia, wielekroć, z wiedzą lub bezwiednie, spełniała swoje dziejowe posłannictwo, a dziś jeszcze, pod tą wstrętną szatą czerwoną rewolucyjnego kroju, tyle tam ukrywa się dobrego, tyle ofiarności i takie życie chrześcijańskie, iż można ufać, że „Starsza Córa Kościoła“ zajmie jeszcze stanowisko i spełni posłannictwo, jakie jej Opatrzność wśród ludów wytknęła.

Z Akademii Umiejętności. Najwyższa ta naukowa instytucya w kraju, mająca na celu w myśl swego statutu zjednoczyć rozstrzelone siły i nadać im jednolity kierunek, stać się ogniskiem i oraz wymownym wyrazem umysłowej pracy na różnych polach nauki i wiedzy, rozwija i potęguje jak wiadomo swą działalność przede wszystkim w komisjach akademickich. W ubiegłym miesiącu odbyło się takich posiedzeń komisyjnych kilka, a powzięto na nich doniosłe uchwały.

I tak na posiedzeniu *wydziału filozoficznego* (3 grud.) posta-

nowiono ogłosić nakładem akademii: *Słownik synonimów polskich* owoc dwudziestoletniej pracy JX. biskupa Krasińskiego z epoki jego pobytu w Wiatce.

Komisya *historyczna* (na posied. 4 grud.) połączyła się z *komisyą dla dziejów literatury i oświaty w Polsce* w ten sposób, że wspólnie odbywają posiedzenia i jednego mają prezesa i sekretarza. Powołano na prezesa połączonych komisyj prof. Tarnowskiego, na vice-prezesa dr. Piekosińskiego, na sekretarza prof. Zakrzewskiego. Uchwalono:

1^o Wydawnictwo *archiwum Radziwiłłowskiego* pod kierunkiem prof. Aug. Sokołowskiego kosztem samego xcia Radziwiłła.

2^o Kontynuacyą *aktów dyplomatycznych króla Jana III.* (dotąd ogłoszono dwa tomy z archiwum francuskiego spraw zagranicznych od r. 1674—1680).

3^o Sporządzić zbiór odpisów *aktów dyplomatycznych z XVI, XVII i XVIII w.* dla ułatwienia badań historycznych. Dla dokładniejszego poznania wewnętrznych dziejów polskich uchwalono przygotować do druku d. c. *Kodeksu małopolskiego* i drugi tom *Kodeksu listów z wieku XV.* a wreszcie jako rzecz konieczną dla historii miast, dalszy ciąg *Kodeksu praw i przywilejów miasta Krakowa.*

4^o Kontynuacyą *korespondencyi kardynała Hozyusza,* (tom I. już wyszedł) pod kierunkiem dr. Hiplera i dr. Zakrzewskiego.

5^o Kontynuacyą pamiętnika Jezuity ks. *Wieliewickiego* p. t. *Dziennik domu Tow. Jezusowego u św. Barbary w Krakowie,* pod przewodnictwem ks. dr. Chotkowskiego (dotąd wyszedł t. I. 1579—1599). Ś. p. Szujski, który cały ten rękopis wertował pilnie, z niego w swych pracach korzystał i pierwszy tom wydał, upewniał, że ogłoszenie jego przyczyni się wielce do spokojnego a sprawiedliwszego sądu o znaczeniu i wpływie jezuickiego zakonu w naszej historii.

6^o Wydawnictwo *materyałów źródłowych do dziejów akademii jagiellońskiej, wileńskiej i zamojskiej i ich kolonij, oraz szkół zakonnych i różnowiecznych.*

7^o Wydawnictwo zbiorów *poezyi polskiej przed Rejem i Kochanowskim* oraz zbioru *poetów łacińsko-polskich przed Kochanowskim,* wreszcie materyałów archiwalnych do *biografii głównych pi-*

sarzy. Na razie jednak ograniczono się na ogłoszeniu przygotowanego już do druku *Liber diligentiarum od r. 1487—1563* (jest to spis profesorów i prelekcij wydziału filozof. *almae matris*), na ogłoszeniu zbioru *uchwał Collegii majoris*, niemniej jak zbioru *poetów łacińsko-polskich* przed Kochanowskim. Dwie pierwsze publikacje powierzono dr. Wisłockiemu, trzecią zaś prof. Morawskiemu.

8^o Systematyczne przejrzenie (na wniosek prof. Bobrzyńskiego) *archiwów miejskich, kapitulnych i konsystorskich* w Krakowie.

Taką to cichą, spokojną, ale szeroko pojętą i na przyszłość obliczoną pracą, oddaje Akademia Umiejętności rzetelną usługę krajowi, jedna sobie coraz większą powagę i cześć u swoich i u postronnych.

Przegląd polski. Ośmnasty już rok dobiega, jak się rozpoczęło wydawnictwo *Przeglądu*, który z wielką wytrwałością rozwija śmiało swój program organicznej pracy, i przyczynił się wiele do przytłumienia u nas anarchicznych żywiołów. W pierwszym szczególnie dziesięcioleciu budził *Przegląd* wielki interes w szerokich kołach naszego społeczeństwa. Wtenczas to obok gruntownych rozpraw politycznych, obok „Teki Stańczyka“, wychodziły znakomite studia Klaczki, Szujskiego, Siemieńskiego, Kalinki i wielu innych, nie wspominając już o p. Tarnowskim, który był zawsze duszą tego pisma i nie tylko piórem ale i swem poświęceniem je podtrzymywał. Ponieważ dzisiaj myśl przewodnia *Przeglądu* weszła w program znacznej większości sejmu, przeto hr. Tarnowski pragnąc mu nadać donioślejsze znaczenie naukowo-literackie, zaprosił do komitetu redakcyjnego ośmiu profesorów uniwersytetu krak. i p. Stan. Koźmiana dawnego współpracownika, a już ostatni zeszyt grudniowy z 1883 r., bogaty doбором artykułów i mnóstwem bibliograficznych wiadomości, wróży dobrze o pomyślnem wykonaniu programu, nakreślonego świeżo przez założyciela tego pisma.

WOLNA WOLA I OPATRZNOŚĆ W HISTORII

a teorya Buckla.

Do niedawna tylko prawda była systemem, fałsz zaś rozstrzelony był na rozmaite okruchy, o tyle zgodne z sobą, że prawdzie przeczyły, ale między sobą ani zgodne, ani powiązane. To wyjątkowe położenie prawdy dodawało jej wiele mocy i uroku i przyciągało większe, syntetyczne umysły. Dziś już i fałsz zaczyna się krystalizować w jaki taki jednolity system; a jak jądrem systemu prawdy jest nauka Chrystusowa, około której grupuje się w umyśle chrześcijańskiego filozofa wszelka inna nauka i wiedza, tak jądrem tego systemu fałszu jest pozytywizm — nie już zbutwiały pozytywizm Comta i Littrego, ale pozytywizm przybrany w nową skórę ewolucjonizmu i świeżo wypokostowany przez Spencera, Buckla, Hurleya, Ribota i t. p.

System ten w gruncie rzeczy niczego nie tłumaczy, wyznaje nawet, kiedy go się przyprze, że niczego tłumaczyć nie może, fundamentów nie ma u niego żadnych, w samej jego konstrukcyi okropny brak logiki, faktów przytoczonych mnóstwo, ale wnioski stawiane nie płyną z tych faktów, a nadewszystko rażąca nieznamość rzeczy, około których wszystko się obraca, t. j. wyższych zagadnień psychologicznych i moralnych. Z tem wszystkim pozytywizm potrafił zaokrąglić się w pewną całość, ma z swego punktu widzenia pewien jednolity pogląd na wszystko, a nadewszystkiem tem celuje, że każde zagadnienie rozwiązuje w spo-

sób wrzekomo empiryczny, namacalny, w sposób, który nauki przyrodnicze dziś zbadaly do połowy, a jutro stwierdzą zupełnie.

Rozumie się, iż w takich warunkach, pośród umysłów niewprawnych w ścisłe myślenie i obcych kwestyom duchowym, pozytywizm musi mieć mir i łatwe robić zdobycze; dla niejednego jest on wszystkim, filozofią i religią — biedny taki umysł a jeszcze biedniejsze serce. Dla wielu nie jest wprawdzie wszystkim, ale wszędzie się gnieździ i wszędzie wpaja zakałę sceptycyzmu i moralnego obniżenia. Znajdziesz go w logice, jak podkopuje z Stuartem Millem moc syllogizmu, znajdziesz w psychologii, jak z Dubois Raymondem zestawia wieszczy zachwyt Danta z grzaniem się robaka na słońcu, znajdziesz go w estetyce, w historii, w etyce, w socyologii, jak z Darwinem, Bucklem i Spencerem zasypuje wszelkie prawa duchowe i bezwzględne śmieciami zmysłowych wrażeń, popędów i nawyknień; znajdziesz go nawet w matematyce, którą także usiłuje do rzędu empirycznych nauk sprowadzić, i nawet w filologii, której odbiera właściwy jej humanitarny charakter, zastępując go materjalizmem litery.

Trzeba więc — i to jest zamiarem naszym — na korzyść prawdy i ludzkości, ściagać to lichy pozytywizmu w tych wszystkich zakątkach, zwracać uwagę na błahość jego wywodów i prostować mylność jego wniosków. W naszym kraju jestto tem potrzebniejsze, że nieszczęśliwym trafem co najgorszego napisali zagraniczni koryfeusze tej doktryny, wszystko się na polski język tłumaczy, do rąk młodzieży się dostaje, a gruntowne odprawy, które tym teoryom na miejscu i na razie dano, mało u nas czytelników, a żadnego nie znajdują tłumacza.

Najsystematyczniej byłoby zacząć od logiki i tam błędy pozytywizmu wytknąć. Ale że nie mamy na celu systematycznego rozbioru pozytywizmu, gdzieindziej już zapowiedzianego, tylko szereg zagadnień jedną myślą nawiązanych, wglądnijmy najprzód w dziedzinę, która wszystkich u nas obchodzi, t. j. w historię; i tam, żeby się nie gubić w ogólnikach, zavezwijmy głównego przedstawiciela tego kierunku w historii, Tomasza Buckla, autora słynnej „historii cywilizacyi w Anglii“.

Buckle zaczyna od ubolewania nad tem, że gdy inne umie-

jętności, zwłaszcza przyrodnicze, tak olbrzymio kroczą naprzód, historia zostaje w kolebce; one sprowadzają zbadane zjawiska do praw ogólnych, ta rejestruje dotąd odosobnione fakta; one z praw indukcyjnie dowiedzionych wnioskują już na pewno o przyszłych wypadkach, ta ani marzy o takiej śmiałości — słowem one są w całym znaczeniu umiejętnościami, historia jeszcze nią nie jest. A skądże ta różnica? czemużby historia nie miała stanąć obok astronomii, fizyki, chemii, w szeregu nauk przyrodniczych? czemużby nie miała podobnie prorokować, co będzie jutro z matematyczną pewnością? Przeszkody właściwej nie ma, sądzi Buckle, zawadza tylko przesąd zgubny, przesąd, że w historii działają czynniki przypadkowe, wolne wole. Gdzie się upatruje wpływ wolnej woli, tam się nie uznaje koniecznego następstwa przyczyn i skutków, tam więc nie przypuszcza się praw koniecznych i ogólnych nad faktami panujących, ale tylko bezład, dowolność i przypadkowość, tam więc o umiejętności w ścisłym znaczeniu mowy być nie może.

Buckle, jako prawy uczeń Comta, dzieli tę wrogą teorię na dwie połę, aby nią obłożyć dwa straszidła (*les deux bêtes noires*) pozytywizmu: metafizykę i teologię. Dogmat metafizyczny, mówi on, o wolnej woli człowieka, i dogmat teologiczny, o rządzie opatrności w świecie (także rodzaj wolnej woli), to są dwie tamy historii; póki te tamy nie będą przełamane, póki historycy nie pozbędą się tych przesądów, póty nie marzcie o umiejętnej historii.

Takie założenie nie jest bez uroku. Widzieć rozdartą zasłoną przyszłości, wiedzieć z nieomylnością nauk ścisłych, co nas czeka w życiu, jak się rozwiążą piekące dziś zagadnienia polityczne i społeczne — to iście myśl powabna! Ale czy urok starczy za dowód? Buckle, jako pozytywista, najmniej ma prawa na nim polegać, lecz powinien stać na gołych faktach, na doświadczeniu. Otóż najprzód, jeżeli faktem jest, że podczas gdy inne umiejętności tak prędko w syntezie swych praw postąpiły, historia nie potrafiła praw swoich sformułować, to już sam ten fakt daje do myślenia i coś wskazuje człowiekowi idącemu bez powziętej z góry idei, za samem świadectwem faktów; wskazuje mu mianowicie, że historia nie jest

całkiem równorzędną z fizyką i chemią, że zjawiska jej i prawa nie są tej samej natury, co zjawiska i prawa do nauk przyrodniczych należące. Dalej, jeżeli prawdą jest, że historia nie może być w ścisłym znaczeniu nauką, dopóki się nie uzna, że wszystko w jej dziedzinie konieczności bezwzględnej podlega, to należałoby pierwiej zbadać, czy fakta zadają stanowczy kłam powszechnemu mniemaniu o istnieniu wolnej woli, a potem wyrokować, czy historia ma się do nauk ścisłych zaliczać. Takby powinien rozumować pozytywista.

Następnie ponieważ powszechne i głębokie przekonanie rodzaju ludzkiego o tym „metafizycznym dogmacie“ wolnej woli jest także faktem, albo raczej zbiorem faktów dosyć wybitnym, taki pozytywista jak Buckle, powinien nań zwrócić uwagę, wytłumaczyć nam, skąd się bierze to powszechne złudzenie i tłumaczenie swe dowodami indukcyjnymi poprzeć. Ale Buckle ledwo że uwagę na to zwraca. Jemu się zdaje, że to tylko metafizycy, oddający się spekulacyom dla zabicia wolnego czasu, teorię wolnej woli wymyśleli, i rozprawia się z nimi od niechcienia: „Teorię swoją, mówi, oparli oni na dwóch przypuszczeniach: mianowicie, że istnieje niezawisła władza duchowa zwana świadomością i że to co od niej pochodzi jest nieomylnem; lecz pierwsze z tych przypuszczeń, nie da się żadną miarą udowodnić, a drugie pokazuje się wciąż fałszywem... gdyż te same przekonania co w jednej epoce są przedmiotem wiary, w drugiej są celem pośmiewiska... i sami w pewnych okolicznościach jesteśmy świadomi istnienia widm i mar, które jednak wcale nie istnieją“¹⁾.

Jest tu pomieszanie pojęć i nieznajomość rzeczy nie do darowania. Nikt na świecie nie utrzymywał, że świadomość jest osobną władzą — i to istotnie nic do rzeczy nie ma. Nikt też nie twierdził, że „wszystko co od świadomości pochodzi, jest nieomylnem“ — i takie twierdzenie nie miałoby nawet określonego znaczenia; ale odróżnia się przedmiotowość naszych

¹⁾ Buckle. *Historia cywilizacji w Anglii* T. I. rozdz. 1. Z tego samego rozdziału są wszystkie następujące ustępy z Buckla w tej rozprawie przytoczone.

aktów poznawczych, świadomości podległych, czyli te, co nam o przedmiocie donoszą — i podmiotowość ich, bezpośrednio nam świadomą, czyli wewnętrzne zjawiska czynności i stanów psychicznych, których świadomi jesteśmy. W sferze przedmiotowej błędy oczywiście zachodzą, inaczej i Buckla zdanie byłoby nieomylnem; w sferze podmiotowej, bezpośrednio nam świadomej, błąd jest wręcz niemożliwym, bo tu świadomość zjawiska i istnienie tego zjawiska są jednym i tem samym. Jeżeli Buckle widuje po nocach widma, stąd wcale nie wynika, żeby te widma przedmiotowo istniały, ale wewnętrzny fakt, którego jest świadom, jest faktem; Buckle mylnie się wyraża mówiąc, że „jest świadom istnienia widm“, jest on tylko świadom swego wewnętrznego widzenia, i w tem jest istotnie nieomylny. Otóż wolność woli należy właśnie do tej sfery wewnętrznej świadomości; fakt, że czyniąc pewien wybór, mocen jestem przy tych samych warunkach i powodach uczynić wybór przeciwny, jest to fakt wewnętrzny bezpośrednio mi świadomy, moc tę w sobie czuję, dotykam, czyn z wolnej woli wykonany jawi się w mojej świadomości w charakterze sobie właściwym, różniącym się mocno od czynów poniewolnych i przeto zupełnie inaczej odbija się w mojem sumieniu. W końcu nie sami metafizycy, jak się Bucklowi zdaje, lecz wszyscy śmiertelnicy poczuwają się do wolnej woli, na niej opierają pojęcia moralności i odpowiedzialności, nią warunkują prawa i kary, pochwałę i nagane, słowem cały ustrój tak prywatnego jak publicznego życia. Oto zjawisko na wielkie rozmiary, które Buckle powinienby przedewszystkiem wytłumaczyć; ale Buckle nie próbuje tłumaczenia, nie postrzega nawet zjawiska.

Kiedyindziej może, podejmując kwestyę wolnej woli na tle psychologii i etyki, pokażemy, że nadmienione co dopiero dowody są w istocie stanowczymi i że pozytywizm napróżno się o ich zwalczenie kusi; teraz, kiedy się rozprawiamy z Bucklem na polu historyi, zobaczymy z jakim to on dowodem, ściśle historycznym, wystąpi przeciwko „przesądowi o wolnej woli“. Buckle w istocie, ściślejszy w tym punkcie od wielu innych, uznaje potrzebę dowodu i wyprowadza takowy ze statystyki. „Statystyka, mówi on, pokazuje cyframi, że czyny ludzkie, które za najdowolniejsze

uchodzą, podlegają jednak żelaznym prawom konieczności. Rok rocznie powtarza się nie tylko ta sama niemal liczba zabójstw, ale nawet to samo ma miejsce w stosunku do narzędzi, jakimi zabójstwa się wykonują. Podobny porządek zauważano w każdej innej zbrodni. Cóż więcej zależy od osobistego usposobienia jak samobójstwo? otóż i samobójstwo, jak świadczy statystyka, jest tylko koniecznym wynikiem ogólnego stanu społeczeństwa, a pojedynczy zbrodniarz wykonywa tylko to, co jest koniecznym wpływem poprzedzających okoliczności: w pewnym stanie społeczeństwa musi pewna liczba ludzi odebrać sobie życie... W Londynie około 240 corocznie. A nie tylko zbrodnie podlegają temu prawu jednostajności... Wiadomo, że liczba małżeństw zawartych w ciągu roku, pozostaje w stałym stosunku do ceny zboża... Co rok ta sama liczba korespondentów zapomina położyć adres na wysłanych listach, tak, że na każdy następujący okres przepowiedzieć możemy liczbę osób, którym pamięć nie dopisze w tej drobiazgowej i na pozór przypadkowej rzeczy“.

Taki jest wywód Buckla; przyznać trzeba, że rzadko kiedy spotyka się u tych panów coś tak jasno sformułowanego. Warto więc tym razem odpowiedzieć dokładnie.

Najprzód postawmy sobie pytanie: skąd ta dziwna regularność w rzeczach, które na pierwszy rzut oka zdają się czysto przypadkowemi? to wygląda prawie na mistyfikację. Tak jednakże nie jest, jest to po prostu wynik tak zwanego prawa wielkich liczb, znanego w rachunku prawdopodobieństwa: Im większa liczba przypadków, tem regularniej uwydatniają się podstawy prawdopodobieństwa, bo przypadki przeciwne wzajemnie się równoważą; w liczbach zaś bardzo wielkich przypadkowość się znosi, a prawa prawdopodobieństwa występują jako stałe prawa ¹⁾. Rzucając kostkę mam prawdopodobieństwo = $\frac{1}{6}$, że wypadnie liczba VI; w kilku rzutach nie dostrzegę żadnej regularności; mogę i kilkanaście razy rzucić, zanim VI wypadnie; ale w kilku tysiącach rzutów, suma wypadków liczby VI będzie niewątpliwie 6-tą częścią ogólnej sumy rzutów. Gdy dwóch gra

¹⁾ Obacz Poisson. Calcul des probabilités. Rozdz. 3.

w „cetno i lichu“ albo w inną grę hazardową, w równych ze wszechmiar warunkach, w mniejszym okresie czasu fortuna może być bardzo nierówną, ale po długim czasie i bardzo wielkiej liczbie partyj, losy muszą się wyrównać, skoro równe są szanse. Jeżeli zaś z jednej strony jest pewna przewaga prawdopodobieństwa, to ostatecznie ta sama przewaga wystąpi w rezultatach. Tak bank ruletowy, który gra nieustannie przeciwko wszystkim partnerom z pewnem prawdopodobieństwem korzyści, w samych warunkach tej gry założonem, w rezultacie zawsze tę korzyść, ni mniej ni więcej, odnosi — i byleby posiadał kapitał wystarczający do przetrwania chwilowych niepowodzeń, nie nie ryzykuje. Podobnie rzecz się ma w wypadkach statystyką objętych: jak długo pożyje pojedynczy zdrowy człowiek, tego nikt nie obliczy; ale, że w danem mnóstwie ludzi, np. w danem mieście, tyle będzie śmierci w roku, to się da dosyć dokładnie obrachować, a poszczególne wypadki, któreby mogły tę liczbę powiększyć, zrównoważą się z przeciwnymi, dążącymi do jej umniejszenia — i tylko wtedy ogólna liczba dozna znacznej zmiany, gdy się ogólne warunki śmiertelności w tem miejscu zmieniają, gdy np. nastanie wojna, morowe powietrze itp.

Otóż to samo ma miejsce w wypadkach od wolnej woli zależących: wybór wolnej woli nie jest właściwie przypadkiem, bo jest sam dla siebie racją bytu, ale odnośnie do praw prawdopodobieństwa ma się tak samo jak przypadek. Pojedynczego wyborcu nikt nie obrachuje, nie odgadnie na pewno czy cetno padnie czy lichu, ale w milionie wolnych woli wybierających między A i B, dwiema równymi rzeczami, połowa wyborów padnie na A, a połowa na B. Jeżeli zaś po jednej stronie jest jakaś przewaga powodów, albo w samym przedmiocie albo w pewnym ustroju psychicznym, wspólnym tym wolnym wolom, ta sama przewaga objawi się niechybnie w sumie wyborów. Czy to dowodzi, że te wybory nie są wolne? że podlegają prawom koniecznym? — żadną miarą, ale dowodzi tylko, że powody mają pewien wpływ na wybór — czemu nikt nie przeczy.

To trzeba dobrze zrozumieć, bo tu leży główny błąd przeciwnego rozumowania. Buckle i towarzysze przypuszczają, jak

widać, że broniąc wolności woli odrzucamy wszelkie na nią wpływy. Ale któż kiedy takiego pojęcia wolnej woli bronił? Wpływy na wolę uznajemy, każdy z nas aż nadto tego świadom; wpływają na wolę zewnętrzne, przedmiotowe powody, które czynią jedną rzecz powabniejszą, drugą trudniejszą, wstrętniejszą; wpływają jeszcze więcej przyczyny wewnętrzne: zasady, skłonności, namiętności, nawyknięcia, których suma stanowi tak zwany charakter. Moc wolnej woli nie zależy bynajmniej na niedoznawaniu parcia tych wpływów, ale na tem zależy, że w każdym pojedynczym przypadku, mimo tych wpływów, wola jest panią swego wyboru i wybrać może, nawet przeciwko przewadze powodów. Wybrać może, mówię, i często tak wybiera — jednak, ponieważ powody istotnie wpływają, wybór tam częściej padnie gdzie mocniej powody ciągną, a w wielkiej sumie wypadków odbije się niechybnie w regularnych rysach przeciętna suma powodów i wpływów.

Skąd się dzieje, że w Londynie jest rok rocznie około 240 samobójstw? — stąd po prostu, że w danych warunkach społecznych tego miasta powtarza się rok rocznie pewna suma pokuszeń do samobójstwa, a w danych moralnych warunkach znajduje się również pewna suma sił odpornych; różnica zaś tych dwóch sum wynosi 240 — i ta się w rezultacie objawia. W pojedynczych wypadkach każdy z tych nieszczęśliwych, na samobójstwo narażonych (chyba że obłąkany) może się oprzeć; zdarza się, że jeden zwalcza większą pokusę, drugi mniejszej ulega; ale te jednostkowe wypadki nie wpływają znacznie na ogólny rezultat — bo się w mnóstwie równoważą. Wtedy zaś tylko ogólny rezultat ulegnie znacznej zmianie, kiedy się zmienią ogólne warunki Londynu moralne lub materyalne.

Czemu roczna liczba małżeństw w Anglii jest w stałym związku z ceną zboża? Nie dlatego oczywiście, że podnoszenie tej ceny zmusza pewne jednostki do żenienia się, a zniżenie jej krępuje ich wolę, — ale dlatego, że dla mas ubogich większość ludności stanowiących, taniość życia ułatwia zawarcie małżeństwa, drożyzna utrudnia, a ta większa lub mniejsza łatwość objawia się w rezultacie proporcjonalną oscylacją statystycznych ilości małżeństw.

Więcej powiem: w jednostce nawet wolność woli, którą w każdym czynie uznajemy, nie wyklucza bynajmniej pewnej przeciętnej normy działania, w której się przejawia charakter tej osoby — dlatego poprostu, że w sumie jej czynów zawsze przeważy liczba takich co będą podług stałych bodźców w jej charakterze zawartych. Tem więcej uwydatni się ta przewaga w zbiorze mnóstwa osób zbliżonych pochodzeniem i innymi warunkami, a przeto tem stanowczej da się określić charakter rodziny, narodu, plemienia i w końcu charakter ogólnoludzki. Zawsze bowiem na tej samej zasadzie zmienność i dowolność pojedynczych objawów, w wielkich liczbach spływają w regularne prądy, proporcjonalne do sum powodów na wolę działających.

Cóż więc zostaje z argumentu Buckla? Dla uwydatnienia rzeczy, powtarzam ją w kilku słowach. Faktem jest dowiedzionym, że czyny woli ludzkiej w wielkich liczbach uważane objawiają stałe prawa, stały stosunek do powodów na wolę działających; z tego faktu Buckle, odrazu wnosi, że i w pojedynczym wypadku wola stałym prawom podlega i wybór jej stoi w koniecznym stosunku do sumy powodów; otóż wniosek ten jest fałszywy, bo ta przybliżona stałość i regularność w wielkich liczbach, nie wymaga, jak się pokazało, stałości i konieczności w pojedynczych przypadkach i nawet przy ich dowolności objawić się musi. Więc całe to rozumowanie pozytywistów jest paralogizmem, a cyfry, któremi nas Buckle zarzuca, są w tym punkcie prostą mistyfikacją.

Ale przy tej sposobności inna ważna prawda się odsłania: skoro wolność woli osobista w jednostce godzi się ze stałymi prawami i stałym stosunkiem skutków do powodów w mnóstwie, toć historia, która ma do czynienia z narodami i wiekami, nie potrzebuje dla uznawania wolnej woli, wyrzekać się badania tych praw i śledzenia tych przyczynowych stosunków. Niech Buckle bada dalej wpływy klimatu na zawiązki cywilizacji, oddziaływanie przyrody na wyobraźnię i charaktery narodów — podziwiamy jego bystrość, piszemy się na wielką część jego wniosków; ale niech nam nie mówi, że te badania i zdobycze umiejętności za-

wisły od uchylecia dogmatu wolnej woli — bo w tem, jak się pokazało, mija się najzupełniej z prawdą.

A czyż to nowe odkrycie, że historia może dochodzić stałych praw i stosunków przyczynowości? Przecież po wsze czasy wiedziano, że ogólne wpływy na podniesienie lub obniżenie moralności ludów niechybnie pewien skutek odnoszą — na tem opierały się od wieków instytucje kościelne niemniej jak państwowe; po wsze czasy rozumiano tę stałość rysów charakterystycznych jednostek i narodów, o którejsmy co dopiero mówili — i na tem polegała wiara w ludzi, kredyt, wzajemne pożyczycie i wszystkie ludzkie stosunki. Historia sama od najdawniejszych czasów dla ogólnych objawów szukała zawsze ogólnych przyczyn i nawet czyny pojedynczych ludzi starała się tłumaczyć ich charakterem i otaczającymi wpływami; że więc nie potrafiła dotąd ściśle swoich praw sformułować, to nie stąd pochodzi, żeby w swym przedmiocie, jak sądzi Buckle, nie innego tylko przypadkowość i zmienność przypuszczała — takiego przypuszczenia nigdy nie było — ale stąd, że przedmiot jej jest zbyt wielki, zbyt rozmaitemi i w nieskończoność mnożącymi się szczegółami zawarunkowany. Astronomia przepowiada bieg planety sto lat naprzód, bo bieg ten zależy od małej liczby warunków; ale już meteorologia, choć od tyłu lat i na tyłu miejscach spostrzeżenia rejestruje, dwa dni naprzód pogody zapowiedzieć na pewno nie może, bo wielkiej liczby warunków na pogodę wpływających dotąd ująć w syntezę nie zdołała. Otóż podobna trudność do dziesiątej potęgi podniesiona w historii ma miejsce. Historia w tej mierze nie stoi niżej ani na równi, ale wyżej od nauk przyrodniczych: ma ona prawa ogólne, jak nauki przyrodnicze, ale nieskończenie trudniejsze do sformułowania, bo od warunków nieskończenie liczniejszych i różnorodniejszych zależne; ma ona prawa ogólne jak nauki przyrodnicze, ale że substratem tych praw nie jest materya lecz żywioł duchowy, wolne wole, to im nadaje charakter odrębny, moralny, pociągający za sobą moralne następstwa; ma ona prawa ogólne, ale te prawa, podobnie i więcej jeszcze niż prawa przyrody są wyrazem myśli i rządu Bożego — bo jeśli Opatrzność

troszczy się o ptaki powietrzne, o ileż więcej zajmuje losami ludzkości? ¹⁾

To nas naprowadza do powiedzenia jeszcze kilku słów o drugim pewniku, któremu Buckle na wstępie swego dzieła walkę wypowiada, t. j. o wpływie Opatrzności w historii.

Buckle najprzód zna chrystyanizm tylko ze źródeł protestanckich. „Stronnicy tej teorii, mówi, każą nam wierzyć, że Stwórca pomimo swej najwyższej dobroci, uczynił dowolną różnicę między wybranymi i niewybranymi, z góry potępił miliony stworzeń, i to nie na zasadzie sprawiedliwości, ale z despotycznej swej władzy“. O takiej teorii najsluszniej mówi Buckle: „że się nie zgadza z innymi zasadniczymi pojęciami“; ale grubo w historii błądzi, kiedy ją uważa za staro-chrześcijańskie pojęcie Opatrzności, i fatalnie się myli gdy ją przypisuje św. Augustynowi, który ten sam błąd Manichejczyków zwycięsko zwalczał ²⁾.

Lecz właściwy dowód Buckla przeciwko Opatrzności leży w tem samym, co przeciwko wolnej woli ludzkiej powiedział, tj.: że w tej hipotezie historia nie mogłaby być umiejętnością, bo nie miałyby pewnych praw i wątku przyczynowości. Jest tu znowu nieporozumienie, właściwie mówiąc, niezrozumienie dogmatu Opatrzności. Jak należy pojąć rządy Boga w świecie? Czy w ten sposób, że Bóg siedzi przy maszynie świata i w miarę jak zamierza pewne cele, lub jak modły wiernych do niego dochodzą, wciąż to popycha maszynę, to ją wstrzymuje, to jedno lub drugie kółko przekreśla? Taki cudaczny Bóg znajduje się może w Talmudzie babilońskim, ale nie w nauce Kościoła, nie w myśli chrześcijańskich filozofów, nie w rzeczywistości. Bóg rządzi ludzkością podobnie jak przyrodą, nie cudami, ale prawami naturalnymi, które są dziełem i wyrazem jego mądrości i dobroci.

Dla wyjaśnienia tej myśli pozwolimy sobie małą dygresyę

¹⁾ Ewang. św. Mat. X, 29.

²⁾ Tak pisze św. Augustyn w księdze III. przeciwko Julianowi. „Dobry jest Bóg, sprawiedliwy jest Bóg, może niektórych bez ich zasługi zbawić, bo dobry jest; nikogo nie może bez jego winy potępić, bo sprawiedliwy jest“.

o stosunku Opatrzności do przyrody. Bóg nie stworzył naprzód przyrody, by potem ją dostrajać do jej celu, t. j. do wielorakiej usługi ludzkości — byłby to dziecinny antropomorfizm — ale w swojej odwiecznej mądrości widząc przed sobą całą przyszłość, do gry moralnych czynników, jako wyższego celu, odmierzył i zastosował grę czynników materialnych, jako środek i narzędzie; wciągnął w to obrachowanie wszystko, co do moralnego porządku należeć miało: i sumę dobrobytu, jaką chciał dać ludzkości — i sumę niedostatków i cierpień, jaką chciał ją doświadczać lub karcieć — i grzechy, które miał docześnie karać — i zasługi i modlitwy, które chciał uwzględniać — a do tego całego ustroju moralnego dobrał w swej mądrości odpowiedni ustrój przyrody i jej praw. Bieg przyrody sam w sobie jest oczywiście ślepy i konieczny, bo się składa z czynników materialnych, jak ślepy i konieczny jest bieg mosiężnego zegara; ale, o ile pochodzi z myśli Zegarmistrza, ten bieg jest celowy i mądry. Każdy wypadek w porządku przyrodzonym ma bezpośrednie przed sobą materialne przyczyny, jest koniecznym ogniwiem w ich łańcuchu, jest wyrazem ich praw niezmiennych — lecz równocześnie może być celowym wynikiem zamiaru Stwórcy i może mieć powód moralny w społecznych moralnych warunkach. Tęcza jest widocznie praw przyrodzonych wynikiem, a jednak mogła być daną „na znak przymierza“ nieba z ziemią. Potop był też niezawodnie skutkiem przyrodzonych czynników, podobno objawem prawa peryodycznych kataklizmów, a również niezawodnie był objawem gniewu Bożego i karą za ówczesne zepsucie ludzkości. Podobnie, *si parva licet componere magnis*, gdy się modlimy o pogodę, o zdrowie, wiemy doskonale, że prawa przyrodzone, które pogodę i zdrowie przynoszą, są ślepe i konieczne, a do cudu przeciwko tym prawom pretensyi nie mamy; wierzymy jednak, że nasze modlitwy skutecznymi być mogą, bo wiemy, że i taki moment uwzględnić mogła przedwieczna Mądrość i Dobroć w urządzeniu praw i biegu natury. Tak zegar do budzenia nastrojony o naznaczonej godzinie przerywa nocną ciszę głośnem dzwonieniem: dzwonenie to ma oczywiście materialną przyczynę w nastroju maszynaeryi — tak urządzony zegar tak dzwonić musi; ale

czyż niema oraz przyczyny duchowej, dla której budzenie jest celem, dzwonienie śróbkciem a nastrój maszyny narzędziem? Tak samo rzecz się ma z całym biegiem natury: wszystkie jej kółka obracają się mechanicznie, ale tem samem uiszczają myśl Arcymistrza, który je do swoich celów świadomie nastroił. Słowem normalny sposób działania Boga w świecie jest przez naturę i podług praw natury; co doskonale pojął geniusz Newtona i orzekł doskonale: *natura est ordinaria potentia Dei*; zwyczajnym objawem mocy boskiej w świecie jest natura.

Zwyczajnym, *ordinaria*, mówi Newton, bo nie jest panteistą ale chrześcijaninem i wie, że Pan natury ma także moc czynienia cudów, ale cuda do innej należą sfery, inny mają cel. Kiedy Bóg chce dać świadectwo pewnemu człowiekowi, zatwierdzić pewną naukę od siebie objawioną, wówczas cud jako pieczęć swoją własną przykłada. Cud jest do tego celu najodpowiedniejszym, bo tylko zjawisko, które tryb i możność natury przechodzi, może interwencyę samego Stwórcy zaznaczyć. Ale też cud innego celu nie ma jak być tą pieczęcią ¹⁾; oraz z natury swojej musi być rzadkim, wyjątkowym, inaczej nie byłby cudem. Jestto *extraordinaria potentia Dei*, a natura zostaje zawsze jako *potentia ordinaria*.

Tak się rzecz ma z prawami natury, tak samo i z prawami historyi — do tego właśnie wniosku zdążamy. Ludzkość stworzona na planecie rozgałęzia się i kształci pod wpływem klimatów i innych geograficznych warunków, charaktery ras odrysuwują się; później pod wpływem to materyalnych warunków, to rozróżnionych już rasowych charakterów, następują starcia ludów, wzmnożenie się jednych, zagłada drugich, zlanie się innych, snują się prawidłowo dzieje pojedynczych narodów, grają w nich rolę to zbiorowe wpływy to znów jednostkowe czynniki —

¹⁾ Gdy Chrystus wskrzesza Łazarza, to nie w tym celu, by Łazarz żył, bo naturalnemi środkami mógł zapobiedz jego śmierci; ale na to, „aby wierzyli, że Ojciec go posłał“ (Jan XI. 42). Gdy otwiera oczy śleponarodzonemu, to nie w tym celu, żeby ten człowiek widział, bo on mógł naturalnie przyjść na świat nie ślepy, ale „żeby się sprawy boże w nim okazały“ (Jan IX. 3.).

wszystko co się zdarza da się wytłumaczyć, jako normalny skutek tego co przedtem było. Ale to tylko kółka za kółkami w zegarze. Po nad tem wszystkim, jak po nad prawami przyrody, jest Boski Zegarmistrz, który celowo zbudował powierzchnię planety ¹⁾, — i charaktery ludzkie poszczególnie ukształtował ²⁾, — i wszystkie warunki do swoich celów nastawił — tak, iż kółka tego zegaru obracają się samodzielnie, ale bieg zegaru idzie po długi Zegarmistrza myśli.

Tak więc zatwierdzenie rządów Opatrzności nie znosi stałości pewnych praw i stosunków przyczynowych w historii; a zatwierdzenie tych ostatnich nie przeczy Opatrzności — ale jedno przy drugim, raczej jedno nad drugim stoi. Jak w naturze każde zjawisko do dwojakiego odnosi się powodu, do przyczyny sprawczej i do racyi celowej, tak w historii każdy wypadek dwojakim podlega tłumaczeniu: można po za nim ludzkie wykazać czynniki i podciągnąć go pod jakieś prawo dziejowe, a równocześnie można Boski nad nim zamiar wskazać i sprowadzić go do prawa Opatrznościowego. Upadł np. jakiś naród: musiała być bezpośrednia tego przyczyna, albo w wewnętrznym tego społeczeństwa rozstroju, albo w sile zewnętrznego nacisku; lecz oraz musiał być powód tego dopuszczenia w opatrznosciowych zamiarach: albo grzechy społeczne taką karę ściągnęły, albo odstępowo od misyi dziejowej temu narodowi danej pozbawiło go racyi bytu w oczach Opatrzności, albo jestto może przejściowa tylko faza ku lepszemu bytowi... A między tymi dwojakimi powodami nie ma żadnego przeciwieństwa, żadnej antynomii: zamiary Boskie wykonują się przez normalne prawa historii. I tu powtórzyć można: *Natura est ordinaria potentia Dei.*

Gdyby tak nie było zwyczajnie, gdyby co chwila Bóg występował z cudem w dziejach, gdyby każdy grzech narodów doraźnie był karany, każda zasługa namacalnie nagradzana, jużby wiara miejsca nie miała, nie byłaby ludzkość w fazie próby,

¹⁾ *Quando appendebat fundamenta terrae, cum eo eram (Sapientia), cuncta componens... Prov. 19.*

²⁾ *Qui finxit sigillatim corda eorum. Ps. XXXII. 15.*

w której ma po omacku szukać Boga — *Quaerere Deum, si forte attrahent eum* ¹⁾. Gdyby przeciwnie tak było wyłącznie, a *potentia Dei extra ordinaria* nigdy nie występowała, wiara nie miałaby dostatecznego punktu oparcia. Dlatego ogół dziejów biegnie naturalnym tokiem, ale przez środek dziejowego szlaku snuje się szereg objawów Boga nadzwyczajnych. W starczytności w jednym narodzie wybranym powtarzają się od czasu do czasu cuda, które zapowiadają i przygotowują cud cudów: Wcielenie Słowa. Po tym punkcie kulminacyjnym historii znowu snują się dziejowe cuda w założeniu, rozkwicie i utrzymaniu Kościoła, aż do dni naszych. Lecz i te iście cudowne działania Boga w szczegółach kryją się normalnie za naturalnemi czynnikami, które materialnie, że tak powiem każdy fakt tłumaczą. Dopiero gdy się cały szereg zestawia, gdy się zważy, że Kościół z wszystkich niebezpieczeństw się wy dobył, wszystkich wrogów odparł, we wszystkich swych orzeczeniach ze sobą był zgodny i t. d. wtedy naocznie widzi się Palec Boży.

Jeszcze krok naprzód w tem badaniu. Uznaliśmy poprzednio w poziomie historii istniejące stałe prawa na naturze ludzkiej i na istocie społecznych czynników oparte; teraz dodajmy, że i Opatrzność, która, jakżeśmy widzieli, te prawa nastraja i niemi zamiary swe iści, ma w tem działaniu i w tych zamiarach pewne swoje prawa — nie iżby Bóg podlegał prawu, ale że rządzić musi w mądrości — a mądrość jest konsekwentną, więc prawidłową. Gęste też ślady tych praw tak w Piśmie św. jak i w samej historii napotyamy.

Jednak ludzilibyśmy się niemało, gdybyśmy sądzili, że przypuściwszy w dziejach Opatrzność możemy od razu jej prawa *a priori* wywodzić, podług naszych ograniczonych pojęć o sprawiedliwości bezwzględnej i o celu świata; ludzimy się jeszcze więcej, jeśli uroiwszy sobie po swojemu opatrnościowy porządek i widząc, że fakta mu niekoniecznie dopisują, bierzemy stąd asumpt do obwiniania lub nawet zaprzeczania Opatrzności. Jeżeli już owe poziome prawa historii trudne są zbadania, tem niedostępniejsze

¹⁾ Act. Apost. XVII. 27.

być muszą dla nas te wielkie prawa Opatrzności, i tylko przybliżenie w nasze formuły ująć się dają. Jednakowoż i ta przybliżona ich znajomość, do jakiej prowadzą szerokie studia historii wiarą oświecone, jest najwyższym historii kluczem. Jeśli kto w ogóle dochodzi do jakiejś syntezy w historii, jeśli kto się wznosi aż do rozumowego prorokowania dziejowej przyszłości, to nie tacy Bucklowie i Spencerzy, ale tylko ci co zrozumieli właściwą prawdę dziejowych naturę: stałość i ogółowość przy moralnej odpowiedzialności, konieczne nawiązanie przyczyn i skutków przy rządzie Opatrzności Bożej. Tak Skarga wśród najświetniejszej doby politycznej naszego kraju widzi moralne przyczyny jego upadku i prorokuje ten upadek z uderzającą stanowczością. Tak sławny kaznodzieja francuski Beauregard, 20 lat przed rewolucją, głosi z ambony: „że widzi w rękach burzycieli topór na króla i młot na ołtarze, a w spustoszonych przybytkach pańskich bezecną Wenerę zamiast Boga czczoną“¹⁾. Tak dopiero zgasły Le Play, za świetnych czasów Napoleona, przepowiedział mu, co się spełniło dosłownie: „że Alzacya będzie niemiecką, i że pałac, w którym z nim rozmawiał (Tuilleries) będzie prawdopodobnie zburzony“²⁾. Le Play nie wznosił się może aż do praw opatrznosciowych, jednak moment moralny w prawach dziejowych rozumiał głęboko i drogą czterdziestoletniej indukcji przyszedł do tego końcowego pewnika, że „zachowania dziesięciorga przykazań bożych jest stałym warunkiem doczesnego szczęścia narodów“.

Kończąc ten krótki pogląd, zestawmy jeszcze raz historię z nauką przyrody.

Buckle nazywa Opatrzność jałową hipotezą z którą historia nie ma co robić, tak samo poziomi przyrodniecy powtarzają, że celowość jest dla przyrodoznawstwa kwestyą jałową. Oni to powtarzają, bo sami nie myśląc o celowości i o Stwórcy, rejestrują zjawiska, wywodzą prawa, budują maszyny, pędzą naprzód koło naukowego i przemysłowego postępu, słowem, jak się dziś mówi, przysłużają się nauce. Doskonale! ale wglądnijmy

¹⁾ W kazaniu o filozofii, powiedzianem r. 1776.

²⁾ *Le Play et son oeuvre de Réforme sociale, par Desmolins.*

w głąb rzeczy a przekonamy się, że punktem wyjścia a oraz sprężyną tego całego postępu nauk ścisłych i przyrodniczych w naszych czasach jest odkrycie wielkich praw fizyki i mechaniki, głównie w XVII i XVIII wieku dokonane. A kto tego odkrycia dokonał? Nie ci spisywacze zjawisk o schylonej ku ziemi głowie, by nieba nie zobaczyć, ale ludzie jak Kopernik, Kepler, Bacon, Descartes, Galileusz, Newton, Leibnitz, którzy nie tylko wierzyli w Stwórcę i celowość natury, co każdemu wiadomo, ale też — o czem mało kto wie — tą właśnie wiarą w Boga i przekonaniem o celowości świata do swoich wielkich odkryć naprowadzeni zostali. Tę ostatnią tezę świetnie udowodnił zeszłego roku Naville w swoim nie wielkiem ale głębokim dziele: *La Physique Moderne*. I w istocie tylko taki umysł party jest do szukania i zdalny do odgadywania wielkich praw natury, który z góry wie, że w naturze musi być ład, jedność, najkrótsza droga do celu, a o tem tylko ten wie z góry, kto nad naturą widzi Stwórcę, a w naturze dzieło Jego mądrości. Otóż podobnym sposobem w historii człowiek, który nie zna Boga ni Opatrzności, może być pilnym badaczem, może skrzętnie materiały gromadzić, archiwa sumiennie przetrząsać, może wiele faktów sprawdzić, wiele fałszów historycznych sprostować — słowem może się prawdziwie historii przysłużyć; ale nie dojdzie do wyższej syntezy, nie stworzy epoki w dziejopisarstwie, jak tylko taki, co wierzy w Boga i Bożą celowość w historii uznaje. Racya ta sama co wyżej. Niech się więc Buckle nie skarży na zacofanie tej umiejętności, bo jeśli co syntetycznemu postępowi historii przeszkodzić może, to właśnie takie teorye negacyjne jak ta, co on stawia; niech nam nie mówi: że warunkiem umiejętnego rozwoju historii jest odrzucenie dogmatu Opatrzności, bo widzieliśmy wyżej, że uznanie Opatrzności takiemu rozwojowi bynajmniej nie wadzi, a teraz widzimy, że to uznanie jest właśnie najwyższą kierownicą tego rozwoju i warunkiem jego uwieńczenia. Niech historia prowadzi dalej swe sumienne i prawowite zapiski: wtedy się one w syntezę złożą, kiedy Bóg znowu wyśle na tę niwę geniusz oświecony wiarą.

X. *Maryan Morawski.*

KORESPONDENCYA NAUKOWA PUŁAW.¹⁾

Puławy wobec naukowego i literackiego ruchu. — Korespondencya księcia generała. — Słownik języka polskiego. — Bogumił Linde. — J. M. Ossoliński. — Dubrawski. — Początki ruchu słowiańskiego w Wiedniu. — Wpływ Polaków. — Ustanowa zakładu Ossolińskich.

Z przeglądu politycznej księcia generała działalności przekonujemy się, że nie posiadał przymiotów męża stanu. Nie może on się zmierzyć z ojcem i stryjem nie odziedziczywszy ciągłości ich wielkich myśli i planów — ustąpić musi pierwszeństwa synowi pod względem stałości przekonań i hartu woli. Do polityki, jak to często w listach swych wyznaje, czuje on w naturze odrazę, którą zwiększają ciągle niepowodzenia i wzmagające się nieszczęścia ojczyzny. Wbrew wrodzonemu usposobieniu, urodzenie i spuścizna domowej tradycyi odrywa go od zajęć naukowych i zadań cywilizacyjnych jemu właściwych, wyprowadza ustawicznie na tę arenę politycznych zapasów i stawia na świeczniku.

Narody nie żyją zawsze polityką i polityką wyłącznie, choć brakiem rozumu stanu i ducha politycznego upadać muszą. Któraż epoka, jakaż postać naszych dziejów wytrzyma krytykę, gdy do niej przyłożymy ten jeden tylko próbierz idei stanu? Tu i owdzie wskazać można chwilę, kierunek lub człowieka, który zdaje się zapowiadać, że ją z sobą niesie — lecz wnet ten człowiek, kierunek lub chwila mija, pochłonięta ogólnym prądem rozkładowym, którego przyczyn w psychologicznych wadach społeczeństwa,

¹⁾ Ustęp z obszerniejszego dzieła *Puławy* osnutego na materiałach archiwum rodzinnego Xx. Czartoryskich.

w przedwczesności swobód, błędach instytucyi, w zewnętrznych należy szukać wpływach, lub też w kombinacyi tych fatalnych stosunków. Z zakreślonej reformy, czy ją naznacza Batory z Janem Zamoyskim, czy podejmują starzy Czartoryscy, czy przeprowadzają twórcy konstytucyi 3 maja, zostaje tylko nowy zawód, nowe gruzy, a często większe jeszcze spaczenie, popychające tem spieszniej w bezdeń.

Są atoli dziedziny po za sferą państwową i polityczną, skąd tryska źródło życia cywilizacyjnego i duchowego — utrzymuje się i odradza nawet wtedy, gdy byt polityczny już pogrzebany. I gdy tam jedna chwila burzy to co wznieść zamierzali prawodawcy i reformatorowie, lub co okupione potokami krwi, ten posiew pracy duchowej nie ginie, nowe rodzą się siły i łańcuch pokoleń rozrywany ustawicznie pogromami i klęskami, wiąże się znów ogniwami myśli, ducha, obyczaju, literatury i sztuki, nauki, wiary.

Pomiędzy Polską przeszłości a Polską przyszłości w pierwszych czasach porozbiorowych byłaby przerwa, gdyby po epoce literatury stanisławowskiej, nie była nastąpiła epoka, którą śmiemy nazwać puławską.

Naród cały wpadł w prostracyą w chwili katastrofy. Po długich konwulsjach konania nastąpiła jakby ulga letargu. Aktom homagiów austryackich we Lwowie, pruskich w Warszawie i Poznaniu, rosyjskich w Wilnie i na Wołyniu towarzyszą objawy niemal radości, a do cesarzowej Katarzyny piszą pokorne listy już nie sami Targowiczanie, bo oni doznali zawodu, ale ci właśnie, którzy usprawiedliwiać się muszą iż polityki rosyjskiej niepopierali. Dobrowolne akta upokorzenia są tylko objawem zupełnego zwątpienia.

Patryotyzm porozbiorowy budzi się wnet i ma dwie księgi: jedna bohaterska, którą po Kościuszcze zapisują naczelnicy legionów, druga pokojowa zapisana dążeniem do duchowego i cywilizacyjnego odrodzenia.

Tę drugą księgę niedość dotąd badano, i utarło się mniemanie, że między epoką literatury stanisławowskiej a epoką mickiewiczowską była próżnia, a odrodzenie wyszło z Wilna i pro-

wincyi ruskich rewolucyą duchową, która wybuchła siłą samego natchnienia, bez żadnego poprzedniego przygotowania. Jak w przyrodzie tak i w świecie ducha hipoteza o generacjach spontanicznych nie da się udowodnić, bo jej przeczą fakta i badanie przyczyn i początków. Był niezaprzeczenie zaraz po rozbiorach silniejszy ruch naukowy i większa nad wychowaniem młodzieży piecza w wschodnich dzielnicach niż w samej stolicy, a nie pozostało to bez rezultatów i przeważnego wpływu na młode pokolenia. Były także w życiu towarzyskiem i w literaturze pierwiastki, jakby przeczucia nowego kierunku.

Gdy już w Warszawie nie było króla i dworu, Puławy zastępują dwór Stanisława Augusta co najmniej z równym wpływem na rozwój nauk, uprawę sztuk i piśmiennictwa, a z większym skutkiem społecznym i pożytkiem moralnym.

Puławy znamy dotąd wyłącznie z pamiętników i opowiadań starców, co tam młodość wśród zabaw wesoło spędzili, i z artystycznie, ale nieco konwencyonalnie i na pamięć kreślonych opisów. W tych tradycjach i wspomnieniach przedstawiają nam się Puławy ze strony kobiecej, salonowej i powierzchniowej, jako mały Wersal lub sielankowe Trianon przeniesione na wieś polską, pełne wykwintności i smaku a galanterya i idylliczność łączą się tutaj w wdzięczny i powabny obraz w rodzaju Vateau, w stylu Delila, La Harpa i romansów pań Cottin i Geulis. Domek gotycki i świątynia Sybilli wzbudza podziw dla dostojnej gospodyni Puław, która gromadząc pamiętki narodowe i dzieła sztuki, wznieca pierwsza w kraju ich zamiłowanie i znawstwo.

Postać gospodarza zamku schodzi w dotychczasowych opisach w cień. Nie ubliżymy galanteryi i czci należnej dla niezaprzeczonych zasług księżny Izabelli, jeśli pierwsze tu i ważniejsze miejsce przyznamy księciu generałowi.

Jeden z najgorliwszych niegdyś członków komisji edukacyjnej, organizator szkół na Wołyniu, twórca i kierownik słynnej szkoły rycerskiej kadetów — wszechstronnie wykształcony, w ciągłej pozostający styczności ze światem naukowym europejskim i mający świadomość o jego postępach i zdobyczach — nie uzna-

wał się uwolnionym od tych obowiązków i zadań, gdy przestała istnieć komisya edukacyjna — ba, gdy runęła Rzeczpospolita.

Nikt podobno dotąd nie zajrzał do kancelaryi księcia, która bez przesady rzec można, zamienia się w rodzaj ministerstwa oświecenia, z wydziałem dla stosunków naukowych z zagranicą, nikt nie otwarł tej rozległej jego korespondencyi, która zaiste przekonać zdolna, ile w ten wir światowy, jaki go otaczał, książę wnosił poważnych myśli, prac i zadań; które mogą zaświadczyć, że po upadku kraju nie wziął rozbratu z tem, co było niegdyś myśłą przewodnią w pracach komisji edukacyjnej, w dziele reformatorów wielkiego sejmu, pozostał takim, jakim był wówczas, gdy formował młodzież do rzemiosła rycerskiego w szkole kadetów, że dla tych patryotycznych i cywilizacyjnych zamiarów i celów szukał środków zastosowania w danych warunkach.

Po za urokiem towarzyskości i przymiotami zewnętrznymi, na których ograniczało się dotąd uznanie dla Puław i dostojnych Gospodarstwa, było tam coś więcej, była najpierw głębsza w księciu niż u kogokolwiek z współczesnych nauka, chwytająca każdy postęp u obcych, aby go stosować u siebie, była wytrwała, poważna i konsekwentna usilność, był rozumny plan w tej cywilizacyjnej akcji, była zwłaszcza miłość, wyszukująca młode talenta i narzucająca się im z pomocą i radą, bezgraniczna ofiarność, cześć przeszłości i wiara w przyszłość. Brać na karb księcia generała to wszystko, z czem się do niego odnoszono, do czego przykładął hojną i pomocną rękę lub roztrofną radę, co w Puławach znachodziło swój punkt środkowy, byłoby przesadą i jednostronnością. Pokolenie, które wydało mężów, jak Tadeusz Czacki, J. M. Ossoliński, Jan Potocki, Niemcewicz, Sniadeccy, musiało pozostawić po sobie wybitne i trwałe ślady w duchowej kulturze kraju, ale trudno nie uznać, że nie jedna z tych sił byłaby w odosobnieniu zmarniała, gdyby nie Puławy, które stały się punktem jednoczącym Wilno z Krakowem, Warszawą, Lwowem i Krzemieńcem.

Będziemy mieli sposobność w dalszem opowiadaniu zaznaczyć się ze składem i charakterem tego nowego ogniska literatury, które lubo trzyma się dawnych reguł i klasycznych form,

i często wpada w sielankową tkliwość i sentymentalizm patryotyczny, nabiera z wolna większej swobody, zwraca się do lepszych wzorów lub czerpie z tradycyi narodowej, z ust ludu i z natury.

Możnaby powiedzieć, że już w epoce czteroletniego sejmu, pod wpływem rozbudzonych uczuć patryotycznych i nowszych pojęć reformy społecznej, rozdziela się świat literacki Warszawy na dwie szkoły i dwa obozy. Kiedy Krasiecki i Naruszewicz milkną i schodzą z pola — Węgierski pozostaje nadwornym poetą i szambelanem królewskim — Trembecki pójdzie opiewać Zofjówkę — przerzedzone szeregi po ostatnim rozbiorze obwarują się w obozie pseudoklasycyzmu w nieudolnem naśladownictwie naśladownictw — a Osiński, Dmochowski *e tutti quanti* bronić się będą do ostatka przeciw wszelkiej nowości. Zasłużony pracownik biskup Albertrandy złamany wiekiem nie zdoła po utworzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk, skupić tyle sił do jakiejś wspólnej pracy i poruszyć Warszawę z застоju, na który się często skarżą uczeni korespondenci puławscy.

Gdy taka martwota naukowa i literacka w stolicy, Woronicz nastroi swą jeremiaszową lutnię w Puławach — tam pójdą Karpiński i Książnin śpiewać o Bogu i ojczyźnie, tam Niemcewicz znajdzie źródła do dziejów Zygmunta III. i pobudkę do śpiewów historycznych. Zabłocki z Puław zasilać będzie teatr polski, idąc o lepsze z księciem jenerałem. Franciszek Morawski z poetów klasycznych najbardziej do romantyków zbliżony, w Puławach będzie najpierw zbierał laury Marsa i Apolina. Z Puław Zorjan Chodakowski podejmie wyprawę dla zbierania pieśni gminnych i pierwszych studyów starożytności słowiańskich. Bogumił Linde za sprawą księcia jenerała i pod jego kierunkiem układać będzie słownik, na szeroką, prawdziwie naukową miarę. Czacki, Ossoliński, Sniadeccy, Grodeck tu będą mieli punkt zborny. Nawet młody Lelewel od księcia jenerała dozna pierwszej zachęty. Wychowanka Puław, Klementyna Tańska, pójdzie za wzorem księżny Maryi Wirtemberskiej i wnet prześcignie autorkę Malwiny. Wychowaniec także Puław, Bernatowicz pierwszy w Polsce stworzy romans kroju Waltera Scotta, a za nim pójdzie o wiele młodszy ale wykarmiony tradycyami puławskimi Dominik Magnuszewski.

Przytoczone nazwiska, z którymi bliżej niebawem się zapoznamy, wystarczą, aby naznaczyć różnicę kierunku Puław od kierunku Warszawy, by pojąć, że tu w nauce są przygotowania i podwaliny, a w literaturze i poezyi przejście i przeczcucie nowego odrodzenia, które zejdzie z posiewu kuratoryi szkół na Litwie i Wołyniu.

Obok gromadzenia ludzi i rodzaju akademii literackiej, artystycznej i naukowej — widzimy tu początki *muzeum* pamiątek narodowych, dzieł sztuki i biblioteki gromadzonej z hojnością monarszą. Wiadomo, że książę generał jeszcze w r. 1786 przedłożył komisji edukacyjnej plan utworzenia muzeum narodowego, na co jednak nie było dość w kraju zrozumienia, gorliwości i znanstwa. Teraz zbiory te po dwukrotnych rabunkach przez Kozaków, gromadzi księżna, z chwalebłą usilnością, ale i z gorliwością niekiedy bezwzględną. Zważył jednak należy, że były to czasy, kiedy zdawało się, że wszystko sprzysięgło się na zaturę wszelkich zabytków. Księgozbiory, jak Załuskich, wywiezione z Warszawy, wojna niszczy to, co przechowane w rezydencyach pańskich i dworach szlacheckich. Spaczony smak wieku samych nawet znawców zamienia w destruktorów. Bandtkie niszczy i wyrzuca z biblioteki jagiellońskiej stare wolumina z odrazy do scholastyki, x. Łopacki wielkim nakładem rujnuje kościół Panny Maryi w Krakowie, aby w nim o ile można zatrzeć gotykę, a za jego przykładem wszędzie mnożą się wandalizmy. Pogarda dla tego, co pozostało z innej epoki i nie nosiło piętna chwilowych pojęć estetycznych, lekceważenie pamiątek przeszłości wraz z indyferentyzmem religijnym udziela się nawet duchowieństwu. Co gdzie indziej duch zaboreczy, o w Galicyi dokonuje duch józefinizmu, znosząc klasztory i zamieniając kościoły w magazyny wojskowe. Czyliż wspomniawszy te czasy gorszyć się będziemy, że w Puławach i w Porycku gromadzono to wszystko co tylko uratować się dało, a choć tam także te same panują pojęcia estetyczne epoki, miłość rzeczy ojczystych i dawnych zabytków, sentyment patryotyczny niczego nie odrzuca, wszystko gromadzi, dodając do pamiątek narodowych coraz to bogatsze nabytki zagraniczne, sprowadzane pakami za pośrednictwem korespondentów naukowych z Niemiec, Francyi i Włoch.

Zabawa tam nawet każda miała wyższy nastrój, a nie należy

tęgo lekceważyć i sądzić, że tam już nie ma zasługi, gdzie życie schodzi gwarno i wesoło. Obok cywilizacyjnego wpływu była tu także myśl społeczna.

Możnowładztwo polskie w przedrozbiorowym ustroju nie miało wyłącznych prerogatyw, ale doszło do przewagi i potęgi wyłącznie popularnością, jednaniem szerokiej klienteli. Po nad fałami równości szlacheckiej sterczały tu i owdzie sztandary polityki wielkich rodów i powstał nowego rodzaju feudalizm, żadnem nie zagwarantowany prawem, ale wsparty na obyczaju i wzajemnym interesie. Panowie tyle znaczyli, ile na dane hasło podnosiło się za nimi szabel i padało kresiek na sejmach i sejmikach. Po rozbiorze ta podstawa interesu politycznego znikła — szlachta potrzebowała jeszcze panów, ale panowie nie potrzebowali już jej kordów, wotów i kresiek. Zrywał się główny węzeł łączący dwie kierownicze warstwy, a prąd kosmopolityczny wiódł arystokracją na obce tory lub zamykał w wyłączności na modłę zagraniczną. Puławy dają początek nowej społecznej misji arystokracji polskiej. Książę jenerał, którego młodość sięga w czasy saskie — a umiał on ongi jednać wzięcie szlachty, skoro go chciała królem ogłosić na sejmiku w Sądowej Wiszni, choć jej nie jednał *czapka i papka*, i miał więcej może niż ojciec i stryj dar zdobywania popularności i umiał nazwać kilkanaście tysięcy braci szlachty po imieniu — teraz nie odsuwa się, ale otwiera dom na oścież, świadom tego, że największa fortuna, ani względy rządów, nie uchronią od upadku tych, którzy w własnem społeczeństwie staną się obcymi i nie zapuszczą weń głęboko korzeni. Klientela Puław nie jest już polityczną, bo polityka familii skończyła się jeszcze ze zgonem księcia wojewody ruskiego, nie jest możnowładczą w dawnem znaczeniu tego słowa, bo duch reformy przesiąknął całe społeczeństwo, a w Puławach od konstytucyi 3 maja znalazł główne swe siedlisko — klientela ta i ta popularność jest towarzyską, naukową, literacką. W tem dążeniu wspierany szlachetnym zapalem swej małżonki, książę umie nadać Puławom cechę europejską z zachowaniem i pielęgnowaniem ducha polskiego.

Kiedy za czasów Stanisława Augusta powstaje rozdział wędlny stroju i obyczaju, owa antiteza wąsów i peruki, kontusza

i fraka haftowanego, czyli typu staro-sarmackiego na prowincyi i typu cudzoziemskiego w stolicy, — w Puławach przychodzi do kompromisu i pojednania tych dwóch typów. Książę zachowuje strój francuski, ale kontusz tam także w wielkiem poszanowaniu, a cześć dla tradycyi i obyczaju narodowego nie prowadzi do wyłączości, owszem stara się przyswoić wszystko, co niesie z sobą cywilizacya.

Klucza do poznania zewnętrznej działalności i promieniującego na kraj cały wpływu Puław dostarczą nam teki z korespondencyą naukową księcia generała, przechowane w archiwum rodzinnem Czartoryskich. Pisywanie obszernych listów w poważnych materyach leżało w usposobieniu ówczesnej generacyi. I była tego głębsza przyczyna: wszczynał się coraz żywszy ruch umysłowy, rodziła się potrzeba ciągłej zamiany zdań, spostrzeżeń i projektów, a temu postępowi intelektualnemu nie odpowiadały jeszcze warunki komunikacyi i publikacyi. Któż dziś pisuje całe rozprawy w listach do przyjaciół? dawny dialog wyborowych mężów, zastąpiła doraźna rozmowa z publicznością. Każdy się spieszy rzucić na targ dziennikarstwa pierwszy, niedojrzały jeszcze pomysł w obawie, aby go ktoś nie uprzedził, odbywają się szermierki osobiste i stronnice często ze szkodą rzeczy, o którą chodzi. Przez ciągłe listowne obcowanie naukowych w kraju powag tworzyły się między niemi ściślejsze związki i pewna solidarność, a w korespondencyach w braku dziennikarskich świadectw szukać dziś jeszcze należy odbicia wyobrażeń, usiłowań, sporów i posiewów, z których część jakaś dojrzała w owoc a inna, jak to bywa w rzeczach i staraniach ludzkich, spadła czerwem.

Obszerne miejsce streszczeniu tej naukowej korespondencyi księcia generała postanowiliśmy w niniejszej wyznaczyć pracy. Niech sami przemawiają własnymi słowy mężowie trzymający wówczas ster w ruchu naukowym. Przesuną nam się grupami ludzie i kierunki. Streszczając wiernie z autografów zachowanych w archiwum książąt Czartoryskich, wybierzemy z nich ziarno choćby nawet i drobniejsze, odrzuciwszy tylko tę stylową plewę wzajemnej zamiany komplementów i odrzuciwszy także to, z czego już ułotnił się z czasem interes, bądź naukowy, bądź literacki, coby

było tylko nużącym powtarzaniem i omawianiem rzeczy skądinąd znanych.

* * *

Ułożenie słownika języka polskiego na wzór słownika akademii Richelieuego we Francyi, to jedna z przewodnich myśli, jaką od lat wielu pielegnował stary książę Czartoryski. Powraca do niej często w listach z różnej daty. Obok myśli muzeum pamiątek narodowych, obok projektu bibliografii polskiej, obok wydania dawnych kronik polskich lub zakładania czasopism jest ona jednym z kardynalnych punktów tego racjonalnie obmyślanego programu zadań, jakie miały stanowić fundament dla przyszłej budowli literatury i umiejętności w Polsce. Dla ratowania narodowości trzeba było przedewszystkiem uporządkować i zabezpieczyć ten jej główny skarbiec i arsenał, jakim jest mowa ojców.

Książę był filologiem i lingwistą, posiadał 17 języków i był nadto wielkim znawcą literatury i języka ojczystego. Niemalą nam zostawił tego świadectw w pismach drukowanych i w korespondencyach z przyjaciółmi.

Gdy nie powiodło się Czartoryskiemu skłonić warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk do wydawnictwa słownika polskiego, na szerszą i naukową miarę, zdołał on rozgrzać do tej myśli młodzieńca, posiadającego środki materyalne i odpowiednie zdolności, aby podzielić trud i zakład takiego przedsięwzięcia.

Z bardzo poważnego źródła, ale ustną tylko przekazującego tradycję, mamy piękny szczegół, którego stwierdzenia daremnie szukaliśmy w piśmiennych źródłach. Według tej tradycyi w Puławach zawiązała się gorąca przyjaźń między trzema młodzieńcami dostojnych rodów. Po kilkodziowym wspólnym pobycie w wysokim nastroju, jakim w tym przybytku pamiątek wszystko przejmowało podniosłe ich dusze, wśród rozmów o niedoli obecnej narodu i jego przyszłości, trzej szlachetni młodzieńcy w chwili uniesienia uroczyście poprzysięgli: całe życie poświęcić na usługę wspólnej sprawy, w którejkolwiek dzielnicy i jakichkolwiek los postawi ich warunkach — cnotą, pracą i wytrwałością dążyć nieustannie do polepszenia doli ojczyzny. Trzej ci młodzieńcy, którzy się

związali tą przysięgą, to: Adam Czartoryski, Tadeusz Czacki i Józef Maksymilian Ossoliński. Czy fakt ten zaszedł, kiedy on mógł nastąpić, skoro książę Adam niedorostkiem niemal opuszcza Puławę, a powraca z Petersburga już mężem stanu? pytanie to obojętne, skoro fakta i czyny okazują, iż mniemanej, czy istotnej dotrzyмали przysięgi. Z przechowanych korespondencyj poznajemy Ossolińskiego, gdy on bliżej obcuje w Wiedniu i w Galicyi ze starym księciem generałem i ulega jego wpływowi. Hr. Ossoliński należał do tej części arystokracji polskiej, która po upadku kraju, kiedy w Warszawie stołeczne ustało życie, schroniła się do Wiednia i otoczyła dwór cesarski. Młodzieniec ten możny i znakomitego rodu był już na torach wyłącznie światowych i kosmopolitycznych, kiedy zetknięcie się z rodziną Czartoryskich w Wiedniu, kilkakrotne następnie odwiedziny w Puławach zwracają jego ambycyą ku rzeczom ojczystym i przedmiotom naukowym. Idąc za przykładem Puław i Porycka zabiera się do gromadzenia księgozbioru, zaczyna studyować dzieje polskie i pisać w tym kierunku, podziela zwłaszcza ów dawny projekt księcia przygotowania i wydania słownika. Pomysł wchodzi w życie, gdy książę odkrywa odpowiedniego pracownika do tak mozolnego zadania. Poszukiwania trwają dość długo, zrazu jest mowa o Kopczyńskim, ale jego gramatyczne nowatorstwa nie budzą zaufania dwóch mecenasów. Niegdyś książę w czasach komisji edukacyjnej znajdował pomocników wśród uczonych francuskich. Obecne pokolenie młodzieży polskiej wzrasta nie do pióra lecz do oręża, gdy już powiał duch legionów. Wśród Niemców więc szuka Czartoryski pracowników naukowych: i nie zawodzi się w wyborze, Groddecka sprowadza do nauk filologicznych, Bogumiła Lindego zaprzęga do pracy około słownika.

Bogumił Linde urodził się w Toruniu 1771, ojciec jego, z rzemiosła ślusarz, pochodził z Szwecyi, ale młody Linde otrzymał wychowanie niemieckie na uniwersytecie lipskim, tam zaczął pisać swe pierwsze rozprawy i tam zetknął się z Weissenhofem, Ignacym i Stanisławem Potockimi i z Niemcewiczem, a ponieważ z Torunia wyniósł nieco znajomości języka polskiego, używali oni go do tłumaczeń rzeczy polskich. Za sprawą Ignacego Potockiego

przybywa po raz pierwszy Linde do Warszawy, podczas powstania w r. 1794.

Rzecz dziwna zaiste, że ten który miał badać najgłębsze tajemnice mowy polskiej, pochodzenie słów, ich odmiany i odcienie, prowincjonalizmy, zbierać wyrazy przechowane w ustach ludu, oznaczać daty, gdy słowo jakieś wchodzi do języka literackiego, przykładać do filozofii mowy polskiej miarę porównawczą obcych języków, śledzić jej pokrewieństwa z słowiańskimi narzeczaniami, — nie był Polakiem. Języka polskiego nie posiadał od młodości, uczył się go dopiero przystępując do dzieła, a do końca życia zachował niemiecki akcent i nie zdołał przełamać wszystkich trudności wymowy polskiej.

Wybór okazał się szczęśliwy, a Linde obok niezmordowanej, prawdziwie niemieckiej ścisłości w pracy i pedantyzmu, przyniósł do żmudnego zadania sumiennosc z prawego płynącą charakteru. Z nader sympatycznej strony przedstawia nam się osobistość Lindego w korespondencji z księciem jenerałem, która się zawiązuje w r. 1801. Lubo książe zbliżył Lindego z Ossolińskim i zachęcił do wspólnych pieniężnych na wydawnictwo ofiar, oraz do udziału naukowego, od dzieła się nie uchylił, owszem naczelne kierownictwo tego przedsięwzięcia z wielką gorliwością, do końca spełniał. Czartoryski wraz z Ossolińskim zawierają ugodę i spisują formalny kontrakt, zapewniający Lindemu pensją na owe czasy dość wysoką 2000 guldenów, aż do ukończenia dzieła. Zobowiązują się nadto dostarczyć funduszów na samą publikację, za pomocą zbierania prenumeraty. Z narady wypływa, że najodpowiedniejszym miejscem dla przygotowawczych studyów jest Wiedeń, gdyż zdaniem księcia, by zbadać język polski u źródła, trzeba poznać języki słowiańskie, a do tego najlepsza w Wiedniu sposobność. Lęka się nadto książe „bałamutnych wpływów gramatykarzy i pseudouczonych warszawskich, którzy coraz większe sprowadzają zamieszanie w pojęciach i skażenie języka“. Zresztą w Wiedniu przeważnie przebywa Ossoliński, a książe jenerał częstym tam gościem.

Linde odwołuje się ciągle do rad księcia w kwestyach języka, znaczenia różnych wyrazów i nalega, aby mu dostarczono

pomocnika „tęgiego Polaka, bo ja czuję, że to przecież nie mój język ojczysty“. Znać z listów, że stosunek z Ossolińskim coraz ściślejszy, nazywa go Linde: „mój hrabia“, ale często narzeka, że „hrabia zbyt zaprzątnięty sprawami familii i majątku, procesem z panią Worcelową, życiem światowem, a zwłaszcza biblioteką mało mu przynosi pomocy“. To znów chwali w nim „miłość rzeczy ojczystych i znajomość ich gruntowną“. Ossoliński, wyjeżdżając z Wiednia 1801, do Lwowa i Puław, zostawia w rękach Lindego testament, którym ustanawia księcia jenerała i jego sukcesorów kuratorem biblioteki. Za namową księcia, Linde bierze się do studyów słowiańskich. „Już przestudyowałem dyalekta: raguzański, kroacki, dalmacki, sklawoński, teraz się biorę do bośniackiego i do różnych odcieni ruskiego: tego, którym mówią koło Przemyśla i tego, którym mówią na Ukrainie, Wołyniu itd.“.

Ztąd styczność z uczonymi słowiańskimi, na co książę w każdym liście nalega. Do Wiednia podówczas przybywa uczony, którego dotąd tylko nazwisko słowiańskie. „Spotkałem, pisze Linde, w bibliotece cesarskiej uczonego saskiego, który się nazywa Dubrawski, a nazwisko słowiańskie ma ztąd, że się urodził w Dużyczach nieopodal Drezna, gdzie są jeszcze gminy Wendów, pisuje on do gazety wychodzącej w Jena, a uniwersytet jeński wysłał go dla poszukiwań w archiwum w przedmiotach historycznych i filologicznych“.

Książę miał tę naturę, że nie mógł usłyszeć o jakimś badaczu, aby z nim nie szukać zetknięcia. Pisze więc do Dubrawskiego na ręce Lindego, namawia go, aby się oddał lingwistyce słowiańskiej i zwraca jego uwagę na starożytne zabytki języka czeskiego. Linde odpowiada w zastępstwie Dubrawskiego, „tłumaczyłem mu list księcia, bo Dubrawski nie rozumie po polsku, a źle po czesku; mimo to rady WKMości trafiają mu do przekonania i obiecuje zająć się sprawami dawnych Czechów“.

Stosunki z Dubrawskim przedłużają się, pisuje on jeszcze wyłącznie po niemiecku i pisuje do niemieckiej gazety w Jenie, ale gdy równocześnie Jan Potocki przebywający w Wiedniu inauguruje tam nietkniętą dotąd naukę porównawczej filologii słowiańskiej i w tym celu podejmuje liczne podróże, ogłasza mnóstwo

rozpraw będących dziś rzadkością bibliograficzną dla nielicznych egzemplarzy wydania. Dubrawski idzie za tym popędem i tak się zapala do starożytności słowiańskiej, że wnet Potockiego prześciga i z nim polemizuje o niektóre szczegóły.

Z księciem Czartoryskim osobiście się zaznajamia i tak ulega urokowi jego obcowania, że pod tym wpływem pisze szereg listów o literaturze polskiej i drukuje je zawsze w niemieckiej gazecie jeńskiej. Listy te, przedrukowane jako rozprawa w zbiorowym wydaniu dzieł Dubrawskiego, podpisuje autor pseudonimem „*Polofil*“, a treść pełna sympatii dla naszego narodu usprawiedliwia ten pseudonim, świadczy o tem także i ten szczegół, że Dubrawski z pośród licznych tytułów naukowych pod swoim imieniem na pierwszym miejscu kładzie tytuł członka Towarzystwa przyjaciół nauk warszawskiego. Szczegóły tego zbliżenia wydobywamy z korespondencji Lindego; czyni także wzmiankę o stosunkach z Dubrawskim Jan Potocki. Dubrawski lubo pisał po niemiecku, położył kamień węgielny pod budowę odrodzenia na drogach nauki i piśmiennictwa narodu, skazanego na zagładę od wojen husyckich i bitwy pod Białą Górą — narodu, w którym wygasła wszelka iskra życia, a świat cały miał go za umarłego. Za przykładem Dubrawskiego pójdą w Czechach Szafarzyk i Hanka, a w Chorwacyi Kolar, oni pobudzą swemi badaniami młodszą generację uczonych i pisarzy narodowych, ten zastęp patriotów czeskich, który przed r. 1848 mógł o sobie powiedzieć zgromadziwszy się w jednym pokoju, że gdyby runął sufit, przywaliłby wraz z nimi całą przyszłość narodową Czech.

Dubrawski, Szafarzyk, Hanka i Kolar prześcignęli w badaniu starożytności słowiańskich uczonych polskich, ale godzi się przypomnieć, z kąd padła pierwsza iskra i pierwsza podnieta. Rzucili ją na samym początku stulecia dwaj polscy uczeni: książkę Czartoryski i Jan Potocki. Czy brali tylko stronę naukową, czy obejmowali doniosłość polityczną i narodową kwestyi słowiańskiej, — bądź co bądź oni to pchnęli w tym kierunku pobratymców i dali ten popęd słowiański, który następnie, przyznać to trzeba, Polacy niedość pielegnowali i z nim się łączyli. Gdyby ta inicjatywa nie była tylko doraźną i indywidualną, ale gdyby

była zbiorową i wytrwałą, stanowisko nasze wśród zachodniej słowiańszczyzny stałoby się o wiele silniejsze. Ruch naukowy czeski tak spieszenie się rozwija, że wnet język przechowany w ustach ludu, a tak zbliżony do mowy polskiej z epoki piastowskiej, wydaje z siebie literaturę, staje się książkowym, choć mu zawsze braknie tej siły i piękności, jakie językowi polskiemu nadał rozkwit złotego wieku Zyguntów. Da on się porównać do wykopaliska z bardzo oddalonej i pierwotnej epoki, do starożytnego zabytku, mającego służyć do użytku dzisiejszego. Jednostki w Polsce za przykładem Czartoryskiego i Potockiego objawiają sympatyę dla ruchu czeskiego, ale Polacy niedość zajmują się innymi plemionami i narzeczami pobratymczymi, a tymczasem Czesi rozwijają cywilizacyjną działalność i gdy my zaniedbujemy to pole, oni narzucają pisownię czeską Morawianom i Słowakom węgierskim, lubo mowa tych plemion dużo bliższa polskiej niż czeskiej. Nie czynimy stąd zarzutu Czechom, owszem pełne dla ich wytrwałości i dzielności uznanie, ale my nie jesteśmy tu bez winy, choć nam przypada zasługa i zaszczyt pierwszej pobudki do odrodzenia narodowości słowiańskich, zachodnich. Gdy ten posiew zaczął kiełkować, książę Czartoryski z żywym zajęciem zwracał się do tych objawów literatury pobratymczej, które jeszcze nie wyszły po za obręb indywidualnych zachodów kilku pisarzy. Tę sympatyę dla ruchu czeskiego i innych Słowian przekazał książę generał tym, co wzrosli pod jego wpływem. Książę Henryk Lubomirski, wychowujący się podówczas w Wiedniu w domu księżnej marszałkowej, przejął tę dążność od księcia generała, stwierdził ją, jako kurator biblioteki Ossolińskich, gdy Czesi zakładali muzeum narodowe w Pradze, gorącym poparciem tej instytucji a przekazał znów w rodowej tradycji te uczucia synowi, Jerzemu.

Ta dążność księcia generała do zbliżenia się i wzbudzenia pewnej solidarności, do ściślejszych stosunków na polu naukowym i zamiany wzajemnych zdobyczy oddziaływała także na koła literackie polskie. Zwłaszcza we Lwowie, gdzie wpływ księcia był bliższy, wielu z młodych pisarzy zabrało się do tej *terra incognita*, jaką dla Polski dotąd była Słowiańszczyzna.

W dalszem opowiadaniu poznamy bliżej charakterystyczną a niedość ocenioną postać Zorjana Chodakowskiego, za nim pójdą młodszy pisarze, jak Wacław z Oleska, zbieracz legend i pieśni gminnych, bracia Borkowscy, August Bielowski i Lucyan Siemieński, tłumacze rękopismu Królodworskiego i wyprawy Igora na Połowców.

Nastaje chwila egzaltacji słowiańskiej, mająca swój punkt kulminacyjny w r. 1848. Adam Rościszewski dla sprawy słowiańskiej i czeskiej poniesie ofiarę pracy i mienia. Lecz rzecz charakterystyczna, iż wszyscy co sprawą słowiańską w Polsce się zajmują, występują jako adwokaci i protektorowie przeciw zbyt częstym uprzedzeniom opinii. W naszych stosunkach ze Słowianami zachodnimi zamało wzajemności, zamało starania, aby zapewnić wpływ Polaków i odpowiednie naszemu rozwojowi cywilizacyjnemu stanowisko w tym koncercie ludów pobratymczych — lecz albo małoduszne uprzedzenia i lekceważenie tego ruchu, albo reakcja jednostek, które znów przejmują się wyłącznie sprawą Czechów jakby własną. Z bogatego skarbcza rzucamy tam hojne ofiary, ale nie staramy się o zasilenie tego skarbcza tem, co tam wyrasta często z naszego posiewu.

W tym stosunku bywa jakaś wyniosłość i wspaniałomyślność nie zawsze usprawiedliwiona, bo jeśli prawda, że literatura polska góruje po nad innemi co do jakości, to ilością, darem propagandy, pobudzeniem i wciągnięciem wielkich mas ludu Czesi nas o wiele prześcignęli.

Lecz wróćmy do tej chwili, kiedy mecenas polski z okazji słownika polskiego namawia pierwszego uczonego czeskiego, aby się po czesku nauczył. W domu Lindego w Wiedniu, gdzie książę i Ossoliński częstymi gośćmi byli, tworzy się pierwsze ognisko słowiańskie. Trafiając w myśl swego protektora Linde donosi: „Krainczyki wystosowali do mnie adres i ogłosili go w gazecie berneńskiej. Nie nowina spotkać u mnie Czechów, Krainczyków, Dalmatów i t. p. Jedyne miejsce do mojej pracy — Wiedeń, tak co do ludzi, jak co do książek i druków. Gdzież bym dostał tytuł dzieł do rozmaitych dyalektów? Warszawa mił-

czy i nic nie pomaga. Jedynie podtrzymują mię: opieka i ciągłe dobrodziejstwa księcia, pomoc i serce Ossolińskiego“.

Do pracy zabiera się jednak z rosnącym zamięłowaniem. „Co za prześliczna litera S, pisze, ale najtrudniejsza, szkoda, że zabałamucona z Z.“ To znów przy literze R dowiadujemy się, że „ramota“ pochodzi od rosyjskiej „hramoty“.

W r. 1802 donosi Linde, że „słownik na ukończeniu; rozpoczęty druk kosztować będzie 10,000 złr. ze względu na drogosc papieru i rozmaitosc druków. Z tych 2000 złr. daje Ossoliński, drogi, kochany mój hrabia, 1000 hr. Worcelowa, skutkiem ugody w procesie z Ossolińskim, coś się uzbiera z prenumeraty, aby reszta nie spadła wyłącznie na JWXięcia“.

W liście z 13 kwietnia 1803 skarży się Linde najpierw, że spotkał go jakiś nieszczęśliwy przypadek, następnie na zmienność Ossolińskiego: „słowa jego — wiatr, obietnice — dym. Żli ludzie starają się zepsuć serce do mnie tego skądinąd znakomitego i szlachetnego męża“. Linde komunikuje księciu listy Staszycy i Czackiego, którzy go wzywają do Warszawy i pyta „czy drukarnie warszawskie są opatrzone dostatecznie w pisma hebrajskie, greckie, cyrylijskie, głagolickie, moskiewskie, czesko-gockie? we wszystkim tem przebierać w Wiedniu i tu to mnóstwo słowian rozmaitych dyalektów do korekty, do porady“. Poddaje się wyrokowi księcia, czy drukować w Warszawie, czy zostać w Wiedniu.

Wiedeń w wrześniu 1803. Linde dziękuje księciu za słowniki rosyjskie i księgi nadesłane, z Warszawy żadnej pomocy pieniężnej i literackiej, natomiast JW. Seweryn Potocki obiecuje wyjednać pieniądze z krajów zabranych. „Hrabia (Ossoliński) zabiera się do swego Zygmunta i biblioteki, a mnie popiera: trzeba go podgrzewać, a tem są listy księcia“. Wreszcie Linde decyduje się przenieść do Warszawy, a okolicznością, która w tem postanowieniu przeważała, że rząd pruski ofiaruje mu tam posadę profesora przy liceum, co ze względu na zapewnienie bytu rodziny nie jest do odrzucenia.

Z Warszawy też już datowany list 17 stycznia 1804. „Odpowiedź księcia co do liceum z duszy mi wydobyta. Księgarz lipski Heyn, szwagier Göschena, proponuje wziąć na siebie wyda-

nie, a drukować w Warszawie“. Książę Adam w Petersburgu przedłożył cesarzowi plan dzieła, Aleksander I. przeznaczył 500 dukatów, o czym książę Adam zawiadomił Lindego, dodając: „*pour votre encouragement*“. Linde wyraża wdzięczność księciu za tyle dobrodziejstw, których doznaje od całej rodziny i pisze: „Brzmia mi w uszach słowa księcia: Linde! wydawaj! publikuj! biada, że w Warszawie brak książek“.

Wypadki wojenne przerywają wydanie i korespondencyą. Wnet jednak cyfry kosztorysu wzrastają, oblicza je Linde w liście z Warszawy 20 grudnia 1804 na 15.000 talarów. „6000 papier, 5000 druk, 4000 druki zagraniczne; na to zebrano wraz z sumą imperatorską 5000 talarów, które u bankiera Küstla złożyłem. Bentkowski kolaborator liceum podjął się korekty, 4 tal. od arkusza. Równocześnie wyjdzie podręczny słownik. Kopeczyński powiedzia! na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk mowę znakomitą o duchu języka. Profesor poznański Kaulfuss wydał dziełko cenne: „*Ueber den Geist der polnischen Sprache*“. JW. Stanisław Potocki mocno się bierze do popierania dobrych dla Polaków widoków. 2 stycznia będzie obchód publicznego otwarcia naszej szkoły, które JW. minister mową polską zaga!“.

Minister pruski Voss w piśmie pochlebnem przeznacza Lindemu na rzecz słownika 300 tal. Książę generał zaś z listem zaszczytnym przysyła od siebie 4000 talarów, jako prenumeratę na 133 egzemplarzy słownika.

Warszawa 15 czerwca 1808. „Pierwszy tom w druku, na ukończeniu, arkusze posyłam. Za granicą u Niemców, Czechów, Słowian uznanie: przesłała mi je w bardzo pochlebnych wyrażach Akademia pragska, minister westfalski, Müller. Wśród rodaków mała tylko garstka się interesuje. Litwę i zabrane kraje potrzebaby zachęcić do prenumeraty, a tego dokonać tylko może najłaskawszy książę. Mozoła nad siły, a pamiętać trzeba, że pi-szę słownik, nie encyklopedyą“.

Ossoliński niezadowolniony, że utracił tak dzielnego w rzeczach naukowych pomocnika, skarży się w liście do ks. generała, „że Linde go opuścił, przyjąwszy od Prusaków rektoryum gimnazjum w Warszawie z 1200 tal. pensyi. Chwali jego gorliwość

i naukę i nie wątpi, że i tam będzie użyteczny, ale się lęka przerządzenia uczonych warszawskich w sprawach słownika". Gdy już powiodło się wspólnym zachodem księcia i Ossolińskiego zebrać znaczny fundusz na wydanie słownika, jakkolwiek charakter Lindego wzbudza obu mecenasów zaufanie, potrzeba jednak zabezpieczenia tego kapitału wobec innych dawców. Wtedy to postanowiono złożyć te sumy u bankiera, a w miarę postępu druku pokrywać koszt nakładu.

Wreszcie ziściło się dawno żywione w umyśle księcia dzieło. Druk słownika, przerywany tylokrotnie wypadkami, dochodzi do skutku w r. 1810. Na pierwszej karcie umieścił Linde dedykację dla księcia Czartoryskiego, na drugiej dla hrabiego Ossolińskiego. Pomnikowe to dzieło połączyło na zawsze zasłużone imiona dwóch mecenasów.

Po skończeniu dzieła Towarzystwo przyjaciół nauk urządza dla Lindego huczną biesiadę; gdy krążą kielichy z toastami, Stanisław Staszyc w gorącej mowie rzuca myśl wzniesienia pomnika w Warszawie dla największej chwały naukowej narodu naszego, dla Kopernika, i na uczcie rozpoczyna się na ten cel pierwsza składka.

Wspólne starania w sprawie słownika coraz bardziej zbliżają Ossolińskiego do Puław. Coraz gorliwiej zajmując się zabezpieczeniem na wieczyste czasy biblioteki, którą zamierza oddać na użytek ogółu, pisze testament, wspomniany już w listach Lindego i zapytuje księcia, ażali w swoim i w swych sukcesorów imieniu przyjmie i pod jakimi warunkami kuratorją zakładu.

Książę propozycją przyjmuje, za co Ossoliński składa następującym listem podziękę:

Wiedeń 5 września, 1803.

„Niosę JO. Xięciu Dobrodziejowi najprawdziwszej wdzięczności podziękowanie za to, żeś raczył przechylić się do układu względem biblioteki mojej. Ułatwiasz mi książę łaską swoją wykonanie najgorętszej mej chęci, żebym przecież jaką dla mego kraju zostawił pamiątkę. Projekt ustawowy niektórym konsyliarzom pokazałem. Nie przewidują oni trudności w otrzymaniu

aprobaty. Kopie transakcyi mam honor WXMości przesłać. Nie obejdzie się wszakże bez aprobaty agnatów najbliższych z ustawy ordynacyi“.

J. Ossoliński.

Znać atoli, że okazały się niebawem nieprzewidywane trudności: Ossoliński fideikomis kuratoryi chciał oprzeć na dziedzicznym majoracie, a czyniąc to z niezmierną przezornością, naznaczał cały szereg agnatów. Gdy nie postępowała sprawa ustanowienia ordynacyi z Sieniawszczyzny, Ossoliński wchodzi znów w układy z ordynacją Zamoyskich, aby z nią połączyć kuratoryę; rzecz się przewleka, a skutkiem wojny 1809 r. Lubelskie odłączone od Galicyi, przyłączone do Królestwa. Książę jenerał skłania Ossolińskiego, aby zawarł ugodę z ks. Henrykiem Lubomirskim, przekazując jego spadkobiercom kuratoryą, z warunkiem atoli utworzenia Ordynacyi Przeworskiej.

Lud. hr. Dębicki.

HORWACI W DALMACYI.

...Etenim cum hostilia tela, uti diximus, potissimum ab historia peti solent, oportet ut aequis armis congradiatur Ecclesia, et qua parte oppugnatur acrius, in ea sese ad refutandos impetus majore opere muniat (Ep. SS. D. Leonis XIII. 18 aug. 1883).

Wielką przyszłość rokował gród nad Bosforem: potęga Rzymu i kultura Aten podały w nim sobie dłonie. Wzniesiony przez wielkiego Konstantyna, sprzężystemi nadany prawami, rozrósł się na siedmiu pagórkach, zgromadził w murach swoich bogactwo, nauki i cuda świata; a kiedy stary Rzym upadał pod ciosami coraz to nowych barbarzyńców, nowy Rzym spokojnie kąpał cienie wzniosłych Sofij, marmurowych pałaców, misternych pomników w lazurowych wodach swego „złotego rogu“.

Nowa jednak stolica świata nie odpowiada swemu posłannictwu. Myśl chrześcijańska nie przoduje tam ani w ustroju społecznym, ani w dziedzinie umysłowej, ani w życiu codziennem. Niema tam mieszkańców, ale niewolnicy (*δουλοι*); władca nie jest ojcem, lecz despotą (*δеспότης*), panuje nietylko nad życiem, ale nad mieniem i sumieniem swych poddanych. Umieją schlebiać i płaszczyć się, nie umieją poważać i zachować osobistej godności.

Jedyne to państwo chrześcijańskie, które się splamiło tylu morderstwami swych panujących. Kilkudziesięciu cesarzów przez wygnanie, więzienie i zabójstwo padło ofiarą motłochu ulicznego i spisków dworskich! Prawda i to, że władcy bizantyjscy nie

stali na wysokości swego dostojęstwa; jakże wielu z nich pychą i okrucieństwem, rozpustą, wiarołomstwem a nawet pijaństwem skaląło swoją koronę! W całym tem tysiąco-leciu zaledwie kilka imion godnych monarszego tronu: Pulcherya, Justynian, Herakliusz — a i z tych jeszcze jeden nie jest Grekiem. A za to jaki długi i wstrętny szereg z Odstępą Julianem na czele!

Umysł i sumienie skrępowane samowolą wyrodziły zgniliznę — nauka nie robi postępów, sztuki w upadku. W poezyi li-che naśladowanie, w filozofii odgrzewanie pogańskich urojeń, historia staje się kronikarstwem, sztuka polega na kosztowności materyału. Wprawdzie zapełnią się jeszcze świętymi pustynie Tebaidy, zasiądzie niejeden mąż boży na stolicy patryarchalnej Aleksandryi i Carogrodu, zrodzi się i zakwitnie na tej ziemi wymowa chrześcijańska, ale zastęp takich Antonich, Atanazy, Bazylich i Chryzostomów będzie nader szczupły, a w końcu przerwie się na zawsze wraz z przzerwaniem nici bratniej i podkopaniem zasadniczej jedności.

Biada tam temu kto nie wierzy jak *basileus*, a każdy *basileus* w co innego wierzy; potrzeba tedy naginać pojęcia, a raczej nadawać językowi elastyczne zwroty. Grecy w tem celują: subtelną dyalektyką przedzierzgnie Sofią w sofistykę, wezdmie dogmat wrzodami herezy — Wschód jest jej gniazdem. Nie nauczyli się modlić a walczyć zapomnieli, jurgielnicy nie zdołają ich zasłonić przed coraz to nowymi napadami, sama nawet przebiegła polityka bizantyjska nieudolną się już okaże. Złotem krwawo na ludzkie wyciśniętem okupywać jeszcze będą pokój u barbarzyńców, a u kalifów rzadkimi rękopisami — lecz wreszcie niestanie ani pierwszego ani drugich, niszczący orkan obrazobórców i potomków wandalskich rozniesie je i pochłonie.

Brali złoto barbarzyńcy, ale brali przytem i kraje. Dunaj przestał być granicą a i Haemus już nie zasłaniał. Nowy lud pędzony z północy zajmował przemocą i ustępstwami dzielnice Traków, Macedonów i Ilirów; nie stać było Greków na Leonidasa — Słowianie zajęli Peloponez. Zostawał jeszcze sam Carogród, lecz i on nie raz jeden, od lądu i morza ścieśniony, podstępem tylko i podarkiem zachował się cało. Pierwszy lepszy barbarzyńca

brał już tytuł „cara greckiego“, aż wreszcie wziął Frank rzecz samą z tytułem, choć nie na długo—innemu i na długo miała się dostać spuścizna.

I. Słowianie w Europie pod obcą nazwą i w jarzmie Scytów, Sarmatów, Celtów, Traków, Gotów, Hunów i Abarów. — Słowianie pod własną nazwą. — Dacya była ziemią słowiańską. — Słowianie na prawym brzegu Dunaju. — Niedokładne wiadomości Porfirogenity o Słowianach w Iliryi. — Latopis horwacki „Księdza Duklańskiego“. — Kronika kościoła Solińskiego. — Państwo gocko-słowiańskie. — Wtargnięcie Abaro-Słowian do Dalmacyi; dalsze losy tego ludu; Neretwianie.

Tak się przedstawia historyczne tło półwyspu bałkańskiego, na którego północno-zachodnich krańcach z początkiem VII w. naszej ery zaczęły się rysować dzieje ludu, o którym w niniejszej pracy mówić zamierzamy.

Kraje te znane były w dalekiej przeszłości, historycy wymieniają nazwiska ludów, które w różnych czasach je zamieszkiwały. Czy pomiędzy nimi nie da się odnaleźć szczepu słowiańskiego? czy Słowianie mają prawo poczytywać się za pramieszkańców półwyspu? Od dawna uczeni zadawali sobie to pytanie i od dawna, ale nie jednakowo je rozwiązali. Areopag historyków na trzy rozpadł się partye. Lewica, złożona z dawniejszych uczonych niemieckich, odsądzała Słowian od wszelkiego europejskiego pokrewieństwa; prawica, którą stanowią przeważnie Polacy, nie tylko niema się za przybyszów, ale w Trako-Dakach i starych Ilirach widzi swych praojców szczepowych; wreszcie idzie środek, centrum, przywódczą jego Szafarzyk.

Olbrzymia erudycya, zdrowy sąd w ocenianiu i wyborze źródeł, wielka ścisłość w wyprowadzaniu wniosków cechują prace Szafarzyka; niema tam żadnego słowa *niepoptartego* dowodami, żadnego słowa na wiatr, każde jego słowo idzie na wagę złota. W znakomitem swem dziele „Starożytności Słowiańskie“, Szafarzyk wykazał siedziby Słowian w Europie na wiele wieków przed naszą erą; rozwikłał tę gmatwaną nazwisk, któremi starsi i nowsi pisarze sprzęgali najróżrodniejsze szczepy i zadał sta-

nowczy cios uprzędzonym bardziej, aniżeli uczonym swym przeciwnikom. Co więcej w wywodach swoich umiał zapanować nad popędem miłości szczepowej; oględny i krytyczny jego umysł powstrzymał wiotkie skrzydła Eufonii, które uniosły innych w dziedzinę marzeń i w mamidłowem widzeniu przedstawiły im stoki Szaru i Haemusu osiedlone przez tubylców słowiańskich.

Początkowe dzieje Słowian związane są ściśle „z wędrówką narodów“. Pochód dopiero Hunów historycy powszechnie do tej epoki zaliczają, ale właściwa wędrówka poczyna się już w VII. w. przed Chr. wraz z wtargnięciem Scytów do Europy. Kronikarze nadawali krajom nazwy od nazwiska ludów, które je dzierżyły; jedne i te same ziemie nazywały się Scytyą za panowania Scytów, Sarmacyą, gdy Sarmaci zajęli ich miejsce. Nie inaczej się działo z nazwami mieszkańców. Ludy koczownicze, wtargnąwszy do Europy zastały ją osiedloną, nie wycięły w pień jej mieszkańców, lecz zmusiły ich do daniny i hołdownictwa. Historycy odróżniają czasami lud panujący od ludu podbitego, lecz najczęściej jednym i tem samem mianują go imieniem. Przegląd wszystkich ludów, które ze wschodu, zachodu i północy z różnem powodzeniem zalewały Europę począwszy od VII-go w. przed Chr. po wiek V-ty naszej ery, posłużył Szafarzykowi za główny, choć nie jedyny dowód europejskiego praobywatelstwa Słowian. Pomędzy wszystkimi przybyszami, o których tylko starzy pisarze wspominają, ani jeden nie był słowiańskim; a że po zniknięciu hord koczowniczych ludy zajmujące te ziemie były słowiańskimi, musiały tedy być nimi i przed wtargnięciem Azyatów. Idąc za wskazówkami Szafarzyka, przejdziemy pobieżnie dzieje tych przybyszów, które też zarazem są pierwotnymi dziejami Słowian, a przynajmniej ziem słowiańskich, pod obcem zostających jarzmem.

Pierwsi *Scytowie* przybyli z Azyi do Europy około VII. w. przed Chr. i zajęli kraje między Donem a Dnieprem ¹⁾. Skitami

¹⁾ Herodot (V. w.) w swej podróży do osad greckich nad Czarnem morzem poznał osobiście Scytów i Sarmatów i bardzo cenne o nich przekazał wiadomości. Późniejsi pisarze zaciemnili rzecz, pozostawili krajowi nazwę Scytyi, choć już w niem Scytów nie było, a mieszkańców jego, choć do innych szczepów należeli, nazwą Scytów

albo Scytami nazywali ich osadnicy greccy, Sakami Persowie, saui zaś dawali sobie nazwę Skolati. Kości ich były ukryte w tłustem i nabrzmałem ciele, włosy mieli rzadkie, wyrabiali kumys, upajali się dymem z siemienia konopnego, ze skóry zabitych nieprzyjaciół wyrabiali różne przyrządy i ozdoby, a z czaszek czary do wina, chleptali krew wrogów, przysięgali na miecz poświęcany: to są charakterystyczne cechy mongolskie. O języku ich wiemy to tylko, iż chełpili się przed Herodotem, że Sarmaci mówią ich łamanym językiem; można to wziąć w znaczeniu wprost przeciwnem. Scytowie, mieszkając długi czas w Azji, wśród ludów aryjskich, a następnie w Europie wśród Sarmatów, mogli byli wiele od nich przyjąć i przekształcić swe plemienne narzecze. Dzielili się na *Scytów koczowniczych* i *Scytów osiadłych*; pierwsi zajmowali stepy przyległe do morza Azowskiego i Czarnego, drudzy rolnicy i oracze mieszkali na północ, przy źródłach Bohu i Dniestru: ci ostatni byli *Słowianami* ujarzmionymi przez Scytów.

Niebawem ukazuje się na wschodzie Europy inny lud koczowniczy również, ale ze szczepu medo-perskiego. Zostaje on pierwotnie w poddaństwie u Scytów, lecz wzmógłszy się w siły, dobija się wolności i podbija nawet dawnych swych panów. *Sarmaci* albo *Sauromaci* w V-tym wieku (przed Chr.) liczni już i możni byli; Scytowie w zapasach z Sarmatami znikają powoli, część ich wyparta została napowrót do Azji, reszta złała się ze zwycięzcami — w II-im w. (przed Chr.) Scytowie istnieć przestali.

Chęć grabieży popchnęła Sarmatów na zachód i północ. Rozczepieni na kilka pokoleń, posuwają się ku morzu Czarnemu i Bałtyckiemu. Alanie ciągną ku Północy, do źródeł Dniepru i Dźwiny zachodniej a nawet do Skandynawii, zajmują ziemie słowiańskie, czudzkie, litewskie, bratają się z Gotami i Swewonami, bohaterów swych za przodków i ojców im narzucają. Inna horda Alanów spotkała między Bohem a Dnieprem trackie szczepy, tam zwodząc z nimi harce z rozmaitem powodzeniem, wpadała cza-

po staremu mianowali. Podobne bałamuctwa powtarzają się gdy jest mowa o Sarmatach, Gotach, Dakach, Abarach, Hunach, Ugrach, Bułgarach, Turkach i innych.

sem do Dacy i Mezyi. Rzymskie legiony ukrócały ich pychę, Marek Aureliusz kazał bić pieniądź (161—180) na pamiątkę zwycięstwa nad Sarmatami. Zwyciężeni nad Dniestrem przez Gotów, służyli następnie pod znakami Atyli.

Gałąź sarmackiego plemienia pod nazwą Roxolanów (od Raxa, Roxa, Wołga) ujarzmiła Ruś i długie wieki nad nią panowała; w XII-tym jeszcze wieku kniaziowie ruscy tępiłi resztki tych pokoleń między Donem i Dońcem.

Jadźwingowie unikając Gotów przedarli się na Pocisze, zajęli część Rusi Czerwonej i Podlasie. Hunowie wyparli ich z Pannonii górnej i zmusili do szukania schronienia w górach, gdzie dotąd nie po imieniu i języku wprawdzie, lecz po typowej powierzchowności rozeznac ich potomków można. Na Podlasiu w XIII. dopiero wieku ulegli orężowi Mazowszan i Rusinów, a w XVI. w. rozrzucone osady Jaćwieży znajdowały się jeszcze na Białorusi, Litwie i Podlasiu.

Starzy pisarze nadawali nazwę Sarmacyi nie tylko krajom zajętem przez Sarmatów, ale i same nawet ludy ujarzmione nosiły u nich nazwę swych panów. To dało powód następnie do bałamutnych wniosków. Germanowie wywodzili ród swój od Asów, Lechici uznawali się za potomków Sarmatów, a Rusini za Roxalanów. Nie zwracano dostatecznie uwagi na etnologiczne znamiona szczepowe, których sami nawet dawniejsi kronikarze nie zapoznawali, rozróżniając *Sarmatów służebnych* (Sarmatae servi) od *Sarmatów wolnych* (Sarmatae liberi). Pierwsi byli Słowianami. Długie panowanie Sarmatów w krajach słowiańskich potężny wywarło wpływ na te spokojne i rolnicze plemiona. Słowianie przyswoili sobie wiele wyrazów z ich języka ¹⁾, poczęli się stroić z perska, zmuszeni do brania udziału w wyprawach grabieżnych, wyrobili się na wojowników, i niejednokrotnie podnosili oręż przeciw swym ciemiężcom.

Przeludniony zachód Europy wysłała w IV. w. przed Chr. krocie swych wojowników ku wschodowi. *Celtowie* (Keltowie, Galatowie, Galowie) łupią po drodze Romę, obsadzają Alpy, wypie-

¹⁾ Szafarzyk wymienia niektóre: bohater, chorosz, kurhan, sobaka, striapczy, topór, Don, Dniestr, Dniepr...

rają Wendów z południowego Pomorza ku Karpatom, zajmują Iliryą, Dacyą, pędzą Traków; jedna ich część zwróci się ku południowi, przejdzie Macedonią, Tessalią, zagrozi Delfom (287 po Chr.) i zginie gdzieś w Azji; druga obierze kierunek północny, rozprawi się z Dakami, zetrze z Sarmatami, rozpuści zagony swe na Powiślu. Gotowie nie dozwolą im tu długo gospodarować, podążą za nimi do Dacyi; legiony rzymskie pobiją Skordysków u stóp Szaru, a Tyberyusz zniesie ich nad Sawą; wreszcie germańskie plemiona wkroczą nawet w ich prastare gniazda i tam ich wypenią ¹⁾. W Słowiańszczyźnie wyraz Obr, Olbrzym, w spuściznie odziedziczony po ich nazwie (Ombrowie, Ambrowie), będzie oznaczał ciemżyciela, a stanie się nawet mianem mongolskiego szczepu, który w kilka wieków później, nie tak z imienia jak z łupieztwa bliskim mu się okaże.

Trackie pokolenia, uciekając przed najściem Celtów przeszły Dunaj, zajęły Dacyą (dzisiejszą Rumunią), ziemię słowiańską. Niemogąc się jednak tam ostać, posunęły się ku wschodowi i północy. Spotkali się Trakowie z Sarmatami za Dniestrem, niepokoiłi osady greckie nad morzem Czarnem ²⁾. Z czasem połączone pobratymcze pokolenia Traków, Mezów, Trybalów, Agatyrów, stanęły zwycięzko przeciw Celtom i napadami niepokoiły państwo rzymskie. Decebal pobił Rzymian, Trajan jednak powetował klęskę, zamienił Dacyą w prowincję rzymską, osadził swymi kolonistami i wybudował u „Wrót żelaznych“ sławny most na Dunaju ³⁾. Lecz Aurelian nie mógł się tam utrzymać, w r. 270 po zniszczeniu mostu przeniósł kolonistów na prawy brzeg Dunaju, a nowe kolonie otrzymały nazwę *Aureliany* albo *Nowej Dacyi*. Trackie pokolenia zromanizowane już częścią przez kolonistów, wy-

¹⁾ Resztki Celtów zajmują dziś małe krainy w Hiszpanii, Francji i Wielkiej Brytanii; mówią rozmaitemi narzeczeniami, które jednakże filologowie zaliczają do jednego głównego szczepu. Według Thierry należy rozróżnić trzy gałęzie: 1) Iberów czyli Basków w Hiszpanii, 2) Gallów w Irlandyi i Szkocyi, 3) Kimbrów i Celtów w Bretanii Kornwallis i w Wallis (Walonowie).

²⁾ Między 60 a 55 r. pd. Chr. zniszczyli Olbią, słynne miasto greckie nad Bohem.

³⁾ Most długości 4 770 stóp był murowany na 20stu łukach.

parte ze starej Dacyi przez Gotów, osiedliły się w Siedmiogrodzie i Panonii; tam ulegając dalszemu wpływowi kultury rzymskiej, urabiały się na osobny, jednolity naród.

Wstępują teraz w szranki synowie Północy. Idąc śladami lodowców skandynawskich, które przydzwigały były przed wiekami na swych barkach odłamy skał i pokryły rumowiskami dalekie ziemie, zstępuje teraz z bieguna żywy lodowiec dzikich potomków Odyna. Skostnieje życie w ich zimnych objęciach, pokryją gruzami wiekowe prace przemyślniej ręki ludzkiej, wygładzą ziemię z celtyckich pierwobyłców i przybyszów medyjskich, wtłoczą ciężkie jarzmo na słowiańskie pokolenie, a po Latynach nie zostawiliby może i śladu, gdyby „Bicz Boży“ nie starł ich pychy i nie wprowadził na nowe tory całego ustroju społecznego w szlacheckiej ziemi Aryów.

Gotowie, naród germański, wyszli ze Skandynawii (vagina nationum). Pytheas z Marsylii spotkał Gotów nad brzegami Bałtyku już w r. 320 przed Chr., a jakkolwiek Ukert ¹⁾ podejrzywa jego prawdopodobność, kamień oblijski Protogenesa (218—201 przed Chr.) świadczy, iż Skirowie trzymali już wówczas w niewoli północnych Słowian i Żmudzinów. W II-gim w. po Chr. posunęli się na południe ku źródłom Wisły, ku morzu Czarnemu; zgniółszy tam Celtów i Traków, po raz pierwszy zajrzeli w oczy „Panom świata“, po raz pierwszy spróbowali hartu swych siekier na czaszkach legionistów rzymskich. Pogłoska o bogatych łupach sprowadziła z północnego zachodu roje innych germańskich plemion; opanowują ziemie czarnomorskie, pustoszą państwo rzymskie w Azji i w Europie. Burgundowie, Gepidy, Herulowie, Wandalowie, Skyrowie grabią Grecyą i Azyą, niosą pożogę do Włoch i Afryki. Decyusz ginie w bitwie z Gotami w Mezyi (251 r.). Za następcy jego przechodzą oni zwycięzko cały półwysep tracki, zajmują Ateny. Klaudyusz zadał im wprawdzie klęskę, ale już Aurelian wiedzie z nimi boje nietylko w Tracyi, ale i w Iliryku.

Rozdzieleni na dwie główne gałęzie: *West-Gotów* i *Ost-Gotów* czyli Ostrogotów, dwom odmiennym ulegną też losom: pod-

¹⁾ Geogr. d. Griechen u. Römer. Weim. 1817—32, IV, 33—34.

czas gdy pierwsi dotrą do Atlantyku i tam wytworzą nowe narody, drudzy znikną na południowym wschodzie. W IV-tym w. (332.—350) królem Ostrogotów był Ermanryk (Airmanareiks); państwo jego rozciągało się od Bałtyku, Odry i Cisy do Donu i Wołgi. To ogromne państwo nie miało zasadniczych podstaw przyszłości. Ziemie zamieszkane były przez Słowian wrogo usposobionych dla swych ciemiężców, ztąd po pierwszym zwycięstwie Hunów (376 r.) nad wojskami ostrogockimi, z wielkiego państwa nie zostało śladu.

Zastępy Ostrogotów, wprzęgnięte do jarzma, dzieła odtąd losy swych panów, walczą przeciw swoim zachodnim współbraciom i ponoszą wraz z Atylą klęskę pod Châlons. Po zniknięciu Hunów zajaśniała jeszcze dla Ostrogotów świetna, choć krótko trwająca przyszłość. Z pozwoleniem cesarzy bizantyjskich zajęli Panonią Śremską (Sirmium) i część Iliryi. W r. 488 wyciągnął Teodoryk z ludem swoim do Włoch, pobił Herulów i założył w północnych Włoszech państwo, którego istnienie skończyło się wraz z życiem Totyli (552). Pogromca ich Justynian zamienił Włochy w *egzarchat Rawenny*, odtąd imię Gotów nie pojawia się na kartach dziejowych, choć część ich pod królem Ostroilem nie została wyrugowaną z Iliryi.

Oslabione pokolenia Sarmackie niezdolne były do stawienia oporu mongolsko-tureckim hordom, które w IV-tym w. przeprawiły się przez Wołgę; w r. 374 *Hunowie* pod wodzą Balamira pociągnęli na zachód na podbicie świata. Antowie zmieniają władców, zwyciężeni Goci stają się wasalami, przestraszone Bizancyum płaci haracz. Atyła na czele milionowego zastępu chce spławić bieguny swe w Oceanie, tam niedoszedł, lecz spławił dumnych Germanów w potokach krwi pod Châlons. Zwycięzony, nie przestaje być groźnym dla zwycięzców a nieubłagany dla zwyciężonych. Obraca w perzynę miasta włoskie, grozi zagładą Rzymowi; powstrzymany przez św. Leona wraca i umiera w Pannonii (454 r.). Wraz z nim ginie potęga a wreszcie i plemię Hunów (469 r.), ale nie szczep. Przez dziesięć z górą wieków pod rozmaitemi nazwami hufce konnej szarańczy, ognistymi szlaki torować sobie będą drogę do Europy przez słowiańskie ziemie

Ruscy książęta nad Kałką nie wstrzymają pochodu dziczy azyatyckiej, syn św. Jadwigi wraz z kwiatem rycerstwa lechickiego legnie pod Lignicą, lecz ich mogiły staną się wałami dla reszty Europy. Wróć się Mongoły na tłuste pastwiska czarnomorskie, jakiś czas odbierać będą pokłony i podarki od kniaziów, ale chwila ich zagłady zbliżać się będzie. Pójdą jeszcze w usługi władców Stambułu, służyć będą naprzemian w zwaśnionych szeregach pobratymczych Słowian, a wreszcie szczupłe i rzadkie osady wskazywać tylko będą szlak, którym groźna niegdyś ich horda zstępowała z wyżyn Pamiru do serca Europy.

Zaledwie niedobitki huńskie wróciły na swe rodzinne leże, a już *Abarowie* ¹⁾, nowy lud koczowniczy uralsko-mongolski ²⁾ wtargnął w ziemie słowiańskie (557 r.).

Warchonici albo Ugurowie z pokolenia Hunów, podbici pierwotnie przez Abarów albo Awarów a następnie przez Turków, uchodząc niewoli dostali się do Europy. Miani za Abarów, pod tą nazwą przekazali potomności swoje dziejowe czyny. Podbili Antów, ciężkie jarzmo wtłoczyli na Dulebów ³⁾ i w szybkim po-

¹⁾ Mówimy *Abarowie* nie zaś *Awarowie* dlatego, że β bierze się tak za *b*, jako i za *w*, Nestor nazwę ich *Obry* pisze przez *b*.

²⁾ Współczesny *Abarom* Ewagriusz pisze: „*Isti Abari sunt ex gente Scytharum, qui Hamaxobii dicuntur, quique agros ultra Caucasum jacentes accolunt, oriundi. Qui Turcos, vicinos suos ab illis gravibus affecti incommodis, cum omnibus suis fugientes, primum ad Bosphorum venerunt, deinde litoribus Euxini Ponti relictis... recto itinere contenderunt, omnibus Barbaris, qui ante pedes erant usque eo expugnatis, quoad Danubii ad litora pervenerint; unde Legatos miserunt ad Justinianum*“... (Hist. Eccl. lib. 5, cap. I).

³⁾ Nestor mówi, że *Obry* zaprzęgali żony *Dulebów* do pluga; lecz zapiska *Fredegariusza* wydaje się prawdopodobniejszą: „*Erant ab antiquo Vinidi bifulei Chunis, sive Hunnis, sive Avaribus (eadem quippe gens fuit, saepius variato nomine) quasi bifariam illos fulcientes. Nam in praeliis praesto esse debebant Slavi, seu Vinidi, et praeliari pro Hunnis: Huni vero castra servabant spectatores praeliorum, neque accurrebant, nisi periclitantibus Slavis. Praeter haec auxilia, magnis onerabantur tributis Vinidi, et venientibus ad se Hunnis ad hiemandum cogebantur illis filias suas prostituere; quo barbaro agendi ritu effecerunt Huni, ut ipsimet filii, quos apud Slavos genuerant, contra ipsos arma corripuerint*“ (Kronika łac. cap. 48).

chodzie stanęli niebawem w Dacyi i zajęli Panonią (563 r.). Od-tąd częstemi grabieżami niszczyli państwo wschodnie, groźnie stawali pod Bizanecyem ¹⁾, zburzyli Śrém (Sirmium), Salone (639 r.), zajęli Dalmacyą. Samko zadał im klęskę (623 r.), lecz dopiero Karol W. (799 r.) zniósł ich ze szczętem w Panonii.

Dwa inne ludy turańskie, które wtargnęły z za Wołgi: Buł-garzy i Madziarzy, ważną choć odmienną odegrały rolę w Słowiańszczyźnie. Podczas gdy pierwsi w zamian za język, który sobie przyswoili, nadali całemu pokoleniu słowiańskiemu ustrój i nazwę swą własną; drudzy, wszedłszy żelaznym klinem w serce Słowiańszczyzny, przemocą narzucają język i nazwę swą zwycię-żonym.

Dzieło Szafarzyka „Starożytności Słowiańskie“ pozostanie klasycznym, choć nie jest wyczerpującem; za jego czasów języko-znawstwo porównawcze było jeszcze w kolebce, szczupłe były poszczególowe badania etnograficzne, wreszcie odnosi się tylko do starej doby. Od czasu Szafarzyka kwestya słowiańska mało po-sunięta została naprzód; zrobiono już wiele na polu lingwistyki i etnografii, ale Słowianie zbyt skąpy zasób materiałów znieśli do wspólnej komory, by można się było zabrać do stawiania gmachu na fundamentach Szafarzykowych. Nie stoją jednak Słowianie z założonemi rękami, widać owszem życie i postępek. Od Sinego morza po Białe, od Czarnego po Bałtyk, pojedynczo lub siłami zbiorowemi odgrzebują stare pomniki, odnoszące się do dzie-jów politycznych, społecznych i językowych. Nie wszystko tam jeszcze zdrowe, wybór zbyt często dyktowany jest namiętnością bardziej, aniżeli miłością prawdy, ale wiele już znajduje się materiału, który wytrzyma próbę światłej krytyki, a po wybrakowaniu użytym być może do budowy.

Wszystkie ludy „wędrujące“ podbijały kolejno Słowian ale z wyjątkiem Madziarów, żaden z nich nie ostał się na

¹⁾ „Advenit gens prorsus insolens atque incognita Constanti-nopolim. Abares ei nomen. Et ad ejus spectaculum cuncta urbs effusa est, quod nusquam visi fuissent hujus formae mortales. Comas siquidem a tergo longas admodum taeniis revinctas, et implexas gesta-bant“.... (Theophanes, Chron. ad an. 31 Justin.)

ziemi słowiańskiej; zdążyły na zachód, powróciły za Ural, wyginęły lub przeobraziły się. Ziemie najebrane wraz ze swymi mieszkańcami przybierały nazwy zdobywców; ze zmianą panów zmieniały się nazwiska tego samego ludu i tego samego kraju. Prócz ogólnych, a niewiadomo skąd urosłych nazwisk, Sporów, Windów, Antów, nosili jeszcze Sławianie nazwy swych ciemiężycieli Scytów, Sarmat, Celtów, Getów, Gotów, Hunów i Abarów; a gdy wreszcie nie stało zwycięzców, prawdziwe nazwisko zwyciężonych z *własnego* przerodziło się w *rodzajowe*, wyraz Słowianin (Sclavinus, Sclavus, Slavus) zachowując znaczenie szczepu, oznaczał zarazem i przymiot — niewolnika ¹⁾. Przechodzimy obecnie do dziejów Słowian, pod ich szczepową nazwą.

Mojżesz Choreński (Moses Chorensis an. 462) pierwszy z kronikarzy wspomina Słowian: „Ziemia Traków leży na wschód od Dalmacyi, w pobliżu Sarmacyi. Ma Tracya mniejsze kraje a jeden większy, w niej jest siedm narodów słowiańskich (Sglavain).“ Od VI-go wieku począwszy latopiscy bizantyjscy, rok rocznie, nietylko wymieniają Słowian imiennie już, między ludami napadającymi na cesarstwo, ale nadto ziemie od Dunaju i Czarnego morza po Bałtyk za słowiańskie uznają. Wielkie obszary zamieszkiwały wówczas ludy słowiańskie, nie wszystkie te ziemie znajdują się obecnie w ich posiadaniu; środkowe Węgry zmadziaryzowane, rozpierchłe oazy dzisiejszych Łużyczan nie stanowią jeszcze granicy tych ziem, które Słowianie na zachodzie posiadali: jakie były ich granice na południu?

Rzeczą jest prawdopodobną, iż resztki Wendów wypartych z pomorza adryatyckiego przez Celtów, tuły się po Alpach, a po zniknięciu najeźdźców, połączyły się z pobratymcami wracającymi z północy; niema jednakże śladów historycznych, aby Słowianie w początku naszej ery zajmowali ziemie na Posawiu ²⁾; inaczej się rzecz ma co do dolnego Dunaju. Wszystko zdaje się przema-

¹⁾ Dawniejsze nazwy niewolników: Heloci, Dawi albo Daki, Tesfali, Wili i Wileny, Sebry pochodziły również od nazwy narodów, od Helotów, Daków, Tesfalów, Wilków, Sebirów, albo Sabirów.

²⁾ Uczone rozprawy Lelewela, Bielowskiego i Dr. Szulca nie są dla nas przekonywającymi.

wiać za tem, że Dacya była prastarą ziemią słowiańską, Dakowie zaś ludem napływowym. W początkach naszej ery Słowianie stykali się z Rzymianami, a stykać się mogli z nimi tylko w Dacyi. Święto bożka *Koledy* albo *Kolędy* obchodzono w Kijowie z końcem grudnia; w innych krajach słowiańskich na ten sam czas zwyczaj przepisywał różne obrzędy, które wszędzie toż samo miano nosiły: *Kolędy*, *Kolendy*, *Koledy*, *Koliady*. Po zaprowadzeniu chrześcijaństwa przedmiot i forma obrzędu zmieniła się, nazwisko pozostało; na pomorzu adryatyckiem śpiewają tak dobrze kolędy, jak nad Dunajem, Wisłą i Dnieprem. Wyraz kolęda nie jest słowiańskim, prawdopodobnie pochodzi od *Calendae*, a zwyczaj obchodzenia ich z końcem grudnia mógł dopiero nastać po wprowadzeniu przez Cezara nowego rachunku czasu. Wspomnienie o Trajanie, który pobił Decebala w Dacyi, bardzo żywo przechowało się w Słowiańszczyźnie. W Słowie o pułku Igora kilka razy spotyka się to imię, również jak w innych podaniach; wiele też miejscowości w Bułgarii przechowało to nazwisko: „Trajanow most, Trajanowa wrata, Trajanow grod...“ Trakowie parci od Celtów weszli z Siedmiogrodu i z Zadunaju do Dacyi, a gdy Hunowie zostali panami placu, nie stało nad Sereitem ani Traków ani Gotów, lecz został lud, który dzięki ustrojowi federacyjnemu państwa huńskiego, mając rozwiązane ręce, począł orężnie przesiedlać się za Dunaj — ludem tym, wedle kronikarzy bizantyjskich, byli Słowianie. Zresztą, gdy naród nadwołżański, Bułgarzy, zajęli Dacyą, tak potężny znaleźli tam element słowiański, iż jakkolwiek zwycięzcy i panujący, ulegli zupełnie jego wpływowi i zostali Słowianami. W końcu, sami nawet zromanizowani Trakowie, po wciśnięciu się w XI-tym w. do tej prowincyi zgniecione go już państwa bułgarskiego, o mało temu losowi nie ulegli. Przez długi czas zachowały się słowiańskie nazwy urzędów i samego panującego, akta urzędowe głoszone były słowiańskim językiem, kościół zależał od Halicza, a do ostatnich jeszcze czasów liturgia i pismo były cyrylskie.

W którym wieku poczęli się osiedlać Słowianie na Posawiu i w ogóle na prawym brzegu Dunaju, dokładnie wiedzieć nie można. Uciśnieni przez najeźdźców opierali się im zbrojno, lecz

walczyli również w ich szeregach: Dakowie, Goci, Huni, Abarowie i Bułgarzy, pod swe znaki zaciągali nie tylko pojedynczych Słowian, lecz często całe ich oddziały. Wiódł ich Atyla do Rzymu, wodzili ich inni na łupieżkie wyprawy do Bizancjum; czasem wprawdzie grabili Słowianie i na swoją rękę, lecz zwykle pod cudzem przewodztwem i imieniem.

Wyprawy Słowian pod cudzem i własnym nazwiskiem stanowią epokę w dziejach bizantyjskich i słowiańskich zarazem. Sprawily one zupełny przewrót w krajach państwa bizantyjskiego, a nie tylko przyczynily się do jego bezpowrotnego upadku, ale nadto takie założyły podstawy dla nowych państw, iż choć z czasem te ostatnie upadły, etnograficzne warunki pozostały dosyć silne do ich wskrzeszenia.

Dwie z tych wypraw pod obcym znakiem odnoszą się do Iliryi, jedna do Tracji. Na zachodzie utworzyło się państwo gocko-słowiańskie i abarsko-słowiańskie, na wschodzie państwo bułgarskie. Oba państwa zachodnie, a szczególnie drugie, niedługo trwały; historycy milczą lub tylko pobieżnie o nich wspominają, lecz tym sposobem potworzyły się luki niczem nie dające się wypełnić. Uwydatnienie tego ważnego zdarzenia dziejowego stanowi klucz do wyjaśnienia wielu rzeczy dawniejszych, zupełnie ciemnych lub błędnie pojmowanych, a zarazem pomoże do jaśniejszego orientowania się w dzisiejszych etnograficznych stosunkach tych krajów.

Wtargnięcie Słowian pod własnym nazwiskiem do Iliryi, Horwatów, Serbów i innych przymnożyło zawikłań wewnętrznych. Między Adryatykiem, Sawą, Driną i Drimem, od V-go do VII-go wieku nagromadziła się moc różnorodnych szczepów, ludów i plemion. Szczątki pierwotnych Ilirów, Skordyskowie, Rzymianie, Grecy, Goci, Abarowie, Horwaci, Serbi, nadto różne inne plemiona słowiańskie mieli lub szukali tu sobie siedzib. Jedne plemiona słowiańskie weszły z Gotami, inne z Abarami, inne jeszcze ciśnięte od Gotów, Abarów, Bułgarów, przeprowały się przez Dunaj i Sawę; wreszcie różnymi czasy Słowianie daccy obciążeni łupami macedońskimi i tesalońskimi, dla uniknienia oręża greckiego chroniły się do swoich, do Iliryi.

Co się działo w tych krajach w skutek ścięcia się z sobą tyłu rozlicznych żywiołów? Greckich mieszkańców miast nadbrzeżnych głuche tylko dochodziły wieści o dziejach wnętrza kraju. Panowie bizantyjscy nie mieli tam żadnego wpływu ani przystępu nawet, chociaż nie przestawali siebie i innych ludzi wrzekomą zależnością tych ziem. Od czasu Herakliusza Ilirya odpadła na zawsze od państwa bizantyjskiego, a sporadyczny czasami jego wpływ w niektórych miejscowościach ograniczał się niekiedy do niebardzo schlebiających jego dumie ukazów: bardzo wpływowy cesarz Bazyli dozwolił poddanym swoim w miastach nadadryatyckich płacić daninę Horwatom. Stąd też dziwić się nie można, że kronikarze bizantyjscy pokrywają zupełnem milczeniem dzieje kilkunastuletnie tych krajów. Porfirogenicie jednakże wypadało coś powiedzieć. Wypadało mu coś powiedzieć jako historykowi, a szczególnie wypadało mu uzasadnić swoje i swych następców roszczenia do tych krajów. Zadanie było trudne. Jako historyk mało co wiedział ¹⁾, skąpe znalazł materiały pod ręką, a i z tych zapewne nie wypadało wszystkiego zamieszczać, by nie podać w wątpliwość swych praw dziedzicznych. Pomija tedy milczeniem Gotów i dzieje Prewalitanii, w której się utrzymali pomimo przegranej i śmierci Ostroila; krótko zbywa Abarów, a zaczyna od osiedlenia Horwatów i Serbów w Iliryi. Podaje niektóre drobne szczegóły, wymienia nazwiska pierwszych dowódców ziem i miast zajętych, mianuje i określa kraj, z którego wyszli, wspomina o przyjęciu przez nich chrztu i na tem kończy; cały trzechwiekowy okres zamyka w kilkudziesięciu wierszach. W całym opo-

1) Na dowód może służyć to, co mówi o jednym z większych miast słowiańskich, które przez wiele dziesiątków lat było stolicą księstwa i metropolii tegoż nazwiska. Dukla (Doclea, Doela) znana Pliniuszowi i Ptolemeuszowi, według Porfirogenity była założoną przez cesarza Dyoklecyana, za jego zaś czasów leżała już w gruzach. Otóż, jak słusznie zauważył Szafarzyk, ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Dyoklecyan nie założył miasta, a tem mniej nie nadał mu swego nazwiska, lecz od tego miasta, dawno istniejącego, zapożyczył sobie nazwę własną; powtóre Dukla uległa zniszczeniu przez Bułgarów w pół wieku po śmierci Konstantyna; nadto w XIV-em jeszcze stuleciu król serbski Milutyn wyznaczył ją na mieszkanie dla syna swego.

wiadaniu Porfirogenity uderza szczególnie usiłowanie dowiedzenia, że te ziemie należą do cesarstwa. Powtarza często, często do śmieszności, że ten kraj zaludniony był przez kolonistów Dyoklecjana, że zajęcie Dalmacyi przez Horwatów i Serbów nastąpiło za *zezwoeniem* cesarskiem ¹⁾. O podobnych prośbach barbarzyńców i łaskawych zezwoleniach cesarzy czynią zwykle wzmianki kronikarze bizantyjscy; mogły się zdarzać, to prawda, ale nie tyle razy co piszą, ani też tą razą. Nie wydaje się prawdopodobnem, aby Horwaci prosili Herakliusza niemającego w Europie wojska, o pozwolenie zajęcia Dalmacyi, podbitej i osiedlonej już wówczas przez Abarów. Horwaci nie mogli ani też nie potrzebowali się domyślać, że do tych ziem roszczą sobie prawo cesarze wschodni. Wówczas, jak i teraz, nie pergamina ale ostrze oręża rozstrzygało o własności. Zresztą, co na tem zyskiwał Herakliusz, że Dalmacya z pod Abarów dostawała się Horwatom? Ani jedni, ani drudzy nie chcieli być i nie byli wasalami Greków.

Nie lepiej wywiązuje się Porfirogenita z kwestyi osiedlenia Serbów. Po otrzymaniu, naturalnie, „pozwolenia“ od Herakliusza zajęli ziemie wyludnione przez Abarów. Przybyli z jakiejś „białej Serbii“, która leży około jakiejś „białej Chrobacyi“; nie podobała się im Tesalia, wyznaczona przez cesarza, chcieli wrócić do domu, ale „poenitentia ducti“ prosili o zamieszkanie na ziemi wyludnionej przez Abarów. Całe opowiadanie zakrawa nieco na „Tysiąc nocy i jedna“. Takie swobodne przechadzki z Zakarpat do Tesalii i sama chęć powrotu garstki plemienia, któreby musiało się przerysować wśród Abarów, Gotów i Bułgarów, nie wydają się prawdopodobnemi. Co mówi Porfirogenita o ich chrzcie i o ich książętach, niejasne jest i często sprzeczne. W jednym miejscu utrzymuje, że niemieli książąt, a tylko Żupanów, gdzieindziej znowu, że najjaśniejsi cesarze wschodni pozwalali im wybierać rodowitych książąt. Szczęściem posiadamy dwa latopisy miejscowe,

¹⁾ Hi isti Chrobati ad Romanorum Imperatorem Heraclium confugerunt. . . . qua propter *jussu* hujus Imperatoris Heraclii. . . . ab eo scilicet Principe, qui ad Imperatorem Heraclium *confugit*. . . . ab Heraclio Imperatore *petierunt*. . . .

które uzupełniają i wyjaśniają kronikarza bizantyjskiego; wypada nam treściwie ocenić tak „kronikę dalmacką“ jak również „dzieje kościoła Solińskiego“.

Autorem „kroniki dalmackiej“ jest bezimienny pisarz, znany tylko pod nazwą „księdza Duklańskiego“ (Presbyter Diocleates). Mieszkał on w Barze, gdyż Dukla (Dioclea) była już wówczas zniszczoną, a dyecezya duklańska przyłączona do barskiej. Pisał dzieje państwa słowiańskiego, które się zawiązało w *Praevalis, Praevalitana*; w tłumaczeniu łacińskim nazywa swą kronikę: *libellum Gothorum, quod latine Sclavorum dicitur Regnum*. Żył w wieku XII-tym (1150—1200). Kronikę pierwotnie napisaną po słowiańsku przetłómaczył również na język łaciński.

W wieku XVI-tym Dominik Papalić znalazł rękopism słowiański, przepisał go i przesłał Markowi Marulićowi do przetłómaczenia na łacińskie. Oba te kodeksy wydał Jan Luczić w Amsterdamie w r. 1666 ¹⁾.

X. Hieronim Katelić rękopism Papalića przepisał głoskami łacińskimi w r. 1564; Luczić polecił skopiować go Czindrićowi i wraz z kodeksem łacińskim złożył w bibliotecę watykańskiej. Jan Kukuljewiç Sackiński wydał go w Zagrzebiu w r. 1851 ²⁾.

Mamy tedy trzy kodeksy kroniki dalmackiej; nie są one z sobą zgodne, wszystkie zawierają niedokładności i anachronizmy. Autor nie jest prawdopodobnie bez zarzutu, ale większy zarzut uczynić należy tym, którzy źle poprawiali i błędnie przepisywali. Pomimo tego, wielką wartość ma dla nas ta kronika, a chociaż Luczić, jako surowy krytyk, nie szczędził jej ciężkiej nagany, oby-

¹⁾ Obacz wydanie Schwandtnera: „Scriptores rerum hungaricarum“ T. III, Wiedeń 1748.

²⁾ Ob. „Arkiv za powiestnicu jugoslavensku“. X. Dr. Jan Czrnczić, kanonik przy kościele św. Hieronima w Rzymie wydał w „Kraljevici“ 1874 r. kodeks łaciński i słowiański pod tytułem: „Popa Dukljanina Lietopis po latinsku i toga nekoliko i još nešto po hrvatsku, po prepisu popa Jerolima Kaletića“. U nas najdawniejszą wiadomość o kronice dalmackiej podał uczony X. Michał Bobrowski, w „Dzienniku Wileńskim“ z r. 1823, T. II, str. 569; umieścił tam nawet wyjątek z kodeksu słowiańskiego, który sam w Rzymie z oryginału przepisał i zapiskami Horwata, Macieja Kopora, objaśnił.

dwa kodeksy umieścił jednakże w swem dziele. Du Cange ¹⁾, Bellius, Farlati, Assemann, Szafarzyk, Smicziklas, wszyscy którzy pisali o tych krajach, powołują się na nią i nią się posługują, choć niedostatecznie ją wyzyskali. Ramy, jakie sobie zakreśliśmy w naszym przedmiocie, nie pozwalają nam na jej szczegółowe opracowanie; weźmiemy z niej to tylko, co potrzeba do nakreślenia głównych rysów dziejowych kraju, nad którym często panowali Żupani horwaccy, a następnie i królowie serbscy.

Tomasz Archidyakon Splécki pisał kronikę kościoła Solińskiego i Spléckiego. Tomasz urodził się około roku 1200 a umarł r. 1268. Za czasów Luczića istniały dwa kodeksy łacińskie tej kroniki, jeden *mniej*szy, który wydał Luczić przy swem dziele, drugi *więk*szy. Większy kodeks zawierał w sobie kodeks mniejszy, nadto wiele innych *dotatków*; lecz rękopism kodeksu większego nie był zupełnym, brak w nim było wielu rozdziałów a *dotatki* były widocznie wtrącone, jak zauważył Luczić ²⁾. Farlati przyznaje również, iż dodatki nie muszą pochodzić od Archidyakona ³⁾.

Luczić wydał kodeks *mniej*szy, który następnie Schwandtner

¹⁾ Du Cange kronikarza horwackiego stawia na równi z Prokopem co do wiarygodności, i upatruje zgodność przytaczanych zdarzeń: *tametsi in gestis haud omnino dissident*; Farlati zaś dodaje: *tamen quae unus refert, alter praetermisit*.

²⁾ „Id ego exemplum (sic) vidi, et manu recentis scriptum reperi, contulique cum eo codice, et quecumque in illo de Actis Conciliorum Dalmatiae, Epistolis Papalibus, et Epitaphio Zuonimiri regis scripta sunt; ea omnia ficta et supposititia censi, a me monitus supradictus Abbas Ughellus. . . vir ingenuus, et in antiquis characteribus versatissimus, se deceptum fassus est“ . . .

³⁾ „Mirari autem satis non queo in uno eodemque codice Barbariniano (rękopis większy), ac duobus reliquis, tantam styli et dictionis varietatem reperiri, ut satis appareat *non esse unius et ejusdem auctoris*. Nam quae his communia sunt cum exemplari Luciano typis edito, simpliciter quidem exponantur, et sine ulla exornatione; sed nulla latini sermonis barbarie infuscantur, nihil habent a gramaticis praereceptionibus abhorrens, nulla denique indigent sive correctione, sive explicatione: ita pura sunt, emendata, perspicua. Contra vero quae superaddita sunt, desuntque Luciano codici, si vitam sancti Domnii excipias, caetera omnia illis, quae dixi vitiis laborant, totque ac tantis corruptelis et depravationibus obvoluta sunt, ut nisi emendantur et explicentur intelligi nullo modo possint“ (T. II, p. 162).

w swym zbiorze przedrukował. *Większy* nie jest dotąd wydany. Farlati jednak porobił z niego wyciągi do uzupełnienia luk w dziejach przez siebie opowiadanych. Dziwić się trzeba, iż tak znakomity uczony i krytyczny pisarz przyjmował za dobrą monetę wszystkie baśnie tamże się znajdujące; zarzuty jakie mu czyni, kładzie niesłusznie li na karb przepisowawczy, a jedynym znakiem prawowierności dla niego jest brak anachronizmów. Pomimo swego charakteru kapłańskiego i zakonnego, niezaprzeczonej nauki i gruntownego sądu nie mógł się widocznie dosyć wyswobodzić z niechęci szczepowej; był Wenecyaninem, to jedno tylko tłómaczy tę zbytnią łatwowierność.

Mniejszy kodeks wydany przez Luczića nie jest również wolny od zarzutów. Cały rozdział XVI. osnuty może na prawdziwym zdarzeniu, takimi śmiesznymi i bajecznymi wypełniony jest szczegółami, iż każdy poważny krytyk musi go odrzucić. W XIII-ym wieku mógł Archidyakon w dobrej wierze umieścić go w swojej kronice, ale dłaczego Luczić nie podał go w wątpliwość, zrozumieć nie można. Farlati chociaż wytyka mu anachronizmy, przywiązuje doń wagę, jak zwykle. Bezstronny jednak Maronita Assemani cały ten rozdział uważa za grubą bajkę, wymyśloną przez łacińskich Dalmatów ¹⁾.

Wracamy do dziejów słowiańskich. Oparci na kronikarzach greckich i uzupełniając ich zapiskami latopisów miejscowych, twierdzimy, że pierwszym państwem słowiańskim w tej części Europy było państwo gocko-słowiańskie w Prewalii.

Po upadku Hunów Gotowie zajęli Panonią i część Iliryi. Teodoryk wyciągnął z ludem swym do Włoch, ale część Gotów została w Dalmacyi i Prewalii. Mamy na to świadectwo Prokopa. Kiedy zwycięzcy wodzowie Justyniana rozbijali państwo gockie we Włoszech, nadciągali Goci ze wszech stron braciom swym na pomoc, wyruszyli też i z Dalmacyi, lecz nie wszyscy. Konstantyn zajął Solin (Salonę), ale zawarł pokój z *gockimi mieszkańcami*

¹⁾ Itaque a primo ad ultimum, in hac Archidiaconi narratione, caeteroquin, *fabulosissima*. . . Quidquid secus de Slavis illis refertur, a Dalmatis latinae linguae cultoribus *confictum esse* crediderim. Assem. Kallend. Eccl. univ., t. IV, p. 386, 387.

tych krajów ¹⁾. Na tem się ograniczają bizantyjscy kronikarze; dzieje pobytu Gotów w Iliryi należy dopełnić ze źródeł miejscowych, z „kronikarza horwackiego“ i „Archidyakona spléckiego“.

Ostroil albo Stroil, Got, zajął Prewalią i w niej jako król panował. Wysłał syna swego „Senulatus“ (Sevioladus, Wszewołod) do zajęcia Bośni; wódz grecki (Mundus) dowiedziawszy się o tem wtargnął do kraju i pobił nieliczne zastępy gockie ²⁾, Ostroil poległ w bitwie. Na tę wieść Wszewołod wraca do domu, ale nie zastaje już nieprzyjaciół. Mundus ginie w walce zwycięskiej z Gotami w Dalmacyi; Konstantyn, wódz Justyniana wypędza ztamtąd Gotów, ale zawiera przymierze z Wszewołodem, który pozostał w Prewalii ³⁾.

„Kronikarz horwacki“ pisze dzieje państwa, które zostawało pod panowaniem potomków Ostroila. Państwo to obejmowało część dzisiejszej Bośni, Serbii, Czarnogóry i Albanii; władcy zwali się królami, cesarze wschodni przyznawali im tylko tytuł *Comes seu Dominus Zentae* jak pisze Lukaryusz. Miasta większe, które zostawały pod ich władzą były: Bar, Budwa, Dukla, Rasza, Skadar. Do jakiej narodowości należał lud, który je zamieszkiwał? Obydwa kronikarze miejscowi nazywają ich *Słowianami*. W kodeksie „Presbytera“ czytamy tytuł „*libellum Gothorum, quod latine, Sclavorum dicitur Regnum*“; w ciągu opowiadania używa czasami wyrazów *Goci*, czasami *Słowianie*, w jednym zaś miejscu mówi: *Gothi qui et Sclavi*. Zresztą nietylko nazwiska panujących są słowiańskie, ale całe opowiadanie jest opisem dziejów ludu *słowiańskiego*. Dlaczego zaś „Presbyter“ używa nazwy raz Gotów, to znów *Słowian*, dowiadujemy się z „Archidyakona“: *Siedm czy*

¹⁾ „*Grippas autem et Gothorum exercitus, septimo post captas Salonas die, inde moventes, Ravenam redierunt. Ita demum Constantinus Dalmatiam Liburniamque omnem obtinuit, conciliatis sibi omnibus Gothis illarum partium incolis*“.

²⁾ Prokop pisze: *In Dalmatiam ingressus Mundus, cum exercitu suo, et cum Gothis, quos obvios habuit, praeliatus, illis acie victis, Salonas cepit.*

³⁾ Hahn w „*Albanesische Studien*“ (Wien 1853) mówi: „Czy te resztki Gotów przetrwały wtargnięcie Abarów i Horwatów, niewiadomo, w każdym razie czuć ten pierwiastek w elemencie słowiańskim“.

ośm pokoleń szlachty przyszło pod dowództwem Totyli z okolic Polski, które nazywają Glinianami ¹⁾. Choć tedy Totyla i Ostroil byli Gotami, to drużyna ich była w części, jeżeli nie całkowicie, słowiańską. Oprócz kolonistów rzymskich czy byli inni tuziemcy i jacy niewiadomo; były tam może resztki Skordysków i Ilirów. Nie jest rzeczą pewną, że Ilirówie byli Słowianami, ale w każdym razie ludność tamtejsza była małowliczna; później dopiero, jak wiemy z kronikarzy greckich, zaczęli napływać tam Słowianie.

Drużyna Stroila albo Ostroila była słowiańska, powiedzieliśmy wyżej; „Archidyakon“ mówi: „Nazywano ich Gotami, lecz właściwie byli Słowianami, przybyli bowiem od granic Polski czyli Czech“ ²⁾. Sam Stroil jeżeli nie był Słowianinem, to wnuk jego Bladin, Wladin używał już słowiańskiego języka. Píše „Presbyter“, że za panowania Wladina wszedł do ziemi jego mnogi lud, który mówił *tym samym językiem* co i on, lud zaś ten był *słowiański* ³⁾.

Państwo potomków Ostroila nazywało się *słowiańskie*: „Presbyter“ daje tytuł swojej kronice „Regnum Sclavorum“; „Archidyakon“ ⁴⁾ zaś mówi: że „wódz Gotów panował nad całą Słowiańszczyzną“.

¹⁾ Venerant de partibus *Poloniae*, qui *Lingones* appellantur, cum Totila, septem vel octo Tribus Nobilium (Hist. Salon. p. 541 Schwand.).

Lingones, według Szafarzyka (Słow. Star. 904) są Glinianie z nad Łaby.

²⁾ *Gothi* a pluribus dicebantur, et nihilominus *Sclavi*, secundum proprietatem nominis eorum, qui de Polonia seu Bohemia venerant (cap. VII).

³⁾ Rex Bladinus cernens quod maxima multitudo populi esset cum eis, fecit pacem, coeperuntque se utrique populi valde inter se diligere, id est *Gothi*, qui et *Slavi*, et *Vulgari*, et maxime quod ambo populi gentiles essent, et *una lingua* esset omnibus (cap. VI). Kodeks słowiański mówi: I wideci kral Bladin czudesa toga puka, i mnożtwo weliko, i razumi da *jednim jazykom* gowore, mnogo bi wesel. . . (Wyd. Sack. str. 10).

⁴⁾ Dux *Gothus*, qui toti praeerat *Sclavoniae*. . . (cap. VII).

Granice tego państwa gocko-słowiańskiego za Wszewołoda, syna Stroilowego, rozciągały się daleko, sięgały Polski ¹⁾.

Drugi dowód istnienia państwa *gocko-słowiańskiego* opieramy na tem, że tamtejsi władzcy zwali się *królami*.

Tytułu króla nie przybierał wówczas każdy, kto chciał, ale nadawali go papieże zwyczajnie. Władzcy Prewalitanii tytułowali się królami. Nie czytamy nigdzie, aby jaki papież, albo kto inny *nadał* im ten tytuł, ale wiemy, że papieże i inni *używali* w listach, które pisali do nich lub o nich, tego tytułu ²⁾.

Żupani horwaccy nie zwali się królami, ani ich też tym tytułem darzono, Zwonimir dopiero w r. 1078 od św. Grzegorza otrzymał tę godność. Serbscy Żupani, jakkolwiek należący do obrządku wschodniego, papieża prosili i u papieża wyprosili sobie ten tytuł. Stefan w r. 1222, przez brata swego Sawę, legata Honoriusza III był koronowanym. Brat Stefana Wułkan albo Wukan owdładnąwszy ziemiami nad Zentą panował w Skadarze, pisał się *panem na Raszy*, a prosił papieża o tytuł królewski dając za powód, iż panował w kraju, który dawniej dzierżyli *królowie* ³⁾.

Kronikarze horwaccy wprawdzie, sam nawet „Archidyakon“ przed Zwonimirem jeszcze tytułują niektórych Żupanów królami,

1) Ipse autem Sevioladus, Bosnae, Valachiae, usque ad Poloniae fines, et Dalmatiae Croatiaeque imperavit (cap. III). Tego wyrażenia kronikarza duklańskiego nie należy brać w tem znaczeniu, że wszystkie te kraje stanowiły jedno państwo, lecz znaczy prawdopodobnie, że te kraje zajęte i rządzone były przez książąt słowiańskich zostających z sobą w pewnym politycznym związku, lub przyjaznych stosunkach.

2) Rajmund d'Agiles i Willermus arc. Tyru w opisie wyprawy krzyżowej, która przechodziła przez Iliryę pod dowództwem hrabiego z Tuluzy mówią, iż gdy tenże przyszedł do Skadaru, podarunkami starał się ująć tamtejszego władzcę, którego nazywają „rex Sclavorum“.

Tym królem Słowian był prawdopodobnie Bodin (Wodin, Woin), syn Michała; około r. 1073 opanował był on część Bułgarii, ale w niej się nie utrzymał, umarł w Skadarze około 1100 r. Według Szafarzyka tym królem był Wułkan.

3) Archidyakon mówi: „Habebant namque ex succesione *suae originis* patrum et proavorum, dominium Regni Dalmatiae et Croatiae“ (cap. XII).

papież Aleksander II. również (1061—1073) pisze: *Episcopi et Regi Dalmatarum* ¹⁾, ale ten tytuł odnosi się właściwie do królów gocko-słowiańskich. W kronice „księdza duklańskiego“ można wyczytać, iż istniały stosunki polityczne między Horwatami dalmackimi a królami słowiańskimi, stąd Żupani horwaccy w skutek podboju lub spadku dzierżyli czasami kraje prewalitańskie i mogli słusznie tytułować się królami.

Istnienie *osobnej* metropolii dla państwa leżącego nad Cetą (Zeta, Zenta) ważne stanowi świadectwo. Horwaci i ogólnie Dalmaci mieli swoją metropolię Solińską, Serbi mieli swoją w XIII-tym wieku za Sawy, metropolia zatem, która sięga VI-go stulecia jeżeli nie wcześniej, a której stolice bywały w Skadarze, Dukli i Barze, musiała należeć do państwa niezależnego, a tem państwem mogło być tylko państwo *gocko-słowiańskie* ²⁾. Ostrogoci byli chrześcijanami ³⁾; skażeni w początkach arianizmem porzucili swe błędy i wraz z osadnikami rzymskimi, których tu zastali, mogli byli utworzyć poważną liczbę ludności katolickiej, wymagającej podziału na biskupstwa, poddane metropolii niezależnej od obcego rządu.

Zresztą nietylko nazwy miejscowości w tym kraju ⁴⁾, oraz

¹⁾ W dokumentach, które my uważamy za podrobione, znajdują się inne jeszcze listy papieżów do żupanów horwackich (przed Zwonimirem), których tytułują królami.

²⁾ Scodra... „*sequenti saeculo (VI) ius nomenque Metropolitanum adepti cum esset, a Provincia Salonitana divulsa fuit cum aliquot Ecclesiis Praevalitanae Provinciae, quae regio ut in Dalmatia superiori ad Orientem extrema, inter quas erat Diocleensis, quam Lucas Holstensis*“... (Farlati, tom. III, p. 9).

³⁾ „*Quamvis pravi essent et feroces, tamen Christiani erant, sed rudes valde. Ariana erant labe respersi, Gothi a pluribus dicebantur; et nihilominus Sclavi, secundum proprietatem nominis eorum; qui de Polonia seu Bohemia venerant*“ (Arch. cap. VII).

⁴⁾ Rasz, Rasza, Raszka (Rasch); Zeta i Zenta nazwy głównych siedzib tutejszych władców nie są słowiańskie.

O Raszy albo Rasce wspomina Porfirogenita: Niemaniec owdągnął tem miastem i zwali się „panami, żupanami“, a wreszcie i „królami raszkimi“. Kraj nazywano *Raszą*, mieszkańców *Raszanami*. Madiary dotąd zowią Serbów *Racami*; pod nazwą Raców znani są również naszym historykom.

Nowy-Bazar (Nowy-Pazar) dzisiejszy jest prawdopodobnie zbudowany na gruzach Raszy.

pomniki piśmienne języka gockiego i słowiańskiego wykazują długie obcowanie Gotów z Słowianami, lecz nadto obcowanie to ściślej i dłuższemu musiało być w tej właśnie części południowej Słowiańszczyzny¹⁾.

Książę Duklański w swym latopisie właśnie podaje nam dzieje tego gocko-słowiańskiego państwa. Latopis ten znajdujący się w trzech niezupełnie zgodnych z sobą kodeksach potrzebuje być przebrany, sprostowanym i dopełnionym, służyć jednakże winien za główne tło historii tego państwa, które jakkolwiek w swych zewnętrznych stosunkach nie wywierało wpływu na sprawy ogólnoeuropejskie, dla Słowian jednak ważnym jest pomnikiem historycznym: było ono najdawniejszym państwem słowiańskim,

Dawnych władców w tych krajach rząd i pisarze bizantyjscy zwali: „Panami Zenty“ (Dominus Zentae); późniejsi serbscy żupanowie i królowie w tytule swoim umieszczali zawsze ten kraj. Czy dzisiejsza Cetynia nie przypomina dawnych Zeta, Zenta?

Rach po gocku znaczy strumień; *Zand*, *zent* po staro-niemiecku zapalić.

Łacińscy kronikarze piszą różnie: Rassa, Razia, Racia. Stąd niektórzy pisarze błędnie rozumieją i mieszają Rassa, Rasia, z Rosyją lub z Rusią. X. Petruszewicz w broszurce swej pod tytułem: „Краткое историческое извѣстие о введеніи христіанства въ предкарпатскихъ странахъ“ przytaczając wyjątek z listu Jana XIII, z r. 972 „Verum tamen non secundum ritus aut sectam Bulgariae gentis vel Ruziae“... wywodzi z tego wiele przeróżnych rzeczy, a między innymi, że już wówczas obrządek grecko-słowiański nazywał się *ruskim* i że papież ten obrządek prześladował. Otóż ani jedno, ani drugie prawdą nie jest. Nie jest tu mowa ani o Rosyi, ani o Rusi, mowy wówczas jeszcze o tem być nie mogło, lecz o Rasie; nie występuje też papież przeciw obrządkowi wschodniemu, lecz przeciw sekcji bogumilskiej, która już była wówczas z Bułgarią dostała się do Rasy.

¹⁾ Szafarzyk po wylczeniu dość długiej listy wyrazów, które przeszły z jednego języka do drugiego, mówi: „Cyryl i Metody, podług wszelkiego podobieństwa, znali pismo gockie Ulfilas’a, a w przekładzie cyrylskim Pisma Ś., równie jak w dzisiejszym języku bułgarskim i w dawnych zakonach serbskich najwięcej słów gockich napotyamy. W latopisach wieków średnich znajdują się świadectwa, że szczątki Gotów mieszkaly jeszcze i za czasów Słowiańskich w górach Mezji, Pautalii, Dardanii, a szczególnie w Epirze i w krainie zwanej Praevalis; to wszystko wymagałoby gruntowniejszych badań“ (Star. Slov. str. 348).

nadto w ścisłych zostawało związkach z innemi państwami południowo-słowiańskimi, które w sąsiedztwie lub na jego gruzach powstały. Był czas, iż to państwo zajmowało znaczne przestrzenie. Dzisiejsza górna Albania, Dalmacya, Istria, Czarnogóra, Hercegowina, Bośnia, Serbia w skład jego wchodziły; Śrem i księstwo panońskie, jeżeli nie podlegały temu samemu berłu, federacyjny przynajmniej stanowiły związek. Za panowania króla Świętopełka odbył się wielki wiec w Dalmie (Duwno), (utrzymują że w r. 877 ?.), na którym oprócz króla, znajdowali się legaci papiescy, banowie, książęta, żupanowie i mnóstwo ludu. Ustanowiono tam nowy podział kraju tak polityczny, jako i kościelny. Państwo podzielone zostało na cztery wielkie prowincye; na czele prowincyi stał *Ban*. Horwacya dzieliła się na *białą* i *czerwoną*, Surbia (sic) na *Bošnią* i *ziemię raszką* albo *Rasę*. Dwie były metropolie: *splécka* w Horwacyi białej, — do niej należało 9 biskupstw — i *duklańska*, w której 12 biskupstw rozrzuconych było w trzech innych prowincjach ¹⁾.

1) „*Maritima* in duas divisit provincias a loco Dalmae, ubi rex tunc manebat, et synodus tunc facta est, usque ad Valdevino, vocavit *Croatiam albam*, quae et *inferior Dalmatia* dicitur, cui inferiori Dalmatiae, consensu Domini Papae Stephani, et legatorum ejus, instituit *Salonitanam Ecclesiam metropolim*, sub cujus regimine has Ecclesias statuit, videlicet: *Spalatum*, *Tragurium*, *Scardonam*, *Arausonam*, quod nunc est Castellum Jadre, *Enonam*, *Arbuam*, *Absarum*, *Vegliam*, et *Epidaurum*, quod nunc dicitur Ragusium; item ab eodem loco Dalma, usque Bambalonam civitatem, quae nunc dicitur Dyrrachium, *Croatiam rubram* vocavit, quae et *superior Dalmatia* dicitur, et sicuti inferiori Dalmatiae Salonitanam Ecclesiam constituit metropolim, simili modo superiori *Diocletanam Ecclesiam*, pro jure antiquo, statuerunt metropolim. Sub cujus regimine has Ecclesias declararunt, scilicet *Antibarium*, *Buduam*, *Ecataram*, *Dulcignum*, *Suacium*, *Scodram*, *Drivastum*, *Polletum*, *Sorbium*, *Bosonium*, *Tribunium*, *Zaculmium*. Surbiam autem, quae et Transmontana dicitur, in duas divisit provincias, unam a magno flumine Drina, contra occidentalem plagam, usque ad montem Pini, quam et *Bosnam* vocavit; alteram autem ab eodem flumine Drina, contra occidentalem plagam, usque ad Lapiam et Lab, quam *Rassam* vocavit“ (Presb. Diocl. Schwand. cap. XII).

Kodeksy Marulića i Papalića (słowiański) mają w treści to samo; jednak nazwiska biskupstw są wypuszczone.

Z historią tego państwa należałoby zestawić dzieje ludu, który w VII-ym w. zajął część ziem dalmackich i w nich się osiedlił. Sprostanie temu zadaniu, dla braku potrzebnych źródeł, nie jest naszym obecnie zamiarem; dokładność jednak i całość głównych rysów, które podajemy, wkładają na nas obowiązek naszkicowania tak wiernych kształtów, iżby przyszłe uzupełnienie w nichem ich niezmieniło.

Między zajęciem Iliryi przez Gotów, a wejściem tamże Horwatów i Serbów, wtargnęły były do tych krajów liczne zastępy Abarów; zburzyli Solin, wypędzili Rzymian i osiedlili się.

Rok wtargnięcia Abarów do Dalmacyi różnie przez różnych jest podawany. Porfirogenita, opisujący obszernie te zdarzenia, pomylił się w dacie, a raczej przepisowacze błąd ten popełnili. Abarzy zburzyli Solin ¹⁾ za Herakliusza, a więc między 610—642 r., ponieważ zaś Jan IV. papież (639—641), rodem z Dalmacyi, wysłał był tamże Marcina opata celem wykupienia chrześcijan, których tłuszcza pogańska w niewolników obróciła, rok 640 przyjmują niektórzy za najprawdopodobniejszy. Jednakże, jeżeli tymi poganami nie byli Abarowie, ale Horwaci ²⁾, zburzenie wówczas

¹⁾ Salona, po słow. Solin, była wielkiem miastem rzymskiem w Dalmacyi. Leżała blisko dzisiejszego Splétu (Spalato, Spalatro) zbudowanego na gruzach pałacu Dyoklecjana. Jakkolwiek wiara chrześcijańska zawitała tu za czasów jeszcze apostolskich, i pierwszym biskupem solińskim był Ś. Dujam (Domnius, Doimus), uczeń Ś. Piotra, pogańska jednak cywilizacya podsycana bogactwem takie tu zapuściła korzenie, że miecz tylko barbarzyńców mógł położyć tamę szerzeniu się jej szkodliwych wpływów. Archidyakon (cap. VII) tak opisuje obyczaj tego miasta: „Non erat Rector sapiens, . . . justitia procul aberat, totum pravitas occupabat. . . odia, rapinae, usurae, perjuria, et alia facinora totam invaserant civitatem. . . Improba Venus omnem ordinem, omnem sexum et aetatem absque ullo pudoris velamine sordidabat, dissolutio voluptatis marcebat in juvenibus, obstinatio, avaritia, vigebat in senibus, veneficia in mulieribus, perversitas in omnibus abundabat.“ Według opowiadania Porfirogenity, Abarowie wraz z Słowianami pobiwszy i popleniwszy rzymskich żołnierzy grabiących ich ziemie, przeszli Dunaj, a przybrani w zbroje i ryszunki legionistów podstępem wzięli najprzód *Klisę* (Clissa), obronny zamek i klucz stolicy, a następnie i miasto.

²⁾ Więcej do prawdy jest podobnem, że to byli Horwaci, albowiem Baroniusz mówi: „Qui (Martinus) veniens ad partes Dalmatiae, multos

Solina można naznaczyć wcześniej na lat kilkanaście; w skutek przegranej bitwy z Samkiem, mogli byli Abarowie szukać schronienia za Sawą, a więc przed 630 r.

Drugim, ważniejszym nierównie pytaniem jest rozstrzygnięcie narodowości *tych Abarów*. Jedynym kronikarzem opisującym dokładnie zajęcie Solina jest Porfirogenita; Archidyakon, trzy wieki po nim piszący, widocznie pobałamucił, pomieszał wcześniejsze zajęcie Solina przez Gotów ze zburzeniem jego przez Abarów. Mury Bizancyum niejednokrotnie widziały Abarów i Słowian razem, ale widziały ich też i oddzielnie, władca tedy wschodni musiał znać i rozróżniać ich dobrze, zdobycie jednak Solina przypisuje to Abarom, to znowu Słowianom, mówi też: Abary to jest Słowianie ¹⁾.

Słowianie walczyli w szeregach Abarów czasem przymusowo ²⁾, czasami też wiedzeni chęcią grabieży dobrowolnie przyłączali się do nich. Luczić opierając się na wielu wiarogodnych świadectwach utrzymuje, że pod Solinem znajdowali się Słowianie ³⁾. Porfirogenita w opisie swym mówi, że po zdobyciu Solina, Abarowie wraz z Słowianami *osiedlili się* w tym kraju ⁴⁾; a że Abarowie stawiali tylko tymczasowe *hringi*, rodzaj obronnych

redemit captivos a *Scclavis*. . . multorum Sanctorum reliquias accepit in partibus Dalmatiae et *Istriae*“ . . . (Annal. Eccl. t. VIII, ad an. 461). O ile wiadomo, nie Abarowie zajęli byli Istryą ale Horwaci.

¹⁾ „ . . . Invenerunt Scclavinos, qui et Abari nuncupati. . . Scclavi qui trans flumen habitabant, qui et Abari dicti. . . Hoc igitur consilio Scclavi sive Abari“ . . . (cap. 39).

²⁾ Fredegariusz wyżej wzmiankowany.

³⁾ „ . . . Slavos autem socios Avarorum fuisse ex Zonara et clarius ex Theophylacto Simocata in Mauritio constat“ (De Regn. Dalm. lib. 1, cap. IX).

⁴⁾ „ . . . Ibique sedibus positus paulatim ex eo tempore incipientes praedari, Romanos in campis et locis editioribus habitantes deleverunt, eorumque loca invaserunt“ . . . (cap. 29).

„Ex eo tempore Dalmatiam universam occuparunt, sedemque illic suam collocarunt, exceptis oppidulis mari adjacentibus, quae se ipsi non tradiderunt, sed in Romanorum potestate permanebant, eo quod ex mari victitarent. Videntes itaque Abares pulcherrimam esse hanc terram, sedes illic posuerunt“ (cap. 30).

okopów, a nigdzie stałego mieszkania nie obierali ¹⁾, ztąd należy wnioskować, iż pod osłoną wojowników, całe jakieś plemię słowiańskie zajęło część tego kraju. Co się stało z tymi Abarami i z całym tem pokoleniem?

Abarowie nie posłowiańszczyli się, ani też nie wyginęli; za czasów Porfirogenity byli jeszcze Abarowie ²⁾, ale jakiemu losowi później ulegli, żaden historyk nie wspomina. Czy plemię, które jeszcze dziś częściowo zamieszkuje Dalmacyą, które co do języka, zwyczaju, typu zewnętrznego niema nic wspólnego ze Słowianami, Grekami i Romanami, których sąsiadujący Słowianie nazywali i nazywają *Arbanasi*, a ogólnie znani są pod nazwą *Albani* — nie są resztkami dawnych *Abarów*? Obecnie stawiamy to przypuszczenie, a kiedyindziej nieco obszerniej o tem pomówimy.

Jeszcze mniej, a nawet nie zgoła historycy nie wspominają o dalszych losach plemienia słowiańskiego, które wraz z Abarami obróciło Solin w gruzy ³⁾. Dziwić się temu niemożna. Od VI-go w. począwszy, przez kilka następnych stuleci plemiona słowiańskie osiedlały się w różnych punktach na prawym brzegu Dunaju. Dalmacyą zajmowały plemiona po przeprawieniu się przez górny Dunaj i Sawę, inne chroniły się tam po przejściu niższego Dunaju i ograbieniu Tesalii, inne jeszcze wkraczały wprost z Macedonii. Te pokolenia jakkolwiek należały do jednego szczepu słowiańskiego, różniły się pewnie, oprócz właściwego narzecza, zwyczajami i obyczajami, jakie wyrobiły wieki wśród różnych

¹⁾ Luczić wychodząc z tego stanowiska, że Abarowie „cum patrio more mapalia incolent“, zapomina o tem że z nimi byli Słowianie i wnioskuje że Dalmacya „occupatam autem affirmari non potest“ (cap. VIII). Tym sposobem Luczić omija trudność i uwalnia się od badania dalszego tego ludu. Zdanie Luczića jest zupełnie błędne, gdyż za czasów jeszcze Porfirogenity, a zatem we dwa wieki potem Abarowie mieszkali w Dalmacyi: . . . „Suntque etiamnunc in Chrobatia Abarum reliquiae et Abares esse cognoscuntur“ (cap. 30).

²⁾ Obacz dopisek poprzedzający.

³⁾ Szafarzyk uznaje potrzebę wskazania kraju, który lud ten zajął, lecz nie wdając się w badania wypadków, które leżały po za ramami, jakie sobie nakreślił, nawiasowo tylko rzuca myśl: . . . „a mimo to geště tři giné župy, spravovane od bana (snad z Awarůw?) chorwatskému knžeti poddaného“. . . (Slov. star. str. 665).

okoliczności; jednakże gdy losy wypraw rzuciły je na jedną ziemię, przez ciągle obcowanie pokoleń tych z sobą różnice te zacierały się, a stąd dla cudzoziemskich szczególnie pisarzy niepodobieństwem było rozeznąć je i drobiazgowo klasyfikować. Cenne zapiski Porfirogenity, otrząśnięte z bizantyjskich przechwałek i stereotypowych frazesów, pozwalają jednak spostrzedz między osadami słowiańskimi jedno pokolenie, tak wybitnie wyróżniające się od innych, iż oprócz pokrewieństwa języka, nie ma z nimi nic wspólnego; jeżeli zaś dopełnimy dzieje tego plemienia z dzieł późniejszych historyków i zestawimy je z wielu szczegółami odnoszącymi się do Abarów oraz z etnograficznymi stosunkami ludu obecnie kraj ten zamieszkującego, przychodzimy do wniosku, że ten właśnie lud słowiański wszedł z Abarami do Dalmacyi.

Między pokoleniami słowiańskimi, które podzieliły się Dalmacją, wymienia Porfirogenita jedno, któremu daje nazwę *Neretwian* (Nereczanie, Arentani, Nerentani); sąsiedzcy Słowianie nazywali ich *Poganami* (Pohani), jak zaś sami siebie zwali, niewiadomo. Zajmowali oni kraj pomorski (Pomorze, Pomorie) między Cetyną a Neretwą i cztery większe otoki: *Kurczolę* (Kurkur, Kiker, Kurkra, Curzola), *Mlit* (Meleta, Meleda), *Bracz* (Bartzo, Bratzis, Brazza), *Hwar* (Pharos, Phara, Lesina). Kraj ich na lądzie stałym dzielił się na trzy żupy: *Rastoca*, *Mokron* i *Dalen*; dwie pierwsze leżały nad morzem, Dalen zaś głębiej. Miasta większe były: *Mokro* (Μοκρον, dziś Makarska), *Wrulia* (Βερουλλια), *Labiniec* (?), *Ostrog* (Zaostróg), wreszcie *Dalen* (Δαλεν). Czy to miasto było starem Delminium (Delmen, Dlmno, Duwno), nie jest rzeczą pewną, gdyż to ostatnie leżało wśród posiadłości horwackich. O pochodzeniu Neretwian Porfirogenita przytacza swój stereotypowy frazes¹⁾, który też z tego powodu niewiele nas poucza; nierównie ważniejszą jest wiadomość, iż posiadali łodzie i zajmowali się hodowlą bydła.

¹⁾ „Regio etiam illa, quam nunc Pagani incolunt, primitus a Romanis tenebatur, quibus Roma deductis Imperator Diocletianus in Dalmatia sedes assignavit. Et oriundi sunt etiam ipsi Pagani a Serblis non baptizatis, ab eo scilicet Principe, qui ad Heraclium Imperatorem confugit“. . . (cap. 37).

Neretwianie słynęli ze swoich wycieczek morskich, postrachem byli nietylko okrętów żeglujących po Adryatyku, ale wpadali nawet na ląd stały, pustoszyli i grabili ziemie weneckie, nie przepuszczali też pobratymcom swym Horwatom i Serbom ¹⁾. W XI-tym dopiero wieku potężna Rzeczpospolita wenecka położyła kres ich napadom i niezależności zarazem.

Cały cztero-wiekowy przebieg dziejów tego małego, ale ruchliwego państwa wykazuje *odrębność* plemienną od innych, pokrewnych, a z niem sąsiadujących. Neretwianie nie łączyli się politycznie ani z Horwatami, ani też z tymi, których Porfirogenita zalicza do Serbów. Nie przyjęli religii chrześcijańskiej i stąd nazwa Pogan, dana im przez innych Słowian. Oni jedni ze wszystkich Słowian południowych byli najzręczniejszymi żeglarzami. Wbrew powszechnemu zamiłowaniu Słowian do rolnictwa żyli z hodowli bydła, a głównie z łupieztwa morskiego. Te okoliczności powodują do sądzenia, że lud ten przed zajęciem jeszcze nowych siedzib musiał się znajdować w warunkach sprzyjających temu rodzajowi życia i zatrudnienia; albowiem choćby tu był zastał resztki Liburnów, którzy mu mogli przekazać swą starą sławę i zręczność żeglarską, nie możnaby jeszcze zrozumieć, dlaczego i Horwaci nie poszli byli tym samym torem. Skąd tedy pochodził ten lud?

Wiemy, że Windowie nadbałtyccy groźnymi byli swym wrogom na morzu, ale daleka to droga do Adryatyku; pisarze bizantyjscy, a między nimi Theophylactus, wspominają o Słowianach osiadłych nad Dunajem: trudnili się żegluga, przeprawiali przez rzekę barbarzyńców dążących po złoto do Bizancyum. Ci Słowianie żyjąc w poddaństwie Abarów, przemocą lub namową połączyli się ze swymi panami i na wspólny rachunek zajęli ziemię około Solina. Parci przez Horwatów, przeszli Cetynę, nie dali się stąd już wyprzeć, a nadto jako świadomi sztuki żeglarskiej zajęli cztery wielkie otoki. Co się stało z ich panami, pod których znakiem zajęli te kraje, pomówimy gdzieindziej; tu zwrócimy tylko

¹⁾ Stritter II, 413. Danduli Chron. ap. Mur. XII, 182, 186. Lucz. I. II, c. 2. Szaf. 655.

uwagę na tę okoliczność, iż długoletnia niewola Neretwian u Abarów winna byławycisnąć na nich odrębne piętno, i w rzeczy samej wycisnęła ¹⁾. To co mówi Archidyakon o ich zwyczajach ²⁾, przypomina opowiadanie dawnych kronikarzy o Sarmatach i Hunach; Engel ³⁾ przypisuje im zwyczaje tatarskie. Sapięzę zastanawiały sto lat temu ich ubrania, golone głowy i kosy mongolskie ⁴⁾, co i po dziś dzień, acz już rzadko, napotkać jeszcze można. Dzisiaj jeszcze w tych krajach uderza różnica charakterystyczna między mężczyznami o czarnych splotach, ognistym wzroku i ostrych rysach, a niewiastami mającemi wybitne znamiona łagodnych Słowianek. W końcu nadmienić tu wypada, iż obznajomienie się dokładne z etnografią Morlachów i Uskoków, którzy w tylu znanych punktach zbliżają się obyczajami i zwyczajami swoimi do dawnych Neretwian, posłużyłoby do gruntowniejszego rozwikłania naszego zadania. W obecnym jednak stanie wiadomości, kiedy same ich nazwy są dla nas za-

¹⁾ To jest zdanie Szafarzyka: „Ostatkowe Awarów jeszcze za ces. Konstantina (949) należeli se w Dalmatii, isauce od Chorwatów jazykiem i mrawy rozdjlńj; aniż jest nepodobné, że to, což nowiejszi spisowatelé w powaze a obyczeih nyniejszych Morliaków z niewiedomości za tatarské anebo kirgiské wyhlaszujj, własné od Awarów pochazj“ (St. Sl. 664).

²⁾ . . . per montes et silvas oberrantes, agrestem vitam ducebant, ex asperitate quidem patriae naturam trahentes armorum, asperitatibus, invasionibus, praedationibus, ferino more gaudebant, bellaces valde, et quasi pro nihilo ducentes se morti exponere, nudos se plerumque hostibus armis obiiiciunt (cap. VII).

³⁾ Engel Gesch. v. Dal. 231—234.

⁴⁾ „Obywatele tutejsi używają stroju znaczniejszym Morlachom właściwego. Składa się bowiem z opiętych spodni na kształt węgierskich, z kaftanika tejże barwy (?) obszytego sznurkami podobnego koloru, z kontusza bez wylotów, po staropolsku na opaszki zrobionego, z kółpaka nakoniec z aksamitu czarnego na głowie i butów czerwonych. Pospolity w ich odzieniach jest kolor niebieski i karmazyn; i jedynymi oni są z Morlachów, u których pałasz turecki przy boku, oprawiony w srebro, zastępuje miejsce noża. Strój obywatelów Sygna odpowiada ze wszystkim opisowi odzienia dawnych Polaków, znajdującemu się w Strykowskiem; a to tem więcej, że długie z włosów kosy, noszą tak jak my, przed (?) przyjęciem strojów tatarskich“. . . (Podróże do krajów słow. str. 174). . . „Na wyspie Arabie mieszkańcy zatrzymali tatarskie głów golenie, nie zostawiając tylko na wierzchu głowy czub z włosów, czasem strzyżonych, a czasem po chińsku długą spletaną kosą zakończonych“ (str. 61).

gadkowe ¹⁾, poprzestajemy na rzuconych wyżej myślach, które do gruntowniejszego badania posłużyć mogą. (C. d. n.).

X. W. Zuborski.

¹⁾ Nieznanem jest dotąd pochodzenie wyrazu *Morlach*; wszystkie dotychczasowe przypuszczenia opierają się jedynie na brzmieniu wyrazu. Jedni utrzymują iż pochodzi od *Mauro* i *Wlachi* i w tym razie znaczyłoby: *Czarni Wlachi* czyli *Czarni Łacinnicy*, albo *Czarni Pasterze*, lub wreszcie *Czarni włóczędzy*; inni część wyrazu, *Mor*, biorą za skrótowy *Morski*, a ztąd znaczenie jego byłoby *Morscy włóczędzy*. Sam już wyraz Wlach, Vlach, Lach, Lah, Wołoch, Włoch używany jeszcze przez Nestora i wszystkich dzisiaj Słowian niewiadomego jest pochodzenia. W Dalmacyi i Bośni Horwaci po dziś dzień nazywają Serbów *Vlach*, w Serbii i Morawach *Wlach*, *Walach* znaczy pasterz. W anglo-saksońskim narzeczu *Vealh* oznaczało nazwę plemienia celtyckiego; *Walach* w staro-niemieckim języku wyrażał włóczęgę. *Wlaka* po horwacku znaczy bronę; po polsku mówi się *włóczyć* (bronować), *włócznia* ma ten sam rdzeń.

Serbi nazywają *Stary-Wlach* kraj między Ibarem a Dryną, dawniejsza Rasza, obecnie Nowy-Bazar.

Anna Komnena (1083—1148) córka cesarza Aleksego I-go pisze w swej Aleksyadzie: „Mandaverat enim ei antea, ut quamplurimos posset, conscriberet milites. . . ex quibus hos fieri delectus tyronum mallet, nempe Bulgaros, et pastoritiae duratos vitae laboribus agrestis, juvenes incertis sedibus vagos, quos communis dialectus Blachos (Βλάχος) vocare consuevit“ (Alex. lib. 8. pag. 227, edit. Paris). Po arabsku *phalach* znaczy rolnik, wieśniak.

Czytamy w kronice horwackiej: „Posli obujaše Sledusiu, i pojdoše u Macedoniu i nju prijaše i syu zemlju Latinsku, ki se onada Rimljane drżahu, a sada se zovu Črni latini, kih cesar“... (kod. słow. Črnić. str. 8). W kodeksie łaciń. ks. Duklańskiego: „post haec totam provinciam Latinorum, qui illo tempore Romani vocabantur, modo vero *Moroulachi*, hoc est *Nigri Latini* vocantur“.

Pod nazwą *Uskoków* znani byli wychodźcy bośniacy i zachelmscy, którzy śmiałymi napadami zjednali sobie sławę w XVI. i w XVII. w.; nie tylko groźnymi byli dla Turków, ale i sama Wenecya na morzu i na lądzie doznawała częstych skutków ich strasznej zemsty za swą dwulicową politykę. Dalmaci dawali im również nazwę *Vlasi*. Ciekawą jest rzeczą, że Archidyakon, mówiąc o ludzie horwackim, nazywa go *Curetes*: „Chrovatia est regio montosa, a septentrione adhaeret Dalmatiae: haec regio antiquitus vocabatur *Curetia*, et populi, quae nunc dicuntur *Croatae* dicebantur *Curetes*. . . quasi *Currentes* et *instabiles*: quia per montes et silvas oberrantes, agrestem vitam ducebant“... (caj. VII).

Po sanskrycku *arwant*, *arwat* znaczy koń; *aurwant*, *aurwanto* z zendzkiego *currens*, *currentes* (Gram. comp. Bopp. s. I, p. 99).

Klemens książę Metternich.

1773—1859.

Mémoires, documents et écrits divers, laissés par le prince de Metternich, chancelier de cour et d'état, publiés par son fils. T. I—VII.

Żywot człowieka, który przez pół wieku bez mała wmięszany był bezpośrednio w najważniejsze sprawy europejskie, wart bliższego poznania. Nam jeszcze niemal współczesne nazwisko księcia Metternicha spotyka się na każdej karcie dziejów pierwszej połowy bieżącego stulecia, i w pewnym sensie do najpopularniejszych należy; lecz charakter osobisty, rola istotna, polityka, uczynki kanclerza austriackiego były dotąd mało znane, lub niedokładnie i błędnie wystawiane. Ludzie, co pamięcią sięgają tak zwanych rządów metternichowskich, jemu przypisywać zwykli wszystko złe, jakiego doświadczali; powszechność sądziła o nim według podań nieprzyjaciół, których kanclerz, jak każdy mąż publiczny, miał wielu i zaciętych; u nas zwłaszcza imię Metternicha długo uchodziło za synonim reakcyi i ucisku, chytrości i podstęp. O ile to wszystko słusznem jest i sprawiedliwem, przekonać się dziś nietrudno, przy pomocy wiarogodnych świadectw.

Niedawno historyk pruski Oncken wyświecił na podstawie hanowerskich i wiedeńskich archiwów europejską politykę Metternicha w epoce poprzedzającej zawiązanie koalicyi roku 1813¹⁾.

¹⁾ Oesterreich und Preussen im Befreiungskriege v. Wilhelm Oncken. Berlin. 1879. T. 2.

Jednocześnie prawie syn kanclerza rozpoczął pod tytułem na wstępie wypisanym ogłaszać zbiór pism i dokumentów, które dotąd siedm tomów zapełniają i kończą się na roku 1848 ¹⁾. Na czele zbioru umieszczona jest autobiografia kanclerza, doprowadzona tylko do kongresu wiedeńskiego. Dalszy ciąg składają depesze urzędowe i poufne, listy polityczne i prywatne do rozmaitych adresowane osób, memoryały i pisma różnorodne, tudzież bardzo interesujące wyjątki dziennika trzeciej żony kanclerza, słynnej z bystrego umysłu i dowcipu Melanii Zichy. Wydawca nie wyczerpał do dna ani rodzinnych, ani rządowych archiwów; wszystko wydrukować, co kanclerz kiedy napisał, było rzeczą materyalnie niepodobną i bezużyteczną; niejedno, z świeższych mianowicie czasów, dyskrecya nie pozwoliła podawać do publicznej wiadomości. Zbytecznem dodawać, że syn, ojcu stawiając pomnik, starał się postawić jak najwspanialszy. Wartości zbioru i wiarogodności to nie umniejsza. Pamiętniki kanclerza są i pozostaną prawdziwą kopalnią historycznych materyałów do biografii człowieka i do dziejów Europy.

I.

Klemens Metternich przyszedł na świat w 1773 roku, w Koblencji, z rodziny liczącej się do hrabiów państwa rzymskiego, katolickiej, osiadłej nad Renem i w Czechach; ztąd z dawnym rzeczy porządkiem i z domem austryackim ściśle związanej. Ojciec Metternicha, człowiek wyobrażeń swego czasu i położenia, zajmował wysokie urzędy. W dzieciństwie wychowywali Klemensa pod okiem rodziców kapłani katolicy; temu zawdzięczał grunt stałość dobrych i zdrowych zasad, podczas gdy inne okoliczności wcześniej wciągnęły go w zetknięcie z duchem, który przysposabiał wybuch rewolucyi francuskiej. W trzynastym roku życia, dodano mu drugiego guwernera, Fryderyka Simona, protestanta, pedagoga z zawodu, który później został członkiem

¹⁾ Tom ósmy ma ukazać się niebawem. Dzieło wychodzi jednocześnie w języku niemieckim, francuskim, i angielskim.

trybunału rewolucyjnego, pod prezydencją Eulogiusza ,Schneider a jeszcze później, w krwawym dniu 10 sierpnia 1792, stał na czele komitetu Marsylczyków. Simon towarzyszył Klemensowi i jego bratu młodszemu, gdy obaj udali się na uniwersytet do Strasburga, gdzie młodzież niemiecką nęciła na wespół francuska edukacja, i gdzie wypadki paryskie silny znajdowały odgłos. W Strasbugu naukę religii pobierał Metternich od profesora prawa kanonicznego, który, przyjąwszy cywilną konstytucję duchowieństwa, był biskupem strasburskim, następnie wyparł się wiary, pojął żonę i insygnia biskupie publicznie spalił.

W 1790, Metternich opuścił Strasburg, aby być przytomnym koronacyi cesarza Leopolda. Jego ojciec brał w niej udział jako ambasador austriacki; on sam, siedemnastoletni młodzieniec, obrany został mistrzem ceremonii, przez stan hrabiów katolickich Westfalii. Pod świeżem wrażeniem rabunku ratusza strasburskiego, uczestniczył w Frankfurcie w obchodzie niezwyklej wspaniałości zewnętrznej: był świadkiem ostatniej prawdziwie świetnej koronacyi przedostatniego cesarza niemieckiego, widział koronowane głowy chylące się przed elektem, tłumy przejęte religijnem niemal namaszczeniem, poszanowanie tradycyi i zwyczajów. Uderzał go, powiada, kontrast zachodzący między stanem Niemiec i Francyi: tu wszystko zdawało się znamionować siłę i trwałość, tam niemoc i rychły upadek.

Po koronacyi udał się do Moguncyi, na nauki prawne. Simona zastąpił przy nim guwerner duchowny, poważnego sposobu myślenia, jasno na rzeczy i wypadki patrzący. Z wdzięcznością wspomina także historyka Vogta, którego wykłady i wpływ miały się wielce przyczynić do utwierdzenia go w zachowawczych przekonaniach. Miasto i uniwersytet uległy zarazie rewolucyjnej: zawiązał się klub, profesorowie rozpowszechniali doktryny jakobińskie, studenci używali rewolucyjnego kalendarza.

Na rok 1792 przypadała w Frankfurcie nowa koronacja, cesarza Franciszka II., o wiele mniej świetna od poprzedniej, dopełniająca się pod wrażeniem rządów teroryzmu we Francyi. Metternich sprawował znowu funkcyę mistrza ceremonii, polegające głównie na urządzaniu festynów, ale dające mu sposobność wejścia w stosunki

z najznakomitszymi ludźmi, których miał następnie w publicznym zawodzie ciągle spotykać. W tej mierze niepospolite znajdował ułatwienia od pierwszej młodości. W Strasburgu opiekował się nim ks. Maksymilian Dwóch Mostów, po kongresie wiedeńskim król bawarski. Na koronacjach zbliżył się do książąt domu austriackiego, poznał monarchów niemieckich i ich następców, między innymi późniejszego Fryderyka Wilhelma III. i jego małżonkę, legendowej pamięci królowę Ludwikę. Nad Renem snuł się tłum emigrantów francuskich, kwiat starego społeczeństwa; książęta krwi mieszkali w Koblencyi. Krwią, położeniem towarzyskiem, wychowaniem, skłonnościami, Metternich stał po stronie chyłącego się ku upadkowi porządku społecznego i politycznego; czuwał nieprzewyciężony wstręt do gwałtów i nadużyć, jakimi jakobinizm znaczył swój pochód; w obcowaniu z Francuzami mógł spostrzedz niemoc obozu, z którym łączyła go tosamność opinii i życzeń. „Francuzi ówcześni, uważa, nie rozumieli rewolucyi, i z małym wyjątkiem nigdy jej pojąć nie zdołali“. Emigranci przepowiadali niezawodny a szybki pogrom ruchu ludowego we Francyi, niewzruszone pokładali nadzieje w gromadzonej nad Renem armii pruskiej; w ich mniemaniu, samo ukazanie się na granicy Fryderyka Wilhelma II., olbrzyma wzrostem i korpulencyą, wystarczyć miało do rozproszenia kup rewolucyjnych. Niemniej łudziła się monarchiczna i konserwatywna Europa. Ścięcie Ludwika XVI. i Maryi Antoniny niezmierny wśród niej rzuciło postrach, a zarazem i nowe zrodziło iluzye: zdawało się, że sama Opatrzność zbrodnie takie skarcić pospieszy. Stracenie królowej podało Metternichowi myśl napisania: *Odezwy do wojska*; młodzieńczy ten wylew zgrozy, nosi piętno czasu i okoliczności, wśród których powstał. Nieco później wystąpił z bezimienną broszurą: *O potrzebie powszechnego uzbrojenia przeciwko Francyi*, będącą wyrazem pobożnych życzeń wielu przeciwników rewolucyi, którzy na widok olbrzymich postępów pospolitego ruszenia francuskiego, upatrywali ratunek w powszechnym ruchu niemieckim. Jako minister austriacki, nigdy Metternich nie próbował tak heroicznego środka, i to jest najlepszą krytyką jego broszury.

Jeszcze cesarz Leopold powierzył był ojcu Klemensa urząd ministra pełnomocnego przy rządzie Belgii austryackiej. Była to jedna z najwyższych godności, jakie cesarz miał do rozdania, podwójnie ważna w owej porze, gdy szło o naprawę złych skutków reform Józefa II. i uspokojenie kraju po świeżo stłumionym zbrojnym ruchu. Minister pełnomocny stał na czele zarządu cywilnego prowincyi, prowadził stosunki zagraniczne, znosił się z ciałem dyplomatycznym, rezydującem w Brukseli. Podczas wakacyi spędzanych w domu rodzicielskim Klemens, pracując w biurach ojca, wglądał w wnętrze rozległego organizmu rządowego. Wypadki wojenne przerwały bieg jego nauk uniwersyteckich. Krążąc między stolicą i armią z rozkazami do dowódców wojsk, przypatrywał się zbliżka wojnie, a w Brukseli ciągnął dalej rozpoczęte studia prawne i biurowe prace. Ojciec, zamierzając wprowadzić go do dyplomacji, upatrzył dlań na początek poselstwo belgijskie w Hadze. Tymczasem dodał go do boku ajenta belgijskiego, wysłanego z misją do Londynu. Łaskawie przyjęty na dworze, Metternich zbliżył się do ks. Walii, przyszłego rejenta, poznał znakomitości polityczne, uczęszczał na posiedzenia parlamentu, gdzie toczył się właśnie rozgłośny proces Warren Hastingsa, oswoił się z instytucjami angielskimi. Z powrotem, zwiedziwszy część Holandyi, połączył się z ojcem, który po zajęciu Belgii przez Francuzów, schronił się był nad dolnym Renem.

Dobra Metternichów nadreńskie rząd francuski zabrał, wypadło przeto zająć się zarządem zaniedbanych dotąd posiadłości w Czechach. Klemens gospodarował w Königswart; rodzice tymczasem ułożyli dlań w Wiedniu związek małżeński z panną Kaunitz, wnuczką kanclerza Maryi Teresy. Ślub odbył się w Austerlitz, na lat dziesięć przed bitwą w tem miejscu stoczoną. Młode stadło zamieszkało przy teściu, który nie chciał rozłączać się z jedynaczką; Metternich pragnął oddać się całkiem życiu prywatnemu i rodzinnemu, chociaż kierunek edukacyi i położenie towarzyskie przeznaczały go do służby publicznej. „Postawiony, mówi, od młodości na stanowisku, z kądem mogłem spoglądać na bieg wielkich spraw, znajdowałem, że były one

prowadzone inaczej, niżby prowadzone być winny. Sprawy, to ludzie. Sprawy nie są czem innym, jak wyrazem przymiotów i wad ludzi, ich skłonności i błędów, cnót i występków. Byłem nieprzystępny przesądom i w każdej rzeczy przedewszystkiem szukałem prawdy; skromność strzegła mnie od pomawiania o niedołęztwo ludzi, u steru stojących; niedostatkowi własnego umysłu i niedoświadczeniu przypisywałem uczucie, skłaniające mnie do ganienia postępków innych. Ani gusta zaś, ani poczucie obowiązku nie skłaniało mnie do szukania doświadczenia. Miałem pociąg do badań naukowych, szczególnie do umiejętności ścisłych, i naturalnych, lubiłem sztuki piękne, a nie nie wzbudzało we mnie ochoty do zaprzędania własnej swobody. Zawód dyplomatyczny mógł zapewne schlebiać mojej ambicyi, lecz w ciągu całego życia ambicyi obcy pozostałem“. Szczerości tego wyznania nie ma powodu w wątpliwość podawać. Do służby publicznej wprowadziła Metternicha wola monarchy i moc zwyczaju: ojcowie służyli cesarzowi, więc i on służyć był powinien. Przez cały ciąg urzędowania, które w gruncie nie było czem innym, jak jednym pasmem złoconej niewoli, kanclerz nie przestał wzdychać za swobodą. Zawsze umiał swój czas dobrze zapełnić i użyć, nigdy się nie nudził; lubił ogrody, kwiaty, muzykę, malowidła, rzeźby, budowy, botanikę, doświadczenia fizyczne i chemiczne, towarzystwo uczonych i artystów; miał niewinną namiętność do medycyny, odbywał konsylia z lekarzami; umarł, trzymając się za puls i obserwując niknące życie. Przytem był bardzo towarzyski i światowy, i jak powszechnie wiadomo, czciciel pięknych kobiet. Udział w sprawach publicznych nie mógł go jednak ominąć, bo walka między Francją i cesarstwem stanowiła o bycie i mieniu rodzin, z istnieniem cesarstwa spojonych. Cesarz mianował Franciszka Metternicha pełnomocnikiem na kongres w Rastatt (1797—99), Klemensowi hrabiowie westfalscy poruczyli obronę wspólnych interesów i wyjednanie kompensat za zabory, dokonane przez Francuzów na lewym brzegu Renu, co familię Metternichów bezpośrednio dotykały. *L'empire est au diable, il faut en faire son deuil* — pisał do żony wkrótce po przybyciu na miejsce obrad kongresu,

który po kilkunastu miesiącach trwania speźł na niczem. Szczególnym trafem, po raz wtóry Metternich rozminął się z Bonapartem. Kiedy Metternich przybył do Strasburga, Bonaparte właśnie odjechał po ukończeniu kursów; z Rastatt wyjechał w przeddzień przybycia przyszłego przeciwnika swego. Wśród nudów, będących ostatnim wyrazem kongresu, Metternich obeznał się ze sprawami niemieckimi, stanem prowincyj zabranych przez Francuzów, z dyplomacją dyrektoryatu.

Cesarz Franciszek, mając do obsadzenia nieskończoną ilość posad dyplomatycznych, uświęconym zwyczajem przeznaczonych dla członków domów wprost od cesarstwa zależących, wymawiał Metternichowi „próżniactwo“, dodając jednak: „Żyjesz, jakbym i ja żył na twojem miejscu; bądź tylko gotów na moje zawołanie; więcej od ciebie nie żądam“. Po upadku Thuguta znaleziono niesłychany nieład w wydziale spraw zagranicznych; osobnej komisji musiano powierzyć rozpatrzenie stosów depeesz nierozpczętowanych; postanowiono także odświeżyć skład ciała dyplomatycznego. Metternichowi dano do wyboru Drezno, Kopenhagę, albo poselstwo od króla czeskiego przy sejmie Rzeszy w Ratyzbonie. Metternich poszedł do cesarza z prośbą o uwolnienie od obowiązków, którym sprostać nie czuł się na siłach. Gdy cesarz odezwał się do jego patryotyzmu, usłuchał i wybrał Drezno, jako punkt środkowy i obserwacyjny między dwoma wielkimi ogniskami polityki ówczesnej: Berlinem i Petersburgiem. Kopenhaga była zanadto daleko i na uboczu; w Ratyzbonie nie chciał być świadkiem pogrzebu cesarstwa niemieckiego.

II.

Ciekawym jest i uwagi godnym obraz ówczesnego stanu Europy i monarchii Habsburgów, ręką Metternicha skreślony, jako instrukcja na poselstwo w Dreznie, 2 listopada 1801.

„W ciągu ostatnich lat jedenastu wypadki radykalnie zmieniły położenie rzeczy w Europie. Rewolucya nałożyła formę republikańską jednej z głównych monarchii stałego ładu. Francya za-

garnęła Belgię, część Holandyi i Szwajcaryi, Sabaudyę, lewy brzeg Renu, Egipt. Wyższe Włochy zamienione w republikę demokratyczną. Polska podzielona, znikła z karty. Prusy niepomiernie wzrosły w rozmiary, przez zabór margrabstw (Anspach i Beireuth), oraz przez rozbiór Polski. Anglia zdobyła monopol handlu morskiego w skutek zniszczenia marynarki innych państw, zagarnięcia kolonii francuskich, holenderskich i hiszpańskich, podbojów w Indjach wschodnich i złamania potęgi Tippto-Saiba, naostatek przez zajęcie najważniejszych dla handlu świata punktów: Malty i przylądku Dobrej Nadziei. Wszystkie te zmiany daleko za sobą pozostawiają przewroty, spełnione w następstwie trzech wielkich wojen XVIII. wieku: wojny o sukcesyę hiszpańską, która sprowadziła przewagę Burbonów nad domem austryackim; wojny północnej, która otwarła Rosyi wrota Europy i nakoniec, wojny siedmioletniej.

„Jak tylko Rosya stanęła w rzędzie państw cywilizowanych, zawiązały się ściśle stosunki między nią i domem austryackim. Aż do wstąpienia na tron Piotra III., Rosya i Austria uważały się za naturalnych sprzymierzeńców i w samej rzeczy wszystko zdawało się sprzyjać ich wzajemnemu zbliżeniu: sąsiadowały z sobą, nie stykając się bezpośrednio; mogły rozszerzać się, nie zachodząc jedna drugiej w drogę, a nawet dopomagać sobie w tym celu; miały wreszcie wspólne w Turcyi wroga. W następstwie czasu, przyłączył się do powyższych pobudek nowy wzgląd: niebezpieczne sąsiedztwo Prus, sąsiedztwo tembardziej niepokojące, że zamiary gabinetu berlińskiego względem Polski miały wielkie widoki powodzenia. Piotr III. rzucił się na oślep w objęcia Prus. Odnowione za Katarzyny II. przymierze rosyjsko-austryackie, spoczywało na osobistych sympatyach tej monarchini ku Austrii; pobudki polityczne bowiem z dnia na dzień bardziej znikwały.

„Prusy, położeniem jeograficznem przeznaczone na współzawodnika Austrii, od czasów Fryderyka II. nieustannie rosnące w rozmiary, bez przerwy żywiły widoki i zamysły pierwszorzędnego mocarstwa, choć ludnością i zasobami liczyły się zaledwie do państw drugiego rzędu. Zabory terytoryalne i sze-

rzenie wpływu było jedynym celem polityki pruskiej, niepogardzającej żadnym środkiem, niecofającej się przed niczem, depczącej prawo narodów i reguły moralności. Alians nasz z Prusami z roku 1791 zaledwie na wspomnienie zasługuje: zerwany zaraz po zawarciu, dowiódł tylko, jak mało obie strony w jego trwałość ufaly.

„Niestaly charakter cesarza Alexandra I., który byle czem się zraza, i największemi nie daje przejednać ofiarami, niezmiernie utrudnia zarówno nam, jak i innym mocarstwom utrzymanie przyjaznych i trwałych z Rosyą stosunków. Niewyczerpane zasoby wewnętrzne Rosyi, zasoby jakich nie mają i nie znają inne kraje cywilizowane i przez cywilizacyę po części wyczerpane, tudzież możność bezkarnego zerwania każdego przymierza, albo zakończenia każdej wojny przez cofnięcie armii za nieprzebyte granice, sprawia, że Rosya, zawsze groźna, podwójnie jest groźną pod rządem, który żadnemi nie kieruje się zasadami, lecz działa za natchnieniem namiętności i chwilowego interesu. Obecny nasz do Rosyi stosunek nasuwa zastanowienia godne uwagi nad niepomniernie długą granicą, dzielącą nas od cesarstwa rosyjskiego.

„Dla Austrii, dla mocarstw sąsiednich, dla powszechnego pokoju Europy — istnienie Polski równie wielką wagę miało. Między trzema wielkimi państwami położona, Polska chroniła je od starc, nieodłącznych od bezpośredniego sąsiedztwa, i wskutek tego przedstawiała dla każdego sąsiada ściśle oznaczoną wartość; największą zaś wartość niezaprzeczenie dla Austrii i Prus. Zależpiona ambicya gabinetu berlińskiego i powszechny przewrót, pod którego zasłoną cesarzowa Katarzyna umiała przeprowadzić oddawna powzięty zamiar, umożebniły rozbiór Polski, czyn przeciwny zasadom zdrowej polityki. Wobec podziału Polski, rola Austrii była i powinna była być ściśle konserwatywną. Siła rzeczy, niepodobienstwo odwrócenia dzieła rozbioru, konieczność umniejszenia zlych nieuniknionych skutków przez uzyskanie kompensaty dla Austrii, skłoniły dwór wiedeński po długich wahaaniach do połączenia się z Rosyą i Prusami. Zysk płynący dla Prus z rozszerzenia granic i powiększenia ludności zrównoważył się z rzeczywistą szkodą, z tem mianowicie, że Prusy mają te-

raz wspólną z Rosją i Austryą granicę. Austrya w takiej samej znalazła się sytuacji. Rosya jedna, pomimo niesłychanego rozciągnięcia się ku wschodowi, mogła pragnąć zbliżenia się do ogniska spraw europejskich; lecz przyszłość dopiero okaże, czy rozbiór Polski był najlepszym środkiem do dopięcia tego celu.

„Wierne swym zasadom i widokom, Prusy w ciągu dziesięciu lat zdobyły znakomitą przewagę. Trwając w przybranej roli, gardząc prawami moralności, korzystając z nieszczęść i klęsk innych krajów, łamiąc zaprzysiężoną wiarę i dane słowo, wzniosły się do rzędu wielkiego mocarstwa. Dzięki poddaniu się najsilniejszych członków Rzeszy niemieckiej pod protektorat pruski, wpływ Prus w Niemczech podkopał powagę cesarza.

„Przeгляд położenia ogólnego dowodzi, jak dalecy jesteśmy od przywrócenia równowagi europejskiej, a z nią powszechnego pokoju. Niepomierne rozszerzenie posiadłości francuskich i wpływu angielskiego musi pierwej ulegć modyfikacyi. Monarchia austriacka, dobrze zaokrąglona, winna starać się o nowe, użyteczne związki, wzmacniać w siły, utrzymać pokój wewnętrzny i zachować swobodę działania, o ile na to pozwolą niepodobne do obliczenia wypadki przyszłe“.

Obraz ten, wierny i jasny ma wartość kartki historycznej; konkluzya zdradza bystry pogląd i umysł wytrawny.

Trzyletni pobyt w Dreźnie niewiele znaczył w życiu Metternicha. Dwór saski, usunięty z Polski, ponoszący skutki matactw obu Augustów, skrył się jak żółw w skorupie, nie znaczył i nie znaczyć nie chciał. „Cała Europa, powiada Metternich, pogrążoną była w niepokoju i obawie; Dreźnie jedno, a szczególnie dwór cieszył się niezamąconym pokojem. Zdawało się, że świat tu się w biegu zatrzymał. Francya doszła do dyktoryatu, w Saksonii wszystko zostało jak za ostatniego Augusta. Gdyby etykieta, kostium i automatyczna regularność służyć mogła państwu za podporę, w takim razie Saksonia byłaby niedosiężoną“.

W r. 1803, Metternich zastąpił w Berlinie hr. Stadyona, przeniesionego do Petersburga. Walka monarchicznej Europy z rewolucyjną Francją przybierała charakter walki z osobą Na-

poleona. Ogniskiem oporu była Anglia, a na stałym lądzie, Wiedeń i znana z biernej wytrwałości polityka austriacka; celem — sklejenie koalicji trzech mocarstw północnych, ku czemu Rosya skłaniała się chwilowo.

Fryderyk Wilhelm III. i królowa Ludwika przyjęli Metternicha jako starego znajomego i przyjaciela, ale stosunki osobiste nie ułatwiły posłowi urzędowego stanowiska. Król był człowiekiem nieobliczonego charakteru i tępego umysłu, ambitny a bojaźliwy, słaby a uparty, opanowany przez własnych sekretarzy, Lombarda i Beyma, ukrytych stronników rewolucji i płatnych przez Francję. Wycieńczone wojnami Prusy, utrzymywały armię nieproporcjonalnie wielką w stosunku do ludności i finansów, zdemoralizowaną i rozprzerzoną. Polityka pozostała jak dawniej chciwą, zazdrosną, przewrotną. Hardenberg i Stein, najtęższe głowy gabinetu, małego używali posłuchu. Haugwitz, stary krętacz, nawykły do matactw, które mu długo bezkarnie uchodziły, zamierzał i wobec Napoleona siedzieć na dwóch stołkach, stawać po stronie mocniejszego i Prusy zaokrąglać. Umacniały go w tym zamiarze starania Napoleona i sąsiadów o przyjaźń Prus. W Petersburgu panowała gorączka koalicyjna: cesarz Aleksander chciał zmierzyć się oko w oko z Napoleonem na polu bitwy, przeceniał siłę zaczepną Rosyi, lekcewał geniusz Bonapartego; polityką zagraniczną sam kierował, przy pomocy dwóch ministrów, komitetu sekretnego i mnóstwa doradców, z czego zazwyczaj bałamuctwo wynikało i co Rosyę czyniło niebezpiecznym sprzymierzeńcem. Zawarłszy traktat z Anglią o subsydyja, Aleksander wciągnął do związku Austryę; Metternichowi polecono, wspólnie z dyplomacją rosyjską pracować nad przystąpieniem Prus do koalicji. Król się wahał, Haugwitz przeczuwając przewagę Napoleona wolał słuchać propozycji francuskich, obiecujących dobrą zapłatę za neutralność, która zamykała armii rosyjskiej drogę do Niemiec. Aleksander zniecierpliwiony, idąc za radą Czartoryskiego, chciał pójść przebojem, zgnieść Prusy, Polskę odbudować, lecz na granicy zachwiał się i osobiście pospieszył do Berlina. Zgwałcenie neutralności Anspachu przez wojska francuskie popchnęło Fryde-

ryka Wilhelma w objęcia sąsiadów, ale do koalicji przyłączył się zapóźno i nieszczerze. Napoleon ubiegł tymczasem przeciwników i pobił pod Austerlitz. Austria podpisała osobny pokój w Presburgu, 26 grudnia, 1805, który ją kosztował resztę posiadłości włoskich i niemieckich i ciężkie finansowe ofiary. Haugwitz na własną rękę ułożył się z Napoleonem o aneksyę Hanoweru. Myśl koalicji została na długo zdyskredytowana, nieufność wkradała się między mocarstwa, zwątpiono o skuteczności wspólnych usiłowań, każdy zaczął myśleć o sobie i na własne tylko rachować siły.

Po pokoju w Presburgu Stadyon objął tekę spraw zagranicznych w Wiedniu. Metternich miał go zastąpić w Petersburgu. Misya nad Nową mocno mu się uśmiechała, bo poznawszy cesarza Aleksandra w Berlinie, uległ wpływowi uroku, jaki cesarz na ludzi wywierał, a w Rosji upatrywał potęgę, o którą rozbić się musiała prędzej czy później przewaga Napoleona nad Europą. Z wielką przeto przykrością, „jak piorunem rażony“, dowiedział się o swojej nominacji na posła w Paryżu. Stało się to na żądanie Napoleona, któremu myśl sprowadzenia Metternicha podsunął Talleyrand, życzący sobie przymierza z Austryą i przez posła francuskiego w Berlinie dobrze dla Metternicha usposobiony.

III.

W lipcu 1806 roku Metternich wybrał się w drogę do Francji. W Strasburgu władze go zatrzymały, wymawiając się brakiem rozkazów ze stolicy; zwłoka była umyślną, aby niedopuszczyć przybycia Metternicha do Paryża przed ukończeniem negocjacji rozpoczętej z wysłannikiem rosyjskim. Dało mu to przedsmak trudności, jakie go czekały, trudności wynikających z wzajemnego stosunku obu państw i z charakterem Napoleona.

„Napoleona ujrzałem po raz pierwszy, opowiada Metternich, na audyencji w Saint-Cloud, przy wręczeniu kredytywy. Przyjął mnie otoczony kilku osobami, w mundurze piechotnym, z kapeluszem na głowie, wbrew przyjętemu zwyczajowi, gdyż posłucha-

nie było prywatne. Wręczywszy listy wierzytelne, rzekłem, iż staraniem mojem będzie utrwalić dobre stosunki, łączące oba mocarstwa i oparte na zasadach, zdolnych służyć za podstawę stałego pokoju między niepodległymi państwami. Postać Napoleona nie odpowiadała pojęciu, przywiązanemu do osoby człowieka, przed którym drżał świat cały. Małego wzrostu, na krótkich nogach, twarzy czworograniastej, zaniedbany w ubiorze, starał się widocznie przybrać imponującą powierzchowność. Od Talmy uczył się postawy, chodził na palcach i ruchami naśladował Burbonów. Naturalny w obejściu w małym kółku, był w salonie ambarasowany i niezgrabny. Dla kobiet zaledwie grzeczny, mówił z niemi tylko o ubiorze i dzieciach, pytając w grubiański sposób, czy same karmią.

„Od początku starałem się zawiązać z nim częste i poufne stosunki. Co mnie najbardziej w nim uderzało, to nadzwyczajna przenikliwość umysłu i wielka prostota w myśleniu. Rozmowa z Napoleonem miała dla mnie zawsze trudny do wypowiedzenia urok. Każdą rzecz chwycił z najgłówniejszej strony; myśl własną rozwijał, dopóki nie nabrała zupełnej jasności i dopóki sam nie doszedł do ostatecznej konkluzji. Właściwie więcej sam mówił, niż rozmawiał; słuchał jednak chętnie, przyjmował uwagi, dyskuutował z miarą i spokojem, idąc zawsze prosto do celu. Nienawdził mglistych pojęć i ogólników, fałszywej filozofii i fałszywej filantropii XVIII. wieku; trzymał się rzeczywistości i użyteczności“.

Metternich przyznaje, że dopiero w Paryżu rozpoczął naprawdę swój zawód publiczny. Z natury obdarzony darem spostrzegawczym i otwartym umysłem, wolny od doktrynerstwa i przesądów, urzędem zmuszony mieć uszy i oczy otwarte ustawicznie studyował nadzwyczajnego człowieka, co w dłoni losy świata dzierzył, system polityczny Francyi, usposobienia narodu; starał się przeniknąć myśli Napoleona i przyszłe jego plany, od których byt Austrii zależał. Przebył tak najlepszą szkołę, bo mało kto w tym stopniu co Napoleon posiadał talent prowadzenia spraw ludzkich. Pomiędzy współczesnymi, Metternich należał do małej liczby ludzi, najlepiej Napoleona znających; świadczy

o tem mnóstwo dokumentów, pod świeżem wrażeniem pisanych. Gdy jednych zaślepiała admiracja, drugich nienawiść, Metternich potrafił utrzymać środek, podziwiał geniusz, przyznawał niezaprzeczoną wyższość we wszystkim, ale dojrzał stron słabych i znalazł wcześniej piętę Achillesa u olbrzyma, który tak długo za niepokonanego uchodził.

Posłuchajmy, co mówi o ówczesnej Francji.

Francya pragnęła i potrzebowała spokoju. Pragnienie to panowało nietylko w masie ludności, lecz wspólne było nawet towarzyszom broni Napoleona. Marszałkowie wzniesli się po największej części z najniższych stopni do szczytu; Napoleon dał im tytuły książęce, obsypał bogactwem. Berthier i Davoust mieli przeszło po milionie dochodu, dotacya Ney'a w dobrach czyniła pół miliona z samych dzierżaw; każdy prawie generał otrzymywał dożywotnie lub dziedziczne uposażenie. Niemniej świetną była pozycya materyalna wielkich dygnitarzy cywilnych. Wszyscy ci ludzie chcieli używać spokojnie fortuny i nie narażać swego życia i bytu wśród zmiennych kolei wojny. Naród, zdzięsiatkowany przez pobory wojskowe, obojętnym się okazywał na bieg wojen w krajach odległych i ledwie z nazwiska mu znanych, po cichu przeklinał zdobycze, których znaczenia nie pojmował. Dwory europejskie popełniały wielki błąd, nie licząc się z tem usposobieniem Francuzów; co prawda, nie wiedziały jaka przestrzeń dzieliła system osobisty Napoleona od prawdziwych uczuć kraju. Gdyby Napoleon poprzestał być na zachowaniu i utrzymaniu podbojów rewolucyi, byłby zyskał prawdziwą popularność. Temperament wojowniczy uniósł go za daleko. Napoleon urodził się zdobywcą, prawodawcą i administratorem, chciał te trzy rzeczy razem prowadzić i dzięki niezaprzeczonemu geniuszowi, długo mu się to udawało. Jego system podbojów miał szczególny charakter: dążył do nałożenia supremacyi francuskiej wszystkim mocarstwom Europy, według skrzywionego i przesadzonego ideału Karola W., Paryż miał być ogniskiem Europy, stolicą katolicyzmu, siedzibą Papieża, kontentującego się duchownem zwierzchnictwem, pod egidą Francji cesarskiej“.

Z położenia rzeczy, Metternich szukał zbliżenia z ludźmi

partyi umiarkowanej i pokojowej, której znaczenie z początku nieco przeceniał. Na czele tego stronnictwa stał Talleyrand i Fouché. Talleyrand nieustannie powtarzał: Ren, Alpy i Pireneje to są zdobycze Francyi, wszystko reszta osobiste podboje cesarza, z którymi Francya nie ma nic wspólnego. Odradzał wyprawy do Hiszpanii, pracował nad zbliżeniem Francyi z Austryą, w Erfurcie odradzał Aleksandrowi związków z Napoleonem. Ale Talleyrand posłuchu u Napoleona nie miał i mieć nie mógł, nie tyle dla tego, że mu się sprzeciwiał, ile dzięki bezdennej fałszywości charakteru, ciągłym podstępom i zdradom, które dla nikogo tajemnicą nie były. — Gdy coś zrobić chcę, mówił Napoleon do Metternicha, nie używam nigdy księcia Beneventu; uciekam się do niego tylko wtenczas, kiedy chcąc czemu przeszkodzić, udaję przed nim, że sobie tego życzę. — Talleyranda najlepiej sam Metternich określił: „Książę Beneventu miał niezwykły rozum, ale był jakby stworzony na to, żeby wszystko podkopywać i obalać. Będąc księdzem działał na szkodę Kościoła; sam szlachcic, pracował nad zniesieniem szlachectwa; pod republiką, knuł przeciw republice; za cesarstwa ustawicznie spiskował na zgubę cesarza; za Burbonów, silił się nad obaleniem prawowitej dynastyi. Umiał doskonale przeszkadzać ustaleniu wszelkiego porządku, ale gdy szło o przeciwną robotę, zřeczność mu niedopisywała“. Na kulawej nodze Talleyranda opierała się partya pokojowa i jej wpływ; drugim filarem był Fouché, od wszystkich jednako pogardzany. Marszałkowie życzili sobie wprowadzie położenia kresu ciągłym wyprawom, utrwalenia dynastyi, bezpiecznej przyszłości, szli przeciw na wojnę, przez nawyknięcie do posłuszeństwa, uczucie honoru, osobiste przywiązanie do Napoleona, z którym wielkich okazali czynów, który ich olśniewał geniuszem, okrywał chwałą, obsypywał dostojenstwem i złotem. „Duroc kocha mnie jak pies swego pana, Berthier jak niania“ — mawiał Napoleon. Najgorętsi zwolennicy pokoju, na wojnie bili się jak lwy, bo byli wszyscy z rodu bohaterów, bo każda wojna obiecywała nowe laury, zaszczyty, dotacje, wicekrólestwa, może korony. Nikt lepiej od Napoleona nie znał ludzi i ludzi lepiej nie umiał do siebie przywiązywać.

„Honoru i cnoty nie negował, mówi Metternich, ale twierdził, że interes jest główną i najsilniejszą pobudką i dźwignią u każdego człowieka“. Idąc do szczytu wielkości, którego wierzchołek przekroczył w dniu przedsięwzięcia wyprawy hiszpańskiej, wiódł za sobą falangę bohaterów przynętą interesu, szczodrobliwością nieograniczoną i wyrozumowaną.

Wyprawa do Hiszpanii była niezbitym dowodem, że Napoleon dąży wytrwale do zwierzchnictwa nad światem, a zaślepiony powodzeniem, nie zatrzyma się w połowie drogi, lecz zwycięży lub zginie. Hiszpania nie zagrażała Francji, były tysiączne sposoby przełamania jej uporu, nie uciekając się do gwałtu i najeżdzu. Na nieszczęście Napoleon nie mógł już ścierpieć cienia kontrydykeji, kłuła go w oczy ostatnia gałąź Burbonów na tronie, pchała słabość względem własnej rodziny.

Od ostatniego pokoju dwór wiedeński na chwilę nie porzucił myśli odwetu, pomimo srogich doświadczeń, ruiny finansowej, niemocy wewnętrznego organizmu, który w czasie wojny raptem funkcyonować przestawał, jak paraliżem ruszony. Sprzymierzeńców nie szukano, bo Prusy istniały tylko z nazwiska, Rosya od Tylży i Erfurtu przykutą była do Francji; Anglia jedna namowami i obietnicami podjudzała Austryę do wojny. Arcyksiążę Karol, znakomity organizator, sformował doskonałe kadry, które zapełniano cichaczem, pod pokrywką tworzenia milicyi. Na wieść o wyprawie hiszpańskiej śmiertelne dreszcze przeszły po grzbietach w Wiedniu i strach przyspieszył gotujące się oddawna przesilenie. Wojskowi byli za pokojem, cywilni za wojną, co niedobrą stanowiło wróżbę. Cesarz Franciszek swoim zwyczajem obie strony popierał. Po katastrofie, kiedy zaczęto szukać kozłów ofiarnych, na Stadyona i Metternicha padło oskarżenie, że byli głównymi sprawcami złego. Co do Stadyona, nie ma wątpliwości, że stał na czele partyi wojennej. Metternich, w jednej z pierwszych depeesz paryskich, z 26 lipca 1807, pisał: „Prusy spadły między mocarstwa trzeciego rzędu; nie mamy wprawdzie na naszym prawym boku silnego nieprzyjaciela, lecz sprzymierzeńca także nie znajdziemy; w razie wojny z Francją, nawet na neutralność Prus liczyć nie możemy. Wpływ Francji sięga

obecnie do wnętrza Polski, konfederacya reńska z dwóch stron nas uciska. Położenie Austrii bardzo się więc pogorszyło od pokoku tyłżyckiego. Monarchia jest jednak nietknięta i zaokrąglona; obecny stan Europy nosi w samym sobie zarody rozprzężenia; mądrość naszego rządu winna ułatwić Austrii doczekanie się chwili, kiedy trzykroć sto tysięcy ludzi rzucone na szale, zdecyduje o losie Europy pogrążonej w anarchii; w jednej z tych epok, które następują zawsze po wielkich uzurpacyach i same zacierają ślady zdobywców. Nikt nie zdołał tej chwili naprzód przewidzieć, lecz nie oddala jej przyjscia, wszystko dziś bowiem wisi na życiu człowieka jednego, który dziwnem zrządzeniem nie pomyślał dotąd o ufundowaniu dynastii⁴. Wojnę przeto Metternich odradzał. Przebieg rzeczy w Hiszpanii, gdzie orły francuskie natrafiły na nieprzełamane przeszkody, nie pozostał bez wpływu na Metternicha; sądził, że godzina odwetu się zbliża, lecz od wojny zaczepnej ciągle odwodził, a o postanowieniach swego rządu wiedzieć nie mógł, gdyż rząd sam z sobą był w niezgodzie. Zaniepokojony burzą wszechznającą się w Paryżu, gdzie Napoleon Austryę oskarżał o zamiary wojenne i zbrojenie się, tudzież przygotowaniami francuskimi, udał się do Wiednia i tam dopiero przekonał, jak rzeczy daleko już zaszły. Austrya moralnie wojnę rozpoczęła, nie wiedząc czy chce, czy nie chce wojować. Napoleon ją znowu ubiegł, a nikt jej nie pomógł. Sama Austrya zrobiła co mogła, żeby Napoleonowi zwycięstwo ułatwić. Były dwa plany, jeden biorący za podstawę działań Czechy, drugi obliczony na pochód przez Bawaryę ku Renowi; żeby sobie oszczędzić boleści powzięcia decyzji, gromadzono wojska i w Czechach i nad granicą Bawaryi; rozpołowiono siły, Napoleon spadł jak grom, znajomą sobie drogą. Zjawienie się osobiste Napoleona na polu bitwy przeraziło arcyksięcia Karola do tego stopnia, że znakomity ten wojownik błęd za błędem popełniał: Austriacy odnieśli przecież pod Aspern-Essling niezaprzeczone nad Francuzami zwycięstwo.

O wypowiedzeniu wojny, Metternich dowiedział się w Paryżu z publicznego rozgłosu i z oznajmienia, że minister spraw zagranicznych ma dlań gotowe paszporta. W trop nadszedł od

Napoleona rozkaz, żeby posła austriackiego zatrzymać, aż do wymiany legacyi francuskiej w Wiedniu, którą Austriacy najniepotrzebniej przytrzymali i internowali podczas przymusowego pobytu Metternicha w Paryżu; ludność stołeczna przesadzała się w dowodach sympatii ku niemu, żeby tym sposobem okazać, jak nie pochwała nowej wyprawy cesarza. Układy o wymianę zabrały kilka tygodni. Jadąc do Austrii, w Strasburgu, gdzie cesarzowa Józefina przebywała, zastał Metternich wieść o bitwie pod Aspern. W Wiedniu, zajętym przez wojska francuskie, znalazł między swoimi wielki upadek na duchu i pragnienie pokoju; między Francuzami uczucie niepewności i obawę o dalszy los kampanii. Po różnych perypecyach, odzyskawszy wolność, dotarł do głównej kwatery cesarza Franciszka.

Tu panowała bezprzykładna konfuzya. Jenerałowie wołali jednogłośnie o zawarcie pokoju, jak najspieszniej i za jakąbądź cenę; Stadyon był w rozpacz i prosił o dymisyę; część otoczenia cesarza chciała wojować do upadłego; cesarz wszystkich słuchał, a wiedząc, że na nikim oprzeć się nie może, czekał co przyniosą wypadki. Bitwy w różnych wydawane miejscach, kończyły się na korzyść Francuzów, nie rostrzygając rzeczy. Sytuacja po stronie Austriaków wcale rozpaczliwą nie była, armia trzymała się dobrze, tylko jej głowy brakowało. Austriya mogła długo jeszcze stawić opór Napoleonowi, który znajdował się w trudnem położeniu. Sam później wyznał przed Metternichem, że po pierwszej przegranej byłby był „zgubiony“, a poprawiając się dodał: „zgubiony nie, lecz w wielkim kłopotcie“. Potrzebując pokoju, zażądał wysłania pełnomocników, w celu rozpoczęcia układów. W dyplomacyi austriackiej działo się jak w wojsku: Stadyon od wszystkiego ręce umywał; Metternich, któremu cesarz proponował tekę spraw zagranicznych, nie wielką miał ochotę do wypicia cudzego piwa. Musiał jednak przyjąć misyę negocyatora, z tytułem ministra stanu.

Pełnomocnicy zjechali się w Altenburgu na Węgrzech i kilka tygodni daremnie dysputowali. Wiadomo, jak Napoleon pojmował takie układy: on warunki dyktował, a przeciwnik warunki powinien był przyjmować. Negocyacye służyły najczęściej

Napoleonowi za środek zyskania czasu, potrzebnego do operacji, lub przygotowań wojennych. Zdaleka czy zbliśka, Napoleon osobiście układowi kierował, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły, nie gardząc najpospolitszem krętactwem i podstępami niegodnymi jego wielkości i geniuszu. W ciągu narad, toczących się w Altenburgu, umyślnie zwlekał, licząc na to, że każdy dzień zwiększa zamieszanie w obozie austriackim. Postawiwszy bardzo twarde warunki, które Metternich przyjąć się wzdragał, nie pozwolił spisywać protokółów konferencji; następnie zaś, przysłał protokóły przez siebie podyktowane i ułożone w ten sposób, aby, w razie zerwania, na Austryę całą winę spędzić. Metternich podpisał odmówił. Nie dzieląc ani zarozumiałości stronników wojny, ani zwątpienia zwolenników pokoju, nie biorąc rzeczy zbyt gorąco do serca, sądząc, że opór długo jeszcze jest możliwy, nie spieszył się z prostą kapitulacją. „Przyjąwszy warunki Napoleona, pisze z Altenburga do matki, wyrzucimy monarchię za okno i postawimy cesarza w takim położeniu, że niedługo nie pozostanie mu nic innego, jak samemu przez okno wyskoczyć“. Znudzony wytrwałością Metternicha, Napoleon odniósł się wprost do cesarza, kazał powiedzieć, że dyplomaci nie rozumieją rzeczy, i zażądał przysłania wojskowego, najlepiej ks. Jana Lichtensteina, z którym w kilka godzin sprawa będzie skończona, w sposób dla obu stron dogodny. Cesarz Franciszek uległ i Lichtensteina wysłał do Wiednia. Była to szkaradna omyłka, albowiem Lichtenstein, zacny, lecz niestworzony na dyplomatę, dowodził naczelnie armią, która bez wodza została i bez wodza mogła być zaskoczona przez wypowiedzenie zawieszenia broni. Trapiący tą myślą, Lichtenstein pragnął czem prędzej wrócić do obozu, czego Napoleon nie chciał dopuścić. Zamiast rzecz wedle obietnicy kończyć, odsyłał Lichtensteina od Anasza do Kaifasza, straszono odpowiedzialnością, i dopiero po kilku dniach Napoleon osobiście zabrał się do ułożenia preliminaryów pokoju, które Lichtenstein, trawiony gorączką, podpisał z wyraźnym zastrzeżeniem, że obowiązująć będą dopiero po zatwierdzeniu przez cesarza Franciszka. Układ stanął późno w nocy; rankiem, na wyjeździe, Lichtenstein słyszy salwy armatnie. — Co to znaczy? —

To znaczy, że pokój zawarty! — Pędzi do Schönbrunn z reklamą: powiadają mu, że Napoleon Wiedeń opuścił.

Na drodze pod Totis, gdzie znajdowała się główna kwatera austriacka, Lichtenstein spotkał spacerującego Metternicha. Przywożę wam, rzekł, pokój i moją głowę; z jednym i z drugą cesarz zrobi co mu się podoba! Rad nierad, cesarz traktat musiał ratyfikować; Austria straciła zachodnią Galicyę i okręg Tarnopolski, Istrię, Kroacyę, Krainę, Salcburg; artykuł sekretny zredukował armię do 150.000 ludzi. Lichtenstein najniewinniej popadł w niełaskę, Stadyon otrzymał upragnioną dymisyę, Metternich objął wydział spraw zagranicznych. (C. d. n.)

Henryk Lisicki.

FESTYNY LUTERSKIE W NIEMCZECH.

(Dokończenie.)

Wspaniały widok nierównej, a z nieustraszoną odwagą podjętej, z zadziwiającą wytrwałością i z nieznanem dziś poświęceniem toczącej się w „Kulturkampfe“ Kościoła katolickiego walki z najpotężniejszym mocarstwem, rozmaite budzi w protestantach uczucia. Jedni nie tają się z wyrazem czci i uszanowania tak dla instytucji jak dla jej członków, bo w czasach cynicznego materyalizmu któż poświęci mienie, wolność i ojczystą siedzibę dla wiary, dla Boga? Co więcej, gdy widzą, że to czynią i znoszą ci ludzie, których im zakorzenione, z mlekiem matek wysrane uprzedzenia, i nieustannie podsycana nienawiść, wpojone uczucie jakiejś wyższości przedstawiały, jako nieuków ślepej oddanych wierze, zacofańców, zwodzicieli ludu pracujących nad jego ogłupieniem i t. d. i t. d., zniewoleni zbyt natarczywie do ich rozumu przemawiającymi faktami, zastanawiają się nad tem, co tych, dotąd wzgardzonych, w taką siłę i moc uzbraja. Z rozpraw, z rozumnej i umiejętnej obrony przekonują się coraz jaśniej, że po stronie katolickiej nie jest tak ciemno, jak sobie wystawiali, że tam jest wiara, ale nie ślepa, że katolicy umieją i sobie i innym zdać sprawę z tego, w co wierzą. Te spostrzeżenia robią wrażenie, ale mało kto z niemi się odzywa, a jeśli się odezwie, to jeszcze nie śmiało. Lecz to pewna, że przez tę walkę promyk światła sięgnął tak daleko, dokądby się bez niej nigdy nie był przebił — niepojęte są drogi Opatrzności.

Drogich przejmuje pewna obawa tajemnicza, że w tem ciele

Kościół katolickiego, który od lat dziecinnych zwykli uważać za trupa, czekającego tylko na pogrzebanie, jest jeszcze dusza, jest życie i siła niespożyta, że w nim może być coś szlachetniejszego niż fanatyzm, coś wyższego, niż sztuczny ustrój hierarchiczny przez ludzi wymyślony w celu ich ogłupienia i opanowania. Nie jestże czasem to życie w tym mniemanym trupie siłą prawdy i to prawdy najwyższej? Na taką myśl, na takie pytanie mrowie ich przechodzi i oddalają je od siebie, jako pokusę szatańską. Znajdują się wprawdzie i tacy pomiędzy nimi, których szczerą i dobrą wolę Pan Bóg wynadgradzając, rozprasza wątpliwości i otwiera im drogę powrotu, ale są to dotychczas nader rzadkie wyjątki. Bojaźń bowiem, prócz jednej bojaźni Bożej, nie jest dobrym doradcą, przeciwnie zacina człowieka w błędzie i uporze, wiedzie do nienawiści tego, czego się boi, a nienawiść pcha potem do gwałtu i prześladowania.

Tego rodzaju protestantom, których część największa, potęga Kościoła katolickiego, jaka się w ciągu „Kulturkampfu“ przed ich oczyma rozwija, nie dała i nie daje spoczynku. Trapiło ich to i trapi tem dotkliwiej, że „kościół ewangelicki“, chociaż ustawami majowemi mimochodem tylko został dotknięty, bo w istocie przeciw niemu nie były wymierzone, omdlał jednak i upadł na siłach. To zestawienie jednego obok drugiego, te różnice jednego od drugiego zbyt były i są widoczne, zbyt jasne, aby każdego nie uderzały. Nie śmiał się ten „kościół ewangelicki“ sprzeciwiać, nie śmiał stawiać oporu najazdowi państwa; bez boju, bez wyczerpania zmalał i osłabł. Na dowód tego przytaczam słowa niepodejrzanego świadka, predykanta nadwornego Stöckera: „Kulturkampf złamał nasz kościół ewangelicki i wpłynął nań jak zaraza zabijająco. Z góry rząd i jego urzędnicy, a z dołu masy ludu zarażone antychrześcijańską prasą zapanały nad nim: z jednej strony Kościół katolicki, a z drugiej propaganda sekciarska za pomocą ustawy o stowarzyszeniach odrywają mu członków... do tego ze wstrętem patrzeć musimy, jak w niektórych kościołach krajowych niewiara dopomina się w kościele tych samych praw, co wiara, i otrzymuje je — jest to stan, który do nieba o pomstę woła. Są to ciemne obrazy,

które się przed oczyma naszymi przesuwają, ale oddają wiernie to, co się dziś dzieje. Dziesięć najlepszych i najpiękniejszych lat młodości cesarstwa niemieckiego strawiliśmy na grynderstwie i kulturkampfie, skutkiem tego są straty na polu ekonomii, religii i społeczeństwa, czegożby w tym czasie nie można było dokazać dla dobra ludu naszego“?

„Zewnętrznie dotknął naturalnie „Kulturkampf“ najsrożej Kościół katolicki, tysiąc osieroconych parafii, a w ciągu dziesięciu lat żadnego prawie przybytku. Jest to nie małą rzeczą — ale Kościołowi katolickiemu wynagradza te straty sowiec obudzona przez „Kulturkampf“, niewidziana dotąd wierność i ofiarność ludu katolickiego, jakimi Kościół swój otoczył. Z tego powodu zdoła Kościół katolicki łatwiej znieść te straty“. (Reichsbote 23 Maja 1883 Nr. 122).

Wierzący protestanci z małemi nader wyjątkami pomagali także kuć kajdany dla Kościoła katolickiego, chociaż wiedzieli, że sami na tem ucierpią — kaleczyli sami siebie, aby tylko Kościołowi katolickiemu więcej dokuczyć, bo byli pewni, że za jeden cios, który na nich spadnie, sto cięższych ugodzi w Kościół katolicki. Trudno sobie wyobrazić wyższy stopień nienawiści. Niepamiętali, że gdy pień ucierpi, najpierw gałęzie usychają i odpadają. Kto bowiem Kościół katolicki zaczepia, uderza w samo jądro chrystyanizmu. Cóż się tedy w takiej walce stać musiało z jego odłamkami i fragmentami? Tak po czasie zaczynają przychodzić do rozpoznania, że ten bicz, który wspólnie z rządem i liberałami kręcili na Kościół katolicki, ich samych najdotkliwiej wysmagał. Patrząc teraz na majestatyczną wielkość Kościoła w tych zapasach, na objaw nieznaney im wcale potęgi i siły, na powtarzające się co rok w sejmie pruskim zwycięskie utarczki i nieugiętą stałość, w jaką wiara tylko człowieka uzbroić zdoła, a z drugiej strony na własną swoją niemoc, uczuli głębokie, ale nie zbawienne upokorzenie, bo z przymieszką zazdrości, i zapragnęli zaprodukować swoją także siłę i potęgę religijną wobec Kościoła katolickiego. Już w sejmie pruskim odgrażano się od dawna jakąś burzą przeciw katolikom. Poseł Haenel odkazywał się, że zapędy ultramontańskie powściągnięte zostaną, skoro

tylko duch protestancki (das protestantische Bewusstsein) w ludzie odżyje. Lecz jak i czem poruszyć te, w rzeczach religii całkiem zobojętniałe, masy? Obchód tedy czterowiekowych urodzin Marcina Lutra wydawał się najodpowiedniejszym do tego celu środkiem. Jego osoba mogła podać zręczność do rozbudzenia namiętności religijnych, bo był „reformatorem“, założycielem ich „kościół ewangelickiego“, nie mniej narodowych, bo go uważają za największego patriotę, za Niemca nad Niemcami (der deutsche unter den Deutschen), a przede wszystkim liberalnych i rewolucyjnych, bo niewątpliwie mało było rewolucjonistów na takie rozmiary, jak on. Wszystkie zatem stronnictwa mogły w nim znaleźć swój ideał i przedmiot czci, każde chciało ten obchód na swoją korzyść wyzyskać. Że to uczucie upokorzenia połączone z zazdrością było, przynajmniej w obozie „ortodoksów“, jedną z najgłębszych przyczyn do uorganizowania na wielką skalę tych uroczystości, jako demonstracji przeciw Kościołowi katolickiemu, wykazują to dostatecznie przygotowane agitacje w tej myśli rozpoczęte i cały ich przebieg. W przeszłym już roku rozlegał się po całych Niemczech głos wzywający protestantów, aby „się ocknęli i ruszyli przeciw Rzymowi“ (protestantischer Reveille gegen Rom in ganz Deutschland).

Przedmiot sam, jakkolwiek na pozór zręcznie, w rzeczy samej jednak niefortunnie był wybrany za środek do tak olbrzymiej agitacji. Dawniej możeby się to było udało, ale nie w naszych czasach. Jak bowiem nowsze badania historyczne wykazały, Luter nie jest postacią tak idealną, aby ją można całkowicie na widok publiczny wystawić, a odsłaniając połowę lub kawałek czołwieka, resztę zaś starannie zakrywając, aby jej oko ludzkie nie dojrzało, można ją narazić na karykaturę. Z pomiędzy tylu herezjarchów, którzy w ciągu dziewiętnastu wieków przeciw Kościołowi katolickiemu głowę podnosili, nie było, śmiało powiedzieć możemy, ani jednego, któryby nieludzką pychą, gwałtownością gniewu i nienawiści, żarem żądzы cielesnej, wyuzdaną sprośnością i plugastwem języka nie już wyrównał Lutrowi, ale mógł przynajmniej stanąć obok niego. Kto się jakośkolwiek zapoznał z jego pismami, musi przyznać, że żadna charakterystyka nie jest w sta-

nie oddać wiernie rzeczywistości. W naszej literaturze jedyny Orzechowski, gdy swój język swobodnie rozpuści w polemice, zbliża się do niego. Ścisłe badania historyczne bieżącego stulecia obdarły tę postać z dawniejszego uroku, w jakim ją protestanci świata ukazywali. Adolf Menzel, protestant, Riffel, Doellinger i nareszcie Janssen, że tylko znakomitszych wymienię, przedstawili tę postać świata w jej historycznej prawdzie, nie w wymarzonej ideale. Rezultaty tych badań już się dziś rozpowszechniły nie tylko pomiędzy katolikami, ale w znacznej części także i pomiędzy protestantami — dziś nie śmieją protestanci sami przedstawiać Lutra w postaci opromienionej urokiem świętości. Jakimże tedy ideałem poruszyć uczucia religijne w „kościelickim“? Czy ideałem wygórowanej ponad wszelką miarę pychy? Czy ideałem gniewu i nienawiści? Czy ideałem rozhułkanej cielesności? Czy ideałem wiary bez dobrych uczynków? Ze wszystkiego pozostał tylko jeden prawdziwy ideał historyczny, a tym jest ideał rewolucjonisty. Mógłże tedy taki ideał poruszyć i ożywić uczucia religijne mas, pociągnąć ku sobie, a przez to ku Bogu, ku Chrystusowi? Kto zatem zyska na tych obchodach, pokaże czas; ale tyle już dziś z łatwością przewidzieć można, że zyskają ci tylko, dla których Luter jest prawdziwym ideałem, t. j. liberalne stronnictwo religijne i polityczne.

Cóż tedy pozostało takiego, czemby wskrziesić i ożywić zapal religijny w „kościelickim“? Osoba Lutra? Mogła tylko, jakżeśmy wykazali, być ideałem dla lewicy, dla tych, którzy z zaprzeczeniem bóstwa Chrystusa, otrząsnęli się z wszelkich dogmatów chrześcijańskich; dla „ortodoksów“ było to niepodobieństwem. Sami nawet nie wysuwają jego postaci naprzód. W tej mierze powiada „powszechna ewangelicko-luterska gazeta kościelna“ (Allgemeine evangelisch-lutherische Kirchenzeitung) najskrajniejszy ich organ, w jakim sensie będą te urodziny obchodzić: „Przedewszystkiem nie chodzi tu o osobę, ale o rzecz, o poznanie prawdy zbawienia, którą nam przyniósł. Nie wchodzimy w to, czem i jakim był Luter, czy i jakie do reformacji miał prawo, my jesteśmy pewni, że sprawa, której bronił, jest boską; z wykluczeniem wszelkiej wątpliwości mamy pewność, że

nauka jego jest prawdą zbawienia; o tem jesteśmy zapewnieni słowem Bożem i własnem doświadczeniem“ (Nr. 31. 1883). Pozostało tedy tylko to czcze twierdzenie bez żadnych dowodów. Sztandar zatem, godło, pod którym festyny odbywać się mają, które ma uspione masy ludu przebudzić, opuszczają, a trzymają się tylko jego dzieła. Lecz co się z tem dziełem, z tą nauką „o prawdzie zbawienia“ stało, wyłożyliśmy już poprzednio. Ci, co o niej mówią i na nią się odwołują, sami już jej nie wyznają, a przynajmniej nie w całej rozciągłości. Cóż zatem ma być główną treścią tego obchodu? Luter nie, dzieło jego nie, bo go w rzeczy samej już nie masz, a to, co już nie istnieje, co porzucono jako fałsz, jako nieprawdę, nie może być przedmiotem czci i owacyi. Z pośród tych ruin i szczątków które tak nazwana reformacya zrzuciła, jedno tylko pozostało nietknięte, nienaruszone, zawsze stare i zawsze nowe, a tem jest Kościół katolicki. Całą tedy treścią tych festynów, obchodów i t. d. jest, jak logiczna rzeczy konsekwencya sama wskazuje, protestacya przeciw temu, co jest, negacya jego, nienawiść jego. Oto przedmiot tych obchodów! Oto jedyna treść tych uroczystości! Jest to istotnie uwielbienie Kościoła katolickiego nienawiścią protestancką. Jak Polaków Prusacy i Rosyanie nienawidzić przestaną, to będzie dowodem, że nas za nic nie mają. Wszystko poszło w rozsypkę, ale nienawiść pozostała, bo jeszcze istnieje jej przedmiot, istnieje Kościół katolicki, a sądząc po ludzku tylko, muszą widzieć, że mu się wcale nie ma ku zachodowi, przeciwnie, że olbrzymie walki, jakie toczy, są oczywistym, a dla nich przerażającym dowodem zdrowia i pełni życia, że lubo zewnętrzną postradał okazałość, lubo zewnętrzną świetność, w jaką go świat przybrał, po największej części zdarł znowu z niego, to natomiast, w miarę tych strat ziemskich, wzmógł się na duchu, a zbywszy się tego znikomego ciężaru, raźniejszego nabrał polotu.

Protestantyzm strawił już wszystkie swoje wyznania, wszystkie dogmata, a nawet i biblią tak, iż na własnej niwie głód mu dokucza; nie może tedy przenieść na siebie, że nie zdoła strawić Kościoła katolickiego, że mimo ostrego zęba jego krytyki, mimo całego jadu nienawiści, stoi jednak jemu na przekor nie-

wzruszony i wśród pieniędzy się złości kroczy odwiecznym, nieomylnym torem. Samo zatem istnienie Kościoła katolickiego, jego odwieczne instytucje, jego zwyczajne i nadzwyczajne objawy życia są dla protestantów prowokacją; kiedy głowa kościoła odzywa się do wiernych, czy to, aby ich pouczyć, przestrzedz i ochronić od panujących błędów i fałszywych opinii, czy to, aby ich zagrzać do modlitwy w ogólności lub w szczególnych wypadkach, zżymają się i krzyczą z całego gardła na „pychę“, „zuchwałstwo“ „żądze panowania“ i t. p., jak gdyby ich Papież za kark już chwycił i do swej owczarni gwałtem przeprowadzić usiłował, chociaż ich te odezwy, encykliki papieskie wcale nie dotyczą, gdyż są do katolików wydane. Jakim zatem jest duch protestantyzmu w ogólności, takimi też być musiały jego objawy w szczególności, a mianowicie z okoliczności czterowiekowej rocznicy urodzin Lutra.

Jakoż już sam wstęp, same przygotowania do zamierzonych festynów sprawdzają w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu nasze zapatrywania co do treści i znaczenia tych uroczystości. Najruchliwsza część protestantyzmu, owo „stowarzyszenie protestanckie“ (Protestantenverein) przyczyniające się najwięcej do rozkładu i roztoczenia chrystyanizmu i jego dogmatów, pierwsze wydało hasło do przygotowania umysłów i agitacji w celu urządzenia tych obchodów. Już w październiku 1882 r. występuje siedmiu predykantów z jego grona w Hamburgu z prelekcjami publicznymi w sali radnej, której na ten cel senat hamburski odstąpił, aby przysposobić grunt do zapowiedzianego „ruszenia się protestantów przeciw Rzymowi“ (protestantischer Reveille gegen Rom.). I tak dnia 31^{go} października 1882 miał pastor Lüdemann prelekcją o *Lutrze i papiestwie*.

Dnia 14 listopada pastor J. K. Hanne o *rymsko-katolickiej wierze*.

Dnia 28 listopada pastor Buck o *obrzędach rymsko-katolickiego Kościoła*.

Dnia 9 stycznia 1883 pastor Cropp o *mnichowstwie, jako ideale życia katolickiego*.

Dnia 23 stycznia pastor Klapp o *Jezuitech w zwierciadle ich historyi i moralności*.

Dnia 6 lutego pastor Schoost o *katolickiej propagandzie i jej skutkach*.

Dnia 20 lutego pastor Röde o *papieskiej encyklice i Syllabusie*.

Bez zapoznania się z treścią tych prelekcji któż na pierwszy rzut oka nie widzi, o co tu chodziło przewszystkiem? Jestże choć jedno słowo o ożywieniu obumierającej wiary, o podniesieniu i zagraniu uczuć religijnych, o miłości Boga, bliźniego i t. p.? W czemże się tu manifestuje potęga religijnych przekonań protestanckich? Jest-li w tych prelekcjach choć jeden przedmiot dodatni, któryby budował, a nie rujnował? O samym nawet Lutrze mówić nie mogą bez kontrastu z papieżem. Nie jestże to najoczywistszym dowodem, że tak samo w obchodach jak przygotowaniach i agitacji innej treści nie ma, krom protestacyi, negacyi i jej rodzonego dziecka, nienawiści do Kościoła katolickiego? Ten spadek dziedziczny odebrały po Lutrze wszystkie stronnictwa protestanckie tak „ortodoksów“ jak liberałów, wierzących i niewierzących, chrześcijan i antychrześcijan i to jest jedynym skarbem tak nazwanej reformacyi, który do dziś dnia wiernie przechowały — reszta znikła. Niepojętą, niezrozumiałą wydaje się rzeczą, czcić kogoś nienawiścią drugich, wywyższać i wynosić swego bohatera poniżaniem i spotwarzaniem drugich, a jednak w istocie tak jest. Czyż na kongresach katolików, bo już nie mówię o soborach i konferencyach biskupów, troszczą się katolicy o protestantyzm i jego instytucje? Czyż tam mówią o konsystorzach protestanckich, o organizacyi ich „kościółów krajowych“, o „najwyższej radzie kościelnej“, o „najwyższym biskupie kraju“ i t. p.? Czyż w uroczystościach katolickich, jak np. nabożeństwach jubileuszowych, misyjnych, zajmują się katolicy, a mianowicie kaznodzieje przeważnie, a nawet wyłącznie sprawami i instytucjami protestanckimi? Bynajmniej. Mówią o swoich sprawach, o swojej wierze, o cnotach, grzechach, zakładach dobroczynności, o środkach poprawy, o sposobach pomnożenia i podniesienia tego, co dobre, o wzajemnym postępie w doskonałości chrześcijańskiej i t. p. Ale rzadko i to wtenczas tylko,

kiedy konieczność tego wymaga, celem odparcia fałszów i błędów, jeśli się gdzie zakradną, lecz głównym celem jest cześć i chwała Boga, pouczenie lub zbudowanie wiernych. Cóż bowiem protestantów i do tego jeszcze Hamburgczyków może obchodzić papież, z którym ich żaden nie łączy stosunek? Cóż ich mogą obchodzić Jezuici, mnichy, zakony, ćwiczenia duchowne, o których długo i obszernie rozprawiano, obrządki i nabożeństwo katolickie, o których ledwo posłyszeli?

Nie chodziło tu zatem o szerzenie nauki chrześcijańskiej, „czystego słowa Bożego“, jak się protestanci lubią wyrażać, bo to głoszą ludzie, którzy się wyparli bóstwa Chrystusa; nie chodziło o zbudowanie słuchaczy, bo prelegenci uważają moralność chrześcijańską za czysty przesąd, a trzymają się „moralności autonomicznej“; nie chodziło o podniesienie ducha religijnego do jakiegoś wzniesłego ideału, którego wcale nie masz, ale po prostu o wywołanie hecy przeciw katolikom, o zohydzenie głowy Kościoła katolickiego, jego instytucji, obrządków i całego nabożeństwa, jednym słowem o wzniecenie dawnej i od wieków zakorzenionej nienawiści do Kościoła katolickiego, a nadto o podtrzymanie upadającego „Kulturkampf“. Ztąd wszystkie prelekcye pełne są wyraźnych, jawnych, a często nieśmiałych i ukrytych wyrzutów, robionych rządowi pruskiemu, że słabnie, w walce ustaje, że się z „antychrystą“ (papieżem) wdaje w układy, że przez ustępstwa ultramontanom robione „naraża powagę państwa na szwank“; tudzież „ortodoksom“, że dla swej słabej podstawy szukają podpory u „rzymczyków i papistów“, „że wolność ludu protestanckiego zaprzędają“ i t. p. dosadne frazesy, których wyliczyć niepodobna. Ostatecznym zaś celem tych deklamacyi, z którymi niektórzy z wymienionych pastorów jeździli po innych jeszcze miastach niemieckich, jest wykorzenienie z gruntu prawd i zasad religii chrześcijańskiej. Jedni z nich pojmują dobrze, drudzy zaś czują instynktowo, że właśnie w Kościele katolickim jest pełnia, jądro całego chrystyanizmu, że, gdyby im się miało udać „tę warownię“ zburzyć, o protestancką ortodoksyę troszczyć się nie potrzebują. To jest najgłówniejszym powodem, dla którego wszystkie stronnictwa niewierzące wraz z żydami w pierwszym

rzędzie rzucają się na Kościół katolicki, a potem dopiero, i to mimochodem tylko na inne wyznania. Cały „Kulturkampf“ tym samym postępował i postępuje trybem.

Aby to, cośmy o treści tych prelekcji powiedzieli, sprawdzić, wypada nam z tego przez trzy wieki nagromadzonego nawału fałszów, błędów, uprzedzeń i przesądów, które wymienieni wyżej pastrowie swoim słuchaczom za nowy towar sprzedawali, kilka przynajmniej próbek przytoczyć. Wszystko, co już po tysiąc razy było zbite, udowodnione, a nawet przez znakomitych uczonych protestanckich przyznane i odwołane, odgrzebują ci prelegenci, powtarzają jako prawdę niezawodną i niewątpliwą, bo tu chodzi tylko o podburzenie dawnych namiętności i nienawiści w publiczności, która nie jest w stanie twierdzeń szanownych predykantów krytycznie ocenić. Tak zaraz na wstępie pastor Lüdemann oświadczywszy, że na pamiątkę czterowiekowych urodzin Lutra ma być w Spirze wybudowany kościół luterski, określa cel tego dzieła i tych obchodów pamiątkowych w te słowa: „Dzieło to ma być ponowną protestacją przeciw roszczeniom i zuchwalstwu Rzymu, jakie znowu w naszych okazał czasach; ma być odpowiedzią na dumne ultramontańskie zapowiedzi utrzymujące, że 10 listopada 1883 już lutersko-ewangelickiego kościoła nie będzie: (czyż w rzeczy samej tak nie jest?) ma być odpowiedzią na klątwy nieomylnego papieża: ma być odpowiedzią na jego niesłychane orzeczenia potępiające cywilizację i wszystkie idee kierujące postępem naszego stulecia: ma być odpowiedzią na nowoczesny interdikt: ma być odpowiedzią na zuchwałe tryumfy zwycięskie rzymczyków, którzy toczą bój kościelny z naszym cesarzem ewangelickim“ (Briefe aus Hamburg, poszyt I. str. 3). Cóż to za szum słów wiatrem nadętych! Budować mają kościół, ale nie na cześć i na chwałę Bogu, nie dla modlitwy Wiernych, nie dla pobierania w nim nauki zbawienia, ale przede wszystkim na złość papieżowi, na przekór ultramontanom, na pogębienie katolików za to, że w obronie swej wiary poważyli się robić opozycję cesarzowi ewangelickiemu. Cóż to za straszne usposobienie duszy! Nawet to dobre, co zamierzają zrobić, chcą uczynić z pobudki nienawiści. Odgrzebawszy potem wszystkie

bajki i kłamstwa o Teclu, o „jego handlu odpustami“ i t. p., powtarza przy schyłku prelekcji wraz z Lutrem gorące życzenie: „oby Bóg w niebiesiach stracił Stolicę papieską w przepaść piekielną!“ A potem dodaje: „Jakżeby Luter był wyskakiwał z radości, gdyby był dożył tego, czegośmy dożyli! Jakżeby się był cieszył, gdyby na głowie protestanckiego, ewangelickiego księcia był ujrzał cesarską koronę niemiecką i miecz potężny w niemieckim ręku cesarza! Jakżeby był wzywał cały naród do walki o wolność ducha, sumienia przeciw rzymskiemu zuchwalstwu! Jakżeby był mieczem ducha swojego karciał tych, którzy chcą być kierownikami i przywódcami kościoła ewangelickiego za to, że się przymilają ultramontanom, i upominał, aby najlepszego i najdroższego dobra, wolności wiary i sumienia ludowi nie marnowali i nie nagięli znowu ich karków pod jarzmo niewoli litery, ludzkich wymysłów i przemocy kapłanów! Jakimżeby się gniewem uniósł na tych luteranów, którzy mniemają, że są powołani w kościele do gorliwego walczenia przeciw liberałom“. (Tamże str. 5). I w tych słowach przebija się widocznie łaszenie się przemocy, wyzyskiwanie uczuć narodowych niemieckich przeciw katolikom, niektóre pociski rzucone na „ortodoksów“ za to, że kilka razy wspólnie z katolikami głosowali przeciw okrzyczanym ustawom majowym. Tym samym nieledwie tchem, którym gardłował za „wolnością wiary, sumienia“, rzuca pociski na „ortodoksów“ za to, że się w własnym interesie. i to bardzo nieśmiało, odważyli przyczynić do odzyskania odrobiny wolności religii dla katolików. Co się musi dziać w takich głowach? Oczywiście, że nie żądają wolności wiary, ale przymuszania wszystkich do niewierzenia w nic. Przytoczone słowa są wprawdzie czeze i puste dla swej nadętości, ale tryskają jadem nienawiści, która w sercach nie przejętych uczuciami chrześcijańskimi łatwo przyjąć się może. Aby katolików, jako bałwochwalców bez myśli i rozumu przedstawić, powiada pastor Lüdemann na innem miejscu, że „katolicy uważają papieża za nadludzką istotę, za Sanctissimum“. Papież pracuje nad ogłupieniem ludów i dlatego na całą oświatę naszego stulecia rzucił kłątwe.

Sama sprawiedliwość wymaga, abyśmy jeszcze jednego przy-

najmniej z tych siedmiu prelegentów przesłuchali, a mianowicie tego, który mówi o „rzymsko-katolickiej wierze“ w ogólności, pastora Hanne. Przedewszystkiem zastrzega się prelegent, że nie chce nie mówić przeciw „wierze katolickiej“, lecz jedynie przeciw „rzymskiej“: „nie przeciw ludowi katolickiemu i jego wierze, mówi dalej, ale przeciw popom, przeciw Rzymowi, przeciw ultramontanom walczyć będę, dopóki tchu we mnie starczy“. Delikatna różnica pomiędzy rzymsko-katolicką, a katolicką wiarą egzystuje niewątpliwie tylko w głowie prelegenta samego, chociaż się wobec publiczności zaklina, że tak jest rzeczywiście. Różnicę tę robi, a w wywodach swoich opiera się na dekretach soboru Trydenckiego, trzymając się sprawozdań Sarpiego. Czyż przebiegły prelegent myślał, że rozróżniając wiarę ludu katolickiego od wiary hierarchii, kapłanów, biskupów i papieża, uda mu się rzucić kość niezgody pomiędzy jednych, a drugich? Czyż cały przebieg „Kulturkampfu“ przedrzemał? Czyż nie widział, że inne, potężniejsze od niego siły targają się na ten węzeł, aby go przeciąć, a jednak niczego nie dokazały? Jaki początek, taki przebieg i koniec tej całej prelekcji — wszystko albo całkiem zmyśłone albo zamienione w karykaturę. Biorąc za podstawę swoich wycieczek, jakieśmy już wyżej nadmienili, sobór Trydencki, mówi o Sakramencie kapłaństwa, o władzy duchownej kapłańskiej, obraca ją w śmieszność i powiada: „Podług Perronego stoi kapłan ponad wszystkimi aniołami, obok samego Boga, a jabym dodał, właściwie ponad Bogiem, bo kogo kapłan rozgrzeszyć nie chce, tego Bóg ułaskawić nie może: jeśli kapłan chce kogo do piekła wtrącić, to Bóg musi się do tego zastósować“. (Tamże str. 40 i t. d.). O ofierze mszy św. najdziwaczniejsze swoim słuchaczom gada duby, wykazuje, że się to sprzeciwia ofierze krzyżowej na Golgocie, jak gdyby sam w siłę tej ofiary wierzył, że katolicy uważają mszę św. za pewien rodzaj „czarów“, których często używają do rzeczy moralnie niedozwolonych i t. p. W tym samym duchu i trybie mówi o celibacie, a szczególnie o spowiedzi. Jakież tacy słuchacze, którzy książki katolickiej nigdy do ręki nie wezmą, którzy o nauce Kościoła katolickiego mniej jeszcze wiedzą, niż o własnej swojej religii, muszą z ta-

kich prelekyi wynieść wyobrażenie o katolikach, o ich ciemnocie, przesądach, zabobonach i t. p. Katolik w ich wyobraźni przedstawia się, jako stworzenie najgłupsze, najnędniesze, stojące bez miary niżej, niż obecne wykształcenie tego wymaga. Cóż to za nędzne życie katolika, którego pokój duszy, szczęście doczesne i wieczne od dowolności ograniczonego kapłana zawisły. Sama myśl o tych okropnościach budzi w protestancie wstręt, przerażenie i zadziwienie, że takie dzikie i barbarzyńskie wyobrażenia religijne w oświeconym wieku dziewiętnastym wśród Niemców, na czele cywilizacyi świata stojących istnieć jeszcze mogą. Czyż w takich okolicznościach nie lepiej, nie pożyteczniej dla samych nawet katolików, aby „Kulturkampf“ trwał, aby ich zwolna wyswobodził z tej tyranii i ciemnoty papieskiej. To są w masach naturalne następstwa takich prelekyi czyli raczej deklamacyi. Aby słuchaczy w tem przekonaniu utwierdzić, woła pastor Hanne: „Biada nam, gdyby Rzym mógł kiedyś nad nami, heretykami, zapanować!... Jest to urąganiem prawdzie twierdzić, że Kościół nie pragnie krwi, gdyż Kościół broczył we krwi... Bogu chwała, że mamy wolność być heretykami, chcemy także być nimi“. (Tamże str. 43). Te kilka próbek wystarczyłyby do dania czytelnikowi jakiegokolwiek wyobrażenia o duchu nienawiści, ignorancyi, i złej wiary tych przygotowań do uroczystych obchodów Luterskich. Lecz, aby czytelnik dokładniej poznał tych, co tak o Kościele katolickim śmia mówić, tych protestanckich „pasterzy dusz“, boć się pastorami nazywają, którzy z ambon protestanckich ogłaszają ludowi „czyste, nieskażone słowo Boże“, „czystą ewangelię“, jak ją Luter światu znowu przyniósł, — przytoczymy jeszcze koniec tej właśnie prelekyi, o której była mowa.

„Główny dogmat o Trójcy nie jest chrześcijańskim, ale spoczywa na pogańskiej podstawie. Dogmat o wcieleniu Syna Bożego nie jest chrześcijańskim, ale także pochodzenia pogańskiego. Lecz oba dogmata są potrzebne, aby na nich ofiarę krzyżową i dogmat o mszy oprzeć i tak samo ma się z innymi dogmatami rzymskiego Kościoła. Powiedziałbym, że nauka wiary Kościoła rzymskiego składa się z tkaniny, w której nic podłużna jest chrześcijańska, a poprzeczna pogańska i żydowska. Klasztory

mnichów są spadkiem dziedzicznym żydowskim. . . Kapłaństwo, kadzenie, zkadżeby inąd mogły pochodzić? Pogaństwo także wdziera się do wiary rzymskiej i z tej przyczyny jest przeciwną ewangelii na wskrós. Dlatego musimy ciągle protestować przeciw tej wierze rzymskiej, którą sobór Trydencki sformułował: Chrystus nie zna kapłana, sam nigdy kapłanem nie był, być nim nie chciał: nikomu także nie dał mocy kapłańskiej. . . Jezus Chrystus nie powiedział: jeśli się chcecie grzechów waszych pozbyć, to idźcie do kapłana. . . Toć właśnie jest, wielce szanowne zgromadzenie, co walki z Rzymem nie dozwala zakończyć: te pretensye, te bezdenne pretensye kapłanów, to ich mniemanie, że oni jedynie mogą niebo otwierać albo zamykać. . . Toć jest, co nas niepokoi: pragnęlibyśmy, gdybyśmy mogli i naszych braci, Niemców katolików, uwolnić od przepaści tego panowania kapłanów, którzy jako popy niebem nawet chcą rozporządzać“ . . .

„Skoro tylko protestanci niemieccy poznają, jak wielkiem jest to niebezpieczeństwo, że papież nie jest malowanym, natenczas lud niemiecki schwyci za miecz ducha, aby odeprzeć to ujarzmienie ducha, a w owej chwili i ci wszyscy z naszego łona, którzy z Rzymem traktują, owi predykanci nadworni, owi książęta kościelni, którzy się nie wstydzą podawać Rzymowi rękę do zgody i przymierza, do umarłych policzeni zostaną“.

„Spodziewam się, że lud niemiecki już dłużej tej gospodarki w naszym kościele nie ścierpi, spodziewam się, że nie za długo ostatnie resztki tego rzymskiego kwasu, jaki się jeszcze w naszym Kościele znajduje, wyrzuci. Precz z wszystkimi temi dógmatami, które nie są do twarzy czystej ewangelii, precz z wszystkimi antykwarskimi, a ulubionemi zabytkami, precz z pierwiastkowemi pieśniami i starymi katechizmami, w których okropny język, a jeszcze okropniejsze oddźwięki katolickie! Precz z hierarchicznymi zachciankami, z kłatwą i karnością kościelną, precz z wszelkiem gadaniem i postępowaniem, w którym się przebija ta myśl, jakoby duchowni byli czemś szczególnem, jakoby mieli szczególniejszą, różną od innych łaskę urzędu“.

Oto są ludzie, którzy mają w protestantyzmie obudzić zapał reli-

gijny, wskrziesić siłę przekonania protestanckich godną i odpowiednią do stawienia czoła potęgze rozbudzonej wiary katolickiej!

Przypatrzylismy się jednemu dopiero stronnictwu, w jakim duchu i usposobieniu zamierza obchodzić pamiątkę urodzin Lutra. Że pała nienawiścią do Kościoła katolickiego, pojmujemy z zasad całkiem antychrześcijańskich, do jakich się jawnie przyznaje. Kto się bowiem wyrzekł wiary w bóstwo Chrystusa Pana, który jest treścią całej prawie nauki chrześcijańskiej, kto wszystkie prawdy objawione, a z niemi całe nadprzyrodzone objawienie i w ogóle cały świat nadprzyrodzony odrzucił, musi w Kościele katolickim, który cały w swej nauce i budowie na tem właśnie objawieniu, na wierze w bóstwo Chrystusa Pana spoczywa, widzieć swojego stanowczego i groźnego przeciwnika podobnie, jak cały świat pogański. Z doświadczenia i całej historii wiemy, że niewiara, czyli zupełna apostazyja łatwo się wyradza w nienawiść, że jej fanatyzm, żadnemi wędzidłami wyższemi nie hamowany, jest najstraszniejszym z wszystkich innych. Trudniejszą jest do pojęcia i zrozumienia ta nienawiść w obozie „ortodoksów“, którzy wiarę w Trójcę ś., bóstwo Chrystusa Pana i wiele innych dogmatów, które z Kościoła katolickiego wynieśli do dziś dnia przechowują. Ten węzeł wiary, który ich łączy z nami, jest w niektórych indywidualach tak szczery i silny, że poskramia w nich tę nienawiść, to musimy wyznać otwarcie, ale to są dość rzadkie wyjątki, całość przeciętna nie ustępuje w niczem nienawiści liberałów. Wojują z liberałami na zabój, ale, gdy przychodzi zaczepić Kościół katolicki, w tej chwili z nimi się łączą i wspólnymi siłami nań uderzają. To dziedzictwo Lutra spadło na jednych i drugich w równej mierze, to jest dziś jedyny węzeł łączący ich z sobą. Żalą się i skarżą na liberałów, że z urzędu, z ambony podkopują wiarę i przeciw wszystkim dogmatom chrześcijańskim prawią, kiedy niekiedy jednego z tysiąca do odpowiedzialności pociągną, a po jakimś czasie na posadę znowu go przywrócą; ale, gdyby który z nich miał się poważnie nauczać o siedmiu Sakramentach, a szczególnie o spowiedzi i mszy św., jednym słowem o wierze katolickiej, jednej godziny nie ścierpiano by go na posadzie. Wszystkie zatem objawy z tej strony tchną taką samą

nienawiścią do Kościoła katolickiego, jak z strony liberalnej. Jakoż na konferencji „ortodoksów“ w Kaminiu na Pomorzu predykant nadworny Baur oświadczył, iż nadszedł czas, aby znowu odświeżyć jeden z artykułów Schmalkaldzkich, opiewający: „że papież jest rzeczywiście antychrystą“, a przy innej okoliczności nie wahał się wypowiedzieć: „że Kościół katolicki bardziej się sprzeciwia chrystyanizmowi, niż materyalizm i komunizm“. Gdy w kilku przypadkach stronnictwo konserwatywne, składające się po największej części z „ortodoksów“, w własnym interesie z katolikami głosowało, podnieśli podobnie jak w obozie liberalnym krzyk przeciw temu predykanci prowincyi nadreńskiej, tudzież stronnictwo konserwatywne tamtejsze, zgromadzone w Barmen, równie jak środkowa partya (Mittelpartei) w Halli i w Goslar. Zewsząd odzywały się głosy za dalszem ciemnieniem katolików. „Targowanie się z kuryą rzymską, mówi jednogłośnie uchwalona rezolucya, zniesienie zasadniczych przepisów ustaw majowych otwiera rzymskiej kontrreformacyi drogę do samego serca protestanckich Niemiec“. Historia Niemiec od końca piętnastego wieku, Janssen, która obejmuje pierwsze czasy reformacyi, na ścisłem badaniu źródeł niektórych dotąd nieznanych oparta, wywarła i w świecie protestanckim wpływ wielki. Wszystkie niemal znakomitości protestanckie, jak Baumgarten, Ebrard, Kawerau i t. d. rzuciły się z krytyką na to dzieło, ale znaczenie jego raczej podniosły, niż zmniejszyły. Za inicjatywą Kaweraua utworzono „stowarzyszenie dla historyi reformacyi“ w celu zapobieżenia szerzeniu się szkodliwego wpływu tego dzieła, gdyż sam założyciel tego stowarzyszenia powiada: „i pomiędzy protestantami budzi się niejaki uczucie niepewności; że ruchliwości ultramontanów udało się, sąd o reformacyi zamącić i obraz jej historyczny sfałszować“. Członkowie tego stowarzyszenia zobowiązują się na polu tej części historyi pracować lub tego rodzaju pracę datkami wspierać, aby ludowi w sposób popularny przedstawić osoby i wypadki tego czasu ze stanowiska protestanckiego. Przeciw rzeczy samej nie byłoby nic do nadmienienia, gdyby nie duch zaciętości, jaki ją wywołał i w jakim wzywają do brania w nim udziału: „Rzym, wołają stowarzyszeni, uzbroił się od stóp

do głów, aby cios śmiertelny naszemu kościołowi zadać! Zbrójcie się tedy chrześcijanie ewangelickiego wyznania! Nasze stowarzyszenie chce wam broń podać do ręki. Kto miłuje swój kościół ewangelicki, niech do nas przystąpi". (Wester. 6). To się działo dnia 13 lutego r. p. Czyż kto słyszał wtenczas o jakich napaściach Rzymu na protestantów? Po cóż puszczać takie strachy? Napadają, zaczepiają sami, a gdy zaczepieni katolicy napaść odeprą, wrzeszczą, że są napadnięci i wzywają do obrony. Czyż to nie jest wyraźnie obliczone na sfanatyzowanie ślepych mas, w które wmawiają, że są w swej wierze zagrożone przez „anty-chrystę“, papieża? Czyż rząd pruski inaczej swój „Kulturkampf“ rozpoczynał? Czyż wszystkie urzędowe i półurzędowe dzienniki, karmione i niekarmione „funduszem gadzinowym“, nie gadały o napaści Rzymu na cesarstwo niemieckie? Czyż nawet projekta do ustaw majowych nie były tym płonnym strachem motywowane? Tu się na małą skalę ten sam manewr powtarza. Lecz takie wyprowadzenie ludności w pole udaje się zwykle raz tylko, częstsze zaś używanie tej broni tępi ją. Dowodem tego najoczywistszym skargi i narzekania ze wszech stron się powtarzające na obojętność ludu w tej całej sprawie. „I nam, woła jeden z owych zaciekłych predykantów hamburskich, przyszło doczekać się tego, że nasze usiłowania żadnej nie znajdują wziętości, gdyż jednym posuwamy się za daleko, drugim nie dość daleko, a dla trzecich jesteśmy zbyt religijnymi. Do tego trzeba jeszcze dodać obojętność stronnictw liberalnych politycznych w rzeczach religii. Ta obojętność jest w związku z apatyą religijną mas ludu“. (Wester 89).

Prócz tych prelekeyi, prócz rozlicznych konferencyi mianych na wszystkich krańcach Niemiec, udawano się jeszcze do wszystkich magistratów znaczniejszych miast z prośbą o przeznaczenie z kasy komunalnej pewnej sumy na opędzenie kosztów tych obchodów. Ponieważ ludność tych miast nie jest wyłącznie protestancką, a do kas komunalnych płacą prócz protestantów w równej mierze katolicy i żydzi podatki, przeto i ta okoliczność dała słuszny powód do rozterek i sporów. Tak katolicy bowiem, jak żydzi swoje uroczystości religijne z własnej opędzali zawsze kieszeni, mieli zatem słuszne prawo sprzeciwiać się wydatkom z wspól-

nego funduszu na cele jednego wyłącznie wyznania. Mimo to wydała jednak komunalna kasa berlińska na pomnik dla Lutra 150.000, a na obchód sam 100.000 marek; ostatnia suma była przeznaczona szczególnie na wydawnictwo popularnie napisanych książeczek o Lutrze i rozdawanie ich dzieciom w szkołach, aby je tym sposobem pomiędzy ludem rozpowszechnić! Podobnie postępowano sobie i w innych miastach tak, iż niewątpliwie miliony takich książeczek rozsypano po całych Niemczech. Pomiedzy rozmaitemi projektami do uczczenia tej rocznicy Lutra pojawiła się propozycja wybudowania kościoła luterskiego w Rzymie, ale wątpimy, czy hojność protestancka na to się zdobędzie. Agitowano jednak we Włoszech w tym zamiarze; Ojciec św. czuł się nawet spowodowanym o tej agitacji zrobić wzmiankę w swej odpowiedzi danej kolegium kardynalskiemu na życzenia noworoczne. Projekt wybudowania na tę pamiątkę zakładu wychowawczego dla córek pastorów protestanckich rozbił się, jak się zdaje, o opór stronnictw liberalnych, które krzyknęły, że domy pastorów luterskich na prowincyi są gniazdami reakcyi, nie należy ich przeto popierać. Ile się z tysiąca innych jeszcze projektów tego rodzaju utrzyma, pokaże czas.

Takim agitacyom, co więcej, takim obelgom ze wszecich stron na Kościół katolicki, na jego instytucye, nabożeństwo, Sakramenta, jednym słowem na wszystko, co katolikom jest drogie, czcigodne i święte, zuchwale i ustawicznie miotanym, nie mogli się katolicy z założonemi rękami obojętnie przypatrywać i milczeć. Spokojne bowiem znoszenie zniewag, obelg, a nawet bluźnierstw zdradzałoby niemoc wobec protestantów i mogłoby zachwiać małodusznych katolików. Odezwały się tedy wszystkie publiczne organa katolickie w obronie tak zjadliwie zaczepionych świętości katolickich, przeciw owym siedmiu pastorom zaczepiającym w Hamburgu wszystkie niemal artykuły wiary katolickiej, wszystkie instytucye Kościoła od Papieża aż do plebana, od wiary w bóstwo Zbawiciela aż do nabożeństwa publicznego i prywatnego, aż do ćwiczeń duchownych, wystąpił pod imieniem „Gottlieb“ znakomity teolog, który w formie listów z Hamburga, umieszczanych w „Germanii“, każdą prelekcycę tych pastorów ścisłej

i nielitościwej poddał krytyce, chłoszcząc tak ignorancją, jak zuchwałość sądu o rzeczach, których nie znają. Listy te ograniczają się jedynie na prostem odparciu zarzutów, ale wykładając prawdziwą naukę Kościoła o każdym przedmiocie, przedstawiają czytelnikowi przekręcanie przez przeciwników prawdy i tym sposobem pouczają jednych i drugich. Jak ta obrona przysłała w porę, najlepszym dowodem tego, że wszystkie protestanckie organa tak z lewicy, jak z prawicy rzuciły się na nią z całą zaciętością. Czuli wszyscy, że śmiało, a przytem gruntowne i jasne wypowiedzenie prawdy wpływ ich złamało. Listy te wyszły potem w osobnej odbitce w dziesięciu poszytach i doczekały się już drugiego wydania. Tytuł ich jest: „Briefe aus Hamburg. Ein Wort zur Vertheidigung der Kirche gegen die Angriffe von sieben Läugnern der Gottheit Christi“. Prócz tych listów, które z wielu powodów największy wpływ wywarły, pospieszyli z obroną i inni. Książka pod tytułem: „Kirche oder Protestantismus? Dem deutschen Volke zum vierhundertjährigen Lutherjubiläum gewidmet, von einem deutschen Theologen“, która już po trzeci raz wydana została, przyczyniła się wiele do obrony sprawy katolickiej. Jerzy Ewers, nawrócony pastor luterski, wydał w tym samym celu: „Martin Luther, Lebens- und Charakterbild von ihm selbst gezeichnet in seinen eigenen Schriften und Correspondenzen“. Antoni Westermayer napisał: „Luthers-Werk im Jahre 1883“ i t. d. jednym słowem, katolicy w Niemczech tej burzy się nie ulękli, stanęli śmiało w obronie swego Kościoła i ruchliwością swoją wybuchy te sparaliżowali. Nie dość na tem, że odpierali zaczepki, że wyjaśniali prawdziwą naukę i w jej świetle wytykali błędy, że w Lutrze wykazywali destruktora, nie zaś reformatora Kościoła; nadto postawili przeciw niemu prawdziwych reformatorów Kościoła w ś. Franciszku z Asyżu, w św. Dominiku, w św. Bernardzie aż do św. Ignacego Lojoli, św. Franciszka Ksawerego, św. Karola Boromeusza, w św. Wincentym à Paulo i t. d. Te uderzające kontrasty, zestawicne z wielbionym właśnie „reformatorem“, jaśniejsze każdemu dały wyobrażenie o rzeczy, niż uczone i świetne wywody.

Z początku pragnęli niektórzy, aby te uroczystości miały

charakter „ekumeniczny“ czyli powszechny t. j. aby się wszystkie stronnictwa protestanckie połączyły. Ale jakże tej sztuki dokazać, kiedy się ich przekonania różnią? Jedni chcą w nim uczcić „reformatora wiary“, drudzy, którzy się z wszelkiej wiary otrząśli, a zatem i przedewszystkiem z luterskiej, jako najniekonsekwentniejszej, wielbią w nim tego, który niewiedząc podkopał wszelką wiarę, a nareszcie inni uszanowali w nim „wielkiego rewolucjonistę“, który siebie i swoich zwolenników wyłamał z pod najwyższej, a tem samem wszelkiej powagi. Całe stronnictwo liberalne w Niemczech, które niezmierną w protestantyzmie stanowi większość, w ostatniej myśli obchodziło tę pamiątkę; liberalizm zagraniczny, jak n. p. „Repb. franc.“ powiada wyraźnie o Lutrze, „że był sprawcą największej religijnej, politycznej i społecznej rewolucyi, jaką świat od początku chrześcijaństwa widział“, a włoskie „Diritto“, półurzędowy organ ministeryalny mówi: „że z nim rozpoczyna się era rewolucyi. W sto lat po protestanckiej reformie nastąpiła w koniecznej konsekwencji wielka rewolucya francuska, a potem wszystkie inne ruchy naszego stulecia“. „Ortodoksya“ słuhać o tem nie chce, ale rzecz sama zbyt wyraźnie tak o sobie świadczy. Dziwna to tedy jedność, w jakiej tę pamiątkę obchodzono, bo się w jej łonie najtwardsze sprzeczności mieściły. Każdy intonował na swą nutę, była więc w tych obchodach harmonia okropna.

Z tą dysharmonią rozpoczęły się także te obchody już 8-go sierpnia r. p. w Erfurcie i zaraz potem bez przerwy w Eisenach. O godzinie 10 przed południem miał predykant nadworny Baur kazanie, w którym słowa Chrystusa Pana: „a ty niekiedy nawróciwszy się, potwierdzaj bracię twoję“. (Łuk. 22, 32) wypowiedziane do Piotra ś. zastosował do Lutra. Swego bohatera, nazwanego „mężem Bożym“ „wiedzionym przez ducha Bożego“ wynosił i wielbił p. Baur w sposób tak przesadny, w jaki żaden kaznodzieja katolicki nie śmiałyby słać któregośkolwiek bądź z świętych pańskich. Prócz innych wycieczek na Kościół katolicki, dostało się szczególnie celibatowi, zakonnikom i zakonnicom, gdy mówił o małżeństwie Lutra z zakonnicą, Katarzyną Bore. O 3-iej po południu urządzono pochód w kostiumach szesna-

stego wieku od bramy, przez którą niegdyś wjeżdżał Luter, aż do placu Fryderyka Wilhelma. Nie opisujemy tych obchodów, bo je uważamy w tych festynach za rzecz podrzędną i powtarzającą się w ten lub odmienny nieco sposób we wszystkich prawie miastach przeważnie protestanckich, a zwracamy raczej uwagę na ducha i cel, w jakim się odbywały, ten zaś się najwyraźniej manifestował w kazaniach i przemowach mianych przy tej okoliczności. Gdy się pochód na wymienionym wyżej placu, na którym urządzona była trybuna, zatrzymał, wstąpił na nią predykant nadworny, Rogge z Poczdamu i wygłosił, jak wszystkie liberalne dzienniki z pochwałą donosiły, „piorunujące wypowiedzenie wojny Rzymowi“ W końcu, zwracając swoją mowę do studentów, wyraża obawę, że się i teraz znowu gromadzą ciemności i pomiędzy innemi powiada: „Dawny, zacięty nieprzyjaciel, podnosi dziś zuchwalej, niż kiedykolwiek głowę. Głośniej i zuchwalej, niż kiedykolwiek przedtem, zapowiadają ultramontańscy przeciwnicy bliski upadek protestantyzmu i rozpadnięcie się kościoła ewangelickiego; śmielej, niż kiedykolwiek szerzą kłamstwa i wierzą im, za pomocą których w owych dniach dziś nam uprzytomnionych na osobę i dzieło Lutra takie same podejrzenia rzucano. Ach! nie brak niestety, i w naszym własnym łonie takich, którzy pod pozorem wspólnej walki przeciw niewiarze w połączeniu się z odwiecznymi wrogami protestantyzmu przyszłości i zbawienia ojczyzny szukają“. Nie dość, że katolikom dojeżdża, nie mógł na sobie przenieść, aby nie rzucić pocisku i na „ortodoksów“ za to, że w kilku przypadkach wspólnie z katolikami głosowali. Takim jadłem przeciw katolikom i w kościele i na placu studenci napawani, poszli w nocy powybijać szyby proboszczowi katolickiemu w Erfurcie i jednemu kupcowi katolikowi za to, że na cześć Lutra domów swoich nie przyozdobili. Przy takim ciąglem sianiu nienawiści religijnej, dziwić się można, że więcej i gorszych tego rodzaju ekscesów nie zaszło. W podobnym tonie przemawiał jeszcze profesor Beyschlag z Hali. W tych mówcach reprezentowana jest „ortodoksja“ z wydziału unii czyli środka.

Z Erfurtu przeniósł się dalszy ciąg obchodu do Eisenach. Tu w czasie komersu studenckiego przemawiał professor Lipsius

z Kiel, członek „stowarzyszenia protestanckiego“, ale należący do umiarkowanej lewicy. Aby przekonać czytelnika, że w tych wszystkich odezwach ten sam duch nienawiści wieje, przytaczamy małe tylko ustępy: „W tym roku, mówi p. Lipsius, mają protestanckie Niemcy czterowiekową rocznicę urodzin naszego Lutra obchodzić. Warto się przeto zapytać, czy ten Luter, który był w Wormacyi i w Wartburgu, żyje jeszcze w duchu pomiędzy nami? Dawny, zacięty wróg podnosi znowu głowę; ze wszech stron nacierają znowu nieprzyjaciele na warownię niemieckiego protestantyzmu, a w samej warowni płomień niezgody bucha. Strumieniami krwi okupił lud niemiecki jedność narodową, ale od jedności kościelnej dalsi jesteśmy, niż kiedykolwiek. W tym roku jubileuszowym Lutra tryumfuje Rzym znowu nad cesarstwem niemieckiem, na którym ustępstwa po ustępstwach wymógł, a zuchwalstwo jego na tem nie przestaje i coraz nowych domaga się ustępstw. Te trzy mury rzymczyków, które Luter zburzył, odbudowano na nowo. Znowu mówią, że papieska władza przewyższa świecką władzę; znowu mówią, że nikt inny, tylko papież jest właściwym tłómaczem pisma ś.; znowu mówią, że papież ma władzę nad wszystkimi soborami. Tryumfując, spodziewa się Rzym, że wkrótce ujrzy lud niemiecki u stóp papieża; tryumfując, zapowiada prędki upadek niemieckiego protestantyzmu. A w chwili, w której warownia nasza przez dawnego wroga oblężona, patrzeć musimy na gnuśną i martwą obojętność w masach ludu na świętości naszej religii, a prócz tego na zupełne rozprzężenie ewangelickiego obozu. . . Rzym niczego bardziej się nie boi, jak ożywienia ducha luterskiego przez ten jubileusz, dla tego sieje rozterki w obozie ewangelickim, dlatego podnieca i pielęgnuje zachcianki hierarchiczne, któreby wolny kościół reformowany zamieniły na mizerną odbitkę Kościoła papieskiego. . . Nad tem niech się zastanowią ci, którzy nie przestają nakłaniać do zgody z Rzymem, którym żadne pretensye papieża nie wydają się zbyt wysokimi, żadne ustępstwa zbyt drogiemi, żadne upokorzenie się przed papiestwem zbyt haniebnem“ („Germania“ N. 182).

Przytoczone próbki wystarczą do ocenienia ducha i wartości moralnej tych festynów — wszędzie główną i możnaby bez prze-

sady powiedzieć, jedyną treścią tych obchodów była protestacya, negacya, a w końcu nienawiść Kościoła katolickiego, chrystyanizmu. Szczałki nawet wiary katolickiej, jakie się jeszcze przechowały w obozie „ortodoksów“ dlatego, że katolicyzm przypominają, równej doznają nienawiści. Wtenczas tylko, kiedy się obróca przeciw Rzymowi, milczą wewnętrzne rozterki i wszyscy zwarci w jeden szereg przeciw niemu biją. Słyszeliśmy głosy z prawicy i z lewicy, z środka i skrajnych skrzydeł, wszędzie ta sama zadadła nienawiść, wszędzie wołanie na rząd, aby w „Kulturkampfe“ nie ustępował i katolikom nie folgował. Nie masz przeto ani powodu, ani interesu oprowadzać czytelnika po całych Niemczech, po Wittenberdze, Hannowerze, Hamburgu, Wormacyi, Berlinie i t. d., gdzie się podobne odbywały pochody i wygłaszały mowy. Że nie zbywało na dziwactwach, któreby nasze uczucia religijne obrażały, łatwo sobie w tem usposobieniu, jakieśmy wyżej skreślili, wytłómaczyć. W Hannowerze np. rozpoczynało pochód dwóch ludzi w habitach franciszkańskich, w środku szedł wóz naładowany wszelkiego rodzaju pieczywem i trunkami, któremi się idący w processyi krzepili, a na samym końcu zabity wieprz wykarmiony. Nareszcie, jak wszędzie, tak i tu kończyło się wszystko wielkimi ucztami wśród kielichów wina, lub kufi piwa.

W przemowach i toastach nie mniej dziwactw i osobliwości, każdy się bowiem sadził, aby coś mocnego, dosadnego na papieża powiedzieć. Pastor Küntzel z Rosenbach w Szląsku nazwał w mowie swojej przy tej okoliczności mianem papieża „uosiobionym szatanem“ (personificirter Satan). Taki szalony wybuch nienawiści nie jest pomiędzy protestantami rzadki, a zwłaszcza ze strony mało znanego pastora, ale bardziej powinny zadziwiać i oburzać wypowiedziane przy toaście słowa nadwornego predykanta Frommel: „gdyby papież miał żonę, zachwiałoby się jego przekonanie o jego nieomylności“. Te słowa bowiem wyrzekł wymieniony predykan na uczcie danej po skończonej uroczystości luterskiej w Islebii (Eisleben), gdzie się znajdował minister kultu Gossler w zastępstwie cesarzewicza, który się wybierał w podróż do Hiszpanii (Germ. 262). O małżeństwie w ogóle bardzo wiele mówiono wszędzie, jak n. p. prof. Sohm z Stras-

burga oświadczył, „że małżeństwo daje dopiero wychowanie człowiekowi, nieżonaty zatem jest człowiekiem bez wychowania“. (Germania 91). O tej samej materii mówił prof. Beyschlag w Berlinie, ale za te wycieczki dostali protestanci najdotkliwsze od katolików cięgi, bo to ich bardzo słaba strona.

Cóż tedy takie obchody, coż w takim duchu miane kazania i przemowy miałyby luteranizmowi, a w ogóle religii chrześcijańskiej za pożytek przynieść? Czyż negacya i nienawiść Kościoła katolickiego mogła w wierzących protestantach wzmocnić ich wiarę, w słabych pokrzepić, w niedowiarkach ożywić? Czyż to są środki właściwe do podniesienia ducha religijnego? Aby się sąd nasz o tym jubileuszu nie wydawał zbyt surowym lub stronnictwym, przytaczamy z pomiędzy wielu innych zdanie protestanta „ortodoksa“ w „Hermansburger Missionsblatt“: „Te czterowiekowe obchody powinny niestety być wezwaniem do pokuty za okropną winę niewdzięczności kościoła luterskiego okazanej Panu, który przez reformacyą tak wiele mu (kościółowi luter.) powierzył, a tak mało w nim teraz znajduje; gdyż, ach, iluż to z entuzjazmem obchodzi tę uroczystość, którzy najistotniejszą Lutra naukę, że sama tylko wiara usprawiedliwia człowieka, depcą nogami. Ale znikąd nie usłyszysz głosu pokuty, lecz natomiast wiele pięknych mów, w szynkowniach nawet i na publicznych placach, rozpalone głowy krzyczą, że Luter jest wielkim mężem, że my Niemcy wielkim jesteśmy ludem dlatego, że takiego męża naszym nazwać możemy“. Przytem wypiją wiele piwa i wina i zaśpiewają: „Silną warownię“ („Ein' feste Burg“), bo ta pieśń stała się dla wielu „marseliezą“ reformacyi. Lecz, skoro uroczystość przeminie, wszystko pójdzie znowu po dawnemu, a nikt z tego mniej nie odniesie korzyści, jak kościół ewangelicko-luterski. (Germania. 259).

Podzielamy zupełnie zdanie tego luterskiego ortodoksa. Już przywódcy wszystkich stronnictw protestanckich, na cośmy wyżej dowody przytoczyli, żalą się na brak udziału, na obojętność mas ludu, jaką w tych szczególnie ruchach okazano; to nie dosyć: jeszcze większą obojętnością zarazona jest ta część ludności protestanckiej, którą „wysztalconymi“ zowią. Dowodem na to fakt

następujący. Przy okoliczności tych festynów liczyli protestanci na obudzenie entuzjazmu dla osoby Lutra i postanowili wygotować monumentalne wydanie wszystkich dzieł jego. Pastor Dr. Knaake zajął się tą pracą, a cesarz niemiecki znaczną na ten cel przeznaczył sumę. Pierwszy tom już wyszedł w Wajmarze. Gdy przyszło do subskrypcyi, pokazało się, wołając z oburzeniem „Grenzbotten“ — „słuchaj i zdumiewaj się, ty ludzie niemiecki“ — że dla całych Niemiec zapisano tylko 375 egzemplarzy. Z tych zamówiono 58 egzempl. dla książąt panujących, 159 do publicznych bibliotek, a 140 tylko dla prywatnych. Protestancka prasa, a mianowicie konserwatywna, z niewymowną boleścią mówi o tym przedmiocie. W rzeczy samej liczba czytających i zamożność Niemiec, tudzież chwila podniesionego entuzjazmu kazały się większego w tem przedsięwzięciu spodziewać udziału.

Katolicy w Niemczech zachowali się w tych ciężkich chwilach wzorowo. W prasie bronili sprawy Kościoła dzielnie i zwycięsko: w żadnym punkcie nie ustąpili napastnikom, każdy zarzut znalazł odpowiedź, która u katolików większy miała pokup, niż wspaniałe wydanie dzieł Lutra. W czasie samych obchodów zachowali się biernie, ale w niczem swoich przeciwników nie prowokowali. Natomiast O. Franciszek Hattler, T. J., dyrektor apostołstwa modlitwy dla Niemiec i Austrii wydał odezwę do katolików niemieckich polecającą im, aby właśnie w dniach 10-go i 11-go listopada, w których Kościół Boży najwięcej będzie łony i spotwarzany, modlili się gorąco i błagali Boga o nawrócenie błądzących braci. W niektórych zaś miejscach urządzono w tym samym celu wspólne modlitwy niewinnych dzieci. Wzniosła to prawdziwie zemsta za niezliczone krzywdy i obelgi, jakich w tym czasie doznali!

Co na tych festynach jubileuszowych zyskał protestantyzm, a w szczególności „ortodoksja“ protestancka, już nam prawowierny luteranin opowiedział, a jego słowa nie powinny być podejrzane; jedno tylko jeszcze w swej boleści zapomniał dodać, że zamiast zbliżenia stronnictw przeciwnych ku sobie, jubileusz ten jeszcze głębszą pomiędzy nimi wykopał przepaść

i niezgodę zaostrzył. Bo przy wszystkich prawie przemowach uroczystych jedno stronnictwo miotało pociski na drugie, a ponieważ w takich utarczkach na placach publicznych i komersach studenckich zwykle płytkie rezonowanie w liberalnym kierunku odnosi zwycięstwo, przeto wątpliwości nie ulega, że festyny w ogóle wzmocniły jeszcze stronnictwo niewiary, antychryścjanizmu i rewolucyi.

Kościół katolicki nareszcie, przeciw któremu te wszystkie agitacye i festyny były wymierzone, przeżył tę burzę nietylko szczęśliwie, ale mniemamy, że nie bez pożytku. Katolicy Niemiec doznali wprawdzie w chwilach srożenia się tej burzy wiele krzywd, obelg i przykrości, które znieśli z godnością, ale Kościół wśród i po tej nawałnicy świetniejszym jeszcze otoczony został majestatem. Dziwne zaiste zrządzenie, że w chwili, kiedy się wały tej burzy jeszcze kołysały, najwyższy dostojnik protestantyzmu u Papieża, składa głowie Kościoła katolickiego swoje uszanowanie. Jakiegokolwiek mogły być pobudki, które skłoniły cesarzewicza do odwiedzenia Papieża, w każdym razie będzie ten fakt, który w tym właśnie a nie w innym nastąpił czasie, nadzwyczaj pamiętnym. Lecz pomijając nawet ten szczególny wypadek, sądzimy z tego wszystkiego, co się przed, w czasie i po tych obchodach jubileuszowych działo, że to, co było na osłabienie Kościoła katolickiego w Niemczech obliczone, na jego ostatecznie korzyść wypadnie. Zaczepianie artykułów wiary katolickiej, nabożeństwa, obrządków i t. d. wywołało gruntowne, a niekiedy świetne odpowiedzi, któreby się nigdy tak nie były rozpowszechniły, nigdy takiego nie obudziły interesu, jak właśnie przez taką polemikę. Katolicy zostali przez to w swoich przekonaniach religijnych na nowo utwierdzeni, a miejmy nadzieję, że wielu protestantom dobrej wiary, którzyby się w innem położeniu nad temi przedmiotami nie byli zastanowili, otworzyła się droga do powrotu. Niepojęte są bowiem zrządzenia Opatrzności!

Spiritus ubi vult spirat.
Jan Ostoja.

ROZWÓJ WIARY.

(Ciąg dalszy.)

I. Pojęcie wiary i pogląd na dzieje tego pojęcia.

(Pojęcie wiary — władze duchowe, biorące udział w tworzeniu się pojęcia wiary — wiara nadnaturalna — błędne wyobrażenia filozofów o pojęciu wiary. — I. Naturzyści: a) racjonalści: Kant, Fichte, panteista Hegel; b) Schopenhauer, Frauenstädt; c) Reid, Hume, St. Simon, Mendelsohn, Lessing, Herder, Strauss.

Trudno znaleźć w dziejach myśli ludzkiej równie zadziwiający zjawisko, jak to, które przedstawia samo pojęcie wiary w swych różnych odmianach. Jasne i proste na pozór słowa: wierzyć, wiara -- były jednak tak rozmaicie pojmowane, jak żadne może inne wyrazy.

Jakież więc pojęcie wiary jest rzetelne i jakie jego znaczenie prawdziwe? Objaśnijmy rzecz przykładem. Mój stary przyjaciel niedawno powrócił z podróży po dalekich krajach. Znając go oddawna, wiem, że jest wykształcony, prawy i prawdomowny i pełen dla mnie życzliwości. Przyjaciel mój opowiada mi, co widział i słyszał w czasie swojej podróży, jakie nazwy mają ziemie i miasta, przez które przejeżdżał, jakie są zwyczaje i obyczaje ludzi, co te ziemie zamieszkują. Ja nie byłem wcale w tych stronach, o których mi opowiada mój przyjaciel, ale istnienia krain i ludów, o których on mi mówi, prawdziwości przymiotów, które im przypisuje i w ogóle wszystkiego, co mi o podróży swojej opowiada, tak jestem pewny, jak gdybym był sam tę podróż odbył i spostrzeżenia te zrobił. Dlaczego?

Wiedza i prawdomówność przyjaciela są rękojmią prawdy tego, co mówi i sprawiają, że ja słowem jego wierzę.

A więc wiara jest uznaniem za prawdę słów, czyli świadectwa czyjegoś, opartem na pewności, że mówiący miał potrzebną znajomość rzeczy, czyli wiedzę, oraz, że chciał być i był istotnie prawdomówny.

Przypuśćmy teraz, że podobało się Bogu podać nam pewne wiadomości o tej nieskończonej od nas dalekiej krainie Jego Istoty. Każdy w takim razie rozumie, że On o wszystkim, co nam objawia doskonale wiedzieć musi, i że nie może chcieć nas w błąd wprowadzić, że więc my słów Jego nie przyjąć za prawdę nie możemy.

Otóż to uznanie za prawdę tego, co nam Bóg objawił i to dlatego, że On nam to objawił, czyli dla powagi Objawiającego — to jest *wiara* w religijnem, chrześcijańskiem tego słowa znaczeniu. I wówczas nawet kiedy Bóg nie bezpośrednio, lecz przez uwierzytelnionych posłanników swoich objawienia nam udziela istota i jakość naszej wiary się nie zmienia.

Wiara tedy, jak się rzekło, jest uznaniem czegoś za prawdę nie dlatego, że się zrozumiało wewnętrzne powody rzeczy, lecz dlatego, że nam jej udziela osoba, o której wiedzy i prawdomówności w danym kierunku jesteśmy przeświadczeni. Pobudką wierzzenia nie jest wewnętrzna prawdy oczywistość, zwana przez dawnych filozofów: *interna evidentia veritatis*, lecz widoczność jej zewnętrzna, *evidentia externa*, to jest widoczna powaga mówiącego. Takie jest pojęcie wiary, tak rozumne i proste, że żadna nauka i mądrość ludzka, jak się zdaje, zaprzeczyłoby mu nie powinna. Tak pojmował i pojmuje wiarę Kościół katolicki w swoim autentycznem nauczaniu, począwszy od św. Pawła, aż do Soboru Watykańskiego ¹⁾, i trudno sobie wyobrazić, jak inne pojmowanie jest możebne?

Ale też kiedy się głębiej w rzecz wniknie i rozróżni dokładnie władze duszy, z których się rodzi akt wiary, to już wszelka wątpliwość i różność zdań o istocie wiary okazuje się

¹⁾ Ses. III. c. 3. can. 2.

rownież niemożliwą. Albowiem czemuż jest wiara, jeśli nie uznaniem prawdy, *assensus veritatis*? Prawda zaś jest przedmiotem rozumu, co już starzy filozofowie za Arystotelesem powiedzieli: *intellectus naturaliter tendit in verum*. Wiara więc jest przede wszystkim dziełem rozumu; tak też naucza św. Tomasz w Sumie teologicznej¹⁾.

Ale i wolna wola bierze w powstaniu aktu wiary pewien udział. Prawda bowiem nie zawsze jest tak widoczną, a powody za prawdziwością danej rzeczy przemawiające tak niezbite, by ją rozum uznać musiał. W takim razie rozum waha się między twierdzeniem a przeczeniem, uznaniem a odrzuceniem, i dopiero wola skłania go do przechylenia się na jedną lub drugą stronę. Kiedy bowiem sama prawda, będąca właściwym przedmiotem rozumu, nie zmusza go do uznania — a tylko wtedy kiedy jest oczywistą taki mus wywiera — wtedy wola tylko może, jeśli jej na tem zależy, na rozum wpłynąć i do uznania go nakłonić. Ona bowiem jest panią, która inne władze duszy do działania przynagla, kiedy tego nie czynią właściwe ich przedmioty. Ale w wierze opartej, jak się powiedziało, jedynie na powadze mówiącego, prawda nie występuje nigdy z całą jasnością swych wewnętrznych dowodów, a przeto nie zmusza rozumu do uznania. Stąd wypływa, że kto chce o przedmiocie wiary takiej powątpiewać, łatwo może znaleźć mniej lub więcej rozumne powątpiewania tego uzasadnienie: może np. przypuszczać, że słów opowiadającego nie pojął należycie, że opowiadający sam rzeczy nie rozumiał, lub że po prostu w błąd chciał słuchającego wprowadzić. Jeżeli więc, mimo tylu możliwych wątpliwości, rozum ma czyjemuś słowu dać wiarę — to nie może w inny sposób nastąpić, jak tylko pod wpływem woli. Nawet gdy Bóg prawdę swą objawia, może rozum doznawać pewnych trudności w jej uznaniu, czego są dowodem tysiące ludzi trapionych poniewolnie wątpliwościami religijnymi i tysiące dobrowolnych wątpicieli i niedowiarków. To też i w wierze religijnej chwiejnemu rozumowi przychodzi wola z pomocą i skłania go do uznania objawionej prawdy wbrew wszelkim wątpiwościom.

¹⁾ 2. 2., q. 4. a. 2 i q. 1. a. 1.

W genezie aktu wiary gra pewną rolę i *uczucie*. Jest ono bowiem pobudką dla woli do wpływania na rozum. Dziecko wierzy mocno słowom ojca lub matki i jest przeświadczone o ich nieomyślności. Dlaczego? Bo uczucia uszanowania i miłości dla rodziców nie pozwalają wątpliwościom rozwinąć się w jego umyśle; wątpliwość każda o prawdzie słów rodziców byłaby uchybieniem winnego im uszanowania. Uczucie więc wpływa na wolę, a wola na rozum.

Wpływem uczucia przez wolę na rozum i wiarę tłómaczy się zjawisko w dziejach umiejętności, mianowicie filozofii i teologii się powtarzające. Przez wieki nieraz istnieją szkoły o najróżniejszych sprzecznych nawet z sobą systemach. Skąd w zwolennikach tych szkół ta siła przekonania? Czy jest to skutek dowodów przedmiotowych? Żadną miarą. Wszak ich przeciwnicy najzupełniej lekceważą te dowody a i oni pewnieby je lekceważyli, gdyby zbieg okoliczności w przeciwnej ich szkole umieścił. Tylko cześć i miłość uczniów dla mistrzów wiąże tak silnie uczniów ze szkołą mistrzów.

Coś podobnego lecz nierównie słuszniejszego znajdujemy w wierze religijnej. Człowiek czuje swoją zupełną zawisłość od nieskończonej dobroci Boga, z czego się rodzą uczucia czci i miłości dla Niego jak największej. Cóżby powiedział człowiek pozbawiony tych uczuć, gdyby mu Pan Bóg swoją prawdę objawić zechciał? Bez tej czci i miłości Bożej gotów taki człowiek powiedzieć sobie: i cóż mnie to obchodzi, że Bóg objawił swoją prawdę, nie troszczę się o nią, jak i o Niego, obejdę się wygodnie bez ich obojga. Obojętności tej — zowiemy ją pospolicie indyferentyzmem religijnym — zapobiedz może jedynie uczucie głębokiej czci dla Nieskończonego Majestatu Bożego, które nie dozwoli nędznemu stworzeniu wzgardzić tak przeznacnym darem Stwórcy swego i uczucie miłości i wdzięczności należnej Bogu za dobroć i łaskawość w objawieniu swej prawdy okazaną.

Cała tedy duchowa istota człowieka jest w powstaniu aktu wiary czynną. Rozum uznaje rzecz objawioną za prawdę, czyli wierzy w nią; wola mu w tem dopomaga, strzegąc go od nasuwających się wątpliwości; a na wolę wpływa w tymże celu uczucie.

Jak się te władze łączą, jak dopełniają się nawzajem, jak się odbywa cała ta skombinowana czynność w taki sposób że wiara religijna, jako uznanie prawdy Bożej, nietylko nie jest czynem niedorzecznym, ale jest aktem wysokiej mądrości, o tem — da Bóg — później. Tu nakreśliśmy tylko szkic czynności władz duchowych do aktu wiary należących. Kto zwykł się zastanawiać nad sobą ze świadomością, ten wywodom naszym nie odmówi słuszności.

Teraz zwrócić musimy uwagę na sam akt wiary religijnej, tj. wiary w objawioną prawdę Bożą. I tu, jak się zdaje, nie powinno się znaleźć wielkiej różności zdań.

Według ogólnych zasad chrześcijańskiej nauki, nadprzyrodzony ten akt rodzi się z tych samych czynników, co zwyczajny akt wiary opartej na powadze ludzkiej. Istotna różnica leży tu w tem tylko, że w tym ostatnim władze duchowe działają zostając w stanie zupełnie naturalnym. Przy akcji zaś wiary religijnej, chrześcijańskiej, władze duszy nawskróś są przejęte łaską wiary, *gratia fidei*, i podniesione tą łaską do wyższego stanu. O sposobie działania tej łaski wiary na władze duszy mówić będziemy później; tu dość nadmienić, że łaska ta nie jest jakimś objawieniem wewnętrznem, zapomocą którego by udzielał Bóg bezpośrednio swą prawdę duszy, ale jest ona wewnętrznem uszlachetnieniem całego jestestwa duszy, które ją czyni zdolną do przyjęcia objawienia zewnętrznego, siłami jednak nadnaturalnymi i działaniem nadnaturalnej wartości, godnem przeto nadnaturalnej nagrody.

Takie pojęcie wiary religijnej przyjęte jest przez świat uczonej katolicki. Ale, jak już wspomnieliśmy, mało które pojęcie w tak rozliczne sposoby rozumianem i tłómaczonem było, jak pojęcie wiary. Żaden nawet dogmat wiary nie był tak dziwacznie i sprzecznie wykładany, jak pojęcie wiary i istota czynu wiary. Czegoż nie próbowali filozofowie nowszych czasów, jakich się nie chwyтали sofizmów, by pojęcie to zmienić, spaczyć, przekręcić? U wielu z nich przebija na pierwszy rzut oka widoczna nienawiść do Chrystyanizmu, którego podwalinę, wiarę, chcą podkopać, przedstawiając ją jako rzecz niedorzeczną, a nawet rozwojowi wiedzy ludzkiej szkodliwą. Bezmyślne, w wielkiej części, tłumy zwolenników tych

filozofów powtarzają ich wykrzykniki i tym tanim kosztem okupują dla siebie miano myślicieli postępowców i t. p. Są znów inne chwiejne umysły, które z jednej strony nie chcą zerwać z dawną swą matką Kościołem, a z drugiej korci ich blichrzliwej filozofii. Tacy nie widzą innego wyjścia, jak utworzyć sobie dwa odrębne światy: świat przekonań i życia — jak sądzą — katolickiego i świat rzekomej oświaty, filozofii i postępowania według idei czasu. Sprzeczność między tymi dwoma światami nie razi ich płytkiej loiki; jako chrześcijanie wierzą z prostotą dziecięcą w to, czemu jako filozofowie przeczą. Nie sprawdzają się na nich owe piękne słowa Libelta ¹⁾: „Filozofia (z takiego punktu widzenia rzeczy uważana) nabiera nieskończonej wartości, bo nie jest ona uciepiona na słabej tkance swojskiego rzeczy widzenia, ale z całej rzeczywistości wyrasta, płodnymi sokami utajonych tam myśli karmiona. Najnierozsądniejsze stąd mniemanie i dowodzące krótkiego rzeczy widzenia, jak gdyby systemy filozoficzne były urojeniami, nie wspólnego nie mającemi z rzeczywistym światem. Cała wiedza jest jak nić uwiązana u podnóża przedwiecznej Mądrości: kto się tej nici uczepi, może ją dowolnie w różne strony prowadzić, ale zawsze po niej dojdzie do Boga, którego mądrości wypływem jest rzeczywistość“. Rozumie się, że zdanie to Libelta do filozofii katolickiej jedynie da się odnieść, a żadną miarą nie można go tam zastosować, gdzie mowa o filozofii niekatolickiej. Ta zaś filozofia, w szerokich dziś kołach panująca nie tylko katolicyzmowi ale chrześcijaństwu przeciwna, tak jest daleką od rzeczywistości, jak dalekim jest człowiek śpiący od posiadania przedmiotów, które we śnie ogląda. Dowodem tego są właśnie formy, jakie przybrało pojęcie wiary w umysłach nowożytnych filozofów.

Żyjemy w epoce wystaw, chcąc się przeto z tymi dziwolągami filozoficznymi zapoznać, urządzmy sobie wystawę szkół filozoficznych by przejrzeć koleje, jakie z biegiem czasu przechodziło to w końcu tak proste i jasne pojęcie wiary.

Na pierwszy rzut oka w tej wielkiej różnitości zdań, od-

¹⁾ Estetyka T. I. str. 17.

roznie można dwa obozy: jedni mają wiarę za dzieło ducha ludzkiego, z wyłączeniem wszelkiego bożego pierwiastku, inni znów przeceniają w niej pierwiastek Boży, z widoczną krzywdą rozumu ludzkiego. Tymczasem w rzeczywistości przy akcji wiary pierwiastek Boski łączy się z ludzkim, i każdy z nich ma swój cel, zakres działania i znaczenie.

Jednostronność obu przytoczonych zdań trafnie określił jeden z poważnych naszych pisarzy: „W rzeczach religii również jest niebezpieczna ustępować wszystkiemu rozumowi, jak go całkiem wykluczać. Nie tak też czyni katolicyzm. Nie potępia rozumu, bo rozum od Boga; nie ustępuje wszystkiemu rozumowi ludzkiemu, bo mu się każe niekiedy ukorzyć przed rozumem Bożym, ale i wtenczas przedstawia powody, dla których się rozum ukorzyć winien. Zgoła, żywioł Boski i żywioł ludzki tak się tu zbierają, miarkują, spajają doskonale, iż wiara, nie niszcząc dopełnia całego człowieka o ile myśli, chce, ile czuje. Taka jest prawda. Ale fałsz, który nie jest czem innym, jak nadużyciem prawdy, zawsze przesadza w jakiejś części, rozrywa tę piękną harmonię, albo odpychając Boga, albo niszcząc człowieka i w samym człowieku rozdzielając i rozwijając do zbytku stronę samego rozumu, lub samego uczucia. Łatwo stąd pojąć dlaczego fałsz, chociaż jeden w biernym swoim źródle, tak różne może przybierać kształty. Żywioł jednak racjonalny zawsze w końcu przemagał. Jest wszakże i druga strona, puszczająca wyłącznie cugle uczuciu i wyobraźni, a niszcząca żywioł rozumowy w człowieku religijnym. Z natury sił duszy, z której wychodzi mniej wytrwałych, od chłodnego rozumu nagle bucha słomianym płomieniem, ale też rychlej się wytrawia i gaśnie. Nie cierpi bitych dróg wytykających stosunki nasze z Niebem, a szuka nowych. I tak zaraz w początkach kościoła liczne sekty gnostyków chełpiły się posiadaniem tajemnych podań apostołów, rozumieniem duchownem pisma, kiedy Kościół podług nich literę tylko i formę posiadał. Chełpiły się towarzystwem i poufałością duchów, otaczały cudownością i pokątnie święciły tajemnice“¹⁾.

¹⁾ Kajsiewicz. Kazanie o cud. rozkrzew. wiary.

Zacznijmy od pierwszej gromady filozofów *naturzystów*, czyli widzących w akcie wiary tylko naturalną czynność samego człowieka bez wszelkiej nadprzyrodzonej przymieszki. Postrzegamy między nimi trzy osobne działy: jedni mają wiarę za dzieło rozumu, drudzy za dzieło woli, inni za dzieło uczucia. Czytelnik wie już ile w tych teoryach słuszności i gdzie źródło błędu. Mają one słuszność wszystkie razem o tyle, że wszystkie te władze duszy są przy akcie wiary czynne, ale mylą się, całe dzieło władzom duszy ludzkiej wyłącznie przypisując.

Przystępujemy do pierwszego działu czyli do t. z. racjonalistów. Między zwolennikami swymi dział ten liczy imiona tak sławne jak: Hobbesa, ¹⁾ Locke'go, ²⁾ Tolanda, ³⁾ Stäudlina, ⁴⁾ Bretschneidera ⁵⁾ i innych. Zdaniem tych filozofów wiara jest uznaniem prawdy spowodowanym przez zrozumienie wewnętrznych jej powodów. Od wiedzy zaś różni się wiara tem, że wiedza odnosi się do materialnych wyłącznie przedmiotów, wiara wyłącznie do duchowych. Wiara oparta na powadze świadków, *in auctoritate loquentis*, zdaniem racjonalistów, bynajmniej na uznanie nie zasługuje. Tym sposobem wywrócono z gruntu pojęcie wiary w znaczeniu katolickiem.

Na uwagę też w tym kierunku zasługuje teoria królewieckiego filozofa Emanuela Kanta, który odróżnia wiarę rozumową czyli, jak ją nazywa religijną (*Vernunftglauben*), (*Religionsglauben*) i kościelną czyli wiarę w Boskie Objawienie (*Kirchenglauben*). Pierwsza uznaje jakąś naukę za prawdę nie dlatego, że można dowieść jej prawdziwości, lecz dlatego, że rozum praktyczny pojmuje, iż bez tej nauki niemożliwe jest ocalenie praw moralnych. Druga będąc czemś między mniemaniem a wiedzą pośredniem, nie zawiera bezwzględnej pewności i o tyle tylko ma wartość, o ile jest w stanie dostarczać rozumowi praktycznych zasad użytecznych lub potrzebnych do zachowania praw moralności. Powodem więc wierzenia, według Kanta, nie jest ani powaga mówiącego, ani pewność

¹⁾ Lewiathan 27. 39.

²⁾ Essai l. 4. ch. 18.

³⁾ Chrystianity not misterious s. 4. ch. 4.

⁴⁾ W Dogmatyce.

⁵⁾ Dogm. I. s. 234.

poznanej prawdy, ale wyłącznie podmiotowe zapatrywanie się i względy praktyczne. Prawdę przedmiotową wiara kantowska wyklucza, a za przedmiot wiary fałsz nawet uważać pozwala, byle go wierzący sam miał za prawdę i byle ten fałsz nie był w przeciwieństwie z moralnością i do jej zachowania dopomagał.

W zasadzie tak samo, choć inaczej nieco w szczegółach, pojmuje wiarę inny głośny niemiecki myśliciel, Fichte. Mówi on że wola, *das Begehrungsvermögen*, z natury pragnie najwyższego dobra, którem jest szczyt moralnej doskonałości i wynikająca z niej zupełna szczęśliwość. Dla tej wrodzonej dążności pragnie wola, aby takie najwyższe dobro istniało. Ponieważ zaś możliwości istnienia najwyższego dobra niepodobna rozumowaniem udowodnić, stąd możliwość ta nie mogąc być przedmiotem wiedzy, staje się wiary przedmiotem. Wierzymy w istnienie Boga i życie pozagrobowe i to zaspokaja wrodzone woli pragnienie szczęśliwości.

Wiarę też w objawienie, zdaniem Fichtego, nakazuje człowiekowi rozum praktyczny, który skłania go do uznania Objawienia nie dla niezbitych jego dowodów, lecz dlatego, że Objawienie daje moralności broń przeciw zmysłom, a rozumowi pomaga nagiąć wolę pod jarzmo moralnego prawa.

Ale jakże można za prawdę uznać rzecz nieudowodnioną, chociażby dla moralności najkorzystniejszą? Tę kwestyę rozwija Fichte w sposób następujący:

„Dla nas — powiada on — wszystko jest prawdą, co do poprawy obyczajów jest potrzebne, a czego fałszywość wykazać się nie da. Dwojaka jest w nas władza chcenia: wyższa i niższa. Wiara w Boga i w nieśmiertelność duszy jest wpływem wyższej; wiara w Objawienie, w niższej ma swoje źródło. Wyższa rządzi się ogólnymi prawami rozumu i dlatego wpływająca z niej wiara ma ogólną wartość. Niższa władza chcenia w różnych osobach, zależnie od temperamentu, obyczajów, różnie się przeobraża, czyli różne wywołuje żądze i zachcianki. Stąd niejednokowej doniosłości bywa wpływająca z niej wiara. Jedni przypisują jej większą wartość, drudzy mniejszą, inni wszelkiego odmawiają jej znaczenia“¹⁾.

¹⁾ Religion innerhalb der Grenzen... S. 195. 180 i Kritik der reinen Vernunft 611—617.

Nie dla każdego może zrozumiałą jest ta niezłoczna gadanina, dlatego wyłuszczyliśmy ją prostymi słowami. Człowiek koniecznie pragnie być szczęśliwym, żądza ta szczęścia jest nieodzownym warunkiem jego natury. Należy zatem przyjąć jakiś przedmiot zdolny pragnienie to zaspokoić. Nie wiemy jednak, czy taki przedmiot rzeczywiście istnieje, ale przyjąć go musimy, skoro istnienie jego jest postulatem natury ludzkiej; czyli innemi słowy musimy weni wierzyć. A ponieważ wszyscy ludzie mają tę samą naturę, wszyscy zgadzać się muszą w tej wierze. Drogą zaś do szczęścia jest moralność. Otóż nauki Objawienia z swymi przykładami cnoty i moralności ułatwiają nam wypełnienie prawa moralnego, musimy więc przyjąć tę pomoc nie dla przedmiotowej pewności objawionej nauki, o której nic nie wiemy, ale dla osobistej korzyści, jaką z niej mieć możemy. Każdy więc naród, każdy człowiek, każdy wiek bierze sobie z Objawienia to i tyle, co uznaje za potrzebne dla swego umoralnienia. Stąd to u różnych narodów różna wiara religijna¹⁾. Co taka wiara warta, każdy łatwo pojmie.

Podobnie też rozumują wszyscy filozofowie, którzy swe systemy na zasadniczych Kanta i Fichtego poglądach oparli, zwłaszcza Fries²⁾ i Erdmann³⁾. W rozumie praktycznym, mówi De Wette, tkwi prawo jedności i konieczności, wyprowadzające umysł z po za sfery pojęć empirycznych w dziedzinę abstrakcyjnych pojęć Boga, ducha, wolności, które przyjąć trzeba koniecznie, jeżeli znamię jedności i konieczności ma na zjawiskach świata fizycznego i moralnego pozostać⁴⁾.

Inni zaś zwracają uwagę na wszczepioną w sercu ludzkim miłość Boga. Wrodzone naturze naszej kochanie Nieskończoności nakłania rozum praktyczny do uznania jej istnienia. W tej teorii więc pierwsze miejsce ma religia albo miłość Boga a z niej pochodzi wiara, którą bytność jego bez wątpienia uznajemy⁵⁾. Wiara

¹⁾ Fichte. Kritik aller Offenbarung. S. 2, 3, 154—156, 174.

²⁾ Fries. Neue Kritik der Vernunft II. 267.

³⁾ Erdmann. III. 401.

⁴⁾ De Wette. Christliche Dogmatik I. §. 15, 28, 33.

⁵⁾ Hase. Ob. Denzinger. Religiöse Erkenntniss. II. 442.

taka więc jest systemem pojęć i pewników, które duch ludzki przyjmuje nie z przekonania o ich przedmiotowej prawdzie, lecz z tej podmiotowej pobudki, że bez nich moralne i duchowe życie człowieka nie byłoby możebne.

W tym przeglądzie racjonalistów spotykamy dalej Spinozę utrzymującego, że Objawienie nie jest prawdą przedmiotową, tylko zbiorem przykładów i nauk moralnych, które uznać należy, bo one tylko człowieka skłonić są w stanie do należnego Bogu posłuszeństwa ¹⁾). Pokrewny Spinozie co do zapatrywań Socyn mniema że wiara wpływa z miłości dobra moralnego, że to czego wymaga dobro moralne musi być prawdą wiary. Kto nie ma miłości dla tego dobra, zmysłowością się powodując, ten zagłusza w sobie i wiarę, która mu się stanie obojętną a nawet nienawistną ²⁾).

Od filozofów racjonalistów przyjmujących istnienie osobowego Boga i uznających Jego władztwo nad światem przejdźmy do szkoły panteistów. Główny koryfeusz tej szkoły, Hegel, dwojaką rozróżnia wiarę: niższą i wyższą; pierwsza jest wynikiem uczucia, druga rozumowania. Pierwsza jest nieświadomem poczuciem naszej z Bogiem jedności — a nawet tożsamości, i sprawia, że czujemy, iż my i Bóg — to jedno i to samo. Skoro zaś duch wnikać zaczyna sam w siebie, skoro wchodzi na drogę myślenia, następuje rozdwojenie tej dotychczas odczuwanej tylko jedności z Bogiem przez to samo, że umysł Boga poczyną uważać jako przedmiot, w stosunku do siebie jako podmiotu (*das Ich setzt sich das Objekt entgegen*). Następuje tedy rozdwojenie, w którym umysł przedstawia sobie Boga jako fakt historyczny, i stąd bierze się wiara historyczna, oparta na powadze źródeł. Ale taka nierozumna wiara staje się z czasem prawie zabobonem dogmatycznym, w którym myślący umysł pozostać długo nie może; widząc jak błędził gdy przypuszczał Boga historycznego, wpada w ogólne wątplenie. Ten stan jest dla umysłu nie do zniesienia: mimo wysilenia z jakim mu przychodzi odtrącać wszelkie wątpliwości, przekłada nad stadyum swe obecne

¹⁾ Spinoza. Tract. theol. polit. c. 14.

²⁾ Socin. Tr. de Justif. II. 6. th. 5. 8.

swój stan pierwotny, stan poczucia swej identyczności z Bogiem. Ponieważ jednak do tego poczucia doszedł już po przebyciu tych wszystkich kolei, ponieważ doświadczył, że stan wątpienia, w który był popadł jest przeciwny jego naturze, dlatego tym razem łączy z poczuciem tożsamości człowieka z Bogiem zupełna tej tożsamości świadomość i pewność: wiara i wiedza obchodzą wtedy w duszy ludzkiej zrękowiny.

Wiara tedy wedle Hegla jest świadomością tożsamości człowieka z Bogiem. Jeżeli w ogóle galimatyas ten cały zakrawa na marzenie na jawie, to przedewszystkiem dziwić się trzeba, że właśnie Niemcy, którzy się chełpią z rozumu, uznają takiego ideologa jakim jest Hegel za wielkiego myśliciela. Cóż znaczy cała tajemniczość dogmatów katolickich w porównaniu z temi nie zrozumiałemi filozoficznemi zagadkami? A jednak Kościołowi odmawia się wiary, podczas, gdy Heglowi wierzy się na pierwsze słowo.

Przejdźmy teraz do drugiego działu filozofów naturzystów.

Według Schopenhauera, Frauenstäda i innych wiara jest dziełem samej tylko woli. Nie jest ona wyrazem prawdy, ale zawsze jest wynikiem konieczności. Ile razy bowiem wola nie umie sobie w pewnych zagadnieniach poradzić i wybrnąć z trudności, ucieka się do podmiotowych przypuszczeń i mniemań, uznając rzeczy nie z wiedzą nie mające wspólnego. Wiare zatem i wiedzę ma Schopenhauer za dwa przeciwne bieguny. Z tego wynika, że kto śmiało myśli i nie ogląda się na powagę ludzką, ale jedynie na wymogi rozumu, ten się musi wyrzec wiary; jak znowu człowiek bezwarunkowo wierzący, nie może samodzielnie myśleć ¹⁾.

Więcej jest filozofów trzeciego działu, którzy uważają wiare za objaw uczucia; rozmaici też filozofowie tej kategorii różną wierze przypisują wartość. Zdaniem jednych wartość ta jest wielką, i tego zdania trzymają się w Anglii Reid i Hume, we Francji Saint Simoniści, w Niemczech Mendelsohn, Lessing, Herder i Jacobi.

¹⁾ Schopenhauer: die Welt als Wille u. Vorstellung II. 17. Por. znakomite dzieło Janssena: Zeit- u. Lebensbilder. III. Lebensbild. Frauenstädt: Das wahre Verhältniss der Vernunft zur Offenbarung str. 15.

Zasady ich dadzą się w ten sposób streścić: duszy wrodzone jest pewne czucie, pewien zmysł religijny, z którego rodzi się skłonność instynktowa do wierzenia. Zmysł ten jest probierzem prawdy religijnej, tak, że co on uznaje, musi być prawdą. Jest on zatem rodzajem wewnętrznego objawienia. Objawienie zaś zewnętrzne wydoskonalą tylko to czucie religijne. Ale objawienie to zewnętrzne nie jest to w myśl Kościoła objawienie Boże, lecz wszystko to, co ma jakikolwiek wpływ na rozwinięcie zdolności umysłowych i tego uczucia religijnego, zatem wszystkie zjawiska duchowego i fizycznego świata, samo nawet wychowanie i otoczenie, wśród którego się żyje.

Inni tego kierunku filozofowie nie przyznają wierze wielkiej wartości z tego powodu właśnie, że jest rzeczą serca, które nie jest sędzią bezstronnym prawdy. Przedstawicielami tej opinii są Strauss i Feuerbach. Według nich przyjmuje człowiek wierzący naukę objawioną i uznaje za prawdę, nie wskutek filozoficznych badań i rozumnej krytyki, owszem najczęściej wbrew tejże, ale tylko nakłoniony do tego gorącym uczuciem; pod jego wpływem uważa ją człowiek za niezbitą prawdę. W języku kościelnym nazywa się takie przyjęcie prawd objawionych wiarą. Pobożny człowiek czuje to, że w nadziemskich krainach musi być Bóg i niebo, i dlatego wierzy w nie. On czuje, że środki, jakie mu Kościół podaje do uświętobliwienia się, rzeczywiście łaskę Boską w sobie zawierają, i dlatego także w nie wierzy. Wprawdzie rozum szuka dowodów na poparcie tych pobożnych przypuszczeń, jednakże nie te dowody dają im pewność i słuszność, lecz przeciwnie one same biorą moc i prawdziwość od uczucia ¹⁾.

Takie to mają wyobrażenia o wierze wielcy filozofowie. Zaiste! gdyby tak wiara stała, byłaby ona rzeczą najniedorzeczniejszą w świecie. Lecz na szczęście, rozliczne te mniemania wszystkie prawdziwe być nie mogą, jedna bowiem jest prawda, a błędu oznaką jest rozmaitość — *veritas una, erroris vero non unus est exitus.*

(C. d. n.)

X. A. Langer.

¹⁾ Strauss. Glaubenslehre 6, 20, 211 także Denzinger op. cit. II. 445. Feuerbach. Philosophie u. Christenthum 69. Denz. I. 52.

DOKUMENTA.

Listy kardynała de Côme do O. Antoniego Possewina T. J.

(Ciąg dalszy).

III.

Ultimo di marzo 1581.

Molto Reverendo in Christo Padre. Si manda con la presente il breve per la Gran Duchessa di Moscovia, nel soprascritto del quale si è lasciato spatio d' aggiunger il nome proprio, al che V. R. potrà supplire intendendolo dal oratore.

Et non havendo da dir altro, resto offerendole di core et pregandole continova assistenza de la gratia divina. Di Roma.

Ostatniego dnia marca 1581 r.

Przewielebny Ojczy w Chrystusie. W załączeniu do tego pisma posyłam *breve* dla Wielkiej Księżnej Moskiewskiej. W adresie zostawione jest miejsce na umieszczenie jej imienia własnego, które W. T. będzie mógł wypełnić dowiedziawszy się o niem od posła¹⁾.

Nie mając nic więcej do powiedzenia, polecam serdecznie Bogu Wielebność Twoją i proszę, aby łaska Boża zawsze Ci towarzyszyła. Z Rzymu.

IV.

22 luglio 1581.

Reverendo in Christo Padre.

22 lipca 1581 r.

Przewielebny Ojczy w Chry-

¹⁾ Possewin w towarzystwie moskiewskiego gońca Istomy Szewrigina opuścił Rzym 27 marca 1591, jako nadzwyczajny legat papieski, z początkiem kwietnia był w drodze do Moskwy w Wenecyi, dokąd list swój z 31 marca wyprawił kardynał de Côme. (Antonii Possevini *Missio moscovitica*).

V. R. doverà poi haver inteso lei ancora la nuova certa de la morte di quel pover huomo di Francesco Pallavicino datagli in Villacco dal Ambasciatore del gran Duca de Moscovia. Hora Bernardo Pallavicino suo Padre ha supplicato Nostro Signore, che poichè ha perduto il figliuolo Sua Santità si degni di favorirlo che possa ricuperar almeno la roba che ha lasciato, perchè si possano pagar li debiti fatti da lui qui in Roma, quali importano centinaia di scudi. Però Sua Santità vuole che V. R. facci ogni opera per la ricuperatione di detta roba; la qual si doverà poter ricuperare tanto più facilmente, quanto che li debiti fatti da esso Francesco furono contratti in buona parte per servizio di esso Gran Duca.

Nè essendo questa per altro, a V. R. per fine resto desiderando ogni vero contento. Di Roma.

stusie. Zapewne już wiadomość o śmierci tego biednego Franciszka Pallavicino doszła do W. T. w Villacco przez ambasadora W. księcia Moskwy. Otóż Bernard Pallavicino ojciec jego prosił Ojca św., żeby mu raczył dopomóc po stracie syna, do odebrania przynajmniej rzeczy po nim pozostałych, dla opłacenia długów przez niego w Rzymie zaciągniętych, które do kilkuset skudów dochodzą¹⁾. Ojciec św. pragnie więc, żeby W. T. dołożył wszelkiego starania, dla odzyskania wspomnianych rzeczy, które tem łatwiej odebrać się dadzą, że długi te zaciągnął Franciszek, po większej części na usługi tegoż Wielkiego księcia.

Ponieważ list ten nie ma nic innego na celu, kończę życząc W. T. wszelkiej pomyślności. Z Rzymu.

V.

20 gennaio 1582.

Molto Reverendo in Christo Padre. Le lettere di V. R. de li 12 d' Ottobre con altre molte scritture comparvero finalmente

20 stycznia 1582 r.

Przewielebny Ojeze w Chrystusie. Listy W. T. z 12 października po długiem oczekiwaniu nadeszły w końcu przedwczoraj

¹⁾ Wenecją opuścił Possewin koło 20 kwiet. 1581 i na Grac Pragę, Wiedeń, Wrocław, Wilno i Warszawę dążąc, stanął pod osłoną przystawów carskich 6 sierp. w Smoleńsku, 16 sierp. w Staricy, gdzie d. 21 sierp. miał pierwsze nader uroczyste, jednak ceremonialne tylko posłuchanie u cara Iwana i w imieniu Papieża nie tyle bogate jak misterne i znaczące dary złożył. List kardynała z 22 lipca otrzymał Possewin zapewne w Staricy. Pallavicini był tłumaczem Iwanowego gońca Szewrigina, umarł w drodze do Moskwy, 26 mil od Wiednia, wskutek rany odniesionej w bójce o jakąś lekką kobietę. (*Revue des quest. hist.* 1883 str. 453, 454).

avant'hieri, dopo esser state longamente desiderate. Onde per questi dieci giorni a me non è mancato di leggere nè a Nostro Signore d' ascoltare. Sua Santità s'è infinitamente rallegrata che Dio benedetto habbia somministrato forza et vigore a V. R. in così lungo e faticoso viaggio, et che quel Grand Duca l'habbi raccolta con tanta humanità, et con tanta dimostrazione d'amore et di riverenza verso la Santità Sua, et questa Santa Sede, come ha fatto.

Delle cose proposte et trattate da V. R. fin all' hora, et di quello che haveva intentione di fare tanto circa il maneggio della pace tra il Re di Polonia et il Gran Duca come col Re di Svetia S. Beatitudine è restata satisfatissima, sì come ha fatto ancora del particolare, che concerne li Senatori Vinetiani per il commercio.

wraz z wielu innymi pismami¹⁾. W ciągu tych dziesięciu dni miałem dosyć do czytania, a Ojciec św. do słuchania. — Jego Świętobliwość niezmiernie się ucieszył, że Bóg Najwyższy udzielił W. T. siły i zdrowia w tak długiej i męczącej podróży, i że Wielki Książę przyjął Cię z taką ludzkością i z takimi oznakami czci i miłości dla Jego Świętobliwości i dla Stolicy Apostolskiej²⁾.

Ojciec św. był nadzwyczaj zadowolniony z przedłożonych spraw, i z tego co W. T. już ułożyłeś i z tego co podjąć zamierzasz w sprawie układu o pokój między królem polskim i Wielkim Księciem, jakoteż i królem szwedzkim — i z tego także co się tyczy senatorów weneckich w sprawie handlu³⁾.

¹⁾ Memoriał Possewina wysłany z pod Pskowa 12 Paźdz. 1581.

²⁾ Car Iwan podejmował Possewina z niesłychaną wystawnością i uprzejmością. Po posłuchaniu 21 sierpn. wyprawił dlań sutą ucztę, na której szeroko rozwodził się o przyjaźni swoich przodków z Stolicą św. i władzę i znaczenie Papieża wystawiał. Kilka dni potem, 31 sierpnia i 4 września dał mu znów równie uroczyste posłuchanie; gdy jeden z towarzyszy Possewina zachorował, posłał doń swego przybocznego lekarza, — wszystkie publiczne dokumenta i rozkazy oddawał Possewinowi do przegładnięcia a w naradach wolno mu było zabierać głos podwójny: jako posłowi papieskiemu i jako senatorowi. (Tamże).

³⁾ D. 9 wrześn. przyniósł goniec od króla Batorego odpowiedź groźną i upokarzającą — tem usilniej nalegał car Iwan na Possewina, aby zapośredniczył zgodę i wyprawił go pod Psków. Aby zaś ująć legata, wystósował listy do Papieża i cesarza, oraz do Weneccyan, zapewniając kupcom weneckim bezpieczny przejazd i pobyt w swem państwie, wszystkim katolikom wolne wyznanie wiary, bez publicznych jednak kościołów i ementarzy, posłom papieskim do Persyi i Tataryi nietylko wolne przejście przez Moskwę, Kazan i Astrachan, ale i podejmowanie ich kosztem wielk. księcia. O listach

Sarò breve con la presente sì per non si esser potuto digerir in poco tempo così lunga scrittura et si anco perchè non habbiamo ricevuto le lettere del Gran Duca nè per Sua Santità nè per li Senatori Venetiani non essendo state mandate con questo spaccio dal Padre Campano, come saria stato bene, et oltra di ciò perchè non posso quasi haver speranza che queste mie le debbano capitar a tempo che si truovi anco in Pologna.

Quanto al negotio de la religione ho notato nel suo commentario alcune buone considerationi, de le quali si terrà memoria, et di già Nostro Signore ha risoluto di far il Collegio per li Rutheni in Vilna con assegnamento di cento scudi il mese col quel stipendio, essendo le cose del vitto tanto a buon mercato in quelle parti, crediamo che si potrà sostentar grosso numero di scholari.

Si è visto quel che scrive il Rettore di Brunsberga circa che V. R. ha da sapere, che tre mesi sono, se ne fece romore

List ten nie będzie długi, bo najprzód nie mogłem jeszcze przetrwać twego tak długiego pisma, potem, żeśmy jeszcze nie otrzymali listów W. Księcia do Ojca św. i do senatorów weneckich, których Ojciec Campano nie wysłał razem z tą przesyłką, coby jednak bardzo było pożądanem — wreszcie, że nie spodziewam się prawie żeby ten mój list zastał Cię w Polsce¹⁾.

Co do interesów religii zaznaczyłem w memoryale W. T. niektóre dobre uwagi, o których się nie zapomni — i już Ojciec św. postanowił założyć kolegium dla Rusinów w Wilnie z wyznaczeniem 100 skudów miesięcznie; za pomocą tej pensyi, skoro w tamtych stronach życie tak tanie, sądzimy, że będzie można utrzymywać znaczną liczbę uczniów²⁾.

Przejrzeliśmy co pisze Rektor z Brunsberga; w tej sprawie wiedz W. T., że trzy miesiące temu poruszyło się ją żywo z depozytaryuszem; on się wykazał, że zarządził zawczasu wy-

tych miał kard. de Côme wiadomość z relacyi Possewina, ale ich nie odebrał jeszcze.

¹⁾ D. 14 września opuścił Possewin Starycę udając się pod Psków do polskiego króla. Równocześnie z nim wyprawił się do Rzymu O. Campan. Z woli jednak generała zakonu pozostał w Polsce jako prowincyał Jezuitów polskich.

²⁾ Grzegorz XIII w nadziei, że Iwan dotrzyma obietnicy, polecił Possewinowi założyć *seminarium pontificium* dla Rosyan i Rusinów pod zarządem kolegium jezuickiego w Wilnie i na ten cel przeznaczył 1200 skudów rocznie. Z powodu kilkolatniej wojny wynikła drożyzna wielka w Wilnie, dom też przez Batorego na ten cel wyznaczony, nie mógł być Jezuitom oddany dla sporu z dawnymi jego mieszkańcami, znaczna więc część alumnów ruskich kształciła się w Brunsberdze. (Theiner: *La Suède et le St. Siège* III).

col Depositario, il quale mostrò, come haveva ordinate le paghe anticipate, et ne haveva risposta dai Fucceri; con tutto ciò se li farà ricordare anchora adesso per abbondare in cautela.

Circa la Coadjutoria di Warmia che si desiderarebbe per il nipote di sua Maestà, Monsignor Nunzio n'ha scritto a lungo, al quale s'è data risposta et la sostanza è, che Nostro Signore farà volentieri quel che tocca a sè per confermar et accrescere la buona dispositione del giovane a la vita ecclesiastica; ma il levar le difficoltà da la banda del Vescovo et capitolo, et haver il loro consenso, ha da essere opera d' altri, come ben V. R. può comprendere.

Et con questo me le offero, di core pregando Dio che la conservi in santità et assista a le sue pie fatiche et operationi. Di Roma.

płaty i co do tego miał odpowiedź od Fuggerów; z tem wszystkim przypomni mu się to jeszcze dla tem większej ostrożności ¹⁾).

Co do koadjutorstwa Warmińskiego, którego pragną dla siostrzeńca Jego Królewskiej Mości, to już dawno o tem pisał Jks. Nuncyusz i otrzymał odpowiedź tej treści, że Ojciec św. chętnie uczyni co do niego należy, żeby umocnić i pomuzyć dobre usposobienie tego młodzieńca do stanu duchownego — lecz co do usunięcia trudności ze strony biskupa i kapituły i co do otrzymania ich zezwolenia, to do kogo innego należy, jak W. T. dobrze pomujesz ²⁾).

Kończąc na tem proszę Boga, żeby W. T. zachował w świętobliwości i dopomagał mu w Jego pobożnych trudach i pracach. Z Rzymu.

VI.

17 febraio 1582 s.

Molto Reverendo in Christo

17 lutego 1582 r.

Przewielebny Ojciec w Chry-

¹⁾ Kard. de Côme był protektorem wszystkich seminariów papieskich, do niego więc odnosił się rektor brunsberskiego kolegium w sprawach pieniężnych, które nierzadko były zawiklane dlatego, że pieniądze nie przysyłano wprost z Rzymu, ale na polecenie kardynała de Côme wypłacał je bank Fuggerów polskiemu nuncyuszowi a ten dopiero przysyłał je rektorowi brunsberskiemu. (Tamże).

²⁾ Siostrzeńcem królewskim był Jędrzej Batory ur. 1562 r., wychowany w kolegium jezuickim w Pułtusk. R. 1581 król Stefan przeznaczył go na koadjutora warmińskiego. Kapituła warmińska opierała się temu, nuncyusz stanął po stronie króla i popierał sprawę Jędrzeja u Stolicy św. Król Stefan nie zważając wiele na opór kapituły, zamianował z końcem 1582 r. Jędrzeja najprzód kanonikiem a potem koadjutorem warmińskim.

Padre. La settimana passata mentre eravamo in Villa ricevei le lettere di V. R. de li 29 d'ottobre, et de li 9, 13, 15 et 17 di novembre, con molte scritte et in particolare con le lettere del Mosco et del figliuolo a Nostro Signore et le altre a li Senatori Venitiani, le quali s'indrizorno al Nuncio in Venetia per presentarle. Hebbi parimente li conti del viaggio che V. R. ha voluto mandare, et d'ogni cosa feci relatione a la Santità Sua, la quale resta satisfatta et consolata, vedendo che il negocio de la pacificatione caminara con buona speranza.

Onde con tanto maggior fervore Sua Santità l'ha raccomandato et fatto raccomandare a la misericordia di Dio nei Santi Sacrificii facendo particular mentione di V. R. a la quale ha anco benignamente concesso la beneditione, et perdono generale da lei dimandato de tutti i mancamenti, et difetti che forse avesse commesso in questa et altre missioni, acciò possa con l'animo piu quieto sopportar il travaglio presente.

Quanto al ragionamento tenuto da la Maestà del Re con V. R. circa l'erigere un seminario di poveri in Transilvania, Sua Bea-

stusie. Zeszłego tygodnia gdyśmy właśnie bawili na willi otrzymałem listy W. P. z dnia 29 października, oraz z 9, 13, 15 i 17 listopada, z wieloma pismami a w szczególności z listem cara i jego syna do Ojca św. i drugim do senatorów weneckich, który przesłany został nuncyuszowi w Wenecyi aby go wręczył senatowi ¹⁾.

Otrzymałem również rachunki z podróży, które W. T. przysłać chciałeś i z wszystkiego tego zdałem sprawę Ojcu św. Jego światobliwość jest zadowolony i pocieszony widząc, że dzieło pokoju postępuje rokując nadzieję powodzenia. Przeto z tem większą gorliwością i sam polecał i polecać kazał tę sprawę miłosierdziu Bożemu w ofiarach mszy św., osobliwą wzmiankę czyniąc o W. T.; oraz udzielił łaskawie W. T. błogosławieństwo swoje i ogólne odpuszczenie o które W. T. prosił, za wszystkie niedostatki i uchybienia jakie W. T. mogłeś popełnić w tem i w innych poselstwach, aby W. T. z tym większym pokojem duszy mógł prowadzić dalej obecną pracę ²⁾.

Cosię tyczy rozmowy Jego Królewskiej Mości z W. T. w sprawie założenia seminaryum ubogich

¹⁾ Są to listy, o których mowa w dokumencie V-tym, w nocie 1.; ogłosił je Turgeniew w *Supplementum*. 4. 5.

²⁾ Pisał Possewin do kard. de Côme, że po dojściu układów pokojowych wybiera się do cara Iwana, aby dokonać dzieła nawrócenia jego i Rosyi, i zawiązać z nim ligę przeciw Turkom. Obydwie te sprawy trudne i niebezpieczne, gotował się do nich Possewin, nie jako dyplomata, ale jako kapłan-apostoł i dlatego prosił Ojca św. o odpust zupełny dla siebie (*Zakrzewski. Stosunki Stolicy apost. z Iwanem groźnym* str. 169).

titudine ha inteso volentieri la buona commodità che si haveva per l'abbondanza del paese, et come hebbe certezza di qualche maggior stabilimento de la religione in quella Provincia, si piglierà risoluzione di farlo et si farà in ogni modo.

L'altro desiderio di Sua Maestà che nell'istessa Transilvania sia un Vescovo per ordinar sacerdoti et far' altri officii necessarii, è piaciuto molto a la Santità Sua, ma bisogna che Sua Maestà si dispogna a farlo, dandogli qualche cosa della grossissima entrata che già era del Vescovato di quella Provincia, et hora è del Principe. Et in tal caso se Sua Maestà nominerà persona per dottrina et bontà capace di tal grado et ministerio Sua Beatitudine sarà pronta a confermarla: ma d'altra maniera non sapemo già come si possa disegnare di mandargli alcun Vescovo.

De l'acquisto che V. R. scrive essersi fatto del Predicatore de soldati Lutherani, habbiamo dato le debite gratie a Dio, tanto più che come sia ben confermato, si potrà far predicare a li medesimi soldati Lutherani, et cer-

w Siedmiogrodzie, Ojcu św. miła była wiadomość o ułatwieniu, jakiego spodziewać się można z powodu zamożności kraju, a ponieważ dowiedział się także o wzroście religii w tym kraju, rzecz się w każdym razie postanowi i wykona¹⁾.

Drugie życzenie JKMości, aby w tymże Siedmiogrodzie ustanowiony był biskup dla święcenia księży i zajęcia się innemi potrzebnymi czynnościami, podobało się bardzo Ojcu św., ale trzeba, żeby JKM. gotów był przeprowadzić rzecz nadając temu biskupowi choć część z ogromnego dochodu jaki posiadało dawniej biskupstwo tej prowincyi, a który teraz pobiera Książę. W takim razie, jeżeli JKM. zamianuje osobę pod względem nauki i cnoty godną tej dostojności i urzędu, to Ojciec św. gotów ją zatwierdzić: w przeciwnym razie nie wiemy, jakby można było myśleć o posłaniu mu biskupa²⁾.

Za pozyskanie do wiary kaznodziei żołnierzy luterskich, o którym W.T. pisze, złożyłem Bogu powinne dzięki, tem bardziej, że skoro tylko dostatecznie się utwierdzi, będzie można polecić mu mie-

¹⁾ Roku 1579 fundował Batory w Klaudiopolu (Klausenburg), kolegium jezuickie ze szkołami, które miały być podniesione do godności akademii. W dwa lata potem stanęło przy temże kolegium *seminarium pontificium*, na które Grzegorz XIII. dawał 1000 sztuków rocznie (Wielewicki. *Diar. dom. prof. ad S. Barbaram* str. 8).

²⁾ Projekt ten nie przyszedł do skutku. — Batory nosił się z myślą zamianowania na biskupstwo siedmiogrodzkie swego siostrzeńca Jędrzeja.

car di convertirli, al che so che V. R. haverà avvertito.

Il Re ha scritto a Nostro Signore sopra quella controversia tra i Vescovi et monaci Cisterciensi, di che anco scrive V. R. et Sua Santità penserà a qual che sia espediente di fare, ma intanto farà cassar le citationi troppo rigorose a le quali è proceduto quel Commissario forse con poca consideratione.

Nel Commentario che V. R. mi mandò sono alcune cose che ricercano risposta, una de le quali è, che si farà secondo il suo ricordo un salvocondotto in bella forma da mandar al Mosco per li suoi Ambasciatori quali verranno di quà et si accrescerà anco l'honorevolezza del titolo nei soprascritti al medesimo Principe. In oltre si faranno metter a l'ordine i brevi per i Vescovi Vladici di Russia soggetta al Re ne la forma suggerita da V. R., et come saranno fatte s'invieranno.

wanie kazań do tychże samych luterskich żołnierzy i pracowanie nad ich nawróceniem, na co wiem że W. T. zwróciłeś już uwagę ¹⁾.

Król pisał do Ojca św. o tym sporze między biskupami i Cystersami, o czem i W. T. donosisz Ojciec św. rozważy, co tu należy uczynić, tymczasem każe skasować zbyt surowe pozwy, których użył ów komisarz może niedosyć ogłędnie ²⁾.

W piśmie, które W. T. mi przysła, są niektóre rzeczy wymagające odpowiedzi, między innymi, że podług przypomnienia W. T. wyda się glejt w okazałej formie; wyprawi się do cara dla jego posłów, mających tu przybyć i dopełni się tytułów w adresie. Oprócz tego wystawi brewia dla władcyków Rusi pod berłem króla, w formie którą W. T. poddaje; skoro tylko będą gotowe poszlemy je ³⁾.

¹⁾ Między zaciężnymi króla Batorego byli, i to przeważnie, różnowiercy, otóż udało się Possewinowi, który każdą wolną chwilę obracał na „duchowne posługi swego powołania“, nawrócić jednego obozowego predykanta pod Pskowem.

²⁾ Reformacya rozwolniła karność zakonną jak indziej, tak i w klasztorach Cystersów polskich. Z rozkazu Grzegorza XIII. i jenerała zakonu Mikołaja Boucherati, przybył r. 1580 do Polski w celu przeprowadzenia reformy tego zakonu, komisarz O. Edmund a Cruce, który po dokonaniu wizyty wszystkich klasztorów zwołał walną kapitułę do Wągrowca 19 czerwca 1580 r. i ułożył na niej, i wraz z nią *Statuta pro provincia Polona*. Jednym z głównych statutów był dekret z d. 24 czerwca kasujący wszelkie niekorzystne kontrakty i sprzedaże dóbr klasztornych. Batory popierał roboty komisarza, skoro więc dekret ten jak i inne wszedł w życie, powstały stąd liczne spory, które o Stolicę św. się oparły.

³⁾ Tymi posłami byli Jakób Motwianinow i jego pomocnik Tiszyn Wassiliew. Car Iwan był niezmiernie dbały o swoje tytuły, bo te starczyły mu nierzadko za tytuł prawny do miast i krajów

Quanto al modo di governarsi in Moscovia per conto de le sacre imagini, et del Metropolita, et Vladici et parimente nei digiuni, credo che convenga, et debba anco servire a edificatione di quelle gente, il riverire le loro imagini de' veri Santi tanto come le nostre, et render honore al Metropolita et a li Vladici quanto conviene al luogo che tengono in casa sua, et similmente ossevar più che si può a loro digiuni per non mostrarsi tanto discosti et abhorrenti da' loro costumi, che generi diffidenza et tronchi la via a la congiuntione che si desidera.

Stiamo in grande aspettatione di qualche buon successo del abboccamento che si haveva da far de li Ambasciatori Regii et del Mosco con l'intervento di V. R. la quale ha fatto come conveniva a procurar che non si mandassero heretici da la parte del Re. Dio Nostro Signore conservi la R. V. in buona sanità, et ne la sua santa gratia. Di Roma.

Co do sposobu zachowania się w Moskwie względem obrazów świętych, metropolity, władków, oraz co do postów, zdaje mi się, że należy i będzie służyć ku zbudowaniu tego ludu, aby oddawać cześć obrazom prawdziwych świętych tak samo jak naszym, oraz oddawać cześć metropolicie i władkom, jakiej wymaga stanowisko, które w swoim kraju zajmują, należy również zachowywać o ile można ich posty, aby nie okazywać oddalenia i wstrętu do ich zwyczajów, coby mogło obudzić nieufność i zagrozić drogę do upragnionego połączenia ¹⁾.

Oczekujemy z upragnieniem pomyślnego wyniku ze spotkania się, które miało mieć miejsce między posłami Króla i Księcia Mosk. przy pośrednictwie W. T., który się postarał, jak należało, żeby nie byli wysłani ze strony Króla heretycy ²⁾. Pan Bóg niech zachowa W. T. w dobrem zdrowiu i w Swej świętej łasce. Rzym.

(C. d. n.)

¹⁾ Po odejściu Possewina pod Psków, pozostał przy carze jezuita Słowak Drenocz z dwoma braciszkami. Obecnie i Possewin ze swymi tłómaczami i służbą miał wrócić do Moskwy. Należało więc określić dokładnie, jak im się zachować należy wobec prawosławnych praktyk i zwyczajów, i dygnitarzy rosyjskiej cerkwi.

²⁾ Z tego się pokazuje, że list ten był pisany jeszcze przed odebraniem wiadomości o traktacie zapolskim. Possewin rzeczywiście prosił króla, aby na komisarzy swoich wyznaczył katolików, co, jak dodaje w swej relacji, „nie było tak łatwem“.

Przegląd piśmiennictwa.

Questions sociales et ouvrières. I. Regime du travail. — Paris 1883.

Gdy rewolucya wielka francuska stanęła u najdalszego kresu, gdy tysiące głów spadło z rusztowania, a przywódcy tłumów w imię swobody mordowali się nawzajem, ocknęli się wtedy ludzie dobrej woli i rozpoczęli reakcyę w tym duchu właśnie, który przez rewolucyę był podeptany nogami — w duchu religijnym. Lecz ponieważ ta reakcyę była więcej w teoryi niż w praktyce, ten ruch umysłowy więcej był w klasach wyższych, a do tłumów nie przechodził, że był raczej pietyzmem niż gruntowną wad społeczną naprawą, przeto rewolucya nie ustała, ale przeszła tylko z ulic i placu boju do warsztatów, do domów i rodzin tam gdzie one jeszcze pozostały. Przytłumiona na chwilę potężną ręką Napoleona I., w latach 1830 i 1848 r. dała znak życia, a odtąd przybrała formy jaknajbardziej realne, bo wcisnęła się do przekonani i zasad życia, do sumień ludu, postawiła swoje protesta i swoje postulata ułożone w pewny system, i tak się przysposabiała ów palny materyał do roku 1871. I znowu ulice Paryża zbroczyły się krwią bratnią. Krwawy widok pożaru, spustoszenia i rzezi braci obudził ludzi dobrej woli z uspienia. I w kilka miesięcy później na rogach ulic stolicy rozlepiono wezwanie do „ludzi dobrej woli“, by zechcieli się zebrać na naradę nad obecnymi stosunkami społecznymi. Byli to ci pierwsi, którym nie zabrakło odwagi wobec całego świata przyznać się do winy, że odstąpili od przykazań Bożych — a pędząc w gorączce za groszem współ-

braci, z których pracy żyją, stracili ich na stopień myślącego zwierzęcia, zrobili z nich Kainów.

Rewolucya, od 1848 r. już bez przerwy odbywa się w społeczeństwie europejskiem — wytycznymi jej punktami komuna i krwawe utarczki *grewistów*. Ta rewolucya jest najradykałniejszą, bo płynie z pojęć, które się stały zasadami życia większości ludowych mas na zachodzie. Przeciw niej należy działać stanowczo, nietylko wygłaszając zasady jej przeciwne, lecz natychmiast wprowadzając je w życie, a to tak, by te idee, w czyn wcielone ogarnęły odrazu wszystkie warstwy ludowe. Bo tam, jedynie w głowie i w sercu mas ludu, musi być pole walki na życie i śmierć, tam jedynie i nigdzie indziej.

Pojęli to ludzie złączeni w koło p. n. *Oeuvres des cercles catholiques d'ouvriers*. Towarzystwo to połączyło pod sztandarem wiary w jedno grono tych fabrykantów i właścicieli rozmaitych zakładów, którzy nie zapomniawszy o Bogu, nie mogli obojętnie patrzeć na stosunek istniejący między robotnikiem i kapitalistą i którzy w obec całego świata wypowiedzieli zasadę: *devouement de la classe dirigeante à la classe ouvrière*, a ta zasada powinna się stać duchem i treścią krajowych praw. Bogactwo, stanowisko, nauka, talenta, wszystko to jest darem Boga, udzielonym pod warunkiem, byśmy tych darów używali na korzyść tych, którzy ich mniej posiadają. Jesteśmy bowiem wszyscy dziećmi tegoż Boga, a jeżeli w posiadaniu darów ziemi jest różnica, to jest tylko konieczny wynik warunków naszego bytu na ziemi. Oto główna zasada, z której wychodzą ci ludzie, a z tego ciągnąc loiczne wnioski, budują cały system stosunków społecznych, który przedstawiam poniżej, a który oni uważają za konieczny, i o ile to w ich mocy, wprowadzają w czyn.

Gdy jaka sprawa dojrzewa, myśl jej zdaje się być w powietrzu: w jednym i tym samym czasie rodzi się ona w sercu i głowie ludzi oddalonych od siebie setkami mfl. Równocześnie gdy ta myśl kiełkowała w Paryżu, w Niemczech Eugeniusz Jäger w dziele swem „Der moderne Socialismus“ wypowiedział zasadę, że źródłem socjalizmu jest już od trzech wieków wyrabiające się egoistyczne po-

jęcie własności, wykluczające wszelkie z nią połączone obowiązki względem społeczeństwa.

Kółko katolickie robotników podzieliło się na rozmaite sekcje. Jedna z nich, mająca nazwę *Conseil des études* ma na celu naukowe opracowywanie pojedynczych kwestyj socyalnych. Od kwietnia roku 1878, (w którym jak widać życie tego towarzystwa otrzymało nowy impuls) do października 1882, towarzystwo to opracowało dziewięć najgłówniejszych kwestyj wydawanych w pierw broszurami, a obecnie połączonych w jedną sporą książkę, którą mamy pod ręką. Z rozpraw tych łatwo odgadnąć całość systemu, oto ich nagłówki: 1) *Porządek społeczny chrześcijański*. 2) *Wolność pracy*. 3) *Obowiązki właścicieli względem robotników*. 4) *Czy zasada uorganizowania pracy ma być sprawiedliwość, czy dobroczynność?* 5) *Istota kontraktu z robotnikiem*. 6) *Prawo stowarzyszenia*. 7) *Zmowy i związki*. 8) *Stowarzyszenia rzemioł i sztuki*. 9) *Banki ludowe i pożyczki procentowe*. Jak widzimy opracowano i sformułowano już najgłówniejsze punkta sprawy socyalnej. Katolicycy właściciele fabryk i wielkich zakładów robotniczych przyszli do przekonania, iż *konkurencja bez granic* sprowadza rozdrobienie ludzkości na odosobnione jednostki, pozostające z sobą w wiecznej wojnie, co się wręcz sprzeciwia głównej zasadzie chrześcijańskiej i godności człowieka, a nadto sprowadza upadek dobrych, sumiennie wykonanych produktów w rzemiośle i w sztuce; a zatem obowiązkiem patronów jest porozumieć się i zgodzić dobrowolnie na pewne ograniczenie wolnej konkurencji. Fatalny rozdział, jaki istnieje dzisiaj między nimi a ich robotnikami, jest skutkiem wspomnianej wyżej konkurencji i z konieczności rzeczy robi patrona egoistą, a robotnika poniżej w jego godności człowieka, dlatego każdy z patronów powinien wejść w związek ze swymi robotnikami, polegający głównie na wspólnej naradzie nad sprawami, dotyczącymi fabryki lub zakładu. Przy takim ustroju przeprowadzić się dadzą spokojnie nawet takie wypadki, o których obecnie nie można myśleć bez obawy zaburzeń. Tak n. p. bywa często, iż wskutek zajęć politycznych lub klęsk ekonomicznych a nawet elementarnych, pewne fabryki zostają na czas pewien bez zamówień. Dziś jedynym środkiem na to jest odprawienie zbyt wielu robotników

i rzućcie ich na cierpienia głodu. Inaczej ma być przy projektowanym ustroju, bo wtedy ogół robotników z patronem, nie usuwając nikogo, uchwała niżenie płacy dziennej, nikt nie zostaje bez pracy i chleba, aczkolwiek wszyscy będą go mieli mniej, niż zwykle. W pierwszym razie to wcielenie materialistycznej zasady walki o byt, *Kampf um's Dasein*, i wraz z tem pozostawienie człowieka s a m o t n y m, podobnie jak się to widzi w świecie z w i e r z ę c y m — w drugim, to wcielenie słów: kochaj bliźniego twego i wraz z tem organizacja gminy według myśli Bożej.

Żaden robotnik niemoże być wydalonym z fabryki inaczej, jak tylko za uchwałą ogólnej rady patrona i robotników tego zakładu. Zapłata robotnicza wystarczyć ma do ustalenia losu robotnika, aby mógł pojąć żonę i mieć swoje kółko rodzinne. Robotnicy są podzieleni hierarchicznie na klasy czyli stopnie; przejście z niższej do wyższej klasy możebnem jest tylko za uchwałą ogólnej rady według przepisów przyjętych za normę; każdy z robotników ma pewien udział w pieniężnych dochodach zakładu i zapewnioną emeryturę. Tak urządzone fabryki i warsztaty tego samego rzemiosła i w pewnym obrębie prowincji czy kraju, łączą się w osobny związek. W każdej z tych fabryk zatrudnieni robotnicy są równouprawnionymi; przechodząc z jednej do drugiej, nie tracą bynajmniej swego stopnia i odpowiedniej płacy, a ponieważ w żadnej z fabryk należących do związku, nie wolno podnosić ceny zapłaty nad przyjętą normę, stąd takie przechodzenie z jednej fabryki do drugiej, nie pociąga za sobą niebezpiecznych następstw dla patronów. Kto występuje ze związku traci wszystkie prawa, jakie miał do posiadanych przez związek kapitałów i na to wszystko co związek daje.

Najwyższem słowem tej projektowanej organizacji jest to połączenie się związków w stan rzemieślniczy z reprezentacją w sejmie i rządzie... Urządzone przytem banki ludowe są złożone z patronów i robotników, jednakże (w myśl zasady: *devouement de la classe dirigeante à la classe ouvrière*) patronowie należą do banku dając wielkie wkładki, lecz nie mając prawa wypożyczenia, a robotnicy dając małe wkładki, wypożyczają nawet pięć razy większe sumy, niż te które złożyli w banku.

Oto jest w głównych zarysach ten projektowany społeczny system uorganizowania pracy. Pomijam, że obecne wyzyskiwanie pracy kobiet i dzieci, nieświęcenie niedziel, świąt i t. p. we wszystkich powyżej wyliczonych rozprawach w wielu miejscach uległy najsurowszemu potępieniu, pomijam te i inne punkta drobniejsze, a zwracam uwagę na główne zarysy systemu. Może on mieć i ma zapewne, jak wszystko co ludzkie, pewne braki i wady, lecz każdy przyzna, że to system, który buduje przed sobą, nie burząc wcale za sobą tego co znalazł już zbudowanym. A nie jest to już tylko teoria, bo takie zakłady jak pp. Harmel Sepulchre Baccarat, zakład w Clos-Mortier, znane całej Francji, są już ukonstytuowane na tych zasadach i nietylko nie upadają, lecz właśnie podnoszą się. Już tu i owdzie powstały stowarzyszenia patronów jak n. p. *Cercle des patrons catholiques du quartier Montparnasse* w Paryżu — istnieje też związek malarzy na szkłe. W przewodnich szeregach tego ruchu stoją: *Ducert, Baltard, Douillard*, urzędowi architekci miasta Paryża. *Coquille, Claudio Jannet, Périn*, prof. uniwersytetu w Lowanium, ekonomiści i publicyści chrześcijańsko-socyalni. Między autorami zebranych w tym tomie broszur czytamy nazwiska hrabiów *de Breda, de Boquefeuil, de la Tour du Pin, Keller, Monsabré i t. d.* A więc to nie ideologia, lecz sprawa która ma jak najbardziej realne formy. A to jest najważniejszym, że jest to dzieło czysto chrześcijańskiego ducha, że tu reforma idzie z miłością i z góry, budując a nie jak w socyalizmie pogańskim z dołu, z zaciekłością podkopyjąc. Oto jest socyalizm chrześcijański. Socyalizm pogański — to rewolucja, socyalizm chrześcijański to odbudowywanie.

Zostaje mi jeszcze parę słów powiedzieć o formie tych rozpraw. Autorowie ich są „prości jako gołębie“ w systemie i w traktowaniu tej sprawy, lecz muszę dodać, nie zawsze są „ostrożni jak węże“. Kilka z tych rozpraw jest znakomicie napisanych, treścią w całym znaczeniu chrześcijańskie, katolickie, formą zaś tak ściśle naukowe, że i ateusz największy odczyta je z wielką uwagą i ani razu nie przyjdzie mu pokusa bluźnić szyderstwem przeciwko religii. Nie wszystkie jednak te rozprawy utrzymują

się na tej wysokości, zresztą w tego rodzaju publikacjach niełatwo jest na niej się utrzymać.

Michał Zmigrodzki.

Piśmiennictwo bułgarskie.

Периодическо списание на българското книжевно дружество въ Сръдецъ. Редакторъ В. Д. Стояновъ. Книжка I. Сръдецъ. 1882.

— Item книжка II, III 1882.

— Item книжка IV, V 1883.

Ze wszystkich ludów słowiańskich pierwsi Bułgarzy rozwinęli swój język i w krótkim czasie postawili go na pewnej doskonałości stopie. Wkrótce po przyjęciu wiary chrześcijańskiej przez Borysa Bułgarskiego (864—865), dzięki Klemensowi, Gorazdowi, Naumowi, Sawie i innym uczniom Ś. Metodego, wypędzonym przez Świętopelka i Madiarów z Morawii i Panonii, język bułgarski stał się piśmiennym. Głogolicą prawdopodobnie najprzód, potem cyrylicą Klemensowską pisali księgi święte i w tłumaczeniu na swój język przyswajali sobie najlepsze dzieła Ojców greckich. Symeon (888—927) syn Michałów podniósł Bułgaryę do wielkiej potęgi na zewnątrz, na wewnątrz zaś starał się ją postawić na równi z Bizancyum. W skład jego wielkiego państwa wchodziła Wołoszczyzna, Siedmiogród, Banat, część Serbii po Drim, Epir, Macedonia, Tracja, Tesalia; trzy morza oblewały granice Bułgarii, Dunaj ją przerzynał. Symeon założył biskupstwa w Ochrydzie (str. Lychnidos) i Białogrodzie, dla patriarchy Presławskiego otrzymał instytucją kanoniczą z Rzymu, a dla siebie koronę (według listów Kalo-Jana, syna Asieniowego i Wasyla arcyb. Zagórskiego do Inocentego III.), i przybrał tytuł „Cara Bułgarów i Samowładcy Greków“. Presław, stolica państwa, był podówczas wielkiem miastem. Ciekawy współczesny opis zostawił Jan Eksarcha (w Szestodnew) pałacu carskiego w Presławiu: wspaniałe budynki z ciosu i marmuru, komnaty przyozdobione malowidłami, rzeźbami, srebrem i złotem, bogate ubiory cara i bojarów, złote łańcuchy i bransolety, pasy purpurowe i miecze złotem nabijane.

Dzielny wojownik i mądry monarcha, Symeon był zarazem gruntownie uczonym; współcześni porównywali go z Ptolemeuszem egipskim, potomni zaliczają go do najlepszych pisarzy. Z całego złotego wieku piśmiennictwa bułgarskiego zostały tylko resztki pism po Klemensie, Gorazdzie, Symeonie, Janie Eksarsze, Chrabarze i Konstantynie; czy było więcej? Kalojan w liście do papieża wspomina kroniki, z których się dowiedział, iż poprzednicy jego Piotr, Samuel i inni udawali się do Stolicy Ś. — tych kronik niema dziś żadnego śladu. Wraz z Symeonem skończył się nietylko wiek złoty dla piśmiennictwa, ale i złoty wiek potęgi bułgarskiej. Nieszczęśliwe wojny z Świętosławem kijowskim, a szczególnie z Bazylim Bułgarożercą położyły koniec państwu Bułgarskiemu (1011). Jasiień w prawdzie wyswobodził się z pod Greków (1186), poraz wtóry powstało państwo bułgarskie, ale niebawem następcy jego rozdwojeni uznali częściowo zależność swą od Bizancjum i od Serbów, aż wreszcie ujarzmieni zostali przez Turków. W zaborze tureckim nie było komu myśleć o piśmiennictwie narodowym: bojarowie poturczyli się, dostojnikami duchownymi byli Grecy, bardziej nieprzyjaźni Bułgarom aniżeli sami Turcy, którzy nawet jakiś czas w dyplomatycznych stosunkach z ościennymi krajami używali języka bułgarskiego — język staro-bułgarski przestał należeć do języków żyjących.

W XIX-ym dopiero wieku Bułgarowie poczynają okazywać znaki życia. Pierwszą książkę bułgarską pod tytułem: „Niedelnik“, drukował w r. 1806 Sofroniusz, biskup wraczański, Bułgar, rodem z Kotlenina. Bułgarzy przebywający po za granicami swego kraju starali się zaradzić potrzebom umysłowym swych braci; od czasu do czasu wychodziły elementarne książki bułgarskie w Smyrnie, Odesie, Wiedniu i na Wołoszczyźnie. Wr. 1858 zawiązało się w Carogrodzie Towarzystwo pod tytułem: *Bułgarska Kniżewna Obszczyna*, a chociaż trwało lat tylko pięć, znakomite oddało usługi krajowi. W r. 1869 powstało nowe Towarzystwo w Braile: *Bułgarskoto Kniżewne Družestwo*. Do roku 1876 Družestwo wydało kilkanaście książeczek, gromadziło bibliotekę i pamiętniki historyczne; z powodu trudności w rozpowszechnianiu książek w kraju zamysłano przenieść siedzibę Towarzystwa do

Carogrodu, lecz wypadki szczęśliwiej skierowały i w roku 1878 Towarzystwo osiedliło się w Sriedecu (Sofii), mieście stołecznem wolnego księstwa Bułgarskiego.

Trudne mają zadanie pisarze bułgarscy. Wszystko tam trzeba na nowo tworzyć, nie tylko niema żadnych książek, niema wielu uczonych, ale niema nawet i języka. Z gwarów ludowych należy wybierać i urabiać język piśmienny, wyrzucać naleciałości greckie i tureckie, budować gramatykę, układać pisownię. Wszystko jest do zrobienia, wszystko się też powoli robi. Wydane już są w znacznej części podręczniki szkolne, rozpowszechniają się pisma ludowe, wychodzi organ „Drużestwa“ dla światlejszej publiczności pod tytułem: „Периодическо списание“. Rzeczywistymi członkami Drużestwa, wedle sprawozdania urzędowego z d. 13 lutego 1881 r. są: p. M. Drinow prof. wszechnicy Charkowskiej, bisk. Klemens Branicki (Wasył Mikołajewicz Drumiov) rektor seminarjum w monastyrze Lieskowskim i p. W. D. Stojanow, główny inspektor w ministerstwie oświecenia. Członkami zwyczajnymi (dopisni) są: pp. G. Iwanow w Kiszeniewie, T. Ikonow w Szumni (Szumla), Dr. Pawłowicz w Swiszczowie, K. Mirski w Warnie, P. Teodorowicz w Białogrodzie, Dr. Płaninski w Śliwnie, R. Karolow w Gabrowie, P. Iwanow w Eski-Zagra, Staniszew w Moskwie, E. Karanow w Kiustendił, Dr. Beron w Térnowie, M. Kazanaki w Białogrodzie, bisk. Natal Ochrydzki w Łowczu, Dr. Welkowicz w Płowdiwie (Filipopolis), F. Piejow w Swiszczowie; niżej wymienieni członkowie mieszkają w Sriedecu: T. Burmow, I. Giuzelow, Dr. K. Jireczek, Ch. Stojanow, D. Cankow, D. Agura, N. Michajłowski, I. Kowaczow. P. Sławejkow, G. Naczowic, P. Genczow, W. Popowicz, Dr. Minczowicz.

„Периодическо списание“ wydane dotąd zawiera w sobie:
Z historyi: Bułgarski Car Sracimir Widyński. p. Dr. Jireczka.

- Nowy pamiętnik bułgarski (z Wasilewskiego). p. M. Drinowa.
- Turcy w Europie p. W. Stojanowa.
- Najście Turków na Tetewen (1801 r.). Kronika.
- Kronika bułgarska z końca XVII w. p. M. Drinowa.
- Zapiski o patryarsze Ochrydzkim Prochorze p. M. Drinowa.
- Materiały do historyi bułgarskiej z XIX w. p. W. Stojanowa.

Z geografii i statystyki: Zapiski geograficzne o Bułgarii p. Dr. Jireczka.

- Ludność Sriedeca, Rusy, Warny i Szumna p. Sarafowa.
- Podróże cudzoziemców po Bułgarii w dawnych wiekach (XV—XVIII) p. Dr. Jireczka.
- Dane statystyczne o narodowościach wschodniej części księstwa bułgarskiego, p. Sarafowa.

Z nauk przyrodniczych: Zapiski meteorologiczne p. Złatarskiego.

- Materjały do geologii i mineralogii bułgarskiej p. Złatarskiego.

Z językoznawstwa: O głoskach nosowych w języku bułgarskim p. A. T.

- Słownik Rylskiego. p. Dr. Jireczka.
- O głosce ь w języku nowobułgarskim p. A. Teodorowa.

Nadto znajdują się tam zbiorki pieśni bułgarskich, próbki poezyi, sprawozdania z dzieł i wydawnictw, i inne drobne.

Ks. W. Zaborski.

Les Espérances chrétiennes, par AUGUSTIN COCHIN. Paris. Pieu et Comp. 1883.

Zaiste, książka z podobnym tytułem, wydana w obecnej chwili, zakrawa poniekąd na anachronizm. Jeśli gdzie nadzieje, nawet chrześcijańskie, pozornie gasnąc się zdają, to we Francyi, pod rządami trzeciej rzeczpolicitej. Lecz może dlatego właśnie pośmiertne zapiski szlachetnego myśliciela, osobnego nabierają znaczenia. Im wyższą wiara ducha, tem większy bywa zasób siły i wytrwania; zawody życia, jakkolwiek liczne i ciężkie, nie złamią pewnych charakterów, ugruntowanych na wierze, a harmonijnie złożonych z pogody i hartu. Augustyn Cochin należał do świetnej plejady katolickiej, która się zszeregowała około redakcyi czasopisma: *Le Correspondant*. Skłonności i talenta przyrodzone pchały go raczej w arenę publicznego życia, ale niepodległość zdania, zasad, obok gorącości katolickich przekonań już za cesarstwa, a tem bardziej za rzeczpolicitej, stanowiły zaporę do politycznej karyery. Rychło mu też przyszło cofnąć się w zakres skromniejszych i cichszych usiłowań. „Pożegnałem się z rozgło-

sem, ale nie z obowiązkiem“, — pisał niebawem, i odtąd rzeczywście życie jego ześrodkowywa się w ścisłem dopełnianiu najróżnorodniejszych powinności chrześcijanina i obywatela, wśród których czynne miłosierdzie na pierwszym znajdowało się miejscu. Kwestye robocze, sprawa rzemieślników, konferencye św. Wincentego wypełniają dni człowieka, który zrazu marzył o szerszych wpływach na rząd i politykę kraju swego. Dobroczynnością i miłością bliźniego więcej może działał, aniżeli zawodnemi publicznemi zapasami. Powtarzał często, iż nie dość jest dla ubogich pracować i o nich pamiętać, ale nadto potrzeba się z nimi stykać, nawiedzać ich, badać i rozmawiać z nimi. Obiegał też przytulki nędzy, a prócz tego co piątek przyjmował u siebie całe gromady potrzebujących, dla każdego znachodził dobrą radę lub datek, pomoc materyalną, czy moralną. Rychło też posiadał wyjątkowe znaczenie owych wielkich serc, co nic nigdy nikomu odmówić nie umięją. Wszyscy się zgłaszali do jego gotowości, sam zaś żartując z swego uczynnego posłannictwa chętnie przyrównywał się do fiakra, którym każdy posługuje się w własnym interesie.

Nietylko jednak czynne oddawał on usługi i ilekroć chodziło o sprawę i obronę prawdy, gdy wzywano jego wymownego głosu, odzywał się często i świetnie, ale częściej jeszcze grał skromną rolę ukrytej sprężyny, rzucał myśl rodzajną, zakładał podwaliny, ciesząc się gdy inni dokonali dzieła i zbierali uznanie. Często też porównywał się do tych, którzy zapalają latarnię, aby zniknąć z widowni, gdy już światło błysnęło. Nigdy doczesnej nie szukając nagrody, znajdował ją w własnem sumieniu, w którym zapewne szukać należy źródła tej niewyczerpanej pogody, stanowiącej cechę jego usposobienia.

Już przed laty, gdy nie mniej ciemne chmury zasłaniały widnokrąg, Aug. Cochin odzywał się do swego przyjaciela, p. Le Play: „Należę i nie przestanę nigdy należeć do stronnictwa nadziei!“ Odtąd nowe zawody i burze nie naruszyły tej nadziei. Wojna francuzko-niemiecka nie była samej tylko Francyi pogromem. Jednocześnie runęła w znacznej części cywilizacya zachodnia, a Stolica Apostolska została pozbawioną doczesnych dzierżaw swoich. Wśród ogólnego zwątpienia chrześcijański myśliciel

uchwycił się jeszcze skwapliwiej kotwicy swych nadziei, i choć osobiste smutki i próby mnożyły się w około niego, jał codzien- nie rzucać na papier świadectwa swych przekonań. „Nie trzeba daremnie łez wylewać, ale pracować i postępować dalej. Żeglarze jednej chwili, marzymy o opanowaniu fal morskich, zamiast się troskać o sterowanie naszej własnej łodzi, a przeciwności krótkotrwałej żeglugi bierzemy za ostateczne zatopienie Ojczyzny i Prawdy. A wszakżeż one są nieśmiertelne!“

I tak z codziennych zapisków rozszerzała się i powstawała książka, którą nas dziś darzy syn przedwcześnie zmarłego autora. Niektóre rozdziały przedstawiają się w całkowitej formie, inne składają się z urywków i luźnych myśli. Głównem założeniem autora jest zbadanie przyczyn wojny wydanej wierze Chrystusowej od dziewiętnastu wieków, i nie bywałe tej wojny spotęgowanie za dni naszych. „Widzę i przyznaję, że Kościół dziś po całym świecie zgnębiony, widzę go więzionym we Włoszech, znienawidzonym we Francyi, pogardzanym w Anglii, katowanym w Prusiech i indziej, upadającym w Austrii, skrępowanym w Szwecyi, podglądanym w Hiszpanii, skażonym w Brazylii, poniżonym w Turcyi, prześladowanym w Azji, umęczonym w Afryce i Australii. Na wzór boskiego mistrza i Kościół niema dziś gdzie skłonić głowy swojej“.

Ale gdy tak Kościół powszechnie zgnębionym być się zdaje, alboż jaka inna sprawa wygrywa dziś na świecie? czy inna nauka lub stronnictwo zwycięża? Jak słusznie uważa Cochin, druga połowa bieżącego stulecia przedstawia istny widok rozbicia okrętu. Wszyscy toną, wszyscy giną, wszędzie brzmiają jęki rannych i zwyciężonych, i do tych, którzy nas pytają: gdzie Bóg wasz i obrońca, godzi się odpowiadać: A gdzie Bóg wasz? *Ubi est Deus tuus?*

Jeden z głośnych malarzy nowoczesnych Gérôme, przed piętnastoma laty wystawił obraz Ukrzyżowania, na którym tylko krzyża i Ukrzyżowanego zabrakło. Darmo tam szukać przewodniej postaci, uwieńczającej szczyt Golgoty. Zaledwie na ziemię pada cień od niewidzialnego krzyża, malarz przedstawił tylko

tłuszcze, żołnierzy i faryzeuszów odchodzących z przekonaniem, iż się wszystko skończyło.

Mniemano, że ten koniec ostatecznie nastąpił już po Herodzie i Piłacie, później po Aryuszu i Focyszu, dalej po Lutrze i Kalwinie, po Robespierre i Wolterze. A tymczasem ów przewidziany na pewno koniec zawsze zawodzi, i ztąd niewzruszoność nadziei chrześcijańskich. Wygnany z domów i rządów, ze szkół i przybytków, Chrystus jednak pozostaje niby w grobie nowym, w sercach tych wszystkich, którzy cierpią i walczą, a ufają i miłują, i tam On to wiecznie żyć i ztamtąd królować będzie, mimo straży, żołnierzy i faryzeuszów, mimo krat i kamieni, któremi przywalonym został.

Ale choć Chrystus mieszka zawsze w sercach sobie wiernych, nie mniej straszny jest widok świata, który go się wyprzeć usiłuje: „Zkąd Bóg odchodzi sam i dusza natychmiast znika, a zostaje tylko ziemia, na kształt ciemnego i hałaśliwego warsztatu. Dzieje się to, gdy kilka zwycięskich zgorszeń stłumiło i zabiło publiczne sumienie, które odtąd niema już rozeznania; dzieje się to gdy ubodzy nadto są biedni, bogaci nadto możni, albo lud cały zbyt się zaprzęta łatwą szybkich dostatków zdobyczą. Wszystko to przed naszym spełnia się okiem. Dusza uleciała, a bez niej niema już ani wielkiej polityki, ani wymowy lub sztuki, nikt się do Piękna nie wzniesie, do nিকেzmemności zaś droga otwarta“. O cierpieniach Kościoła napotyamy ten piękny ustęp:

„Gdziekolwiek Kościół jest celem pocisków, większe tam od każdej innej religii wzbudza on napaści, dlatego właśnie, że niesie z sobą Prawdę, a nakłada obowiązki. Wzamian za Prawdę, żąda cnoty; nigdy Prawda nie przestaje być nieomylną, ani cnota niepodległą. Kościół nieinaczej działa na świat, jak Bóg na człowieka, zostawiając mu zawsze wolną wolę. Ale chrześcijanie znają obowiązek działania na świat, gdy więc skutku niema, wina to katolików a nie katolicyzmu“.

Ale dosyć tych przytoczeń; książka A. Cochin zasługuje na całkowite poznanie, jako rzewny odgłos duszy, na wskrós chrześcijańskiej, która przy licznych zajęciach, codziennie znajdowała chwilę, aby się skupiać i ukrzepiać w nieśmiertelnych nadziejach.

Znaczenie jej i treść najlepiej sam autor ocenił, odzywając się na początku: „Nie jestem ani teologiem, ani doktorem, ani kaznodzieją; świecki ze mnie człowiek, porwany wirem interesów, studyów, pracy, polityki, ale wiarą utwierdzony w zasadach, które ułatwiają spełnienie obowiązku i zbroją duszę w moc i siłę. Chcę opowiedzieć w prostych słowach jak i kiedy za łaską Bożą prawda chrześcijańska mi się objawiła i dlaczego ją umiłowałem“.

Czy to nie starczy, aby zachęcić czytelników do kosztowania z tej czary pełnej nieśmiertelnych nadziei?

K. Nitecki.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

Mowy parafialne. Ks. GRODZICKI TOMASZ. Kraków 1884. Wydanie drugie, nakładem księgarni dr. Miłkowskiego. 2 tomy.

Wydanie pierwsze wyszło pod koniec przeszłego wieku w Warszawie, a za dni naszych stało się rzadkością. Mowy te odznaczają się jędrnością w przedstawieniu prawd dogmatycznych i moralnych a praktycznością w ich zastosowaniu. Na niektóre niedziele i święta są po dwa kazania, na post i adwent po cztery.

Les sociétés secrètes et la Société. DESCHAMPS. Tome 3. Notes et documents. Paris. Oudin Frères-éditeurs rue Bonaparte 51, in 8vo. str. 695.

Przed 10 laty napisał francuski kapłan N. Deschamps dwutomowe spore dzieło wydane dopiero po jego śmierci 1876 r. Staraniem p. Klaudiusza Jannet, które pomimo swej objętości w ciągu 5 lat doczekało się pięciu wydań i zawiera historią Iluminizmu, Martynizmu, Masoneryi i Karbonaryzmu w ich zawiązku i rozgałęzieniu, opartą na własnych sekt tych dziełach pismach i świadectwach. Tom III. uzupełnia poszukiwania ks. Deschamps i wykazuje, jak roboty prawodawcze republikańskiego rządu w Francyi, zwłaszcza Gambetty Ferry'ego i Bert'a są tylko wykonaniem programu masonskiego. (Trzy tomy razem 21 franków).

Kirchenlexikon oder Encyclopädie der katholischen Theologie.

WETZER und WELTE. Freiburg in Breisgau Herder. Dwa tomy. Tom I w 10 zeszytach, wyszedł 1882. Tomu II-go wyszło kilka zeszytów do litery D. Cena każdego zeszytu 1 marka.

Dawny *Kirchenlexikon* Wetzera i Weltego przy współpracownictwie wielu uczonych pod redakcją najprzód kardynała J. Hergenröther'a potem Dr. F. Kaulena profesora teologii w Bonn, zmieniony został do niepoznania. Cyfra artykułów podwojona — inne przerebione zupełnie z uwzględnieniem nowych badań i odkryć naukowych, a wszędzie podane źródła, z których je czerpano, co znów służy może czytelnikowi za wskazówkę do dalszych studyów, tak jak całe to dzieło nietylko księżom, ale wszystkim myślącym ludziom służy wybornie do łatwego zoryentowania się w kościelnych i teologicznych zagadnieniach.

Handbuch der allgemeinen Kirchengeschichte. Alzog, geistf.

DR. JOHNSY. 10 Aufl., neu bearb. von PROF. DR. FRZ. XAV. KRAUS 2 Bde. Mit 2 chronolog. Tabellen und 3 kirchlich-geograph. Karten. 8ka większa str. XVI, 859, i VII, 892; Mainz 1882, Kupferberg, 16marek.

Praca szerokich rozmiarów w niniejszem wydaniu doprowadza historię kościelną do czasów najnowszych. Polonica nie pominięte. Ładne mapki geograficzne uwidoczniają plastycznie terytorjalne rozpostarcie się chrześcijaństwa za czasów cesarstwa rzymskiego i w średnich wiekach. W polskiem tłumaczeniu wydali je: J. Belejowska (Warszawa, 1855, 6 t.) i ks. J. W. Sch. Piar. Uzupełnione przez ks. biskupa Stan. Krasińskiego (Petersb. 1855, 6 t.). Zmarły w r. 1878 autor był niegdyś profesorem w seminaryum poznańskiem.

Die Kirche Jesu Christi nach der Weissagung der Propheten.

FELBST. Mainz 1883. S. XII, 428.

Gruntownie opracowany traktat kaznodziejom dostarcza bogatego materiału, świeckich katolików utwierdza w wierze o boskości instytucyi Kościoła.

Die kanonischen Eehindernisse nach dem geltenden gemeinen

Kirchenrechte. WEBER, J. STADTPFAR. Für den Kuratklerus in Deutschland, Oesterreich und der Schweiz praktisch dargestellt. 3 wyd. 8, str. VII i 527. Freiburg in Br., 1883, Herder, 6 marek.

Dzieło, jak tytuł wskazuje, przeznaczone w pierwszym rzędzie dla duszpasterzy nie zapuszcza się w wywody teoretyczne ani historyczne, lecz przedstawia wyłącznie dziś obowiązujące prawo małżeńskie katolickie, jasno i potoczysie w sposób powadze naukowej zupełnie odpowiedni. Dokładny rejestr rzeczowy przyczynia się znacznie do podniesienia użyteczności książki.

Der Eid. DR. FR. A. Prof. GÖPFERT.

Wobec formalnej kampanii niedowiarków w celu zniesienia przysięgi, książka wüzburgskiego profesora, opierająca znaczenie, doniosłość i konieczność przysięgi na powszechnem przekonaniu i praktyce ludów i na nauce Kościoła jest prawdziwym dobrodziejstwem, pomimo niektórych podrzędnej wagi poglądów i zdań, niezupełnie zgodnych z opinią większości teologów.

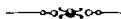
Erklärung und Predigtentwürfe zu dem sonn — und festtäglichen Evangelium des kath. Kirchenjahres. TAPPEHORN. Dulmen 1883. 13 marek. 2. B.

Die Bildung des jungen Predigers. Freiburg. Herder. 3 marki.

Obydwie te książki zaradzają powszechnym utyskiwaniom młodszego kleru na brak podręczników do kościelnej wymowy.

Briefe aus Hamburg. GOTTLIEB. Ein Wort zur Vertheidigung der Kirche gegen die Angriffe von Leugnern der Gottheit Christi. Berlin 1883 (w redakcyi „Germanii“ cena 6 marek).

Wiadomo, że bardzo znaczna część protestantów niemieckich z superintendentem Sidowem, pedagogiem wnuków cesarskich na czele przeczy bóstwu Chrystusa Pana uważając go za głębokiego myśliciela, wielkiego filozofa a nawet wielkiego rewolucjonistę w do-brem znaczeniu tego słowa. Niestety i wśród katolików, wśród wykształceńszych warstw naukowych polskiego społeczeństwa napotkasz nierzadko ludzi zachwianych w wierze o boskości Chrystusa — od-dałby więc dobrą usługę i kościołowi i nam, ktoby listy hambur-skie Bogumiła (jest nim Jezuita P.) przełożył na język polski. Od-znaczają się wyborną dyalektyką i siłą loiki.



Z dzieł filozoficznych.

Rzecz o postępie. LUDWIK ŻYCHLIŃSKI. Poznań 1884.

Autora powyższej książki głównem zadaniem było wykazanie prawdy, że na powadze moralnej opiera się istotny postęp. Broni on

swej tezy całą siłą loiki i argumentacji, a wsparty odpowiednim zasobem nauki dochodzi do pewników, zgodnych z przekonaniem każdego myślącego czytelnika.

Les causes finales par PAUL JANET. 2me edition. Paris, Germer Bailliére, vol. in 8, 757 p. 1.

Podczas gdy w Anglii i Niemczech pozytywizm coraz więcej opanowuje filozofia, we Francji obok materialistycznego kierunku wybija się coraz więcej na jaw filozofia duchowa i nawet niekatolicycy pisarze biorą w niej znaczny udział.

Między licznymi tego ruchu objawami, przytaczamy znakomite dzieło Pawła Janet o celowości w naturze, które przeszłego roku wyszło w 2-gim znacznie pomnożonym i przerobionem wydaniu. Autor znany jest z wielu cennych filozoficznych dzieł, jak: *Histoire de la Philosophie morale et politique* — *La famille* — *Philosophie du bonheur etc.*

Kwestya, którą w tem dziele podejmuje, należy do pierwszorzędnych, bo rzecz o celowości jest szczytem nauk przyrodniczych, i zarazem podstawą nauk duchowych, głównym dowodem istnienia Boga a oraz głównem polem walki między obrońcami prawdy a szermiercami materializmu. Sposób zaś traktowania tej kwestyi przez p. Janet zaleca się jasnością Francuzom właściwą, krytycznością i w tem drugim wydaniu, gruntownem omówieniem i zbitiem najnowszych wywodów ewolucjonistów przeciwko celowości przyrody.

Zalecamy w szczególniejszy sposób to dzieło młodym badaczom filozofii i przyrody.

X. M. M.

M. Littré et le positivisme par E. CARO. In 12. Paris. Hachette.

Sławny pisarz z *Revue des deux mondes* świeżo wydał poważne dzieło o Littrém i jego filozoficznym zawodzie. W pierwszej części zajmuje się osobistą biografią Littrégo, i jak powiada, na wstępie „z przyjemnością oddaje winną część charakterowi męża, którego doktryn nie podziela“. W drugiej części zastanawia się autor nad postacią, jaką Littré nadał pozytywizmowi. Littré był najszczerzym, najrozsądniejszym tej teorii rzecznikiem; jeżeli więc w jego rękach nie mogła ona nabrać życia i siły, musi to być bardzo nędzna filozofia. Otóż pozytywizm chciał zastąpić we Francji pojęcia czysto negacyjne z przeszłego wieku przekazane. Comte ubarwił go rozmaitemi religijnymi i politycznymi mrzonkami; Littré usiłował go oczyścić z tych wszystkich niewłaściwych mu naleciałości, uchylić wszystko, co nie było, jak mówiono, czysto pozytywną umiejętnością. Ale w końcu, po tyloletniej pracy pokazało się, prócz nauk przyrodniczych, wszystkim filozofiom wspólnych, w pozytywizmie, jako takim, nic więcej się nie pozostało, tylko czysta negacyja pojęć teolo-

gicznych i metafizycznych; po tak długiej i uciążliwej umysłowej podróży, nawróciło się do punktu wyjścia.

Najbardziej zajmującą jest trzecia część, w której autor zastanawia się nad pytaniem, czy pozytywizm, uchylwszy wyższe prawdy może uzasadnić po swojemu moralność, czy może, jak mówi Caro, ukonstytuować nowe sumienie. Littré i inni pozytywiści, widząc że moralność wymaga pewnego zaparcia się, przenoszenia dobra ogółu nad własne, a przyparci o mur, by wskazali w swojej teorii powody zdolne nakłonić człowieka do takiego zaparcia się, szamoczą się tylko w próżni, mówią o wieczystych prawach świata, o szczęściu społecznem, o niebie na ziemi w przyszłości obiecanem, o instynktach społecznych, o „altruizmie“ (nieszczęśliwy wyraz wymyślony przez Littrégo w przeciwstawieniu do egoizmu.) Ale Emil Caro z nieubłaganą loiką pokazuje im, że to są tylko metafory z chrześcijańskich pojęć moralności zapożyczone, a zdarłszy powłokę słów przenośnych, wykluczwszy resztę pojęć chrześcijańskich, nic nie zostaje dla pozytywizmu tylko marzenia nieokreślone, a nadewszystko niczem nieuzasadnione. Do tego to przychodzi w etyce ten pozytywizm, który zaczyna od śmiałego twierdzenia, że niczego za prawdę uznać nie należy, prócz pozytywnych faktów.

X. M. M.



Z dzieł historycznych.

Stosunek Polski do Niemiec aż do r. 1000 wyłącznie. DRZE-
WICKI JÓZEF. (Program gimn. w Sanoku 1882 str. 1—48. 1883,
str. 1—75.)

Autor dowodzi, że zależność Polski od Niemiec aż do r. 1000 polegała na płaceniu haraczu nie z całego obszaru Polski ale tylko do rzeki Warty i na zawisłości biskupstwa poznańskiego od arcybiskupstwa magdeburskiego. Wewnętrzne sprawy państwowe rozwijały się w Polsce całkiem samodzielnie i niezawisłe od Niemiec. Stosunek ten zmienił się dopiero w r. 1000, w którym Otto III. przyznał Chrobremu na zjeździe gnieźnieńskim tytuł króla i pozwolił mu starać się o koronę w Rzymie. W rezultatach więc praca ta prawie nic nowego nie przynosi, bo nie inaczej pojęli ten stosunek przed r. 1000 Stasiński i Małecki, wykazując znaczenie zjazdu gnieźnieńskiego. Mimo to praca ta z tego powodu zasługuje na uwagę, że w niej autor zużytkował cały materiał źródłowy i wszystkie dzieła odnoszące się do czasu przez autora opracowanego; niejedno w niej znaleźć można sprostowanie mylnie pojętego faktu, niejedno wyjaśnienie zawikłanego w pierwotnych źródłach szczegółu. Zawiłe jednak autor walczy w przypiskach z różnemi zapatrywaniami często słusznie, częściej jednak niesłusznie. Z zapalem kreśli dzieje Mieczysława i pierwsze lata panowania Bolesława, a w za-

pale tym wpada w ton deklamacyjny i sypie śmiesznymi i utartymi frazesami, o zupełnej dojrzałości Polski do samoistnego bytu politycznego i duchowego, o dziejowym posłannictwie narodu i o jego niespożytej sile duchowej; są to tylko frazesy, których się w poważnej pracy badawczej wystrzegać potrzeba, bo rzeczy nie wyjaśniają, a czasem mogą wprowadzić autora w sprzeczność z źródłami. Także powinien autor zaniechać w przyszłych pracach niesmacznych porównań i obrazów i niejasnych myśli, np. geniusz Chrobrego ogrzewał Ottona ... geniusz Chrobrego trzepocząc skrzydłami(!?) żąda na drodze legalnej(?) przysługujących mu praw(?); Sylwester II. był papieżem w wielkim stylu ... Otto III. przybył do Polski, aby uczcić św. Wojciecha *owocem jego męczeńskiej śmierci*; pogańsko-religijne zaślepienie Polabian: Polska ma się stać sama sobą itd. itd.

Dr. Semkowicz.

Bitwa pod Buczyną. NACHER TEODOR. Lwów 1883 str. 44, w 8.

Rozprawa ta składa się z dwóch części. Większa połowa obejmuje krytykę źródeł tak drukowanych jak rękopiśmiennych, w których przechował się opis klęski arcyksięcia Maksymiliana współzawodnika Zygmunta III. do korony polskiej (1588). Materiału nie brak. Polacy, Niemcy, Czesi, Szlązacy i Morawianie opisywali w listach tę bitwę, ale opisy pochodzące od stronników arcyksięcia po większej części tendencyjne, stronnicy zaś Zygmunta dość skąpe podają szczegóły bitwy. Wytrzebiwszy ten materiał porównał autor takowy z opracowaniami współczesnych pisarzy (Heidenstein, Piasecki i kontynuator kroniki Joachima Bielskiego) i udowodnił, zdaniem naszym trafnie, że autorem wydanego w r. 1827 p. t. „*Rerum Polonicarum ab excessu Stephani regis ad Maximiliani Austriaci captivitate liber singularis*“ jest Krzysztof Warszawicki (co Wiszniewski przypuszczał), a dawszy zasłużoną odprawę Mayerowi (Des Olmützer Bischofs Stanislaus Pawłowski Gesandtschaftsreisen in Polen) wykazuje jasno fałszerstwa jego. Opis bitwy skreślony niewprawioną do pióra ręką ale zaleca się sumiennością w zestawieniu porozrzucanych po rękopisach szczegółów i godzeniu sprzeczności na jakie autor często natrafiał.

Dr. Semkowicz.

Przeniesienie lenna pruskiego na elektorów Brandenburskich.

BOSTEL FERDYNAND. Lwów 1883, str. 58, w 8^o.

Rok 1525 przemienił ziemię krzyżacką w świeckie księstwo. Zygmunt popełnił błąd oddając młodszej linii Hohenzollernów, Anspachom lenno pruskie; starsza bowiem linia (elektorska) rozpoczęła wkrótce starania o przypuszczenie do wspólnej inwestytury. Od dni weselnych Joachima II. z Jadwigą najstarszą córką Zygmunta Starego zaczynają się jawne i skryte zabiegi brandenburskie, trwające do r. 1558, w którym Zygmunt August przypuścił elektora

brandenburskiego i potomków jego następujących w elektorstwie do lenna. W roku 1563 poczyna się druga epoka błędnej polityki polsko-pruskiej. Zygmunt August znaglony niebezpieczeństwem od strony Rosyi grożącym, wystawił po długim wahaniu dokument (4 marca) przypuszczający po wygaśnięciu linii Anspachów dom elektorski do wspólnej inwestytury, przyczem prawa pierwotne obdarowanych lennem pozostały nienaruszone. Po śmierci księcia pruskiego Albrechta kiedy syn jego, Albert Fryderyk, z powodu choroby umysłowej nie mógł sam sprawować rządów, popełnił Stefan Batory nowy błąd, gdyż zamiast zadość uczynić życzeniu stanów pruskich żądających namiestnika polskiego, porucił opiekę nad chorym i administracją kraju Jerzemu Anspachowi, który go zasilł pieniędzmi na wojnę moskiewską. Po bezpotomnej tegoż śmierci (1603) oddał Zygmunt III. mimo woli i chęci administracją księstwa Joachimowi Fryderykowi elektorowi brandenburskiemu (1605), do czego zmusiły go stosunki z Szwecją i Moskwą oraz groźne wystąpienie elektora, popieranego przez Francją, Danią i wszystkie protestanckie księstwa Rzeszy. W r. 1611 przeszło wreszcie lenno pruskie na elektora Jana Zygmunta i trzech jego braci, pod warunkami o wiele dla nich korzystniejszymi, niżeli w r. 1525. Oto krótki przebieg wypadków opowiedzianych w sumiennej tej pracy, przeważnie na niez użyt kowanych przez niemieckich uczonych źródłach polskich osnutej.

Dr. Semkowicz.

Zapiski z lat 1825—1831 przez TYMOTEUSZA LIPIŃSKIEGO. Do druku przygotował i przypiskami objaśnił KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ. Kraków 1883.

Autor, synowiec Józefa Lipińskiego, generalnego wizytatora szkół w Król. Polskiem, przebywał w Warszawie od czerwca 1825 aż do pierwszych dni listopadowego powstania i przez ten czas skrzętnie z dnia na dzień notował, co widział i słyszał, swoje w tym względzie zapa trywania spisując starannie. Nie ma tu wiele nowych szczegółów; dość często zakradły się niedokładności, które wydawca starał się w notach sprostować; a najbardziej może ciekawem w całym tym dyaryuszu jest zapa trywanie się osobiste autora na toczące się przed jego oczami wypadki. Człowiek religijny, konserwatysta, wyraża się zachowawczo o cesarzu Mikołaju, powstaje ostro na wszelkie spiski, z upodobaniem odmalowuje młodocianego następcę tronu (późniejszego Aleksandra II.). Zwolennik klasycyzmu z niechęcią wyraża się o kielkujących „romantycznych bredniach“; o Mickiewiczu wspomina mimochodem z okazji przyjaciela jego, Sobolewskiego i jakiegoś artykułu do gazet. Oburza się na postępowanie ulicy z Wine. Krasieńskim, Zygmuntem Kurnatowskim, a opisawszy całą bolesną scenę, jak chciano ich wieszać i kazano przysięgać na poprawę, dodaje: „Na to wszystko niemy świadek patrzałem z boleścią serca.

Obu generałom dano natychmiast dymissyę i nie przyjęto ich chęci służenia za prostych żołnierzy“. Dodają wartości „Zapiskom“, liczne współczesne anegdotki, dokładny spis z roku na rok wychodzących dzienników, poglądy własne i sądy wypowiedziane szczerze na stosunki bo nieobliczone na efekt. W pierwszych dniach powstania, Lipiński wstąpił do gwardyi narodowej. Dano mu karabin bez kurka i kazano chodzić w różne strony i kąty miasta. „Cheiano, pisze, mianować mię podoficerem, ale wymówiłem się od tego zaszczytu, dając za przyczynę, że nie mam munduru, ani odpowiedniej kwalifikacyi. „Dobrześ zrobił obywatelu — ozwalo się kilku w kozuchach i podartych sukmanach — bo to teraz równość“. Poklepał mię jeden z nich po ramieniu, a drugi ucałował, że aż mi się słabo zrobiło“.

Temi słowy, które nie oznaczałyby weale w gwardziście narodowym wielkiego zapału i ufności w podjętej sprawie, kończy Lipiński swe „Zapiski“. Cenny w nich materiał dla tych, co chcieliby się zapoznać z sposobem myślenia bodaj czy nie większej części mieszkańców Królestwa Polskiego przed 1831 r. J. B.

Martin Luther. Lebens und Charakterbild von ihm selbst gezeichnet in seinen eigenen Schriften und Correspondenzen. EVERS. Mainz 1883. Z. B. 2te Auflage.

Nawrócony z protestantyzmu lekturą dzieł Lutra, pastor Evers, wydał życiorys Lutra z pism jego własnych. Rozchwycono je w lot i oto właśnie w rocznicę narodzin Lutra ukazało się drugie wydanie tej autobiografii, równie cheiwie czytane jak pierwsze. Już to Luter nie oszczędzał siebie i nie zawsze można głośno czytać, co pisał o sobie, a gdy się go czyta ogarnia wstręt i zdumienie. Wstręt do niemoralności z cynizmem głoszonej, zdumienie jak taki lichy człowiek mógł się stać głóscielem „czystej“ ewangelii, „reformatorem Kościoła Jezusowego“ i pociągnąć za sobą miliony, a w naszym jeszcze wieku odbierać publiczną cześć nie tyle od tłumów, bo te okazały się obojętnymi, ale od uczonych i panujących książąt? Nienawiść do Kościoła katolickiego łącząca przeciwne sobie sekty i obozy tłumaczy tu wiele.

Katholisch oder protestantisch. EVERS. Hildesheim, u Borgmayer'a 1883. 4te Auflage (3 marki).

Mylność i bałamutność protestanckiej nauki z pism samego Lutra wyłożona, to też książka ta dała początek wielu nawróceniom na łono kat. Kościoła.

Martin Luthers Anfänge. EVERS. Osnabrück, Wehberg 1883. 40 fenigów.

Drobna ta książeczka ale zeszepecona nieco zbyt dosadnymi wyrażeniami opowiada pochodzenie, życie szkolne i klasztorne Lutra i początki jego apostazyi.



Z dzieł literackich.

Listy nauczycielki, poświęcone nauczycielkom ludowym, i uczniom seminaryów żeńskich — przez ANASTAZYĘ DZIEDUSZYCKĄ. Kraków, nakładem księgarni Bartoszewicza 1883 r.

Mamy tym razem przed sobą, książkę napisaną przez niepospolitych zdolności, dążeń i pragnień autorkę. Pięknie też i umiejętnie, w pierwszych listach do swej Helenki, skreśla zadanie uczennicy w seminaryum żeńskim, jej przyjacielskie stosunki z towarzyszkami, należne ze szkołą i nauczycielami; odpowiedzialność wreszcie i obowiązki, w tak szlachetnem powołaniu ludowej nauczycielki. Następne listy do Helenki, po przyznaniu jej już stanowiska nauczycielki, są jakby przemówieniem do całego kobiecego społeczeństwa, posiadającego możność i środki, pracowania i oddziaływania na wykształcenie i umoralnienie społeczeństwa naszego.

A jeżeli wiązanie dla Helenki panny Tańskiej, pouczyć mogło matki nasze lepszego zrozumienia warunków wychowania swych dzieci, to tem bardziej obecne wezwanie Helenki, do wszechstronnej pracy, przyczynić się może, do obudzenia powszechnych, w tym kierunku pożytecznych dążeń. Słusznie też czyni autorka, gdy w jednym ze swych listów, przedstawia nam Helenkę wymawiającą się od tak obszernego na polu ekonomicznem i społecznem zadania. I rzeczywiście: gdyby nauczycielka wiejska, obdarzoną była największemi, wszechstronnemi zdolnościami, to przecież w chwili ich stosowania podług zakresu działalności, w książce tej objętego, nietylko znajdzie wiele trudności, ale co więcej, stawi się sama w zbyt przykrem dla siebie położeniu; bo czy niepewność w zaradzeniu złemu, czyli też zbyt ufnosć we własne swe kobiece słabe siły, złamie ją, a nawet z obranego powołania wykoleić może. Naszem przekonaniem, X. proboszcz we wsi, właściciel i właścicielka większej ziemskiej posiadłości, oraz w pewnej mierze nauczyciel wiejski, *ale obznajomiony z zasadami umiejętnego gospodarstwa*, tak ważnemu zadaniu wykształcenia włościanina, sprostać mogą. Tu bowiem przykład znaczy więcej niż słowa, a chłop nasz poważa i słucha tylko tego, co umie lepiej robić to, co on sam robi. Helenka pod tym

względem, przykładu dać z siebie nie potrafi; ale za to w szkole, otwiera się dla niej obszerne do działania pole¹⁾.

Niechże nad działywą rozciągnie swą staranną opiekę, niech ją uczy w wolnych od lekcji godzinach: szyć, na kołowrotkach pracować, robić koronki; niech postara się, o ile może, o warsztaty tkackie, szmuklerskie i t. p., a niewątpliwie dobrze się społeczeństwu wiejskiemu przysłuży. Niech według ducha książki autorki, wzmocni swe siły u stóp ołtarza, bo wiara to najjaśniejsze dla rozumu światło, a podstawa jej osobistej moralności i rękojmia moralności dzieci jej opiece powierzonych. Niech stara się budzić w społeczeństwie wiejskiem poczucie sumienia, a przede wszystkim wyrabiać wśród młodego pokolenia silny charakter, który dając mocną wolę ku dobremu, wykształci w działywie rozum, według zdolności, jakie każde dziecko w szkole posiada.

S. G.

Николай Рей, польскій писатель XVI. в. Нѣсколько новыхъ данныхъ для его биографіи, собранныхъ С. Пташицкимъ. Санктпетербургъ 1883. (Mikołaj Rej, polski pisarz z XVI. w. PTASZYCKI).

P. St. Ptaszycki w broszurce obejmującej 23 str. prócz rodowodu Rejów z Szumska i z Nagłowic, sięgającego czasów Bolesława Krzywoustego, skreślił stosunki familijne i towarzyskie Mikołaja Reja, prostując przytem niektóre chronologiczne błędy Trzecieckiego. Źródła, któremi posługiwał się p. Ptaszycki, były to głównie pisma p. Rybarskiego o Reju (Ateneum 1880. III, 371—389), oraz akta grodzkie i ziemskie archiwum krakowskiego i lwowskiego. Wydanie innych ważnych dokumentów zebranych w archiwach Kieleckim, Warszawskim i Lubelskim, odkłada autor na późniejsze czasy. Teraz jego celem jest tylko wskazać drogocenny a nietknięty jeszcze materiał, mogący wyjaśnić niejedną kwestyę literacką lub historyczną, oraz nowe rzucić światło na wpływowe stanowisko Reja i otworzyć tym sposobem szerokie pole do dalszych prac literackich.

Polskė pani a divky. EDWARD JELINEK. Praze 1884.

Znany u nas powszechnie literat czeski, wykazując pracę Polek, ich patriotyzm i poświęcenie się dla ogólnego dobra, podaje je za wzór czeskim niewiastom. Pierwsza część historyczno-literacka, drukowana poprzednio w Sborniku slovanskim r. 1881; druga, nowellistycznej treści, zawiera część powiastek, których bohaterki uosobniają pojedyncze przymioty polskiej dziewicy. Wydanie wytworne z wignetami, w pięknej lipskiej oprawie, nader ponętne dla czytelniczek.

¹⁾ Ze statystycznych raportów o szkołkach ludowych, jakie mamy pod ręką, pokazuje się, że w Holandyi, Westfalii, Belgii i t. p. nauczycielki wiejskie lepiej uczyły i wychowały dzieci, jak nauczyciele.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Co słyhać na Górnym Szląsku? — pytacie się. Oto jego obraz w małych wprawdzie rozmiarach, ale rzetelny. Zaczynam od kreślenia rysów mniej wdzięcznych dla oka, zasmucających serce, wdzięczniejsze i weselsze a szczęściem najważniejsze zostawiając na później.

Narodowościowe stosunki na G. Szląsku tak blisko obchodzące społeczność polską — jakże się przedstawiają? Czy tu już wszystko zniemczone? Czy ta pozycja pod względem narodowym stracona? Tubylcze plemię, które zamieszkiwało i zamieszkuje ziemię g. szląską, było i jest słowiańskie, polskie. Tymczasem Szląsk został oderwany od braci swych i od rdzenia swego plemienia, a oddany wpływowi niemieckim. Religia, cywilizacja, polityka płynnie z Niemiec na Szląsk. Książęta się niemczą skutkiem wpływów politycznych i małżeństw z księżniczkami niemieckimi, szlachta idzie za przykładem książąt. W ten sposób wyższe stany sercem, mową, obyczajem odłączyły się od ludu. Polska jak pozwoliła na odłączenie się Szląska, tak i później nie robiła aby w jaki sposób, choć przez małżeństwa napowrót odzyskać ziemię Szląską. Brak politycznego zmysłu, charakteryzuje Polaków od najdawniejszych czasów do dnia dzisiejszego. W nowszych czasach wielu z tutejszych księży nie umie po polsku, z domu nie wynieśli poczucia i miłości swego narodu, w gimnazyum i na uniwersytecie całkiem ulegają wpływowi szkół niemieckich. W wrocław-

skiem seminaryum dotąd mało dbają o to, aby teologowie kształcili się w języku polskim, choć polski G. Szląsk jest rdzeniem dyecezyi. W innych jej częściach katolicy mniej lub więcej zmieszani z protestantami. Tylko na G. Szląsku wszystkie powiaty wybierają posłów katolickich. Dopiero teraz książę biskup Herzog zwrócił na to baczniejszą uwagę i żąda od swego kleru znajomości języka polskiego. Dodajmy, że kopalnie węgla, żelaza wprowadziły na Szląsk całe hufce spekulantów, przemysłowców, urzędników niemieckich, że handel w ręku żydów, że w szkołach nie uczą ani czytać ani pisać po polsku, a nie będziemy się dziwić, że i miasta w ostatnich dwudziestu latach się zniemczyły, a nawet chłopci bogatsi i ich dzieci się niemczą. Ktokolwiek głową, pieniędzmi, stanowiskiem wysuwa się na cal ponad lud, niemczy się, odsuwa się od ludu, gardzi nim i mową ojczyzną.

Z drugiej strony idea narodowości ożywiona w naszych czasach poruszyła umysły i na G. Szląsku. Prześladowanie wszystkiego co polskie ze strony pruskiego rządu, łatwe komunikacye, mianowicie zaś gazety i książki, urządzenia konstytucyjne powołujące i lud do życia obywatelskiego, to wszystko budzi, żywi i szerzy wszędzie poczucie narodowościowe. G. Szląskowi jeszcze jedna okoliczność w szczególności wybornie posłużyła, mianowicie walka kulturalna. Nietylko wyższe stany łącznie z księżmi, lecz i lud górnoszląski był superlojalnie pruski, daleko więcej aniżeli rodowici Germanowie nadreńscy lub westfalscy. Ale nad tą lojalnością rządową górowała religijność u G. Szlązaków, i kiedy rząd zaczął prześladować Kościół, serca zraziły się do rządu prusko-niemieckiego i stały się przystępne pismom i mowom, które im przypomniały, że G. Szlązacy są od Boga stworzeni Polakami, że inne żywioły są napływowe i żyją kosztem ludu g. szląskiego, który z własnej ziemi musi wydobywać skarby dla obcych milionerów. W tym właśnie czasie założył Miarka pismo „Katolik“, zaczął urządzać zgromadzenia, stowarzyszenia, teatru amatorskie, czytelnie. Wszystkie tego rodzaju prace byłyby daleko trudniej się przyjmowały i przynosiły owoce, gdyby nie było prześladowania kościelnego. Dowodem tego próby robione w tym względzie przed Miarką i trudności zwiększające się w miarę, jak ustaje walka kulturalna.

Teraz drażni jeszcze G. Szlązaków rażący sposób, w jaki rząd wyrzucił od razu język ojczysty polski ze szkół. Ucisk wywołuje reakcyę i skutki przeciwne tym, które rząd chce wywołać. Petycyę o przywrócenie, choć częściowe, języka ojczystego polskiego i morawskiego (w okolicy Raciborza i Głupczyce) bez wszelkiej agitacyi, tylko za inicjatywą „Katolika“ podpisało prawie 52.000 G. Szlązaków i to w krótkim czasie. Lud już teraz żyje, choć jeszcze nie cały, swem życiem naturalnem, a więc i narodowem. „Katolik“ drukuje się w przeszło 6000 egzemplarzach, (inne gazety tu wychodzące nader mało mają abonentów, a znaczenia i wpływu zgoła żadnego), rozchodzi się dość znaczna liczba gazet z Poznańskiego i Prus, istnieją czytelnie, kółka, związki, prości robotnicy i rzemieślnicy odgrywają z chęcią i powodzeniem teatry amatorskie polskie, odbywają się wiece g. szląskie, na których coraz mniej niemieckich mów. Co dalej będzie — Bóg wie. Wieleby jeszcze było do mówienia, n. p. o stosunku innych ziem polskich do G. Szląska; czy się też one interesują tym zakątkiem słowiańskim, w którym się lic. 700—800 tysięcy Słowian.

Rzućmy teraz jeszcze okiem na stosunki materyalne G. Szląska. Kraj jest na pół rolniczy, a na pół fabryczny, przeważnie górniczy i hutniczy. Wielkie obszary ziemi, po części darowizny królów pruskich z zabranych dóbr kościelnych są w ręku magnatów, książąt Pszczyńskich, Raciborskich, Hohenlohów, hrabiów Szaffgotochów, Oppendorfów, Donnersmarków, spadkobierców hr. Renarda, pp. Thiele-Winkler, Welczek i t. d. Wszyscy są Niemcami i pomiędzy nimi a ludem nie ma prawie żadnego związku serca i ducha, mianowicie, jeżeli pan jest jeszcze protestantem. Lud nie ma się świetnie w dobrach pańskich. Wszyscy prawie ci panowie posiadają oprócz ziemi i lasów znaczne jeszcze kopalnie, huty żelaza, cynkownie, kamieniołomy i t. d. Są też oni z nielicznymi wyjątkami nadzwyczaj bogaci. Oprócz magnatów jest jeszcze wiele innych mniejszych dziedziców, dzierżawców, i wielka ilość wsi gospodarskich chłopskich.

Włóścianie, jak wszędzie w państwie pruskim, uginają się pod ciężarem podatków państwowych i gminnych i pod konkurencyą zboża amerykańskiego i stosunków w ogóle nieprzyjaznych

rolnictwu. W niektórych jednak okolicach n. p. około Głogówka, Koźła, Prądnika, Raciborza, są bogaci, a przynajmniej zamożni chłopci polscy, mają dobre grunta i korzystną pozycję handlową; nauczyli się od Niemców obrachowanego i racjonalnego gospodarowania i tak porządnie, jak wsie w tych okolicach, nie wygląda ani jedno miasteczko w Galicyi. Domy chłopskie murowane, po części piętrowe, pokryte łupkiem, budynki gospodarcze również, konie dobre, bryczka a czasem i kryty wóz oszklony. W okolicach piaszczystych, po prawej stronie Odry i w okolicach fabrycznych chłopci w ogóle źle się mają. Kopalnie i dym fabryczny szkodzi rolnictwu.

Istnieje tu „związek włościański“, założony przez barona Huene, bardzo zacnego człowieka, i nader pięknie się rozwija w okolicach niemieckich, gdzie chłopci są wykształceni, bogatsi i sami się umieją prowadzić; lecz polskim włościanom brak przewodników, bo sami sobie rady nie dadzą, choć się zapiszą do związku. Nie potrzebuję dodawać, że pijaństwo, lekkomyślność, lichwa żydowska, uporne obstawanie przy starem gospodarowaniu prawie równie szkodzą włościanom i przeszkadzają dobremu bytowi, jak przykre stosunki społeczne, prawodawcze, handlowe.

Stosunki w okolicach fabrycznych G. Szląska to kawał kwestyi socyalnej, o ile się tyczą tysięcy robotników. Panom właścicielom kopalni, hut, fabryk drutu, kotłów, machin, cynku, blachy, rur, kwasu siarkowego i t. d. dobrze idzie i budują drugie wydanie swych fabryk i zakładów za granicą rosyjską, ponieważ cła wysokie nie pozwalają im wywozić towaru ztąd do Rosyi. Co do robotników, nie podlega wątpliwości, że z rozwojem kopalń i fabryk przybyło im zarobku w porównaniu do dawniejszych czasów, ale przybyło też i potrzeb. Górnik lub hutnik pracuje 12—15 godzin na dobę w warunkach tak trudnych, że rolnicze stosunki wcale z nimi się porównać nie dadzą, i zarabia tam przecięciowo dwie marki. Jestto bardzo mało, jeżeli się uwzględni, że taki człowiek musi bez porównania więcej wydać na wyżywienie i odzienie, niżeli robotnik rolniczy. Jakkolwiek pewna liczba fabryk i kopalń jest w ręku właścicieli nie obranych z poczucia ludz-

kości i sprawiedliwości, a tem samem umiejących uważać robotników za coś więcej niż części maszyny, przecież po wielkiej części i na Śląsku fabrykanci wyzyskują robotników do ostatka. Lud dobroduszny, łatwowierny, pomiędzy sobą bez zgody, łączności i ufności, a nad to wszystko nieporadny, staje się zbyt łatwo łupem spekulacyi, albo ofiarą stosunków dla przemysłu niekorzystnych. Później podam wam pojedyncze obrazki z życia robotników: wiele znajdziecie szczegółów odnoszących się do stosunków fabrycznych w „Katoliku“ mianowicie od r. 1882.

Handel hurtowny znajduje się całkiem w ręku żydów, równie jak prawie cały drobiazgowy, z wyjątkiem chyba handlu korzennego, który jest mozolny a mało przynosi stosunkowo zysku. Żydzi siedzą po miastach i po wsiach, oni kupują od producentów surowy materiał, oni potem przerobiony sprzedają konsumentom, oni dostarczają kopalniom drzewa do budowania ganków i koni roboczych, oni kupują *en gros* węgle (na miliony cetnarów) a sprzedają *en detail*, oni dostarczają pieniądze, oni mają szynki i t. d.

Kupcy, którzy nie są żydami, są Niemcami albo zniemczonymi Słowianami. Podobnie rzecz się ma i z rzemieślnikami.

W urzędach wszystko się odbywa z wielką szkodą ludu w języku niemieckim, zapomocą nader lichych tłumaczy. Jednakowoż znajdziesz tu daleko więcej urzędników mówiących albo przynajmniej rozumiejących po polsku, aniżeli w Poznańskim, ponieważ tu więcej urzędników swojskich, a w Poznańskim wszystko sprowadzone z Brandenburgii lub Pomorza.

O wiele korzystniej przedstawiają się stosunki religijne G. Śląska. Słynie plemię słowiańskie a mianowicie Polacy z bogobojności, lecz nie znam części ziemi polskiej, gdzieby ludzie byli tak szczerze i głęboko religijni jak na G. Śląsku. Kościoły zawsze i wszędzie przepełnione, nawet na niesporach a prawie każdy przystępuje kilka razy do roku do sakramentów śś. pokuty i Ołtarza. Obyczaje w ogóle czyste, nawet w okolicach górniczych i hutniczych, gdzie ludność nader mieszana, wpływy jak najgorsze, pokusy wielkie, gdzie domy i mieszkania przepelnione, — i w tych nawet okolicach religijność i obyczaje ani w części nie są zepsute jak zagranicą, a nawet w Austrii, gdzie są podobne warunki. Walka kulturalna

oczywiście nie pozostała tu bez złych skutków, popełniają się grzechy, których imienia dawniej nawet wymówić nie śmiano, lecz jeszcze dość sporadycznie: początki tu choroby. Niechaj odzyska Kościół wolność, niech wrócą normalne stosunki, to i lud będzie wnet znów takim, jakim był dawniej. Wielkim dowodem bogobojnej religijności ludu g. szląskiego jest jego ofiarność. W ostatnich czasach wiele wspaniałych świątyń wybudowano, a do budowy i upiększenia kościołów lud głównie sam się przyczynia. Od kilku lat buduje się wielki kościół w Siemianowicach, a miejscowy pleban mówił mi, że ludzie składają od rozpoczęcia budowy do teraz po 800 m. miesięcznie. Pewien prostaczek handlujący gęsiami dał kilka razy po 300 m. I tak jest wszędzie: ledwo ksiądz ogłosi, że potrzeba nowego ołtarza, chórągi, kazalnicy, organów, że potrzeba odnowienia kościoła, a już zewsząd znoszą mu pieniądze. Na świętopietrze, misye, bractwa i inne pobożne cele ofiaruje lud nader znaczne sumy. Nie szzczędzą też ludziska na utrzymanie księży. Msze ś. zamawiają tak liczne, że im miejscowi księża podołać nie mogą; w wielu kościołach tylko śpiewane msze ś. się odbywają, choć i trzech, czterech lub pięciu księży przy kościele istnieje. A jak lud szanuje i miłuje swych kapłanów! z jaką wspaniałością przyjmują parafie osieroczone księży, których im teraz książe-biskup skutkiem pewnych ulg ze strony prawodawstwa pruskiego przysyła. Stawiają bramy tryumfalne, całe miasta i wsie zdobią świątecznie, lud tysiącami idzie naprzeciw kapłana, wita serdecznymi słowy prozą i rymem, płacze z radości, prowadzi księdza do kościoła i na plebanię, w której często własnym kosztem parafianie urządzają odpowiednie mieszkanie, opatrzone w meble i inne potrzeby. Posełają potem opis wszystkiego do gazety, aby się niejako z całym światem podzielić radością. Jeszcze serdeczniejsze i czulsze bywa pożegnanie księdza idącego na inną parafię aniżeli jego przywitanie na nowem miejscu. Cała parafia w ruchu, każdy chce osobiście pożegnać „księżozszka“; na ostatniem jego kazaniu, na ostatniej mszy ś., na ostatniem błogosławieństwie prawie nikogo z parafian nte brak. Płacz i lament ogólny, serdeczne modły wznoszą się ku Niebu za kapłanem, który przez wiele lat walki kulturalnej i przed-

tem jeszcze w parafii pracował. Po nabożeństwie jeszcze ogólne pożegnanie przed plebanią, mowy, wiersze, śpiew, podarki cenne. Deputacya odprowadza księdza na miejsce nowego przeznaczenia.

Kler g. szląski zasługuje też na szacunek. Może nie ma chwilowo ludzi niezwykłego talentu, lecz ogół (a to we wszystkich stanach rzeczą najglówniejszą, bo nie wyjątki lecz reguła stanowi istotę rzeczy) posiada wyższe ukształcenie nietylko w teologii lecz i w innych gałęziach wiedzy, ogół też jest obyczajów czystych i nie ulega krewkości, jak niestety w innych ziemiach słowiańskich ku zgorszeniu Szlązaków, licznie przechodzących granice Kongresówki i Galicyi. W pracy około dobra dusz, nauki dzieci, w nabożeństwach licznych, duchowni szląscy bardzo są gorliwi. Dbają też o piękność i ozdobność kościołów, jednym słowem są z małymi wyjątkami wzorowymi kapłanami. Panuje jednak pomiędzy księżmi biurokracya i superlojalność względem rządu niemieckiego i protestanckiego. Walka kulturalna mało bardzo zdołała oziębic ich uczucia po tym względem. Pod względem religijnym tedy lud i duchowieństwo g. szląskie przedstawiają w ogóle przyjemny dla serca katolika obraz, wzorem będąc dla innych. Oczywiście, że ma ten obraz i ciemne strony. Pijaństwo wzmogło się z braku księży, skutkiem wypędzenia zakonów, do których lud g. szląski bardzo przywiązany. Dziś tysiącami pielgrzymują Szlązacy do klasztorów w Krakowie, w Kalwaryi, Częstochowie. Na uroczystość Krzyża ś. było tego roku na górze ś. Anny (głównie miejsce cudowne na G. Szląsku) 50.000 ludzi, po większej części Szlązaków.

X. Radziejewski.

Rzym 13 stycznia. Będąc nie tyle stałym mieszkańcem Rzymu, jak raczej gościem, nie wiem, czy dostatecznie już owało mię powietrze rzymskie, abym zdołał podawać do „Przeglądu“ waszego korespondencye tak pełne ducha prawdziwie rzymskiego jak wy i ja z wami tegobym pragnął. Jeżeli zawiodę wasze w tej mierze oczekiwania, chętnie z korespondenta stanę się prostym tylko czytelnikiem waszym, byleście dlatego nie odmienili ku mnie swego serca.

Pod wpływem refleksyi jeszcze noworocznych dzieję się z wami najpierw uwagami, jakie się tu nasuwają wszystkim bli-

żej Watykanu stojącym, o korzyściach, jakie Stolica św. a przez nią Kościół w ubiegłym roku odniósł. Trudności, które groziły w Hiszpanii, Portugalii, a poniekąd i w waszej Galicyi albo całkiem znikły, albo przynajmniej złagodniały. Między państwem rosyjskiem a Stolicą św. nastąpiło znaczne zbliżenie stosunków, które nie doszło wprawdzie do zawarcia konkordatu, ani też nie doprowadziło do usunięcia wszystkich przeszkód utrudniających normalny rozwój i działanie Kościoła katolickiego, ale przywróciło hierarchią i sprawiło, że stanęli na czele dyecezyi przez długie lata osieroconych znowu biskupi, i to tacy, że ich słuszenie z najdzielniejszymi biskupami innych krajów na równi postawić można. Wiele w tej mierze wdzięczności należy się od katolików tamtejszych Stolicy św. i osobitemu wdawaniu się Ojca św., który nie szczędził trudów i zachodów, by na te stanowiska tem ważniejsze i trudniejsze, im dłużej były opuszczone, wynaleźć mężów najodpowiedniejszych — ale wiele też, jak tu w kołach dobrze poinformowanych a blaskiem potęgi rosyjskiej bynajmniej nieolśnionych twierdzą, przyczyniła się do tego pożądanego rezultatu osobista dobra wola cesarza, który niezważając na zaciekłość licznych elementów wrogo usposobionych dla wszystkiego co katolickie, pragnął dać Kościołowi jakąkolwiek większą swobodę. I jest jakąkolwiek nadzieja, że układy szczęśliwie rozpoczęte powoli doprowadzą do coraz znośniejszego stanu Kościoła w wszystkich częściach państwa rosyjskiego, mimo wszystkie niefortunne prognostyki i pogłoski, jakie jedni z niecierpliwości, inni może w niezupełnie czystej intencji o tych układach puszczają w świat bezmyślnie, lub też umyślnie podkopując zaufanie do Stolicy św.

Niemniej też rząd pruski, jak się zdaje, ma w niedalekiej przyszłości stanowczo już zgodzić się na znośne dla swobody Kościoła ustępstwa. Trudno dziś wiedzieć, jaki był przebieg i główny rezultat rozmowy między Ojcem św. a następcą tronu prus., bo w Rzymie ci, którzy o tem wiedzą, umieją milczeć i niepowołanym nie zwierzają się z tajemnic sobie przez Ojca św. powierzonych; chyba rząd pruski z okazji rozpraw sejmowych, albo dla wywarzenia nacisku na opozycję katolicką, lub w innych jakich celach

coś o tem wyjawi. Sam jednak fakt, że następca tronu pruski przybył do Rzymu, a przybył, jak to wszystkie okoliczności towarzyszące jego pochodowi do Watykanu okazują, nie, aby wzmocnić pozycję króla sabaudzkiego wobec papieża, ani też by przykładem swoim umożliwić innym, a mianowicie katolickim monarchom przyjazd do Rzymu, ale aby zbliżyć się do Głowy Kościoła katolickiego — sam fakt ten, który świadczy, że państwo pruskie, potęgą swą militarną i zręcznie prowadzoną polityką imponujące światu, po dwunastoletniej daremnej z Kościołem i papieżem walce nabiera przekonania, że powinno się liczyć z tą potęgą moralną, jaką przedstawia papież teraz nawet, kiedy nie ma prawie żadnej innej pomocy, jeno w Tym, który go postanowił pasterzem owieczek i baranków swoich, — to zbliżenie się Prus do Stolicy św., wywarło pewny wpływ na radykalną dziś Francję. Przypuszczając nawet, że deputowany Spuller z szczerego przekonania przemawiał za pozostawieniem arcybiskupowi paryskiemu dotychczasowej pensyi 45,000 fr., i że minister Ferry również z przychylności dla Kościoła opierał się projektowanemu w Izbie deputowanych zwinięciu ambasady francuskiej przy papieżu, trudno jednak uwierzyć, aby radykalna większość deputowanych, która jak wszędzie tak i we Francyi, nie podczas rozpraw parlamentarnych dopiero, ale poprzednio na posiedzeniach klubowych ostatecznie rozstrzygać zwykła o mającem w parlamencie nastąpić głosowaniu, przemową jakiego Spullera lub Ferry'ego miała się powodować do przykłaśnięcia, a cóż dopiero uchwalenia wniosków wymierzonych przeciw znienawidzonemu przez nich Kościołowi katolickiemu. Prawdopodobniejsze podobno jest to, że Spullerowi i Ferry'emu oklaski i większość głosów pozyskał nie wzgląd na nową krzywdę, jakąby projektowane ustawy były Kościołowi wyrządziły, ale silniejszy od nienawiści do Chrystusa i Kościoła Jego antagonizm przeciw Prusom i obawa aby Prusom, gdyby w lepszych od Francyi z Stolicą św. stanęły stosunkach, nie przybyło do materyalnej i siły moralnej, mogącej im dać większą jeszcze przewagę nad Francją.

Anglia też, odkąd spiski irlandzkie niepokoić ją poczęły, coraz więcej zbliża się do Rzymu, i nawet Szwajcarya zaczyna

na nieco uczciwsze i rozumniejsze w postępowaniu swoim względem Kościoła wchodzić tory.

Nie w samych tylko rządach autokratycznych czy militarnych, konstytucyjnych czy republikańskich, ale też w opinii publicznej wszystkich prawie krajów cywilizowanych objawiać się poczyna niedwuznaczny zwrot w usposobieniu dla Stolicy św. i wpływu Kościoła. Dawniejsza niechęć lub nawet nienawiść, i gorsza od niej chłodna i całkiem o Kościele Bożym zapominająca obojętność choć powoli, ale stanowczo i ustawicznie ustępuje coraz więcej przed spokojnem zastanowieniem, poważniejszą nieco dyskusją, a nieraz też uznaniem tej potęgi przedewszystkiem pokojowej i cywilizacyjnej, jakiej równej po za Kościołem nie znajdzie nikt nigdzie. Jakiż pod tym względem ogromny jest postęp od czasów ostatnich Burbonów i pierwszej rewolucyi francuskiej. W obecnym wieku zwycięstw brutalnej siły nad prawem i najróżnorodniejszych zdobyczy materyalnych, jestto rzecz niezmiernie ciekawa i pouczająca widzieć, jak coraz więcej wnika w sumienie narodów ta skłonność do uznania całej żywotności, piękności i płodności właściwej tej boskiej Instytucyi, rozporządzającej jedynie wpływem moralnym, potęgą słowa — i modlitwy.

Świetniejszy ten blask jaki poczyna otaczać papieństwo, lubo niemało przyczyniła go postać wielkiego Piusa IX., zarówno jak powaga i spokój cechujący Leona XIII., w ścisłym jednak zostaje związku z całą wielkością, ale i słabością naszej epoki.

Śmiałość polityki przystępującej do rozwiązania najzawilszych i najtrudniejszych kwestyi, otwierającej coraz szersze poglądy i tworzącej coraz śmielsze plany, ale i jej nadużycia, wywołujące coraz większą niepewność wszelkich stosunków międzynarodowych i najistotniejszą ich podstawę, prawo narodów, częstokroć naruszające — dążność, aby wszystkim i najniższym warstwom społeczeństwa zabezpieczyć należne prawa, ale też towarzyszące jej namiętności, które zarówno bogacących się szybko giełdowładzców, jak coraz więcej podupadających robotników i rękodzielników prą do wyrzucia się z wszelkiego poczucia obowiązku — gorączkowa praca, by rozszerzyć jak najdalej granice wiedzy ludzkiej i uczynić ją przystępną jak najszerszym kołom, ale

i pełna zarozumiałości płytkość i pobieżność umysłów, tworząca fikcyjne raczej niż rzeczywiste sprzeczności między nauką a wiarą, między interesami społeczeństwa świeckiego a Kościoła — niesłychany rozwój przemysłu i handlu, ale i wyrównająca mu chciwość zysku i dobrobytu, która przechodzi aż do cynicznego materializmu i coraz większego rozkiełznania i zdziczenia obyczajów — wszystko to sprawia, że poważniejsze umysły z najrozmaitszych obozów coraz więcej uznają potrzebę jakiegoś potężnego a bezinteresownego i pewnego czynnika moralnego, któryby mógł te wszystkie tak sprzeczne z sobą, a zarazem tak silnie i nieraz namiętne występujące kierunki w należyte uchwycić karby, i skołatanej całowiekową prawie burzą ludzkości przywrócić i zabezpieczyć upragniony pokój. I cóż dziwnego, że kto naprawdę pragnie i szuka tego wpływu moralnego, zwraca oczy na Rzym, który przetrwał powodzenia i niepowodzenia przez długie wieki i nigdy nie przeniemierzył się swemu posłannictwu, ale niezmiennie szerzył wszędzie światło prawdy Bożej i dawał społeczeństwu i ludziom, którzy wpływowi jego ulegali „pokój Boży, pokój jakiego świat dać nie może“.

Rzym ten zwrot ku lepszemu spostrzega i pilnie za nim śledzi, ale optymizmem się nie uwodzi; umie on modlić się, działać i nie niecierpliwić się.

Całą tę dążność i zwrot ku Kościołowi znamionuje i coraz więcej potęguje ruch katolików świeckich, którzy zrozumieli, że duchowieństwo, jak samo nie stanowi całego Kościoła Chrystusowego, tak też samo, w obecnych szczególnie okolicznościach, nie może podolać obronie Kościoła. Ruch ten i we Włoszech coraz to szersze nabiera rozmiary. Z pośród wielu innych stowarzyszeń katolickich, w których ruch ten się koncentruje, chciałbym szczególną uwagę waszą zwrócić na „Związek Kółek parafialnych“, który powoli ogarnia wszystkie tak liczne dyecezye włoskie. Na czele tego związku, dzielącego się na kółka miejscowe podporządkowane komitetom dyecezalnym, stoi nieustający komitet generalny. Póki związek ten ograniczał się na rozbudzeniu w zobojętniałych Włochach życia religijnego i poprzestawał na organizowaniu nabożeństw, pielgrzymek i tym podobnych mani-

festacyi, mogliście z politowaniem patrzeć na rezultaty jego usiłowań; wy coście przywykli do tego, że w naszej Polsce wierni tysiącami i krociami płyną na miejsca święte, i nigdzie prawie kościoły nie mogą pomieścić tłumów pobożnych, ani kapłani poddać dobrej ich woli. Obecnie jednak, kiedy ten związek się wzmocnił i coraz szerzej rozwija swój program, chyba z podziwieniem i zazdrością na działalność jego patrzeć nam przychodzi. Na teraz wydał on hasło „wybory municypalne“, „prasa katolicka“, „szkoły“. Katolicy, nie mogąc żadną miarą uznać prawomocności zaboru państwa kościelnego i Rzymu, nie mogą też we Włoszech z dobrem sumieniem uczestniczyć w wyborach do parlamentu zjednoczonego królestwa włoskiego. Dlatego poprzestają na znanem hasle: *ni elettori, ni eletti*.

Inaczej jednak rzecz się ma z wyborami municypalnemi. Municipia posiadają dosyć znaczną jeszcze autonomię i mają jej odpowiedni szeroki zakres działania. Wiele oczywiście na tem zależy, czy magistrat i rada miejska lub gminna składa się z liberałów, czy też z katolików. Była pora, że we wszystkich prawie municypjach liberalni byli wszechwładnymi, i chcąc wszystko według swoich teoryi na nowe popchnąć tory, wszędzie tylko sprawiali zamieszanie w finansach, w stosunkach socyalnych, a najwięcej w pojęciach i obyczajach. Dziś dzięki usiłowaniom mianowicie „Związku kółek parafialnych“, przybywa municypiów, w których znowu na czele stoją mężowie o zasadach i życiu wybitnie katolickiem. Rozumie się, że talentu administracyjnego zasady dobre nie dają więcej niż złe, boć zmysł organizacyjny jest darem od zasad wcale odrębnym; ale pewna też, że urok powagi, bez której wszelki rząd czy to w rodzinie, czy też w gminie lub państwie musi wcześniej lub później stać się bezwładnym, zależy w niemałej części od charakteru, czyli od zasad i życia rządzącego. Szczególniej pocieszającym objawem rzadkiej w dzisiejszych czasach odwagi własnych przekonań katolickich jest to, że w kilkunastu już miastach nowo obrani syndykowie wraz z całą magistraturą poczęli na nowo jawnie i uroczyście wypełniać śluby wieczyste, któremi się niegdyś w czasach gorętszej wiary z powodu rozmaitych okoliczności miasta te były związały.

O znaczeniu prasy, dziś rozprawiać jest rzeczą podobno zbytę. Wyśmienite o tem dane, jak o wielu innych prawdziwie żywotnych kwestyach, znajdują się w niedawno wydanym znakomitym liście pasterskim biskupów amerykańskich, który w Rzymie nawet wywarł pewną sensację, i z którym wartoby, mojem zdaniem, żebyście swoich czytelników obznajomili. Pisarze, a w szczególności dziennikarze katolicy, są niewątpliwie w trudniejszym położeniu niżeli ich koledzy po piórze liberalni lub radykalni. Pomijając, że złe dla skażonej natury ludzkiej jest samo z siebie powabniejsze niż dobre, bo tamto zrazu schlebja zmysłom i namiętnościom, i dopiero kiedyś wydaje gorzkie swoje owoce, cnota zaś przeciwnie w początkach potrzebuje zwyciężenia i zaparcia samego siebie, a późno dopiero i nieraz aż w wieczności znajduje swoją nagrodę, -- pisarz katolicki i sumienny, krępowany jest różnemi względami na prawdę i słuszność, na dobrą sławę choćby przeciwnika, na pożytek i szkodę społeczeństwa i t. d., kiedy liberalni pisarze często, by nie powiedzieć pospolicie, miewają i sumienie wcale liberalne, i o wszystkie te względy i względziki niewiele dbają, byle na razie dopiąć celu, jaki zamierzają. Nadto w podobny sposób, jak my przywykliśmy kapłanów inną, surowszą mierzyć miarą niżeli świeckich tak, że razi nas w nich lada drobiazż, którego w innych ani spostrzegamy, w podobny sposób czytelnicy o wiele większe miewają pretensye do pism i dzienników o kierunku wybitnie katolickim, niż do wszelkich innych, i ztąd cokolwiek w nich znajdą dobrego, rozumnego, trafnego, ledwie mu to za zasługę poczytują, a każde, choćby najmniejsze uchybienie niemilosiernie krytykują i wytykają; w pismach zaś o barwie wątpliwej lub wręcz przewrotnej niech się pojawi jeden lub drugi artykuł znakomitszy, to nieraz wystarcza, żeby pokryć szerokim płaszczem pobłażania wszystkie jego niedostatki i wszystko prawie w nim za doskonale poczytać. Wreszcie jedna z głównych dźwigni mianowicie w dziennikarstwie ów *nervus-rerum* — fundusze — nie tak łatwo służy pisarzom katolickim, jak pisarzom z przeciwnych obozów, a to podobno przedewszystkiem dlatego, że kapitały przeważnie są w ręku żydów, którzy nigdy i nigdzie

nie poczuli i nie mogli się poczuwać do obowiązku popierania jakiegokolwiek sprawy wybitnie katolickiej, nauczyli się zaś wyśmienicie, prawie we wszystkich krajach, posługiwać się tak zwaną prasą liberalną do różnych swych bliższych i dalszych spekulacji. Jakkolwiek bez wielkiej nadziei, przecież z szczerego serca wam życzę, aby wasz „Przegląd“ w dalszem życiu swoim z żadną z tych trudności się nie spotykał.

We Włoszech dziennikarstwo na szeroką skalę rozbijało i utrzymuje się przy cenach bardzo niskich, w Polsce a szczególnie w Galicyi niepraktykowanych. Pełno macie jak w Rzymie tak po całych Włoszech dzienników w formacie „Czasu“ lub „Dziennika Polskiego“, za które prenumerata roczna wynosi 20 fr. a cena pojedynczego numeru 5 centimów. Dodać jeszcze potrzeba, że w Rzymie i po wszystkich większych miastach Włoch nie ma ulicy bez trafiki gazeciarskiej, i wszędzie pełno kolporterów niemilosiernym krzykiem polecających swój towar, a przecież trafikanci i kolporterzy także coś na sprzedaży gazet zarabiać muszą.

Jakkolwiek dziennikarstwo i peryodyczne piśmiennictwo katolickie nie zdążyło jeszcze wyrównać przeciwnemu sobie, przecież wcale pokaźnie się przedstawia. Samych gazet codziennych o kierunku ściśle i odważnie katolickim istnieje 21 po cenie à 15—51 fr. rocznie. Na szczególną wzmiankę zasługuje wyśmienicie redagowana turyńska „Unita Cattolica“ x. Margottiego dobrze informowany rzymski „Moniteur de Rome“. Publikacyi tygodniowych politycznych i niepolitycznych wydaje prasa katolicka 52. Poważniejszych wreszcie Przeglądów co dwa tygodnie, co miesiąc albo i co dwa miesiące jest 15, a są między nimi takie, co mają większą niż chwilową tylko wartość jak *civiltà cattolica* wydawana w Florencyi, neapolitańska *La scienza e la fide* i inne. Lecz wolę urwać ten przedmiot, niż rozgoryczać się porównaniem, które mi się nasuwa między stanem prasy katolickiej u was a stosunkami włoskimi, z których przecież „Związek kółek katolickich“ nie jest jeszcze zadowolniony, skoro postanowił pracować nad większym ich rozwojem.

Najważniejszym a oraz i najtrudniejszym zadaniem, jakie sobie Związek kółek parafialnych zamierzył, jest naprawa szkół. Naj-

ważniejszym ono jest, bo od dobrego lub złego wychowania młodzieży, a zatem w bardzo znacznej mierze od szkół i ich kierunku zależy cała przyszłość; najtrudniejszym, bo przychodzi walczyć nie tylko z niedostatkiem funduszy i ludzi do zaprowadzenia wszelkich, a zatem i dobrze kierowanych szkół niezbędnie potrzebnych, ale nadto usunąć trzeba całą masę najrozmaitszych przesądów, uprzedzeń i obojętności, a wreszcie złamać ów najszkodliwszy ze wszystkich monopol państwowych szkół.

Wychowanie dzieci jest według prawa przyrodzonego i objawionego na pierwszym miejscu obowiązkiem rodziców; na rodziców i rodzinę spada wobec Boga i ludzi odpowiedzialność za źle wychowane dzieci; rodzicom i rodzinie dostaje się na pierwszym miejscu pociecha i zaszczyt, jakie przynoszą dzieci należycie wychowane, zatem też rodzicom i rodzinie przysługuje pierwsze prawo do kierowania wychowaniem swych dzieci. O ile zaś rodzina należy do Kościoła Chrystusowego, Kościół też, jako ten, któremu powiedziano: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody“, ma szczególniejszy obowiązek i prawo opiekowania się i czuwania nad sprawą wychowania, a to tem więcej, że od wychowania po wielkiej części zawisła całość wiary i obyczajów i wieczne każdego zbawienie. Na trzecim miejscu wreszcie w wychowaniu ma interes społeczeństwo, którego znów ogólnem i najwyższem uosobieniem jest Kościół, szczegółowem zaś i że tak powiem miejscowem gmina, naród, państwo. Nowoczesne państwo, wyzuwszy się powoli z chrystyanizmu, przywłaszcza sobie pogańską ideę wszystko pochłaniającego państwa, jak je wymarzył Julian Odstępca i Neoplatonicy, a przez zsekularyzowanie szkół i połączony z niem przymus szkolny, wciągnęły całą sprawę wychowania do swojej kompetencji z pogwałceniem wszystkich niemal praw, jakie w tej mierze przysługują rodzinie i Kościołowi, gminie i narodowi. Wdało się państwo w tem, jak w wielu innych sprawach w nie swoje rzeczy, a Bóg nie błogosławi pracy niepowołanych. Narzekają tu powszechnie na te same co u nas niedostatki, przeciążenie liczbą i ilością przedmiotów przeszkadzające właściwemu wykształceniu, mnogość profesorów od niższych klas, zaniedbanie kształcenia prawdziwie humanitarnego

dające się we znaki przy wyższych studiach i dalszych zawodach, nadewszystko zaś to, że szkoła myśli tylko o uczeniu, zapominając, owszem wypierając się obowiązku wychowywania. Zgubny ten błąd pochodzi od „Geneńskiego sofisty“ Rousseau, który zaprzeczając grzech pierworodny twierdził, że natura jest zdrową i zamiast ją kształcić, trzeba jej tylko puścić wodze i pozwolić samorodnie się rozwijać. Od „Geneńskiego sofisty“ przeszedł ten błąd do Niemiec, a ztamtąd na około się rozpromienia i teraz włoskie szkoły zaraża.

Dodać jeszcze potrzeba, że moralna atmosfera szkół publicznych w ogóle jest nie dobra. Jak społeczeństwo całe ogarnął jakiś duch antychrześcijański, jak pełno jest rodzin, w których zatarła się prawie zupełnie cecha właściwa rodzinom chrześcijańskim i zaginął obyczaj patryarchalny, a miasto tego rozpiera się pewna, że ją łagodnie nazwę emancypacya z pod obowiązków życia rodzinnego i gorsze od niej wyzwolenie się z pod wszelkich względów na Boga; podobnie szkoły nowoczesne owiała atmosfera niezdrowa, która coraz więcej wyziebia w młodzieży gorącość serca, czyni ją mniej zdolną zapału i porywów ku ideałom i sprawia, że wielu z tej młodzieży żyją w koleżeństwie bez koleżeństwa, przedwcześnie dojrzewają na niedojrzałych sensatów, a mało nawet samych siebie ceniąc, lekceważą wszystko i wszystkich: najprzód nauczycieli i naukę, następnie rodziców, ojczyznę, poświęcenie, heroizm, wreszcie wiarę i Boga samego. Takie i gorsze jeszcze skargi na objawy i skutki teraźniejszego wychowania szkolnego podnoszą się coraz głośniej we wszystkich prawie krajach Europy i Ameryki; podobne też żale wywodzą we Włoszech, gdzie szczególnie też coraz większy upadek ojczystej literatury i sztuki, przed niedawnym jeszcze czasem w pełnym stojących rozkwicie, przypisują głównie zkrzywionej metodzie szkolnej.

Związek kółek parafialnych, postawiwszy reformę szkół na swoim porządku dziennym, rozpoczął od tego, że stara się wyświecić kwestyę reformy szkół, a w szczególności zasadniczą różnicę, jaka zachodzi między szkołą nowoczesną a szkołą katolicką i w tym celu urządza po wszystkich Kółkach odpowiednie odczyty, rozpowszechnia omawiające tę sprawę broszury, w każdym

wreszcie numerze swego organu *Il Movimento Cattolico* podaje różne o tym przedmiocie uwagi, rozprawy lub dokumenta. Równocześnie rozwija żwawą agitację przeciw posyłaniu dzieci do szkół, kierowanych przez ludzi niepewnych albo też zasad wierze przeciwnych. Dotychczas bowiem panuje pod tym względem we Włoszech wielka — nie wiem, czy powiedzieć lekkomyślność, czy obojętność, jak to wskazują następujące liczby:

Gimnazyów rządowych	177, w których uczniów	17.578
„ katolickich	221 „ „	9.697
„ prywatnych	294 „ „	10.537
Liceów rządowych	105 „ „	6.588
„ katolickich	104 „ „	1.635
„ prywatnych	60 „ „	2.135

Szkół normalnych zależnych od rządu liczą 48.530, do których uczęszcza 2,057.977 dzieci, czyli 73 na 1000 ludności. W Niemczech 157, w Austro-Węgrzech 107 na każde 1000 mieszkańców.

Dnia 9 stycznia odbyła się długo i z wielkiem wysileniem przygotowywana demonstracja żywołów przeciwnych Kościołowi w ogólności a panowaniu papieża w Rzymie w szczególności. Urządzono wcale okazały pochód do pomnika Wiktora Emanuela w Panteonie. Charakterystycznym w całej tej sprawie było to, że nazwano tę demonstracją pielgrzymką do grobu Wiktora Emanuela, i że mimo wszystkie wysilenia, i obniżenia ceny biletów kolejowych do 25%, nie zdołano zebrać demonstrujących więcej nad 25.000 według gazet liberalnych, a ledwie 12.000 według katolickich. Miała to być apoteoza tego, który za pomocą, a raczej z woli sekty, zsekularyzował państwo kościelne, a Rzym, stolicę chrześcijańskiego zdegradował na stolicę zjednoczonych Włoch.

Wiadomo jak skutkiem tego zamachu Wiktora Emanuela ucierpiały i wciąż jeszcze cierpią różne instytucje w Rzymie dla dobra i kosztem wszystkiego chrześcijaństwa przez długie wieki zakładane. Obecnie, jak głoszą z radością dzienniki liberalne, ma w krótkim już czasie nastąpić konwersja majątku propagandy, czyli mówiąc dobitniej zebranie tego majątku na rzecz państwa za rentę wątpliwej wartości, obiecującą na przyszłość ledwie

trzecią część teraźniejszych dochodów. Propaganda ma sobie powierzone kierownictwo wszystkich zgoła misyi, czyli rozwoju Kościoła Chrystusowego we wszystkich tych krajach, gdzie dotychczas nie było można regularnych stosunków hierarchii kościelnej urządzić. Jak szerokie, a oraz jak wysoko cywilizacyjne jest jej zadanie, małym wprawdzie ale uderzającym tego dowodem jest seminaryum Propagandy, w którym kształcą się na przyszłych misyonarzy klerycy z wszystkich części i krajów świata: obok europejczyków murzyni, indyanie, chińczycy, japończycy itd. I jak tu nie oburzać się na zawiść sekciarską, co rzekomo dla celów państwowych burzy to, co wieki dla dobra wszystkiego świata zbudowały. Słusznie któryś z dzienników katolickich twierdzi, że ci nowocześni bisurmani groźniejsi są dla chrześcijaństwa i cywilizacyi jego, niżeli byli dawniej tak straszni Turcy. Nie jedyna to troska Propagandy — ta grożąca jej bytowi konwersya. Wiadomości nadchodzące z Egiptu i Chin, są coraz to więcej niepokojące. Niepokoje egipskie niesłychane szkody stacyom i pracom misyjnym już przyniosły; powstanie Mahdi'ego grozi im ostatnią zagładą i w szczególności zagrożony jest Chartum, gdzie nasz O. Ryłło niegdyś był założył centrum tych misyi, które pomyślnie się rozwijały.

Podobnież w Chinach w skutek zatargów tonkińskich przybiera rozdrażnienie przeciw europejczykom, a tem samem i przeciw chrześcijanom coraz szersze rozmiary. Ale nie wdaję się w szczegóły, bo postrzegam, że je podał dokładnie „Przegląd katolicki“. Bogu tylko polecać możemy kwitnące dziś zakłady kościelne w Chinach, żeby zamiast szerzyć nadal królestwo Boże na ziemi, nie pomnożyły tylko liczby męczenników w niebie.

Protazy.

SOJUSZ MONARCHICZNY

przeciwko

socyalistycznej anarchii.

Od niedawnego czasu niezwykle w świecie politycznym zjawisko zwraca na siebie uwagę bacznych obserwatorów. Stosunki międzynarodowej polityki są napięte, słychać prawie nieustannie daleki odgłos surmy wojennej, narody ostrzą broń, nie wiedząc dobrze przeciwko komu; a równocześnie monarchowie jeżdżą po Europie, odwiedzają się i porozumiewają bezpośrednio, jakoby po za plecami konstytucyjnych organów. Przytem układy te sięgają gdzieś dalej, aniżeli do zażegnania wojny. Do tego celu wystarczyłyby, jak nas dopiero zapewniano, sojusz niemiecko-austriacki, stojący jak mur żelazny w poprzek Europy; aż tu nagle pokazuje się, że i Włochy nie wiedzieć po co do tego sojuszu przystąpiły. Jeszcze z tego wrażenia świat polityczny nie ochłonał, a już nowa niespodzianka: tron, który pod względem wojny i pokoju europejskiego najmniej znaczy, bo pod nim samym ziemia się trzęsie i w własnem jego wojsku spiski grasują, tron mówię hiszpański, przez wzajemne wizyty łączy się z sojuszem środkowej Europy. Francję anarchiczną omija się ze wszech stron, ale przedstawiciel idei monarchicznej francuskiej, hrabia Paryża wchodzi widocznie w to koło monarchicznych układów, w Hiszpanii odbiera królewskie honory, przedstawiciel Niemiec z nim konferuje i t. d. W końcu pamiętać trzeba, że równocześnie w Rosyi, mimo że u steru rządu stoją ludzie przekonani wręcz przeciwnych, układy z Stolicą św. przychodzą do jakiegoś rezultatu i prawi biskupi zasiadają na opróżnionych od

20 lat stolicach. W Niemczech zaś, mimo wrzasku prasy liberalnej, układy z Watykanem przynoszą owoce i biskup „z urzędu złożony“ (pierwszy to przykład od założenia cesarstwa niemieckiego) na swoją stolicę powraca.

Wobec tych wszystkich zjawisk coraz widoczniejszem się staje, że jakaś myśl wyższa góruje po nad miejscowemi sporami i polityką lokalną partyi i krajów. Podczas gdy tę ostatnią prowadzą dalej ministrowie i parlamenta, myśl ta przewodzi wędrówkom i układom monarchów. Już ją przed podróżą następcy tronu niemieckiego do Hiszpanii prasa liberalna przeczuwała, a gdy przyszedł z Berlina rozkaz, żeby jechał do Rzymu i odwiedził Papieża, łuski jej z oczu spadły. „Coś tu większego jest w grze, pisała wówczas *Neue Freie Presse*, coś co nie tylko Prusy obchodzi, ale całą Europę. Gdyby tylko szło o politykę wewnętrzną, nie narażanoby się bezpotrzebnie na urazę króla Humberta, w przypuszczeniu żeby on nie był o wszystkim uwiadomiony“. Za tym głosem podniosło się wiele innych, krzycząc na spisek rządów z papieństwem przeciwko zdobyciom liberalizmu¹. Wnet i poważne pisma jak *Moniteur de Rome*, *Germania*, *Historisch-politische Blätter* rzecz omówiły, ingła tajemnicy zaczyna się rozpraszać i wszystkim, tak liberałom jak i konserwatystom, staje przed oczyma ogromny, jeszcze na pół zamglony ale już niezaprzeczalny fakt: układa się sojusz panujących przeciwko anarchii, a do tego sojuszu wchodzi Papież.

¹ Przytaczam charakterystyczny ustęp z arcyliberalnego organu „Die Gegenwart“, Nr. z 1-go stycznia. „Ledwie miał Ojciec św. czas podyktować sekretarzowi Boccali treść swej godzinnej, kościelno-politycznej rozmowy z królewiczem — bo zapewnić możemy, że taką była ta rozmowa — a już *Moniteur de Rome*, najbardziej znacząca z półurzędowych papieskich gazet, donosił z tryumfem, że następcą tronu był pośrednikiem układu, który miał na celu pozyskanie Papieża, jako sprzymierzeńca we wspólnej walce żywiołów konserwatywnych przeciw anarchicznej demokracji. A czego nadzieję wyraża *Moniteur*, tego zdaje się obawiać półurzędowa prasa włoska. *Diritto* usiłuje ukoić swych czytelników powtarzając piosenką o znanym liberalizmie królewicza. Ale czemużbyście sowy do Aten nosili, czemużbyście się na próżno wysilali, gdyby was nie trapiła jakaś przykra niepewność, jakaś zmora ligi monarchiczno-konserwatywnej przez *Moniteura* wywołana, którą zażegnać chcecie?“.

Późniejsze zajęcia w parlamencie niemieckim i głośna mowa Gosslera znowu tę całą sprawę przyćmiły i dały do myślenia, że rząd pruski innym znów wiatrem żegluję. Naszem jednak zdaniem, są to tylko przejścia chwiejnej polityki wewnętrznej, które na razie paraliżują tę szeroką politykę zewnętrzną, ale jej w zasadzie nie zmieniają. Cel ten sam zostaje wytknięty, ale droga do niego wikła się i utrudnia. Być może, że kanclerz ulęknie się wzmagającej wrzawy liberałów, może ustąpi groźbom sekty, albo duma upokorzona weźmie górę nad rozumem, i wielki jego plan odroczy się *ad calendas graecas*, aż go jakaś nowa socyalna burza powtórnie wskrzesi. Trudno obliczyć, jakie są dziś szanse urzeczywistnienia tego planu. Ale że to w każdym razie fakt wielkiej doniosłości, z głębi potrzeb społeczeństwa wynikły, że choć dziś spełznie na niczem, to jutro prawdopodobnie nowa jakaś burza socyalistyczna ponownie go wskrzesi, musimy w naszym piśmie zastanowić się nad jego istotą, powodami i możliwymi skutkami.

Że ci, których Opatrzność postawiła na straży społecznego porządku, czują potrzebę podania sobie ręki dla ocalenia resztek monarchizmu i konserwatyzmu, nie w tem dziwnego; ślepymiby byli, gdyby nie widzieli dziś wzmagającej się fali socyalizmu i anarchii, a z rozumu obranymi, gdyby nie uznawali potrzeby zespolenia sił i środków dla odparcia wspólnego wroga tronów i społeczeństw. Dziś, mówię, kiedy w Paryżu 300.000 robotników bez chleba pod gołym niebem obraduje nad sposobami zwalania rządu, kiedy w Londynie dumni lordowie dech z bojaźni tłumią, przechodząc po krużgankach Westminsterского pałacu, kiedy gdzie indziej wszechwładny imperator bezpiecznego schronienia nie znajduje -- dziś rzecz ta jest każdemu widoczną. Ale kiedy przed 6 laty wstępujący na najwyższą stolicę Leon XIII., pierwszy ujrzał zdala niebezpieczeństwo i ostrzegając rządy, że burza socyalna idzie, ofiarował im swą pomoc, lekceważono zarówno jego przestrogi i jego odezwę; — Gambetta wśród oklasków francuskiego parlamentu oświadczył, że kwestya socyalna we Francyi nie ma miejsca; w Niemczech powiedziano, że się w tej mierze bez Papieża obejda. Dziwnie wyglądają doprawdy te wspomnienia wobec dzisiejszych faktów; a jednak

to nie stare, to wczorajsze dzieje. Ale do tej odezwy papieskiej jeszcze powrócimy.

Drugim, który po Leonie XIII. zrozumiał niebezpieczeństwo oraz wielką myśl sojuszu monarchicznego powziął, jest człowiek, dla którego jako katolicy i Polacy sympatyi mieć nie możemy, ani tego szacunku i uwielbienia, na jaki tylko moralna wartość zasad i postępowania zasługuje, ale któremu jednak odmówić nie możemy potęgi duchowej nad dzisiejszy poziom Europy górującej. Zaraz po zamachu Nobilinga na cesarza niemieckiego ks. Bismark wystąpił z propozycją pewnej umowy rządów w celu wzbronienia socjalistycznych agitacyi i wydawania zbiegłych przestępców. Projektowi temu wówczas oparły się Francya i Rosya. Później, po tragicznym zgonie Aleksandra II., znowu rząd rosyjski wystąpił z podobnym wnioskiem; ale tym razem wet za wet odrzuciły go Niemcy. W naturze rzeczy jednak leżało, że to odrzucenie nie mogło być stanowczem, a projekt ten musiał wrócić na stół. Najnowsze zaś polityczne zjawiska, o których się wyżej wspomniało, a w końcu świeże zapewnienie cesarza niemieckiego, w odpowiedzi do gminy berlińskiej na noworoczne jej życzenia, że tego roku bądź co bądź pokój nie będzie zakłócony, — przekonały poważniejszą prasę, że sojusz monarchiczny dojrzewa, albo już dojrzał.

Zastanówmy się teraz nad pytaniem: na czem taki sojusz mógłby zależeć? jakich środków mogłyby wspólnie użyć konserwatywne rządy dla zwalczenia wspólnego wroga? Środki te mogą być dwojakiego rodzaju: represyjne zależące na surowości praw wymierzonych przeciw socjalistycznym związkom, pismom, agitacyom — i zaradcze, dążące do ulżenia doli robotników, złagodzenia walki pracy z kapitałem i t. p.

Co sądzić o pierwszych? Dalekimi jesteśmy od ganienia represyi anarchicznych knowań i zaburzeń zapomocą siły państwowej. Władca, mówi św. Paweł, *nie bez przyczyny miecz nosi, albowiem jest sługą Bożym, mścicielem na gniew temu, który złość czyni*¹. Nie dzielimy też zdań często powtarzanych o bezskuteczności tego środka, o niechybnym tryumfie każdej idei przeciwko

¹ Rom. XIII. 4.

sile i t. p. Siła państwowa z konsekwencją użyta wiele dokaże. Niemcy siłą stłumili pierwsze objawy socjalizmu u siebie, Anglicy jeszcze groźniejsze wybryki fenganów siłą poskromili, Rosya także siłą nihilistów do tego stopnia pogromiła, że mogła nad zasypanym wulkanem święcić tryumf koronacyi. A chociaż dziś znowu nihilizm dał znaki życia, to nie dowód, że wówczas tylko udał umarłego, ale raczej, że licho z korzenia odrosło; wszystko za tem przemawia, że ówczesny spisek nihilistyczny został w istocie zgnieciony, najśmielsi zostali straceni lub wywiezieni, reszta się rozsypała bez hersztów, bez środków, a może i bez odwagi.

Siła wiele może niezawodnie, ale czy wszystko może? czy każdemu złemu w społeczeństwie zaradzi? — Są w pojedynczych organizmach cierpienia, dla których uleczenia wystarczy chirurgiczna operacya. Ząb bolący można wyrwać, prosty wrzód można przeciąć; ale kiedy choroba nurtuje głębie organizmu, kiedy rany lub wrzody występujące na powierzchni są tylko objawem ogólnego krwi zakażenia, wówczas chirurgiczne środki nie wystarczają — ledwo jedną ranę się zagoi, druga się otwiera, jeden wrzód się przetnie, drugi wyrasta. Chcąc wówczas życie chorego uratować, trzeba radykalnej terapii, trzeba wszystkie soki odnowić i niejako odrodzić. To samo ma miejsce w organizmach społecznych. Póki bunty, spiski, skrytobójstwa pochodzą z przejściowych przyczyn, z chwilowego wzburzenia namiętności, z osobistego wpływu pewnych wicherzycieli, póty surowość prawa, policya, więzienie, szubienica mogą zaradzić złemu; ale kiedy choroba jest we krwi społeczeństwa, kiedy w wewnętrznych jego ustroju warunkach tkwi głęboka przyczyna, z której zło wyrosło i wciąż odrastać musi, wtedy oczywiście sama represya nie wystarczy dla przywrócenia społeczeństwu zdrowia. Środki repressyjne chwilowy co najwięcej przyniosą spokój, ale zło z korzenia odrośnie, a czasem właśnie przez to ciągle obcinanie na powierzchni, korzeń pod ziemią się wzmacnia i rozrasta. Rząd niemiecki, jakeśmy mówili, siłą poskromił ruch socjalistyczny u siebie, jednak sam tak dalece zrozumiał niedostateczność tego środka, że natychmiast jął się środków zaradczych i rozmaitych reform społecznych: wskrzesza cechy, zaprowadza asekuracye dla robotników i t. d. Rząd rosyjski niesłychanem wytężeniem potęgi policyjnej potrafił

przed rokiem nihilizm zwalczyć, zgnieść, rozbić, ale co właściwie zostało zgniecionem? Sądzę, że i rząd rosyjski nie robi sobie w tej mierze illuzji: rozbity został pewien spisek nihilistów, ale przez to nihilizm jako doktryna antysocjalna, jako tendencya do przewrotu, nie został bynajmniej wykorzeniony z umysłów i serc tych warstw, w pośród których grasował. Ale z tego posiewu, jak się wykluwały dawniejsze spiski, tak i nadal wykluwać się muszą nowe — póki społeczeństwo nie będzie z tego raka uleczone. Zamach na Sudejkina jest nowym tego dowodem, ale i bez tego wypadku rzecz nie ulegałaby wątpliwości.

W ogóle mówiąc, socjalizm, w jakiejkolwiek przedstawia się formie, jest niepowierzchnową, ale głęboką społeczeństwa chorobą, przyczyny jego i zarody muszą być w samym szpiku i kościach społecznego organizmu. Więc gdyby sojusz monarchiczny miał się ograniczyć na środkach represyjnych, nie doprowadziłby do celu. Byłaby to siła spotęgowana, ale zawsze tylko siła, a siła, jakieśmy widzieli, przeciwko temu złemu nie wystarczy; trzeba środków zaradczych, leczniczych; w tem się więc rządy muszą porozumieć, by zadanie tego sojuszu spełnić.

Lecz tu znów z drugą, wewnętrzną spotykamy się trudnością: Na jakież leki zgodzi się *consilium* tych lekarzy Europy, kiedy każdy prawie członek tego wielkiego ciała, każdy naród na co innego cierpi. Wszędzie są symptomata anarchii, wszędzie podrywy socjalizmu, o ile przez socjalizm rozumiemy w ogóle wszelki ruch dążący do przewrotu już nietylko rządu, ale samego społeczeństwa jako takiego i wieczystych jego podstaw: różności stanów, własności, rodziny i religii. Ale bliżej się przypatrując, widzimy, że ten socjalizm w różnych krajach do różnych nawiązuje się przyczyn: We Francyi i do pewnego stopnia w Niemczech, jest to bunt głodnych przeciwko obfitującym; po zaprowadzeniu zasady wolnej konkurencyi i pod wpływem postępów przemysłowych produkcya znacznie się zwiększyła, na razie zyskiwano na tem obustronnie: i towar staniał i płaca robotnika się wzmogła; podniecona cheiwość ściągała coraz większe tłumy od roli do rzemiosł i fabryk, ale w końcu produkcya przewyższyła potrzeby i nic jej nie zostało, tylko taniością wabić konsumenta, zmniejszać płacę, w dniach bezrobocia wyrzucać z pra-

cowni robotników bez chleba — i tak zerwanie równowagi tej niebaczonej ekonomii odbija się w końcu głodem na ludzie pracującym, a głód ten odzywa się groźnem wstrząśnieniem samych posad społeczeństwa. W Rosyi kwestya socyalna nie zależy na tej walce kapitału z pracą, ale na straszliwej próżni moralnej, głównie w średniej warstwie społeczeństwa panującej. Z cywilizacyi zachodu doszły tych ludzi same szumowiny, tyle tylko, ile starczyło do obalenia religijnych i moralnych tradycyi przez cerkiew przekazanych. Tradycye te są pozornie do naszych podobne; ale że nie wyrastają z żywej winnej macicy, nie mają siły żywotnej, mogą się tylko utrzymać w bezmyślnym ludzie, gdzie żaden wiatr krytycyzmu nie powieje, lecz za pierwszym powiewem purchawka się rozwiała i została — nicość; i ta nicość, w sercu ludzkim, naturalnie żadnem pełni życia, czynu, szczęścia, tworzy ten potworny zamęt, co się *nihilizmem* nazywa.

We Włoszech znowu charakterystyczną cechą ruchu socyalnego i hasłem tego ruchu jest nienawiść religii. Mam przed sobą ciekawą książkę zawierającą prosty spis wszystkich socyalistycznych rozruchów i manifestów zasłanych w różnych miastach włoskich w pierwszym półroczu r. 1882: wszystkie do jednego z cechą socyalistyczną łączą znamię sekciarskiej zaciekłości na Kościół i religię¹. I nie w tem dziwnego; jeśli w jakim kraju, to we Włoszech Kościół był macierzą społeczeństwa i cywilizacyi, jego powaga była dla tych ludów upostaciowaniem prawa i porządku. Gdy więc rząd rozpoczął wojnę z Kościołem, rozluźowały się społeczne karby i co jest antysocyalnych namietności rzuciło się naprzód na Kościół; stąd podwójny charakter tych podrzutów: antysocyalny i antyreligijny.

W Wielkiej Brytanii na gruncie socyalistycznych objawów jest najgorsza z nienawiści, nienawiść religijno-narodowa wiekowym wywołana uciskiem. Naród potężniejszy prześladowając religię i narodowość słabszego, używał do tego celu środków rujnujących jego własność, fiskalnością i prawami tendencyjnie szkodliwymi doprowadził do „legalnego“ wywłaszczenia Irlandczy-

¹ *La situazione religiosa, morale e politica della Italia nuova nel primo semestre dell' anno 1882.*

ków z Irlandzkiej ziemi; dziś prześladowanie prawie ustało, ale zostały jego skutki — pauperyzm i nienawiść: i stąd reakcyja socyalistyczna ma tę potrójną cechę: sprawy agraryjnej, religijnej i narodowej. Socyalizm tak skomplikowany jest ze wszystkich najgorszy, bo podrażnione uczucia religijne lub narodowe zaślepiają nawet sumienie i ludzi skądinąd znacznych do nieprzebierania w środkach przywodzą.

Pomijam świeże objawy socyalistyczne w Wiedniu, których właściwy charakter jeszcze się nie dosyć wyjaśnił; ale zwracam uwagę, że i u nas jest kwestya socyalna — nie kwestya robotników, jak w Niemczech i Francyi, nie nihilizm jak w Rosyi, nie bunt narodowo-agraryjny jak w Irlandyi — kwestya jednak z tem wszystkim coś wspólnego mająca, dotykająca bytu i mienia chłopa i rzemieślnika, niemniej jak możnego pana, wplątana we wszystkie sprawy ekonomii kraju a potracająca raz po raz najtkliwsze struny religii, moralności, narodowości — kwestya nienaruszająca dotychczas społecznej równowagi, dzięki wyjątkowej stateczności i moralnemu zdrowiu naszego ludu, jednak do tego już stopnia napięta, że w razie przebrania miary lub potracenia z zewnątrz, strasznym, prawdziwie socyalistycznym grozi wybuchem. Kwestyą tą, jak każdy rozumie, jest semityzm. Semityzm gdziekolwiek istnieje, ma charakter socyalistyczny, ale u nas jestto kwestya socyalna *par excellence*, arcytrudna do rozwiązania, ale też Bogu dzięki prawie jedyna.

Z tego rzutu oka już widać, jak trudno tu wymyśleć powszechne środki zaradcze przeciwko chorobie socyalnej Europy, kiedy, jak się powiedziało, co kraj to inne symptomy choroby, inna *sedes mali*, inne jej bezpośrednie powody.

Dalsza znów trudność w tem leży, że rządy w ogóle nie mają szczęścia do rozwiązywania kwestyi socyalnych. Szczęśliwie rozstrzyga je tylko historia, czyli wiekowy rozwój społeczeństw i religia; rządy zaś, gdy do tej roboty swą ciężką rękę przykładają, zwykle tylko rozogniają ranę, którą pragną leczyć. Najwidoczniejszym jest to w miejscach, gdzie kwestya socyalna komplikuje się z narodowościową. Lecz i bez tego nawet, gdzie czysto ekonomiczno-socyalne interesa są w grze, interwencya rządów nie udaje się, nie dopina celu. Dziś n. p. rząd niemiecki, który

przoduje w reformach społecznych, celem uchylenia socjalizmu, sam wpada w socjalizm, na pozór wręcz przeciwny pierwszemu, ale w gruncie identyczny: nietylko zakupuje na rzecz państwa koleje i inne większe przedsiębiorstwa, ale nawet resztą mienia, którą zostawia w kieszeni prywatnych, chce w części zawiadować, urządzając dla robotników asekuracje przymusowe, czyli innemi słowy, oznaczając ilość oszczędności w prywatnem mieniu i biorąc te oszczędności pod swój własny zarząd. Jeszcze krok dalej na tej pochyłości, jeszcze dalszy wniosek z tych samych principów, a jesteśmy zupełnie w ideale Marxa: t. j. że państwo wszystko posiada i samo potrzeby obywateli opatruje. To też przewodzcy socjalizmu głośno się z tem odzywają, że mogą ręce założyć, bo ks. Bismark ich robotę robi. Dodaćbym mógł, że i nasze cechy, w najlepszym zamiarze wskrzeszone, łatwo mogą do skutku wręcz przeciwnego swemu celowi doprowadzić. Pamiętać trzeba, że instytucje takie rosną jak krzewy samorodnie, pod wpływem miejscowej gleby i miejscowego klimatu; stworzyć coś takiego od razu nie podobna, a co kwitło w wiekach średnich, na gruncie na wskroś katolickim, to nie koniecznie da się przesadzić w dzisiejsze czasy, kiedy i grunt społeczeństwa i atmosfera pojęć się zmieniły.

Cóż więc począć w tej alternatywie, skoro ani zaradzić kwestyi socyalnej, ani jej zaniechać nie można — a tu już fatalny grozi kataklizm? Pośród zamętu płochych teoryi i rozsądnych powątpiewań, jeden poważny głos się podnosi i zapowiada światu, że on posiada prawdziwy klucz kwestyi socyalnej, skuteczne lekarstwo na chorobę społeczną. Kiedy Leon XIII. wydał swą encyklikę o socyalizmie, t. j. r. 1878, miała ona pewien rozgłos w świecie, ale nie dosyć pojęto jej doniosłości; ale następnych 6 lat, pełnych zamachów i wstrząśnień socyalnych, dowiodło słuszności przestroż Papieża i wyłómaczyło głęboką lekceję, którą wówczas dał światu. Wróćmy więc do tej encykliki.

Widzieliśmy jak dalece dzisiejszy ruch antysocyalny rozpada się na rozmaite prądy, z jak różnych wynika przyczyn. Ojciec św. jednak reasumuje te wszystkie różnice w jedność, po za bezpośredniemi powodami tych cierpień społecznych, każdemu kra-

jowi właściwemi, upatruje on dalszy wspólny powód. Początek tej choroby wyprowadza z XVI. wieku.

Świat starożytny pogański rozwiązywał kwestyę socyalną za pomocą niewoli: większa część ludzkiego rodzaju, pozbawiona praw i własności, pracowała przymusowo dla wygody mniejszej części. Była to prosta ale nieludzka solucya. Ewangelia opromieniając świat bożem światłem i ciepłem uchyliła powoli niewolę, ale zastąpiła cementem społecznym nowego rodzaju, zakonem miłości chrześcijańskiej i nowemi z tegoż zakonu wynikłemi pojęciami prawa, władzy, poddaństwa, własności, rodziny, równości wobec Boga. Moc zaś społeczna tego cementu — na to proszę zwrócić uwagę — nie zależała na jego piękności, praktyczności i t. d. (w takim razie byłaby to tylko teoria, jak tyle innych), ale na wierze, na wierze że Bóg ten zakon objawił, że zachowanie go miłe jest Bogu i znajdzie u niego nagrodę a przekroczenie karę w tem życiu i w przyszłym. Zakon więc miłości był spójnią, ale wiara podstawą, fundamentem chrześcijańskiego społeczeństwa.

Dlatego, jak naucza Leon XIII., bunt rozumu przeciwko wierze, w XVI. wieku wzniecony, był początkiem społecznego przewrotu: podkopywał on samą podwalinę istniejącego społecznego porządku — a cóż stawał na jej miejscu? — odrzuciwszy prawdę objawioną z jej jasnością, mocą i powagą, czy choć przyrodzoną prawdę o rzeczach społecznych wyświecił? Zwykle karą pychy bywa zaślepienie; i tym razem zbuntowany rozum zabłąkał się w najnierozumniejszych teoriach.

Tu Ojciec św. wyłącza genetyczny rozwój tych fałszywych o społeczeństwie doktryn. Z protestanckiego racjonalizmu wyrodziła się pycha rozumu, nieogłędne porywanie się rozumem na wszystko — ztąd dowolne wymyślanie teorii społecznych, bez względu na porządek rzeczy, jaki Bóg w naturze stworzył. Stąd „przez nową, u samych pogan niesłychaną bezbożność“, powstały systemy państwowe bez Boga, bez prawa natury, bez sankcyi sumienia, na podstawie przypuszczenia, że społeczeństwo jest dowolną ludzką ugodą, a władza, własność i wszelkie prawo tylko utworem zbiorowej woli ludzi. Nie potrzeba wymieniać Rousseau, Hobbesa, i innych głośnych tej teorii twórców.

Każdy widzi co warte wśród zapasów życiowych takie pojęcia

społeczeństwa i prawa; ale dopełniono jeszcze miarki teorią doczesności: z materialistycznych, wrzekomo naukowych systemów wypłynęły arcyrealne wnioski, które wszelkiemi sposoby głoszono i otrębywano po świecie: skoro nie ma duszy, nie ma Boga, nie ma i przyszłego życia, więc w tem życiu nasycić się musi paląca żądza szczęścia, człowiekowi wrodzona. Kiedy nie ma nic dla nas po za doczesnością, kiedy szczęście na doczesnych jedynie dobrach zależy, to musimy się niemi obdzielić, musimy bądź co bądź do tej czary się docisnąć, choćby braci traktując; musimy — i prawo do tego mamy, bo prawo do szczęścia jest najistotniejsze człowiekowi; własność, władza i inne prawa są tylko na to, żeby szczęściu człowieka służyły — zdruzgotać je, jeśli zawadzają.

I czemże pohamujecie ten pęd natury, *cette passion souveraine*, którąście przez waszą teorię doczesności fałszywym torem puścili? — Zasadami prawa? ale uczycie, że prawo, to wola większości; otóż większością my jesteśmy, my wydziedziczeni społeczeństwa, my głodni chleba i szczęścia, a naszą wolą jest równy podział. Zastawicie się porządkiem społecznym? teorią dobra ogólnego, dla którego jednostka swoje dobro poświęcać winna? Zrozumiałą byłaby ta mowa, gdyby to poświęcenie jednostki dla ogółu miało kiedyś przynieść jednostce szczęście, ale kiedy to dobro, ta uciecha doczesna jest oraz całem tej jednostki szczęściem, powód poświęcenia go dla ogółu jest niemożliwy, nie do pojęcia. I miliony jednostek w tem położeniu będące, słusznie podług waszych zasad wołają: *Manducemus et bibamus, cras enim moriemur*¹. Zastawicie się ostatecznie żandarmem, kaźnią, bagnetami? Ale głód szczęścia i na bagnety się odważy, boć i życie tylko dla szczęścia jest miłe, i mniej bagnetów na świecie, niż piersi szczęścia łaknących; a wręczcie czy warto było przez tysiąc lat ludzkość cywilizować, żeby ją w końcu jak hordeę dzikich bagnetami prowadzić?

Jaka przepaść od Grocyusza do Rousseau, od Rousseau do Marxa, a jednak racjonalizm protestanta — naturalizm genewskiego sofisty — socyjalizm demagoga, to są szczeble, po których rozum ludzki logicznie zstępował aż do przepaści. Teoria dziś uchodzi

¹ I. Corinth. XV. 32.

za rzecz najniewinniejszą, rości sobie prawo do bezwzględnej wolności, a jednak faktem jest, że każdy społeczny przewrót musi mieć początek w teorii rewolucyjnej. Teoria zaczyna w książce lub w auli naukowej, lecz stąd odbija się w opinii kraju, a z opinii wciela się w czyny społeczne. Teoria jest w życiu społeczeństw ogromnym czynnikiem. Jednak tu nie same teorie grały.

Obok rewolucyjnych doktryn, Leon XIII. stawia drugi czynnik złego sekciarstwa, tajne stowarzyszenia, które te doktryny, przynajmniej w drugiej ich fazie, wypielęgnowały i w życie ludów wpoły. Po gruntownych i źródłowych pracach Barruela, de Saint Albin, Eckerta, Deschamps, Pachtlera ¹, wiadomą jest rzeczą, że panteistyczne ubóstwienie ludzkości na wiek przed Heglem było esoteryczną nauką loży, wyobrażało się w jej mitach, wykladało się w jej „katechizmach“ — z tej nauki wywodzono wszechwładztwo ludu, braterstwo nie w Chrystusie, oświatę bez Boga, znane później hasła rewolucji francuskiej. Wiadomo też, że loża z niesłychaną wytrwałością i przebiegłością pracowała sposobami swoimi nad wcieleniem tej teorii w czyn i w życie społeczeństw. W tym celu systematycznie uderzano na Biblię, wysmiewano dogmat, stawiano pod pręgierz pamfletarstwa duchowieństwo i cały Kościół, a równocześnie podkopywano powagę tronów na uświęconych tradycjach opartą: tak zwani filozofowie XVIII. wieku byli w części hersztami, w części narzędziami loży.

Papieże rzymscy, mówi Leon XIII., ostrzegali, że te sekty i te doktryny brzemiennie są w społeczny kataklizm, sekty tajne wyklinali, poczynawszy już od Klemensa XII. i Benedykta XIV. doktryny zgubne wytykali i gromili je słowem prawdy, jak to uczynił głównie Pius VI. „wykazując w publicznych dokumentach bezbożny owych doktryn charakter i fałszywość, a oraz w apostołskiej pieczołowitości, przepowiadając przepaść, w jaką lud

¹ *Barruel*: Mémoires pour servir à l'histoire du Jacobinisme. *Alex. de St. Albin*: Les franc-maçons et les sociétés secrètes. Paris 1867. *E. E. Eckert*: Der Freimauer-Orden in seiner wahren Bedeutung. Dresden 1852. *Deschamps*: Les sociétés secrètes et la société. Avignon 1876. *Pachtler*: Der stille Krieg der Freimauerei gegen Thron und Altar. Freiburg in Br. 1873.

nędznie oszukany pędzono⁴. Ale ci, co stali u steru spraw ludzkich głuchymi byli na te nawoływania, „żadnym skutecznym środkiem nie zapobiegali szerzeniu tych zgubnych doktryn⁵, w zaślepieniu swoim schlebiali nawet ich koryfeuszom, dopuścili tym zasadom wkraść się w obyczaje, w szkołę, w prawodawstwo; „sam Stwórca i Zbawiciel ludzkości, mówi rzewnie Ojciec św., krok za krokiem ustępować musiał z uniwersytetów, z gimnazjów, oraz ze wszystkich spraw życia publicznego⁶. I tak sami rządzący, bezwiednie ale nie bezwinnie, rękę do tego przyłożyli, „że rodzaj ludzki do ostatniej prawie doszedł zguby⁷“.

Rewolucya francuska była tryumfem łoży. Chcę wierzyć, że jej okropności nie były w programie łoży; były one jednak fatalnym skutkiem wstrząśnienia społeczeństwa przez jej doktryny i agitacye; wynik zaś tej rewolucyi był czystem urzeczywistnieniem jej ideału (z czego się ona sama aż do przesady chełpi), t. j. że społeczeństwo i państwo jako takie stanęło na zasadach naturalizmu i panteizmu, a religia, Bóg i wszystko co ma z Bogiem związek, ze stosunków społecznych wykluczonem zostało. Religia schroniła się w sercu i sumieniu ludzi, ale społeczność z tych ludzi złożona została legalnie bez Boga, bez wiary, bez sumienia. Ten głęboki przewrót, który we Francyi kosztował tyle krwi, odbył się następnie w reszcie Europy cicho i nieznacznie, zapomocą doktrynerów i legistów, i pod wpływem przykładu Francyi; lekkie tylko wstrząśnienia potrzebne były do przetworzenia formy rządu w parlamentaryzm, w czem przewodzcy sekty, nie mieli na oku miłej wolności, ale ułatwienie zakażenia prawodawstwa¹.

Europa więc przybrała postać od sekty żadaną. Z tryumfu tego cieszą się i korzystają łącznie trzy potęgi: najpierw sama sekta, która do tego celu świadomie dążyła; potem ci, którzy po zepchnięciu dziedzicznych wyższości, miejsca ich zajęli i na

¹ Na dowód, że rewolucya r. 1848 była dziełem tajnych towarzystw, wystarczy zestawić daty wybuchów, które następowały dzień po dniu w różnych punktach Europy, jak wystrzały petardów jedną nicią prochową połączonych, i tu więc widocznie była niepodziemna.

nich karnią swą chciwość i ambicję; wreszeie i ci, co nie mają interesów moralnych a na każdym przewrocie materyalnie zyskują — ci królowie giełdy, których Krasiński w „Niedokończonym“ na szczycie wystawy pod złotem słońcem posadził.

Ale nie długo tej pociechy. Dzieło tej masońskiej sekularyzacji jeszcze nie było skończone, a już się pokazywało, że społeczeństwo na tych fałszywych podstawach istnieć nie może, już je toczyć poczynął robak socjalizmu. Masonerya i drugie dwie potęgi wspomniane nie chciały socjalizmu; przeciwnie chciały one utrwalenia swego dzieła t. j. ustroju sekularyzowanego społeczeństwa; ale socjalizm przyszedł jako naturalne następstwo tego nienaturalnego ustroju: władza bez szacunku, prawo bez wpływu sumienia, rodzina bez uświęconego związku, szkoła bez katechizmu, bogactwo odcięte od tradycyi obowiązku, nie wspierające ale wyzyskujące nędzę, ubóstwo odcięte od religijnej otuchy, ciężące na masach jeszcze nędzniejszych moralnie niż materyalnie — z takiej budowy musiał się taki grzyb wyrodzić. Socjalizm przyszedł jako kara boża za naruszenie praw natury od Boga postanowionych. W drzewku, w lichej trawce prawa ich natury uznajemy, pielęgnując je, staramy się te prawa poznać i uszanować, i do nich się stosować, pewni, że inaczej drzewko uschnie, trawka zwiejdnieje. — A organizm organizmów, społeczeństwo ludzkie, nie miałoby mieć swych praw naturalnych! i możnaby je dowolnie i bezkarnie przetwarzać! Więcej powiem, socjalizm przyszedł także jako lekarstwo boże dla społeczeństwa, lekarstwo bolesne, ale konieczne. Gdy cierń utkwi w ciele, następuje zagnienie i suppuracja; proces to bolesny, ale to środek, którym lecznicza siła natury ratuje organizm i wrogi pierwiastek wyrzuca. Otóż podobnie socjalizm jest suppuracją, którą żywotna siła społeczeństwa instynktowo wyrzuca z siebie jad bezbożnego ustroju. Jest to straszne cierpienie społecznego organizmu, pałaca gorączka, ale mniejsze zło aniżeli pozostanie społeczeństwa w obecnym stanie anormalnym, bezdusznym: gorączka ta może być tylko przejściową, a bez niej ten stan mógłby zostać chronicznym.

Otóż cała diagnoza socjalizmu; streszczam ją w kilku słowach: dwa pierwiastki złego: zgubne doktryny i tajne sekty. Do-

ktryny te poczynają od buntu przeciwko wierze: z protestantyzmu racjonalizm, z racjonalizmu teoria „kontraktu społecznego“ odbierająca społeczeństwu podstawę moralną, i „teoria doczesności“ odbierająca moralności wartość. Pod wpływem tych doktryn, przy knowaniach sekt, a wykluczaniu zewsząd wpływu Kościoła, społeczeństwo rozstraja się, idzie do zguby. Dwa peryody w tym rozstroju: najpierw przewrót polityczny, który sekularyzuje państwo, stawiając go na podstawie kontraktu społecznego, — i nazywa się liberalizmem; następnie przewrót socyalny, naturalny skutek pierwszego, który dąży wprost do zniszczenia państwa i społeczeństwa — i nazywa się socyalizmem.

Wobec takiej diagnozy? jakież środki podaje lekarz narodów. Ponieważ pierwszą przyczyną złego, pierwszą trucizną, była rewolucyjna o rzeczach społecznych nauka; pierwszym lekarstwem, które Kościół podaje, jest nauka prawdziwa, życiodajna. „*Kościół Boga żywego, który jest filarem i utwierdzeniem prawdy*¹ takie podaje nauki i przepisy, jakimi pokój społeczny najbardziej się ustala i zgubny chwast socyalizmu z korzeniem wyrwany zostaje“. Kodeksem tej nauki jest Ewangelia. Nauka socyalna Ewangelii jest tak zachwycająca, doskonała, widocznie bosko-ludzka, że sami socjaliści usiłovali ją sobie przywłaszczyć; ale czytają ją na odwrót, jak żydzi stary testament. Oni prawią o równości ludzi w prawach doczesnych, skąd wywodzą: „że ani majestatowi nie należy się cześć, ani posłuszeństwo prawom, chyba tym tylko, które sami dowolnie zatwierdzili“. Ewangelia zaś mówi o równości w synowstwie Bożem i w prawie do nieba, doczesną zaś nierówność prawa i władzy od samego stwórcy natury wywodzi, *od którego wszelkie ojcostwo na niebie i na ziemi jest nazwane*². Jak kwiat z łodygi tak z natury ludzkości wynika społeczeństwo, a z natury społeczeństwa wynika władza z zasobem istotnych praw do niej należących. Jak więc Bóg, stwórczytel rośliny, jest twórcą jej kwiatu, tak samo Bóg stwórczytel ludzkości jest twórcą społecznej władzy; i tak samo twórcą jest innych praw i nierówności socyalnych, które podobnie z familii i z innych naturalnych stosunków prawem na-

¹ I. Timoth. III. 15.

² Ephes. III. 15.

tury wynikają. W tem to znaczeniu mówi Pismo: *Nie masz zwierzchności jedno od Boga, a które są, od Boga są ustanowione*¹.

Więc podług socyalistów egalitaryzm w naturze, wszelka zaś hierarchia sztuczną i dowolną; podług Ewangelii i Kościoła hierarchia społeczna jest prawem natury i wolą Bożą; każdy osądzić może, co z dwojga lepiej stoi, co głębiej w sumienia wnika.

Stąd Kościół śmiało żąda od podwładnych szacunku władzy i podległości, nietylko materyalnej, ale sumiennej: *Przeto kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu... Bądźcie więc poddani z potrzeby, nietylko dla gniewu (z bojaźni kary), ale też dla sumienia... komu podatek, podatek, komu bojaźń, bojaźń, komu cześć, cześć*². Czy to za wiele żądać? Czy może takie poddanie się upokarza? Sądzę w rzeczy samej, że jeśli co poniża człowieka, to właśnie materyalne poddanie się, bez wyższej pobudki, ugięcie karku przed siłą, wbrew przekonaniu — tak słucha niewolnik; a jeśli co podnosi, uszlachetnia, godnem człowieka czyni a zarazem utrwała i sankcyonuje to posłuszeństwo dla prawa i władzy, to tylko przekonanie, że się w tem Bogu winną cześć oddaje i pełni jego wolę w porządku świata objawioną. Każde posłuszeństwo bez względu na Boga jest służalstwem i prawie bałwochwalstwem, bo Bóg jeden jest przyrodzonym człowieka Panem. Każde takie posłuszeństwo jest chwiejnem i niestałym, bo nie wnika w sumienie, które jest ostateczną czynów ludzkich sprężyną.

Z drugiej znów strony, z tą samą siłą logiki i mocą powodów, Kościół naucza piastunów władzy o odpowiedzialności z władzą połączoną: *Nadstawcie uszu wy, którzy władacie ludem... gdyż dana wam jest władza od Pana i moc od Najwyższego, który się pytać będzie o uczynkach waszych i myśli badać się będzie... gdyż on uczynił małego i wielkiego, i jednako o wszystkie pieczę ma: ale nad mocniejszym mocniejsza ręka wisi*³. Wiemy z dziejów, że i chrześcijańscy monarchowie dopuszczali się gwałtów i bezpra-

¹ Rom. XIII. 1.

² Ibid.

³ Sap. IV. 3—8.

wia, ale czyż nie uczy także historia, że kiedy ster narodu wpada w ręce ludzi bez wiary, bez żadnego poczucia odpowiedzialności przed Bogiem, a z rzekomem pełnomocnictwem od ludu, to władza taka w jednym miesiącu zakasuje cały wiek tyranii.

Oznaczywszy i uzasadniwszy w ten sposób prawa i obowiązki z jednej strony rządzących, z drugiej podwładnych, Kościół rozgranicza je zasadą: *trzeba więcej słuchać Boga aniżeli ludzi*¹. Utarta dziś nauka nie zna granicy praw: wszystko co ciało prawodawcze ustanowi, jest u niej prawem. W myśl Kościoła przeciwnie, prawem jest tylko to, co od prawowitej władzy pochodząc z prawem natury się zgadza; po za tem ani prawa ani obowiązku nie ma. Pierwsza teoria prowadzi logicznie do socjalizmu: bo czemużby nie można lada dzień legalnie skasować własności, małżeństwa, religii? druga uznając prawa państwa, zastrzeża oraz nieodwołalnie zakres praw poddanego. W pierwszej teorii jestem sługą na ślepo poddanym możliwym kaprysom większości, w drugiej rządzę się oświeconem sumieniem i pod jego kontrolę nawet prawo poddaję.

Po tej nauce o społeczeństwie politycznym, kreśli Leon XIII. zasady katolickie o rodzinie. Cudny ten utwór natury, misterny związek a oraz podwalina społeczeństwa, główny warunek doczesnego szczęścia człowieka, rodzina potrzebuje spójni delikatnych a mocnych, jakie tylko Bóg i wiara dać mogą. To też małżeństwo, związek rodziny, uświęca się i umacnia w Kościele najświętszą jaką jest na świecie i najmocniejszą pieczęcią, pieczęcią sakramentu, skąd nietylko obowiązek lecz i łaska Boża do spełnienia obowiązku płynie. A że nietykalność tego węzła jest, jak historia aż nadto poucza, warunkiem bytu rodziny i całego społeczeństwa, przeto na jego straży stoi słowo Pańskie: *Co Bóg połączył, tego niechaj człowiek nie rozłącza* — ani ten, któremu rzeczono: *cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie*. Dalej stosunkowi między małżonkami stawia się za wzór mistyczny związek Chrystusa z Kościołem: krótkie a potężne słowo, które los kobiety w świecie odmieniło. Stosunek wzajemny rodziców i dzieci określa się i uświęca tem uroczem IV-em przykaza-

¹ Actus Apost. V. 29.

niem, które jest *pierwszem z obietnicą*¹. Na około zaś rodziców i dzieci grupuje się w myśl Kościoła czeladź, nie na samym kontrakcie pracy i płacy, ale wcielona poniekąd w rodzinę, osłonięta rąbkami tarczy IV-go przykazania, związana z rodziną obowiązkami wierności i opieki, zbliżona do ojcowskich i synowskich obowiązków.

Charakterystyczną jest rzeczą, że nauka z „kontraktu społecznego“ pochodząca, stawia zwykle kwestye społeczne w sposób oderwany: jak n. p. „stosunek pracy do kapitału“; Kościół zaś stawia je konkretnie: stosunek robotników do patrona. Przyczyną pierwszej pozycyi jest, że sama ta nauka jest abstrakcją od natury oderwaną, a skutkiem takowej, że się traci z oczu wrodzone stosunków ludzkich prawa, bierze się produkcję za cel a ludzkość za środek i kończy *in absurdo*. Przeciwnie stawianie kwestyi konkretnie pochodzi z poznania, że człowiek jest punktem wyjścia i prowadzi do rozumienia jego praw i uwzględnienia jego potrzeb. Z takiego pojęcia rzeczy wykwitają te wzorowe pracownie, gdzie tysiące robotników czują się w domu, jak starzy słudzy w patryarchalnych rodzinach, gdzie się dba o ich dusze i ciało i rodzinne stosunki, gdzie bez przymusowych asekuracji przyucza się ich do oszczędności, doprowadza do własności; w dniach bezrobocia nie wyrzuca się nikogo na bruk, a w chwili napływu pracy nie mnoży się robotników by ich znów nazajutrz bez chleba puścić; ale czeladź z patronem dzielą dobrą i złą dolę. Takie chrześcijańskie pracownie w XIX. wieku do wyjątków należą, w ostatnich jednak czasach, dzięki zabiegom gorliwych synów Kościoła, rozmnożyły się one już w kilku krajach, a szlachetni patronowie odnoszą nie tylko błogosławieństwa swych ludzi i cześć społeczeństwa, ale też materialny plon, tem pożądanyszy, że nie nagły a trwalszy.

W związku z tem pojęciem państwa, rodziny i pracowni stoi pojęcie katolickie własności, które Leon XIII. wyklada. „Kiedy socjaliści uważają prawo własności za ludzki wymysł, przeciwny przyrodzonej ludzi równości“ — co najlogiczniej wnoszą z teoryi filozofów o równości naturalnej i o pochodzeniu wszel-

¹ Ephes. VI. 2.

kiego prawa od zbiorowej woli ludzi — „Kościół nierównie mądrzej uznając potrzebę nierówności, nakazuje prawo własności, z samej natury pochodzące, nietknięte każdemu zostawić... tak dalece, że prawem przyrodzonym ani pożądać cudzego dobra nie wolno“. Prawo z samej natury pochodzące, mówi Papież, bo z natury człowiek jest zdolny do własności: najprzód własną pracą wkładając coś z siebie w jakąś część przyrody, czyni tę część swoją, a następnie dobrowolnymi aktami wymiany, darowizny, spuścizny, tę własność innym przekazuje i od innych nabywa: jedno i drugie pod sankcją prawa natury, które waruje tak rozporządzanie owocem własnych czynów jak i nietykalność zawartych umów, a tem samem nabytą własność uświęca. Z natury też ludzkość potrzebuje własności i nierównej własności, inaczej, jak już tysiąc razy wykazano, żadna cywilizacja nie jest możebną, a jedynym bodźcem pracy ludzkiej zostaje bizun i głód.

Kościół więc stawia własność na najgłębszym i najstalszym fundamencie prawa natury, zasłania ją najmocniejszą tarczą przykazania bożego. Konserwatyzm Kościoła jest niezachwiany. Ale nie jest to wcale ów konserwatyizm bezwzględny i brutalny, co mówi posiadaczom: cieszcie się prawem „użycia i nadużycia“, a ubogim: załamujcie ręce w rozpacz, taki jest wyrok losu. To pogańskie pojęcia własności i ubóstwa. Własność w myśli Kościoła jest prawem połączonym z obowiązkiem religijno-socyalnym, jestto szafarstwo dóbr od Boga poruczonych, dla dobra ludzkości. I tu znów historia świadczy, że takie pojęcie własności w tych społeczeństwach, i w tych jedynie zakwitło, które Kościół wychował i mimo gęstych ludzkich usterek wielkie i trwałe przyniosło owoce.

Z drugiej strony ubóstwo, po katolicku pojęte, nie jest stanem bezwzględnie gorszym od bogactwa. Kościół wprawdzie nie mówi ubogim: dobra bogatych są wasze — ale mówi im: są to dobra Boże, nie ślepym losem ale z woli Bożej bogatym dane; wasze zaś jest Królestwo niebieskie; wam jako wolnym od najcięższego obowiązku łatwiejsze wnieście przez fórtkę niebieską. I co tylko jest pociech w religii, co tylko jest pieczołowitości w macierzyńskich piersiach Kościoła, to głównie na ubogich, jako na ulubieńcach jego dzieci spływa.

Wreszcie, aby dopełnić tej najtrudniejszej „roźnojedni“ stanów, staje między nimi Bosko-ludzka postać Chrystusa: bogatym sam siebie przedstawia głodnym i nagim w osobie bliźnich głodnych i nagic, i mówi: *Coście jednemu z tych małych uczynili, mnieście uczynili*. Ubogim okazuje się w stajence i na sianie i mówi: *Będąc bogatym stałem się ubogim dla was*¹, choćby więc wszyscy wami gardzili, ja wami nie wzgardzę, choćby was wszyscy opuścili, ja co karmię ptaszęta i lilie polne odziewam, ja was nie opuszczę.

Taka jest socyalna teoria Kościoła: i bogactwo i ubóstwo mają w niej swoje miejsce, swą niezbędną rolę, ale jedno z drugim zamiast walczyć i wyzyskiwać się, kojarzy się węzłami pięknych, ludzkich obowiązków, które będąc obowiązkami nie tracą jednak charakteru szczodroty i wdzięczności.

Otóż więc pierwsze lekarstwo, które Leon XIII. podaje społeczeństwu przeciwko truciznie socyalistycznych doktryn: nauka społeczna Kościoła katolickiego. Nauka ta jest potężną mocą prawdy, mocą praktyczności, mocą doświadczenia kilkunastu wieków i świadectwa wszystkich narodów, które ona ucywilizowała. Nauka ta jest jedyną do przeciwstawienia socyalizmowi, bo wobec wszelkich innych teorii on ma za sobą siłę logiki. Jak można było zauważyć w powyższej osnowie, dwie są tylko w gruncie nauki społeczne: jedna, co wychodzi z prawa natury, druga z kontraktu socyalnego; jedna buduje na akcie twórczym woli Bożej, druga na woli ludzkiej; pierwsza prowadzi logicznie do chrześcijańskiego pojęcia społeczeństwa, druga idzie logicznie do socyalizmu; liberali, którzy, jak zauważył Donoso Cortes, wychodzą z tych samych zasad co socjaliści, a chcą trafić do porządku społecznego jak chrześcijanie, są nielogiczni i stratowani być muszą w pochodzie myśli ludzkości. Nauka wreszcie Kościoła, prócz prawdy uderzającej rozum, ma powagę zniewalającą wolę i sumienie, ma niezrównany majestat Objawienia Bożego. Niektórym ludziom powierzchownym się zdaje, że dziś wpływ Objawienia mało znaczy w świecie, ale głębsi myśliciele, nawet nie wierzący, uznają, że jeszcze atmosfera społeczna wszędzie jest

¹ II. Corinth. VIII. 9.

pełna chrześcijańskich emanacyi — że co jeszcze stoi w Europie, to się dotąd po wielkiej części na chrześcijańskim gruncie opiera¹. Są w martwej przyrodzie straszne potęgi, które mądrość Stwórcy innemi siłami zrównoważyła; a jeśli kiedy niebaczny człowiek usuwa tę zaporę groźny, następuje kataklizm. Takimi potęgami w społeczeństwie są żądze i namiętności ludzkie, któreby rozniosły państwo, własność, rodzinę, małżeństwo, a główną siłą, co je w jakiej takiej trzyma równowadze, jest powaga wiary. Kto obliczy moc i wpływ tej grobli? Kto się podejmie zastąpić ją nową konstrukcją?

W końcu Kościół ma nietylko naukę do przeciwstawienia socyalizmowi, ale ma swoje półmilionowe duchowieństwo do szerzenia i wpajania tej nauki, ma swe zakony i instytucje miłosierne, które nietylko miliony łez suszą, miliony iskier zdolnych pożar socyalny rozniecić gaszą, ale też niezrównanem zaparciem się i poświęceniem dla bliźnich, wieczny kłam zadają materyalistycznym i socyalistycznym teoryom egoizmu, wiecznie światu dowodzą, że miłość ludzi nie jest chimera, że ludzkość nie jest skazana na wilcze rozszarpywanie się, ale może żyć miłością, zgodą i wzajemnem poświęceniem. Kościół ma jednym słowem swą katolickość, swój organizm wszechprzysłomny na kuli ziemskiej, w którego żyłach płynie odżywczy źródło prawdy, miłości i łaski. Z takimi to zasobami, z takimi środkami Kościół ofiaruje się za lekarza chorej ludzkości. Kiedy dziś, co go państwa za wroga co go rugują ze szkoły i tylu innych instytucji przez niego założonych, co wszelkiemi sposobami odbierają mu wpływ i powagę, Kościół jeszcze tyle może do powstrzymania wzburzonej fali, czego by nie dokazał, gdyby inaczej względem niego postępowano, gdyby szczerze przyjmowaną rękę, którą podaje. Odepchnąwszy zaś Kościół i jego naukę, czegoż się ludzkość może spodziewać? słusznie mówi Leon XIII., że albo wrócić musi do przedchrześcijańskiego ustroju z niewolnictwem i tyranją, albo rzucić się w zamęt socyalistycznej walki wszystkich przeciwko wszystkim, której

¹ Ob. głębokie o tem poglądy w dziele W. Ol. Wallock'a *Is live worth living?*

już dziś, w miarę jak się społeczeństwo odchrześcijaniać poczyna, groźne widzimy przegrywki¹.

Wobec tego stanu rzeczy ślepym być trzeba, żeby tej prawdy nie widzieć. Śmiało tedy Ojciec św. w końcu encykliki odwołuje się do samego przekonania ludów i panujących. „Skoro wiedzą, mówi, że do zwalczenia zarazy socjalizmu Kościół taką posiada moc, jakiej nie mają ludzkie ustawy, ani zakazy władz, ani oręż żołnierzy, oby wrócili Kościołowi warunki bytu i wolność potrzebną, by zbawienny swój wpływ na dobro całej społeczności ludzkiej wywierał!“

Kończąc ten pogląd, który mi pod piórem mimowolnie urósł, wracam do założenia. W zawiązującym się sojuszu rządów przeciwko socjalistycznej anarchii pojawiło się jakieś poczucie potrzeby Papieża w tem dziele, późne rozumienie lekcyi, którą im Papież przed 6 laty dawał. Najmędrszym krokiem dokonanym tego sojuszu jest jakieś zbiorowe zbliżenie się monarchów do stolicy św. Realny zaś, trwały i prawdziwie zbawienny tego sojuszu rezultat nie znajdzie się ani w środkach policyjnych, ani w jakichś organicznych ustawach, ale znalazłby się jedynie w szczerem pojednaniu się z Kościołem i rozwiązaniu mu rąk dla odrodzenia społeczeństwa.

Czy to nastąpi w rzeczy samej? — Nie łudzimy się tą nadzieją, ale stoimy przy dylemie Leona XIII.: albo pojednanie z Kościołem, chrystyanizm społeczny, albo socjalizm — jak chrystyanizm odepchną, socjalizm zwycięży, zwycięży zaś nie na to aby został, bo on stać nie może, ale żeby wszystko do gruntu zburzył. A wtedy nieśmiertelny Kościół, który po zburzeniu cywilizacyi rzymskiej potrafił z jej gruzów i z brył barbarzyństwa, pierwsze społeczeństwo chrześcijańskie zbudować, potrafi z tych nowych gruzów odbudować drugie.

4 lutego 1884.

X. M. Morawski.

¹ Przytaczam te uwagi godne słowa Leona XIII: „*Ea ratione relicta aut posthabita, alterutrum contingat necesse est, ut vel maxima humani generis pars in turpissimam mancipiorum conditionem relabatur, quae diu penes ethnicos obtinuit; aut humana societas continuis sit agitata motibus, rapinis ac latrociniiis funestanda, prout recentioribus etiam temporibus contigisse dolemus.*“

Klemens książę Metternich.

1775—1859.

(Ciąg dalszy).

IV.

Austria upadała pod brzemieniem następstw czterech nie-szczęśliwych wojen i ostatniego, tak drogo okupionego pokoju. „Monarchię, mówi Metternich, otaczała żelazna obręcz państw, zostających pod bezpośrednim zwierzchnictwem Napoleona, lub pod przeważnym wpływem Francji. Odcięta od Adryatyku, pozbawiona komunikacji i swobody powiększenia własnej siły zbrojnej, Austria nie była w stanie kroku naprzód uczynić. Rodzicielką nieszczęść Europy wydawała mi się rewolucya socyalna, dopełniona we Francji w 1789, z której loicznym następstwem wypłynął despotyzm militarny, wcielony w Napoleonie. Wojny lat dwadzieścia trwające, uchroniły Austryę i Niemcy od zarazy teorii socyalnych, ludy bowiem niechętnie przyjmują nauki, przez obcych z bronią w ręku opowiadane; z drugiej strony Napoleon trzymał na wodzy anarchię we Francji i we wszystkich krajach jego żelaznem ramieniem uciskanych. Odłożyłem przeto na drugi plan kwestye społeczne, a całem mojem staraniem było zachować nietknięte jądro oporu, jakim pomimo wszystkich klęsk Austria być nie przestała. Napoleon uniesiony żądzą opanowania stałego ładu, przekroczył był już granicę możliwości: o tem nie wątpiłem; przewidywałem także, że on i jego przedsięwzięcia nie ujdą zguby. Kiedy i jak stać się to miało, było dla mnie zagadką. Sumienie

wskazywało mi drogę: biegu wypadków nie przyspieszać i nie pozabawiać Austrii możliwości dźwignięcia się z upadku, gdy siła rzeczy ku temu sposobność nadarzy“.

Gentz, mianujący się wówczas naczelnikiem opozycji, a właściwie będący echem pesymistów, gorszył się „obojętnością i lekomyślnością, z jaką Metternich przyjął dymisyę Stadyona i podjął się tak niezmiernego ciężaru, w tak krytycznej chwili“. Z wszystkiego, co Metternich mówi o sposobie przyjścia swego do steru interesów zagranicznych wnosić trzeba, że bardzo niechętnie przyjął na siebie odpowiedzialność rzeczywiście wielką i że ją przyjął w skutek wyraźnej woli monarchy. Następstwa okazały, że cesarz Franciszek nie mógł lepszego uczynić wyboru.

Cesarz Franciszek nosił w sobie przymioty, niedostatki i wady rodu Habsburgów, z pokolenia na pokolenie dziedzicznie przechodzące. Dom austriacki był i pozostał jedynym i odrębnym w rzędzie rodzin panujących w Europie. Od małego począwszy, polityką częściej niż mieczem, układami i małżeństwami, dobił się pierwszorzędnego w świecie stanowiska. Niezwiązany z żadną narodowością i z żadnym okręgiem terytoryalnym, niejako kosmopolityczny, garnął pod swe berło ludy najrozmaitszego pochodzenia, języka i obyczaju; nie kusił się o zcentralizowanie władzy, do czego nie miał ani czasu, ani siły, ani własnego pierwiastka organicznego: panował, lecz nie rządził, wszystkie usiłowania skupiał na polu międzynarodowych stosunków i europejskiej polityki. Niepowodzenia, uszczerbki terytoryalne, jakkolwiek dotkliwe, nie podkopywały istnienia domu i jego w Europie stanowiska. Wyłącznie oddany wielkiej polityce, wyrobił sobie własną tradycję rodową, nabrał niezrównanej zręczności, nauczył się być wytrwałym, niezrażać się przeciwnościami, dążyć niezmiennie do jednego celu. Czego dokazać była w stanie tradycya i wytrwałość habsburgska, pokazała Marya Teresa. Wyjątkowe talenta rzadkie bywały między Habsburgami, odznaczeni się natomiast ambicyą i dumą, siłą biernego oporu, zaufaniem w siebie i wiarą w moc rodowej polityki. Franciszek I. wiedział i czuł kim był i co był winien nazwisku; człowiek znikał w monarsze, obowiązek względem domu i państwa tłumził ludzkie uczucia i wszelkie inne pobudki. Religijny, korny w stosunku do Stwórcy, na świat

i ludzkość z góry poglądał. Tępego umysłu, flegmatyk, pedant, skromny w sposobie życia i oszczędny do skąpstwa, z jednakim spokojem znosił prywatne i publiczne ciosy. Gdy mu żona umierała, — miał ich trzy, — szukał innej; gdy mu przegraną bitwę zwiastowano, myślał, jak układami gorsze odwrócić klęski. Godność w postępowaniu i czystość niezaprzeczona charakteru pokrywały wiele niedostatków; zdrowy rozsądek, chłodna rozwaga i bierność niejeden błąd naprawiły. O wielkie rzeczy nie kusił się, rzekł się dobrowolnie tytułu cesarza niemieckiego i nigdy więcej za tą godnością się nie upędział; poprzestawał na tem, co miał nadzieję utrzymać i tego bronił z wielką konsekwencyą. Inny na jego miejscu, mając do czynienia z Napoleonem, byłby Austryę zgubił nieomylnie. Uparcie przywiązany do zasady pełności władzy monarchicznej, niemniej uparty w przywiązaniu do zaprowadzonego porządku wewnętrznego, nienawidzący zmian, reform najkonieczniejszych, osobiście wglądał we wszystko, ministrów nie szukał z latarnią, pewien będąc, że czy lepszego czy gorszego weźmie, to w końcu wyjdzie na jedno. Nowych twarzy nie lubił, niechętnie rozłączał się z każdym do kogo nawykł, pobleżał wielu rzeczom, tylko nie znosił naruszenia form obowiązujących; chciał wiedzieć o wszystkim, ale ministrom dużo zostawiał swobody.

Znajomość Francyi i Napoleona stanowiła główny tytuł Metternicha do teki spraw zagranicznych; drugim tytułem była osobista ku niemu sympatya Napoleona. Rzecz dziwna: Napoleon, co tak zapamiętałe ścigał swoich przeciwników, co Steina z Prus wypędził i tylu innych zdala od spraw trzymał, na Metternichu wcale się nie poznał; miał do niego słabość; nominacyę na ministra spraw zagranicznych najchętniej przyjął, choć jedno słowo wystarczało, żeby tego człowieka na resztę czasu od urzędu odsunąć.

Cesarz Franciszek i Metternich mieli jedne zasady, jeden sposób myślenia, wspólne widoki, podobne nawyczki, a wprost przeciwne wady. Po dwukrotnej, niefortunnej wyprawie na Napoleona Metternich sparzony na zimne dmuchał, doradzał ostrożność, co odpowiadało usposobieniu cesarza. Zanim jeszcze cesarz zaczął zbierać codzienne niemal dowody bystrości i zręczno-

ści ministra, Metternich mu dogadzał wzięciem się do rzeczy. Pedantyzm, zwyczaj wchodzenia w szczegóły, obarczały cesarza nadmiarem pracy; Metternich ułatwiał mu dzienne zadanie treściwym układem i ścisłością w konkluzjach. Cesarz był skąpy i drażliwy w sprawach pieniężnych, Metternich szczodry, lecz umiejący wynajdywać formę, pod którą wydatek mniej raził. Cesarz bywał uparty, Metternich nigdy się nie upierał; zostawiał czasowi, co nie mógł na razie przeprowadzić i w końcu cesarza nieznacznie przez Rubikon przeprowadził.

Współcześni i najbliżsi pomawiali Metternicha o lekkość charakteru, egoizm, zamiłowanie własnego spokoju i wygod, odrazę do pracy, brak energii i wytrwałości, nieszczerłość w postępowaniu, upodobanie w intrygach. Co do osobistego charakteru, trudno Metternicha w kilku słowach odmalować. Każdy człowiek jest bardzo skomplikowaną machiną, a organizacja Metternicha niezwykle była skomplikowana, misterna, elastyczna, harmonijna w różnorodności. Wielki pan z rodu, położenia i nawyknień, spokojnego temperamentu, zdrowego i jasnego umysłu, czuł się równym z najwyższymi, zaszczytów nie pragnął, splendorami nie zaślepiął, władzy nad miarę nie miłował i muru głową nie lubił rozbijać. Wcześniej wciągnięty w wir spraw europejskich, miał sposobność przekonać się dotykalnie, ile znaczy ludzka mądrość i jak rzadko wypadkami kieruje. Szedł obraną drogą, nie pytając o zdanie krytyków, obchodząc zapory trudne do przeskoczenia cierpliwie; nigdy się nie spieszył i zwykle na czas stawał. Trzy miał żony, jak jego pan najjaśniejszy; pierwszą pojął bardzo młody, żeby się ożenić; drugą, Antoninę Leykam, z miłości; trzecią, którą także o kilka lat przeżył, w późnym wieku, kiedy o namiętnościach mowy być nie mogło. Z ogłoszonej korespondencji widać, jak był przywiązany mężem i ojcem, jak lubił i cenił rodzinne ognisko. Pomimo to, za młodu, a młodość u niego długo trwała, nie gardził przelotnymi stosunkami, z lekkich obyczajów damami wielkiego świata. W najgorętszej porze, między zawiązaniem koalicji i kampanią 1814, wprzągnął się w rydwan księżny Sagan, który nie sam jeden ciągnął; *la maudite femme*, jak ją Gentz nazywa, zajmowała go tyle, co sprawy publiczne. Że obowiązków urzędu nie zaniedbywał, świadczy historia i olbrzy-

nia spuścizna pisana, jaką po sobie zostawił. Przy całej łatwości do pracy, jaką w rzadkim stopniu posiadał, czasu, wiele czasu potrzeba było, żeby myśli zgromadzić, uporządkować, na papier przelać. Gdyby Metternich nie był niczem innym, jak tylko „utalentowanym publicystą“¹, pozostanie mu jeszcze zaleta, że był człowiekiem niepospolicie pracowitym. A na samem pisaniu wszystko się nie kończyło. Trzeba podziwiać sztukę, z jaką umiał czasem rozporządzać, żeby tylu obowiązkom urzędowym i towarzyskim zadość uczynić.

W polityce miał zasady, co więcej zasady prawdziwie chrześcijańskie. W późnym już wieku, w autobiografii, skreślił definicyę polityki, dyplomacyi i obowiązków męża stanu. „Polityka jest umiejętnością żywotnych interesów państwa. Odosobnione państwa nie istnieją w rzeczywistości, znajdujemy je tylko w dziejach świata pogańskiego i w abstrakcyach mniemanych filozofów. Nie należy przto nigdy spuszczać z oka stowarzyszenia państw, będącego istotnym warunkiem bytu nowoczesnego świata. Każde państwo ma, oprócz własnych interesów, interesa wspólne z całością lub z sąsiadami. Podstawne prawdy umiejętności politycznej wypływają ze znajomości prawdziwych interesów wszystkich państw, których byt indywidualny znajduje rękojmię bezpieczeństwa w interesie powszechnym. Widoki państw egoistyczne, którym bieżące wypadki nadają często wielką doniosłość, mają podrzędną tylko i względną wartość. Historia uczy, że ilekroć interes wyłączny jakiego państwa znajdzie się w sprzeczności z interesem zbiorowym i powszechnym, który poświęcony zostanie pierwszemu, takie państwo przechodzi przez chorobliwe przesilenie, którego rozwój i wynik stanowi o jego dalszym losie, upadku lub odrodzeniu. Charakterystyczna cecha nowożytnego świata, odróżniająca go od starożytnego, tkwi w dążeniu państw do wzajemnego zbliżenia i utworzenia rodzaju towarzyskiego ciała, spoczywającego na podstawie wspólnej społeczności ludzkiemu, w łonie chrześcijaństwa powstałemu. Podstawą taką nie jest co innego, jak reguła księgi nad księgami: Nie czyni drugiemu, co nie chcesz, żeby tobie czyniono.

¹ Odkrycie to zrobił p. Jarochowski i ogłosił w *Atheneum*.

„Reguła powyższa przeniesiona do stosunków międzynarodowych, nazywa się wzajemnością i uczciwością w postępkach. W starym świecie, polityka zamykała się w odosobnieniu i w egoizmie, miarkowanym zaledwie ludzką roztropnością. Prawo odwetu wznosiło wieczne zapory i wzniecało wieczne niezgody między społeczeństwami. Na każdej karcie starożytnej historii znajdujemy ślady złego, jakie sobie wzajemnie wyrządzano. Społeczeństwa nowożytne okazują przeciwnie dążności do zastosowania zasady solidarności i równowagi międzynarodowej, przedstawiają obraz wspólnych usiłowań, w celu złamania przewagi i przemocy jednego. Treścią polityki za dni naszych, jest oparcie stosunków międzynarodowych na zasadzie wzajemności, pod osłoną poszanowania praw nabytych i zaprzysiężonej wiary; dyplomacya zaś jest codziennem stosowaniem polityki w życiu. Między jedną a drugą zachodzi podobna różnica, jak między umiejętnością i sztuką.

„Zarówno jak ludzie naruszają codziennie prawa cywilne, tak i państwa gwałcą reguły rządzące stowarzyszeniem państw. Winy ludzi i winy państw podlegają jednym i tym samym prawom, jednym i tym samym karom. Wobec prawd tych, cóż warta polityka egoizmu, samowoli, niskiej ambicyi, taka szczególnie, co upędza się za zyskiem tylko, z naruszeniem elementarnych prawideł sprawiedliwości, co sztydzi z wiary zaprzysiężonej i jednym słowem, opiera na sile i zręczności? Z tego wyznania wiary, łatwo wniesć, jaką mieli w oczach moich wartość ludzie tacy, jak Richelieu, Mazarin, Talleyrand, Canning, Capo d'Istria, Haugwitz i tylu innych, mniej albo więcej sławnych polityków. Zdecydowany będąc nie iść w ich ślady, a nie mając nadziei przetarcia sobie drogi, zgodnej z mojem sumieniem, tem mniej pragnąłem rzucać się w odmęt wielkich spraw publicznych, gdzie prędzej mogłem zgubić się materyalnie, niż dojść do celu. Upaść moralnie, nie obawiałem się, albowiem każdy człowiek publiczny zachowuje zawsze możność ustrzeżenia się od takiego niebezpieczeństwa: ustępując z urzędu“.

Z dalszego ciągu niniejszego opowiadania okaże się, o ile kanclerz wiernym pozostał w życiu, głoszonym przez siebie maksymom. Tutaj wypada tylko wskazać miarę, według której sądzić należy wartość polityki i człowieka publicznego.

Polityka, w najszerszem znaczeniu, jest pieczę nad duchowem i materyalnem dobrem społeczeństw, milionów istot ludzkich; nie może przeto mieć innego celu, jak cel przez Boga samego ludzkości objawiony; nie może podlegać innym prawom, jak tym, które Bóg człowiekowi i ludzkości nadał. Rozdział między polityką i moralnością religijną, spełniony pod natchnieniem namiętności ludzkich, srodze mści się na narodach i na Europie. Zwrócić politykę do ścisłej praktyki reguł moralnych, jest jeszcze trudniej niż utrzymać indywiduum na drodze doskonałości; ale możliwem jest, oraz koniecznem, usunąć grzeszny fałsz, że polityka nie ma nic wspólnego z „pospolitą“ moralnością, że przepisy, obowiązujące człowieka w życiu prywatnem, w życiu publicznem obowiązywać przestają. Każdy rząd winien mieć na pamięci piękne słowo marszałka Windisch-Graetza, wyrzeczone z powodu rozbioru Polski: *Un gouvernement ne saurait agir autrement qu' un honnête homme*, i starać się postępować jak uczciwy człowiek.

Minister pruski Thiele, człowiek religijny i pobożny, skarżył się kiedyś przed pastorem Gossnerem, że w urzędowych stosunkach musi nieraz robić rzeczy, których w prywatnem życiu nigdyby nie popełnił. Gossner mu na to: A jak djabli wezmą ministra Thiele, co się wtedy stanie z panem Thiele? — Niema dwóch odrębnych moralności, jednej prywatnej, drugiej publicznej; jest tylko jedna, na przykazaniu oparta. Nadużywając daru mowy, człowiek powynajdywał rozmaite terminy, którymi siebie i drugich oszukuje i nadaje pozory słuszności rozwodowi między rozumem i sumieniem od Pana Boga danem, i polityką. Są za to inne okoliczności, o których pamiętać trzeba, sądząc uczynki ludzi, oddanych sprawom międzynarodowym.

Każdy minister spraw zagranicznych każdego kraju, przechodząc do steru, znajduje się w położeniu danem, stworzonym przez długi ciąg czasu i długi szereg poprzedników. Z tem położeniem musi się liczyć, równie jak z wolą panującego i opinią ludności, siłą własnego kraju, dążeniami innych mocarstw. Kierunek polityki zewnętrznej, tak dobrze jak każdy inny krok rządu nawet samowładnego, bywa zawsze rezultatem wielorakich czynników; ale tytularny naczelnik wydziału osobiście zań opowiada. Wielką obarczony odpowiedzialnością, na wielkie natrafia pokusy.

Doświadczenie życia uczy go, że będzie sądzony, nie według moralności uczynków, lecz według powodzenia. Historia poświadcza, że wobec odległej nawet potomności, sukces wiele plam może, niepowodzenie na pamięci człowieka cięży. Ma do czynienia z ludźmi, którzy uciekają się do środków podejrzanych, albo zgoła nieuczciwych. I to jest pokusa najniebezpieczniejsza, bo gdy sam odpiera podstęp podstępem, szuka pociechy w myśli, że jest zmuszony walczyć bronią przeciwnika, że robi jak inni, że nie jest ani lepszym, ani gorszym od innych. W tem podobno spoczywa sekret, dlaczego tak często uczciwość prywatna chodzi w parze z nieuczciwością w polityce.

Obejmując urząd, Metternich nie robił sobie najmniejszej iluzji co do położenia Austrii, widział niebezpieczeństwa zewsząd monarchii grożące, ale równie był dalekim od dwóch ostateczności, w Wiedniu od początku tego wieku zwyczajnych: pustego samochwalstwa i niepłodnego pesymizmu. Ani nad niezłomnością Austrii się nie rozwodził, ani też jej niechybnego upadku nie przepowiadał, tylko szukał wyjścia z bardzo groźnej sytuacji. W dwóch słowach streszczając jego politykę, chciał z całym światem utrzymać pokój i stosunki przyzwoite; nikomu się nie narażać, nikomu nie zaprzedać; głaskać Napoleona, który mógł jednym palcem Austryę zdruzgotać; z Anglią i z Rosyą na teraz się nie wiązać, lecz zachować swobodę przyłączenia się do nich w danym razie. Znaczyło to niemal tyle, co chodzić po linie, rozpiętej nad Niagarą, dniem i nocą, może przez przeciąg wielu lat. Swoi i obcy tej ekwilibrystyki żadną miarą zrozumieć nie mogli. Komu należało, własne plany całkowicie otwierał i tłumaczył sprzeczne na pozór postęпки. Politycy ówcześni, nawykli do kręactwa, do wzajemnego okłamywania się, doświadczeniem nauczeni ostrożności, podejrzliwi z nałogu, posądzali Metternicha o umyślne tajemnie prawdy i podstępny, a pozory w istocie przeciw niemu często przemawiały.

W Wiedniu przebywał, od 1793 roku, hr. Hardenberg, krewny kanclerza pruskiego, poseł hanowerski i tajny agent gabinetu londyńskiego, człowiek wytrawny, dobrze znający miejscowe stosunki, pracujący ustawicznie nad przeciągnięciem Austrii do obozu przeciwników Napoleona. Zaraz w grudniu 1809 r., Met-

ternich zwierzył mu się, odkrył swoje zamiary, zaręczył, że mimo wszelkich pozorów, Austria nigdy nie przyłoży ręki do spełnienia projektów Napoleona, i bez przerwy udzielał mu komunikacyi, dla dworu angielskiego przeznaczonych. Hardenberg donosił, co słyszał, podejrzywał jednak Metternicha o tajemne sprzyjanie Francyi, o podstępne zwodzenie Anglii i Rosyi; przypuszczał nawet, że Metternich jest „sprzedany“ Napoleonowi. W maju 1812 r., słowo „sprzedany“ wraca jeszcze pod pióro Hardenberga. „Metternich, dodaje, ma przesadzone wyobrażenie o własnej wyższości, roztropności i przenikliwości; brakuje mu energii, żeby w danym razie zrobić użytek z sił Austrii, tudzież, żeby walczyć przeciwko wewnętrznym trudnościom. Przecenia geniusz Napoleona i zasoby Francyi; chce podstępem i udawaniem zastąpić energię i siłę. Przy wielkiej łatwości do pracy, woli bawić się, niż pracować; unika starć i przesileń, któreby mu spokój zastąpić mogły. Stara się być dobrze z całym światem, żeby zyskać na czasie; oczekuje ratunku w skutek nadzwyczajnych zdarzeń, liczy na śmierć Napoleona, albo na zwycięstwa Rosyan. Wszystko to mało ku niemu wzbudza zaufania.“ Dopiero rok 1813 otworzył oczy Hardenbergowi; oddał sprawiedliwość Metternichowi, że jego polityka była przezorna i szczerą.

Zaraz w początkach urzędowania Metternicha, zaszedł wypadek, dla Austrii bardzo szczęśliwy, lecz dwór wiedeński i kanclerza w dwuznacznem stawiający świetle: małżeństwo Napoleona z arcyksiężniczką Maryą Ludwiką.

Sprawa rozwodu Napoleona z Józefiną i powtórnego ożenienia toczyła się od dwóch lat; dość długo Napoleon zamierzał pojąć za żonę jedną z sióstr cesarza Aleksandra; toczyły się nawet układy urzędowe między dwoma dworami, natrafiające na wielkie trudności z powodu kwestyi religijnej, oporu starej cesarzowej i wachań samego Aleksandra. Gabinet wiedeński nie mógł poglądać obojętnem okiem na nowy węzeł, zawiązujący się między Paryżem i Petersburgiem, i z niemałym zadowoleniem przyjął wiadomość o zerwaniu negocyacyi przez Napoleona, który szukając związku z wielką i starą dynastją, zwrócił się ku Austrii. Utrzymują, że Metternich, przez Talleyranda i ks. Schwarzenberga, ambasadora austriackiego w Paryżu, oraz przez własną

żonę, bawiącą w stolicy Francji od jego wyjazdu w 1809, wcześniej zasnuł nici, aby przygotować kombinację, w której upatrywał deskę ratunku dla Austrii. Pierwszy wyraźny krok przyszedł od Napoleona, pod postacią zwierzeń, uczynionych pani Metternich, na balu maskowym. Kanclerz zwrócił rzecz na zwyczajną drogę dyplomatyczną, i dał do zrozumienia, że małżeństwo może przyjść do skutku. Po urzędowym oświadczeniu, Metternich przedłożył sprawę cesarzowi Franciszkowi, mówiąc, że w podobnym wypadku tylko monarcha i ojciec jest w stanie rozstrzygać. Cesarz odesłał Metternicha do arcyksiężniczki, która odrzekła, że spełni chętnie wolę rodzica. Łatwo pojąć, jak przykrą być musiała dworowi wiedeńskiemu myśl osadzenia arcyksiężniczki na tronie francuskim, z którego Marya Antonina tak tragicznie straconą została, oraz myśl związku z uzurpatorem, dzieckiem rewolucyi i zdeklarowanym wrogiem monarchii Habsburgów. Roztropość radziła jednak nie odpychać podanej ręki. Cesarz Franciszek dał zezwolenie, bo związek z Napoleonem obiecywał „zapewnić monarchii kilka lat pokoju i możność zabliznienia ran“; jeden tylko położył warunek, żeby „z jednej i drugiej strony żadnych nie kładziono warunków, takie bowiem ofiary z targiem nie wspólnego mieć nie powinny“. Dla skaptowania Napoleona, który małżeństwa mocno pragnął i bardzo był czuły na najłżejsze odcienia, Metternich starał się uprzedzić wszystkie jego życzenia, przyspieszyć i uświetnić obchód, dopełniony według ceremoniału zaślubin Maryi Antoniny z Ludwikiem XVI. Ludność wiedeńska z radością przyjęła niespodziewany zwrot, zwiastujący epokę spokoju i bezpieczeństwa. W salonach stronnicy i przeciwnicy małżeństwa formalne z sobą staczali batalie. Ostatni przepowiadali niechybny koniec świata, krzyczeli na zgorzenie, bijąc w rozwód z Józefiną. Co do tego punktu, dwór austriacki mógł z czystym sumieniem przejść nad nim do porządku, gdyż pierwszy związek Napoleona był w oczach Kościoła nieważny. Kiedy papieża zaproszono na koronację do Paryża, o koronowaniu Józefiny mowy nie było; dopiero w przeddzień obrzędu, Ojciec św. dowiedziawszy się, że ma oboje cesarstwo namaścić, zażądał dowodów kościelnego ślubu. Dowodów nie było. Napoleon, przewidując potrzebę rozejścia się z nieplodną Józefiną i powtórnego małżeństwa,

dla ufundowania dynastji, dopełnił wprawdzie ceremonii kościelnej, ale w największej tajemnicy, w nocy, w kaplicy pałacowej, bez zapowiedzi, bez obecności proboszcza i bez świadków. Akt był przeto nielegalny. Trzej biskupi francuscy, użyci do tego przez Napoleona, wprowadzili w błąd papieża fałszywem świadectwem, o czem papież później się dopiero przekonał dowodnie. W chwili koronacy miał wielkie wątpliwości, przeczuwał prawdę, ale uległ obawie, że w razie odmowy z jego strony Napoleon każe się koronować przez arcybiskupa paryskiego i papieża uczyni świadkiem obrzędu. Okoliczność ta, mało komu wiadoma, w tem drażliwszej pozycyi dwór wiedeński i politykę austryacką postawiła. Rosya mianowicie, z Francją już nieco poróżniona, z niedowierzaniem i zazdrością na Wiedeń zaczęła spoglądać.

Metternich zadał sobie pytanie: „Co skłoniło Napoleona do połączenia się z dynastją Habsburgów? Czy zdobywca zamierza miecz do pochwy włożyć i pracować nad utrwaleniem przyszłości Francji i własnej dynastji? Czy też, oparty na Austrii, zamyśla dynastję ufundować i jednocześnie system podbojów dalej prowadzić“? Dla zbadania rzeczy na miejscu, zażądał i otrzymał od cesarza przyzwolenie na podróż do Paryża, w ślad za Maryą Ludwiką.

Napoleon przyjął Metternicha bardzo uprzejmie i serdecznie, ciągle wracał do swego małżeństwa, wychwalał przymioty małżonki i postępowanie dworu wiedeńskiego, mówił o zapomnieniu przeszłości i rozpoczęciu ery pokoju; zaręczał, że nic nie zdoła zanać tak szczęśliwie zawartej i związkami krwi przy pieczętowanej zgody. Metternich dziękował za deklaracye przyjaźni, ale pragnął namacalnych dowodów, ulg dla Austrii i zwierzeń. Co do ulg, Napoleon nie był bardzo skorym. „Na wypadek rozpoczęcia działań nieprzyjacielskich w 1809, rzekł, kazałem przygotować trzykroć sto tysięcy biletów banku austryackiego (fałszywych), którymi was zalać zamierzałem; miałem także zamiar wziąć pod moję gwarancję konstytucję węgierską. Teraz, wydaję wam fałszywe banknoty; radzę wam prócz tego zreformować Węgry, inaczej bowiem Austria zawsze słabą pozostanie“. Metternich odparł, że puszczenie w obieg fałszywych bankocetli nie byłoby było wielkiem dla Austrii nieszczęściem, prędzej

usługą oddaną rządowi i ułatwieniem nieuchronnego bankructwa; skwapliwie jednak nacierał o zwrot zapasu, a jeszcze bardziej matryc do fabrykacji używanych. W kwestyi węgierskiej, nie przeczył potrzeby reformy w Węgrzech, ale przemilczał, że dwór austriacki nie czuje w sobie ani siły, ani ochoty do zadarcia z Madziarami. Udało mu się otrzymać zaciągnięcie pożyczki w Holandyi, rozstrzygnięcie sporów granicznych i handlowych, zwolnienie z obowiązku utrzymywania armii na stopie 150.000 ludzi, a co najgłówniejsze, udało mu się przejrzeć plany Napoleona względem Rosyi.

Napoleon, obsypując kanclerza grzecznosciami, coraz dłużej zatrzymywał w Paryżu, żeby go uczynić świadkiem, jak Marya Ludwika jest szczęśliwą w pożyciu i zadowolnioną, oraz, żeby go kusić do rozpoczęcia akcji na wschodzie. „Minister W. C. Mości, donosi cesarzowi, cieszy się tutaj teraz względami, jakich przed ostatnią wojną doznawał poseł rosyjski“. Przyjaźń z Rosyą się chwiała, ciążyła Napoleonowi. Biorąc za dobrą monetę pogadanki w Tylży i Erfurcie o rozbiorze Turcyi i o podziale świata między Francję i Rosyę, cesarz Aleksander niecierpliwie dążył do osiągnięcia materyalnych, a jak największych rezultatów przy mierza. Nie mogąc żadną miarą poddać się wszystkim wymaganiom Napoleona co do blokady kontynentalnej, drażnił cesarza Francuzów na punkcie najdotkliwszym stosunków z Anglią; wydał wojnę Turcyi; żądał na piśmie zobowiązania, że „Polska nigdy więcej istnieć nie będzie“, to jest, że Napoleon Polski nie przywróci. Napoleon odmówił ratyfikacji umowy taką klauzulę zawierającej, ofiarując natomiast obietnicę, jako „Francya nie przyłoży się bezpośrednio, ani pośrednio do odbudowania Polski“. — „Nigdy nie przystanę, mówił do Metternicha, na to, co żąda Rosya. Musiałbym być chyba Panem Bogiem, żeby z góry wyrokować, że Polska nigdy istnieć nie ma. Do przywrócenia Polski ręki nie przyłożę, lecz gdyby kiedyś powstanie wybuchło na Litwie i oświadczyło się za Polską, albo gdyby w stosownej porze Warszawiacy zechcieli zaokrąglić się kosztem Rosyi, nie miałbym przyczyny temu przeszkadzać, zwłaszcza jeśli Rosya stanęła wówczas w obozie moich przeciwników“. Rozpoczęta wojna między Rosyą i Turcyą, mocno niepokojąca

Austryę o los Porty, nasunęła Napoleonowi plan, który za dni naszych, ks. Bismarek podjął i szczęśliwie do skutku doprowadził: plan skuszenia Austrii do akcji na Wschodzie, żeby Austryę postawić w antagonizmie z Rosyą, zająć na długie lata i uczynić zawistą od Francyi, a poróżniwszy obie współzawodniczki między sobą, niedopuszczyć koalicji, której Napoleon zawsze się obawiał. „Porta, dowodził, ujrzy się zmuszoną ustąpić Rosyi księstwa Naddunajskie i nie wiele na tem straci, gdyż te prowincye są oddawna bardziej rosyjskie, niż tureckie. Aneksya księstw do Rosyi, przedstawia fundament przymierza Austrii z Francją. Macie na Dunaju niezmierzone interesa; Serbia prędzej czy później raz wam przypaść powinna; zajmując Serbię, nie ryzykujecie ze strony Rosyi, bo w Erfurcie wyraźnie zastrzegłem, że Rosya nigdy nie przekroczy Dunaju. Do przymierza z Rosyą, samiście mnie popchnęli; teraz pora złe naprawić“. Metternich rozumiejąc cel Napoleona, odpowiadał, że Austria ma w Porcie spokojnego sąsiada, więc dba o całość państwa Otomańskiego i upadku jego nie chce przyspieszać; że wolałaby odzyskać wybrzeża Adryatyku, które są jej nieodbitnie potrzebne, dla komunikacyi z resztą świata. — „Wszystko wrócić się może, pocieszał go Napoleon; dla mnie Ilirya nie waży tyle, co włos. Chcę z wami przymierza prawdziwego, opartego na wspólnym interesie, trwałego; związki rodzinne wiele zapewne znaczą, ale to niedosyć. Zajmijcie Belgrad niespodzianką, albo skłońcie Serbów do wydania wam miasta; raz tam wszedłszy, zostaniecie, nikt was stamtąd nie wypędzi“. Serbia, przynajmniej Belgrad, — Austrii się to uśmiechało, ale pod warunkiem, że wejdzie w prawne posiadanie klucza Dunaju. Napoleon inaczej rzecz pojmował. „Protektorat nad Serbią, mówił, powinien wam tymczasem wystarczyć; na zupełny zabór Serbii nie mógłbym zezwolić, bo gotowicie jeszcze Serbów kiedy na mnie naprowadzić. Trzeba to odłożyć na później, do chwili ostatecznej likwidacyi spuścizny tureckiej, co teraz nie leży ani w waszym, ani w moim interesie“. A więc, Austria miała puszczać się na awanturę okupacyi Belgradu, ściągnąć sobie na kark Rosyan i Turków, podczas gdy Napoleon z trzech stron kleszczami Austryę ścisnął. Stare i mądre ryby, w gatunku Metternicha, na tak pospolitą przynętę łowić się nie dają.

Powtarzają ludzie, że w historyi nigdy nic się nie powtarza. Nie wiem gdzie to wyczytali, bo w historyi ciągle wszystko jednym kołem się toczy, państwa dążą do posiadania jednych i tych samych mórz, rzek, kluczów komunikacyi; armie chodzą szlakami utartymi od wieków; ludzie rządzą się jednym i tym samym interesem; silni usiłują zdławić słabszych i nad światem panować; słabsi wiążą się z sobą, żeby od silnych bronić, a zaniedbawszy tej reguły prostej, własną przypłacają skórą. Nie szukając daleko i głęboko, dość porównać stosunek Austrii do Napoleona, z stosunkiem dzisiejszym Austrii do ks. Bismarcka. Napoleon przeczuwał koalicję, przymierze Austrii z Rosyą; żeby sąsiadów z sobą pokłócić, pokazywał Metternichowi Belgrad. Metternich nie dał się złapać na serbską muchę i Austrii zachował możność wyzwolenia się od przemocy Napoleona. Ks. Bismarck obawiając się także koalicji Rosyi i Austrii, skłonił obie do nadpoczęcia Turcyi. Zjazd w Berlinie, zrodził podróż do Petersburga; wycieczka nad Nową zrodziła powstanie w Bośni, okrucieństwa w Bułgarii, wyprawę Serbów na niewiernych, ostatnią wojnę turecką, kongres berliński i pełnomocnictwo do zajęcia Bośni i Hercegowiny. Ks. Bismarck może spać spokojnie: przymierze austriacko-rosyjskie snu mu nie mąci. Austria co roku pożyczka kilka milionów na wkłady w prowincye, których prawnie jest tymczasową posiadaczką; musi zbroić się bezustannie, czuwać i medytować, ile jej przyjdzie zapłacić za przyrzeczoną pomoc Prus. Metternich byłby prawdopodobnie uchronił Austryę od dobrodziejstw opieki berlińskiej i od hazardów okupacyjnych. Za jego czasów, Austria wyrzekając się posiadania Belgradu i protektoratu nad Serbią, uniknęła powodu do wojny z sąsiadem, który miał prawo w każdej chwili powiedzieć: *Hands off*, precz z Belgradu! i uniknęła czegoś gorszego, protekcyi Napoleona.

Gdy z jednej strony, Napoleon usiłował przykuć Austryę do Francyi, z drugiej dyplomacya rosyjska starała się wybadać, jak dalece małżeństwo świeżo zawarte, związało Austryę z główną potęgą Europy i próbowała wciągnąć kanclerza w przymierze z Rosyą. Ale już przed wysłuchaniem formalnych propozycyi, Metternich wiedział czego się trzymać. „Rosya, pisze do cesarza

9 lipca 1810, Rosya nie myśli nateraz o zadarciu z Francją, chciałaby tylko wyciągnąć jak największe korzyści z przymierza napoleońskiego, zachować świeże nabytki. W tym celu, będzie głaskać Francję, z nami żyć w pokoju, podtrzymywać nawet Turcyę. Gdyby nie przeszkody niezawisłe od jego woli, Napoleon nigdyby nie ścierniał pochodu Rosyi ku wnętrzu Europy. Nie mogąc przeszkodzić temu, będzie trzymać rzeczy w zawieszeniu, nużyć Rosyan, siać między nimi niepokój, który już teraz, jak to wiem z dobrego źródła, ogarnął Petersburg. Co się nas tyczy, niepodobna nam pływać między dwoma tak silnymi prądami i zachować zupełną neutralność w kwestyach największej wagi, bezpośrednio nas obchodzących. Jesteśmy przeznaczeni odegrać w przyszłości wielką rolę; śmiem nawet twierdzić, że wbrew wszelkim pozorom, jesteśmy silniejsi. Jedna i druga strona szukać nas będzie“.

W dwa miesiące później, Metternich opuścił Paryż, uwożąc przekonanie, iż wojna Francyi z Rosją jest tylko kwestyą czasu, bo jedna i druga strona niedaleko jest linii, oznaczającej ostateczną granicę ustępstw i cierpliwości. Za powrotem, złożył cesarzowi raport, datowany 17 stycznia 1811 roku, będący pomnikiem bystrości i przezorności.

„Jakie są dalsze zamiary Napoleona, pyta, i jakimi rozrządza on środkami? Jaka jest dalsza rola Austrii?.

„Rozciągnięcie panowania jednego człowieka nad całym stałym łądem, nie przestało być celem Napoleona. Zadziwiająca zimna krew w wyborze i użyciu środków, szybkość w działaniu, niezrównana zręczność, wzniosła Napoleona na taką wyżnę potęgi, że on sam jeden ma moc położenia tamy i kresu własnej ambicyi: żadna inna siła ludzka tego nie dokáže. Dzieje ostatnich lat dwudziestu są jednym ciągiem błędów moralnych, politycznych i finansowych, popełnianych przez wszystkie mocarstwa europejskie. Nikt nie jest wolnym od zarzutu, nikt bowiem nie pracował nad własnym ratunkiem, na drodze do celu wiodącej. Ile razy mocarstwa wspólnością interesu złączone, razem działać poczęły, wszczyniała się między nimi niezgoda, a Francya umiała obracać na własny pożytek nawet zwycięstwa, przez członków koalicyi osobno odnoszone. Pokój w Tylży był największym tryumfem

Napoleona. Po długich, daremnych usiłowaniach, o władnął nareszcie cesarzem Aleksandrem, rozdzielił Austryę i Rosyę i obie odosobnił. Od 1808 r., Rosya rządziła się szczególnem zaślepieniem, upędzała za zdobyczami; zamiast dbać o własne bezpieczeństwo, niszczyła lub niszczyć pozwalała to właśnie, co jej samej za ochronę służyło.

„Postępki i czyny Napoleona świadczą, że zamierzał obalić Austryę i Prusy, aby po ich gruzach pójść na Rosyę i odepchnąć Rosyę w azyatyckie stepy. Małżeństwo z córką W. C. Mości dało nowy obrót rzeczom. Napoleon upatrzył w niem rękojmnię i zakład, zakład mianowicie, jakiego dawniej szukał w zgubie Austrii. Austrya znalazła w tym związku tę korzyść, że uniknęła skutków wstrząśnienia, które ją niechybnie czekało i które musiało jej upadek przyspieszyć.

„W. C. Mość raczy być przekonany, że stoimy wobec następnych, wielkich i doniosłych zagadnień:

„Czy Austrya ma moc niedopuszczenia wybuchu nowej wojny na stałym lądzie?

„Jaką Austrya zachować ma postawę i jaką rządzić się polityką, wobec wojny między Francją i Rosyą?

„Co do pierwszego pytania, głęboko jestem przekonany, że nie.

„Druga kwestya zasługuje na głęboką i dojrzałą rozwagę. Od decyzji W. C. Mości w tej mierze, zawisła przyszłość pomysłna Austrii, lub zguba pewna i może niedaleka monarchii naszej. Nie łudząc się co do naszego położenia, mając na oku stan skarbu, redukcję siły zbrojnej, niedostatkiem spowodowanej, tudzież naszą niewątpliwą niemoc, sędzę, że winniśmy ograniczyć się w polityce ogólnej do utrzymania pokoju i odwrócenia jakiegokolwiek wojny, gdyż wszelka wojna grozi nam katastrofą. W tym sensie postępowałem w Paryżu i w tem samym dążeniu wytrwać winniśmy aż do ostatnich, możliwych granic.

„Napoleon osiągnął, co zamierzał, odosobniając Rosyę i Austryę. Czy zbliżenie się wzajemne tych mocarstw, mogłoby być zadatkiem wspólnego ratunku? czy dobrze czynimy, odrzucając ofiarę przyjaźni, której Rosya pragnie? — pytanie to nasuwa się samo z siebie. Lecz Napoleon nie zostawił ani nam, ani Rosyi

swobody wyboru; owszem, oparł dzisiejszy stosunek tych dworów na faktach i rzeczywistości.

„Przyjmując za pewnik, że całym naszym dążeniem być winno utrzymanie pokoju, nie ukrywajmy przed sobą, iż nie jesteśmy władni powstrzymać potoku, który nam zagładą grozi. Jeżeli Napoleon postanowi wydać wojnę Rosyi, opór z naszej strony ściągnie na Austryę gromy, mające spaść na północ; co do wyniku zaś walki, do której przysposobieni nie jesteśmy, najmniejsza nie zachodzi wątpliwość. Mamy więc do wyboru trzy alternatywy: przymierze z Rosyą, przymierze czynne z Francją, neutralność.

„Przymierze z Rosyą tak się przedstawia: armia austriacka zostanie unieruchomioną, zaczem jej nawet użyć zdołamy; nieprzyjaciel zajmie Wiedeń, Galicya powstanie. Przebieg wojen poprzednich nauczył nas, czego mamy się spodziewać po pomocy Rosyi. Prusy nie wchodzą w rachubę, chyba o tyle, że król ma mocne postanowienie szukać, w razie wojny ratunku w objęciach Napoleona.

„Pozostaje więc: albo czynnie przyłączyć się do Francyi albo zachować neutralność.

„Oddać siłę zbrojną Austrii pod rozporządzenie mocarza, którego jedynym celem wywrót istniejącego porządku i wszechwładztwo jednego człowieka, znaczy tyle, co wydać wojnę zasadom, na jakich Austria stoi, oraz najdroższym interesom Austrii. W. C. Moś jest jedynym reprezentantem porządku, uswięconego czasem, spoczywającego na odwiecznych prawach i w dniu kiedy wojska austriackie wyruszą w pole obok francuskich, W. C. Moś utracisz ten charakter i wielkość doń przywiązaną. Moralnie, spadniemy do rzędu współwinnych z Napoleonem; materyalnie, popełnimy ten sam błąd, jaki w ostatnich czasach popełniła Rosya. Tylko bezwarunkowe niepodobieństwo czynienia inaczej, do takiej może nas zmusić ostateczności.

„Ścisła neutralność przedstawia liczne niebezpieczeństwa, a żadnej korzyści. Zbyteczne osłabienie Rosyi byłoby dla nas niezaprzeconem niebezpieczeństwem. Po przywróceniu królestwa polskiego posiadanie Galicyi zawisnie na włosku. Zachowując neutralność, nie unikniemy ani jednego ani drugiego. Nakoniec, po zawarciu

pokoju, nie mielibyśmy żadnego tytułu do względów Francyi, a narazilibyśmy się na wyrzuty ze strony Rosyi.

„Sposób wyjścia z tyłu trudności, daje nam Galicya. Napoleon wyjawiał nam swój plan wojny z Rosyą, wypowiadając przed nami słowo: Polska, które w mojem przekonaniu, zawiera w sobie rękojmię zwycięstwa Francyi nad Rosyą. Wielu ludzi przewiduje, że wybuch wojny z Rosyą, będzie sygnałem powszechnego powstania ludów przeciwko Napoleonowi i zwiastunem zwycięstw rosyjskich. Napoleon, znający dobrze usposobienie ludów, nie rzuciłby się na takie przedsięwzięcie o własnych tylko siłach. Wierny swojej starej polityce, stanie na czele stu tysięcy Francuzów, reszta zajmie przestrzeń od Renu do Odry, podczas gdy armia francuska z dwoma krociami wojsk konfederacyi reńskiej i Polaków, poniesie zarzewie powstania aż do kresów dawnej Polski. Nie trudno przewidzieć, co się stanie z Galicyą, skoro Polska odrodzi się z popiołów. Dla mnie kwestya redukuje się do tego, czy mamy utracić Galicyę bez wynagrodzenia, czy odstąpić za odpowiednią kompensatę“.

Streszczając raport, Metternich stawia następane konkluzye:

„Austria starać się będzie o utrzymanie pokoju między Francją i Rosyą.

„W stosunkach z Francją, wyrzeknie się wszelkiej myśli posunięcia obecnych granic monarchii i nabytków terytoryalnych.

„Względem Rosyi, wytrwa w przyjętej postawie, zmierzającej ku temu, żeby Rosyę uspokoić i upewnić, że stosunki Austrii z Francją żadnem niebezpieczeństwem jej nie zagrażają; tudzież, żeby wywieść Rosyę z błędu i odebrać Rosyanom zwozniczą nadzieję zawarcia z Austryą przymierza.

„Gdyby wojna stała się nieuniknioną, a Austriya doczekała się tej chwili, nie będąc do muru przez Napoleona przyciśniętą, należy przy pierwszej sposobności wejść w układy z Napoleonem, o ustąpienie części Galicyi za wynagrodzenie, pod względem militarnym i finansowym odpowiednie. Napoleon gotów dać Iliryę. Zdaje mi się, że wiśniemy żądać także Dalmacyi, wysp Quarnero, Istrii weneckiej po Isonzo, wyższej Austrii po rzekę Inn; na koniec kawałka Szląska, w razie rozbioru Prus“.

Cesarz Franciszek nie miał nic przeciw zamianie Galicyi,

ale na wypadek wojny, pragnął pozostać neutralnym. Tymczasem zezwolił na traktowanie z Napoleonem o Galicyę, o co głównie szło Metternichowi, który szukał jakiejś pośredniej kombinacji, między neutralnością i przymierzem z Francją, a przedewszystkiem chciał być powiadomionym krok w krok o zamiarach Napoleona i unikać owego „przyciśnięcia do muru“, czyli tego, żeby Napoleon z nienacka zażądał oddania mu pod rozkazy całej armii austriackiej.

Rok 1811 zszedł we Francyi na przygotowaniach do wojny rosyjskiej. Rząd austriacki dokonał u siebie „operacji finansowej“, polegającej na zredukowaniu nominalnej wartości banknotów. W Paryżu, ks. Schwarzenberg traktował o zamianę Galicyi, za którą Napoleon ofiarował Ilirję z Tryestem, obiecywał księstwa Naddunajskie, resztę odkładał na później, w gruncie nic nie dawał, ale żądał czynnej pomocy Austrii. Z niepospolitym talentem, Metternich przepłynął między Scyllą i Charybdą. Odstąpiwszy od targu o Galicyę, miał prawo targować się o siłę korpusu posiłkowego, i przystał tylko na trzydzieści tysięcy ludzi, co w porównaniu z siłą liczebną wielkiej armii, było niemal kroplą w morzu i Rosyi nie przestraszało zbytecznie. Korpus austriacki, dowodzony przez ks. Schwarzenberga, miał działać na prawem skrzydle, od strony Wołynia, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa do wielkiego rozlewu krwi przyjść nie powinno było. Nakoniec Schwarzenberg odbierał rozkazy wprost od Napoleona i od nikogo innego nie zależał. Na ukoronowanie dzieła, otrzymał od Francyi i od Rosyi uznanie neutralności i nietykalności terytoryum austriackiego.

W maju 1812, Napoleon spotkał się w Dreźnie z cesarzem Franciszkiem i Metternichem. O polityce mówiono jak najmniej. Napoleon był przekonany, że Rosyanie go pierwsi zaatakują i nie wierzył w pogróżki Aleksandra, który pod natchnieniem Prusaków, naśladowujących przykład Wellingtona w Portugalii, zdecydowany był cofać się w głąb Rosyi, „zabierać z sobą ludzi, konie, bydło, żywność, i Francuzom pustynię zostawić“¹.

¹ Słowa Aleksandra wyrzeczone w końcu marca 1812 do polsa austriackiego.

Jakoż raporta z Warszawy donosiły o ustępowaniu wojska rosyjskiego. „Powodzenie mego przedsięwzięcia, mówił Napoleon do Metternicha, zawisło od cierpliwości. Cierpliwszy zwycięży. Pierwszą kampanię rozpocznę przejściem Niemna, w Smoleńsku zatrzymam się, główną kwaterę założę w Wilnie i przez zimę będę organizował Litwę. Zobaczymy komu się prędzej sprzykrzy, czy mnie utrzymywać armię kosztem Rosyi, czy Aleksandrowi żywić moje wojsko. Jeżeli Aleksander nie zawrze pokoju, posunę się głębiej na przysły rok i czekać będę w 1813, jak czekałem w 1812. Koniec jest kwestyą czasu“.

Napoleon pierwszy stracił cierpliwość, a raczej za wcześnie ją wyekspensował. Parę tygodni zmarnował nad Niemnem, czekając uderzenia Rosyan i zielonej paszy dla koni. Przeszedłszy Niemen późno w czerwcu, nie zatrzymał się w Smoleńsku, ale szukał walnej bitwy, której Rosyanie staczać nie chcieli. Spiesząc się i licząc na zwycięstwo w wstępnym boju, zaniedbał zabezpieczyć swoje tyły, ufortyfikować Smoleńsk i Wilno, zgromadzić żywność po drodze, ubrać ciepło żołnierzy. Wzięcie Moskwy potrójnie zawiodło; Aleksander nie przyszedł błagać o pokój, naród na Francuzów zwałł winę pożaru starej stolicy, miasto nie dawało bezpiecznego na zimę schronienia. Rozpoczął się ów odwrót straszny, heroiczny, zgubny dla armii. Z 420 tysięcy najdzielniejszego żołnierza, które przekroczyły Niemen w czerwcu, do Bożego Narodzenia zostało około 50 tysięcy rozbitków bez broni, rozproszonych, nagich i wycieńczonych.

Korpus austriacki posunął się w głąb Litwy, do Słonima i Nieświeża, i wraz z Sasami pod generałem Reynier, zasłaniał bok wielkiej armii, najprzód od Tormasowa, później od Czyczagowa. W różnych potyczkach stracił około sześciu tysięcy ludzi, które zastąpiono świeżym posiłkiem. Więcej Austriya odmówiła, z własnego interesu i przez wzgląd na Rosyę. Zaraz po rozpoczęciu kampanii, w lipcu, poseł rosyjski oświadczył, że Rosya nie przedsięwzięmie na szkodę Austrii, jeżeli dwór wiedeński zobowiąże się nie powiększać korpusu posiłkowego. Metternich odmówił zobowiązania na piśmie, ale cesarz Franciszek dał słowo, którem się w Petersburgu kontentowano. Posłowie opuścili obie stolice, zostawiwszy pólsruzędowych agentów; Stackelberg zamiesz-

kał w Gracu, skąd się bez przerwy znosił z gabinetem austriackim. Rosyanie utrzymują, że Metternich dopominał się, ażeby znaczne siły rosyjskie „zagrozały“ granicę galicyjską, dla ulegalizowania w oczach Napoleona koncentracji wojsk austriackich w Galicyi. Czyczagow jednak nie bardzo miał czem imponować Austrii, a Napoleon lekceważył przygotowania wojenne swego teścia, w przekonaniu, że on nigdy Francyi nie zaczepi. Po odjeździe Napoleona do Paryża, Schwarzenberg nie odbierając przez kilka tygodni rozkazów i nie mając nic do czynienia na teatrze wojny, zawarł z Kutuzowem zawieszenie broni, 30 stycznia 1813, następnie zaś cofnął się pod Kraków.

V.

Napoleon poświęcił resztki wielkiej armii, żeby czempędzej stanąć w Paryżu, nowe wystawić „kohorty“ i wojnę powtórnie rozpocząć. O pokoju słyszeć nie chciał, choć Austria ofiarowała mu pośrednictwo i złoty most do powrotu.

Dla Austrii nadeszła chwila, przewidywana przez Metternicha, w której gabinet wiedeński miał stanowić o losie Europy. „Rosya sama, czytamy w memoryale współczesnym Nesselrodego, nie jest w możności wojny dalej prowadzić. Nie pozwala na to stan naszej armii i oplakany stan naszego skarbu. Bez pomocy Austrii i Prus, Rosya nie nie poradzi. Gabinet wiedeński zasługuje na szczególne zaufanie z naszej strony; podczas wojny dał nam niejednego dowód przyjaznych usposobień, wiernie dotrzymywał obietnicy i pomimo nacisku Napoleona swego kontyngensu nie powiększył. Powinniśmy w Wiedniu mówić otwarcie i wyznać, że samym sobie pozostawieni, będziemy zmuszeni zawrzeć pokój z Francją“. Na pomocy Prus niewiele Rosya mogła budować; całą gwarancją z tej strony była nienawiść partyi Steina ku Francuzom; lecz ruch patryotyczny mógł zawieść i król znowu przerzucić się na stronę silniejszego. Z Petersburga i z Berlina nacierano na Austryę o zawiązanie koalicji. „Pchano nas, powiada Metternich, do wypowiedzenia wojny Francyi, nie pytając czem i dokąd wojować. W mojem przekonaniu, powinnością

było Austrii dążyć do przywrócenia pokoju, ale pokoju prawdziwego i trwałego, któryby nie był prostem zawieszeniem broni, jak wszystkie traktaty, dotąd z Rzeczpospolitą i z Napoleonem zawierane. Zakładem takiego pokoju musiało być zamknięcie Francji w przyzwoitych granicach i przywrócenie równowagi między mocarstwami. Chłodno patrząc na rzeczy, dążyłem do rozwiązania naprzód obliczonego, a strata kilku miesięcy czasu wcale mnie nie trwożyła. Nie chcieliśmy się przerzucać z jednej ostateczności w drugą, ani też pozostać bezczynni. Przejście z neutralności do wojny było dla nas możebne jedynie pod postacią zbrojnego pośrednictwa, które odpowiadało geograficznemu położeniu Austrii i jej siłom, i pozwalało cesarzowi wyrzec ostatecznie słowo, czy w wojnie, czy w pokoju. Musieliśmy zresztą uzbroić się i do wojny przygotować“.

Cesarz Franciszek miał wstręt nieprzemyślany do wojny, wstręt łatwy do zrozumienia po tylu nieszczęśliwych wyprawach; wzdrażał się na myśl ofiar pieniężnych, od wojny nieodłącznych; Napoleona mniej się niż dawniej obawiał; widząc córkę szczęśliwą i zadowolnioną z swego położenia, rad był pogodzić życzenia ojcowskie z obowiązkami monarchy, z tem, co Metternich u niego nazywał „*ses entrailles d'état*“. Zbrojne pośrednictwo schlebiało Habsburgowi i obiecywało osiągnięcie pokoju stosunkowo tanim kosztem. Metternich miał mocne postanowienie skorzystać z okoliczności, żeby Austrii zapewnić upragniony spokój i bezpieczeństwo, czy to drogą układów, czy bojem. Do koalicji z Rosyą i Prusami wcale pilno mu nie było. Aleksandrowi nie ufał, obawiał się jego charakteru niestałego i gorączkowej ambicji. Z Prusami niechętnie się wiązał, zwłaszcza odkąd w Berlinie wzięła górę partya Steina, Tugendbundu, hegemonów i demokratów. Ale znając dobrze Napoleona, przewidywał, że Napoleon będzie walczył do upadłego i najumiarkowańszy pokój odrzuci. Żeby zadociec uczynić woli własnego monarchy, żeby Napoleonowi nie dać słusznego pozoru do zerwania, żeby Prusom i Rosyi zawczasu nałożyć wędzidło, żeby wreszcie wyczerpać wszystkie szanse pokojowego załatwienia sporu, zbudował Napoleonowi ów złoty most do odwrotu. Nie żądał od Francji ani cała ziemi, zostawiał jej Ren, Alpy i Pireneje, Włochy, Hiszpanię; dla Austrii żądał

tylko Iliryi; jako główny warunek kładł rozwiązanie księstwa warszawskiego i konfederacyi reńskiej, ustąpienie Francuzów z miast hanzeatyckich i z fortec nad Elbą i Odrą; jednym słowem niezależność Niemiec, jako rękojmię bezpieczeństwa Austrii. Takie warunki Napoleon mógł przyjąć, bez uszczerbku na potęgzie i honorze; takie warunki Rosya i Prusy przyjąć musiały, nie będąc w stanie same walczyć z Francją.

Napoleonowi niebezpiecznie było mówić o „zbrojnym pośrednictwie“, ofiarowano mu więc dobre usługi Austrii, w celu ułatwienia zgody między wojującymi, i niby mimochodem wyliczono ustępstwa konieczne dla przywrócenia pokoju. Napoleon rzekł był sobie już dawno, że najpierw zwycięży, a potem pedyktuje pokój Aleksandrowi i Europie. Potrzebując czasu do uzbrojeń, przyjął usługi Austrii, żeby zająć i zabawić swoich przeciwników. Metternichowi to było bardzo na rękę, bo w Austrii wszystko szło ociężale. Pożar świat ogarniający, pozostał bez wpływu na temperaturę panującą w Austrii, szczególnie w Burgu. Z wyjątkiem indywiduów o krwi gorącej, które osadzono w kozie, ludność bała się wojny; minister finansów strzegł jak cerber kasy i o każdy grosz targował się; uzbrojenia postępowały *lungsam und gemütlich*. Metternich stosował swoją politykę do temperamentu austriackiego; jedną ręką popychając naprzód cesarza i jego doradców wojskowych i finansowych, drugą magnetyzował sprzymierzeńców, zbyt niecierpliwych i o własną drżących skórę. Napoleon bowiem wrócił i fortunę znowu na swoją stronę przeciągnął. D. 29 maja nadeszła do Wiednia wieść o zwycięstwie Francuzów pod Bautzen. „Co do mnie, mówi Metternich, wiedziałem co czynić. Należało wstrzymać zwycięzki pochód Napoleona i oświecić cesarza Aleksandra i króla pruskiego o istotnych zamiarach mego monarchy. Armia rosyjska była do szczytu zdemoralizowana. Aleksander cofnął się ku górnemu Szląskowi, a ruch ten, zręczny pod względem strategicznym, pokazywał, że Rosya usiłuje przycisnąć Austryę do muru i zmusić ją do wzięcia w wojnie czynnego udziału. Główna kwatera ks. Schwarzenberga znajdowała się w Pradze, wojska nasze dopiero zaczynały gromadzić się nad Elbą. Nie mogąc liczyć na rozprzężoną armię rosyjską, a tem mniej na pruską, która zaledwie z imienia istniała,

przekonany byłem, że jeśli rozpoczniemy kampanię bez sił dostatecznych i pozwalających nam działać na własną rękę, jedna bitwa przegrana wszystko zgubi. Pilnem było również przeszkodzić wtargnięciu Francuzów do Czech i odwrócić od Austrii cios, którego skutki strasznymi stać się mogły, wobec głębokiego zniechęcenia naszej ludności. Zaproponowałem przeto cesarzowi podróż do Czech, aby się zbliżyć do Drezna, gdzie przebywał Napoleon, tudzież do głównej kwatery monarchów sprzymierzonych. Posłałem hr. Bubnie rozkaz przyspieszenia decyzji Napoleona, co do przyjęcia pośrednictwa austriackiego; inny kurjer miał oznajmić Aleksandrowi przybycie cesarza Franciszka do Czech. W drodze spotkaliśmy Nesselrodego, który w imieniu Aleksandra prosił o spieszłą deklarację, co Austria uczynić zamierza. — Napoleon, zimno przyjąwszy nasze przedstawienia, według swego zwyczaju, zwrócił się z propozycjami do monarchów świeżo pobitych wojsk, — ale bezskutecznie. Z głównej kwatery naszej, zażądałem audyencji u Napoleona, której mi odmówiono. Zyskałem ztąd pretekst do spotkania się z Aleksandrem. Przyjął mnie w Opocznie i zaraz na wstępie powiedział, że jeśli Austria szybko się nie zdecyduje, w takim razie wspólna sprawa skończona i Rosyi nie pozostanie nic innego, jak wejść w układy z Francuzami. Wyłożyłem cesarzowi mój plan i prosiłem o formalne przyjęcie pośrednictwa austriackiego. — Cóż się z nami stanie, odparł, gdy Napoleon pośrednictwo przyjmie? — Jeżeli, odrzekłem, Napoleon odrzuci pośrednictwo, Austria stanie w szeregach sprzymierzonych; jeżeli przyjmie, to w ciągu układów pokaże, że nie umie być sprawiedliwym i rozsądnym: wszystko więc na jedno wyjdzie. W jednym i drugim razie, Austria znajdzie czas potrzebny do zgromadzenia armii i zajęcia obronnych pozycji. Zostawiłem Aleksandra uspokojonego; w domu zastałem zaproszenie do Drezna“.

Zaniepokojony odrzuceniem propozycji, uczynionych sprzymierzonym, i widocznym ruchem między dyplomacją trzech dworów, Napoleon, który pragnął rzeczy w zawieszeniu utrzymać jak najdłużej, jeśli się da aż do września, powołał Metternicha, żeby wybadać istotne zamiary Austrii. Od nowego roku, nalegał na dwór wiedeński, o czynną pomoc ze stu tysiącami ludzi,

przynajmniej o odnowienie traktatu zawartego przed kampanią rosyjską; w możność przystąpienia Austrii do koalicji, żadną miarą nie chciał wierzyć. Wtenczas to, 26 czerwca, miała miejsce słynna rozmowa Metternicha z Napoleonem, w pałacu Marcolinich, którą Thiers opowiedział podług udzielonej mu przez kanclerza notatki¹. Audyencya, bez świadków odbyta, trwała dziewięć godzin z rzędu; Napoleon prawie ciągle sam mówił, unosił się gniewem, opowiadał szczegółowo kampanię rosyjską, dowodząc, że go zima zwyciężyła; przesadzał własne siły, straszył wojską, groził, że w październiku Wiedeń zdobędzie, oskarżał się, że „głupstwo“ popełnił, pojmując arcyksiężniczkę za żonę. — Ponieważ W. C. Mośc zdaje się dbać o moją opinię w tej mierze, odparł dowcipnie Metternich, powiem otwarcie: że Napoleon zdobywca błędu się dopuścił. — Na groźbę Napoleona: chcecie wojny, będziecie ją mieli! odrzekł: Wojna i pokój jest w rękach W. C. Mości. Świat potrzebuje pokoju, aby światu pokój wrócić i zapewnić, trzeba, N. Panie, żebyś zamknął się w granicach z powszechnym pokojem zgodnych, lub uległ w walce; dziś W. C. Mośc możesz jeszcze pokój zawrzeć, jutro będzie może zapóźno. Cesarz Franciszek ma obowiązki, wobec których nikną inne względy. — Napoleon na to, że prędzej umrze, ale cała ziemia nie ustąpi. Wasi monarchowie, mówił, na tronach zrodzeni, mogą pobici wracać do stolicy; ja, żołnierz parweniusz, nie mogę. Ludzi zwyciężałem, z żywiołami nie mogłem walczyć; mróz mnie zwyciężył. Ale pozostał mi honor i świadomość, com winien walecznemu narodowi, który mi zaufał i którym ja tylko umiem rządzić. Naprawiłem straty ostatniego roku, proszę się przypatrzeć mojej armii.

W przedpokoju, Berthier, ów Berthier jak „niańka“ przywiązany do swego pana, dzielny i rozumny, rzekł do Metternicha

¹ Prócz wersyi Metternicha, żadna inna wersya autentyczna nie istnieje. W pamiętnikach polskich są opowiadania wręcz tej wersyi przeciwne, lecz oparte na przedpokojowych słuchach, niczem nie potwierdzonych. Thiers wyraźnie dodaje, że wersję Metternicha uważa za zgodną z prawdą, a w takich rzeczach, autor legendy napoleońskiej na niejaka zasługuje wiarę. Opowieść Metternicha zgodną jest wreszcie z całym jego zachowaniem się.

półgłosem: Pamiętaj, że Europa potrzebuje spokoju, a przede wszystkim Francya, która tylko spokoju pragnie. Metternich miał przeto prawo odrzec: — Właśnie, armia najbardziej chce pokoju. — Nie, żywo zawołał Napoleon, nie armia chce pokoju, ale generałowie. Nie mam już generałów! mróz ich zdemoralizował; widziałem najmężniejszych płaczących jak dzieci. I znowu powtarzał, że zniesławić się, zawrzeć pokoju po dwóch bitwach wygranych¹ nie może.

— Z tego wszystkiego wnoszę, rzekł Metternich, że między W. C. Mością i Europą daleko do zgody. Nadeszła chwila, że W. C. Mość i Europa rzucicie sobie wzajemnie rękawicę, lecz w walce nie Europa ulegnie.

— Sądzicie, że mnie koalicja obali? wieluż was jest? czterech, pięciu, sześciu, dwudziestu? czem więcej was będzie, tem ja będę spokojniejszy. Przyjmuję wyzwanie, w październiku zobaczymy się w Wiedniu. Czyście już zapomnieli rok 1809? . . . Zresztą, jeżeli przystaniecie na neutralność, rozpoczniemy w Pradze układy. Chcecie zbrojnej neutralności? dobrze. Postawcie trzykroć sto tysięcy ludzi w Czechach; cesarz niech mi da słowo że nie rozpocznie wojny przed końcem negocjacyi.

Metternich nie wątpił, że negocjacje posłużą za pokrywkę do postawienia armii francuskiej na takiej stopie, że jej koalicja nie poradzi.

— Cesarz Franciszek, odparł, ofiarował mocarstwom nie neutralność, lecz pośrednictwo, które Prusy i Rosya przyjęły. Jeżeli W. C. Mość pośrednictwo także przyjmie, oznaczymy czas trwania układów. W przeciwnym razie, mój monarcha zachowa swobodę dalszego postanowienia. Czas nagli, armia austriacka musi żyć. Za kilka dni zgromadzimy w Czechach dwakroć pięćdziesiąt tysięcy ludzi, które zaledwie na kilka tygodni znajdą tam żywność.

W tem miejscu Napoleon przerwawszy kanclerzowi, wdał się w dyskusję o sile liczebnej armii austriackiej i tem nieco zachwiał Metternicha, który dostatecznie poinformowany nie był. Następnie, raz jeszcze nawrócił do kampanii rosyjskiej i swego

¹ Pod Lützen i Bautzen.

wielkiego argumentu, mrozu; zaręczał, że jego urok osobisty we Francyi nie ucierpiał, a potęgą nie była nigdy większą.

— Fortuna, zarzucił kanclerz, może cię znowu zdradzić, NPane. Dziś cały naród francuski jest pod bronią, dzieci służą w szeregach. Gdy i ta armia zginie, co poczniesz, NPane?

— Nie jesteś żołnierzem, nie wiesz, co się dzieje w duszy żołnierza! Wzrosłszy na polu bitw, mało cenię życie miliona ludzi! zawołał Napoleon, krzycząc i rzucił kapelusz, trzymany pod pachą.

Metternich kapelusza nie podniósł, tylko, głęboko wzruszony w te odezwał się słowa:

— Otwórzmy drzwi i okna, niech te słowa cała Europa słyszy. Sprawa, której ja bronię, nie straci na tem.

Napoleon pomiarkował się w uniesieniu.

— Francuzi, rzekł spokojniej, nie mają prawa na mnie narzekać. Żeby Francuzów oszczędzić, poświęciłem Niemców i Polaków. W kampanii rosyjskiej zginęło trzykroć sto tysięcy ludzi, między nimi zaledwie trzydzieści tysięcy Francuzów¹.

— Zapominasz, NPane, zauważył Metternich, że mówisz do Niemca.

„Napoleon, powiada, wydał mi się bardzo małym. Tymczasem noc zapadła, nikt nie śmiał wejść do gabinetu. Napoleon wreszcie mnie pożegnał i odprowadzając do drzwi służbowego salonu, z ręką na klamce, rzekł: — Mam nadzieję, że się zobaczymy jeszcze? A potem, poklepał po ramieniu i dodał: — Wiesz, na czem się to skończy? Oto, wojny mi przecież robić nie będziecie!

— Jesteś zgubiony, NPane! zawołałem żywo. Przeczuwałem to, przychodząc tutaj; teraz odchodzę tego pewny.

„Berthier, korzystając z chwili, kiedyśmi sami zostali, za-

¹ Napoleon umyślnie przesadzał, bo Francuzów wiele więcej zginęło. Cyfry szczegółowe strat w odwrocie, pod względem stosunku narodowości, nie są dokładnie wiadome. Armia przeprowiona przez Niemen, liczyła jednak bez porównania więcej Niemców, Włochów, Polaków, Hiszpanów, niż Francuzów. Włosi i Hiszpanie wyginęli prawie do szczeru, Polacy nawykli do zimna, stosunkowo mniej ucierpieli od mrozu.

pytał, czym kontent z cesarza? — Dał mi, odrzekłem, wszelkie objaśnienia, jakich życzyć mogłem: *c'en est fait de lui*“.

W trop zjawił się u Metternicha ks. Bassano, z parafrazą rzeczy na audyencyi słyszanych. Metternich pożegnał go zapowiedzią noty z propozycją zbrojnego pośrednictwa, a zaniepokojony twierdzeniami Napoleona o sile armii austriackiej, wysłał kuryera do Schwarzenberga, z prośbą o dokładne wiadomości. Niebawem nadeszła odpowiedź, że Schwarzenberg potrzebuje jeszcze dwadzieścia dni do skompletowania armii, ale każdy dzień więcej, narazi go na kłopoty, z powodu niedostatku żywności. „Od tej chwili, pisze Metternich, szukałem tylko sposobu zyskania owych dni dwudziestu. Rzecz nie była łatwa. Napoleon umiał rachować; Aleksander i król pruski byli niecierpliwi i podejrzliwi; armia rosyjska nie mogła utrzymać się w okolicy do szczytu ogłoszonej“.

Metternich nie wiedział, jak Napoleon zwłoki szukał, i to nie na tygodnie, ale na miesiące. Przez trzy dni ks. Bassano wymawiał się brakiem instrukcyi. Dopiero na wyjezdnym kanclerz został powołany do Napoleona, otrzymał przedłużenie zawieszenia broni, pod warunkiem ratyfikacyi Aleksandra, tudzież zezwolenie na wywóz żywności z Austrii przez granicę saską i szląską. Pełnomocnicy mocarstw wojujących mieli się zebrać w Pradze, 10 lipca, na konferencyę z pełnomocnikiem Austrii, jako mocarstwa pośredniczącego; dzień 10 sierpnia oznaczono jako ostatni termin układów.

Podczas pobytu kanclerza w Dreźnie, 27 czerwca, stanęła w Reichenbach tajemna konwencya między Austrią, Prusami i Rosyą, opisująca wzajemny stosunek mocarstw na wypadek, gdyby dwór wiedeński ujrzał się zmuszonym poprzeć siłą ofiarę pośrednictwa między wojującymi, i w tym celu przyłączyć się do Rosyi i Prus. Gabinet wiedeński postawić miał wówczas Francyi następne warunki: Rozwiązanie księstwa warszawskiego i podział tegoż między trzy mocarstwa sąsiednie, bez udziału Francyi; przywrócenie Prusom granic jakie miały dawniej; restytucya Iliryi na rzecz Austrii; niezależność miast hanzeatyckich, przynajmniej Hamburga i Lubeki. W razie odmowy, Austriya wypowiedziała wojnę Napoleonowi. Dwory sprzymierzone przyrzekały działać

według wspólnego planu i w porozumieniu z naczelnym wodzem austryackim, nie wchodzić w osobne układy z nieprzyjacielem, nie składać broni, dopóki Niemcy nie zostaną wyswobodzone z pod zwierzchnictwa Francyi.

Konwencya była niewątpliwem zwycięstwem gabinetu wiedeńskiego nad sprzymierzonymi, zwycięstwem Metternicha, który zawdzięczał je własnej sztuce sprowadzenia do jednego mianownika różnorodnych żywiołów i sprzecznych dążeń, i temu, że w imię zbiorowego interesu przemawiał.

Wojna i pokój spoczywały przeciwz w ręku Napoleona. O księstwo warszawskie nie stał, protektorat nad konfederacją reńską tracił znaczenie z chwilą, w której Francya wyrzekała się szalonej myśli panowania nad całą Europą; departamenta hanzeatyckie, płód systemu blokady kontynentalnej, o wielkości i bezpieczeństwie Francyi nie stanowiły.

Austria niechętnie myślała o wojnie, cesarz Franciszek nie tracił nadziei zawarcia pokoju z Napoleonem i dlatego największe w żądaniach zachowywał umiarkowanie. W chwili otwarcia kongresu w Pradze, Metternich nie był pewnym decyzji cesarza.

„W. C. Mość, odzywa się w raporcie z 12 lipca, znajduje się na punkcie kulminacyjnym, jaki wśród pokoju osiągnąć było można. Wkrótce przyjdzie W. C. Mości wziąć ostateczne postanowienie. W. C. Mość nie ocali siebie i monarchii, nie będąc w zgodzie z samym sobą, jeżeli ja nie będę mógł liczyć na to, że W. C. Mość wytrwa na drodze raz obranej i mnie przepisanej. Gdybym tej pewności nie miał, postępowanie moje będzie fałszywe, niepewne, niebezpieczne; przy całym przywiązaniu do osoby W. C. Mości i monarchii, stanę się narzędziem zagłady Austrii, zagłady z biegiem wypadków aż nadto prawdopodobnej. W r. 1809, gdy monarchia w gruzach się znajdowała, gdy cały gabinet upadek państwa, wśród wojny czy pokoju, za niechybny uważał, W. C. Mość jeden odwagi nie stracił. W ciągu lat niewielu, dzięki szczęśliwym okolicznościom, odzyskaliśmy pierwsze w Europie miejsce, lecz droga, jaką szliśmy dotąd, odpowiednia czasowej niemocy naszej, nie może nam nadal wystarczyć. Daleko nam wprawdzie do tego, żebyśmy tak silni byli jak

niegdyś, lecz ciężar, jaki teraz rzucimy na szalę, szalę przechyli i rzecz rozstrzygnie.

„W. C. Mość podjął się pośrednictwa z dwóch pobudek: i w widokach przywrócenia pokoju, tudzież dla tego, że siły zbrojne monarchii nie były jeszcze uzupełnione, podczas gdy wojna wrzała u granic Austrii. Rozpocząć się mające układy oświecą nas, czy pokój jest lub nie jest możliwym. Do 10 sierpnia staniemy u kresu naszych uzbrojeń, dłuższa nieczynność wyjdzie tylko nam na szkodę, Napoleonowi na pożytek. W. C. Mość oznaczył warunki, świadczące o umiarkowaniu gabinetu austriackiego, a przez sprzymierzonych zaledwie za dostateczne uważane. Stoimy wobec alternatywy zawarcia pokoju na tych warunkach, albo odrzucenia naszych propozycji przez Francję i przystąpienia Austrii do przymierza; albo też przyjdzie nam zająć postawę zupełnie nową w razie, gdy sprzymierzeni odrzucą układ, przez Napoleona przyjęty.

„W pierwszym wypadku, rzecz się sama z siebie rozstrzyga. Co do dwóch drugich, przed rozpoczęciem układów, powinienem znać wyraźną wolę W. C. Mości. Żądania W. C. Mości stanowią minimum, od którego odstąpić nie możemy, bo tym tylko sposobem zdobędziemy rękojmię, że Napoleon nie szuka środków rozbicia koalicji, rozbrojenia mocarstw i zniszczenia każdego z osobna. Wtenczas Austrija, tak dobrze jak Prusy, nie uniknęłyby ostatecznej zatury. Jedna Rosya może się chwilowo ocalić, a będzie miała prawo rzucić się w objęcia Francji i dopomódz do zglądzenia nas. O prawdzie przewidywań moich tak mocno przeświadczony jestem, że nie przypuszczam dyskusji o punkt, co Austrija uczyni, po odrzuceniu warunków naszych przez Napoleona. W. C. Mość dochowasz danego słowa, szukać będziesz ratunku w ścisłym z sprzymierzonymi związku.

„Wszystko, w czem ustąpić możemy, ogranicza się do modyfikacji punktu, orzekającego zwrot Iliryi. Formalne odzyskanie tej prowincji odłożyć możemy do chwili przywrócenia pokoju na morzu (między Francją i Anglią). Nie przypuszczam, żeby W. C. Mość stanął po stronie Francji, w celu zmuszenia sprzymierzonych do przyjęcia gorszych warunków pokoju; ale co poczniemy, jeżeli sprzymierzeni odmówią podpisania pokoju, na podstawie

przez nas proponowanej? Pytanie to nie może i nie powinno być rozstrzygnięte, aż w chwili, kiedy samo wypłynie na wierzch, a rozstrzygnięte nie inaczej, jak na korzyść sprzymierzonych. W najgorszym razie, moglibyśmy wytrwać w zbrojnej neutralności, coby nas jednak mocno w oczach świata poniżyło.

„Czy mogę liczyć na stałość W. C. Mości, w razie odrzucenia naszych warunków ze strony Napoleona? Czy W. C. Mość ma silną wolę i niezmienną postanowienie powierzyć orężowi Austrii i sprzymierzonych obronę dobrej sprawy? Odpowiedź W. C. Mości posłuży za grunt polityce austriackiej, a mnie za instrukcyę. Najmniejsza pod tym względem istnieć nie powinna wątpliwość, jeżeli bowiem wola W. C. Mości nie będzie ustaloną, postępowanie moje w Pradze popadnie w nieprzebaczalną dwuznaczność. Zamiast wzmódcz szanse pokoju, albo zdobyć możność prowadzenia wojny korzystnej, wystawilibyśmy się na powszechną nienawiść i sami siebie zgubili. Co do mnie, stałbym się, powtarzam, narzędziem ruiny naszej moralnej przewagi i szacunku, jakim się monarchia cieszy“.

Posłuchajmy odpowiedzi cesarza Franciszka.

„Tobie głównie zawdzięczam wielkie stanowisko polityczne, jakie dziś monarchia zajmuje; na ciebie liczę, że mi dopomożesz to stanowisko nadal utrzymać. Pokój, pokój trwały, jest bez wątpienia najpierwszem życzeniem każdego uczciwego człowieka, tem bardziej mojem życzeniem, bo żywiej niż ktokolwiek cierpię i podzielam nieszczęścia, jakie wszelka wojna sprowadza na wiernych moich poddanych i na kraje, do których całą duszą przywiązany jestem. Do tego celu zdążać winny wszystkie usiłowania nasze; dla tego celu nieustannie dotąd ponosimy ofiary; na tej wytrwajmy drodze. Nie dajmy uwieść się chwilowym zyskiem, nabytkami terytoryalnymi. Warunki przezemnie postawione, będące w moich oczach podstawą i rękojmią trwałego pokoju, musimy utrzymać, chociaż rezultat jest bardzo wątpliwy; bądź co bądź jednak, przy zachowaniu tych warunków, pokój nie przestaje być prawdopodobnym. Unikaliśmy zadraśnięcia honoru Napoleona, to też nie będzie miał dobrej przyczyny odrzucenia naszych żądań. Należy przeto, przy rozpocząć się mających układach, nalegać na przyjęcie naszego minimum; innym mo-

carstwu zostawmy troskę o więcej, wspierajmy je w tej mierze, unikając przecież zerwania. Zachowaj największą uprzejmość, staraj się wejść na drogę naszymi życzeniami wskazaną; na niej pozostań, usuwaj przyczyny rozgoryczenia i doprowadź rzeczy do pomyślnego rezultatu. Gdyby Francya odmówiła zwrotu Iliryi, przed przywróceniem powszechnego pokoju, i gdyby ten punkt stać się miał kamieniem obraży, lub zadatkiem powodzenia układów, upoważniam cię ustąpić, żeby złożyć dowód, jak mi dobro powszechne leży na sercu. Będziesz jednak energicznie obstawał przy innych warunkach, chociaż kwestyę miast hanzeatyckich uważam za przedmiot tranzakcyi i przywiązuję doń wagę tylko o tyle, o ile Rosya uczyniłaby z niej warunek dalszego postępowania i wytrwania. W tej mierze, jak we wszystkim, rób, co będziesz mógł. Możesz liczyć, że pozostanę wierny tym zasadom. Gdyby Francya przyjęła moje warunki, a mocarstwa sprzymierzone zgody na nie odmówiły, ostrzeżesz mnie i przedstawiś dalsze propozycyę“.

Napoleon ułatwił, gwałtem wydarł teściowi bolesną decyzyę rozpoczęcia wojny z Francją.

W dniu oznaczonym, pełnomocnicy rosyjscy i pruscy stawili się w Pradze, wraz z ambasadorem francuskim w Wiedniu, mianowanym drugim plenipotentem. Caulaincourt, pierwszy plenipotent Napoleona, przybył dopiero 26 lipca i pełnomocnictwa nie przywiózł.

Jedno i drugie Napoleon obliczył umyślnie, aby nie dopuścić formalnych narad, które wcale miejsca nie miały. Natomiast usiłował odciągnąć Austryę od Rosyi i Prus, czyniąc dworowi austriackiemu coraz to nowe propozycyę: zwrot Iliryi, nabytki we Włoszech, milion ludności w Polsce, rozbiór Prus, powiększenie Saksonii po Berlin, przeniesienie króla pruskiego do Królewca, z drugą stolicą w Warszawie; wszystko nieszczerze, dla zyskania czasu.

„Przebieg naszych interesów tutejszych, — donosi Metternich Stadyonowi, pod 30 lipca, — zdaje się zapowiadać, że 10 sierpnia stosunki nasze z Francją zerwiemy. Caulaincourt, jak najlepiej zresztą usposobiony, jednego jest ze mną zdania. Utwierdził mnie w przekonaniu powziętem w Dreźnie, że Napoleon ludzi

się najzupełniej co do własnego położenia i ogólnego stanu rzeczy. Widząc wszystkie swoje rachuby zmylone, pociesza się nadzieją, że Austria nigdy mu wojny nie wyda. Zobaczymy co powie, gdy mu stanie przed oczami pewność, że do wojny zdecydowani jesteśmy⁴. — „W naszych negocyacyach zupełna cisza, — pisze do cesarza 5 sierpnia. Miałem dwugodzinną rozmowę z Caulaincourtem, który zaczyna tracić ostatnią nadzieję i bardzo otwarcie ubolewa nad zaślepieniem Napoleona¹. Jutro oczekuje nowych rozkazów z Drezna. Wręczyłem mu notę, zwalającą winę na istotnych sprawców złego — dziękował mi za nią“. — „Nota jest dobra, odpowiedział cesarz. Musimy robić wszystko, żeby nie spadło na nas oskarżenie i wina, jeśli do pokoju nie przyjdzie“. Wieczorem 6 sierpnia, Caulaincourt zakomunikował Metternichowi polecenia nadeszłe z z Drezna: Napoleon zapytał, co dwór wiedeński rozumie przez wyraz pokój i pod jakimi warunkami byłby skłonny połączyć się z Francją, albo pozostać neutralnym, W odpowiedzi, cesarz Franciszek postawił ultimatum, powtarzające znane żądania, w konwencji Reichenbergskiej wymienione. Żeby więciowi oszczędzić upokorzenia, zawarował, że Caulaincourt słowem honoru zaręczy za tajemnicę, ale dzień 10 sierpnia naznaczył jako ostatni termin odpowiedzi przez *tak*, lub *nie*, i ostrzegł, że w razie odmowy, „Austria połączy się z Rosją i Prusami, a los wojny rozstrzygnie o warunkach pokoju“. Otrzymawszy ultimatum, Napoleon schował je do kieszeni, przywołał Bubnę i w te słowa odezwał się: — Układy przez pełnomocników do niczego nie prowadzą. Mocarstwa sprzymierzone nie chcą wprost ze mną traktować, tylko za pośrednictwem gabinetu wiedeńskiego: niech więc Austria mówi za siebie i za innych. Czego żądacie odemnie? Zrobię wszystko, na co mi honor pozwala. Ustąpię, cesarz Franciszek odegra najpiękniejszą rolę, jaką kiedykolwiek monarcha odegrał. Księstwo warszawskie zniknie, oddam Gdańsk, Ilirję bez Istrii, Dalmacyę z Raguzą; król saski otrzyma kompensatę za księstwo; Hamburg i Lubekę zatrzymam do przywró-

¹ Źródła rosyjskie opowiadają, że Caulaincourt miał raz rzec do Metternicha: Macież wy przynajmniej dosyć wojska, żeby Napoleona do rozumu przyprowadzić? — Bądź spokojny, odparł kanclerz, będziem mu służyć według życzenia.

cenia pokoju na morzu. — Cesarz Franciszek więcej nie żądał. Gdyby Napoleon szczerze chciał być postępować i nie unosił się pychą, byłby był wprost odpowiedział i pokój zawarł w Pradze. Czy na długo, to inne pytanie. Ale Napoleon, raz krok zrobiwszy, zaraz się cofał. Rankiem 11 sierpnia, Caulaincourt przyniósł Metternichowi urzędową odpowiedź: Napoleon żądał dla Saksonii lewego brzegu Odry, Szczecina, Głogowy; proponował podział księstwa warszawskiego między trzy mocarstwa sąsiednie, w sposób później oznaczyć się mający; wynagrodzenie Saksonii kosztem Austrii i Prus; zwrót Iliryi, bez Istrii, Tryestu i Gorycyi; o Hanowerze, Hanzie, związku reńskim wcale mowy nie było. — Wczoraj, odrzekł Metternich, byliśmy jeszcze pośrednikami; dziś nasza rola skończona. Propozycye czynione być winny trzem dworom.

O północy z 10 na 11 sierpnia, wyszedł manifest austriacki o zerwaniu układów. Ognie zapalone po drodze z Pragi do Szlązka, zwiastowały wojskom sprzymierzonym, że granica czeska stoi przed niemi otworem. W dwa dni później, nadeszły z Drezna dla Francuzów formalne pełnomocnictwa do wzięcia udziału w kongresie.

(C. d. u.)

Henryk Lisicki.

HORWACI W DALMACYI.

(Ciąg dalszy.)

2. Zajęcie Iliryi przez Horwatów i Serbów. — Odrębność plemienna dzisiejszych Horwatów i Serbów pod względem języka, wiary, obyczajów i dążności. — Pierwsze osady Horwatów w Dalmacyi; jak należy ten lud nazywać i pisać. — Wkroczenie innych Słowian do Iliryi; bałamutne twierdzenia Porfirogenity i innych za nim powtarzających dziejopisarzy, mianujących te ludy Serbami. — Chrzt Słowian w Iliryi. — Pierwsza epoka chrztu Horwatów w Dalmacyi w VII. w. — Druga epoka chrztu w IX. w. odnosi się do Neretwian. — Wprowadzenie języka słowiańskiego do liturgii rzymskiej w Horwacyi. — Odstępstwo biskupów dalmatyńskich. — Wielki Żupan Branimir wysłał Teodozjusza, biskupa horwackiego do Rzymu; pobyt tamże Św. Metodego i Teodozego (880). — Jan VIII. pozwolił na zaprowadzenie języka słowiańskiego w liturgii: dowody z listów Jana VIII., Urbana VIII., Inocentego X., nadto wiele innych dowodów.

Kolej wypadków prowadzi nas do zajęcia Iliryi przez Horwatów i Serbów.

Porfirogenita pierwszym jest z historyków, który nam zostawił dokładniejsze wiadomości o osiedleniu się Słowian w Iliryi; pierwszym jest i jedynym, który podał nazwy dwóch plemion tu osiadłych; podług niego Horwaci tylko i Serbi zawładnęli temi ziemiami. Dzisiejsze etnograficzne stosunki w tych krajach poświadczą się zdają wiarogodność tego opowiadania; lud słowiański, który dziś zamieszkuje te ziemie, niezależnie od politycznych stosunków, dzieli się na Horwatów i Serbów, zbliżeni językiem, różnią się wiarą, obyczajami i dążnościami.

Język południowo-zachodnich Słowian, nazywany czasem *iliryjski*, dzieli się na *horwacki*, *serbski* i *słoweński* (korutański); horwacki najwięcej zbliżony jest do serbskiego. W języku hor-

wacko-serbskim trzy są główne narzecza: *czakawskie*, *sztokawskie* i *kajkawskie*, od trzech różnych sposobów wymawiania wyrazu *co*, *cza*, *szo* i *kaj*. Narzeczem kajkawskim mówią w podzupaniach: warażdyńskiej, zagrzebskiej, kriżewackiej i bielowskiej; czakawskim na pomorzu i otokach; sztokawskim zaś w pozostałych ziemiach przeważnie mówią niem Serbi. Ten podział wszakże nie jest dokładny, w niektórych okolicach narzecza te są bardzo pomieszane. Niektórzy uczeni dzielą narzecza sztokawskie na trzy podpodziały, na *jekawczyne*, *ikawczyne* i *ekawczyne*, stosownie do wymawiania *e* jako *je*, *é* (pochyłe czyli *i*) i *e* (otwarte). W narzeczach, jakimi mówią ludy horwackie, w Dalmacyi szczególnie, znajdują się wszystkie rdzenne słowa polskie; u ludów Serbskich także słowa ruskie: w języku piśmiennym horwacko-serbskim czasem jedno, czasem drugie przeważają. Zatracili Horwaci samogłoski nosowe, nadto następujące głoski: *y*, *ł*, *dź*, *szcz*; zachowali *é* i *dź*. Głoska *ł* zmiękczona na *l* coraz więcej ściiera się, i tak: *był* przeszło w *bil*, obecnie w *bio*; Białogród, Bielygrad, Biograd, Belgrad pisze i wymawia się teraz Beograd, albo, wedle *ikawczy*, Biograd. Język horwacko-serbski jest ciągle w toku przeobrażania się: względy polityczne więcej, aniżeli naukowe powodują pisarzy do ujednostajnienia tych języków. Ze wszystkich języków słowiańskich język ten najwięcej wyróżnia się od macierzystego szczepu, wiele obcych naleciałości znalazło w nim prawo obywatelstwa; są tam wyrazy: perskie, arabskie, tureckie, albańskie, gockie, włoskie i inne, urobione na modłę słowiańską. Mało dotąd posiadamy źródeł, z którychby wyprowadzić można dziejowy rozwój wzajemnego zapożyczania, przeradzania się i nadawania jednostajnego ustroju tym językom. Zagrzebski słownik akademicki Danczića trzy dopiero obejmuje głoski, pomimo jednak bogactwa materiału i starannego wydania nie odpowiada poszukiwaniom historycznym. Autor nie znał potrzebnych języków słowiańskich, nie zestawia ich nigdzie z językiem horwacko-serbskim, wyrazom rdzenia czysto słowiańskiego przypisuje obcy ród¹; nadto rzadko bardzo uwzględnia i wymienia miejscowości,

¹ I tak pisze Danczić: *Cura* (puella, djevojka). *Postańa tamna*, może biti od tal. *ciulla*. A jednakże: *córa*, córka, *cera*, cerka, *kczerka*, kezi, *Дъщи*, *дочь* są słowiańskie.

które używają szczególnych wyrazów i wyrażeń: zna dzieła pisane w różnych epokach, ale mało bywał między ludem i nie czerpał z ludowych gwarów. Odrębność i dążenia polityczne sprawiają, iż jeden i ten sam język Horwaci zowią horwackim a Serbi serbskim; w stosunkach urzędowych nazywają go horwacko-serbskim. Różnica zewnętrzna tych języków polega nadto na alfabecie; Serbi używają *grazdanki* ułożonej przez Karadzića, Horwaci zaś liter łacińskich według wskazówek Ludwika Gaja.

Co do wiary Horwaci są katolikami, Serbi zaś prawosławnymi¹; Mahometanie bośniaccy po większej części Horwatami.

Obyczaje, zwyczaje, typy nawet powierzchowne są zupełnie różne. Jeden z uczonych rosyjskich p. Łamanski, który miał sposobność gruntownego poznania wszystkich plemion słowiańskich, uderzony został różnicą między Horwatami i Serbami, a nadto zauważył wielkie podobieństwo Horwatów do Polaków, Serbów zaś do Rusinów².

¹ W południowo-zachodniej Słowiańszczyźnie pojęcia narodowe ściśle są połączone z wyznaniowemi; wyrazy Horwat i katolik biorą się jeden za drugi, jak również Serb i prawosławny. Serbi i Horwaci w Bośni, Dalmacyi i całej Horwacyi rozróżniają się pospolicie nie mianem swem narodowem, ale różnem wymawianiem wyrazu *Chrześcijanin*: i tak *Kršćanin* wyraża katolika, a zarazem Horwata, *Chrišćanin* zaś prawosławnego i Serba. Nie znał tych stosunków Hilferding i dlatego dziwił się otrzymawszy odpowiedź od Bośniaka katolika, iż nie jest Serbem. Zresztą historycznie i etnograficznie w Bośni znajdują się Horwaci i Serbi. Tamten wieśniak był Horwatem, ale o tem nie wiedział, wiedział jednakże, że nie jest Serbem, to jest prawosławnym. Pojęcie narodowości nie jest tam jeszcze rozwinięte, są tam katolicy i prawosławni a mówią językiem *naszkim*. Ten wyraz *naszki* w tamtych stronach jest dość zwyczajnym. P. Gopczewić w opisie swej podróży po Albanii przytacza podobne zdarczenie. Rozmawiał z jakimś wieśniakiem około Skadaru po serbsku, wreszcie pyta go: Czy ty Serb? — Nie, odpowie zapytany. Jako nie Serb, kiedy po serbsku mówisz. — Ja nie po serbsku mówię. A jakimże ty językiem mówisz? — *Naszkim*. Zresztą w XVI. czy XVII. w. w samym Dubrowniku pisano po *naszku*; między Słoweńcami znajdują się całe okolice, gdzie mówią po *naszku*. Górale tatrzańscy mówią, *naszki* człowiek.

² Впрочемъ, кажется, хорватское нарѣчіе уже очень давно подверглось влиянію сербскому, тѣмъ не менѣе характеръ и бытѣ этихъ двухъ племенъ рѣзко различаются, и какъ то и другое чрезвычайно напоминаютъ Сербы Малороссіяны а Хорваты Поля-

Charakterystyczną różnicę między Horwatami i Serbami stanowiły tytuły wodzów i panujących; podczas gdy ludy horwackie miały swych Banów i Żupanów, Serbowie w początkach tylko zawiązania swego państwa, dopóki większa łączyła ich spójnia z Horwatami, mieli „Wielkich Żupanów“. W Serbii znika ten wyraz w tytułach królów i carów, zachował się tylko w Horwacyi, po obu stronach Sawy, zachowali go Madiarzy po ujarzmieniu Horwatów, a dzisiaj jeszcze *županik* znaczy proboszcza między Horwatami ¹.

ковъ. Сходство сербскихъ селяковъ особенно въ Сербіи съ Малоруссами, а Хорватовъ Приморцевъ съ Мазурами поразило меня чрезвычайно. Это мнѣніе я сообщилъ и другимъ наблюдателямъ и слышалъ отъ нихъ, что они сами замѣчали это сходство. Католицизмъ и дворянская конституція Хорватовъ, православіе и относительно демократизмъ Сербовъ — еще больше увеличиваютъ это сходство, которое основано, вѣроятно на томъ, что Сербы и Хорваты въ первоначальной своей родинѣ, Восточной Галлиціи, принадлежали уже къ двумъ племенамъ: Хорваты къ лянскому, а Сербы къ тому славянскому племени, которое въ послѣдствіи стало называться Русскимъ, Русью, Русинами, Руснаками, и единств. Русинъ. (Сербія и Южно славян. пров. въ Австріи стр. 71).

¹ Wyraz *župa* oznaczał część kraju, powiat; *župan* zaś przełożonego nad *župa*, *župania*: *Wielki župan* miał władzę nad *županami* i odpowiadał godności książęcej. Wyraz ten jest znany w całej zachodniej Słowiańszczyźnie, nawet między Słoweniami, nieznaną zaś we wschodniej, chociaż napotyka się w staro-słowiańskim języku. Wyraz „*Župan*“ niewiadomego jest pochodzenia. Goci mieli podobny wyraz *Siponeis* t. j. *Zipon*, *zoapon*; w Banacie wyraz „*Župuni*“ w ustach Wołochów znaczy to samo co pan.

Ban, niewiadomego pochodzenia, po raz pierwszy wspomniany po grecku (βασιλος) w X-ym w., w latopisach miejscowych w w. XII-ym, oznaczał urząd naczelnika kraju. Banowie byli tylko między Horwatami w Dalmacyi, Bośni, Sławonii i Horwacyi; nie było ich ani w Serbii, ani w Bułgarii, chociaż pisarze horwaccy książętom i panom zagranicznym dają w swych pismach tę nazwę. Gundulić nazywa naszego Zborowskiego, *ban Zborovski*; Marulić mówi: *bani asirski*. Dzisiaj jedynie tylko w Horwacyi utrzymała się ta nazwa: *Banem* nazywa się Namiestnik królewski w Zagrzebiu dla trójjedynego (teoretycznie) królestwa Horwacyi, Sławonii i Dalmacyi. (Dalmacya ma jeszcze dotąd osobnego Namiestnika).

Banat, w południowych Węgrzech, tego samego jest pochodzenia. Banatus czyli ducatus, po horwacku *Banovina*, znaczy kraj podlegający rządowi Bana. W Serbii są wioski, Banska Goryca, BANSKO SOLO; w Bośni, Banjaluka t. j. Bańska Łuka czyli Bańska

Horwaci i Serbi pod berłem Habsburskiem, wbrew dobrze zrozumianej własnej sprawie, stoją wrogo jedni przeciw drugim. Tak w sejmie Zadarskim jako i Zagrzebskim, Serbi, choć zostający w znacznej mniejszości, nie wyrzekają się swych praw a raczej uroszczeń; obecnie zaś, po przyłączeniu „Pogranicza“ posłowie Serbscy wzrosli w liczbę i założyli w Zagrzebiu osobny klub „Niezawisłych Serbów“.

Odrębność tedy istnieje i dziwić się temu niemożna. Społeczeństwo horwackie wyrobiło się wśród sprzyjających okoliczności; jego stosunki ze stolicą świata cywilizowanego, przestawanie z dawnymi osadnikami rzymskimi, sama nawet niewola pod Wenecją i Niemcami, dawały mu sposobność do wyższej kultury. Stąd Dubrownik w XVI. w. staje się „Atenami słowiańskimi“, stąd statut winodulski z XIII. w. jakąż ogromną ma wyższość naukową i moralną nad „Zakonnikiem“ Duszana; podczas gdy statut horwacki stoi na wysokości praw rzymskich, serbski jest barbarzyńskim. Maciejowski ¹, którego o nieznajomość ani o stronniczość pod tym względem nikt nie pomówi, tak się wyraża o „Zakonniku“: „Wszystkie te zmiany na coraz smutniej brzmiącą prawo serbskie nastrajając nutę, postawiły go w zupełnej z dyplomatami sprzeczności, które jest w nich więcej niż w statutach łagodne, a przynajmniej nie tyle co w tych *zabobonne, surowe, krwio przelwu i śmierci winowajców chciwe, wymyślające dla reszty Słowiańszczyzny nieznanne, pełne potworności, ludzkość oburzające* i t. p. *lary* ².

Łąka. Wyraz „ban“ nie jest pochodzenia czysto słowiańskiego. *Ban*, *pan* po persku znaczy wódz (Führer, Hüter); po gocku *Fan* ma to samo znaczenie. Z Sankryckiego rdzenia *pa*, bronić, chronić, tueri, urabia się *pana*, ochrona. Abarowie dowódcę swego nazywali *Bajan*. Po dziś dzień jeszcze w Dubrowniku i pomiędzy Czarnogórcami *ban* bierze się w znaczeniu godności, zamiast pan, gospodarz. W zachodniej Słowiańszczyźnie wyraz *pan* został powszechnie przyjęty; we wschodniej nie był znany.

¹ Praw. Słow. t. VI, str. 351.

² Walki Serbów usiłujących się wybić z niewoli tureckiej w tym wieku są nacechowane dziwną srogością i barbarzyństwem. W zaciętym boju, krwią pijane żołdactwo, popełnia okrucieństwa — da się to pojąć, choć nigdy usprawiedliwić; ale mordowanie bezbronnych jeńców, rzezie i rabunki, łamanie najświętszych zobowiązań

Dziś tedy odrębność plemienna Horwatów i Serbów jest wybitną, ale czy taką była dwanaście wieków temu? Najprzód nie jest rzeczą wiadomą dzisiaj, czy ludy, które zwały się dawniej Horwatami i obecnie też miano sobie dają, stanowiły pierwotnie jedno tylko pokolenie, nieznanym jest również ich rodowód, ani miejsce pochodzenia; o Serbach jeszcze mniej powiedzieć można. Osiedlały się w Iliryi różne pokolenia słowiańskie, różne

(ob. Serbia p. Saint René Taillandier, Toruń, str. 48 i 49), są pogaństwem i dzikością. A i same ówczesne historyczne postacie które z gminu, z pastuchów, żelazną wytrwałością i nieustraszoną odwagą wydobyszy naród swój z jasyru, stanęły na jego czele, jakże dalekie są od bohaterstwa, a nawet jakże wstrętne budzą uczucia! Taki Kara-Dźordź zabija własnego ojca, własnymi rękami wiesza brata swego rodzzonego, cheiwie i nie zawsze uczciwie gromadzi złoto i haniebną ratuje się ucieczką wtenczas, kiedy kraj którym rządził, w śmiertelnym boju z wrogiem, największej potrzebował pomocy. Taki Miłosz, aby utrzymać się przy władzy, nie cofa się przed morderstwem wojewody Mollera, arcybiskupa Melenti'ego, samego nawet Kara-Dźordźa — a syn jego ginie od zbrodniczej ręki uzbrojonej Kara-Dźordźewiczami! Ranke który sprzyja bardzo sprawie serbskiej, nie może się powstrzymać od zawołania: „Nie jest to ziemia, na którejby się rozwinęła siła moralna, która sprawia, że człowiek stawia czoło nieszczęściu, poświęca życie swoje w ofierze z zupełną świadomością, iż je poświęca dla honoru; tego wyższego żywiołu brak jest w dziejach, które opowiadamy“. Nie był tam brak honoru protestanckiego, ale cnoty chrześcijańskiej.

Długa niewola, płaszczenie się przed wrogami przyczyniły się zapewne do wyrobienia tych charakterów, tak sprzecznych z duchem prawdziwie chrześcijańskim a powiemy i słowiańskim. W całej historii Serbii przebija się jakieś azyatyckie barbarzyństwo. Raicz przywodzi ustęp z kroniki Brankowića dosadnie malujący ówczesne zwyczaje. Około r. 1480 knez Paweł Brankowić posiłkował wraz z swym oddziałem wojewodę Siedmiogrodzkiego, w wojnie przeciw Turkom. Po bitwie zwycięskiej pod Kenir (?) Serbi wyprawili ucztę, na trupach poległych pili zdrowie żywych. Po wielu zapewne libacyach wstaje knez Paweł, porywa w zęby trupa tureckiego i długi czas skacze z nim w około, wśród pieni i płasów wojennych swych towarzyszy. Co za obraz! ..И поставленной бывшей трапезъ на трупяхъ мертвыхъ съдона ясти и веселииши, и воставше начаша вопиственно хоро играши, припевающе различныя юначескія пѣсни. И Павелъ князь въ скакательное играніе понудивъ себе; и въ средѣ круга тога зубами схвативъ мертвую тѣлесину неприятельску, и долго съ нею скакаше зубами держа“. (Раичъ Ч. III. стр. 294).

półki¹ zbrojne sadowiły się między współbratymcami; kronikarze dają im ogólną nazwę Słowian, lub sprzęgają z nią imiona ich panów: Serbów dopiero wymienia Porfirogenita, lecz jak zobaczymy bez słusznej podstawy. Pokolenia te różniły się zapewne narzeczem, na czym zaś ta różnica polegała, jakie były główne rodziny najwięcej do siebie zbliżone pochodzeniem i gdzie osady swe miały — dotąd niezbadano. Nie dzieliła ich wówczas religia; niektóre stare zwyczaje i obchody, wspólne wszystkim Słowianom, wskazują jedność ich pierwotnych wyobrażeń religijnych. Nazwiska zaś, które obcy nadawali plemionom słowiańskim, mało, albo nawet wcale nic nie dowodzą. Jak się sami zwali, jeżeli się zwali, nic o tem nie wiemy. Zresztą jedno i to samo pokolenie ze zmianą miejsca i przywódców zmieniało też i nazwę, rozszczepiało się na kilka różnych odrośli, różne nazwy przybierających; przeciwnie znów kilka różnych pokoleń, zbliżonych szczególniej pokrewieństwem, łatwo zlewało się w jedno, pod silną ręką rządzącego księcia. Pomimo tedy zapewnień Porfirogenity, że Horwaci tylko i Serbi zajęli Dalmacyę, wobec świadectw innych kronikarzy, a szczególnie w wypadkach dziejowych, które się następnie rozwijały, utrzymujemy, iż zajęcie Dalmacyi i ogólnie Iliryku dokonane zostało przez *różne pokolenia* słowiańskie, z których jedne utworzyły niebawem państwo horwackie, inne zaś przez kilka wieków stanowiły składowe części różnych księstw i państweczek oddzielnych, a skupione dopiero pod Nemaniczami dały początek państwu i narodowi serbskiemu.

Wracamy obecnie do osiedlenia się Horwatów i Serbów w Iliryi. Jakkolwiek stan obecny tych krajów odpowiada dobrze słowom Porfirogenity, — następne wypadki dziejowe nie idą w parze z jego twierdzeniem, jak o tem przekonamy się niżej. Oto co mówi w streszczeniu kronikarz o zajęciu Iliryi przez Horwatów:

Horwaci pierwotnie mieszkali u podnóża Karpat, niedaleko Babiej góry (Ἐκείθεν Βαγβαρείας). Część plemienia, pod wodzą książąt: Klukas, Lobel, Kosenec, Muchlo, Ch'rwat i dwóch

¹ *Puk* po horw. znaczy lud, pochodzi niezawodnie od *pólk*, *pulk* przez starcie głoski *ł*.

księżniczek, Duga i Buga, wyruszyła ku południowi, a otrzymawszy pozwolenie od cesarza Herakliusza, weszli do Dalmacyi i tam się osiedlili po kilkuletniej wojnie z Abarami. Granicami pierwotnego państwa horwackiego były: od południa Cetyna, Imoski, Liwno; od wschodu rzeka Wrbas, miasta Jajce i Banialuka; na północ Drawa, Kupa i Arsia; na zachód morze Adryatyckie. Kraj podzielony był na jedynaście żup: Chliwno (Liwno), Cencina (Cetina, Tzentina, czy nie Żęcina?), Imota, Plewa, Wezenta (Pezenta), Primorie (Parathalassia), Bribir (Brebera), Nin (Nona), Knin (Tnina), Sidraga (?), Nina (?); nadto trzy żupy rządzone od bana: Korbawa, Lika (Litza), Gacko (Gutzika). Część Horwatów udała się do Panonii posawskiej i tam założyła państwo niezależne. Główniejsze miasta horwackie były: *Białogród* (Biograd) na pomorzu adryatyckiem, *Bihacz* nad Uną i *Sisek* na Posawiu. Inne miasta dalmackie: Dubrownik (Ragusa), Zadar (Diadora, Zara), Trogir (Trau) i wyspy: Krk (Weglia), Rab (Arbe), Ozero (Opsara) zajęte były przez osadników rzymskich i później dopiero dostały się pod panowanie Horwatów.

Oto prawie wszystko co mówi kronikarz bizantyjski o początkach tego państwa, należy roztrząsnąć i wyjaśnić niektóre szczegóły.

Pierwsze pytanie jakie się przedstawia, skąd pochodzi nazwa tego plemienia, pomimo uczonych rozpraw słowiańskich badaczy, nie jest dotąd rozwiązane. Szafarzyk wywodzi nazwę plemienia od *Chrib*, *Chribet*, *Chrebet* (grzbiet góry), Dr. Geitler¹ od *Chariv*, *Sariv* (defendere), inni od *Garb*, *Horb*², który to wyraz prawdopodobnie Porfirogenita przemienił na grecki *Karpathos* (wyspa grecka t. i.). Kronikarze pisali ich *Chrobati*, *Chrabati*, *Charwatin*, *Croati*, sami zaś pisali się *Herwati*, *Arwati* a ostatecznie *Hrwati*³. Jak ich nazywać i pisać po polsku? Nigdy *Kroaci*, bo to wyraz cudzoziemski; niema też dobrej przyczyny aby ich zwać *Chrobaci* raczej aniżeli *Chorwaci*, nadto ponieważ nie jest rzeczą pewną od czego ten wyraz pochodzi, sądzimy, iż lepiej pisać przez *h* a nie przez *ch*, tym bowiem sposobem wyrażenie *Horwaci* lepiej

¹ Rad. jugosl. akad. kn. XXXIV., str. 111).

² Od tego może *Horbacy*.

³ Ob. obszerniej Star. Słow. Szaf. str. 684.

odpowiada nazwie, jaką ten lud sobie daje, tak co do dźwięku, jako i co do pisowni.

Jakie ziemie zajmowali Horwaci przed wtargnięciem do Dalmacyi nie jest rzeczą historycznie pewną. Dziejopisowie w różnych miejscach wspominają Horwatów: w Iliryi, na Rusi, u podnóża Karpat, w Czechach i w Styryi; czy byli tem samem plemieniem a nadto czy to była rodowa gałąź szczepu słowiańskiego, o tem nie zdają się powątpiewać, przyjmują to za pewnik, czy jednak zupełnie słusznie! Przed Porfirogenitą i Nestorem, kronikarze wschodni i zachodni, Theophan (758—818) i Paweł Diakon Winfrid (730—796) przytaczają zdarzenia ludu uralskiego, które co do czasu, stosunków, nazwiska wodza wiele wydają się mieć łączności z ludem horwackim¹. W każdym razie jeśliby nawet można dowieść, że nazwisko tego wodza, Crobatus, nadane potem zostało całemu ludowi, to jednak rzeczą jest pewną, że lud noszący tę nazwę cudzoziemską był słowiańskim. Kronikarze średnich

¹ „Sub in vero tempus Bulgarorum gens in Thraciam irrupit... *Crobatus* quidam praefatae Bulgariae Contragorumque Dominus, letho vicinus, filios quoque post se relinquens“... (Theophan pod r. 671).

Paweł Diakon zam. *Crobatus* pisze *Orbatus*. Niccyfor (Nikifor Callista) powtarza zapewne za Theophanem, że *Cobratus* v. *Crobatus* za czasów Herakliusza r. 634 odstąpił od Chagana abarskiego i zawarł przymierze z Herakliuszem, potem mówi: „Porro Constantini tempore qui in Occidente obiit, Curatus (? *Crobatus*) quidem gentium illarum princeps ex hac vita discedens, quinque filios reliquit, quibus hoc testamento praecepit, ne seorsim a se invicem habitarent, quo imperium communi concordia stabilirent. At illi paternis mandatis neglectis, paulo post sejuncti sunt, adeo ut suam quisque populi partem abduceret. Horum primus Basianus (Paweł nazywa Bathajas), ex parentis praecepto, patrio in solo in hanc usque diem constitit. Secundus Contragus (Paweł — Contaragus) transmisso Tanai, horum ex adverso sedes posuit. Quartus trans Istrum penetrans, in Pannonia, quae nunc sub Abarorum potestate est, foedere cum habitatoribus inito, domicilium collocavit. Quintus in Ravenatem Pentapolim delatus, ac Romanorum vectigalis factus est. Denique tertius, Asparuch (Paweł — Hasparuch) nomine, Danaprim et Danastrim flumina trajiciens, ad Danubium conседit, ubi locum ad habitandum idoneum occupavit, quem sua lingua Oglum (Paweł Honglon, Honglon; Theophanus — Onclum) appellant, accessu difficilem, et hostibus inexpugnabilem: cujus anteriora situs asperitate et paludinibus munita sunt; posteriora praeruptis rupibus ac salebris tamquam muro vallantur“.

wieków mało wspominają o Horwacyi i Horwatach, nazwy te później znikają z pergaminów, choć Ilirya jeszcze stanowi wyjątek. Z czasem wychodzą i tu z użycia, ale nie wygasły jeszcze między Kupą i Sawą. Ustaje wreszcie letarg. Okrzyk „*Živila Hrvatska*“ rozlega się od Dubrownika po Zagrzeb; od Velebića i Dynar odbijają się echa w „planinach“ Kranjców, Primorców, Koroszców i Sztajerców. Pieśń „*Josz Hrvatska nij' propala*“¹ jest hasłem do skupienia i walki, lecz czy jest zarazem zapowiedzią zwycięstwa? Jeżeli wiekowe gnębienie wrogich szczepów zdołało usnąć tylko, lecz nie zdołało wykorzenieć poczucia narodowego, to w dzisiejszych okolicznościach, potężnie a roztropnie występująca siła żywotna wielką daje otuchę przeważenia szali na stronę prawdy i sprawiedliwości.

Historya wtargnięcia Serbów do Iliryi przedstawia te same trudności a niepewności jeszcze większe. Porfirogenita tutaj również jest jedynym dla nas źródłem, lecz to źródło mętne jest. Wiele zarzutów uczyniono, a jeszcze więcej uczynić można kronikarzowi koronowanemu, przytoczyliśmy już wyżej niektóre z nich, podnosimy nadto tutaj jeden, odnoszący się do sprawy obecnej, a który

¹ Pierwsza pieśń horwacka śpiewana była w teatrze zagrzebskim d. 7 lutego 1835 r., ułożoną była przez Ludwika Gaja:

„*Još Hrvatska nij' propala,*
Dok mi živimo,
Visoko se bude stala,
Kad ju zbudimo.
Ak je dugo tvrdo spala,
Jača hoće bit,
Ak je sada u snu mala,
Če se prostranit.
Brača danas kolo vodi,
Danak svetkuje
Horvatska se preporodi,
Sin se raduje.
V kolu jesu vsi Horvati,
Stare države,
Staroj Slavi verni svati,
Z Like, Korbave,
Krajnci, Stajer, Korotanci,
I Slavonija,
Bosna, Serblji, Istrianci,
Ter Dalmacija“.

był i jest powodem zawikłań w pierwotnych dziejach Serbów. Cesarz Konstantyn osadowiwszy Horwatów w Dalmacyi, wszystkie inne ziemie w Iliryi na wschód i południe, osiedla ludem, który nazywa *Serbami*. Konstantyn od parady wprawdzie był cesarzem ale nie od parady Bizantyjcem, nie bez przyczyny zowie on te ludy Serbami. Za jego czasów książę serbski Czesław, zostający na żołdzie Greków, podbił sobie ziemie horwackie nad Bośnią, Porfirogenita miał nadzieję, iż z czasem inne księstwa przejdą pod władzę Serbów, a tem samem pod zależność bizantyjską. Historycy opierając się na Porfirogenicie¹ usiłują nawiązać dziejowe wypadki w tych krajach od VII. w. po XII. by przedstawić całość historyczną, lecz mozolna ich praca nie jest uwieczniona skutkiem pożądanym: chcąc niechcąc poczynają historję Serbii i Serbów od Nemanii. Inaczej być nie mogło. Porfirogenita nie miał prawa ani słuszności nazywać ten lud słowiański Serbami. Najprzód ani przed nim, ani za jego czasów nie istniało w tych krajach *państwo serbskie*. Małą żupanję pomiędzy Sawą, Driną i Bosną nazywa *Serbsko*, a latopisiec horwacki nazywa ją *Sorbia*, *Surbia*; inne wszystkie księstwa słowiańskie, które on wymienia, nosiły osobne nazwy: Zachelmskie (Zachlumie), Neretwa, Terwunia, Konawlja,² Dukla albo Zenta. Wspomina wprawdzie

¹ W ostatnich czasach niektórzy z historyków zaczęli zwracać uwagę na niedokładność podań Porfirogenity; i tak czytamy w historyku horwackim p. Tadeuszu Smicziklasie (Pov. hor. dio. I, str. 228) zdanie p. Drinowa: „Sada se je utvrdila teorija, da su sva južno dalmatinska plemena dielovi jednoga naroda srbskoga, i da su od uvijek sačinjali jedan politični savez, teorija, koju izvanrendnom revnošću razvija Konstantin Porfirogenet, a teorija je ta sasvim bez osnova jer se nalazi u očitom protuslovju s kazivanjem drugih suvre—menih izvora“.

² Porfirogenita nazywa jedno z księstw *Kanale* (Canale, *κα·ναλή*), który wyraz ma być słowiańskim a pochodzi stąd, iż lud tamtejszy używał wozów: „Estque sub ea alia adhuc regio, quae Canale (*κα·ναλή*) nuncupatur; Canale vero „Viam plaustris“ (*ἀ·μ·π·λ·ι·α*) Selavorum idiomate significat: nam propter loci planitiem servitutes omnes plaustris praestant“. Ta nazwa jest widocznie przekręcona. Mógł ten lud nazywać się *Koniale* od konia, choć prawdopodobnie zwano go *Kolanie* od *kolo*, wóz. P. Jagier, ze starych dokumentów horwackich, z r. 1194, pisanych po łacinie, przywodzi niektóre wyrazy horwackie umieszczone obok jednoznaczających łacińskich, i tak

Porfirogenita, że niektóre z nich ¹ podlegały księciu serbskiemu, ale kto był ten książę, w którym kraju panował, żadnych szczegółów. Następnie na jakiej podstawie utrzymuje Porfirogenita, że plemiona słowiańskie, które zajęły Ilirję, należą jedynie do plemienia Serbów! Kronikarze wcześniejsi od niego nic o tem nie wspomnieli, późniejsi zaś nie potwierdzają wiadomości przez niego podanych. Uczony geograf Edrisi zna Ilirję, przytacza dość szczegółowy opis miast i ludów tam zamieszkałych, lecz o Serbach nie wspomina; „ksiądz duklański“ był Słowianinem, kraje te zamieszkiwał i o krajach tych kronikę pisał, otóż ten naoczny świadek *nigdzie* nie wymienia Serbów ². Te ziemie mogły być za-

obok „*via curri*“ stoi wyraz horwacki *Kolnik*. Dzisiaj Horwaci nazywają ten kraj *Konawlja*, co dowodzi jak czas silnie wpływał na przekształcenie języka, kiedy tak powszechnie używamy wyraz: *Koniale*, *Kolanie* przeobraził się w *Konawlja*.

¹ Terbuniae vero principes semper Serbiae principis parebant.

² P. Berezin w dziele swoim „Хорватія, Славонія, Далмація и Военная Граница“ powtarza za innymi bajeczne historye, dopełniając ich własnymi. Jeżeli gdzie powołuje się na źródła, to je przywołuje w tłumaczeniu swych pojęć. I tak w Tomie I, str. 245 pisze, a ma to być wyjątek z kroniki „księdza duklańskiego“: „Когда християнство распространилось между Славянами, то по просьбѣ сербскихъ князей, папа (или патриархъ?) и греческій императоръ послали къ нимъ епископовъ и мудрыхъ людей, которые были приняты на Дальменскомъ полѣ, и на этомъ же полѣ собрался весь сербскій народъ, а также и тѣ, которые говорили по словянски и составилъ такимъ образомъ соборъ: 8 дней разсуждали о законѣ Божиемъ, о св. писаніи и о состояніи церкви; 4 дня о власти княжеской, о банахъ, жупанахъ и о государственныхъ дѣлахъ“.

Przytaczamy tu *originalne* wyjątki z trzech kodeksów kroniki horwackiej, z których można się będzie przekonać o powyższej interpolacyi; tak się historyi nie pisze.

Kodeks księdza duklańskiego: „Advenientes itaque Cardinales, et Episcopi, invenerunt regem in planitie Dalmae, a quo cum magno honore et reverentia suscepti sunt. Tunc Rex iussit congregari in eadem planitie Dalmae omnes populos terrae et Regni sui. Inter haec, dum populi congregarentur, advenerunt Legati nobiles et sapientes, missi ab Imperatore *Michaelae, Leo et Joannes*, et alii sapientes, qui a Rege et Cardinalibus honorifice suscepti sunt. Igitur omnes congregati, tam latina, quam et slavonica lingua qui loquebantur, jussu *Honorii* Apostolici Vicarii et Christianissimi Regis *Svetopelek*, per spatium dierum XII *Synodum* fecerunt, in qua

jęte częściowo a nawet przeważnie przez Serbów, ale nie istnieją żadne pomniki ani podania historyczne, że tu lud tak się zwał i za takich się miał. Żupani, knezowie a nawet później i kralo-

diebus octo, de lege divina e sacra Scriptura, ac de statu Ecclesiae tractatum est; caeteris autem quattuor diebus, de potestate Regis de Ducibus et Comitibus et Centurionibus, et de statu Regis sermocinatum est.“ (Scrip. reg. hung. Schwand. t. III., p. 481, 482).

Kodeks Marulića. „Hac legatione audita, Pontifex magno afficitur gaudio, postulata concedit, et exemplo ad Regem duos Cardinales, ac duos Episcopos simul destinat, qui cum venissent, Apostolica auctoritate quae facta opus erant, peregerunt: per illos quippe presbyteri consecrati, erectae Ecclesiae, leges rogatae, et quaecumque novitiis Christianis necessaria erant, plene perfecteque fuere constituta. Advenienti autem in *Campo*, qui *Clivna* appellatur, Regi, occurrerunt: Ibi enim Rex cum magno procerum suorum comitatu expectatos, honorifice recepit; omnes quippe Regni Praefectos ibidem jusserat congregari, ut omnibus nota essent, quae agebantur. Igitur per dies octo, Apostolici viri, nihil aliud egerunt, nisi omnibus persuasum esset, in Christum credere, fidem regionemque propagare, communi omnium saluti consulere, et quidquid deinde Pontificali auctoritate definitum fuisset, ratum habere; dictis cunctis audientibus, scripturae per dies quattuor lectae, sicuti hae monebant, regiones divisae, metaeque, finium singulae impositae, ac jura constituta.“ (Tamže. p. 515, 516).

Kodeks słowiański. I k tomu svet otac dobrovoljno prigleda, i posla naučena človika i vikaria svoga u imie svoje i svete crkve karstjanske jednoga gardinala, komu poda u swem oblast svoju, da more dati i uzeti, svezati i rozvezati; i posla drugoga gardinala, i š njimi dva biskupa, a toj da imiju oni sveti puk kripiti i u viri pripovidati, da jih imaju veseliti od njih dobra učinjenja, i popove crkve učiniti i crkve krstiti, i ine riči potr'bnie krstjanom narediti.

I tako prišadče rečeni gardinali i biskupi, najdoše kralja na planini, ka se diše Hlivaj. Suproć kim izlize kralj s mnoštvom ljudi, jere čekaše jih, zač znaše njih prišastje na ove strane, i biše skupio oda svih rusagov ki pod njim bihu, i tuj oda svud dojdōše karstjani, i tako kralj sa svim mnoštvom, ko pri njemu biše, prija ih s velikim počtenjem, i tako kralj zapovidi, da vas puk zemlje njemu podložne skupe se na ovom polji. I u to vrime dojdōše posli od cara Mihajla, i oni posli s počtenjem velicim biše prijati. I budući svi skupljeni, i biše veće jazykow š njimi. I š njimi biše dobri kralj svetoga nauka, i počeše zakonom za dva (na) deset dan, od kih, osam dan ne govoriše negoli o stanji crkveni, crkvam prijuladajuće, k njim red napravljajuće i nareguće put od spasenja. Potom toga četiri dni čtiše stare privileže, ki bihu iz Rima prinješeni, tako grčkih, kako svih kraljevstivi i gospodstva jazika hrvatskoga, tako primorsko, kako zagorsko. I to slišeci vas puk, kako

wie tego ludu czy tych ludów do serbskiej narodowości całkiem się nie przyznają, rzadko piszą się: „krol Serblem“, najczęściej: „kral raszki“, a nadto ostatni a najpotężniejszy władca ich Duszan po macoszemu traktuje swych krewniaków. Czytamy w jego „Zakonniku“: XXV. §. 61. „Zbory czy sejmikowanie *Sebrów* niema mieć miejsca. Ktokolwiek się z nich okaże sejmikującym, urznąć mu za karę uszy i opalić powieki. XV. §. 46. Jeżeli właściciel lub włastaliczyc zelży Sebra płaci sto peperów, a gdy Sebr zelży właściciela lub własteliczyca, zapłaci sto peperów i włosy opalone mieć będzie“¹.

Nie było wówczas żadnego poczucia narodowego. Wuk Brankowicz, zięć Lazara, nie sromął się przejść na stronę Amurata, a sam Marko Wukaszynowić, zwany kraljewiczem, słynny bohater serbskiej epopei, wraz z Turkami bił Serbów na Kosowem polu, był jurgieltnikiem Bajazeta i w szeregach pohańców zginął niesławną śmiercią w bitwie przeciw chrześcijanom².

W jasyrze poturczyli się knezowie i włastitele, lecz ta niewola dopiero przyczyniła się do utrzymania i wyrobienia narodowości serbskiej. Pod grozą ucisku tłumnie opuszczała ludność słowiańska ziemie ojców swoich, przesiedlała się do ziem rakuskich, gdzie swobodnie żyć i wierzyć mogła³. Pozostałemu w kraju

spovidahu privilezi stari po papi i cesaru poslani od svih zemalj, i kako diljahu zemlju od zemlje, i kako biše zemlja cd zemlje počtovania, i puk od puka, i kraljevstvo od kraljevstva“. (Popa Dukljanina lĉtopis... Dr. Jvan Črnĉić. U Kraljevici 1874. str 15, 16).

¹ Maciejowski. Prawod. Słow.

² „Kraljević Marko kao historička osoba ne ukazuje se onakovim, kakovim ga rišu narodne pojesme. On se može smatrati izdajicom naroda, jer se ne htjuć priznati Lazara za Vladara. Turkom pridružio i š njimi vojevao proti svojoj domovini. On je kao kralj vladao neodvisno u Prilipu u Macedonji te je od tuđ s pomoću Baoše, župana zetskog i brata si Andrije proti Lazaru radio; napokon od Lazara svladan (1388) pribjegne k turskomu caru Muratu i stade proti Lazaru vojevati. Naležeć se ovako u turskoj službi, vidimo ga odsele u neprestanoj pratnji turskih četa. Medju ostalim pratio je i turskog cara Bajazita, kad je ovaj proti Mirčetu, vlaškom vojvodi rat podigao. U bitei na Rovinah, polju u Vlaškoj, bude Marko ubijen i sva turska vojska hametom potučena (1394). Tielo njegovo bijaše pokopano u monastiru Viasijanah kod Skoplja“. (Preg. hrv. trad. kniž. J. Radetić. U Senju. 1879, str. 151).

³ W r. 1690 pod przewodnictwem Arsenia, patriarchy z Jpeku,

kmieciowi nie ułatwiali spahowie i janczarowie przejścia na Islam, by móżdż go uciskać i wyciskać na nim haracz. Ten chłop, Srb, różniący się wiarą lub językiem od swych ciemiężców, korzystał z ich nieporozumień, brał udział w ich walkach, stawał zwyczajnie po stronie Turka przeciw Serbom zmuszonym, tym sposobem tworzył odrębną gromadę, zawiązek przyszłego narodu. Hajdamactwo było wprawdzie zemstą tylko i odwetem za ucisk, hajdamacy byli rozbójnikami, zwali się jeszcze z turecka, jak ostatni Kara Dźordź, lecz w ogólnem sprzyjaniu ludności leżały już zarodki poczucia narodowego. Osłabienie państwa otomańskiego, wojny za Napoleona, zbrojne i dyplomatyczne wdanie się państw postronnych przyczyniły się do samoistnego bytu kraju serbskiego. Ocknienie narodowości słowiańskich, cechujące ten wiek, spotęgowało się tam wśród sprzyjających okoliczności. Z księstwa, jeszcze zależnego, staje się Serbia niezależnem najprzód księstwem a wreszcie królestwem, a choć stosunki europejskie położyły mu na razie Sawę i Drinę za granice, uroszczenia poetyczne może bardziej aniżeli polityczne, sięgają już dzisiaj daleko dalej — do Pomorza i Drawy.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad rozwiązaniem ostatniego pytania, gdyż ono stanowi klucz do kwestyi nader ważnej, dotąd należycie nierozbieranej, a tem mniej rozwiązanej, a która przysparzając zawikłań historycznych, dozwała zbyt stronnym lub niesumiennym pisarzom dziejów samowolnie naciągać i ubarwiać zdarzenia, do błędnych dochodzić wniosków: tą kwestyą jest przyjęcie chrztu przez Słowian iliryskich.

Porfirogenita dostarczył tu nam głównych źródeł, a one są tem wiarogodniejsze, iż podanie ich nie było mu całkiem na rękę. Za jego czasów nie żył już wprawdzie Focyusz, ale nie zstąpiła z nim do grobu niezgoda Bizancyum z Rzymem. Kilka lat tylko dzieliło urodzenie cesarzewicza od śmierci Borysa bułgarskiego, za którego tak namiętnie wystąpiły roszczenia bizantyjskie do

37.000 rodzin serbskich przesiedliło się na Węgry; w r. 1740 pod biskupami z Niszu, Nowego-Bazaru i Užycy wielka ilość Serbów wyruszyła ku Dunajowi; napadnięci w drodze przez Turków, mieli stracić 80.000 ludzi (?).

rozciągnięcia opieki nad prozelitami słowiańskimi, iż sam święty patriarcha carogrodzki nie mógł dostatecznie oswobodzić się od ich wpływu. Wiedział o tem Porfirogenita jako historyk, jako cesarz podzielał zapatrywania swoich, mimo to jednak przyznaje, iż Horwaci przyjęli chrzest według obrządku rzymskiego; osładza jednak to gorzkie wyznanie uwagą, iż to nastąpiło z rozkazu cesarza.

Z historyków Luczić i Farlati najgruntowniej badali tę rzecz, jednakże dla powodów, które przytoczymy, nie godzimy się na ich zdanie.

Na dwa zawody odbył się chrzest Słowian illiryjskich: za Herakliusza i za Bazylego; kapłani obrządku łacińskiego udzielili go pierwszym razem, drugim zaś, Porfirogenita daje do zrozumienia, że kapłani greccy obrządku tego dopełnili. Czas udzielenia pierwszego chrztu przedstawia niejaki trudności; historycy nie zgadzają się co do daty zajęcia Dalmacyi przez Słowian¹, a od tego zależy czas pierwszego chrztu.

Farlati i Luczić, utrzymując, że chrześcijanie wykupieni przez Jana IV., zabrani byli do niewoli przez Abarów, najście Abarów odnoszą do roku 640, a wojny z Horwatami i nawrócenie tychże kładą daleko później; Farlati mniema, iż pierwszy chrzest przypadł za Konstantina Pogonata około 670 r. Luczić zaś opierając się na niejasnych podaniach Porfirogenity², popełnia

¹ Zajęcie Dalmacyi przez Arabów Engel kładzie między 610 a 620 r. Pejaczewiç 635—636, Mikoczi 637; wtargnięcie Horwatów pierwszy podaje między 620—630, drugi 636, trzeci 638; lata wreszcie — 637, 638, 640 są trzema różnemi epokami, jakie ci pisarze naznaczają osiedleniu Serbów.

² „Per aliquod vero annos etiam Dalmatiam incolentes Chrobati Francis subiciebantur, quem admodum, et antea dum in ipsorum terra degerent. Tanta autem in eos crudelitate utebantur Franci, ut lactentes adhuc eorum pueros occidentes canibus objicerent. Quae res cum intolerabilis Chrobatis esset, facto dissidio, Principes, quos ex ipsis habebant, interemerunt; unde magnus contra eos exercitus movit e Francis; et post septem annorum bellum, aegre tandem superiores facti Chrobati, omnes Francos, eorumque principem Cotzilin e medio sustulerunt. Et exinde liberi, ac sui juris facti sacrum baptisma, a Romano Pontifice petierunt, missique Episcopi ipsos baptizarunt, Principatum tenente Porino“ (cap. 30 de Them. Dalm.).

Na tych samych słowach Porfirogenity Farlati uzasadnia drugi chrzest Horwatów w r. 832, lecz całkiem mylnie. Horwacya należała je-

anachronizm i odkłada go jeszcze później, do czasów Herakliusza młodszego (Justyniana II. 680 r.). Otóż ponieważ wtargnięcie Abarów, jak to w swoim miejscu zauważyliśmy, można odnieść do epoki wcześniejszej, stąd i chrzest Horwatów jeżeli nie przypadł całkowicie przed śmiercią Herakliusza (642), to rok 650 za najpóźniejszą datę przyjąć należy, w tym bowiem roku zasiadł na stolicy arcybiskupiej spleckiej Jan Rawenianin, który według wszelkiego prawdopodobieństwa, przyłożył się czynnie do tej ważnej sprawy.

Jeżeli zestawimy opowiadanie Porfirogenity¹ z historią Jana Rawenianina², a nadto uwzględnimy to, cośmy wyżej powiedzieli o państwie gocko-słowiańskim, wówczas, pomijając przechwałki bizantyjskie, zrozumie się możność nawrócenia Słowian iliryjskich. Podczas gdy pokolenia horwackie zajmowały Dalmacyę i były się z Abarami, Goci już zesłowiańszczeni panowali w Prewalitani; wzięli oni prawdopodobnie udział w tej wojnie, a po jej ukończeniu, pozostając przeważnie w księstwie duklańskim, w innych żupach mogli mieć przewagę moralną z powodu swej wyższej kultury. Nie rozkaz tedy Herakliusza, ale wpływ Słowian gockich mógł skłonić ich pobratymców nowo przybyłych do przyjęcia chrztu; między nimi jedynie mogli znaleźć się kapłani, nawróceni z ary-

szcze do cesarstwa niemieckiego. Ludwik II, w liście do Bazylego (około 872) uskarża się na Nikita Oorifa, admirała greckiego, który spustoszył ziemie horwackie (suam Selavoniam). Kocel zaś książę blocki (Blato, Platten) żył jeszcze w r. 877, w tym bowiem roku datowany jest list Jana VIII. do księcia Kocela (comiti Cozili). (Cod. dipl. Mor. I, 36).

¹ *Erat autem Chrobatis illis tunc temporis princeps Porgae pater. Heraclius autem Imperator, Roma per Legatum Sacereotibus accersitis, constitutoque ex ipsis Archiepiscopo, Episcopo, Presbyteris, et Diakonis, Chrobatos baptizavit. Et tunc quidem temporis Chrobatorum Princeps erat Porga.*

Cumque ea, quae nunc Serbia dicitur, et Paganiam, quaeque Zaehlumorum terra vocatur, itemque Terbunia Canalitarum regio, quae Imperatoris Romanorum ditionis erat, propter Abarum excursionem desertae essent, expulsis inde Romanis, qui nunc Dalmatiam atque Dyrrhachium incolunt; regiones illas Serbis habitandas Imperator dedit, cui etiam subjecti erant, a quo etiam baptizati fuere per Presbyteros Roma accersitos, et pietatis opera edocti, antiqua fide accepta (Ex cap. 31 de Chrob., et 32 de Serblis).

² *„Ubi autem Gothorum Duces audierunt, Salonitanos cives*

anizmu, którzy władając językiem słowiańskim¹ dopomagali arcybiskupowi spleckiemu do głoszenia ewangelii pokrewnym sobie pokoleniom.

Epoki pierwszego chrztu Horwatów dalmackich w żaden sposób na czas późniejszy odłożyć się nie da. Nie znajdujemy żadnych pomników historycznych, któreby wskazywały, iż chrzest Słowian tutejszych nastąpił między jedną a drugą epoką. Nie można też pierwszej epoki złączyć z drugą, albowiem Porfirigenita kładzie zbyt nacisk na ten pierwszy chrzest²; — dalej nazwa Pogan, dana Neretwianom, utrzymuje się do IX. wieku i wyróżnia chrześcijan i bałwochwalców słowiańskich w Dalmacyi; wreszcie istnieje dokument Terpimira, bana horwackiego³, który świadczy,

de insulis fuisse reversos, protinus coeperunt exercitum ducere contra ipsos, vastantes omnia culta eorum, nec permittentes eos extra muros exire... (cap. X)... Venerabilis ergo Joannes... coepit Ecclesiam Clerumque componere, instare doctrinae, praedicationi sacare, curamque pastoralis officii multum sollicite exercere: etenim per Dalmatiae et Scavoniae regiones circumeundo, restaurabat Ecclesias, ordinabat Episcopos, Parochias disponebat, et paulatim rudes populos ad informationem catholicam adtrahebat... (cap. XI)... Postquam autem per praedicationem praedicti Joannis, et aliorum Praesulum Salonitanorum, Duces Gothorum et Croatorum ab arianae haereseos fuerant contagione purgati, praeter Episcopos Dalmatiae, in Scavonia fuerunt aliquae statutae Episcopales Ecclesiae... (cap. XIII). Historia Salonitana. auct. Th. Archid.

² „Cum tam Episcopo, quam ejus administris ad regimen, et institutionem Slavorum opus esset scientia usuque linguae slavonicae, hos omnes e Dalmatia electos fuisse censet Lucius cap. XI lib 1: *Sed sicuti Roma accersitum Archiepiscopum, ita e Dalmatia Episcopum, et Presbyteros jam gnaros linguae slave Croatis datos fuisse, par est credere*“ (Farl. t. III, p. 37).

¹ Porfirigenita w dalszym opisie pierwszego chrztu Słowian dalmackich mówi (cap. 31): „Chroboti siquidem post acceptum baptismum pepigerunt et chirographis propriis datis sancto Petro Apostolo juraverunt, nunquam se alienam terram armis invasuros, sed pacem habituros cum omnibus volentibus; et imprecationem vicissim a Romano Pontifice acceperunt, ut si quando aliae gentes ipsorum Croatorum terras invaderent, belloque infestassent, pro iis pugnaret, vindexque esset eorum Deus, victoriam conciliante Petro Christi discipulo“.

² Terpimir (Trpimir, Tirpimir) wydał w Biaczu, ówczesnej stolicy, per Ind. XV, sub die 4 nonis Martii, co Farlati za r. 837, historycy horwaccy zaś za rok 852 biorą, dokument, potwierdza-

iż za Moislawa, około r. 837, a więc przed epoką drugą, Horwaci dalmaccy byli chrześcijanami.

Druga epoka chrztu przypada za cesarza Bazylego. Kronikarz bizantyjski krótko i niejasno przywodzi zdarzenie¹. Serbowie mówią, którzy dotąd nie byli ochrzczeni, wysłali posłów do cesarza z prośbą o chrzest, nieco potem to samo uczynili Neretwianie; cesarz posłał im kapłanów, którzy ich ochrzcili. Porfirogenita zbyt jest lakoniczny. Ludy, całe narody, nie łatwo i nie odrazu zmieniają zwyczaje swe i obyczaje, a tembardziej religię, rzecz to zbyt znana, aby miała być obcą uczoneму Grekowi; nie można też przypuszczać, żeby mu brakowało zapisek odnoszących się do czynności Bazylego, którego pisał żywot; należy raczej przypuścić, że je pomiął, jako nie usprawiedliwiający uroszczeń bizantyjskich do tych krajów. Stąd przyjmujemy fakt podany przez Porfirogenitę, dlatego głównie, iż zgadza się z wiadomościami gdzieindziej czerpanemi, ale odrzucamy *prośby i łaskawe przyzwolenia*, jako technące bizantyzmem; powodów zaś, które skłoniły Słowian do tego ważnego kroku, szukać musimy gdzieindziej, gdzieindziej również odszukać stosunków, w jakich te kraje podówczas się znajdowały.

Jak się przedstawia obraz Iliryi w drugiej połowie IX-go wieku? Większe miasta nadbrzeżne dalmackie zamieszkują dawni

jący darowiznę poprzednika swego Moislawa, uczynioną kościołowi spleckiemu.

¹ „Plurimi autem ex his Selavis non baptizabantur, imo diu baptismi expertes manserunt. Imperante autem piissimo imperatore Basilio, legatos miserant petitum, ut, qui ex ipsis baptizati non dum essent, baptizarentur, essentque, velut ab origine, Imperio Romano subjecti. Horum precibus auditis, beatus ille imperator Caesarianum cum presbyteris misit, omnesque illos, qui in praedictis gentibus nondum baptizati erant, baptizavit; baptizatis autem ipsis, tunc principes eis designavit, quos vellent, eligerentque e stirpe, quam maxime diligerent, et amarent. Atque ex eo tempore in hodiernum usque diem principes ipsi ex eadem stirpe, non aliunde eliguntur. Pagani autem, qui et Arentani Romanorum lingua nuncupati sunt, in locis inaccessis, atque praeruptis baptismi expertes relinquebantur. Pagani quippe Selavorum lingua non baptizati dicuntur. Deinceps vero etiam hi, missis ad eundem praecclarum imperatorem legatis, petierunt baptizari, misit itaque et baptizavit*.
(cap. 29).

osadnicy rzymscy i przybysze greccy, łąd przeważnie a może i jedynie osiedlony Słowianami: począwszy od Rieki (Fiume) zajęli cały, szeroki pas kraju, piętrzący się planinami dynarskimi aż po Szar; wyspy też z małym wyjątkiem do nich należą. Między Welebitem a Kapelami żyją Horwaci pod swymi banami i żupanami; znajdując się na miedzy dwóch potęg, Zachodu i Wschodu, zmuszeni są do hołdowania to jednej, to drugiej. Mieszkańcy zachełmscy, duklańscy, Serbowie z nad Dryny w ustawicznych z sobą i sąsiadami bojach, wraz ze zmianą książąt i królów zmieniają granice a i nazwy swych państw. Horwaci od dwu wieków są chrześcijanami, mają metropolię w Splecie i kilka biskupstw; stara metropolia skadarska przeniesiona od stu lat do Dukli, rozciąga władzę swą duchowną nad pozostałymi Słowianami. Neretwianie żyją ciągle z rozboju; nie łączy ich z innymi religia, bo są Poganami, nie wstrzymuje też pokrewieństwo szczepowe: tak dobrze napadają na Saracenów jak i na Chrześcijan, pustoszą i grabią ziemie i okręta weneckie, lecz nie przepuszczają i horwackim. Do Horwatów przystęp łatwy, od łądu i od morza wdzierają się tam Frankowie i Grecy, a więc i ich kronikarze od czasu do czasu zapisują jaką wiadomość; lecz co się dzieje głębiej nad Driną, Drinem i ich dopływami, nie łatwo się dowiedzieć. Od północy posawscy Słowianie każdą piędź ziemi wielą krwią każą płacić Niemcom; Bułgarzy, swymi zaborami, okrążyli ich i odcieśli od Greków: na południu i zachodzie mieszkają swoi. Ale swoi nie nie piszą, a choćby byli i napisali, to pożogi Samuila byłyby w popiół obróciły wszelkie pamiątki historyczne. Co przechowało podanie, zebrał był „ksiądz duklański“; lecz jakże trudno, wśród tylu błędów i anachronizmów, wydobyć coś pewnego z tego latopisu tyle razy tłómaczonego i przepisywanego! Są jednak rzeczy pewne.

Powstanie silnego państwa morawskiego, które zwycięsko odpierało najazdy niemieckie, dozwoliło Horwatom występować samodzielnie. Terpimir i Domogoj teoretycznie już tylko uznają władzę Franków, od Greków są niezależni, ale zdrajca Sedesław zostawszy z pomocą Bazylego wielkim żupanem, poddaje się Grekom (877). Miasta nadmorskie Splét, Zadar, Trogir, wyspy Osor, Rab, Krk z niechęci plemiennej ku Słowianom, nie tylko

trzymają z Sedesławem, ale nawet poddają się w posłuszeństwo patriarsze wschodniemu; arcybiskup splécki Jerzy II. zerwał z papieżem. Niedługo jednak trwało ich panowanie. Branimir staje na czele partyi narodowej, Sedesław daje gardło, kolonie rzymsko-greckie obowiązują się do płacenia daniny ¹, lecz jeszcze wrogo są usposobione. Duchowieństwo dalmackie, pomimo upomnień Jana VIII., trwa ciągle w uporze: arcybiskup splécki Marinus bierze sakrę od Walperta, patriarchy akwilejskiego, przyjaciela i popiecznika Focyszusa. Należało złamać tę cudzoziemską potęgę moralną; Branimir wziął się roztropnie do dzieła. Wielki żupan wybiera pomiędzy duchowieństwem Teodozjusza, wiernego Chrześcijanina i Horwata, i wysłał go z listami do papieża. Teodozjusz staje w Rzymie w r. 880, a zjechał był tam naówczas i Metody, apostoł Słowian panońskich. Jakie były narady i postanowienia w Wiecznem Mieście, historia nam nie przekazała; wiemy tylko, że Teodozy był tam konsekrowany na biskupa, a za powrotem osiadł na nowo utworzonej stolicy w Ninie ². Do tego czasu należy odnieść drugi chrzest Słowian w tych krajach, mianowicie Neretwian. Zgadniają się na to badacze dziejów iliryskich, a najznakomitszy z nich Farlati, jakkolwiek zbytnie ufając Porfirogenicie, myli się w szczegółach, podaje jednakże przekonywające przyczyny, które mogły skłonić Słowian tutejszych do przyjęcia chrztu w tym czasie ³.

¹ Splét płacił gotówką 200 dukatów, Trogir, Zadar, Osero, Rab i Krk po sto, nadto w naturze zboże, wino, oliwę... Porfirogenita przytaczając to zdarzenie naiwnie nadmienia, iż cesarz *pozwolił łaskawie* (!) swoim wiernym miastom płacić ten haracz Horwatom.

² Nin (Nona, Aenona), stare miasto rzymskie, położone na północ od Ządaru, nad potokiem Rieczina. Po zajęciu Dalmacyi przez Horwatów, Nim był stolicą żupanii czyli żupy tegoż nazwiska. Władcy horwaccy Kreszimir i Zwonimir często w nim przebywali. Roku 1409 zabrali go Wenecyanie, nie mogąc obronić od Turków, po dwa kroć go spalili w r. 1571, 1646; od tego czasu nie powstał już z gruzów. Z 16-tu kościołów zaledwie został jeden, odbudowany w r. 1795: znajdują się w nim relikwie jednego z Uczniów Chrystusa Pana, św. Anzelma, który miał być tutejszym pierwszym biskupem. Dzisiaj Nin jest małym siołem, liczy 120 domów i około 600 mieszkańców.

³ „Mirari licet, unde tam repentina extiterit sententiarum et voluntatum mutatio, quove auctore tam incensa baptismi cupiditas! Serblos illos incesserit, quorum ex animis neque diuturnitas

Wszystko w istocie zdaje się za tem przemawiać. Słowianie, Wielkiej Morawy i Panonii, pod wpływem apostołskiego słowa Cyryla i Metodego, gromadnie nawracają się do wiary chrześcijańskiej; Bułgarowie zesłowiańszczeni są już chrześcijanami, uczniowie Metodego w porozumieniu z Teodozjym nińskim i jego kapłanami przekraczają Cetynę. Neretwianie złamani klęskami doznanymi od Saracenów, Wenecyan i Greków, pod osłoną, a zapewne i naciskiem Branimira, ulegają ogólnemu ruchowi słowiańskiemu i przyjmują chrzest. Podanie o tem ważnem zdarzeniu przechowywało się w kraju jeszcze do „księdza duklańskiego“, który w swej kronice, mieszając czasy i okoliczności, nawrócenie wszystkich Słowian iliryjskich apostołom słowiańskiemu przypisuje.

Do tego również czasu należy odnieść wprowadzenie języka słowiańskiego do liturgii rzymskiej w Dalmacyi. Nie mogło to nastąpić przed Cyrylem, jemu bowiem powszechnie przypisują *pierwsze* tłómaczenie Piśma Św. na język słowiański; nie nastąpiło to w wieku X-ym, gdyż na początku już tego stulecia wszczęły się spory z duchowieństwem cudzoziemskim o używanie tego języka. Nie istnieje wprawdzie żadna bulla papieska (przed XIII-ym wiekiem) pozwalająca wprowadzenie języka słowiańskiego do liturgii w Dalmacyi, lecz *nie istnieje też żadna zakazująca*. List Jana VIII. do Świętopelka morawskiego (880 r.), pochwalający używanie języka słowiańskiego w liturgii¹, pobył

temporum, neque popularium suorum exempla, neque Episcoporum Dalmatiae hortationes assiduae avitas superstitiones evellere poterant. Hujus conversionis causa, cum a Porphyrogenita tacita, et praetermissa sit, conjectura sane prudenti referi potest ad Cyrillum et Methodium, ut Joannes Lucius, et Ludovicus Sconlebius existimant... (Il. sac. t. III, p. 65).

¹ Wyjątek z listu Jana VIII. do Świętopelka morawskiego:

... „Igitur hunc Methodium venerabilem Archiepiscopum vestrum interrogavimus coram positis fratribus nostris Episcopis, si Orthodoxae Fidei Symbolum ita crederet, et inter sacra Missarum solemnina caneret, sicut sanctam Romanam Ecclesiam tenere, et in sanctis sex universalibus Synodis a sanctis Patribus secundum Evangelicam Christi Dei nostri auctoritatem promulgatum atque traditum constat: ille autem professus est, se juxta Evangelicam et Apostolicam doctrinam, sicut sancta Romana Ecclesia docet, et a Patribus traditum est, tenere et psallere. . .

Litteras denique Sclavonicas a Constantino quidam philosopho

w Rzymie w tym samym czasie Metodego i Teodozjusza, polityczne dążenie Branimira do oddzielenia się od nieprzyjaźnie usposobionego duchowieństwa cudzoziemskiego, wreszcie sam fakt, że biskupi nińscy nazywali się *biskupami horwackimi* i mieli jurysdykcję nad Horwatami w innych dycecyjach zamieszkałymi¹, przemawia za naszym wnioskiem. Nakoniec drugiemu zaraz następcy Teodozego Grzegorzowi, wytoczył arcybiskup proces kanoniczny, *nie że zaprowadził język słowiański w liturgii, lecz, że go używają jego kapłani*. Procesu nie wygrał Jan splecki. Banowie i królowie horwaccy za przyzwoleniem Stolicy św. ustanowili inne jeszcze biskupstwa dla Horwatów w Kninie i Białogrodzie, nadali im szczególne przywileje², a kronikarze od czasu

repertas, quibus Deo laudes debitas resonent, *jure laudamus*; et ut in eadem lingua Christi Dei nostri praeconia et opera enarrentur, *jubemus*: neque enim tribus tantum, sed omnibus linguis, Dominum laudare, auctoritate sacra monemur, quae praecepit dicens: Laudate Dominum omnes gentes, et collaudate eum omnes populi: et Apostoli repleti Spiritu Sancto locuti sunt omnibus linguis magnalia Dei. Hinc et Paulus coelestis quoque tuba insonat, monens: omnis lingua confiteatur, quia Dominus noster Jesus Christus in gloria est Dei Patris. De quibus etiam in prima ad Corinthios Epistola satis et manifeste nos admonet, quatenus linguis loquentes, Ecclesiam Dei aedificemus. Nec sanae fidei vel doctrinae aliquid obstat, sive Missas in eadem Slavonica lingua canere, sive sacrum Evangelium, vel Lectiones divinas, novi et veteris Testamenti bene translatas et interpretatas legere, aut alia horarum officia omnia psallere: quoniam qui fecit tres linguas principales, Hebraeam scilicet, Graecam et Latinam, ipse creavit et alias omnes ad laudem et gloriam Suam.

Jubemus tamen, ut in omnibus Ecclesiis terrae vestrae propter majorem honorificentiam Evangelium Latine legatur, et postmodum Slavonica lingua translatum in auribus populi Latina verba non intelligentis annuntietur, sicut in quibusdam Ecclesiis fieri videtur. Et si tibi et iudicibus tuis placet, Missas Latina lingua magis audire, praecipimus, ut Latine Missarum tibi Solemnia celebrentur⁴.

¹ Episcopum Nonensem totius Croatiae tunc fuisse Episcopum ex privilegio Mucimiri inferius ponendo constabit. (Luc. lib. 2, cap. 2).

² Voluerunt etiam Croatorum reges quasi specialem habere Pontificem, petieruntque ab archiepiscopo spatatensi, et fecerunt episcopum qui Croatensis appellabatur, posueruntque sedem ejus in campo in ecclesia S. Mariae Virginis juxta castrum Tiniense. Hic multas obtinuit parochias, habuitque praedia, et possessiones per totum plene regnum Croatiae, quia regalis erat episcopus, ere-

do czasu wspominają o zatargach duchowieństwa horwackiego z duchowieństwem weneckiem o język liturgiczny. Sądzimy nadto, że zmiana ta liturgiczna nastąpiła za zgodą papieża. Teodozy musiał być wykształconym i prawowiernym katolikiem, jeżeli go uznano w Rzymie godnym biskupiej stolicy, wiedział zatem, że zmiany takie w liturgii bez wyraźnego przyzwolenia Stolicy św. zaprowadzanemi być nie mogą. Odstępstwo zaś arcybiskupa spleckiego z jednej strony, a z drugiej znakomite skutki, jakie opowiadanie Słowa Bożego sprawiło między Słowianami, mogło skłonić Jana VIII. dodania swego przyzwolenia. Najwięcej jednak za naszym twierdzeniem przemawiają odwoływania się papieży na list Jana VIII. I tak Urban VIII. w konstytucyi „*Ecclesia catholica*“ wydanej 29 kwiet. 1631 r. mówi: „*Quum itaque, sicut accepimus, Missale idiomate Slavonico olim a fel. rec. Joanne VIII. praedecessore nostro concessum....*“ Wyraźniej jeszcze Inocenty X. w konstytucyi „*Romanum Pontificem*“ z d. 22 lut. 1648 r.: „*Quum igitur Illyricarum gentium, que longe lateque per Europam diffusae sunt, atque ab ipsis gloriosis Apostolorum Principibus Petro et Paulo potissimum Christi fidem edoctae fuerunt, libros sanctos jam inde a D. Hieronimi temporibus, ut percertusta ad nos detulit traditio; vel certe a Pontificatu fel. rec. Joannis Papae VIII. praedecessoris nostri, uti ex ejusdem data super ea re epistola constat, ritu quidem Romano, sed idiomate Slavonico, et caractere S. Hieronimi vulgo nuncupato conscriptos...*“ Wreszcie uczoney Benedykt XIV. w konstytucyi „*Ex pastoralis munere*“, wydanej d. 15 sierp. 1754 r.: „*Cum itaque ex fide dignorum testimonio acceperimus, in Ritum Slavo-latinum, quem fel. rec. Praedecessor Jo. Papa VIII. fideli ac religiosae nationi Illyricae, una cum idiomate, quod nunc Slavorum literale appellant, et caractere, quos Hieronymianos dicunt, adhibendum concessit; et successuris temporibus recolendae...*“

Nakoniec ważnem poparciem naszego twierdzenia jest świadectwo O. Rafała Lewakowicza, arcybiskupa ochrydzkiego. X. Lewakowicz był wielką powagą w kołach uczonych na dworze rzymskim, gdzie bawiło podówczas wielu bardzo światłych Horwatów,

gis curiam sequebatur, eratque unus ex principibus aulae, et sua jurisdictio usque ad Dravum fluvium extendebatur (Arch. c. XV).

jak O. Kaszic Jezuita, Barakowic, Guczetić, przyjaciel Urbana VIII., Benesza, Palmotić przyjaciel kardynała Barbariniego; znajdowali się tam członkowie kolegium iliryjskiego i kanonicy św. Hieronima. Stolica św., oprócz poprawy mszału i brewiarza glogolickiego, powierzała O. Lewakowicowi nader ważne misye; uczestniczył on w synodzie tyrnawskim, gdzie chodziło o położenie tamy protestantyzmowi wśród Słowaków, był we Lwowie w sprawach cerkiewnych jako: *Sedis Apost. in Germania et Polonia pro terra sancta Commissarius generalis*. Zaciekły nieprzyjaciel katolików Fr. Chr. Engel wystawił Lewakowicowi dobre świadectwo gorliwości i prawowierności: „*In der illyrischen und ungarischen Geschichte ist der Name Raphael Levakovich sehr berüchtigt*“. Takiemu mężowi ufać tedy można. Otóż O. Lewakowic miał pod ręką glogolicki rękopis psalterza, skopiowany przez X. Mikołaja z Raby (wyspa Arbe, Rab) w r. 1222, z arcystarszego rękopisu, spisane go na zlecenie Teodora, ostatniego arcybiskupa solińskiego. Stąd, ten stary rękopis jeżeli nie pochodzi z wieku VII., w którym żył ostatni arcybiskup soliński, to prawdopodobnie pochodzi z wieku IX., albo od Teodora arcybiskupa spléckiego, albo, co pewniej, od Teodozego, biskupa nińskiego.

Przy schyłku tedy IX-go wieku cała dawna Ilirya (to jest dzisiejsza Dalmacya wraz z Pograniczem, Bośnia, Zachodnia Serbia, Księstwo Zachełmskie (Hercegowina), Czarnogóra, Północna Albania) była już chrześcijańską. Słowianie, którzy byli przyjęli chrzest w wieku VII-ym, należeli do obrządku zachodniego, język tylko łaciński zastąpili słowiańskim w liturgii rzymskiej; czy Neretwianie i inni nawróceni w IX-ym wieku przyjęli obrządek wschodni, nie ma na to dowodów: przeciwnie, wszystko zdaje się przemawiać za obrządkiem zachodnim. Najprzód nie jest rzeczą dowiedzioną, że Cyryl i Metody wprowadzali obrządek wschodni¹, rzeczą zaś jest pewną, że nie wykluczali zachodniego. Do wieku XII-go nie słyhać o Słowianach obrządku wschodniego w tych stronach²; za panowania Wuka Nemanowicza w r. 1199

¹ Ob. gruntowną rozprawę X. T. Gromnickiego: „ŚŚ. Cyryl i Metody“. Rozpr. i spraw. Wydanie hist.-filozof. Akad. Umiejęt. Kraków. Tom XI, str. 139 i następn.

² Aleksander II. papież, przesyłając metropolicie duklańskiemu

na soborze duklańskim, oprócz dwu legatów papieskich, znajdowało się wraz z metropolitą duklańsko-barskim dziewięciu tutejszych biskupów, otóż w aktach tego soboru nie ma żadnej wzmianki o obrządku wschodnim¹.

Jeżeli tedy znajdowali się w tych stronach Słowianie obrządku wschodniego, byli bardzo nieliczni, i należeli do metro-

paliusz, ustanawia (r. 1062) nowy skład metropolii duklańsko-barskiej i dodaje: *monasteria quoque tam Latinorum quam Graecorum sive Slavorum cures, ut scias et haec omnia unam Ecclesiam esse, teque omnibus praedictis locis Episcopali regimine praeesse. Te monasteria były prawdopodobnie Benedyktynów i Franciszkanów, którzy w liturgii używali języka słowiańskiego, i po dziś dzień go używają w Dalmacyi. Gruzy monasterów benedyktyńskich spotykają się w dzisiejszej północnej Albanii. Prześladował ich Milutyn, jak świadczy list Jana XXII. z 17 czerw. 1318 r. pisany do panów albańskich, w którym mówi: „Illius regis perfidi Racie“; wreszcie wypędził zupełnie Duszana. Klemens VI. upomina Duszana w liście z r. 1346 (Ob. Vet. mon. Slav. merid. Theiner), aby kościoły i klasztory zabrane w Budwie i na wyspach zwrócił biskupowi kotorskiemu. Rzeczą jest prawdopodobną, że ci właśnie Benedyktyni obrządku słowiańskiego szukali schronienia w Czechach i u nas w Krakowie na Kleparzu.*

Rzecz pisana językiem Norwackim, cyrylicą, w Popowie, niedaleko Lubini, (metrop. duklańsko-barska) z XII. w.: *о зъмыъ, о зъмыкъъ* (azyma) dowodzi zachodni obrządek.

¹ Szkoda że pan Berezin w swem dwu-tomowym dziele o Słowianach zachodnio-południowych, obok bardzo wielu pracowicie zebranych wiadomości, pominął również wiele innych, niezgodnych z prawdą. Cała część historyczna jego dzieła jest rażąco tendencyjna; okazaliśmy już dawniej niedokładność powoływań się p. Berezina na autorów, obecnie pokażemy jak traktuje najpoważniejsze sprawy. O soborze duklańskim w tom. 1-ym na str. 262 pisze: „Во всѣхъ соборныхъ постановленіяхъ (ихъ было 12), была проведена мысль о полномъ подчиненіи сербской церкви римскимъ папамъ“. Otóż ani nie było jeszcze wówczas serbskiej cerkwi, ani też w *żadnym* z 12 paragrafów *nie ma o tem mowy*.

P. Berezin chcąc widocznie ośmieszyć sobór, na którym zasiadało dwóch legatów papieskich i dziewięciu biskupów, wybiera kilka tylko paragrafów, fałszywie je przywodzi, o reszcie zamilcza. Przytacza cztery następne postanowienia soborne: 1) Безбрачіе духовенства; tem pan Berezin się gorszy; ależ tu mowa o duchowieństwie łacińskiem! 2) Установленіе сѣора десятины въ пользу церквей, nie była ustanowiona dziesięcina, lecz tylko przepis jak jej używać. 3) Главенство папы, to się uroiło w głowie p. Berezina. Dekret wspomina kilka razy o papieżu, bo na soborze zasiadali legaci

polii duklańskiej¹; dopiero kiedy Nemanowicze rozszerzyli swe panowanie po Merawę i Szar, tamtejsza ludność wołosko-bułgarska, należąc do obrządku wschodniego, napłynęła tu, co było powodem arcybiskupowi serbskiemu Sawie do ustanowienia dwunastu biskupstw, z których pięć leżało w granicach metropolii duklańsko-barskiej. A i w późniejszych czasach, kiedy królowie serbscy rządząc się dwulicową polityką², z taką lekkomyślnością

papiescy i biskupi łacińscy, w imieniu tedy papieża wydawano postanowienia; *w żadnym paragrafie nie ma najmniejszej wzmianki o innym obrządku lub wyznaniu*. 4) Брътие бороды и усовъ, которое должно быть обязательнымъ для сербскаго духовенства. Dosłownie § 7. tak brzmi: Item praecipimus, ut clerici rasuram et tonsuram teneant clericalem. Zestawiając ten tekst z tłumaczeniem p. Berezina, *rasura* znaczyłoby *brodę*, a *tonsura*, *wąsy*. Tłumaczeniu nie dziwimy się, lecz dziwić się możemy, jak poważny pisarz może zejść do tak niskiej i niegodnej broni. Qui nimis probat, nihil probat, rzecz jest znana. Niewczesna gorliwość szkodzi sprawie; surtoût pas trop de zèle, mawiał Guizot do swych prefektów; sądzimy, że p. Berezin więcej szkodzi sprawie, której pragnie służyć, aniżeli jej dopomaga.

¹ Oto co mówi uczony filolog słowiański p. Jagić (Primčri starohèrvatskoga jezika, Dio drugi u Zagrebu 1866, str. XXI): „Mi neznamo ništa pravo, niti koliko ih je svètlost kèrščanska obasjala, niti pođ kakvim su cerkvenim uredjenjem živèli, tek što znamo, da se oba bratska plemena tada jošter nisu cèpala po vèri. Kao Bugari, tako i Sèrbi stojaše još uvèk u nekoj cèrkvenoj svezi sa zapadnim Rimom, priznavajuèi nadbiskupiju Dukljansku“.

² Dzielne ma wyobrażenie p. Berezin o godności królewskiej. Przedstawia Milutyna nietylko jako chwzięnego w postępowaniu, ale poprostu jako chytrze wiarołomnego w zasadach, jednakże nie może znaleźć dosyć słów na jego pochwałę. „Въ этомъ отношешии Милутинъ держался двоякой политики: съ одной стороны онъ высказывалъ папѣ свое желаніе принять католицизмъ, а съ другой усердно работалъ въ дѣлѣ утвержденія православія въ своихъ владеніяхъ. (То jest frazes; ani jednego nie przytacza faktu p. Berezin na porarcie tego zdania). Слუმьвъ, при содѣйствіи папы, достигнуть своей цѣли, Милутинъ обыкновенно оборачивался спшноу къ римскому первосвященнику. Такъ наприкладъ, желая утвердить свою власть въ Боснии, Милутинъ, при посредствѣ своей Матери Елены, ревностной католички, обратился за помощію къ папѣ, обѣщая сему послѣднему признать надъ собою главенство римскаго престола. При содѣйствіи папы были истреблены (?) въ Боснии послѣдователи различныхъ ересей, которые своими кознями сильно подрывали власть Милутина въ странѣ. Уничтоживъ внутреннихъ враговъ, Милутинъ посѣдѣшилъ

przerzucali się od Rzymu do Carogrodu, raz wypędzali biskupów i kapłanów greckich, to znowu biskupów i kapłanów łacińskich, a nawet jak Duszan i jednych i drugich, — wówczas jeszcze w tych stronach stawiano kościoły katolickie lub je upiększano¹.

ЗАТѢМЪ ОТКАЗАТЬСЯ ОТЪ ДАННАГО ИМЪ ПАПѢ ОБЪЩАНІЯ.
(Хов. Т. I. стр. 276).

Czyżby Milutin słysząc te pochwały nie zawołał: „Z nieprzyjaciołmi swymi dam sobie radę, ale od przyjaciół moich wybaw mnie Panie“!

² Szczepan Pierwowenczany (1222—1228) uposażył klasztor benedyktyński św. Maryi na wyspie Mlét (Mon. serbica. Miklošić, 1858).

W Barze był kościół łaciński św. Mikołaja, do niego sprawił ołtarz i obraz srebrny król serbski Milutin i taki napis kazał umieścić (w spolszczeniu): „Roku pańskiego 1319, miesiąca czerwca, VI. indyktu, Urosz król raski, duklański, Albanii, Bułgarii i całego Pomorza, od Zatoki, Adryatyku i morza do wielkiej rzeki Dunaju ten ołtarz, wielki srebrny obraz, wielki świecznik i inne mniejsze ze srebra kazał zrobić na chwałę Boga i błogosławionego Mikołaja“. W tym napisie jest pomyłka. Indykt VI. odnosi się do roku 1323, a stąd do króla Deczana.

Czytamy w sprawozdaniu X. Piotra Bogdanowicza, arcybiskupa skopijskiego (Vet. mon. Slav. merid. Aug. Theiner, t. II. CCXXXIII):

„O jakie 3 mile od Skadaru nad rzeką Bojaną, znajduje się kościół św. Sergiusza i Baccha; ma 30 stóp długości, 20 szerokości a raz tak jeszcze jest wysoki. Największą swą sławę stąd posiada, że tu są groby królów albańskich, jak to poniżej zobaczymy. Ma przeliczną dzwonnice, która dla swej wysokości panuje nad całą okolicą skadarską. Dzwony, jak niesie podanie, mają leżeć zakopane pomiędzy tym kościołem a kościółkiem św. Wenerandy, odległym stąd o 300 kroków. Mówią prócz tego, że tam ukryto srebra kościelne, których nie można było zabrać, kiedy się kraj dostał pod jarzmo tureckie. Obok stoją jeszcze ślady dawnego klasztoru benedyktyńskiego, pod którego zarządem był ów kościół. Miał tytuł „opactwa“ i, jak mówi podanie, miał mieć 16 tysięcy rocznego dochodu; a teraz nie jest w stanie utrzymać ani jednego nawet kapłana. Na froncie widać jeszcze wyryty w marmurze starożytnemi głoski następujący napis: *† In nomine Domini amen. Cxi. mrae virginis filii anno MCCCXV magnificus dominus Urosius, dei gratia Rassiae rex illustris, magnifici regis Urosii natus (et) dominae Elenae reginae, aedificavit hanc ecclesiam ad honorem ss. mm. Sergii et Bachi a fundamentis usque ad finem, stante abbate Petro Dioclen. Scuttarensi.* Na prawym zaś boku na zewnętrznej stronie czytamy: *Memento domine famulae tuae Elenae, reginae Serviae, Diocliae, Albaniae, Chulmiae Dalmatiae et maritimae regionis, quae una cum filiis Suis, regibus Uro-*

Ludność miast nadbrzeżnych składała się prawie wyłącznie z osadników rzymskich i greckich. Spadkobiercy dawnej potęgi

sio et Stephano, aedificavit de novo istam ecclesiam ad honorem bb. mm. Sergii et Bachi, et ad finem usque complevit anno Domini MCCLXXX.

Przy wejściu przez pierwszą bramę przedsionka obok chrzcielnicy wyryte są w marmurze następujące słowa i znaki:

M. C. C. C. C. L. X. X. V. O. C. T.
(t. j. 1470. 5. paźdz.).

W nowej moszei obok zawałonego mostu w kwadratowym głazie te znów czytamy słowa:

I M P. C A E.
L. S E P T I M I O
S E V E R O P E R
T I N A C I. A V G.
T R. P. II. I M P.
III. C O S. I.
P. P. D. D.

W zamkowej zaś moszei, która była wprzód kościołem św. Szczepana, pierwszego męczennika, znajdujemy organ zepsuty, który barbarzyńcy przechowują na pamiątkę swych walecznych czynów“.

Królowa Helena fundowała wiele innych klasztorów i kościołów; w Farlati'm znajdujemy (t. VI. p. 440):

„Anno Domini MCCLXXXVIII. Monasterium S. Mariae de Scutari, et Monasterium S. Marci de Dulchinio per Dominam Mariam de domo Chieriz de Francia, Reginam de Zenta, hoc est Mysiae inferioris in partibus Albaniae. Quae regina jacet sepulta in Ecclesia S. Marci de Dulchinio coram altare majore cum Domino Anselmo ejus filio“.

Nad wejściem do kościoła św. Pawła umieszczony był następujący napis:

„Anno triceno, bis terno, milleno, duceno
Quo fuit Urbanus vice Quartus Papa Romanus
Orosio dante Domino regnum moderante,
Ecclesiae Xpi cum Marcus praefuit isti,
Vir generis clari Paulus cognomine Bari,
Nobilibus nata cum conjuge Dobre vocata,
Illud fundavit templum, gentisque dicavit,
Doctori Saulo mutato nomine Paulo.
Pro quibus exores quisquis venis huc ut ores
Quod coelos opere tali mereantur habere“.

(Farlati. II. Sac. t. VI., p. 442.)

Błędne jest mniemanie jakoby Słowianie południowi, obrządku wschodniego, chętnie trzymali z patryarchami carogrodzkimi; cała

i wykwintnej kultury posiadali wyższość moralną wobec panującego, lecz jeszcze na pół dzikiego elementu słowiańskiego; zwy-

historya Bułgary i Serbii świadczy przeciwnie. Carowie i kralowie, tak bułgarscy jak serbscy często zrywali z Bizancjum, nawiązywali stosunki z Rzymem, lub też głosili swych patryarchów za niezależnych. Bułgarzy i Serbowie zawiele doznali krzywd od Greków, aby do nich lgnąć mieli; Grecy pogardzali Słowianami, a ci im oddawali piękne za nadobne. Ta nienawiść ku Grekom powiększyła się jeszcze w jasyrze tureckim. Biskupi fanariotcy, nasyłani Bułgarom i Serbom, byli po prostu urzędnikami Porty i wraz z baszami i spahami wyciskali krwawo zapracowany grosz na ludźcie; dlatego też skoro udało się Słowianom zrzucić jarzmo mużułmańskie, zrzucili zarazem i greckie.

P. Stojanow przywoździ (w Bułg. Czas. Период. спис. на Бъл. книж. Друж. Сръдецъ, 1882, кн. III. стр. 146 и пр.) kilka przykładów niegodnego postępowania patryarchów fanariotkich z duchowieństwem bułgarskiem. W r. 1843 Bułgarzy z Wielkiego Térnowa podali prośbę do patryarchy carogrodzkiego, aby raczył przeznaczyć Bułgara na władkę do ich dyecezyi. „Tę prośbę, pisze p. Stojanow, poczytał patryarcha za zuchwałą i buntowniczą, przedstawił ją Wysokiej Porcie jako niebezpieczną dla państwa i wymienił zarazem osoby szkodliwy wpływ wywierające w tamtej dyecezyi, mianowicie Neofita Chilenderskiego z Kotel i Hilariona Stojanowicza Jeromonacha z Eleny. Skutkiem tego szatańskiego donosu, obydwa skazani byli na zamknięcie w monastyrze na górze Athos“. Archimandryta Neofit zakończył tam życie, Stojanowicza zaś uwolniono w r. 1848 za wstawieniem W. X. Konstantego Mikołajewicza zwiedzającego św. górę. W r. 1849 ihumen klasztoru Wielko-Térnowskiego, Maksym Rajkowicz, zaskarżony został przez metropolitę Térnowskiego, Greka, iż narusza porządek publiczny, przez zaprowadzenie bułgarskiego języka w cerkwi i szkole lieskowieckiej. Patryarcha wydał ferman (sic), na mocy którego Rajkowicz został osadzonym w monastyrach góry Athos. (Stoj. str. 156).

Słowianie południowi sąsiadowali z Grekami, mieli zatem sposobność poznania ich; nie tak rzecz się miała ze Słowianami z północy. Ciekawy urywek przytacza p. Drinow (Исторически прегледъ на Българска-та църква. 1869. Вѣна) z dzieła: „Пушетествіе въ свягую землю свшценника Лукьянова. Напечат. въ Русскомъ Архивѣ 1863 г“. Nie mając oryginału pod ręką, podajemy ten wyjątek z tłumaczenia bułgarskiego:

„Przybył Łukjanów do Carogrodu, idzie z tłumaczem do Patryarchy. Patryarcha pyta tłumacza:

— Co to za mnich, skąd i poco przybywa?

Tłumacz odpowiada:

Przybywa z Moskwy, a udaje się do Jerozolimy.

Podalem zaraz, pisze Łukjanów, patryarsze mój paszport,

ciężeni i podbici, siłą moralną usiłowali panować nad swymi zwycięzcami, a przynajmniej nie opuszczali sprzyjających sposobności, by swą niedolę osłodzić odwetem. Sposobność nadarzyła się z powodu wprowadzenia języka słowiańskiego do liturgii rzymskiej: pomiędzy dwoma szczepami rozpoczęła się walka religijno-narodowa. Ponieważ ta kwestya jest kamieniem obrażenia dla jednych, dla innych zaś predylekcyjnym taranem do burzenia tego, czego „bramy piekła“ nie zburzą, a nadto nie była jeszcze wyjaśnioną ani przez jednych, ani przez drugich, uważamy za stosowne dłużej się nad nią zastanowić.

(C. d. n.).

X. W. Zaborski.

wziął go w ręce, ale nie mógł przeczytać: popatrzał tylko na pieczęć i zwrócił mi go napowrót. Potem pyta tłumacza:

— A czego on chce odemnie?

Tłumacz na to: Agio despota! On nic od ciebie nie chce, tylko prosi, abyś mu dał jaką cełę na kilka dni, zanim wyjedzie do Jerozolimy: ten cudzoziemiec nie zna języka i nie wie, gdzieby mógł głowę skłonić, a ponieważ ty jesteś głową Chrześcijaństwa, udaje się do ciebie o pomoc.

Patryarcha na to:

— A przyniósł on jakie dary? Spytaj go: jeżeli ma podarunki, to będzie i cela.

Podobnego przyjęcia doznał Łukjanów w monasterze synajskim, nie szczędzi też Greków w swym opisie.

„Jacy ci Grecy gościnni, mówi on, corocznie jeżdżą do Moskwy, zbierają jałmużny, a tu nie chcą przyjąć jednego cudzoziemca!... Grecki patryarcha wypuszcza cerkwie na licytacye, po dwieście, sto i pięćdziesiąt talarów na rok; ten otrzymuje, kto da więcej. Metropolie także się sprzedają... a stąd wielu metropolitów jest na bruku... Nieprzystojne jest zachowanie metropolitów w cerkwiach, rozmawiają, śmieją się i kręcą na wszystkie strony... Nasi popi więcej daleko lepiej się zachowują od tych metropolitów... Kiedy patryarcha przyjmuje metropolitów u siebie, to archidiacon podaje cybuch patryarsze a proto-diakoni metropolitom i biskupom“...

ROZWÓJ WIARY.

(Ciąg dalszy.)

Nadnaturzyści: a) pietyści, szkoła aleksandryjsko-żydowska, walenty-nianie, manichejczycy, wieki średnie — Schelling; b) Boehme, Poiret, Baader; c) Kornel Agrippa, St. Martin, — nowsi: Twesten, Nitzsch, Kothe, polscy filozofowie: Trentowski, Kamiński, Libelt.

Po daniu odprawy pierwszej grupie filozofów, przechodzimy obecnie do drugiej, zatrzymując się krótko przy tych, którzy do czasów dawno minionych należą. Dajemy im wszystkim ogólne miano Nadnaturzystów, wszyscy bowiem albo przeceniają znaczenie żywiołu nadnaturalnego wchodzącego do aktu wiary, któremu jedynie ją przypisują, albo przynajmniej wprowadzają nowy jakiś żywioł, nienaturalny a nawet wcale nieistniejący, z którego bezpośrednio wiara ma się rodzić. Trzy również zaznaczamy tu podpodziały, któreśmy już u naturzystów spostrzegli; rozumowi bowiem samemu lub samej woli, albo wreszcie samemu tylko uczuciu, przypisują nadnaturzyści ów pierwiastek nadprzyrodzony, z którego przedewszystkiem wiara pochodzi. Każdy zaś podpodział na tyle dzieli się odcieni, ile jest głów filozofów; dlatego o głośniejszych tylko imionach i systemach wspomnieć nam wypadnie.

Przypatrzymy się najprzód filozofom, którzy do rozumu tylko przywiązują pierwiastek nadprzyrodzony, mający zrodzić akt wiary. Wszyscy oni prawie rozróżniają dwojaki stopień wiary: niższy, który zależy na przyjęciu objawienia, zasadzającego się na powadze świadków i wyższy, będący duchowem widzeniem tych samych prawd — i zapewniający błogi pokój duszy. Otóż właśnie w tem mniemanem widzeniu leży błąd pojęcia nad-

przyrodzonego pierwiastka, który zresztą rzeczywiście w akcie wiary bierze udział. Widzenie to bowiem jest według zdania wielu skutkiem nadnaturalnego światła wiary, czyli nadnaturalnego wzmocnienia naszego rozumu, które nam umożliwia widzenie przedmiotu samego w sobie, — tak sądzą Gnostycy Manichejczycy, Neoplatonicy. Według innych znowu ta wyższa wiara jest wewnętrznym objawieniem oświecającym umysł, jak uczą kwakrzy, hernhuci i metodyści¹. Oni są przedstawicielami czystego mistycyzmu, według ich zdania rozum zachowuje się całkiem biernie, Bóg sam w nim wszystko działa.

Nie tak są skrajne systemy Pietystów z rozmaitemi ich odcieniami, gdyż do nich najbardziej stosuje się wyrażenie: *unusquisque in suo sensu abundat*, ile głów, tyle odmiennych nauk między nimi.

Do tej klasy liczą się Teozofowie dawniejszych czasów — są oni blisko spokrewnieni z starymi Gnostykami. Filozofia ich zawarta jest w następujących dogmatach: człowiek potrzebuje objawienia wewnętrznego do poznania każdej prawdy, tak dalece, że bez tego boskiego światła rozum jego jest niezdolny do utworzenia sobie pojęcia o jakiegokolwiek rzeczy². Na tem jednak przyjęciu objawienia, na tej wierze pierwotnej buduje się wiara doskonalsza t. j. wiedza. Doskonałość tejże wiary rośnie stopniowo aż do zupełnego zrozumienia wszystkich tajemnic, a nawet aż do jasnego oglądania Boga. Kiedy dusza ludzka już tę wyższą wiarę posiada, wtedy wiara w historyczne objawienie nie ma już dla niej żadnej wartości. Taką również jest filozofia Indyan, obnażona ze wszelkich ozdób, w jakie wyobrażenia wschodnia ubrała swoje marzenia³.

W tym także oddziale mieszczą się filozofowie szkoły żydowsko-aleksandryjskiej, której przewodnikiem był Philo. Zarówno ze starymi dualistami dzielił on duszę ludzką na dwie części

¹ Moehler Symbolik, o tych sektach. Lechler Geschichte des engl. Deismus.

² Widać z tego, że główny dogmat tradycjonalistów naszych czasów jest już bardzo stary.

³ Windischmann: Philosophie im Fortgang der Weltgeschichte I. Th. 2 Abth.

Część niższa czyli psyche nie widzi Boga, ale rozum, władza o wiele wyższa i prawdziwie boska, może Go oglądać, a choć nie zdoła pojąć Go zupełnie, jednakże bezpośrednio Go widzi duchowem swem okiem. Stąd jak długo w człowieku panuje psyche, potrzebuje on objawienia, i jedyna wtedy jego wiadomość o Bogu i rzeczach boskich jest wiara czerpiąca wiedzę z objawienia. Lecz kiedy już rozum się jego wydoskonalił, wiara mu już wtedy niepotrzebna, gdyż ma on wyższy sposób poznawania, jakim jest wewnętrzne w umyśle światło, objaśniające największe tajemnice Boże¹. Wielu chrześcijan przyjęło później tę naukę; są to hereetycy, znani pod imieniem Walentynianów, Ofitów i Marcyonitów — o pierwszych tylko wspomniemy nieco jako bardziej oryginalnych w swoich pomysłach. Odnośnie do teologii ubrał Walentynian swój system filozoficzny w fantastyczną bajkę o Eonach. Wszystko, co jest na świecie, jest według niego emanacją Boga, wpływem Jego doskonałości. Rozum ludzki, chcąc zbadać istotę boską, czuje swą nieudolność z powodu granicy, jaka mu jest postawiona. Cóż tedy robi? oto, jak twierdzi Walentynian, wpada w chaos czyli odmęt t. j. tworzy sobie systemy o Bogu mgliste, niezrozumiałe, błędne, które są początkiem wszystkiego złego. Chrystus zaś podnosi rozum, przynosząc mu wiarę. Jednak Bóg nie jest niepojęty dla wszystkich, jest takim tylko dla tych, którzy zanadto jeszcze będąc zmysłowymi i cielesnymi, nie mają świadomości o swem pochodzeniu z boskiej Istoty; dla takich tylko wiara jest jedynem źródłem poznania Boga. Inni zaś przez Ducha św. nauczeni wiedzą, że z Boga pochodząc, jednym z Nim są duchem, a zatem nie potrzebują już wiary, oglądają okiem ducha tę tajemnicę przewyższającą wszystkie tajemnice, t. j. swą jedność zupełną z boską Istotą².

Oto dziwaczne powikłanie mistycyzmu z panteizmem, dwie ostateczności w jednym systemie skojarzone.

Nie wiele się od tego różni nauka Manichejczyków, u których

¹ Dähne: *Geschichtliche Darstellung des jüdisch-alexandrinischen Religionsphilosophie*. Denzinger I. c. I. 282.

² Irenaeus I. I. c. 6. n. 2. l. 7. III. c. 3. et alibi. *Clemens Alex.* str. II. 3. Tertul. de aa l. 23. Ciekawe jest dzieło przypisywane Walentynianowi: *Pistis Sophia e cordice coptico Ms. Londinensi descriptis et latine vertit M. S. Schwartz, edit. Petermann.*

podział wiary na doskonałą i niedoskonałą, polega na tym samym dogmacie, że duch ludzki choć wprawdzie jest wpływem boskiego światła, jednak pogrążony w cielesności nie wie nic o swoim jestestwie boskiem. W tym nieszczęśliwym stanie jest dlań potrzebna wiara Chrystusowa, czyli wiara w objawienie, która jednak nie jest doskonałą, bo zawiera w sobie wiele, co nie jest słowem bożem, ale wymysłem ludzkim. Jest zaś inna wiara, wiara w właściwym tego słowa znaczeniu, a jest nią wiedza, która za pomocą światła Ducha św. odkrywa rozumowi stopniowo wszystkie tajemnice. Przez tę wiedzę człowiek staje się świadom i niejako przypomina sobie swoje boskie pochodzenie¹.

Nauki te o wierze wyznawane przez Gnostyków i Manichejczyków, znalazły wielu zwolenników pomiędzy heretykami wieków średnich, którzy oprócz wiary niższej przypuszczają także jakąś wiarę wyższą, jedynie tego imienia godną. Ma ona być wynikiem szczególniejszego objawienia, oświecającego rozum doskonałszych, albo nawet samego oglądania duchowego boskiej Istoty.

Świat był pełny tych Gnostyków (od gnozis wiedza) lub Intelligentów (rozumiejących), jak się sami nazywali, zwłaszcza w dobie odrodzenia czyli humanizmu, rozkwitu nauk przyrodniczych, klasycznej filologii. Włosi mieli w tym czasie sławnego kardynała Mikołaja z Kuzy (Cusanus), Marsyliusza Ficini, Jana Pico z Miranduli, Franciszka di Giorgio, później nieco Tomasza Kampanellę i Hieronima Kardana. W Niemczech doszli wtedy do wielkiej sławy Filip Teofrast Bombast pod imieniem Aureolus Theophrastus Paracelsus z Hohenheim, Jan Reuchlin z Protzheim, Korneliusz Agrippa z Nettersheim, Jan Wessel Gansfort, Jan Goch. Między Francuzami należy do tego kierunku Wilhelm Postel, belgijczyk Jan Helmont i syn jego Franciszek Merkuryusz; Anglicy Robert Fludde, Tomasz White znany pod imieniem Thomas Anglus, i inni. Polacy nie odznaczyli się na tem polu. Wszyscy ci filozofowie utrzymywali, że wiara jest wewnętrzne oświecenie rozumu, spowodowane przez objawie-

¹ Aug. disp. c. Faust. Man. 326. 33.3—18.3. et alibi c. Fortun. disp. 2. n. 20 — op. impf. III. 172. 186 ctra duas epp. Pelag. IV. 4.

nie, przez które człowiek wchodzi bezpośrednio w istotność boską. Wiara taką poznaje się Boga i świat, cały porządek naturalny i nadnaturalny. Niższą od niej jest wiara polegająca na powadze innych, przynoszących objawienie. Wytłumaczenia tej swojej nauki szukali oni często w zasadach filozofii Platona lub Arystotelesa, także u żydowskich kabalistów.

W ogóle, jako znamię wspólne wszystkim tak starszym jak późniejszym, potrzeba naznaczyć pewne panteistyczne przypuszczenie o jedności, a nawet tożsamości ducha ludzkiego z Bogiem. Zgadzałi się też wszyscy w innym jeszcze dogmacie z pierwszym ściśle złączonym, nauczając, że dusza nasza z dwóch części się składa, a przynajmniej ma dwie władze poznawające (najrozmaiciej je nazywają), z których każda ma inny zakres i sposób poznawania. Pierwszej, czyli niższej, czynnością jest rozumowanie, wiedza przez nią otrzymana wcale nie jest pewna, i gdyby tylko tą władzą umysł nasz był obdarzony, żadną prawdziwą wiedzą chlubiłobyśmy się nie mogli; do niej należy odnieść wiare, która się zasadza na powadze świadków.

Druga wyższa część ma za przedmiot duchowe oglądanie Boga, pojmowanie jasne najgłębszych tajemnic, do niej zalicza się wiara prawdziwa, czyli wiara ludzi doskonałych, umysłów wyższych. Nawet pochodzeniem różnią się między sobą te władze, bo gdy niższa wzięta jest z świata zmysłowego — według Paracelsa n. p. z gwiazd — to wyższa z samej Istoty Bożej wychodzi, co więcej, samem jest Słowem Bożem (Paracelsus), Światłem i Duchem Bożym¹.

Przedstawicielami tego panteistycznego mistycyzmu, są także Amalryk (1295), Wilhelm Paryski, Dawid z Dynanto, Bracia i Siostry wolnego Ducha i mistrz Ekkard (1329).

Dla tak zwanych Reformatorów z XVI-go w. ten kierunek miał wiele pociągu. Zatrzymawszy w gruncie mniej więcej te same zasady, nazwy tylko i frazeologię zmieniono, według wy-

¹ Non vos estis, qui intelligitis me, sed ego ipse in vobis per Spiritum me ipsum intelligo. Joannes Scotus Erigena hom. in Joan.

Quilibet homo perfectus est Christus per naturam. Mosheim. Kirchengeschichte II. B. Staudenmayer ibid. I. 641. Ullmann. Reformatoren vor der Reformation II. 6. 26.

magań ówczesnych okoliczności. I całkiem naturalnie! Wiara, która polega przedewszystkiem na wewnętrznem objawieniu Boskiem, na oglądaniu bezpośrednim prawd Bożych, musiała przypaść do smaku tym, którzy odrzucili powagę Kościoła nuczającego. Stąd widzimy w protestantyzmie często obok nagiego racjonalizmu najdziwaczniejszy mistycyzm. Kiedy chodzi o wystąpienie przeciw Kościołowi kat., wtedy posługuje się on fortelami racjonalizmu, kiedy zaś własną głosi naukę, bierze sobie do pomocy wynalazki mistycyzmu, jak inspiracya wewnętrzna, natchnienie Ducha św. i t. p.

Teraz zrozumiemy, dlaczego pierwsi reformatorowie tak bardzo Gnostyków i Teozofów pod niebiosa wynoszą. Ulubioną książką samego Lutra była „Niemiecka teologia“ *Die deutsche Theologie*, dzieło nieznanego autora, którego on nowe przygotował wydanie, opatrzone osobnem od siebie przedśłowiem, a w którym się wyraźnie przyznaje do nauk w dziele tem zawartych, chociaż one widocznie gnostycyzmem są zarażone. Tak samo myśleli i jego zwolennicy, a pierwsi mistrzowie reformacyi i profesorowie jak Flaccius, Arnd, Spener, Ullmann, liczą autora tego dzieła do reformatorów przed reformacją, podobnie jak i Jana Gocha, Marcina z Moguncyi i innych¹.

Z kolei wypada nam poznać bliżej system Schellinga, który jeszcze i teraz ma pewne znaczenie u wielu. Jest to racjonalizm wprawdzie bez dodatku mistycyzmu, ale przyznaje pierwiastek wyższy nad rozum. Pierwiastkiem tym jest jakiś stosunek do bytu bezwzględnego (zum Absolutseienden) t. j. do Boga; nie opiera się on na żadnem doświadczeniu, ani wewnętrznem ani zewnętrznem, nawet wszelkie doświadczenie przewyższa. Dwojaką on bowiem przyjmuje wiedzę i dwojaką wiarę. Pierwsza wiara jest początkiem wiedzy naszej o Bogu. Mając zepsutą naturę niezdolni jesteśmy do poznania głębszego istoty Bożej, i dlatego potrzebna nam jest wiara w objawienie, które uzupełnia nasze o Bogu wiadomości. Jest jednak i druga wiedza i wiara, wypływająca ze stosunku naszego do Boga, która zależy na bezpośrednim poznawaniu i oglądaniu duchowem Absolutu. Stosunku zaś tego

¹ Denzinger t. I. 411.

podstawą jest bytność Boga w nas, przez co staje się możebnem poznanie Go zewnątrz nas, gdyż tylko „równe przez równe może być poznane“¹. Przez Boga zatem w nas zostającego, poznajemy Go ukrytego w świecie zewnętrznym.

To znamię panteistyczne jeszcze się bardziej uwydatnia w wytlómaczeniu, danem systemowi Schellinga przez ucznia jego Zimmermanna².

Przechodzimy obecnie do drugiego oddziału Supernaturzystów, gdzie jeszcze dziwaczniejsze znajdziemy pojęcia wiary. Należą tu filozofowie odnoszący wiarę do woli, ale woli jakiejś wyższej niż ta zwyczajna, którą każdy ma człowiek. Na pierwszym miejscu musimy tu postawić system Jakóba Boehme, zapatrywanie jego najjaśniej jest wyrażone, największy też miało wpływ na wielu późniejszych filozofów; nadto, jak autor twierdzi, naukę tę zawdzięcza oświeceniu, jakie otrzymał z góry, będąc w ekstazie.

„Wola, która sama przez się silnie postępuje, jest wiarą³. Prawdziwa wiara jest prawdziwą wolą, która w żywotne wchodzi słowo“ (Dreifaches Leben. 14). Prawdziwa wiara w tem polega, że człowiek swoje poządliwości umartwia i Bogu je poświęca. Wolę swoją zgodzić z wolą Bożą, i zupełnie się jej poddać, to znaczy wierzyć (Menschwerdung I. P. c. 11); albowiem, mówi on, wiary przedmiotem jest to, czego nie widzimy ani czujemy, stąd możemy to tylko przyjąć pragnieniem woli.

Wiary tej zacność lepiej się zrozumie, gdy się zważy, czem ona jest odnośnie do działania Bożego w człowieku wierzącym, sam bowiem Chrystus w nas mieszkający i wolą swoją w nas żyjący i działający jest istotną wiarą naszą. Oto czysty gnostycyzm ożeniony z fałszywym mistycyzmem!

Dosadniej jeszcze tę rzecz wyklada *Poiret*. Według niego wiara nie jest wcale czynnością człowieka, ale samego tylko

¹ *Schelling*. Vorlesungen. Berlin, herausgegeben v. Frauenstädt 74. 103 Ueber menschliche Freiheit 400.

² Zimmermann. Pphilosophische Untersuchung über den allgemeinen Verfall des menschlichen Geschlechtes I. n. 12—21, i III. Th. n. 36.

³ Tak on sam określa wiarę w dziele: Vierzig Fragen über die Seele Fr. 6. u. 10.

Boga, który w duszy wierzącej mieszka i żyje; przebywanie w nas Boga, to wiara nasza. Rozbierając dokładniej to boskie życie w nas, sprowadza całą wiarę do woli tylko, jako do źródła, z którego wypływa; przyjmuje bowiem w duszy ludzkiej trzy władze i to nieskończone, z których pierwsza jest wola czyli żądza nieskończona, druga umysł, a trzecia zadowolenie czyli miłość. Władze tych nieskończonych czynności są rozwojem w nas życia Bożego czyli wiary, a ponieważ wola według tego filozofa jest podstawą innych władz, więc jest podstawą wiary. *Baader* różni dwie wiary: niewolną, która jest działaniem Bożem na umysł człowieka i oświeca go swą prawdą; i wiarę wolną, kiedy człowiek dobrowolnie to oświecenie Boże przyjmuje ¹.

Steffens widzi istotę wiary pewności, jaką mamy w sobie z daru miłości Bożej, o rzeczywistości przebywaniu w nas Boga ².

W dziwnej teorii *Liebnera* ³ wiara jest najściślejszem połączeniem stworzenia z Bogiem, a zatem źródłem nieustającym życia i wiedzy; jest ona oddaniem się człowieka Bogu w nim mieszkającemu i w nim działającemu, albo raczej jest ona formą duchową, jaką wytwarza w duszy napełniając ją swą światłością i dobrocią.

W końcu wypada nam jeszcze wspomnieć o filozofach, którzy wiarę z uczuć serca wyprowadzają, a z uczuć niezwykłej dzielności i potęgi. Takimi są mistycy średnich wieków, o których już wyżej wspomniano jak Kornel Agryppa, Campanella i inni. Według nich wiara wyższa jest zetknięciem się istotowem z Bogiem (*contactus essentialis*), jest ona wyższą po nad wszelkie poznanie, udziela poznania Boga. Zetknięcie się to jest Bożą miłością. Wiarę zwyczajną nazywają oni *credulitas* i podporządkowują ją wiedzy, światło wiary rodzi się z miłości, jaką dusza wierząca pała ku P. Bogu ⁴.

Saint-Martin, a właściwie mistrz jego Fournier posuwa się

¹ *Baaders Werke* t. 172, 333, 376.

² *Denzinger Erkenntn.* II. 454.

³ Theodor Albert Liebner (profesor w Kiel) *Introductio in dogmaticam christianam*.

⁴ Zobacz o tem: *De triplici ratione cognoscendi Deum* c. 5. *De occulta philosophia* l. 3. c. 5. 6. 49.

aż do ostatnich granic mistycyzmu. Wiara u nich jest czynnością uczucia, umiejętnością serca, jest zarazem ufnością i miłością. „Qui dit foi, dit confiance, qui dit confiance, dit amour, espérance, tous sentiments plus vifs, plus satisfaisants pour nous que ceux qu'occasionne l'évidence, en ce, qu'à ces derniers l'on ne peut pas s'y refuser, et que le sentiment qu'on donne à l'évidence est indispensable, au lieu que le sentiment de la foi est libre et comme volontaire: il sort de nous, l'autre y entre avec empire... L'espérance est une foi commençante; la foi est une espérance complète, la charité est l'action vivante et visible de l'espérance et de la foi¹. To zaś uczucie rodzące w nas wiarę, jest właśnie ową czynnością, którą Bóg w człowieku sprawuje, dając mu swe własne boskie czucie². Pan Bóg bowiem w tym systemie jest wszystkim istotnie, jest rzeczywistością życia i działaniem wszystkich istot żyjących i działających. On jest powszechną i wspólną wszystkim miłością, wspólną tęsknotą, wspólnym duchem...

Zwolennikiem tej nauki był w Austrii dość znany Ekkartshausen, którego dzieło: „Gott ist die Liebe“, za wykwit najwznioślejszego ascetyzmu przez dłuższy czas uchodziło.

Wielu z tego długiego szeregu Nadnaturzystów, pod płaszczykiem udanej pobożności, ukrywali nieraz gwałtowną nienawiść tego, co katolicka wiara jako najświętszy chrześcijanina obowiązek zaleca³.

Mniej do mistycyzmu zbliżają się mniemania innych. Na samej miłości gruntuje wiarę Oettinger⁴, odrzucając wszelkie poprzednie wiadomości lub dowody. Tak samo dla *Twistena*⁵, wiara nie ma innego źródła, jak czucie. Temu zawdzięcza ona pewność o prawdziwości treści swojej, a nawet i samą tę treść, bo w to jedynie można wierzyć, co duszę uspokaja i pobożną napętnia słodyczą.

¹ Oeuvres posthumes I. 292. 231.

² L'esprit des choses II. 102, zob. też De Maistre Soirées de St. Petersbourg II. 332.

³ Denzinger I. 270, który ustęp jako klasyczny w tym przedmiocie tu wypisuje się: Vom religiosen Standpunkt...

⁴ Ueber die Wiedergeburt.

⁵ Dogm. I. 21. 22 porów. Log. 312.

*Nitzsch*¹ znowu twierdzi, że wiara wprawdzie jest poznawaniem, ale spowodowanym przez czucie, które taką umysł obdarza pewnością, takim zadowoleniem, że ani zwyczajna wiedza, ani widzenie nawet samo czegoś podobnego uczyniłyby nie zdołało.

Prawie na to samo wyjdzie zdanie, które wykląda *Rothe* w swojej *Etyce*², że wiara jest świadomością i objęciem Boga objawiającego się w duszy człowieka, w skutek czego tenże w radosnem uniesieniu oddaje się zupełnie Najśw. woli Bożej.

Oto krótki rys tych rozmaitych poglądów filozoficznych o istocie wiary. Mają one wszystkie na sobie znamię błędu i są tylko wypaczeniem prostego jej pojęcia.

Na nieszczęście i niektórzy polscy filozofowie, idąc za przykładem obcym, nie filozoficznie i nie po katolicku pojmują istotę wiary. Do takich musimy zaliczyć Bron. Trentowskiego, który w swojej *Myślini*³ czyli *Logice*, tak mówi o wierze, której trzy rodzaje rozróżnia: „Widząc, słysząc, i wążając coś, lub też smakując i dotykając się czego, jesteśmy tego bezpośrednio pewni. Pewność ta przecież nie jest już całkowitą, ale dopiero twierdzącą, empiryczną, zaczem jednostronną poznania pewnością. Biorąc to poznanie zmysłowe za poznanie prawdziwe, znajdujemy się w błędzie. Atoli nie wierzymy temu, że jesteśmy w błędzie, bo nie mamy jeszcze wyobrażenia o tem, czem jest prawdziwe poznanie; i owszem wierzymy głęboko, że mamy słusność, bo poznanie zmysłowe polega na bezpośrednim pewniku. Pewność poznania zmysłowego nie jest tedy pewnością filozoficzną, pewnością prawdziwą, ale tylko wiarą“.

„Czem dla empiryka są wielkie księgi natury i własne oczy, tem dla dziejopisarza kronika i obce świadectwo. Dziejopisarz jest więc także empirykiem, ale takim co opuścił głośną i tańczącą terażniejszości redutę, a zamknął się w głuchych i ciemnych przeszłości sypialniach... Historyk powtarza słowa kronik, stawia różne świadectwa obok siebie i sądzi, że przedmiot swój

¹ System der christl. Lehre 25. 28.

² Ethik I. 16. 18. 48, zob. także Ullmann: Wesen des Christenthums 119, 38, 51. Schaeberlein: Die Grundlehren des Heils entwickelt aus dem Prinzip der Liebe 115.

³ Ibid. 446—450.

poznaje prawdziwie. Nie jest to atoli poznanie, ale oczywista wiara“.

„Wiadomo powszechnie, iż wszelka nauka kościelna, nieraz i sama teologia trzyma się ślepo (sic) litery świętej i raz ustanowionego dogmatu. Dla prawowiercy, który jest zwykle ślepowierca (?), tem jest Zend-Awesta, Weda lub Koran t. j. księga święta, czem kronika dla dziejopisarza, a natura dla empiryka. Prawowierca nie ma już najmniejszego kłopotu z przedmiotem swym, bo tłumaczy tylko uświęcone słowa, których nie będąc filozofem nie pojmuje bynajmniej, tłumaczy je literalnie i to wedle reguł od Kościoła przepisanych; tłumaczy je tak, jak je przed tysiącem lat raz na zawsze wytłómaczono“.

Widać, że filozof ten nie miał nigdy w rękę dzieła teologicznego lub egzegetycznego, byłby bowiem mógł się przekonać, że teolog jest zarazem i filozofem, który każdą prawdę wiary dwójako udowadnia. Bo najprzód musi dowieść, że nauka jakaś wiary jest od Boga objawiona, czyli dać dowód jej zewnętrznej wiarytelnosci, a potem, że, sama w sobie wiary godną, co już wynika wprawdzie z poprzedniego — nie może bowiem nie być prawdą, co Bóg objawił. Ale oprócz tego jest zadaniem teologa prawdę tę nietylko wyjaśnić — bo cóżby to była za nauka, której się nie rozumie — ale też rozumowo poprzeć, a przynajmniej pokazać, że między wiarą a rozumem nie zachodzi tu żadna sprzeczność.

Ale jeszcze dosadniej wyraża się on tak dalej:

„On (prawowierca) czyta dzień i noc w księdze śtej, wyrzeka się własnej samodzielności, którą otrzymał z rąk Boga; rozstaje się nawet z rozumem. To właśnie jest charakterem religijnej wiary, że nie pyta się o dowody i nikomu ich nie daje. Tu ma niebo, kto wszystkiemu bezwarunkowo uwierzył“.

Jeśli powyższy ustęp jest nacechowany nieznośną zarozumiałością i lekceważeniem swoich czytelników, od których domaga się, aby bez dowodów wierzyli w te smalone duby, które im plecie, to ustęp następny jest już podstępem i kłamstwem na Kościół katolicki; chyba że wolimy przyjąć, że Trentowski mógł nie wiedzieć o tem, że Kościół domaga się wiary jako rationabile obsequium względem P. Boga. Oto jak pisze:

„Pewna dziewczyna pieściła się w objęciach obcego sobie mło-

dzieńca. Wtem wchodzi do pokoju niepodzianie jej kochanek i widzi to z niesłychanem zadziwieniem. Obcy młodzian oddala się, a kochanek czyni oblubienicy swej wyrzuty. Ta zaprzecza mu wprost i bez najmniejszych korowodów wszystkiego. Po drugi raz zdziwiony mówi do niej: Wszakże widziałem sam na własne żywe oczy! Ona w szloch okropne! Gniewa się i woła: precz, precz niewdzięczniku i zdrajco, precz odszczepieńcze! Zdziwiony kochanek po trzeci raz pyta się o powód całej tej komedyi. Narzeczona płacząc odzywa się nareszcie: wierzysz więc twym oczom więcej, niż najuroczystszym moim zapewnieniom?... Miła i luba hierarchia postępuje tak co do joty z kochankiem swym światem. Ona wymaga podobnej zupełnie wiary we wszystkie jej słowa. Kto chce rozumować, jest różnowiercą, kacerzem, odszczepieńcem“.

Ustępy te przekonywują, że według Trentowskiego najnie-rozumniejszą jest rzeczą wiara, która według jego mniemania jest silnem i niezachwianem uważaniem czegoś za prawdę, co dla braku wszelkich dowodów wcale na to nie zasługuje. Wstrzymujemy się od dalszej krytyki, gdyż samo rzeczy wyłożenie już ją dostatecznie w oczach myślącego czytelnika określa. Dodamy tylko, co o nim sądzi dawny jego szczerzy przyjaciel Feliks Kozłowski¹: „Gdy wszystkie momenta (nauki jego o wierze) zbierzemy w jedno, a nadto, gdy się w całą przestrzeń filozofii naszego pedagoga zapuścimy, odsłonimy tak wielkie ubóstwo, jakiego prawie żaden system filozoficzny z czasów chrześcijańskich nie okazał. Nie chcemy tu mówić o tym widocznym niedostatku głębokości myśli, która zwyczajnie trywialna a po i największej części bezczelna krytyka zastępuje; chcemy tu jedynie zwrócić uwagę, że nasz nieszczęśliwy filozof, wyrzekłszy się wiary, powymyślał zdania, które że nie tylko żadnej prawdziwości i rzeczywistości w sobie nie zamykają, ale nadto, o ile z historią stoją w związku, są największem kłamstwem i oszczerstwem“...

Inną drogą zdąża do rozwiązania tego samego zagadnienia Jan N. Kamiński. Jako uczeń Szellinga idzie on w ślad za mistrzem swoim. I on także przyjmuje pewien zmysł religijny,

¹ Początki filozofii chrześcijańskiej I. 438.

z którego się wiara rodzi. Oto jak się wyraża¹: „Co nas o za-
światowych dziedzinach uwiadamia, co nas o Bogu bezpośrednio i samowiednie naucza, to dzieje się z myśłem wewnętrznoreligijnym. Nie pobiera on tej wiadomości przez natchnienie, przez oświecenie z gór, on ją już ma stamtąd w sobie zarodno. Do poznania tego, co jest samo przez się, bez wszelkiego względu, bez wszelkiego warunku prawdą, nie ma innego organu, jak tylko również toż samo przez się, bezwzględne, bezwarunkowe samorzutne znanie, które znikąd, ani przez naukę, ani przez żaden wywód, ani żaden dowód w duszę naszą nie przychodzi, lecz samejże duszy bez wszelkiego warunku jest samowłasną niezaprzeczoną istnością. Dusza sama w sobie, świadoma Boga, w sobie Go sobie właściwym, duchowym bezpośrednim sposobem uznaje“.

Jest to zwyczajny błąd tych filozofów: im się zdaje, jakoby umysł nasz mógł tak samo poznawać Boga bezpośrednio, jak „oko pobiera pogląd światła i kolorów, a tkliwość ucha rozwój i rozmogę tonów“.

Wprawdzie i tego poznania są stopnie przygotowawcze według Kamińskiego, ale one są tylko warunkami rozbudzenia zmysłu religijnego, nie mają zaś wpływu na samo poznanie Boga. I tak pisze on dalej: „Zanim się w sercu człowieka ruch religijnego zmysłu pojawi, zanim się w jego zmyśle wewnętrznym pojawi wiedza o Bogu — musi już człowiek wprzód niejako być sobie i świata zewnętrznego świadom, ażeby zdołał zapragnąć wiedzy o Bogu.

„Pogląd na majestatyczną naturę, na jej ogromne umysł człowieka dziwem uderzające zjawiska; pogląd na dzieje ludów, na ich łamanie i pasowanie się między sobą i między światem natury; pogląd na śmierć i życie: to wszystko zmusza człowieka do pomysłu i uczucia, zmusza do zaświadomienia się o tej przyczynie, która to wszystko sprawia.

„Jakkolwiek atoli zjawiska natury i dzieje ludów wzbudzają zmysł religijny, jednakże nie jest to jeszcze poznanie Boga. Natura i historia rozniecają wyobraźność i przywodzą do

¹ Dusza uważana jako myśl, słowo i znak str. 110.

świadomości, że jest coś wyższego, trwalszego nad wszystko znikome i przemijające, lecz samejże idei, samejże jestności, jaką jest Bóg, tego poznania dać nie mogą“.

Jakże więc przychodzi człowiek do poznania Boga? Otóż, z rozwinięciem się człowieczego rozumu rozwija się i świadomość, „a wraz z tą świadomością pojawia się duchowa forma wiedzy o Bogu. W uznaniu się bowiem człowieka zamieszka wraz i uznanie Boga. Sam tylko człowiek powiedział słowem swoim wszelkiej naturze, że jest Bóg, który ją swoim świętem ze swojej twórczej wiedzy jetem słowem stworzył; jakoż sam człowiek uznając się tem świętem, tem samojęttem słowem: tem jest, powtórzył to słowo Boże, którem Bóg świat stworzył. Niem dopiero imionował się człowiekiem, i niem się samoswojnie nominując, powtórnie się imiennie stworzył. W zmyśle uznania się człowieka, mieszka z myśl religijny. Światło ducha z uczuciem duszy idą w jedną żywą spójność i zwracają się ku idei, którą jest Bóg i z której wszystko idzie“.

„Zmysł religijny jest to intuicya, ponik, z którego żywy źródł Bożej prawdy wyciska i przez swoje święte Ja objawia się. . . Zmysł religijny odnosi wszystko, co ziemskie i skończone do tego co nadziemskie i nieskończone, widzi w doczesności wiekuistość, a w wiecznie zmiennem, widzi wiecznie niezmienne“. . .

„Zmysł religijny słyszy w świecie powszechnym głos Boży, i czyta w nim pismo Boże. W tym zmyśle Bożego popędu bije tętno, które całą naturę przenika i ożywia; temu zmysłowi pisał księgę dziejów palec Boży. Ten zmysł widzi w naturze uprawiającą rękę najwyższej Wszechmocności, widzi Ducha największej dobroci, a w dziejach ludzkości panującą wszechmocność Jego, widzi opatrność i wszechwładną wolę Bożą. . .

Piękne te słowa mogłyby być zupełną prawdą, bylebyśmy tylko te „widzenia“ nie zmysłowi religijnemu i jego bezpośredniej intuicyi przypisywali, ale rozumowi, który umie znaleźć we wszystkich pojawach fizycznego i moralnego świata ostatnią przyczynę, rękę wszechmocnego Twórcy, i to bez pomocy takiego zmysłu, i nie przez bezpośrednią intuicyę, ale mocą wrodzonej władzy wnioskowania, która z istnienia skutków wyprowadza istnienie przyczyny, na podstawie tej niewątpliwej

zasady, że każdy byt musi mieć dostateczny powód istnienia albo w swojej istocie, albo w istocie innego bytu. Łącząc bowiem wszystkie skutki i przyczyny w jeden nieprzerwany łańcuch, rozum przychodzi koniecznie do bytu, co już w żadnym innym, jeno tylko w samym sobie ma najpełniejszy powód i źródło swego istnienia, t. j. od Boga, pierwszej przyczyny wszech przyczyn. Zgoła więc niepotrzebnym i czczym wynalazkiem jest ten zmysł religijny, z którego miałyby pochodzić pojęcie Boga jako podstawa całej wiary. Również niepotrzebnym on jest dla wierzenia innych prawd objawionych. Jedynym źródłem poznania i pewności tych prawd jest dla nas autentyczna nauka Kościoła; nie potrzeba więc żadnego innego źródła.

Najlepsze jeszcze miejsce między polskimi filozofami zajmuje *Karol Libelt*, który nie tylko że się odznacza głębokością myśli i oryginalnością poglądów, ale też otwartem przyznawaniem się do katolickich przekonań. Jednak w pojęciu wiary nie zgadza się i on z nauką Kościoła kat. Wiara według Libelta jest rzeczą uczucia i serca, nie mniej jednak przez to człowiekowi potrzebna. Ciekawa jest droga duchowego rozwoju człowieka, jaką Libelt przedstawia w swojej *Estetyce*¹: „Ostatniem dziełem stworzenia był człowiek. Na to podanie biblijne zgadza się także filozofia. (jak gdyby prawa filozofia mogła kiedy sprzeciwiać się biblii, gdy jedno jest źródło i objawienia i rozumu ludzkiego, jak gdyby to co w jednym porządku jest prawdą, mogło nią nie być w innym). „Człowiek do istnienia swego potrzebował świata z temi wszystkimi bogactwy przyrodzenia i z całą nieprzeliczoną rozlicznością tworów, nie tak dlatego, że te żywy i twory potrzebne były do jego utrzymania i życia... ale dla tego, że człowiek stworzon był na to, aby poznawał Boga w Jego objawieniu; a więc świat zupełny, zupełne dzieło boskiej potęgi, wielkości i mądrości musiało być przed nim. Przeznaczeniem było człowieka poznać ten świat wielki i niezmierzony, a przezeń poznawać wielkiego i niezmierzonego Boga, Stwórcę swego. Przeznaczenie to leżało w duchowej istocie człowieka, będącej tej

¹ Estetyka Tom I. 10 i dalsze.

samej nieśmiertelnej natury co Bóg, i dlatego zmierzającej do Niego, jak do źródła swego“.

Zachodzi tu kwestya, w jaki sposób człowiek może się podnieść po nad materya i dojść do poznania Boga — oto jak ją Libelt rozwiązuje: „Gdyby człowiek opatrzony był od natury we wszystko tak jak zwierzęta, ociążałby na duchu i prowadziłby życie niewinne, bo bez wiedzy (sic). Raj niewinności jego, owego niemowłeczego stanu, gdzie mu matka natura wszystkiego dostarczała, skończyć się musiał, i człowiek musiał wyjść wreszcie w świat obcy, ojczyzny, który mu doskwierał, nie mu bez walk nie dawał, aby się obudziła w człowieku samodzielność, aby czuł w sobie potęgę ducha nad materya, uczuł siłę boską ku zwalczeniu natury i zhołdowaniu jej! Potrzeby zatem wywołały namysł, namysł wywołał pracę, praca siłę, siła potęgę, potęga wiedzę i odtąd ludzkość rozwija się na tej drodze“. Musimy tu znowu w nawiasie napomknąć, że stan tej niewinności zupełnie inaczej przedstawia Pismo św. n. p. w Ekklezyastyku XVII. 1—13, że więc mylnie go Libelt pojmuje.

Dalej Libelt przychodzi od wiedzy do wiary jako do jeszcze wyższego szczebla rozwoju ducha. „Od chwili, w której obudzi się w człowieku duch jego i dojdzie do wiedzy samego siebie; od chwili, w której człowiek pozna się, że nie jest samą materya, samem ciałem, odtąd duch człowieka tęskni za Bogiem, a dogodzenie tej tędze obudza wiarę i prowadzi do religii. Tak samo jako młodzieniec z wyższem uczuciem, któryby nie wiedząc kto jego ojcem, naraz dowiedział się, że jest synem męża wielkiego, dzielnego, którego dotąd jeszcze nie widział i nie znał, nieznanem mu uczuciem objęty, pełny niespodzianej radości, z tęsknotą nieskończoną idzie na wszystkie narody, przechodzi kraje dalekie, i szuka i dopytuje się o ojca swego, aż go znajdzie, pozna instynktem serca, umiłuje sympatyą krwi. Jeżeli tak wielka jest siła krwi, potęga ducha nie może być mniejszą, i duch musi się unieść dumą i rozkoszą, dowiadując się, że nie materya go zrodziła, ale że mu dał życie Bóg wielki w niebiesiech; i duch musi zatęsknić do Niego całą swą potęgą i szukać Go, aby Go znaleźć, poznać i wprowadzić do przybytku swego. Chwile te, jakby jasnowiedzenie w duchu, odsłaniające nam ro-

dzicielstwo Boga, tak rzadkie w życiu ludzkim, rzadsze jeszcze w życiu narodowym, są to chwile Objawienia“. Że to słowo „Objawienie“ nie w kościelnem trza brać znaczeniu, sam to Libelt dalej wyjaśnia: „Dla filozofa Objawienie jest to owe naturalne rozświetlenie ducha, w którym duch odkrywa i widzi prawdy od wieków w nim będące bez jego wiedzy, owe nagłe przejrzenie z błędu do prawdy, jakby z ciemności do światłości. Dla filozofa każda myśl puszczona w okolice ducha i odsłaniająca dla wiedzy jedną jego istoty część, każde pojęcie pochwycone, każdy pomysł pierwszy, czy to on powstał w duchu filozofa, malarza, poety lub kompozytora, jest skutkiem takiego objawienia. Nie prorocy boscy, ale jeniuse są uczestnikami tego objawienia. Objawienie to trzema drogami wstępuje na człowieka sercem, rozumem, wyobraźnią. Serce gore uczuciem, i prawdy tędy objawione świecą rażącą światłością słońca, w które patrzeć nie można. Prawdy rozumu są jak promienie księżyca, blade ale jasne; prawdy wyobraźni wreszcie ubarwione są w zmysłowych kształtach, jak tęcz siedmiokolorowa, powstająca ze złamania się światła w kroplach wody. Na odwrót temi trzema drogami duch w utęsknieniu swoim do Boga występuje na zewnątrz, rozwija wiarę, pojęcia i ideały w trzech wielkich uzewnętrznienia się postaciach duchowych: w religii, w umiejętnościach i sztukach pięknych. Wiara więc nie może być inną rzeczą, jak prawda objawiona uczuciem serca; duch religii jest duchem uczucia, serca, i w tej jednostronności bez wiedzy, bez myśli filozoficznej.“

Stosunek wiedzy do wiary Libelt określa w taki sposób: „Jak długo duch zadowolony wiarą, nie potrzebuje on innego pokarmu; ale kiedy wiara osłabnie, kiedy powstaje zwątpienie, niedowiarstwo, duch niekarmiony ani pojony przez serce, wciąż szuka i pragnie nasycenia, a nie znajdując go zewnątrz siebie, szuka go w sobie, ale już nie drogą serca, ale drogą badań, drogą rozumu. Jak Bóg wiary jest coraz doskonalszy, tak coraz doskonalszy Bóg pojęcia“¹. Z tego wszystkiego jasno się pokazuje, że według systemu filozoficznego Libelta wiara jest czynnością

¹ Est. I. 22.

serca, rzeczą uczucia bez wiedzy, bez myśli filozoficznej, o czem właśnie mieliśmy się przekonać. Pomijamy ocenę innych niedokładności zawartych w ustępach przytoczonych.

Tyle o polskich filozofach; wystarczy to do ocenienia ich zapatrywań o wierze. Na nieszczęście musimy jeszcze dodać, że ten, na który wszedł Libelt, stał się drogą utartą dla wielu z nie-małą szkodą dla życia prawdziwie religijnego. Zdanie, że wiara jest rzeczą serca, a więc przeważnie rzeczą niewiast, jest dość przyjęte w naszym społeczeństwie, a dodaje mu jeszcze wagi codzienne doświadczenie. Niedaleki stąd wniosek, że dla mężczyzny wiara jeśli nie zbyteczna, to zawsze rzecz podrzędna, gdyż on nie uczuciem, ale rozumem kierować się winien. Jak w założeniu tak i we wniosku tym jest proste pomieszanie pojęć. Wiara jest, jak widzieliśmy, właściwie rzeczą rozumu, który napęlnia ona najwznioślejszymi i najpotężniejszymi prawdami! Że zaś i uczucie ma pewien wpływ na akt wiary i nawzajem wiara oddziaływała na uczucie, to jeszcze nie czyni jej dzieckiem uczucia. Tak samo fakt, że wiara w sercu niewieścim jest żywszą i czynniejszą, nie uprawnia jeszcze powyższego zapatrywania. Fakt ten ma swój powód w Opatrzności Boskiej, która serce niewiasty tak utworzyła, że wiarę łatwiej przyjmuje i głębiej w nią wnika, bo jako matka ma ona być pierwszą jej opowiadaczką dla swoich dzieci. Chciała też Opatrzność, żeby wiara była dla niewiasty zasobem pobudek nadających jej życiu odpowiedni kierunek, źródłem siły i nieskalanej cnoty. Podobnie też głębokość uczucia jest znowu darem Opatrzności Bożej dla ułatwienia i osłodzenia niewieście tych ciężarów i ofiar, które jako żona i matka ustawicznie ponosić musi. Wprawdzie nadmiar uczucia może się znowu stać dla niej niezmiernem udręczeniem, ale to tylko wtedy, kiedy go wiara swoim wpływem nawskróś nie przeniknie i nie uszlachetni.

Filozofowie tego kierunku, o którym mówimy, zwykli też nazywać wiarę, siostrą poezyi, ponieważ obie w uczuciu siedlisko mają. Jedno słowo wystarczy do sprostowania tego mylnego zapatrywania. Poniżeniem byłoby dla wiary uważać ją za równorzędną siostrę poezyi. Wiara, to prawda nieskończona, wynikająca z Istoty samego Boga; poezya zaś jest polotem ducha człowieczego na

skrzydłach wyobraźni i uczucia, któremi jednak rozum kierować winien. Nieskończony więc przedział pomiędzy niemi; Wiara jednak nieocenione może oddać poezyi przysługi, otwierając jej świat nowy, w którym rozkoszować może dowoli. W rzeczy samej czegoż bardziej potrzebuje poezya do swego najwyższego rozwoju, jak wzniosłych ideałów, bogactwa myśli i obrazów, pięknych i wzniosłych, a oraz z rzeczywistego życia wziętych i zdolnych natchnąć piersi ludzkiej uczucia czyste, szlachetne a potężne. A skądże, jeśli nie z wiary może tego wszystkiego zaczerpnąć poezya? Skąd czerpał Dante swą prawdziwie „Boską Komedję“ jeśli nie z wiary jedynie. Poezya i wiara nie są, jak się rzekło, rodzonemi siostrami, lecz jeśli już mamy koniecznie oznaczyć między niemi pokrewieństwo, to raczej nazwijmy poezyę ulubionem dzieckiem wiary; z niej bowiem ona się rodzi, jej mlekiem się karmi i na jej skrzydłach wznosi się aż do niebios, gdzie ją czeka wiekuista „pieśń nowa“.

(C. d. n.)

X. A. Langer.

DOKUMENTA.

Listy kardynała de Côme do O. Antoniego Possewina T. J.

(Ciąg dalszy).

VII.

23 di giugno 1582.

Molto Reverendo in Christo Padre. La lettera di V. R. de li X. del passato, per la quale s'è inteso il suo salvo ritorno di Moscovia (poichè quella qual dice haver scritta di Riga non è capitata) ha recato grandissima consolatione et contento a Nostro Signore, tanto più aggiunta la venuta del Ambasciatore Mosco, et qualche buon effetto et speranza ne le cose trattate per conto de la religione. Hora staremo aspettando la R. V. a la quale prego Dio che conceda la sanità et prosperità, che ha concessa per l'inanzi, acciò si conduca qui

23 czerwca 1582 r.

Wielebny Ojcze! List W. T. z 10-go zeszłego miesiąca, w którym dowiedzieliśmy się o szczęśliwym powrocie W. T. z Moskwy (albowiem tego listu pisanego z Rygi¹, o którym W. T. pisze, nie otrzymaliśmy), bardzo ucieszył i zadowolił Ojca św. tembardziej, że mu towarzyszyła wiadomość o przybyciu posła moskiewskiego i o niektórych dobrych skutkach i nadziejach co do spraw religijnych. Teraz będziemy oczekiwać przyjazdu W. T. prosząc Boga, aby mu udzielił zdrowia i pomyślności jak dotąd, abys tu przybył

¹ Possewin wracając z Moskwy, bawił w połowie kwietnia 1582 w Rydze, gdzie z królem Batorem sprawy polityczno-religijne omawiał. Stamtąd w maju podążył do Wilna dla urządzenia *collegium pontificum* dla Rusinów. Na Warszawę, Kraków i Ołomuniec stanął Possewin w lipcu w Augsburgu, gdzie cesarz Rudolf II. sejm rzeszy odprawiał. Głównym przedmiotem konferencyj Possewina z Batorem, cesarzem a później z Wenetami było przygotowanie ligi przeciw Turkom.

gagliarda; ma come a lei non occorre di ricordare il pericolo de la stagione, nella quale viene a cadere il suo ritorno a Roma, poichè l'esser avezza a questi viaggi et aere, et la cura del vitto importano assai, così è parso che sia molto d' avvertire per quello che tocca all' Ambasciatore Mosco, et a la sua compagnia, i quali con la mutatione del clima tanto diverso dal loro, et in tal tempo, et forse con la poca regola del vivere, porterebbono grandissimo pericolo di venir a sepellirsi a Roma, se non si havessero buona cura. Toccherà adunque a la R. V. di consigliarli in questo, secondo che vederà esser il bisogno loro, et far che il suo arrivo qua, già che il sol leone s'approssima, si differisca fin passato Agosto et dopo ben piovuto: et allora vengano via allegramente, che noi già per cominciar a render là pariglia de le carezze fatte a V. R. havemo ordinato, che siano allfoggiati et accarezzati per tutto lo stato ecc. Sarà bene che V. R. ci avvisi quante et quali saranno le persone che mena questo Ambasciatore per poter prepararli alloggiamento nel modo che conviene.

Si mandano cinque cento scudi per cinque mesate del Collegio Ruteno da eriger in Vilna, li quali si pagano qui al procuratore di Mons. Bolognetti, che li rimette costà per la via solita ad esso Mons. il quale li sbor-

szczęśliwie; ale chociaż W. T. niema potrzeby przypominać niebezpieczeństwa pory roku, w której przypada powrót W. T. do Rzymu, bo przyzwyczajenie do takich podróży i powietrza, jakoteż do pokarmu wiele stanowi, to przecież zdaje się nam, że trzeba bardzo zwrócić uwagę na to przez wzgląd na posła moskiewskiego i jego towarzyszy, którzy w skutek zmiany klimatu tak odmiennego od ich własnego i to w takiej porze, a może przez nieregularny tryb życia, mogliby się narazić na wielkie niebezpieczeństwo znalezienia grobu w Rzymie, gdyby nie mieli dostatecznej pieczy nad sobą. Będzie to więc zadaniem W. T. zarządzić temu według potrzeby i tak się urządzić, aby przyjazd W. T. tutaj, zwłaszcza, że upały się zbliżają, był odłożony aż do końca sierpnia i aż się deszcz dobrze wypada; potem przyjeżdżajcie swobodnie, a myśmy rozporządzili, odwzajemniając się za grzeczność, jaką wyświadczano W. T., aby mieli mieszkanie i wygody na całym przeciągu państwa etc. Dobrze będzie, gdy W. T. nam doniesie, ile i jakie osoby przyprowadza z sobą ów poseł, aby im przygotować stosowne mieszkanie.

Posyłam pięćset skudów za pięć rat miesięcznych na collegium ruskie, mające być wybudowane w Wilnie, te pieniądze wypłacone są tutaj prokuratorowi Monsignora Bolognetti¹; który je przesłał zwyczajną drogą

¹ Nuncyusz w Polsce.

serà poi a chi haverà questa cura. Però se V. R. non l'ha fatto prima, potrà dar ordine a suo piacere che'l detto collegio si cominci, perche il predetto Mr. Nunzio sborserà li 500 scudi a chi da lei gli sarà ordinato.

Quanto a quei pagamenti del seminario di Brunsberga s'è parlato a M. Lazaro Visconti, il quale fu deputato dal Padre Generale già alcuni mesi, per riscuotere et rimetter tutte queste provisioni et esso dice haverne havuti i pagamenti et eseguito quel ch' è stato bisogno. Col qual fine a V. R. prego buon viaggio et mi offero con tutto il core. Di Roma.

temuż nuncyuszowi a ten wyplaci je potem temu, któremu staranie o tej rzeczy będzie powierzone. Przeto jeżeliś W. T. dotąd tego nie uczynił, to możesz rozkazać według woli twojej, aby rzeczzone kolegium zostało zaczęte, bo wyżej wspomniany nuncyusz wyplaci owe 500 skudów temu, komu W. T. wyplacić zalecisz.

Co się tyczy wypląt na seminaryum w Brunsbergu, mówiliśmy o tem Mons. Łazarzowi Visconti, który był wysłany przez Ojca Jenerała już przed kilkoma miesiącami, aby odebrał i oddał wszystkie te fundusze; on zaś mówi, że je otrzymał i że wykonał co było potrzeba. Na tem kończąc, życzę W. T. szczęśliwej podróży i zostaje życzliwym całem sercem. — Z Rzymu.

VIII.

7 di luglio 1582.

Molto Reverendo in Christo Padre. Dopo che ricevei le lettere di V. R. de li X. di Maggio, a le quali risposi a li 23 del passato, sono comparse questa settimana le altre sue, che erano restate a dietro, de li 26 d' Aprile, con quelle de' 27 di Maggio et 9 del passato, da le quali se ben si sono intesi alcuni particolari di molta importanza, non ni estenderò però a farle lunga risposta poichè in breve, piacendo a Dio, ci vedremo et potremo ragionar d' ogni cosa a longo. Intanto le dirò che Nostro Signore si è contentato di far gratia del bando a quel Malvezzo dale Grotte, Ita-

7 lipca 1582 r.

Wielebny Ojcze w Chrystusie. Po odebraniu listów W. T. z 10 maja, na które odpowiedziałem 23 zeszłego miesiąca, otrzymałem w tym tygodniu inne opóźnione listy W. T., z 26 kwietnia, razem z listami z 27 maja i z 9 przeszłego miesiąca, a chociaż z nich dowiedziałem się o niektórych ważnych szczegółach, nie będę na nie obszernie odpowiadał, bo wkrótce, jeżeli Bóg pozwoli, zobaczymy się, i będziemy się mogli rozmówić szeroko o wszystkim. Tymczasem powiem W. T., że Ojciec św. raczył zdjąć klątwę z owego Malvezzo delle Grotte Włocha,

liano che V. R. ha raccomandato per il servizio da lui ricevuto nel viaggio di Moscovia. Onde lo potrà mener seco a piacer suo.

Con l'ultime mie ricordai a V. R. il pericolo di venire a Roma in questa stagione quanto a l'Ambasciatore Moscovito, et a la sua compagnia, poichè quanto a V. R. essendo lei tanto avezza, a far questi viaggi, et sapendo come bisogna governarsi, non si ha d'haver tanto dubbio. Ma temendo, che quelle lettere, quali furono dirizzate in Polonia, non le saranno capitate a tempo ho voluto replicarle il medesimo con questa anco per ordine espresso di Nostro Signore, cioè che V. R. avvertisca bene di non lasciar venir qua detto Ambasciatore, se non dopo che sia rinfrescato, et la stagion sicura, perchè essendo lui et gli altri di così diverso clima et insoliti di sentir caldi tanto estremi et che difficilmente si potranno contener dai disordini non è dubbio che venendo ne la furia de l'estate a Roma verrebbero a una certa sepoltura.

Di quello che si ha da trattar costì in Venetia per conto del Mosco non m'occorre di far altro, se non rimetter la guida di esso negotio a chi l'ha incamminato, et maneggiato fin qui con tanta accuratezza. Et

za którym W. T. się wstawił, w nagrodę za przysługę którą W. T. wyświadczył w czasie podróży do Moskwy. Przeto będzie go mógł W. T. przywieźć z sobą według woli.

W ostatnim moim liście przypominałem W. T. jak niebezpiecznym jest przybycie do Rzymu w tej porze roku dla posła moskiewskiego i jego towarzyszy; bo co do W. T., który jesteś tak przyzwyczajony do tych podróży i wiesz jak trzeba się zachowywać, nie ma tej troski. Lecz w obawie aby te listy adresowane do Polski nie doszły na czas W. T., chciałem powtórzyć to jeszcze raz z tym dodatkiem i to na wyraźny rozkaz Ojca św., abyś W. T. dobrze uważał i nie pozwolił rzeczonemu posłowi przyjeżdżać, dopóki chłody się nie zaczną i pogoda nie ustali, albowiem on i inni pochodzą z całkiem odmiennego klimatu i nieprzyzwyczajeni są do wielkich upałów; a ponieważ trudno im będzie zapewne powstrzymać się od jakiej nieregularności życia, nie ma wątpliwości, że gdy wśród lata przyjadą do Rzymu, znajdą tu grób pewny.

Co do spraw w Wenecyi tyczących się W. księcia Moskwy niema potrzeby nic innego uczynić, jak zostawić prowadzenie tego interesu temu, kto go rozpoczął i prowadził dotychczas z taką sumiennością¹. Na tem kończąc,

¹ Jeszcze w r. 1581 nawiązał Possewin układy traktatu handlowego Wenetów z Moskwą, uważając je za przygotowanie do projektowanej ligi. Wracając z Moskwy bawił Possewin przez drugą połowę sierpnia 1582 w Wenecyi, a dalsze prowadzenie rokowań powierza mu na nowo sekretarz stanu de Côme. List jego z 7 lipca adresowany do Wenecyi.

con questo fine a V. R. prego sanità et contento, et mi offro con tutto l' animo. — Di Roma.

życzę W. T. zdrowia i pomyślności, i pozostaję życzliwym całą duszą. Rzym.

IX.

14 di luglio 1582.

Molto Reverendo in Christo Padre. La settimana passata, scrissi a la R. V. quel che occorreva dopo ricevuto le lettere sue d'Olmuz, et mandai la lettera in mano di Mons. Nunzio perchè glie la desse subito come son certo che haverà fatto. Hora non lascierô d' accusar la ricevuta de la sua di 26 del passato d' Augusta, et dirle, quanto a lo scriver a l' Illmo Legato di Bologna et al vicelegato di Viterbo, che al primo avviso de la venuta de l' Ambasciatore fu scritto per tutto lo stato ecclesiastico d' ordine di Nostro Signore. Onde non ha da dubitar che in ogni luogo sarà ricevuto honoratamente, ma l' importanza sarà, come gli ho scritto, di guardar l' Ambasciatore et gli altri suoi dal pericolo di questi caldi, i quali sono qui eccessivi et intollerabili et però non è da condurlo qua finchè non siano cessati. Dio Nostro Signore conservi V. R. sì come le raccomando con tutto l' animo. — Di Roma.

14 lipca 1582

Wielebny Ojcie w Chrystusie. W zesłym tygodniu napisałem do W. T. to co trzeba było po otrzymaniu listów W. T. z Ołomuńca, aby je W. T. natychmiast wręczył, co przekonany jestem że uczynił. A teraz oznajmiam W. T., że list z 26 zesłego miesiąca z Augsburga otrzymał i co do napisania do Przew. Legata w Bolonii i do wice-legata w Witerbo, donoszę, że po pierwszej wiadomości o przyjeździe posła rozpisano po całym państwie papieżkiem z poruczenia Ojca św. Przewoźnik nie powinien wątpić, że zostanie w każdym miejscu z honorami przyjęty, ale najważniejszym będzie, jakem to już W. T. pisał, żeby ustrzedz posła i innych jego towarzyszy od niebezpieczeństwa tych upałów, które tutaj są niezmiernie i niezdrowe, a zatem żeby nie przyprowadzać go tutaj zanim ustana. Bóg nasz Pan niechaj ma w opiece W. T. tak, jak o to proszę całą duszą. Rzym.

X.

XI. d' agosto 1582.

Molto Reverendo in Christo Padre. Nostro Signore ha inteso con molto piacere da le lettere di V. R. l' arrivo suo et de l' Ambasciatore Mosco con sanità in Venetia, l'ho-

11 sierpnia 1582.

Wielebny Ojcie w Chrystusie. Ojciec św. z zadowoleniem się dowiedział z listów W. T. o przyjeździe twym i posła moskiewskiego w dobrem zdrowiu do Wenecyi, jak zaszczytne by-

norato ricevimento di quei Senatori et come dopo la dimora d' otto giorni pensavano d' inviarsi verso Roma. Onde Sua Santità ha fatto subito scrivere a gli Illmi legati de la Romagna et de la Marca acciò facciano ricever et honorar il detto Ambasciatore in tutti i luoghi et dar la spesa sì che non ci sia causa di spender cosa alcuna del suo, et oltra ciò s'è avvertito di farlo trattener ne le città et Terre principali un giorno per ciascuna acciò che scorra tanto tempo nel viaggio che la venuta sua a Roma non sia se non dopo la Madonna di Settembre, al qual termine V. R. indirizzerà la mira sua et ordinerà le giornate come a lei parerà meglio che così si scrive a gli Illmi prelati. Nel resto attenda a venir allegramente et a condur sano l' Ambasciatore perchè da Sua Santità sono aspettati con desiderio. Dio Nostro Signore la conservi et prosperi sempre. Di Roma.

ło przyjęcie przez owych senatorów i że po ośmiodniowym pobycie zamyślasz do Rzymu się wybrać¹. Ojciec św. przeto polecił zaraz wydać rozkaz do przewielebnych legatów w Romanii i w Marchii, aby się postarali o dobre przyjęcie rzezonego posła i uczczenie go we wszystkich miejscach, oraz aby dostarczyli potrzebnych funduszków, iżby ze swego nie potrzebował nic wydawać, a oprócz tego postaraliśmy się, aby tyle czasu upłynęło, iżby jego przyjazd do Rzymu nie miał miejsca aż po święcie Matki Boskiej we wrześniu, do którego to terminu W. T. się zastosujesz i rozłożysz pochody jak ci się będzie zdawało, o czem się napisze do przewielebnych legatów. Zresztą miej pieczę by podróż była przyjemną i przyprowadź zdrowo posła, bo J. Świątobliwość oczekuje was z upragnieniem. Niech Bóg zachowa i szczęści W. T. zawsze. — Rzym.

XI.

XVI di agosto 1582.

Molto Reverendo in Christo Padre. Già si era scritto a gli Illmi legati de la Marca et di Romagna perchè ricevessero, accarezzassero et spesassero l' Am-

16 sierpnia 1582.

Wielebny Ojczy w Chrystusie. Już byliśmy napisali do legatów w Marchii i Romanii, aby przyjmowali, uraczyli i na swój koszt utrzymywali posła

¹ Dopiero 14 września stanęło poselstwo moskiewskie w Rzymie, wraz z Possewinem, który użyć musiał nieraz całej energii, aby poskromić wymagania przesadne posłów i apetyt do wódek i win włoskich. Kłopoty te Possewina, niemniej jak cały przebieg posłuchania legacyi u Ojca św. w sali zwanej Mappemonde d. 16 września, opowiada w nader zajmujący sposób rosyjski jezuita ks. Pierling w swej rozprawie: *La Pologne, le St. Siège et la Russie*, ogłoszonej w *Revue de questions historiques*, zeszyt styczniowy r. 1884.

basciatore Moscovita per tutti i luoghi de la loro legatione, pensando che per ogni ragione V. R. dovesse farli far quella strada, quando per la sua di XI del presente si è inteso che ha preso contraria risoluzione cioè d' andar per Toscana, il che non è piacuto a Nostro Signore parendoli piu conveniente et decente che l' Ambasciatore veda lo stato di Santa Chiesa et sia ben trattato da li ministri Apostolici che da altri. Pertanto Sua Santità dice che V. R. ad ogni modo lo conduca per Romagna et per la Marca, et lo facci trattenere, come intenderà da un' altra mia che li darà l' Illmo legato di Romagna per tutte le Terre principali un giorno o più in modo che il Suo arrivo a Roma non sia avanti la festa della Madonna di Settembre. Io mando questa lettera per stafetta a l' Illmo legato di Bologna, acciò nel passar di là, gliè la facci subito avere, poichè mi rendo certo che capiterà in quella città volendo andar come aveva disegnato per Toscana et non occorrendo altro a lei mi offero di core et prego Dio Nostro Signore che la conduchi salva. -- Di Roma.

moskiewskiego we wszystkich miejscowościach ich legacyi, w przekonaniu, że zważywszy wszystkie powody, W. T. powinien przeprowadzić go tą drogą — kiedy z listu twego z d. 11 dowiedzieliśmy się, żeś powziął odmienne postanowienie, to jest żeby jechać przez Toskanię, co nie podobało się Ojcu św., bo mu się wydało, że stosowniej i przyzwoiciej będzie gdy posel zobaczy państwo Kościelne i przyjmować go będą legaci papiescy a nie obcy ludzie. Przeto poleca Ojciec św., żeby bądź co bądź W. T. prowadził go przez Romanię i Marchię i zatrzymywał go, jak się o tem dowiesz z innego listu, który ci wręczy legat Romanii we wszystkich głównych miastach, jeden dzień lub więcej, w ten sposób, aby przyjazd jego do Rzymu nie miał miejsca przed świętem Matki Bożej we wrześniu. Pysyłam ten list sztafetą do przewieleb. legata w Bolonii, aby go wręczył W. T. w przejeździe przez to miasto, gdyż pewny jestem, że będziesz w tem mieście, chcąc jechać tak jak miałeś zamiar na Toskanię, a nie mając nic więcej do polecenia, kończę, polecając się serdecznie W. T. i prosząc Boga Pana naszego by cię prowadził bezpiecznie. — Rzym.

(C. d. n.)

Przegląd piśmiennictwa.

Najnowsze wydanie kazań Skargi. (Kazania roczne niedzielne. Lwów 1883. Nakład księgarni Gubrynowicza i Schmidta).

W drugiej połowie XVII. i w XVIII. wieku, kiedy jak w innych katolickich państwach, tak i w Polsce oświecenijsza część społeczeństwa była głęboko wierzącą, w kwestyach teologicznych czytana i oświeconą, pisma św. dobrze świadomą — kaznodziejstwo nie było sztuką trudną. Wystarczało przedstawić treściwie i jasno dogmat katolicki, albo zasadę moralną, i wysnuć z tego teologiczno-moralnego wykładu praktyczne wnioski, które każdy z słuchaczy w pokorze chrześcijańskiej przyjmował i stosował do siebie. Przestrzegali przytem ówczesni kaznodzieje bardzo starannie przepisów oratorskich, niektórzy sadzili się na ozdobność stylu, okrągłość okresów, a nierzadko przesadzali i wpadali w tak zwany patos retoryczny. Nie myślimy bynajmniej lekceważyć, a tem mniej ganić lub potępić ryczałtem tej metody kaznodziej-skiej, której trzymali się w drugiej połowie XVII. i XVIII. wieku najznakomitsi kaznodzieje nietylko Polski, ale całej katolickiej Europy. Odpowiadała ona umysłowemu wykształceniu i potrzebom religijno-moralnym ówczesnych społeczeństw, które już od ławki szkolnej zaprawiały się do klasycyzmu i do filozoficznego rozumowania, opartego na podstawie katolickiego dogmatu. To też kaznodzieje idąc za tą metodą, nietylko że skupiali koło swej ambony tłum licznych słuchaczy, ale spisawszy i wydrukowawszy swe kazania, mogli być pewni, że po dworach, dwor-kach i domach mieszczańskich pilnie w nich rozczytywać się będą.

Filozofizm wolteryjański i w parze z nim idący racjonalizm niemiecki zachwiał potężnie przekonania, zwrócił na inne tory nauki i sposób nauczania w szkołach, a gruby materyjalizm, będący ostatnim wyrazem tej negacyi, którą podniósł jeszcze w XVI. w. Luter, podkopał do reszty to, co jeszcze było chrześcijańskiego w społeczeństwach. Zaraza ta religijno-moralna dotarła i do Polski trzema drogami: stosunkami polityczno-narodowymi z Francją, stosunkami naukowymi z uniwersytetami niemieckimi i publicystyką; owionęła najprzód wyższe warstwy szlachty i świat uczony, a potem tak zwaną inteligencyę małomiejską; dzisiaj, dzięki bezwyznaniowości wychowania, dobiega się do młodego i najmłodszego pokolenia.

To też po większych miastach Francyi i katolickich Niemiec powstał nowy rodzaj kaznodziejstwa, polegający głównie na tem, że mowcy licząc się z postępem nowożytnych nauk i niemi się posługując, od filozoficzno-moralnych rozpraw poczynali, i powoli ale wytrwale i logicznie prowadzili swoich niepobożnych słuchaczy do Chrystusa i jego Kościoła. Kazania swoje nazwali konferencyami czyli rozprawami, a rozwinęli w nich niesłychany talent oratorski. Dominikanin Lacordaire i Jezuita Ravignan, dopiero po kilku latach takich konferencyi w katedrze paryskiej, odważyli się wspomnieć na ambonie imię Jezus, i głosić naukę wiary św.

W polskiem społeczeństwie kaznodzieje mają sprawę nierównie łatwiejszą. U nas nie było nigdy i nigdzie zupełnej niewiary. Rewolucyi wielkiej i Napoleona I. pokolenie wymarło, a wielu głośnych libertynów, masonów, jak ich u nas nazywano, przed śmiercią do katolicyzmu szczerze się zwrócili. Generacya z 1831 roku, dzisiaj niestety blzka wymarcia, raczej z politycznych motywów, chłodną i obojętną okazała się dla Kościoła, uważając go mylnie za sojusznika despotyzmu; to też skoro stosunki polityczne się zmieniły, i ona prawie wszystka do stóp starej matki, Kościoła, przypadła. Wreszcie obecne pokolenie po największej części na liberalnych zasadach 1848 roku wychowane, w gruncie nie jest bez wiary; ale chwieje się w niej, mędrkuje po swojemu a błędnie, lekceważy i zaniedbuje praktyki religijne, jednym słowem nie umie katechizmu, ale każdej chwili

gotowe nauczyć się go, pójść za nim i żyć wedle niego, byleby mu go kto wytłumaczył *ad captum ejus*. Przyznaję, że nie łatwą to rzeczą. Z jednej bowiem strony unikać należy kaznodziei, aby nie popadł w racjonalizm, który stawia rozum jako powagę najwyższą i jedyne źródło prawdy, z drugiej zaś strony liczyć mu się należy z tym racjonalistycznym prądem wieku. Musi więc obrać drogę pośrednią i przedstawić dogmat lub zasadę, najprzód ze strony naukowej, obyczajowo-społecznej, a przygotowawszy w ten sposób umysł słuchacza, słońdowawszy go sobie świecką, że się tak wyrażę, nauką i erudycją, poprowadzi go i wskaże mu katolicką prawdę w całej jej sile i majestacie, posługując się pismem św., Ojcami, Soborami i całym tym przyborem teologicznej argumentacyi, która ostatecznie przekonywa i do Boga prowadzi.

I w tem właśnie tkwi niespożyta wiekami wartość i sława Skargi, że on zrozumiał i pojął wiek swój, jego błędy, walki, namiętności, choroby, prądy i kierunki umysłowego życia i odpowiednio temu przemawiał z ambony. Kaznodzieja polski w XIX. w. podobny być powinien do Skargi, bo pod względem religijno-moralnym między społeczeństwem naszym a Polakami XVI. w. jest analogia uderzająca.

Wtenczas „nowinki religijne“ szły z Genewy, Wittembergii a były to herezye Lutra, Kalwina, Socyna itd., dzisiaj błędne „doktryny“ idą ze stolic zachodniej Europy, a są niemi: liberynizm, racjonalizm, pozytywizm, czy materyalizm. Jak wtenczas tak i dzisiaj wszystkie „nowinki“ w tem zgodne, że lekceważą ową starą, lat 2000 mającą powagę Kościoła, iż każdy mędrkuje o wierze i według słów Skargi: „lada stara baba czyni się teologiem“. Jak wtenczas tak i dzisiaj „nowinki“ te są przybłędne, przyjęły się tylko po wierzchu, do głębi narodu nie zapuściły korzeni, i niedługo czekać a pójdą sobie precz, skąd przyszły i pozostanie ona pocziwa, zacna, staropolska katolicka wiara. Stanie się to, ale potrzeba nam kaznodziei nietylko wiarą i uczuciem, ale rozumem i metodą podobnych do Skargi. W czem ten Skarga górował po nad wszystkich? Czem się to stało, że kazań jego słuchali wielcy i mali, uczeni i prostaczkowie, katolicy i heretycy, że ci ostatni się nawracali a tamci rośli i potężnieli w wie-

rze i pobożności? Czem się to stało? A... bo kazania Skargi to nie suche *in abstracto* rozprawy teologiczne lub wymodelowane, zimne, retoryczne morały. On dogmat katolicki brał w tych warunkach, w jakich znalazł go w swem społeczeństwie, zaatakowany na wszystkich punktach i w ciężkich opałach. Czytał więc pilnie, studyował i znał heretyckie księgi, rozprawy, pisma, w ich języku i stylu formułował na ambonie zarzuty przeciw dogmatowi — każdy słuchał z zajęciem, bo zarzut z życia wzięty, złapany *in flagranti*; słuchał z ciekawością, jak też to kaznodzieja trudność wyjaśni i usunie, zarzut obali, a kaznodzieja zszeregowawszy zarzuty nie od razu dawał odpowiedź, ale metodą św. Tomasza z Akwinu wytłumaczył najprzód krótko a jasno i gruntownie „naukę katolicką“, i zatwierdziwszy ją wymownie, zręczną a ciętą dyalektyką wywracał i kruszył heretyckie błędy, i znów postępował do uzasadnienia innej katolickiej prawdy a obalenia przeciwnych jej teorii. Dopieroż w wyjaśnieniu i zastosowaniu prawd moralnych, tam nasz Skarga po wszystko sięgnął, wszystko ugiąć się przed nim i służyć mu musiało: i polityka i dyplomacya i sejmy i trybunały i senat i rycerstwo i kuria biskupia i dwór królewski i dzieje Polski i dzieje państw ościennych i losy Kościoła i spory o dziesięcinę i wystawne życie magnata i hulaszce wady szlacheica i ciężka twarda dola biednego chłopka. „Teolog i kaznodzieja może nauczać o wojnach, o prawach, o rządach, o ugodach, o kontraktach, o policyi, o ekonomii, o sejmach, o radach ludzkich, o kupiectwach i zyskach tyle, ile do czci bożej i zbawienia dusz potrzeba... bo co jeno ludzie na świecie czynią i rozumieją, wszystko ten koniec ma mieć: abyśmy królestwa wiecznego, na którym się teolog bawi, dostawali, a przeszkody do niego nie mieli... Kaznodzieja i książdź miecza w rękę nie bierze, ale naucza, jako nim słusznie i zbawienne i wedle sprawiedliwości władnąć urzędy mają“. Póty słowa Skargi (*Próba Zakonu* str. 138).

Mutatis mutandis tak szeroko pojmovać powinien „rzemiosło swoje kaznodziejskie“ (słowa są Skargi) polski kaznodzieja XIX. wieku. Wiek to przedewszystkiem dumny z postępu nauk przyrodniczych, rozwoju handlu, przemysłu, dobrobytu, gardzący wszelką powagą, oprócz powagi rozumu — ta jedna mu jeszcze

imponuje. Herezya mu właściwa nie polega, jak w XVI. w., na przekręcaniu słowa bożego, ale co gorsza na zupełnem lekceważeniu go, na systematycznym rugowaniu Boga i wszelkiej idei chrześcijańskiej nie tylko z dyplomacyi, sejmów i magistratur, ale i ze szkoły i rodziny, z przemysłu i handlu, zgoła ze wszystkich objawów politycznego, ekonomicznego, publicznego i domowego życia. Ta herezya nazywa się, niewiedzieć jakim prawem, liberalizmem — ją to i jej główne błędy potępił wielkiej pałacy Pierus IX. w swoim tyle głośnym syllabusie. Herezyi tej liberalizmu towarzyszy dziwna niezajomość nauki religii, dziwny zamęt religijnych pojęć. Jedni co uczeńsi mniemają, że inne są rezultaty nauki a inne wiary, i podwójne tworzą sobie sumienie; jedno uczonego, drugie chrześcijanina, obadwa niezależne od siebie. Drudzy znów pojmują wiarę w oderwaniu od codziennego życia i obowiązków, jako szereg prawd abstrakcyjnych i zasad teoretycznych, stanowiących część subiektywnych przekonań każdego, a kontentując się zewnątrzniemi praktykami religijnymi, mało dbają o zastosowanie katolickiej prawdy do życia i obyczajów, które często są jej wręcz przeciwne. Inni nareszcie, a tych podobno coraz więcej, zadawalniają się religijnością, t. j. wiarą w jakąś istotę najwyższą i jakieś prawo moralne, a są katolikami z nazwy, z tradycyi narodowej. Słowem u jednych i u drugich i u trzecich olbrzymi brak znajomości katechizmu.

Z temi okolicznościami liczyć się musi dzisiejszy kaznodzieja, musi rozumieć wiek XIX., jego ducha i potrzeby, jak Skarga rozumiał wiek XVI., kazania jego powinny być, jak skargowskie, przedewszystkiem dogmatyczne, ale niech dogmat w nich nie wisi gdzieś w powietrzu daleko od świata i ludzi, niech się wciela w życie, niech się werznie głęboko i zapaści w dzisiejsze religijno-polityczne i społeczne stosunki, a niech będzie podany w formie przystępnej i zrozumiałej, bez retorycznego patosu, którego się pilnie wystrzega dzisiaj wymowa świecka, a jednak starannej i poprawnej. Dla wyjaśnienia tego dogmatu czy moralnej zasady, należy na wzór Skargi potraścić o wypadki bądź to z dziedziny publicznego życia dzisiejszych społeczeństw, bądź też miejscowych ale obchodzących wszystkich żywo stosunków. Cały n. p. przebieg „kulturkampfu“ w Prusiech, co to za wyborny komentarz

do dogmatu o boskiej instytucji Kościoła katolickiego. Socjalistyczne i nihilistyczne knowania, i zamachy w całej Europie jakże wymownie potwierdzają tę prawdę: że „kto sieje wiatry, zbiera burze“, że walka z góry prowadzona przeciw Kościołowi wywołać koniecznie musi bunt z dołu przeciw społecznemu porządkowi. A znowu odwaga, męstwo biskupów i kapłanów idących w obronę praw Kościoła do więzień lub na wygnanie, wytrwałe pomimo długich lat prześladowania obstawanie przy wierze św. katolickiego ludu, jakże potężną jest dźwignią i zachętą do otrząśnienia się z tej nieznośnej obojętności religijnej, która wśród nas jak zgnięta gorączką się szerzy? W ten sposób przedstawiony na kazaniu dogmat, czy prawda moralna, nietylko staje się jaśniejszym i zrozumialszym, ale całe kazanie ożywia, umysły zapala, bo wzięte jest z życia, bo potrąca o rzeczywistość, w nią wchodzi, z nią się rozprawia, ma to, co Francuz nazywa *actualité*. A gdy się jeszcze kaznodzieja postara o czysty poprawny język polski, o dykcję nietylko wymowną ale przyzwoitą i umiarkowaną w powstawaniu na wady i występki — to może być pewny, że koło ambony jego stanie doborowe auditorium, słuchać go będzie i skorzysta wiele. I dopokąd po miastach, bo nie o kazaniach do ludu obecnie mówimy, dopokąd ten rodzaj kaznodziejstwa się nie rozwinie, dopokąd trwać będzie ten zgubny objaw, że inteligencya i podinteligencya od kazań, jak ktoś od święconej wody ucieka, i w swej ignorancyi religijnej zapada coraz głębiej. Potrzeba znać społeczeństwo nasze i potrzeba je kochać — ono w gruncie szlachetne i poczciwe, *naturaliter christianum*, jak Tertutian o duszy ludzkiej się wyraża: nietylko w niższych, ale i w średnich i najwyższych wartswach ma wiarę ale przysypaną jak iskra popiołem, naleciałościami systemów i doktryn, teorii i pojęć błędnych często wprost niechrześcijańskich; zdmuchnij ten popiół a ujrzysz, jakim płomieniem buchnie ta iskra wiary, tłaça zaledwo dzisiaj na zacnym gruncie poczciwego serca polskiego. Naturalnie, że aby się zabrać umiejętnie do tego zdmuchiwania popiołu, należy mieć godne wzory przed sobą — wzorem niezrównanym Skarga.

A nietylko kapłani, każdy głębiej myślący, wykształcony umysł rozczytywać się powinien w kazaniach Skargi, bo na zaw-

sze pozostaną prawdą słowa biskupa Woronicza: „Chcesz zostać politykiem, czytaj Skargę; chcesz zostać historykiem, czytaj Skargę; chcesz zostać mowcą, czytaj Skargę; chcesz zostać świętym, czytaj Skargę“ — a ja dodam: chcesz zostać wierzącym a pojmującym swą wiarę chrześcijaninem, czytaj kazania Skargi, w których zamknięta cała teologia dogmatyczno-moralna, przedstawiony całokształt publicznego i prywatnego życia chrześcijanina, a wszystko tak dziwnie proste i treściwe, a jednak tak jasne, pouczające z niepospolitą siłą, namaszczeniem i urokiem, że zdaje ci się, że tybyś tak samo powiedzieć potrafił. Czytasz je raz i drugi i dziesiąty, zawsze znajdziesz w nich nowy bogaty pokarm dla rozumu i serca, zawsze wydadzą ci się świeże i młode, a coraz piękniejsze i bogatsze w prawdę i oratorską ozdobę i do czytania wdzięczniejsze. To też w onej starej Polsce, kazania Skargi czytywano na głos dla całej rodziny i domowników po domach szlacheckich i mieszczańskich, i tem się tłumaczy potrzeba czterokrotnego jeszcze za życia Skargi ich wydania. Ale dzisiaj, któż się odważy odezwać się z zachętą do podobnej lektury? Kazań Skargi nie umie czytać dzisiejsze pokolenie, a jednak potrzeba, aby się je czytać nauczyło. Najnowsze wydanie kazań niedzielnych Skargi (święteczne wyjdą niebawem) dokonane we Lwowie przez ks. Maryańskiego i p. Kalickiego, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, jest w tej mierze wielkiem ułatwieniem, i należy się im za to rzetelne uznanie i wdzięczność.

Wydanie to z wielu miar zajmuje także poczesne miejsce w naszej bibliografii. Wydanie bowiem lipskie Bobrowicza z 1843 tak wyczerpane, iż płacić za nie trzeba było u antykwaryuszów po 12 złr. za egzemplarz, a do tego pełno w niem błędów drukarskich, zmieniających znaczenie słów i zdań całych. Pomimo bowiem aprobaty ks. arcybiskupa Dunina, danej zapewne na gołosłowne zaręczenie wydawcy a świadczącej „że jest ono wiernem przedrukowaniem tekstu czwartej edycji krakowskiej z r. 1609 przez samego autora (Skargę) przejrzaney“, Bobrowicz zrobił swój przedruk z wileńskiej edycji 1793 r., która znów była przedrukiem późniejszych po r. 1609 wydań.

Od tych wad wolne jest najnowsze wydanie lwowskie, a nad-

to ma swoje niepospolite zalety. I tak 1) Podaje ewangelie święte przed kazaniem, tłumaczone przez Skargę, które opuszczono już w wydaniach XVIII. wieku. 2) Przedruk zrobiony został z wydania oryginalnego 1609 r., przyczem wydawca miał (szkoda, że dopiero od połowy I. tomu) jeszcze i wydanie pierwsze z r. 1595, posługując się niem w sprostowaniu błędów, jakie się do wydania z r. 1609 wkradły. Skutkiem tej troskliwości wydanie nowe lwowskie jest zupełne, bo nie ma i jednego wyrazu opuszczonego, i poprawne t. j. wolne od takich błędów drukarskich, któreby sens psuły. A to nie jest rzecz mała, ani też łatwa do przeprowadzenia, mianowicie tam, gdzie wyrazy są przestarzałe i dziś niezrozumiałe. Tam nieuwaga albo nieumiejętność wydawcy wytwarza dziwolągi. Kto się o tem chce przekonać, niech otworzy wydanie kazań Skargi Bobrowicza i zobaczy: tom VI. str. 21. w Magnificat M. Boskiej czytamy: iześ wejrzał na płodność niewolnicy twojej, zamiast podłość t. j. nizkość. Tom VI. str. 42. P. Jezus mówi do synów Zebedeuszowych: możecie pić kurz ten, który ja piję, zamiast kusz, t. j. naczynie do picia, kielich. Jeszcze lepiej się stało z tym niezrozumianym kuszem u Bobrowicza, tom V. str. 240. Czytamy tam, że nagroda z nieba obiecana za koszt zimnej wody. Tom VI. str. 43. „w których słowiech nie zakazał Pan, ani umorzył w Kościele swym przełożęstwa, jako ta nowa ewangelia (t. j. protestantów) miłuje“. W I. wydaniu z r. 1595 (str. 592) jest dobrze: wiłuje, t. j. kręci, bredzi; w III. wydaniu z r. 1602 (str. 596) jeszcze jest dobrze: wiłuje, ale już w IV. wydaniu z r. 1609, wydanem za życia Skargi i przez niego przejrzanem (na str. 602) jest błędnie: miłuje, co już weszło do wszystkich następnych edycji. W tomie II. str. 222, wyd. Bobrowicza, nazwane jest kazanie Pana Jezusa na górze przed wiecznem. Tak już jest niestety w edycji z r. 1609 str. 209, ale w edycji pierwszej z r. 1595 str. 217, jest ono dobrze nazwane przewdziecznem, jak też ma edycja III. z r. 1602 str. 217. Na str. 70 tomu V. pozwolił sobie Bobrowicz nawet na swoją rękę zmienić Skargę. We wszystkich wydaniach Skargi, nawet w wileńskim z r. 1793, z którego Bobrowicz przedrukowywał, (tom V. str. 83)

czytamy: „nastały kacerstwa z tym piekielnym prorokiem Lutrem“, a Bobrowicz odmienił to na: „fałszywym prorokiem“.

Tych kilka przykładów wystarczy, aby zrozumieć, jakiej baczności i sumienności potrzeba, jeżeli wydając dzieła dawnych pisarzy, chce się otrzymać tekst czysty a nie wytwarzać niedorzeczności, jakich w wydaniu Bobrowicza oprócz przytoczonych jest bez liku. Potrzebna jest do tego koniecznie pewna znajomość dawnej polszczyzny, a przy pisarzach duchownych także teologii.

W wydaniu nowem lwowskiem na jego zaletę to winni jesteśmy podnieść, że jest tak staranne jak żadne z poprzedzających, podając tekst Skargi z najskrupulatniejszą wiernością, i wcale nie poczytujemy za błąd lub chybę, że tu i owdzie zmieniono w niem pisownię, drukując nie a bych lecz a bym, nie na wyższy lecz najwyższy, nie barzo lecz bardzo, nie wszytek lecz wszystkie, nie więtszy lecz większy, gdyż nie „uczonych lingwistów“, ale ogół czytających miano tu na względzie.

Nie możemy jednakże jednej rzeczy pominać. Wydawca lwowski, jak sam zeznaje, porównyując ustawicznie wydanie IV. Skargi z r. 1609 z I. z r. 1595, mógł i powinien był podać warianty z I. wydania, dla poznania Skargi wielceby było pożytecznem. Pierwsze bowiem trzy wydania kazań, t. j. z r. 1595, 1597 i 1602 drukowały się bez zmiany (oprócz dodawania niektórych nowych kazań), ale IV. wydanie z r. 1609 wielce jest odmienne. Najprzód bowiem Skarga oczyszczał język, wyrzucając z największą troskliwością wyrazy niemieckie i zastępował je polskimi np. gmach na piętro, gwałt na bezprawie, frymarchyć na zamiany czynić, rachować na obliczać, bunty na zmowy, jarmarki na przekupny dzień, plądrować na łupić, koszt na nakład, ratować na wspierać, gwałcić na psować, folgować na dogodzić, hamować na powściągnąć itd. itd., nadto (choć nie wszędzie) poprawiał błędy w składzie i szyku zdań. Ale oprócz tego wykreślił Skarga całe ustępy zbyt gorzkie i drażliwe, wymierzone przeciw heretykom lub bezprawiom, które nas dzisiaj niezmiernie interesują jako charakterystyka wieku. Wielka istotnie szkoda, że wydawca lwowski wariantów tych ze wszech miar cie-

kawych nie zebrał i u dołu stronnicy nie podał. Można również było objaśnienia dać do niektórych wyrazów dziś zupełnie niezrozumiałych, jak n. p. ów nieszczęśliwy kusz.

Do zalet tego nowego wydania policzyć także należy, że sumarysze, podające treść pojedynczych ustępów, w dawnych wydaniach umieszczane na marginesach kolumn, a w nowszych od przeszłego wieku począwszy, opuszczane, w lwowskim wydaniu zostały zebrane razem na końcu każdego tomu, i służą czytelnikowi do orientowania się co do rozkładu i treści każdego kazania. Tu zrobimy uwagę, że pożądanąby było rzeczą, aby do kazań ks. Skargi zrobiono generalny indeks alfabetycznej treści, jak to dzisiaj powszechnie praktykuje się przy wydawnictwach zagranicznych, bo tym tylko sposobem czytelnik może znaleźć w autorze na zawołanie wszystko, co o niej autor napisał, a co nieraz po wielu znajduje się rozrzucone miejscach.

W końcu wydanie lwowskie zaleca się nadzwyczajną taniością. Za 3 tomy w wielkiej 8-ce, które razem mieścić będą do 1300 stronic, prenumerata wynosi aż do wyjścia III. tomu tylko 4 złr. 50 ct. Po wyjściu III. tomu cena będzie 6 złr.

Życzymy nakładcom, aby to wydanie znalazło jak najszerszy pokup, ażeby wedle swej zapowiedzi, mogli przystąpić do dalszego wydawnictwa kazań przygodnych i pism dogmatyczno-polemicznych polskich Skargi, w razie bowiem przeciwnym zmuszeniby byli zawiesić to ze wszech miar pożyteczne i cenne wydawnictwo.

Ks. St. Załęski.

Rok 1573 w dziejach i historyozofii narodu polskiego. Napisał X. Wincenty Witkowski, Warszawa 1883.

Rok 1573 jest ważną w dziejach narodu naszego datą, wtenczas bowiem Polacy dali sobie instytucye, Rzpltę aż do jej upadku pędzące.

Autor wczytywał się w Szujskiego i Bobrzyńskiego, z nich zaczerpnął znajomości czasu i faktów. Nie wdając się w głębsze badania historyczne, powziął zamiar dowiedzenia tej prawdy,

że anarchia Polskę zgubiła. Z powołania kapłan, z katolickiego stanowiska rzecz traktował. Broniąc dobrego założenia i czerpiąc dowody u prawdziwego źródła, całkowicie zbłąkać się nie mógł. W tem leży zaleta książki, którą człowiek myślący z zajęciem i niejakiem pożytkiem odczyta. Czy autor cel w zupełności osiągnął, czy dobry zamiar należycie i szczęśliwie spełnił, to inna materya. Chciał być zwięzłym i treściwym, ale w streszczaniu miary nie zachował: wypadki wiekami od siebie oddzielone, pradziadów i prawnuków skłóciwszy w jedną miksturę historyzoficzną, wyciągnął ztąd sens moralny na poparcie swego założenia. Chciał być przekonującym, ale granice przyzwoitej rozprawy przekroczył: częściej obuchem, niż argumentami i loiką przeciwników nawracać usiłuje. To też trudno sobie wystawić dziwniejszą mieszaninę zdrowych myśli, trafnych poglądów, sądów dorywczych, wniosków fałszywych i niefortunnych wybryków pióra. O humanizmie i reformacyi w Polsce wypowiedział autor niejedno złote słowo; w charakterystyce poprzedników Walezego na tronie, popuścił cugle fantazyi w niedozwolony sposób i z prawdą historyczną na każdym niemal rozminął się kroku; obraz społeczeństwa polskiego maluje pędzlem „impresyonisty“, przesadzając w farbach, oraz w rozkładzie światła i cieni. Czy krewkość temperamentu, czy chęć wydobywania efektów, unosi autora i ciśnie mu pod pióro wyrażenia i porównania, w pracy historycznej niestosowne, czytelnika rażące. „Głupstwo i głupiec“ wraca co parę kartek; najpoważniejsze rzeczy traktowane są w tonie, w jakim się zaledwie mówi o brukowych nowinkach. „Szlachcic był wyżłem magnata“, metafora niekoniecznie estetyczna, ale do pewnego stopnia trafna. „Chrystusowi pozostawiono emeryturę, chleb łaskawy: nabożeństwo, posty, praktyki, ale go na zawsze wypędzono z życia“, — do czasów saskich dałoby się to w części zastosować, na początku XVI wieku orzeczenie takie wygląda nieco ryzykownie. „Pan Bóg kamerdyner“ pewno nikomu do smaku nie przypadnie i sens jest niemilosiernie naciągnięty. Szczytem wreszcie licencyi historycznej nazwać trzeba twierdzenie, że rok 1573 w Polsce odpowiada rokowi 1789 we Francyi, tudzież, że elekcya Henryka i towarzyszące jej okoliczności były robotą nihilistów polskich.

Sprawę elekcji, paktów konwentów i artykułów z Henrykiem ułożonych, autor zbywa nader pobieżnie, choć tytuł książki wiele pod tym względem obiecuje. Mocno się zawiedzie, kto weźmie książkę w nadziei, że się o tem coś nowego dowie, a przynajmniej o tak ważnym fakcie dziejowym bliżej oświeci. Anarchiści polscy spełnili rewolucję i zgubili ojczyznę, — taki jest, jeśli się nie mylę, ostateczny ekstrakt; zgubili zaś dlatego, że nie ufundowali monarchii dziedzicznej, rządu scentralizowanego, skarbu z obowiązkiem płacenia podatków, i stałej armii. X. Witkowski nie pierwszy to wyrzekł, zapewne i nieostatni. Nam dziś łatwo dowieść jakim złem była elekcya, ale na dwa wieki przed pierwszym rozbiorem Polski, rzecz mogła i musiała nieco inaczej się przedstawiać. Skutków nikt nie przewidywał, a w proclwa dopiero później ostrzegające, nikt nie wierzył. Stąd elekcya była na Północy praktykowaną, tron polski nie przestał być *de jure* i *de facto* elekcyjnym. Za Jagiellonów siła rzeczy przechylała się ku dziedziczości: wybierano syna po ojcu, dopóki dynastia nie wymarła. Po śmierci ostatniego Jagiellona, Polacy radzi nie radzi musieli do nowego przystąpić wyboru; Walezyusz uciekł z Polski, Batory zszedł bezpotomnie, dom Wazów, w którym korona znowu się utrzymywała, wygasł. Są to wszystko okoliczności winy współczesnych pokoleń zmniejszające. Winniejsi są ludzie XVII. wieku, że reformy nie przeprowadzili; czy przeprowadzić mogli, to znowu inne pytanie. Przywiązanie do wolnej elekcji, całej klasie rządzącej wspólne, tkwiło we krwi, w wychowaniu, w wyobrażeniu, w interesie każdego; dobrowolnie, nikt, albo mało kto, nie byłby poniósł ofiary tak wielkiego przywileju. Każdy król przemyślał nad ukróceniem oligarchii, nad rozszerzeniem i wzmocnieniem władzy monarszej, nad ustanowieniem dziedziczości tronu. Królowie francuscy zniweczyli feudalnych lenników, bo ich mieli pod bokiem i mogli osiągnąć. U nas, król nie miał siły po temu, a mając siłę, musiały się upędząć za anarchista lub zdrajcą po olbrzymich przestrzeniach. Rozsianie ludności na nieproporcjonalnie obszernem terytoryum, stanowiło w Polsce nieprzełamaną przeszkodę do skupienia władzy, w jednostkach wyrabiało niczem nieposkromiony indywidualizm. Próżna to rzecz wdychać teraz nad tem, że Polska

nie przeszła przez szkołę absolutyzmu. Absolutyzm tak silnie w naturze ludzkiej jest wkorzeniony, że byłby i w Polsce na wierzch wypłynął, gdyby natura rzeczy temu nie była się sprzeciwiała. Żeby absolutyzm w Polsce ustanowić, trzeba było pierwiej szlachtę do nogi wytrzebić, co łatwiej powiedzieć niż zrobić, gdyż szlachcic miał długie nogi i stopy otwarte. Pierwszem zaś politycznem następstwem rozprysnięcia ludzi po przestworach i płynącego ztąd indywidualizmu, było niepodobieństwo utworzenia silnych stronnictw politycznych, jakie powstać winny były wśród tak cywilizowanego społeczeństwa. W stronach, gdzie średnia szlachta gęsto była osiadła, szlachcic trzymał się kupy na sejmikach i elekcyach, i taka szlachta przechyliła wagę na Walezyusza. Szlachta rozrzucona po wielkich przestrzeniach, między sobą rzadko się znosząca, skupiała się koło wielkich domów, jeszcze rzadziej rozsadzonych, z których każdy osobną, domową, prowadził politykę. W Anglii, instytucjami zbliżonej do Polski, mała stosunkowo liczba możnych rodzin krajem rządziła, ale rodziny podzieliły się na dwie partye, torysów i wigów, wzajemnie o władze walczące. Angielska oligarchia nie była lepszą od naszej, jak nowoczesna demokracja nie jest lepszą od dawnych oligarchii; i ona miłowała nad wszystko własne dobro, i ona ojczyznę uważała za źródło prywatnego zysku, ale możni nie chodzili samopas, tylko z konieczności, z interesu, wiązali się razem dla osiągnięcia wspólnego celu. Przystępując do jednej lub drugiej partyi, każdy musiał coś z własnych widoków poświęcić, żeby tym kosztem zdobyć pomoc innych do opanowania władzy; tym sposobem egoizm jednostki znajdował naturalną tamę. Każda partya, złożona z posiadaczy znacznych obszarów ziemi, fabryk, kapitałów, reprezentowała realne interesa Anglii; pracując przeto dla siebie, pracowała tem samem na pożytek całego kraju. Uposażeni w zmysł praktyczny, wychowani okolicznościami na ludzi rządnych, dobijający się o ster nawy narodowej, Anglicy umieli rozróżnić treść władzy od pozorów i o treść się ubiegali; pomijając abstrakcyę i bezużyteczne swobody, dążyli do ufundowania trwałych i skutecznych instytucyi. W 1689, znaleźli się w położeniu podobnem, jak Polacy w 1573. Wypadło znaleźć króla, dynastyę nową na tronie osadzić i zawrzeć

z nią pakt o podział władzy. Z wyjątkiem dziedziczności tronu, obyczajem w Anglii uświęconej, domowi hanowerskiemu postawiono warunki odpowiadające tym, jakie znajdowały się w naszych paktach konwentach i artykułach Henrykowskich. A przecież Anglia dotąd silnie stoi.

Nie wypływa z tego, żeby dzieło elekcyjnego sejmku 1573 miało być arcydziełem mądrości i przezorności. Potępić je przecież sumarycznie, jak to u nas weszło w zwyczaj, nie wydaje mi się słusznem. Ludzie ówcześni nie liczyli na wieczną trwałość porządku, ustanowionego pod naciskiem chwilowej potrzeby; działali pod natchnieniem dziennego interesu, namiętności, widoków osobistych. Czy wprost Pana Boga obrazili i prawo Boże zdeptali, jak to X. Witkowski twierdzi, nie zdaje mi się dowiedzionem. Bóg dał ludziom wolną wolę, rozum, przykazania obowiązujące jednostkę i społeczeństwo; prawo objawione zawiera przepisy ogólne, do końca wieków wystarczyć mające, zastosowane do wszelkich stopni i postaci społecznego bytu. Żeby ludzkość ochronić od skutków nadużycia wolnej woli, ustanowił Bóg na ziemi władzę, stróża objawionego prawa, i na człowieka włożył obowiązek posłuszeństwa. Władza złożona jest w doskonałym społeczeństwie; społeczeństwo atrybucye władzy powierza jednemu lub kilku, którzy składają rząd. Sposobu delegowania władzy, formy rządu i jego materyalnego zakresu, Bóg nigdzie nie przepisał, pozostawiając to układom ludzkim. Społeczeństwu każdemu wolno urządzić się w monarchię elekcyjną lub dziedziczną, w republikę lub federacyą gmin; jak sobie pościele, tak się wyspi. Jednego nie wolno: władzą pomiatać. Rzadkie są w dziejach wypadki, żeby społeczeństwo mogło swobodnie o formie własnego rządu stanowić; jest to wielki i rzadki przywilej, niezmierną za sobą pociągający odpowiedzialność. Za dowód służy Polska. Wolno było Polakom ustanowić tron elekcyjny, wybrać króla, zawrzeć z nim pakta konwenta, kazać sobie zapłacić jak najdrożej za koronę, władzę królewską okroić, zawarować, że skoro król umowy dobrowolnie zawartej nie dotrzyma, naród zwoliony będzie od obowiązku posłuszeństwa. Według mego mniemania, powołując obcego, należało opisać się dobrze, byle nie stawiać punktów nierozsądnych i działać w dobrej wierze. Tylko robiąc to wszystko

trzeba było pamiętać, że społeczeństwo, przyjmujące na siebie prawie wszystkie główne przywileje władzy królewskiej, podejmuje się także obowiązków ztąd płynących. Polacy postąpili sobie przeciwnie, powinności względem ojczyzny nie dopełniali, władzy w ich rękach złożonej nie sprawowali i Polskę do upadku przywiedli. Taką naukę widzę w roku 1573.

H. L.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

Explication du symbole des apotres par M. L'ABBÉ CATHAL. Librairie catholique internationale. Paris. 1883.

W dziele tem rozwija autor w całej jasności naukę Chrystusa; dowody głębokie zbawiennie wpłynąć mogą na niejednen umysł szukający prawdy. Nie wchodząc w wywody filozoficzne i naukowo-abstrakcyjne, autor przedstawia w obszernych komentarzach naukę Chrystusa Pana, a przemawiając do serca które jak mówi Paskal ma swój rozum nieznany rozumowi, zastanawia się dłużej nad końcem człowieka i licznemi przyczynami naszej dla Boga miłości. Dlatego to książka Ks. Cathal może również służyć do rozmyślań i ćwiczeń duchownych.

Die Nothwendigkeit der Offenbarung Gottes, nachgewiesen aus Geschichte und Vernunft. Von F. MACH. Mainz. Kirchheim 1883. S. 339. (5 mar.)

Bardzo na czasie ta książka, spokojnie a rozumnie napisana, dowodzi przedewszystkiem tej tezy: że rozum ludzki nietylko w starożytności, ale zawsze, a więc i dzisiaj nie jest zdolny wysnuć sam z siebie zupełną prawdę religijną, i zachować ją nieskazitelną, potrzebna mu więc koniecznie pomoc wyższego rozumu — objawienie.

Banès et Molina P. REGNON S. J. Paris. Oudin editeur 1883.

Książka ta traktuje o materyi, która niegdyś wywołała żywą polemikę. Autor przewidując zapytanie, z jakich powodów wznowił dziś te kwestye o pogodzeniu wolnej woli ludzkiej z wpływem łaski Bożej skutecznej, powiada na wstępie, że dzieło jego jest odpowiedzią na nowe pociski pewnych autorów, którzy występując przeciwko Mo-

linizmowi, pod płaszczykiem Tomizmu przypisują ś. Tomaszowi w ważnej kwestyi o łasce zdania i przekonania, jakich on nie miał, a któremi oni posługują się fałszywie do zbijania uwag teologicznych Moliny. Dzieło dowodzi wielkiej nauki autora a odznacza się głębokością przedmiotu i jasnością stylu.

Kirche und Staat vom Standpunkt des Rechtes aus. HAMMERSTEIN S. J. Freiburg. Herder. S. 212. (2½ marki).

Autorem tej gruntownej i zajmującej rozprawy jest prawnik z powołania, z protestantyzmu nawrócony Jezuita. Ogłosił ją w „*Stimmen aus Maria-Laach*“. Omawia zaś w niej zasadnicze kwestye, zanegowane przez nowożytne państwo, o stosunku państwa do podwładnych, do Kościoła, o rozgraniczeniu zakresu działania i organicznym związku państwa z Kościołem.

Die Confessionale Frage in Oesterreich 1848. Von Freiherr v. HELFERT. Wien. Mayer 1883.

Są to materyały starannie obrobione i przygotowane do historyi religijnych stosunków Austrii w pamiętnym r. 1848.

Natur, Vernunft, Gott. DR. SCHNEIDER. Abhandlung über die natürliche Erkenntniss Gottes nach der Lehre Thomas v. Aquin Regensburg. Mainz 1882. (5 m.)

Rozprawę tę zaszczyliło nagrodą Towarzystwo Goerres'a (Goerres-Gesellschaft.) Zdaje się jednak, że autor zanadto wiele stycznych punktów dopatrył się między nauką św. Tomasza a dzisiejszych przyrodników-filozofów.

Das Leiden unseres Herrn Jesu Christi nach der Lehre des h. Thomas v. Aquin. PATISS S. J. Regensburg bei Pustet. 1883. str. 416. 3 marki.

W pięciu rozdziałach (1. Męka Zbawiciela Pana; 2. przyczyny tej męki; 3. w jaki sposób męka Zbawiciela Pana stała się przyczyną naszego zbawienia; 4. skutki i owoce tej męki; 5. śmierć Zbawiciela Pana) zamknął autor, znany z kaznodziejskich prac i pism swoich, całą naukę Kościoła o męce Chrystusowej. Wyborny to podręcznik do kazań pasyjnych i do pobożnych rozmyślań.

Vortraege über das Magnificat. PATISS S. J. Insbruck. 1883. 2½ m.

Są to kazania majowe omawiające naukowo na podstawie życia N. Maryi P. główne dogmata wiary i zasady moralne.

Die Buszbücher und die Busdisciplin der Kirche. Dr. SCHMITZ.

Nach handschriftlichen Quellen dargestellt. Mainz Kirchheim.

1883. S. 864. (15 marek).

Pomnikowa to praca. Autor zwiedził biblioteki w Rzymie, Monte-Cassino, Neapolu, Florency, Bolonii, Paryżu, Brukseli, Hadze, Monachium, Regensburgu, Würzburgu, Bambergu, Frankfurcie n. M., w Berlinie, Londynie i Dublinie, wydobyl z nich 110 nieznaných dotąd dokumentów i spożytkował je w swem dziele umiejętnie.

Die Aufgaben der Staatsgewalt und ihre Gränzen. V. CATHREIN S. J.

Freiburg. Herder. str. 147. (2 mar.)

Rozprawa ściśle przedmiotowa na prawie natury oparta, wykazuje jakie zeń płyną obowiązki państwa względem Kościoła i w jakich granicach dozwolono państwu mieszać się do spraw kościelnych.

Reformatoren-bilder. DR. C. GERMANNUS. Historische Vortraege

über kath. Reformatoren und M. Luther. Freiburg. Herder, 1883.

str. 327. (4 mar.)

„Contraria sibi opposita magis feriunt“ Bardzo niefortunnie odbija Luter przy katolickich reformatorach, chociaż łagodnie obszedł się z nim autor. Wychodzi on z tego porównania na męża rewolucyi i przewrotu.

Wanderbuch für die Reise in die Ewigkeit. HATTLER S. J. Düsseldorf.

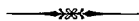
1883.

Nie jest to jednolite dzieło, ale szereg ulotnych popularnych rozpraw, omawiających i zwalczających błędne teorie tego wieku i darwinizm. Wyszły dotąd 4 zeszyty, wszystkich ma być 40.

Pastoraltheologie. AMBERGER. Regensburg. Pustet 1883., wydania

4-go tom I. str. 678. (5 mar. 40 fen.)

Już sama potrzeba 4-go wydania jest pochwałą tej książki.



Z dzieł filozoficznych.

Der belebte und unbelebte Stoff nach neuesten Forschungsergebnissen. DRESSL S. J. Freiburg Herder. 1883. S. 204 (2¹/₂ m.)

Autor wykazuje istotną różnicę między nieżywością a ożywioną materią, zbija dowodnie antidualistyczne teorie życia i wyprowadza bardzo ciekawy wniosek, że nieprzyjaźni nauce Kościoła badacze

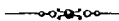
przyrody, swemi własnymi badaniami i doświadczeniami wywracają z gruntu teorye materyalizmu. Wyborny to antidot przeciw truciznie darwinistycznych publikacyi, które do nas, z Warszawy zwłaszcza, licznie dochodzą, i młodszemu pokoleniu głowę przewracają.

Geschichte der neueren Philosophie von Baco u. Carthesius bis zur Gegenwart. DR. STOECKL, Mainz Kirchheim 1883. Dwa tomy str. 502, 643. (15 mar.)

Zasłużony na polu chrześcijańskiego piśmiennictwa eichstacki profesor filozofii, zebrał pierwszy i ułożył w porządku całość rozrzucone materyały do dziejów nowszej filozofii, poddając je zarazem ścisłej z katolickiego punktu przeprowadzonej krytyce. Pomówimy o tem dziele obszerniej.

Blicke auf das Pflanzen und Thierleben mit 18 Tafeln. DR. MOHNIKE. Münster Aschendorf 1883. (10 mar.)

Wbrew darwinistowskiej teorii ewolucyjnej, „która w krótkim czasie rozprysła się jak bańka mydlana“ (str. 334) wykazuje autor z życia roślin i zwierząt prawdziwość nauki chrześcijańskiej o stworzeniu.



Z dzieł historycznych.

P. Angelo Secchi ein Lebens und Culturbild. DR. POHLE Köhln. Bachem. S. 156. (2½ marki).

Niewyczerpująca ale zajmująca dosyć biografia sławnego Jezuity astronoma.

Lehrbuch der Weltgeschichte. DR. WEISS. Tom VII. Wien. Braumüller 1883 (20 mar.).

Znana to jako jedna z najlepszych historia powszechna, doprowadzona w tym tomie do r. 1793.

Wiek średnie w obrazkach. (GRUBE-ZAJĄCZKOWSKA.) Warszawa r. 1881.

Książka ta pisana w katolickim duchu, a zastosowana do potrzeb młodego wieku, może mu dać dobre wyobrażenie o średniowiecznych czasach, tak pod względem faktów jak i życia i obyczajów ówczesnych. Część dotycząca się Polski, opracowana na podstawie Szajnochy. Przemawiać prostym stylem, gruntować w młodocianym umyśle zdrowe zasady i pojęcia o wypadkach historycznych, niemalą jest za-

ślugą. Ze skrzywionego wychowania błędów, stających się błędami przyzwyczajenia, trudno się potem wyleczyć rozumowaniem, gdyż przyzwyczajenie, stając się drugą naturą, silniejszym jest od chęci i dobrej woli rozpoznawania i roztrząsania, co fałszem lub prawdą.

Geschichte des deutschen Volkes seit dem Ausgang des Mittelalters. Freiburg (Baden) b. Herder 1883. JANSSEN. Trzy tomy, ósme wydanie (17 marek. 40 fen.).

Protestancki dziennik *Deutsche Reichspost* przy ukazaniu się tomu I. tej pracy woła: „Oto nowe dzieło katolicyzmu. Głęboka nauka, szeroki pogląd na największą część naukowych zagadnień, bogate a trafne skombinowanie idzie tu w parze z niepospolitemi przymiotami autora; talent niezwykle, zestawienia zręczne, styl dosadny. Żadnej polemiki w tej książce — religijno-idealny i patriotyczny powiew przeciąga przez całą tę pracę, ogrzewa i porywa czytelnika“. Autor pracował nad niem lat 24.

An meine Kritiker. JANSSEN. Freiburg (2 mar. 80 fen.).

Ein zweites Wort an meine Kritiker. JANSSEN. Freiburg 1883. (1 mar. 50 fen.).

Dzieło Janssena: *Geschichte des d. Volkes*, wywołało cały szereg krytyków, między tymi trzech byli wybitniejsi: Dr. Koestling, Dr. Kaverau i radca Ebrard. Im to daje odprawę Janssen, a odpowiedź ta jest wzorem polemicznego stylu, znamionuje ją wielka wyrozumiałość i szacunek dla przeciwnika obok ścisłości przeciw wywodów, i werwy dykcji.

Papst Innozenz III. und seine Zeit v. Dr. J. N. BRISCHAN. Freiburg. Herder. S. XVI. 342. (2 mar.)

W śmiałych a rzetelnych rysach kreśli autor w 8 rozdziałach stan ówczesny (początek XIII w.) Kościoła w Niemczech, Francji, Hiszpanii i na wschodzie. Przedstawia roboty heretyków z jednej a prace Soboru laterańskiego z drugiej strony.

Pismo zbiorowe ces. Towarzystwa historycznego. Tomy: 36, 37, 38. Petersburg. 1882—83.

Materyały do dziejów Polski zawiera tylko tom 37, redagowany przez Stendmanna, sekretarza Towarzystwa. Wydrukowano w nim dalszy ciąg korespondencji dyplomatycznej posłów pruskich przy dworze rosyjskim, której początek znajduje się w 22 tomie tegoż wydawnictwa. Obejmuje ona okres czasu od 9 stycznia 1767 r. po 19 lutego 1772, czyli do zawarcia tajnego układu pomiędzy Rosją i Prusami. W skład tej korespondencji weszły depesze i raporta

posła pruskiego hr. Solmsa do Fryderyka W., lub instrukcye tego ostatniego, przesyłane na ręce posła. Została w tymże tomie również pomieszczoną korespondencya Fryderyka W. z jego gabinetowym ministrem Finkensteinem w sprawie układów z Rosyą o pierwszy rozbiór Polski. Wszystkie te dokumenta mogą posłużyć do wyjaśnienia przedewszystkiem następujących kwestyj: a) stosunku rządu pruskiego do dyssydentów polskich i zmiany formy rządu w Polsce; b) bliższych okoliczności pierwszego rozbioru Polski pomiędzy trzema mocarstwami; c) stosunku Prus do pierwszej wojny tureckiej za Katarzynę II. i do polityki austriackiej w kwestyi wschodniej. — W ogóle tom 37 zawiera wiele cennego materiału historycznego, mającego związek z polityką Prus i Austrii względem Turcyi, Polski i innych państw europejskich, jak np. najdokładniejsze wiadomości, dotyczące tajemnego traktatu pomiędzy Austryą i Turcyą z d. 7 lipca 1771 r., trzymanego w tak wielkiej tajemnicy, iż Rosya zdołała otrzymać jego odpis przez posła angielskiego dopiero pod koniec marca 1772 r.

A. Sulima.

Archiwum księcia Woroncowa. Księgi 24—28. Moskwa. 1882—83.

Pierwsze trzy zeszyty (24, 25, 26) powyższej publikacyi wyszły jeszcze za życia Semiona Woroncowa, założyciela i wydawcy „Archiwum“; ostatnie zaś dwa już po jego śmierci. Była nawet obawa, że wydawnictwo to upadnie. Ale siostrzan zmarłego Paweł Szuwałow, spadkobierca jego tytułu, majoratu i bogatych zbiorów, zapewnił środki na dalsze wydawanie „Archiwum“, przez co nauka dziejów polskich i rosyjskich wzbogaconą zostanie obfitym i cennym materiałem źródłowym.

Pomijając materiał do dziejów Rosyi, zawarty w wymienionych wyżej zeszytach, wymienię rzeczy, odnoszące się prawie wyłącznie do dziejów Polski. W księdze 24 znajduje się list Kościuszki do cesarza Pawła. W 25 wydrukowano dwa listy cesarzowej Katarzyny I¹. do Stanisława Poniatowskiego: z dnia 2 i 9 sierpnia 1762 r. traktujące o rewolucyi petersburskiej, dokonanej w lipcu tegoż roku, której rezultatem było jedynowładztwo Katarzyny II. Listy te były już poprzednio wydane w Lipsku r. 1862, ale w wydawnictwie rosyjskiem ukazały się po raz pierwszy. List z d. 2 sierpnia, pisany wkrótce po przewróceniu czerwcowym, zaczyna się od słów: ¹. „Natchmiał posyłam hr. Keyserlinga do Polski, aby zrobić Pana królem po śmierci obecnie panującego; a jeżeliby nie był w stanie przeprowadzić Pańskiego wyboru, to pragnę, aby został królem ks. Adam“. Po najszczegółowszym opisie wypadków petersburskich, przedstawia mu przykreść swego położenia i zaklina, aby nie przyjeżdżał do Petersburga i nie powiększał już i tak wielkich jej kłopotów. W drugim zaś liście zapewnia Katarzyna II. stolnika litewskiego o swej

¹ Znany i cytowany przez Hermanna w „Geschichte des russischen Reiches“.

przychylności do jego rodziny, ale z tonu i treści przebija się chęć przerwania coraz trudniejszej i niebezpieczniejszej, jak zapewnia, korespondencji i prosi, ażeby albo wcale do niej nie pisywał, albo bardzo rzadko i to przy pomocy „hieroglifów“. W zeszytcie zaś 28 umieszczone listy Stanisława Augusta do Katarzyny.

Oprócz korespondencji znajdujemy w zeszytcie 24 „Archiwum“ kilka fragmentów z notatek króla Stanisława Augusta; wiersze Woltera z napomknieniem o możebności małżeństwa pomiędzy Katarzyną II. a Poniatowskim; 13 listów Katarzyny II. do hr. Aleksandra Branickiej z lat 1782—91.

Przeważna część wyżej wymienionych dokumentów została wydrukowaną w języku francuskim, w którym była pisana. W tymże zeszytcie 24 znalazła miejsce praca pod tytułem: „Historyczne rysy i wiadomości, dotyczące życia i rządów Katarzyny II.“, w której roztacza się przed nami cały przepych dworu „północnej Semiramidy“. Przy grze zamiast marek używa carowa brylantów. Wieczór, na grze w karty spędzony, kosztował ją przeciętnie około 40.000 rubli. Faworyci zaś, podług najskromniejszych obliczeń autora, pochłonęli w r. 1784 od 82 do 83 milionów rubli. Książ Potemkin aż do ostatnich chwil swego życia żądał od imperatorowej sum niesłychanych i zawsze je otrzymywał. Po nim najbardziej wymagającym był hr. Zubow.

Z korespondencyj różnych osób wpływowych tego okresu, umieszczonych w „Archiwum ks. Woroncowa“, można się również dowiedzieć wielu zajmujących szczegółów. Tak np. hr. Bestużew-Riumin, w liście pisanym z Drezna d. 18 marca 1753 r. do wice-kanclerza hr. Woroncowa, zawiadamia tego ostatniego, iż hr. Keyserling, poseł rosyjski przez lat wiele w Warszawie, był zarazem poddanym polskim i posiadał dwa starostwa: jedno na Litwie, a drugie w Prusiech, które mu przynosiły rocznego dochodu więcej niż 8.000 talarów, a oprócz tego od dworu saskiego pobierał rocznej pensyi 4.000 talarów.

A. Sulima.



Z dzieł literackich.

Oeuvres oratoires de M. FREPPEL. Paris. 1883.

Zbytecznem byłoby zalecać znakomitą książkę biskupa z Anger, ograniczamy się tylko na zapisaniu jej tutaj pewni, że przyjaciele wielkiej apolegetyki nowoczesnej zechcą mieć w swej bibliotece tak wyborne dzieło.

La critique idéale et catholique de Molière par M. Auguste Charrau professeur à la faculté libre DE LILLE. 1 vol. (Paris Lecoffre) 1883.

Jest to krytyczny rozbiór komedyi Moliera pojmovanych ze stanowiska moralnego. Podnosząc wszystkie dodatnie strony dzieł

Moliera, i oddając zasłużony hołd jego talentowi dodaje autor: „Zadaniem jednak komedyi nie jest samo tylko rozśmieszanie, musi ona iść dalej, w głąb duszy, musi karać zbrodniarza oddanego zestarzałym występkom. Umysł słuchacza powinien w danym razie przewidywać, i dla siebie taką samą karę, i choć usta się śmieją, serce drzeć ze strachu powinno. Trzeba, aby dobro zawsze zwyciężyło, zemszczone klęską egoizmu, ponieważ w nim to głównie tkwi wszystko co złe. Komedyopisarzowi nie wystarczy zabawić nas kżstem cudzych wad i śmieszności, i być tylko spostrzegaczem złego; dzieło jego wtenczas tylko nazwać można arcydziełem, gdy tkwi w niem głęboka prawda moralna“.

Correspondence de LOUIS VEUILLOT, lettres à son frère, à sa soeur à sa famille et à divers. 2 vol. in 8. Paris 1883 (Palmé éditeur).

Listy te do blizkich sobie sercem, malują wiernie szlachetną postać wielkiego publicysty i niezmordowanego obrońcy Kościoła; w nich widzimy go takim jak był rzeczywiście — ognistym i śmiałym w walce, nienawidzącym występku, niewiary i rewolucyi, która pod pozorem postępu chce doprowadzić Francję do upadku a Kościół katolicki narazić na prześladowanie. W uczuciach tych jednak nie ma nigdy nic osobistego, Veuillot brzydzi się tem co uważa za złe, ale ludzi nie mógłby nienawidzić. Następujący czterowiersz, który znajdujemy w jednym z jego listów, najlepiej go nam maluje.

W pracowitej walce życia mego,
W wierze, siłę dla serca i ducha czerpałem
Było to więc życie szczęśliwego
Bo przecież zawsze, kochałem.

Die Reform unserer Gymnasien. PACHTLER S. J. Paderborn. 1883. (Bonifacius-Druckerei. Schroeder) w 8-ce. str. 378.

Wobec coraz więcej budzącej się u nas opozycyi przeciw przyjętemu w naszych szkołach średnich kierunkowi, wszyscy ci, którzy pragną mieć jasne pojęcie o tem, czem szkoły średnie są i być powinny, a więcej jeszcze ci, którzy na rozwój a względnie i przekształcenie naszych gimnazyów jakimkolwiek sposobem wpłynąć mogą i pragną, znajdują w powyższem dziele liczne i trafne wskazówki. W dziełwignastu rozdziałach daje autor gruntowną, na historyi i licznych cytatach opartą, charakterystykę starej i nowej metody nauki i wychowania szkolnego, wykazuje całą zgubność praktykowanej w dzisiejszych gimnazyach „Vielwisserei“ i zaleca zwrot do dawnej metody szukającej nie „multa sed multum“; wreszcie dotykając jeszcze w szczególności niektórych koniecznych prawie skutków terażniejszego trybu szkół, rozwija szeroko pomysłany, na dawnych katolickich tradycyach oparty plan reformy gimnazyów. Mimo całą swą gruntowność, dzieło to z łatwością i zajęciem się czyta.

Polowanie na Wieloryby. WŁ. ANCZYC. Warszawa r. 1884.

Książeczka ta tłumaczona przez naszego autora *Emigracyi chłopskiej*, należy do rzędu tych, które działwę nie tylko zabawią, ale przyczynią się poniekąd do jej wykształcenia. Daje bowiem ona wyobrażenie o rozległych miejscowościach, w jakich wieloryby się polawiają, poucza też nieco geografii, nauki uznanej powszechnie za tak niezbędną i potrzebną, w celu umiejętnego wykształcenia ludzi.

Tuzin komedyi dla młodzieży. L. ŚWIDERSKI. Warszawa.

Zabawiać dzieci wśród zatrudnień i pracy, rzecz dobra i słuszna. Komedyjki dowcipne, jakby z natury chwycone, mogą też nie jedną pod tym względem młodemu wiekowi oddać przysługę. Ale, aby były pouczającemi i zabawnemi, powinny posiadać pewien sens moralny i dowcip zbliżony do sensu moralnego i dowcipu bajek Krasickiego, Morawskiego, Jachowicza; inaczej pozbawione są głównych warunków dobrej komedyi dla dzieci. Warunkom tym nie zawsze odpowiada *Tuzin komedyi dla młodzieży*. Autor bawi młodych swych czytelników czasem nieporozumieniem lub czulostkowością rodziców, to znów udaną srogością nauczycieli albo niesmacznemi żarty służących; nie grzeszy przeciw moralności, ale grzeszy miernością.

Powiadki dawnych czasów, ofiarowane młodemu wiekowi, przez
MICHAŁINĘ ZIELIŃSKĄ. Warszawa; nakład Maurycego Olgenbranda.

Jest to dziesięć małych obrazków, z dawnych czasów, z talentem, i chrześcijańskiem uczuciem skreślonych. Najwybitniejszymi z nich są następujące: *Marcin Wadowita*; *Stefan Czarniecki i jego rodzina*, i *ksiądz Marcin Tyrawski*. Czyta się je z prawdziwą przyjemnością i żałuje, że się tak prędko kończą. Oby autorka, posiadająca rzeczywisty talent obrazowania i pisania piękną polszczyzną, zwróciła swe pióro do powiastek z czasów dzisiejszych. Trudniej zapewne omawiać to, co dziś, obecnie się dzieje, gdy wiele zamilczeć, zapomnieć i przebaczyć trzeba; ale powiadki dla młodego wieku, pouczające, z jakim mozołem, dziś na życie, w jego prawdziwych warunkach pracować wypada, miałyby daleko większą wartość, aniżeli obrazki z lat minionych, a już nie zawsze łatwe do naśladowania.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Z Pragi. Wróciwszy świeżo z Pragi, kreślę swoje wrażenia i spostrzeżenia. Społeczeństwo czeskie w ostatnich latach postępuje i rozwija się we wszystkich kierunkach, nie wyjmując religijnego. Stolica jest wyrazem, ale też i ogniskiem tego wielostronnego ruchu; kto ją znał przed laty 15 a dzisiaj ją zwiedza, wierzyć oku swemu nie chce, że to to samo miasto. Obudzone i potęgowane z dniem każdym poczucie słowiańskiej narodowości obok coraz to głębszej świadomości, że jeszcze wiele jest do odrobienia z tego, co winą czasów i ludzi wrogie prądy zniszczyły lub w pochodzie swoim zatrzymały — oto dwa główne czynniki ruchu ogarniającego Czechów.

Nie łatwo zdać sobie sprawę z tego, co i jak się tam myśli, czuje, robi. Szlachta czeska, należąca do stronnictwa staroczeskiego, którego organem politycznym jest niemiecki dziennik *Politik* a czeski *Pokrok*, stoi wiernie przy zasadach konserwatywno-katolickich, bierze czynny udział w politycznym i publicznym życiu, ale trzyma się zdala od wszystkiego, co nie jest szlachtą, choćby to byli mężowie polityczni tak wybitni jak Riger, synów swoich wychowuje przeważnie w domu w ścisłym rygorze, pocziwie, ale zdala od zetknięcia się z młodzieżą w publicznych instytucjach wychowywaną; córek swoich nie odda do żadnego pensjonu, choćby to był zakład tak wzorowy i tak na wyższą stopę jak Sióstr Serca Jezusowego (Sacré-Coeur) na Śmiechowie, gdzie blisko 40 panien polskich i kilkanaście wę-

gierskich i niemieckich wychowanie odbiera; archiwa i biblioteki domowe trzyma pod zamknięciem, nie pozwalając do nich łatwo wstępu uczonym i profesorom czeskiego uniwersytetu, którzy rozbijają się na wszystkie strony za historycznymi dokumentami, aby zaniechaną przez tyle wieków dziedzinę historii czeskiej oczyścić z obcych a niezdrowych naleciałości i uprawić należycie. Kilku tych czeskich uczonych, widząc się odepchniętymi od swoich, udało się do polskich pańskich zbiorów i bibliotek i znalazło tam nie tylko wszelką gotowość do naukowej pomocy, ale życzliwe, przyjacielskie prawie przyjęcie w domu. Odosobnienie to szlachty czeskiej, posunięte aż do nieużytości, kładziono na karb dumy rodowej; sądzę jednak, że nie tyle duma co kierunek nieco radykalny, jaki uczeni czescy w swoich badaniach i pracach z początku obrali i po części dotąd się go trzymają, przestraszył i zraził konserwatywnych panów czeskich, iż przed nimi swe dokumenta i księgi kryją. Ale dziś jużby ten wstręt czy obawa zniknąć powinna. Rzecz bowiem jasna, że jak w każdej rekonwalescencji, tak w ocknieniu się duchowem Czechów musiały być i były nie zawsze zdrowe zapędy i zachcenia. Było przecie tak samo i u nas; winę upadku kraju składano to na szlachtę, to na jezuitów, to na królów, to na złych sąsiadów, jak to czyniły różne odcienia lelewelowskiej szkoły, i z takiego założenia wychodząc, sadzili się pisarze tej szkoły na pochwały *liberi veto*, wolnej elekcji, złotej wolności, rokoszów, konfederacyj i zbrojnych powstań — właśnie tych wszystkich instytucyj i czynów, które były źródłem wewnętrznego rozkładu i przyczyną dalszej ruiny narodu. Trwało to moralne władztwo lelewelowskiej szkoły lat kilkadziesiąt; na przełomie stanął ś. p. Szujski a po nim Teodor Morawski, Kalinka i spory zastęp młodszych badaczy dziejów, i politycznych mężów, którzy wychodząc z pewnika, że naród upadł własną winą własnym nierządem, że też dźwigać się musi wewnętrznem odrodzeniem, organiczną pracą, potępił i odepchnęli wszystko to, co za święte i nietykalne przez lat wiele uchodziło.

Ten sam proces przebyć musieli Czesi; Hus i przegrana na białej górze, były dla nich dwoma punktami wyjścia do patriotycznych badań, prac, zachceń i pragnień, a tem samem nieufność i niechęć do Kościoła kat., zasadniczy opór przeciw rzą-

dowi, który kładł tamę ich wrzekomo patryotycznym robotom, gwałtowność i krzykliwość, stać się musiały cechą tej młodej literatury czeskiej. Dla tych sympatyj husyckich i tej krzykliwości nazywano do niedawna młodoczechów żartobliwie *czesky boucharony* t. t. moździerzami, z których biją wiwaty, a ich patryotyzm *husitské baucharonstoí*.

Dzisiaj wytrzeźwiają się już umysły i nietylko uczeni profesorowie czescy dowodzą, że przyjęcie się nauki Husa w całym kraju, odciełoby go od pnia zachodniej cywilizacji i popchnęło w anarchią i rozkład; że niefortunni bohaterowie białej góry: ks. Anhalt, ks. Hohenlohe, hr. Turn i Bornemissa, niemniej jak ich „zimowy król“ Fryderyk nie byli wcale Czechami pochodzeniem, i gdyby stanowczo zwyciężyli, toby oni pierwsi do germanizacji Czechów rękę przyłożyli; ale te same prawdy głośno wypowiadają na publicznych zebraniach polityczni mężowie tej miary, jak Riger; nurtują one i przyjmują się powoli w umysłach młodoczechów i niedługo czekać a zapanuje wśród ogółu inteligencji czeskiej mniemanie, że w upadku Czech miało część walną winy i społeczeństwo samo, sam naród, że więc zamiast rzucać bezsilne skargi to na Rzym, to na Wiedeń, to na tych, to na owych, wziąć się należy do pracy nad sobą, nad uratowaniem i udoskonaleniem języka, wytworzeniem literatury czeskiej, zakładaniem szkół i instytucyj naukowych i t. d. Tak też oni i czynią.

W jednej Pradze wychodzi kilkadziesiąt czasopism czeskich. Wspomniane wyżej polityczne dzienniki dla staroczeskiej frakcji *Politik* i *Pokrok*, dla młodoczechów *Narodne listy*, liczą po kilka tysięcy prenumeratorów; beletrystyczno-naukowe ilustrowane czasopisma, jak istniejący od lat 15 *Swietozor* pod redakcją Prima Sobotki (6000 prenum.), *Ruch* Franciszka Haupy, *Lumir* Józefa Sładka (2500 prenum.), *Kwiety* Swiatopełka Czecha, skrajno-narodowe; z tym nowym rokiem powstały tygodnik *Zlata Praha* Schütza (10.000 prenum.), wreszcie *Ženské listy* pod redakcją Elizy Krasnohorskiej tłumaczki Wallenroda, w konserwatywnym kierunku wydawane. Nie brak na czasopismach ściśle naukowych i fachowych. I tak: wychodzą co miesiąc *Oswieta* pod redakcją p. Vlčka od lat 13 (3400 prenum.), *Atheneum* dla poważnej literatury i naukowej krytyki pod redakcją profesorów: dr. Masarika, dr. kano-

nika Borowego, dr. Meixner'a, Brafa, Seidlera i innych (500 prenum.), *Zbornik historicki*, raz na dwa miesiące pod redakcją profesora dr. Resseka (400 prenum.), *Museinik* kwartalny oraz *Archeologiczne pamiątki*, wydawane staraniem muzeum narodowego. *Zbornik słowiański* Edwarda Jelinka, *Prawnik* pod redakcją prof. Prażaka (brata ministra), *Czasopis filologicki* kwartalny, profesora Kwiczały; *Czasopis pro piestowani matematyki a fizyki* kwartalny, profesora Panek'a (przeszło 1000 prenumeratorów), *Diwadelne listy* (teatralne listy) Howorka, tłumacza polskich dramatów, przyjaciela naszego artysty Rychtera; po kilka czasopism dla pedagogii, dla chemii, dla inżynierii, dla cukrowani, których w całych Czechach liczą więcej jak 400, a wreszcie dla kompletu, socyalistyczne pisemka: *Świtlo*, *Dwudziesty wiek*, *Dzielnickie* (robotnicze) *listy* i t. d.

Ozdobą tej wskrzeszonej czeskiej literatury jest trzydziestoletni, wielce utalentowany poeta Jarosław Vrchlicki *recte* Emil Frida, który w ciągu lat 10 ogłosił 30 tomów swoich poetycznych utworów, pełniąc przytem obowiązki sekretarza czeskiej politechniki. Czesi szczycą się nim, porównywiają pióro jego do pędzla Makarta, unoszą się nad „mistrzostwem“ jego języka, rozkoszują w jego realistycznym, aż do przesady obrazowaniu. Jest to poeta „więcej dowcipu jak serca“, kierunku wybitnie pozytywnego; oryginalne swe pieśni przeplata przekładem na czesko-słowiański język poezyj Wiktora Hugo, Leopardi'ego, Lecomte'a, Hafiz'a i nowszych francuskich pieśniarzy, a wreszcie *Nieboskiej komedji* Danta. Niestety, młody poeta zagrożony pierwszą chorobą, nie wiem czy starczy mu czasu do zmiany kierunku swego ducha.

Dodajmy do tego dwadzieścia kilka gimnazyów i szkół realnych z wykładowym językiem czeskim, w których kształci się 13.000 uczniów, czeską politechnikę i czeski uniwersytet o 1200 słuchaczach; dodajmy matycę szkolną, pracującą niezmiernie nad otwarciem coraz to nowych ludowych szkół czeskich i nad dostarczaniem odpowiednich czeskich książek szkolnych ludowych, dodajmy teatr czeski, na którego powtórne odbudowanie w ciągu roku milion kilkakroć sto tysięcy złożono, iż już stoi nadobny i wspaniały i jeżeli nie zawsze narodowe, to zawsze czeskie daje przedstawienia — dodajmy wreszcie tę, zaciętą powiedziałbym

aż do uporu, wołę mówienia potocznie w domu i na ulicy nie innym jak czeskim językiem, a będziemy mogli wyrobić sobie pojęcie o duchowej pracy Czechów.

Przodowało w niej i nie ustępuje teraz czeskie duchowieństwo, tak bardzo czeskie i narodowe, że spotkał je ze strony dosyć poważnej zarzut, może za surowy a w każdym razie nie mogący do ogółu się stosować, jakoby kler czeski więcej był czeskim jak katolickim, więcej patryotyczną jak kościelną instytucją. Prawda, że pojawiały się sporadycznie wypadki przegalopowania się czeskich księży w pochwałach dla „czciwego mistrza Jana“, i bratania się ich z młodoczeską frakcją, nie odznaczającą się wcale chrześcijańskim duchem, owszem do bezwyznaniowości widocznie się chylącą; ale skoro narodowy malarz Brožík, „nasz czeski Matejko“ jak go chełpliwie zowią, namalował obraz wielkich rozmiarów (8 metr. dług. 6 metrów szerok.), przedstawiający „potępienie Husa przez sobór konstancyeński“, a młodoczeska partya pragnąc obraz ten nabyć na własność narodu, dla zebrania potrzebnej sumy (60.000 złr.) wystawę jego na ratuszu urządziła — to księża czescy, uważając słusznie obraz ten za obelgę wyrządzoną katolickiemu Kościołowi, ostentacyjnie od zwiedzenia wystawy wstrzymali się, a młodoczechom zbawienną dali radę, aby podniesienie narodowego malarstwa nie od kłamstwa i nie od jątrzenia serc i umysłów rozpoczynali. Istotnie obraz ten, pomijając już jego tendencję i napis kłamliwy — nie sobór bowiem skazał Husa na spalenie, on tylko ogłosił naukę jego heretycką, za którą sądy ówczesne cywilne naznaczały karę śmierci — tak grzeszy przesadą, że nie można go nazwać dziełem sztuki; to też zamiast spodziewanych tysięcy, zaledwie kilka setek zebrać z wystawy zdołano, tak mało ją zwiedzała czeska publiczność, pomimo że krytyka dziennikarska bardzo wyrozumiała się okazała dla młodego artysty¹. Trzy pisma kościelne: *Czasopis cze-*

¹ Z zawodu był Brožík ogrodnikiem i pracował przed kilkoma jeszcze laty w jednym z ogrodów pragskich. Odkryto w nim niepospolity talent do rysunku i malarstwa, dano pomoc do wykształcenia się najprzód w kraju a potem w Paryżu, i z ogrodnika stał się „mistrz sztuki malarskiej“ daleki jeszcze od prawdziwego mistrzostwa, ale talentu niezwykłego, który przy młodym wieku (nie

skiego duchowieństwa dra ks. Borowego, *Duchowny paster* dra ks. Karlacha, *Blachowiest* dra ks. Krasela i jedno polityczne *Czech* podtrzymują religijno-narodowego ducha czeskiego kleru; oprócz tego księża czescy, jak znany w Polsce prałat Stulz, kanonik Borowy, ksiądz Drozd, ks. Kopal i innych wielu uprawiają pocziwie naukową niwę czeską. Blisko 200 kleryków teologów zamieszkuje gmach seminaryum duchownego, z tych zaledwie jedna piąta niemieckiego pochodzenia; wykłady odbywają się po łacinie z wyjątkiem jednego czy dwóch drugorzędnych przedmiotów, które wykładają się po niemiecku; pomimo to cały wydział teologiczny zaliczono do uniwersytetu niemieckiego, przeciw czemu protestują i czescy klerycy i przeważna część profesorów teologii, acz po cichu tylko i dotąd bezskutecznie. Kardynał Schwarzenberg bowiem, nie chcąc do swego zakładu wprowadzać narodowych waśni, zostawił dotąd rzecz tę nierozstrzygniętą, a 80 „silniejszym duchom“ domagającym się natarczywie usunięcia niemieczyny z seminaryum, przydzielenia wydziału teolog. do czeskiego uniwersytetu, zagroził wydaleniem. Być może, że pomyślniejszy skutek odniesie memoriał senatu akademickiego czeskiego wręczony temi dniami kardynałowi, a równocześnie ministrowi wyznań i namiestnikowi Czech, domagający się podziału fakultetu teologicznego na czeski i niemiecki.

Rzecz jasna, że ta ruchliwa, gorączkowa działalność Czechów wywołać musiała silny opór ze strony t. z. *Deutsch-Boehmen* Czechów niemieckich. Walka tu przybrała odrazu zbyt ostre kontury. Wzajemne rozjątrzenie podsycane przez dzienniki, przeniosło się z izb dziennikarskich do życia codziennego, do przybytków nauki i sztuki; pamiętamy jeszcze niebudujące spory z okazji otwarcia czeskiego teatru, wyzywania się, a nawet bójki uliczne. Charakter czeski wogóle ma jeszcze wiele ostrości, szorstkości w sobie — rzekłbyś, że pozostało jeszcze w niem coś z tej husyckiej zawziętości, która w XV. wieku tyle spustoszeń wojny domowej dokonała, a rys ten charakteru napotkać można

liczy jeszcze lat 33) i odpowiednem duchowem wykształceniu, dojść może do prawdziwego artyzmu, czego i jemu i Czechom z serca życzymy.

nietylko w sporach Czechów z Niemcami, ale nawet w samym dziennikarstwie czeskim, czy to tak skrajnem jak „Narodne listy“ młodoczeskie, czy tak konserwatywno-katolickiem jak „Czech“. Ale już i na tym punkcie odmiana na lepsze widoczna, uliczne zaczepki i napaści ustały już dawno, pewna miara i godność zachowana w polemice, a świeży przykład koryfeusza młodo-czechów Grégr'a, który w Radzie państwa w głośniejszej kwestyi państwowego języka z niezwykłym przemawiał umiarkowaniem w formie a siłą w argumentacyi, podziela zbawiennie na całą czeską prasę. Tylko na polu szkolnictwa wre jeszcze spór zaciekły, podtrzymywany i podsycany przez niemieckie stowarzyszenie szkolne, *der deutsche Schulverein*, które więcej polityczne jak naukowe, położyło sobie za zadanie propagandę idei niemieckiej „*der nationalen Idee auch in Boehmen zum Durchbruche zu verhelfen*“, a w walce swej, którą nazywa narzuconą sobie „*der uns aufgenöthigte Kampf*“, gra rolę prześladowanego, zmuszonego nie przebierać w środkach dla swej obrony. Środki te zresztą są zręcznie obmyślane. I tak dopomaga Schulverein do założenia i podtrzymania szkół niemieckich w miejscowościach, gdzie ludność czeska o wiele przeważa, gdzie w szkole zaledwie 12 procent niemieckich dzieci, a jeszcze i te żydowskiego przeważnie pochodzenia. Osobni delegaci Schulvereinu wyszukują nieznanie nieraz lub zapomniane miejscowości, gdzie wśród Czechów mieszka gromadka Niemców, i tam to przedewszystkiem zakłada się niemiecka szkoła. Szumne niemiecko-patryotyczne mowy towarzyszą uroczystościom położenia kamienia węgielnego, albo otwarciu szkoły. Dla sparaliżowania Schulvereinu założyli Czesi *Maticę skolską* która w miastach jak Reichenberg, Dux, Nyřan, gdzie Czesi w mniejszości będąc, do niemieckich szkół swe dzieci dotąd posyłać musieli, zakłada czeskie szkoły. Dotąd otwarto staraniem Maticy w Czechach, Morawii i Szląsku 29 szkół, do których uczęszcza 8000 dzieci, wyłącznie czeskich, słowiańskich. Co najbardziej jątrzy przeciw Schulverein'owi, to nie całkiem jak się zdaje bezpodstawne podejrzenie, że stoi on w związku a poniekąd w zależności z Berlinem. Oto co w tej mierze pisze umiarkowana „Politik“ w Nr. 33. „Istnieje także w Berlinie niemiecki związek szkolny, który zwrócił także swą

uwagę na Austro-Węgry. Chociaż nie można dowieść łączności ścisłej (*directe Verbindung*) między austriackim związkiem a zagranicznym, to jednak wiadomo, że ten ostatni popiera usiłowania tamtego nawet materyalnie. Nie chcemy tego szerzej rozbierać, zaznaczamy tylko, że fakt ten w szczególnem świetle przedstawia działalność naszego niemieckiego szkolnego związku“.

Ruchliwość Czechów nie ogranicza się na samym kraju czeskim, sięga ona na Morawę i Szląsk, gdzie jeszcze niemal wszystko drzemie. I tak obok kilku pism pedagogicznych w Ołomuńcu i Bernie, wychodzi w tem ostatniem mieście pod redakcją ks. Szczasnego, tygodnik beletrystyczno-naukowy *Obzor* i drugi przegląd naukowy *Czasopis Matjey morawskiej*, pragskie dzienniki bywają pilnie czytane na Morawach, i coraz gęściej słyszysz na dworcach, ulicach i w domu słowiańską mowę; nad zakładaniem szkół słowiańskich czuwa Matica; słowem, na całej linii umysłowego życia zwrot do narodowego języka, do słowiańszczyzny widoczny, z dniem każdym silniejszy.

O religijno-społecznych stosunkach Czechów, podamy później miejscową korespondencyę.

Ks. St. Załęski.

Z Rzymu. Zamach na Propagandę. Głównym wypadkiem z ubiegłego miesiąca w Rzymie jest znany już i przez pisma wszelkich odcieni napiętnowany zamach na dobra Propagandy. Wiadomo, że po wkroczeniu Piemontczyków do Wiecznego Miasta przez wylom w *Porta Pia*, jednym z pierwszych czynów prawodawstwa nowego państwa było prawo konfiskaty majątków kościelnych. Do takowych zaliczono i dobra Propagandy, otaksowano je urzędowo na 10 milionów lirów, choć faktycznie przynosiły 3 miliony dochodu, i wreszcie r. 1873 rozkazano prefektowi Propagandy, żeby te dobra sprzedane zostały w przeciągu trzech miesięcy, a kapitał zamieniony na rentę rządową. Wówczas ambasadorowie obcych państw, a zwłaszcza Austrii i Portugalii, zaprotestowali przeciw temu uważaniu Propagandy za zakład narodowo-włoski, a rząd włoski na razie poprzestał na obłożeniu tych dóbr ogromnym podatkiem. Roku jednak następnego, jak gdyby żadnych nie było protestów, przystępuje Junta likwidacyjna do licytacyi i zaczyna od sprze-

dania willi Propagandzistów za 32.700 fr. dnia 9 sierpnia 1874. Wtedy kardynał Franchi, prefekt Propagandy, nie wiele już ufając skuteczności nowych protestów ministra Stanów Zjednoczonych i Anglii, wytoczył rządowi proces przed trybunałem cywilnym. W dwóch instancjach, jak można było przewidzieć, przegrała Propaganda, ale sąd kasacyjny unieważnił ich wyroki; sprawa jednak poszła jeszcze przed sąd apelacyjny w Ankonie, który przyznał słuszność rządowi. A gdy ostatecznie odniesiono się do pełnego trybunału kasacyjnego w Rzymie, zapadł wyrok na niekorzyść Propagandy: w zastosowaniu prawa o konwersyi dóbr kościelnych, odnośnie i do tego Instytutu. Dziewięć lat z górą trwał ten proces, w którym to czasie rząd włoski pod naciskiem opinii i dyplomacyi kilka razy dawał zaręczenie gabinetom obcych państw, że będzie szanował własność Propagandy.

Taki jest wiadomy przebieg wypadków, ale nie wszystkim równie wiadomo, czym jest Propaganda i jaką ma doniosłość ten zabór jej majątku.

Słowa Chrystusowe: *Idąc nauczajcie wszystkie narody*, wykonywane były najwierniej przez Następców Piotra. Misy katolickie, z Rzymu biorące posłannictwo i sięgające krańców znanego świata, datują się od pierwszego wieku chrześcijaństwa. Gdy jednak, jak gdyby w zamian za narody Europy зараżone herezyą reformatörów XVI. w., otworzył P. Bóg wpływowi Kościoła katolickiego Indye i Amerykę, okazała się wtedy potrzeba działania na większy rozmiar, a przytem jednolitego i sprężystego. Narodom nowo odkrytym potrzeba było nieść spiesznie Dobrą Nowinę, ale i zbłąkanym ludom w Europie trzeba było słać pomoc i obronę od herezyi. Ta potrzeba zrodziła kongregacyę *de propaganda fide*; obowiązkiem jej jest zakładać misye zarówno między poganami jak i heretykami, i dzielić je na prefektury i wikaryaty apostołskie od niej zawisłe. Do niej należy zaopatrywać te misye w księży, fundować i mieć w swej opiece szkoły i zakłady miłosierdzia chrześcijańskiego, powstające w tychże misyach i w ogóle dbać o ich rozwój pomyślny.

„Propaganda, tak zaczyna dzieło swoje autor historii tej

instytucyi¹, jest ministerstwem misyi katolickich, jest zarządem centralnym spraw religijnych, odnoszących się do nawracania świata, jest ogniskiem światła, z którego rozchodzą się promienie oświecające lepiej niż słońce jednocześnie obie półkule.

„Wszystkie drogi starego Rzymu poczynają się od słupa milowego na Kapitolu — i Propaganda stała się takim słupem milowym; stąd bowiem albo przynajmniej na rozkaz stąd wychodzący spieszą opowiadacze Ewangelii. Żadna droga nie jest jej obcą, nie ma też granic jej państwo. Rzym nawet Cezarów nie popchnął tak daleko granic swoich zdobyczy, według owego wspaniałego wyrażenia się św. Leona W. o Rzymie chrześcijańskim: Stawszy się Stolicą świata, szerzej władasz boską religią niż panowaniem ziemskim, mniej tego jest, co trud wojenny ci podbił, niż co ci zhołdował pokój chrześcijański.

„Podczas gdy książęta świeccy używają swych skarbów i narażają życie swoich poddanych dla zaspokojenia jakiejś nikczemnej ambicji, lub dla zyskania byle piędzi ziemi, Propaganda posyła swych misjonarzy aż na końce świata nie by zabijać, ale aby dawać życie wiary; nie dla powiększenia niepożytecznych zdobyczy, ale aby łagodzić obyczaje i opowiadać Słowo Boże, aby nawet, gdy się tego okaże potrzeba, umrzeć z słowem przebaczenia dla morderców na ustach.

„Pokoju ci wysłańcy, z krzyżem zamiast proporca w rękę, wiarą tylko uzbrojeni, dokonywują dzieł bohaterskich wyższych nad waleczność generałów i całych wojsk. Są oni strażą przednią, są pionierami cywilizacji. W taki sposób nie ma sprawy szlachetniejszej, ani zakładu bardziej podziwiania godnego jak Propaganda“.

Taka instytucja potrzebuje funduszków. Potrzebuje ich najpierw dla samych dzieł misyjnych, dla podróży misjonarzy, dla szkół i innych zakładów stanowiących główne czynniki rozwoju chrześcijaństwa i cywilizacji między poganami. Potrzebuje ich także dla wychowania odpowiednich kandydatów, władających niezbędnymi w różnych krajach językami i gotowych na tę zupełną ofiarę z siebie, jaką czyni każdy misjonarz. Stąd powstać musiało *Seminaryum* Propagandy, rekrutujące się ze wszystkich

¹ *La Propagande par un Missionnaire. Rome 1875.*

prawie narodów ziemi. Przy tem seminaryum powstała wkrótce jedyna w tym rodzaju na świecie biblioteka, licząca obecnie 45.000 tomów, a w nich nieocenione zabytki wszystkich ludzkich języków. Sami misyonarze z wdzięczności za wychowanie lub pomoc w pracy doznaną, ślą do niej zewsząd pogańskie rękopisy i swoje własne prace o religii i cywilizacji owych narodów; ciekawe też zabytki sztuki i kultu, z których z czasem utworzyło się *Muzeum starożytności pogańskich*. W końcu widziała się Kongregacya spowodowaną do założenia *drukarni* mogącej zaopatrywać misye w książki liturgiczne i inne; jest to tak zwana *Imprimeria polyglotta*, posiadająca czcionki wszystkich niemal pism jakie na świecie istnieją. Słowem, w Zakładzie tym, jak dobrze powiedziała *Unione*, „świat katolicki nagromadził skarby dla nawrócenia i ucywilizowania świata dzikiego“.

A teraz skąd pochodzą fundusze, jakimi Propaganda rozporządza? z ofiar i fundacyi zgromadzonych z całego świata, w których Francya ma niezawodnie pierwszeństwo, a Włochy same może najmniejszą część tej daniny wniosły. Fakt ten nadto znajomy, żeby mu zaprzeczyć śmiano. Skądże więc pretensye rządu włoskiego do tej skarbnicy cywilizacji chrześcijańskiej? Pochodzenie tych pieniędzy nie jest włoskie, przeznaczenie ich nie jest włoskie, ale ogólnoludzkie, ulokowanie ich w ziemi włoskiej niczego też nie stanowi, bo przecież i cudzoziemiec może we Włoszech majątek ziemski posiadać. Sama wreszcie instytucya, która je posiada, nie jest instytucją włoską, ale jest pełnomocniczką świata katolickiego, który oddał w jej ręce te fundusze z oznaczonym celem ogólnoludzkim, cywilizacyjnym, dobroczynnym, chrześcijańskim. Sam Papież więc nie był nigdy istotnym tego funduszu właścicielem, a jeśli miał nad nim najwyższy nadzór to iście nie jako monarcha Rzymu, ale jako duchowny zwierzchnik katolickiego Kościoła. Skądże te roszczenia Włoch do tego funduszu?

Wreszcie co za skutek z tego zamachu? Rząd nakazuje sprzedaż na licytacji tego majątku i konwersyę na rentę imienną państwową: to znaczy, jak już w przybliżeniu obliczono, zmarnować trzy ćwierci kapitału — a więc największą część misyonarzy pozabawić tej ubogiej misy ryżu, którą jedynie podtrzymują resztę

zdrowia heroicznie poświęconego Bogu i dobru ludzkości — a więc największą część tych biednych nowonawróconych do wiary pozabawić ich księży, szkół, zniszczyć, rozpedzić ich kwitnące osady i wygnać ich napowrót do lasów — a więc postawić tamę szerszemu krzewieniu się wiary i cywilizacyi. To znaczy dalej uczynić byt całej Propagandy zawisły od fluktuacyi papierów publicznych, podległy kryzom finansowym dziś coraz częstszym; to znaczy oddać losy tego wielkiego cywilizacyjnego dzieła na kaprys radykalnego parlamentu włoskiego: bo niech przyjdzie na myśl chwilowej większości zawotować nową ustawę obroczną, a rząd każdej chwili może wstrzymać wypłaty odsetek, ponieważ rentę winkulowaną w rękę trzyma. To znaczy wreszcie dać wobec całego świata nowy i oczywisty dowód, że zabór Rzymu ujmuje władzy duchownej Papieża, skoro już nie polityczne ale duchowne jego ministerstwo w ten sposób rabuje i winkuluje — nowy i oczywisty dowód, że obecna sytuacya papiestwa jest nie do zniesienia.

Trudno pojąć, jak rząd włoski mógł się dopuścić tak niepolitycznego kroku, jak mógł wywołać takie oburzenie, jeśli nie dyplomacyi (o czem niestety eicho), to przynajmniej opinii świata katolickiego i niekatolickiego, bo dziś i liberalne organa chórem ten zamach potępiają. Ale logika faktów jest mocniejsza od roztropności: Rzym zanadto zrosnięty z rządem Kościoła, żeby można było zagrabić jedno, a nie targać się koniecznie na drugie. W końcu podziemne sprężyny, które sprowadziły Piemontczyków do Rzymu, nie na to dokonały tego dzieła, żeby na znieszczeniu władzy doczesnej poprzestać, ale żeby samą opokę Piotrową obalić, i do tego celu prą ustawicznie. I dlatego, jakakolwiek była roztropność rządu, jakiegokolwiek zamiary umiarkowania szlachetniejszych patryotów włoskich, na tej drodze zatrzymać się nie zdołają, aż się o Piotrową opokę rozbiją.

A. P.

Encyklika papieska do Biskupów Francyi z 8. lutego b. r.
Jak Paweł św. obarczony troską wszystkich Kościołów nawiedzał je kolejno swymi listami, dając każdemu z nich potrzebne

nauki i przestrogi, tak Leon XIII. po listach do Słowian, do Szkocyj, Irlandyj, do Hiszpanii i do Włoch, zwraca się teraz do Francyj, i z właściwą sobie delikatnością w obejściu i szerokością poglądów wskazuje przyczyny jej niemocy i środki lecznicze.

W tej groźnej chwili, kiedy najgorsze żywioły we Francyj opanowały nawę Rzeczypospolitej i sprzysięgły się na zagładę wiary, kiedy najmężniejsi patryoci francuscy tracą odwagę wobec oplakanego stanu kraju, Papież odzywa się słowami otuchy i zachętą do czynu. Zaczyna od zwrotu do świetnej przeszłości tej „pierworodnej córy Kościoła, która go nigdy nie odstępiała na długo i nigdy cała“. Wspomina jak wiele niegdyś uczyniła dla królestwa Bożego na świecie, jak słusznie nazwała swe dzieje *gesta Dei per Francos*. Stąd przechodząc do obecnych dążeń odchrześcijanienia tego kraju, pokazuje, jak one są szkodliwe nie tylko Kościołowi, ale też politycznemu i społecznemu bytowi Francyj. Burząc bowiem przekonania religijne niszczy się zarazem moralne społeczeństwa podstawy, a bez nich „bojaźń kary jest nędznym stróżem prawa i powagi władzy“. Krwawe i jeszcze świeże wspomnienia przebytych przez Francję rewolucyj powinnyby o tem przekonać. Tu Papież wskazuje sposoby odbudowania społeczeństwa na chrześcijańskich posadach. A najprzód zwraca uwagę na pierwszy społeczeństwa zawiązek, rodzinę i polecone jej od Boga wychowanie dzieci. Szkoły tak zwane neutralne — mówi Leon XIII. — neutralnymi być nie mogą, bo umysł dziecka nie może być neutralnym wobec wiary i niewiary, są to więc istotnie szkoły niereligijności i zepsucia. Obowiązkiem zaś rodziców jest czuwać, by ich dzieci przy pierwszym świtanium rozumu poznały swego Stwórcę, a następnie żeby w szkołach niczego nie spotykały, coby ich wierze i obyczajom uszczerbek przynieść mogło.

Przechodząc do państwa, Ojciec święty pokazuje, jak z natury rzeczy wynika potrzeba zgody władzy państwowej z rządem Kościoła i jak dalece ta zgoda jest warunkiem publicznego porządku i pokoju. Zrozumiał to dobrze mąż, który po wielkiej rewolucyj przeszłego wieku wziął w rękę ster rządu Francyj;

Pius VII. ze swojej strony posunął wyrozumiałość i łagodność aż do ostatnich możliwych granic; i tak stanął konkordat, pod którego zbawiennym wpływem życie religijne i narodowe odrodziło się we Francyi prędko i bujnie. Gdyby nie było innych powodów — mówi słusznie Leon XIII. — szczerego pojednania się z Kościołem, to powinnyby wystarczyć dzisiaj te same względy, dla których po pierwszej rewolucyi konkordat zawarto.

Ale droga, jaką dziś postępuje władza we Francyi, nie prowadzi do tego pojednania. Tu wylicza Papież jak i przez Nuncyusza i przez listy do kardynała paryskiego i do samego zwierzchnika rządu upominał raz po raz o gwałty wyrządzone zakonom, duchowieństwu, szkołom katolickim, słowem o każdą krzywdę Kościołowi wyrządzoną z wyraźnem pogwałceniem konkordatu. Biskupom i całemu duchowieństwu francuskiemu daje świadectwo, że go wiernie wspierali i mężnie walczyli walkę pańską i zachęca ich, żeby dalej uczyli śmiało prawdy i starali się o to, by nigdzie nie brakło szkół prawdziwie chrześcijańskich. Wreszcie zwracając się do świeckich synów Kościoła, oddaje cześć ich poświęceniu i hojności bez granic, wzywa do zgody między sobą, do uległości względem Biskupów i do wytrwałości w prowadzonym chlubnie boju, słowem, piórem i czynem.

List ten pełen względów i czci dla Francyi obudził tam między katolikami wielki zapał, a nawet u przeciwników zdobył uznanie. Gazety niemieckie widzą w nim nawet znak nawiązania rokowań Kuryi z Gabinetem Ferrego. Ale mylą się: coś więcej niż polityka jest myślą przewodnią tej Encykliki.

Z Berlina. W niewesołym dramacie walki religijnej w Prusiech, nowa równie niewesoła, ale wielce pouczająca odegrała się scena w dniach 18 i 19 stycznia. Chciejmy sobie z niej dać rzetelną sprawę.

Kościół katolicki w Prusiech cieszył się znaczną swobodą, jak długo konstytucya pruska z 1850 r. była w poszanowaniu. Nie brakowało i wówczas na zachciankach antykatolickich, ale biskupi mogli im skutecznie stawić czoło, mieli bowiem za sobą art. 15 konstytucyi: „Kościół rzymsko-katolicki zarządza i zawiaduje sprawami swojemi samodzielnie i pozostaje w posiadaniu

i używaniu zakładów fundacyi i funduszków przeznaczonych na cele kościelne, naukowe i dobroczynne". Art. 18 zniósł „prawo“ władzy państwowej do nominacyi duchownych, wyjąwszy prawo patronatu królewskiego i pewne przywileje, które Kościół wyraźnie przyznał państwu, tak, że prezenta i nominacya na wszystkie posady duchowne, z wyjątkiem zakładów rządowych i armii, spoczywała w ręku biskupów. Art. 16 zapewniał katolikom zupełną swobodę znoszenia się z głową Kościoła. Tak więc konstytucya pruska położyła tamę wszelkiemu wdzieraniu się rządu do spraw kościelnych. To też wprowadzając w czyn teorię o wszechwładzy państwa, rozpoczęto walkę kulturną od wykreślenia powyższych artykułów, a miejsce ich zajęły ustawy majowe. Z drugiej zaś strony nie pilniejszego nie miała frakcya centrum i koło polskie, jak przekonawszy się o bezskuteczności układów pruskich z Stolicą św., domagać się przywrócenia owych artykułów. Stało się to w r. 1879. Jakkolwiek wtenczas wniosek ten został odrzucony, a teraz także lepszego powodzenia nie można się dlań było spodziewać, postawił go jednak po dwukrotnej zwłoce w sejmie pruskim sędziwy poseł Piotr Reichensperger d. 18 stycznia. Jeżeli kto, to Piotr Reichensperger był przedewszystkiem uprawniony do przedłożenia wniosku, gdyż już od r. 1848 zasiadając w parlamentach, w układaniu konstytucyi brał żywy udział.

Po dwudniowych rozprawach i znakomitych mowach poselskich z frakcyi centrum, wśród których przeciwne stronnictwa zachowały się „*rücksichtsvoll*“, z wielką na pozór godnością, wniosek Reichenspergera upadł: głosowali za nim frakcya centrum i Polacy. Jaki był właściwie cel wniesienia do Izby pruskiej? tego wniosku, o którym z góry wiadano że upadnie. — Chodziło o rozwiązanie pytania wielkiej doniosłości: ażali rokowania pruskiego rządu z Stolicą św. są szczerze i rząd ten szczerze przywrócenia pokoju religijnego pragnie. Z przebiegu obrad nad tym wnioskiem każdy mógł się przekonać dowodnie, że tak rząd, jak wszystkie inne frakcye sejmowe, krom centrum i Polaków, formalnie rywalizowały z sobą, aby zniweczyć nawet pozory jakichkolwiek dążeń pokojowych.

Wystąpili w szranki najznakomitsi mówcy z partyi centrum. Reichensperger mówił przeszło godzinę, wśród uroczystej ciszy

przerywanej tylko oklaskami frakcyi jego, i streściwszy przebieg walki kulturalnej i cierpienia 10 milionów katolików, wykazał niedorzeczność mniemania, jakoby układy z Rzymem były ubliżeniem powadze państwa, a powrót do owych trzech paragrafów konstytucyi powiększyć miał tylko zamęt w stosunkach kościelnych. Owszem: teraz właśnie panuje w nich istny chaos, który nie da się inaczej usunąć, jak tylko organiczną rewizją praw majowych; tę rewizję należy rozpocząć od przywrócenia rzeczonych artykułów konstytucyi. Poseł Schorlemer-Alst, odparłszy zwycięsko zarzut konserwatysty Hammersteina, jakoby wniosek Reichenspergera nie brała jego własna frakcyja na seryo, wykazał ponownie potrzebę i stosowność w obecnej właśnie porze przyjęcia tego wniosku. Katolicy znaleźli niespodziewanego obrońcę w rzeczniku skrajnej lewicy Eugeniuszu Richterze. Dowodził on, że nie w skutek przyjęcia wniosku Reichenspergera zapanowałyby zamieszanie, lecz że obecnie już mamy taką mieszaninę ustaw i przepisów najrozmaitszych, iż w dziedzinie kościelnej zaledwie najbiedniejsi prawnicy zorientować się zdołają. Jeżeli zaś wszelka wątpliwość ma być usunięta, to trzeba wniosek przekazać osobnej komisji, któraby wyraźnie wyliczyła wszystkie przepisy i ustawy mające być uchylone. Richter napiętnował silnemi słowy dowolność ks. Bismarka w dziedzinie religijnej: jeden biskup wraca z wygnania, drugi nie wraca, jakkolwiek wszyscy zajęli to samo stanowisko opozycyjne; w jednej dyccezyi wypłaca rząd duchowieństwu prestatycje, w drugiej zatrzymuje je dowolnie, z osobistej niechęci. Następstwem podobnej polityki może być pozbawienie ludności katolickiej samodzielności we wszystkich sprawach politycznych. Tej zagłady politycznej nie można cierpieć, gdyż reprezentacya ludu katolickiego zamieniłaby się ostatecznie w narzędzie ks. Bismarka, któryby zapomocą ustępstw kościelnych mógł wtenczas przeprowadzać polityczne zamiary i zachcianki swoje. Wywody Richtera wywołały kilkakrotne oklaski w szeregach centrum i Polaków. Z innych frakcyi liberalnych nikt głosu nie zabierał.

Natomiast prałat Stablewski w ciętej swej mowie przypomniał uroczyste słowa pruskiego króla wyrzeczone 1866 r. podczas składania przysięgi wierności arcybiskupa gnieźnieńsko-po-

znańskiego: „Stosunki katolickiego Kościoła w granicach całego mego kraju znajdują się, w skutek historycznego rozwoju prawa i konstytucyi, w dobrze uporządkowanym stanie. Pod osłoną sprawiedliwych i życzliwych praw, może on na każdym polu swobodnie i bez przeszkody swą czynność rozwinać. Kościół katolicki w mem państwie może być upewniony o trwałości mej monarszej, ojcowskiej opieki“. Słowa te poddał mówca wymownej analizie, a zakończył ją słowami księcia Albrechta wyrzeczonemi przy objęciu godności w. mistrza Johanitów: „Niewiara na polu socyalmem ukształtowała się w groźnym objawie. Zapowiada ona otwarcie przewrót wszystkich w państwie, Kościele i społeczeństwie istniejących stosunków, które się na podstawie chrześcijaństwa i rozwoju ludzkości utworzyły“. Nazajutrz 19 stycznia przy drugim czytaniu wniosku Reichenspergera prałat Majunke dał należytą odprawę głośnemu pastorowi Stoeckerowi, który na Syllabusie i Soborze watykańskim harcował, i dowiódł mu, że tyle przez niego wstawiona wolność indywidualna osoby i gminy jest dla katolików wolnością Kościoła, że więc nieloicznie działa, głosując przeciw wnioskowi przywracającemu tę przez walkę kulturną zgniecioną wolność.

Charakterystyczne ze wszechmiar było przemówienie pod koniec debaty ministra wyznań, Gosslera. Ocenę tej mowy podał znany z swego krytycznego talentu poseł Windthorst. „Ton i treść mowy p. ministra jest tego rodzaju, że się obawiam, abyśmy nie stanęli na początku nowej walki kulturowej. W zasadzie, w pojmowaniu rzeczy stanął p. minister tam, gdzie jego poprzednik Falk. W praktyce zrobił nam nadzieję łagodniejszego wykonania“... W istocie p. Gossler upewniał, iż rząd już bardzo wiele dla przywrócenia pokoju religijnego zrobił, że ani prasa, ani parlament dosyć za to uznania i wdzięczności nie okazują; dowodził, jak drugi Falk, że kościelno-państwowe stosunki z ostatnich lat 50 i 60 szkodliwe były dla państwa, musiały więc uleść zmianie i nie powrócą więcej. Państwo samodzielnie je urządzić ma prawo i obowiązek tak, że wszelkie ulgi w wykonaniu tego prawa są aktem łaski. Z góry oświadczył p. Gossler, że chociażby większość sejmowa przyjęła wniosek Reichenspergera, rząd go nie przedłoży do sankcyi królewskiej. Rząd nie chce, aby ar-

tykuły konstytucyi były przywrócone, Kościół katolicki nadał im bowiem po r. 1850 taką doniosłość, że nie dozwolił wcale władzy świeckiej zabierać głosu w sprawach kościelnych; takiej zaś swobody nie chce i nie może rząd przyznawać Kościołowi. Dalej oświadczył minister, że powrót biskupa limburskiego nastąpił wtenczas, gdy nadeszły prośby o dyspensowanie młodych księży od t. z. egzaminu kulturnego. Rząd uważał podanie tych prośb za dowód, że episkopat zamyśla zająć postawę inną wobec ustawodawstwa kościelnego. Minister dał do zrozumienia, że z tego powodu biskup monasterski również powróci do swej dyecezyi (co teraz już jest faktem dokonany), i że w związku z tą sprawą zostaje także wypłata pensyi rządowych duchowieństwu katolickiemu. Z wielką szorstkością zwrócił się Gossler przeciwko arcybiskupowi kolońskiemu i przeciwko ks. kard. Ledóchowskiemu; prośba dozorów kościelnych z nad Renu o „ułaskawienie“ arcybiskupa Melchersa została odrzuconą jeszcze w r. 1872, a gdyby z Poznania miała nadejść podobna petycja, zostałaby również odrzuconą. Powrót obu dostojników nie byłby w interesie pokoju trwałego. W tym względzie zajął rząd pruski stanowisko pewne, a z obecnego gabinetu żaden minister nie pozostałby na miejscu swoim, skoroby miał położyć podpis swój na rozporządzenie królewskie ułaskawiające tych dwóch biskupów. Zuchwała postawa katolickiego stronnictwa nie pobudzi rządu do większego pośpiechu, ani nie powstrzyma jego kroków.

Niedziw, że taka buta wywołała oburzenie wszeregach centrum i koła polskiego. Pomimo to ks. Bismark, jak to wiemy z pewnego źródła, nie był zadowolony wystąpieniem ministra kultu; wydało mu się ono za miękkie, i snąc dla zaostrenia akcyi, sąd inowrocławski ogłosił ponownie (d. 15 lutego) list gończy przeciw kardynałowi Ledóchowskiemu z 1879 r. — czyn równie bezsilny jak nieszlachetny. Poseł Windthorst dał ministrowi, jak to wspomnieliśmy, znakomitą odprawę. Rozwodził się nad tem, jak to rząd usiłuje ludności katolickiej oczy zamydląć. Zewnętrzny skład hierarchii został w części przywrócony, najgorsze niedostatki w duszpasterstwie wysłaniem wikaryuszów do parafii osieroconych usunięte, a broń obosieczną przeciwko duchowieństwu chwilowo na

bok odłożono, aby katolickiemu ludowi można powiedzieć: walka została zakończoną. Tak jednak nie jest; walka nie została ukończoną, ustawy majowe pozostają prawomocne, tylko drobnostki zniesiono, a każdej chwili może rozpocząć się powtórne prześladowanie. Stronnictwo katolickie nie pozwoli ludu w błąd wprowadzić, a w usiłowaniach swoich nie ustanie, dopóki Kościołowi nie zostanie przywróconą zupełna swoboda. Napiętnował przytem słabość charakteru konserwatystów, wykazał niekonstytucyjne usposobienie ministrów, przesądzających czyny monarchy i gotowych do oporu, skoroby monarcha łaskawszym się okazał, niż oni sobie tego życzą. Dowodził, że z biskupów katolickich żaden nie zawinił, wszyscy spełnili tylko święty obowiązek swój, o ulaskawieniu ich w właściwem znaczeniu tego wyrazu nie może wcale być mowy. Wytrawny mąż stanu przypomniał rządowi, że w polityce nie należy używać wyrazu „nigdy“, i oświadczył wręcz, że nie ma żadnych ważnych powodów, dla którychby arcybiskupi nie mieli powrócić do Kolonii i Poznania; niepotrzebnie i niesłusznie przeto pogrąża rząd ludność nadreńską i poznańską w głęboką żalność i oburza przeciwko sobie cały świat katolicki. Konserwatystom, pragnącym osobnych dla katolików a osobnych dla protestantów kościelno-politycznych ustaw, wykazał poseł Windthorst nielogiczność podobnych aspiracji „kiedy nas mają bić, niech biją nas razem, bo wtenczas nauczymy się wspólnymi siłami odpiierać najazdy niesprawiedliwe“. Postępowiec profesor Haenel rozwodził się nad potrzebą ukończenia walki kościelnej za pomocą lepszych ustaw. Windthorst w odpowiedzi dowiódł, że skoro artykuły konstytucyi nie mają być przywrócone, to należy jak najprędzej przystąpić do organicznej rewizyi ustaw majowych.

Więcej jeszcze światła rzuciły na kościelno-polityczny stan rzeczy rozprawy nad budżetem wyznaniowym; podnosimy punkta wytyczne. Zagaił rozprawy przywódzca frakcyi katolickiej Windthorst mową programową. Wyraziwszy wdzięczność za powrót biskupów limburskiego i monasterskiego z wygnania, ubolewał nad tem, że arcybiskupi gnieźnieńsko-poznański i koloński jeszcze wrócić nie mogą, a bardziej jeszcze nad tem, że nie wiadomo, ażali rząd w obecnej jeszcze sesyi sejmowej wniesie jaki projekt

ugodowy. Widoczna bowiem, iż rząd nie ma jeszcze planu przywrócenia pokoju, skoro podwaliny ustaw majowych są jeszcze nietknięte. Wyjąwszy małej ulgi w tak zwanym egzaminie kulturalnym, nie zmieniono fatalnych ustaw względem wychowania i wykształcenia duchowieństwa. Wydziały teologiczne nie są obsadzone wszystkie¹, a nieraz wywracają profesorowie filozofii to, co zbudowali nauczyciele teologii. Wydziały teologiczne nie zdołają przysposabiać dostatecznej liczby kapłanów, powinny im przyjść w pomoc seminaria duchowne i zakłady, które z niemi dawniej były połączone: wszystkie te instytucje są dotąd jeszcze zamknięte. Podobno poseł pruski przy Stolicy św. w rozmowach z kardynałem Jacobinini poruszył sprawę wychowania duchowieństwa, a minister oświaty powinienby już dostatecznie znać zapatrywania rzymskie, aby podjąć stosowną rewizję ustawodawstwa. Władza biskupów nad duchowieństwem dotąd jeszcze jest krępowaną ustawami majowymi, w skutek czego niemożliwą jest rzecz utrzymać w korbach ścisłej karności lud i duchowieństwo. Podobno te stosunki omawiał pan Schloezer z sekretarzem stanu kardynałem Jacobinim. Skoroby rząd pilną uwagę poświęcił ze-
chęciał załatwieniu tych dwóch piekących kwestyi, posunąłby sprawę przywrócenia pokoju o jeden wielki krok naprzód. Ale rząd z rękoma założonemi patrzy na spustoszenie długoletnie, usuwa raz tę, drugi raz inną z najbardziej krzyczących niesprawiedliwości, ale o całkowitem uspokojeniu ludu nie myśli. Nad biskupami i nad duchowieństwem zawisł podwójny miecz Damoklesa: każdej chwili może trybunał świecki usuwać ich z urzędu, i każdej chwili mogą być wysłani na wygnanie a to nawet bez wyroku sądowego. Stan taki nie odpowiada ani godności dostojników kościelnych ani powadze rządu. Domagamy się zupełnej swobody działania dla biskupów naszych, bo chcemy ich słuchać w sprawach kościelnych; skorobyśmy bowiem przypuścić mogli, że oni zostają pod naciskiem rządowym, nie moglibyśmy im okazywać należytego posłuszeństwa, nie wiedząc, czy spełniamy rozkazy episkopatu, czy też rządu. Żądamy swobody tej ze względu na własne sumienie i chociaż liczne inne ustawy wielce nam są niedogodne, wymagamy przedewszystkiem zniesienia tych czterech, bo są wprost nieznośne, i pytamy ażali rząd zamyśla w sejmie

wnieść odpowiedni projekt? Minister Gossler, odwołując się do przeszłorocznych wyjaśnień własnych i do noty ks. Bismarka z 5 maja r. z., nie dał jasnej odpowiedzi, bo wyjaśnienia owe i nota Bismarka zostają w pewnej sprzeczności. Mówiąc o rewizyi ustawodawstwa oświadczył minister, że rząd powinien wprzódzy zadać sobie pytanie: z kim podjąć rewizyę, przeciwko komu i wśród jakich warunków. Słusznie porównał Windthorst tę odpowiedź do wyroczni delfickiej, zaznaczając jednakże, że minister nie odrzucił rewizyi zupełnie.

Baron Schorlemer-Alst zapatrywał się na mowę ministra tak samo, jako poseł Windthorst. Ks. dr. Jażdżewski ubolewał nad spustoszeniem, które w archidiecezyji gnieźnieńsko-poznańskiej zapanowało w skutek wygnania ks. kardynała Ledóchowskiego: 174 parafij bez proboszczów, a 130 bez wszelkiej opieki duchownej; życie religijne i moralność upada, księży przychodzących w pomoc osieroconym parafiom włóczą po sądach i więzieniach, komisarz królewski zarządzający majątkiem arcybiskupim, uciska parafie i gnębi. Dlaczegoż nie ma ks. kardynał wrócić do swej stolicy, kiedy tego żąda jednomyślnie cała dyecezya? Minister oświadczył z góry, że na to pytanie nie udzieli odpowiedzi; rząd obawia się, że w razie powrotu kardynała, pókój nie potrwa długo. Dobrze przedstawił położenie w roku 1877 pewien dziennik wołając, że teraz prymas jest z narodem a naród z prymasem. Tytuł prymasowski charakteryzuje stanowisko polityczne przypisywane arcybiskupowi i odpowiada nadziejom politycznym, które podczas rewolucyi doń przywiązywano a które świeżo większe jeszcze przybrały rozmiary. *Kuryer Poznański* wysłał niedawno adres do ks. kardynała, czcząc go jako prymasa, a *Goniec Wielkopolski* w podobnym adresie wezwał go, aby wkrótce powracał do ziemi polskiej i oświadczył, że naród kornie czoło schyli przed interrejem w oczekiwaniu, iż uwieńczy drugiego Bolesława Chrobrego. Z tych dziennikarskich wynurzeń wyprowadził p. Gossler wniosek, że w razie powrotu ks. prymasa mogłyby wybuchnąć rozruchy, ba nawet rewolucya. Baron Schorlemer zauważył trafnie, że, jeżeli rząd zważać będzie na *Gońca*, to niedorzeczności tegoż pisemka przedłużać mogą osierocenie archidiecezyji w nieskończoność. Ks. Jażdżewski oświadczył, że ks.

prymas na adres *Gońca* żadnej odpowiedzi nie udzielił, że więc odpowiedzialnym być nie może za wyrażenia wspomnianej gazety, która zresztą nieraz nietylko koło polskie zaczepia, lecz nie oszczędza nawet osoby kardynała. Szanowny poseł nie wiedział wówczas jeszcze, że *Goniec* wcale adresu do Rzymu nie wysłał, lecz że tylko w formie adresu umieścił artykuł wstępny, uważany przez ministra za adres; za ten to artykuł został redaktor *Gońca* skazany na dwa lata więzienia.

Na programową mowę Windthorsta oświadczył baron Hammerstein, naczelny redaktor *Kreuz-Ztg* a wpływowy członek frakcyi konserwatywnej, iż zwolennicy jego gotowi są do rewizyi ustawodawstwa majowego, mianowicie co do wspomnianych wyżej czterech punktów. Domagał się jednak, aby frakcya katolicka wyraźnie sformułowała swe żądania, nie zasłaniając się ustawicznie Rzymem. Na to mu Windthorst: skoro o ustępstwa chodzi, jedynie Rzym takowe poczynić może a nie stronnictwo polityczne; konserwatywni innaby przybrali postawę, gdyby wiedzieli, jakie są zamiary księcia Bismarka: bo też jasną jest rzeczą, że tylko wtenczas będziemy mieli pokój, skoro zechce kanclerz. Podczas tych rozpraw zachowali liberalni głębokie milczenie, i tylko na gwałtowne zaczepki z strony konserwatystów, ten lub ów z liberałów, zaciętych wrogów Kościoła, głos zabrał. Narodowo-liberalni oświadczyli, że w porozumieniu z konserwatywnymi rewizyi podejmować nie chcą. Zaznaczył to natychmiast poseł Hammerstein, iż rewizyę rozpocząć trzeba w porozumieniu z frakcją katolicką. Wnet potem ministeryalna *Provinzial-Correspondenz* napisała: „Zdaje się, że chwila podjęcia rewizyi ustaw nie nadeszła jeszcze“. Widać, że rządowi przykro podjąć się tego dzieła przy pomocy centrum, zaczeka tedy może ks. Bismark, aż się narodowo-liberalni zdecydują inną zająć postawę, i w takim jeszcze razie nie wiem czy doczekamy się pokoju kościelnego, liberalni bowiem walki poprzestać nie chcą, pod nazwą rewizyi kryć się będzie dalszy ciąg prześladowania religijnego.

Powyższe rozprawy dotknęły jądra rzeczy, następne, choć nieraz były ciekawe, nie miały tej doniosłości. Posłowie Bachem i Schorlemer wystąpili zrećznie i żywo przeciwko osławionemu trybunałowi kościelnemu, który dziś nie usuwa biskupów

z urzędu, lecz wyłącznie prawie zajmuje się procesami sług kościelnych przeciwko dozorom. Minister ograniczył się na formalnej obronie trybunału, istniejącego na mocy osobnej ustawy; z tego też tylko względu uchwaliła większość złożona z 147 posłów (przeciwko 100 głosom) koszta na utrzymanie trybunału. Wielkie wrażenie wywołała w izbie mowa prałata Stablewskiego, przedstawiająca ucisk parafij, nawiedzonych przez tak zwanych księży rządowych, intruzów ekskomunikowanych, otoczonych pogardą, jak taki n. p. Brenk w Kościanie, któremu powierzył rząd także kapelanię przy zakładzie poprawczym, chociaż nawet włóczęgi i kobiety upadłe tak samo nim pogardzają jak wszyscy; na 1000 osób zaledwo pięć udało się do niego o „pomoc duchowną“ a to, jak później sami oświadczyli, jedynie w tym celu, aby dozorczy lepiej się z nimi obchodzili. W ciągu kilku miesięcy zapłacili Kościanie jedynie za to, że swych umarłych nie chcą pozwolić grzebać Brenkowi, przeszło 1500 marek, a koszta sądowe wynoszą drugie tyle. Kto płacić nie może z powodu ubóstwa, idzie do więzienia; zdarzyły się wypadki, że biedne wdowy do więzienia wtrącano a dzieci ich żywiono tymczasem na koszt miasta. Słusznie tedy żądał poseł Stablewski usunięcia księży rządowych, a opatrzenia im pensji dożywotnej; poparli go w tem Windthorst i Schorlemer. Gossler nie bronił księży odstępców, lecz pocieszał katolików nadzieją, że, kiedy już została zniesiona instytucja księży rządowych jako taka, to z czasem ustąpią także obecne niedogodności. Rozprawy ożywiły się znowu przy dyskusji nad pozycją budżetową dla biskupa staro-katolickiego Reinkensa. Minister zasłaniał się ustawą i uznaniem Reinkensa biskupem przez króla. To znów natarli nań posłowie nadreńscy, żądając powodów, dlaczego rząd nie przywraca arcybiskupa kołońskiego? Minister nie dał odpowiedzi. Godna uwagi, że w ciągu rozpraw wyznaniowych konserwatywni i liberalni zachowali głębokie milczenie; za to przy dyskusji nad budżetem dla wychowania publicznego, liberalni oświadczyli się z energią za przymusową szkołę rządową, jako podwaliną potęgi pruskiej. Centrum żądało większego uwzględnienia religii w szkolnictwie, a koło polskie wraz z posłami górno-szląskimi uwzględnienia języka polskiego. Żądania te pozostały bezskuteczne, minister obawia się

„dążeń polskich“, mianowicie polszczenia się Niemców katolików. Polonofobia doszła tak daleko, że nawet siostram miłosierdzia zarzuca rząd propagandę polską i działanie ich ogranicza w sposób nieznośny. „Szaleństwo to wprowadzie, ale jest w niem metoda“, mówi Szekspir. Tolerancya pruska zostawia protestanckim dyakonikom wszelką swobodę a nasze siostry krępuje ustawicznie, jak gdyby znajdowały się pod dozorem policyjnym.

Z Wiednia. W ostatnich tygodniach stolica Austrii zwróciła na siebie powszechną uwagę charakterystycznymi objawami socjalno-rewolucyjnego ruchu. Liczne a tak straszne zbrodnie, popełniane tutaj, są bez wątpienia tylko odbłyśkiem i echem złowrogich potęg, co nurtują na spodzie budowy społecznej. Jakie to potęgi i jakie tych potęg nurtowanie, nad tem warto się zastanowić.

Nie chwilowo tylko i pobieżnie patrzę na tutejsze stosunki rodzinne i towarzyskie, ale od wielu lat rozglądam się w nich uważnie i pilnie; spostrzeżenia tedy moje mają za sobą bezpośrednią intuicyę, a zeznanie naocznego świadka ma zawsze pewną wartość. Na dzisiaj chcę tylko skreślić niektóre rysy moralnej fizygnomii Wiednia.

Co tu obudza przedewszystkiem zdumienie każdego, kto choć nieco uważniej zapatruje się na życie mas społecznych, to dziwna na pozór sprzeczność, jaka zachodzi między jego powierzchownością, zewnętrzną fizygnomią a jego duchową i moralną treścią. Miasto to należy do najpiękniejszych, najprzyjemniejszych, do najlepiej wyposażonych we wszystkie dary natury. Wzrost jego jest olbrzymi. Kto po piętnastu lub więcej latach niebytności przybywa tutaj, nie poznaje Wiednia, czuje się niemal oszołomionym nowościami. Na każdym kroku spotykasz tu ślady bogactwa, zamożności, szczęśliwego życia, wspaniałomyślności władz, ofiarności obywateli. Jeśli jesteś człowiekiem poważnych, chrześcijańskich przekonań, miło ci spotykać dowody, że nie zapomniano tutaj i o Bogu. Powstały tutaj świątynie tak wspaniałe, tak piękne, i takim uczuciem wiary oddychające, że zdawałoby się, iż tylko duch wykarmiony na mocnej strawie minionych wieków był w stanie stworzyć podobne arcydzieła.

A jednak pod tą zwodniczą osłoną tętni życie mniej urocze,

mniej pociągające. Wiadomo powszechnie, że przed dziesięciu z górą laty objawiły się najprzód w Wiedniu konwulsye ekonomicznego przesilenia. Tak zwany „wiedeński Krach“ stał się początkiem handlowego i przemysłowego upadku, który jak prawdziwa zaraza ogarnia coraz szersze koła, obejmuje obecnie wschodnią i zachodnią Europę i sięga aż po za Atlantyck. Chociaż złe rozeszło się na tak szerokie przestrzenie, nie ulżyło to bynajmniej stolicy habsburskiego państwa. Przeciwnie co rok jest tutaj gorzej. Przemysł, rzemiosła i handel upadają; nie ma korzystnej pracy, nie ma zarobku, nie ma zysku. Klasa średnia, niegdyś tak tutaj liczna i zamożna, znika w sposób zatrważający — rzemieślnik wychodzi na nędzarza, robotnik na żebraka. Nie już pojedynczych ludzi, ale całych rodzin z drobnymi dziećmi wałęsających się nocami po ulicach i niemających przytułku znajduje się tu ogromna liczba, która się powiększa regularnie od roku do roku. Na ten postęp pauperyzmu miasto nie ma, czy mieć nie chce, innego środka nad ten, że policya urządza często nocne wyprawy, niejako polowanie na nędzę, chwytając te istoty nieszczęśliwe, zamyka je w więzieniach — a gdy nie są zapisane w miejskich księgach ludności, wysyła ciupasem jakby istnych zbrodniarzy do właściwej gminy. Wieleby potrzeba czasu, żeby o tych przestraszających rzeczach dać wam jakiegokolwiek wyobrażenie. Zajmiemy się później niemi obszerniej i dokładniej.

Z tej ruiny ekonomicznej wystaje postać lichwiarza i spekulanta, któremu jedynie te lata ciężkiej niedoli przyniosły łupy bogate. Nieludzki lichwiarz, który zwyczajnie rozpoczął swoje zarobkowanie od małych operacyj, doszedł do majątku, posiadał pałace, i zasiada dzisiaj pomiędzy książętami giełdy. Jak się to dzieje, że wśród ogólnej biedy przychodzą niektórzy do bogactwa, ten tylko pojmie, kto zna społeczny organizm miast nowożytnych. Czasy ekonomicznego upadku sprowadzają mnóstwo niewypłacalności, przy których giną majątki wielkie i małe, przechodząc w ręce nierzemych wyzyskiwaczy ludzkiej niedoli, w ręce tak zwanych tutaj „hyen krachowych“.

Stąd pochodzi, że Wiedeń więcej niż inne jakiegokolwiek miasto znajduje się w ręku lichwiarskiej plutokracji, przeważnie żydowskiej. Cokolwiek błyszczą na wierzchu, co ma kredyt i pie-

niądze, wpływ i znaczenie, to jest ich, lub musi być z nimi mocno skojarzone. Wielkie zakłady przemysłowe, spółki akcyjne, banki, towarzystwa ubezpieczeń, korzystne przedsiębiorstwa, zarządy tyłu kolei żelaznych, dostawy drzewa i węgla, handel zbożowy i wołowy, nawet wielkie warsztaty szewstwa i krawiectwa, aż do przemysłu rzeźniczego: wszystko to znajduje się w rękach tych ludzi. Ta kolosalna potęga rośnie z dniem każdym, rozwija się przy pomocy tak zwanego „liberalnego“ dziennikarstwa, dzięki systemowi niesłychanie wyrafinowanej reklamy, tak dalece, że wielkie obroty pieniężne stały się tu niemożliwe obecnie bez tej kunsztownej maszyneryi.

Tym sposobem owa sprzeczność, owa dwoistość Wiednia, o której wspominałem wyżej, objaśnia się i rozwiązuje bardzo prosto. Wiedeń wspaniały, bogaty — to Wiedeń żydowski; Wiedeń znędzniały, zubożały — to Wiedeń chrześcijański.

Napomknąłem o wiedeńskim gazeciarstwie. Wymawiając to słowo, położyłem przez to samo palec na jednej z najboleśniejszych, z najniebezpieczniejszych ran Wiednia i monarchii. Prasa wiedeńska, będąca z małymi wyjątkami domeną radykalnego żydostwa a prowadzona z właściwą im zręcznością i przewrotnością, jest tym olbrzymim przyrządem, tą machiną piekielną, bez wątplenia silniejszą od nitrogliceryny i dynamitu, która ma wysadzić w powietrze boski porządek i chrześcijańską cywilizację. Ta prasa stoi w Austrii na czele, jest głównym sztabem wielkiego stronnictwa, które wypowiedziało wojnę Bogu i Kościołowi. Gazeciarstwo, ufundowane na przebiegłości tego plemienia i na podziemnych wpływach wolnomularstwa, spokrewniło się prócz tego z finansowemi potęgami, popiera bezwzględnie widoki wielkiego kapitału i każe się nawzajem mocno opłacać za świadczone usługi. Koalicja prasy i kapitału jest tak silna, na tak żywotnych oparta interesach, że jak dzisiaj walka z nią ludzkimi środkami wydaje się niemożliwą. Jak ów siedmiogłowy potwór starożytności, któremu na miejsce jednego ściętego łba, wyrastały natychmiast dwa nowe, prasa antychrześcijańska Wiednia wzmacnia się i potężnieje za najmniejszym na nią zamachem. Potrzeba niezawodnie wielkiej reformy w łonie chrześcijańskiej społeczności, aby wzięła koniec ta zakała naszych czasów. Mam

nadzieję, że nadarzy mi się zręczność wyjaśnienia tych stosunków prasowych a będę w możności, jak mniemam, przytoczyć szczegóły niemałej w tej mierze doniosłości.

Nikomu rozsądnemu nie przyjdzie do głowy utrzymywać, że miasto takie jak Wiedeń ma mnogo interesów zachowawczych do pielęgnowania i do bronienia, tembardziej, że Wiedeń był zawsze miastem szczerze katolickiem, że zatem odwieczne katolickie interesa puściły na tym gruncie głęboko korzenie. A jednak sprawy publiczne tego wielkiego grodu w ten sposób się odbywają, jak gdyby ta milionowa ludność składała się z samych radykalnych demokratów. Rzecz nie do uwierzenia. Na stu kilkudziesięciu członków rady municypalnej Wiednia, nie ma ani jednego męża zachowawczych, katolickich przekonań. Co ważniejsza, w ciele elektoralnem z tylu tysięcy najmajętniejszych, a jakby się zdawało, i najwykształceńszych obywateli złożonem, nigdy czy to przy wyborach, czy w innej jakiej okoliczności nie zdarzyło nam się usłyszeć ani jednego śmiało wypowiedzianego zachowawczego zdania. Są to wszystko tylko odcienie i stopniowania jednego i tego samego czerwonego koloru, tak dalece, że na przekorę prawom natury, snującej wszędzie z siebie różnorodność i bogactwo jestestw i form, mamy tutaj nudną, usypiającą tosamność i jednostajność kosmopolitycznego radykalizmu. Frazes liberalny jest panem położenia; on rozwiązuje wszelkie kwestye i trudności. Należy w tym bolesnym fakcie widzieć rozkładające wpływy codziennej prasy, która bądź co bądź jest główną akademią nauki, polityki a nawet moralności Wiedeńczyka.

Nie trudno wyrozumieć, jakim jest pośród tych czynników położenie Kościoła katolickiego. Jest on zubożały, przerzedzony do niewierzenia. I nie będzie się temu dziwił, kto zna historję i wie ile od stu ostatnich lat przeszło tu nad Kościołem systemów doktrynerskich, biurokratycznych, zawsze niby to życzliwych, z których każdy usiłował go zaprządz do swojego tryumfalnego rydwanu; najfatalniej jednak podziałało bezwyznaniowe prawodawstwo majowe. W skutek tego stało się, że rzadko które miasto tak mało jak Wiedeń ma duchowieństwa i kościołów a zatem i pobożnego ludu. Są tutaj parafie, liczące 50 tysięcy wiernych, o jednym lichym jakby wiejskim kościołku, w którym

trzech tylko, jeśli nie dwóch, pracuje kapłanów, a i ci nie mają pono tyle zatrudnienia, iżby zdrowie swoje na szwank narażać musieli. Ubogi kościółek, mało uczęszczany, zamyka prawie zawsze swe podwoje już o godzinie 10 rano i stoi zamknięty aż do dnia następnego. Nikt o niego nie pyta, nikt go nie potrzebuje. Co tu jest szczególnie straszego, to, że ofiarność a z nią i miłość ludu dla parafialnego kościoła zdaje się gasnąć zupełnie. W skutek praw istniejących, wszelka znaczniejsza fundacya, uczyniona na korzyść pewnej, oznaczonej instytucji staje się prawie zawsze własnością tak zwanego funduszu religijnego; ten fundusz zaś jest serdecznie obojętny ludowi. Gdzie nie ma pewności, że ofiara trafi do celu, odpowiadającego życzeniom dawcy, tam nic dziwnego, że trudno o dawcę. I niech w tej mierze nie uwodzą nowe domy Boże powstające w Wiedniu, albowiem są one wszystkie nie rezultatem wspólnych usiłowań chrześcijańskiego ludu, ale wypływem woli dynastji arcychrześcijańskiej, która dźwiga prawie sama jedna wspaniałe pomniki dla chwały Bożej.

Te warunki, t. j. zachwianie podstaw moralno-religijnych, tłumaczą najlepiej tutejsze objawy socjalistyczne, które w zdumienie wprawiły Europę. Bo przypuściwszy nawet, że propaganda socjalizmu importuje się z zewnątrz, musiała ona znaleźć grunt przygotowany, skoro tak łatwe i prędkie czyni postępy. Przez jaki szereg okropnych zabójstw i grabieży sprzysiężenie socjalistyczne przywiodło kraj do tej konieczności, jest w świeżej pamięci wszystkich, zwłaszcza, że akt urzędowy parlamentu dokładnie je wszystkie wylicza. Nie będę ich tedy rozbiarał pojedynczo, nadmieniam tylko, że część odpowiedzialności za czyny takiego np. Schenka spada na tutejszą prasę liberalną. Wiadomo, że te zwłaszcza dzienniki, co się najdalej posunęły w zarobkowaniu jakimibądź środkami, uorganizowały w swych łamach stręczycielstwo rozpusty, niemniej jak pośredniczenie w kjarzeniu małżeństw, rozumie się małżeństw nowomodnych. Ta praktyka, stawszy się już przyczyną niezliczonych oszustw, gwałtów, rabunków, musiała poprowadzić, jak to łatwo było przewidzieć, do cięższych jeszcze zbrodni. Otóż nikt tak dobrze nie umiał wyzyskać nizezemności dziennikarskiej, jak wspomniany wyżej Hugo Schenk.

Znajduje się w Wiedniu niemała liczba sług, które wieloletnią pracą złożyły sobie kapitalik, i pragną zgotować sobie byt niezależny za pomocą stosownego małżeństwa. Niejedna z nich czytała tysiąc razy gazeciarskie reklamy głoszące, że tylko przez inseraty, na które się zwykły zgłaszać tysiące kandydatów, można wynaleźć męża najkorzystniejszego. Dając posłuch tym podszeptom, ogłasza ona w dziennikach anons z wymienieniem posiadanego kapitału i otrzymuje w odpowiedzi mnóstwo podchlebnych listów, pomiędzy którymi najbardziej ujmuje jej serce i wyobraźnię pismo Schenka. Wyznacza się dzień wesela na prowincyi, zatem narzeczona zabiera z sobą wszystkie swoje manatki, kolczyki, pierścionki, a co najważniejsza, książkę oszczędności i papiery procentowe. Po drodze gdzieś nad brzegiem Dunaju, lub innej głębokiej wody, nędznik zabija i obdziera biedną ofiarę, a trupa rzuca do rzeki. W przeciągu pół roku zgładził on w ten sposób pięć z łatwowiernych kobiet; nikt atoli nie wierzy, aby zbrodnia miała się na tej liczbie ograniczyć, gdyż coraz nowe fakta wychodzące na jaw stwierdzają przypuszczenie przeciwne.

Co szczególniej uderza w tych faktach, to bezwątpienia charakter zbrodni. Dawniej, kiedy nawet najgorszy złoczyńca nie mógł się całkiem pozbyć przekonania o nieśmiertelności duszy i wiekuiestej sprawiedliwości, nosił on w swem sercu wyrzuty sumienia i musiał walczyć z nawoływaniem do pokuty i łaski, a ten stan wewnętrzny musiał się wyrażać w jego rysach, na jego obliczu i całej postawie. Taki człowiek mógł się uratować, zbawić. Teraz podobny nędznik jak Schenk nie uczuwa najmniejszych wewnętrznych zgrzyzot, nie nosi na sobie śladów walki z własnem sumieniem, przestaje on ze swemi ofarami równie jak z innymi ludźmi uprzejmie i z elegancją starannie wychowanego człowieka, a twarz jego pogodna i dobroduszna zniewala do zaufania. Jeśli się nie mylimy, jest to nowa epoka zbrodni, zbrodni wypływającej z ateizmu i zamienionej na zwyczajne, normalne zarobkowanie. Czujemy tutaj, że jeśli społeczność ludzka, oparta na chrześcijańskiej cywilizacyi, ma runąć, to runie ona pod ciosami takich zbrodniarzy, uorganizowanych w klub francuskiej bogini mądrości.

Ciekawem jest stanowisko wiedeńskiej prasy wobec opisa-

nych powyżej morderstw. Gdy ta prasa popiera nadewszystko widoki kapitału, a Eisert był przemysłowcem obracającym pieniędzmi, przeto uderzyła ona na alarm, że państwo małej używa opieki ludziom tego zawodu. Zażądała więc pomnożenia policji, wymagając niemal, aby przy każdym lokalu wekslarskim lub bankowym stał patrol zbrojnej policji. Następnie, co nawet wniesiono na posiedzeniu rady gminnej Wiednia w publicznej interpelacji, postawiono pytanie, czy władza nie powinna dbać o to, aby w lokalach handlu pieniężnego zaprowadzono przyrządy elektryczne, ostrzegające od zbójców i złodziei. Jednym słowem, mądrzy redaktorowie na policję i na mechaniczne środki złożyli bezpieczeństwo osób i społeczeństwa. Nad innymi środkami i sposobami zdawało się, że się nigdy nie zastanawiali.

W państwach parlamentarnych jak Austria, gdzie prasa posiada wielkie prawa i przywileje, nie ma ludzi zapalczywiej prześladowanych przez gazetarzy oszczerstwem, groźbą i denuncjacyą niż policja. Mianowicie policję wiedeńską trzeba uważać za prawdziwą ofiarę gazetarskiej nienawiści. Jakże tutaj pojąć to wymaganie pomnożenia policji? Nie jestże to dowodem bezmyślności owych ludzi, co się głoszą za nauczycieli rodzaju ludzkiego? Możnaż się pogodzić z myślą, aby publicystyka, która ma w zapasie lekarstwo na wszelkie publiczne dolegliwości, nie mogła wystawić przeciwko straszliwie mnożącej się zbrodni nie innego, nie lepszego niż pułki policji i elektryczne dzwonki? Jak lekkomyślnie panowie dziennikarze formułowali swe żądania, pokazało się to w kilka dni później, gdy rząd, pragnąc położyć tamę zbrodniczym zamachom, pomnożył policję, ale uchylił prawa konstytucyjne, które osłaniały od policji zbrodniarzy, oczywiście razem z innymi mieszkańcami. Ci ojcowie ojczyzny rzucili się z całą zapalczywością na rząd, jakkolwiek ten oświadczył najwyraźniej, że przysługującej sobie władzy użyje jedynie przeciwko socjalno-rewolucyjnym knowaniom. Z góry można powiedzieć, że i ten środek nie okaże się dostatecznym. Przewrotne, ujemne ideje do czasu tylko dadzą się siłą przytłumić; zawieszenie praw konstytucyjnych nie może trwać wiecznie; innego radykalnego środka użyć należy, a jest nim powrót do chrześcijańskiego prawodawstwa, do chrześcijańskiej szkoły i rodziny na Kościele ugruntowanej.

Filalet.

Z kraju. Winszujemy sobie, że zacząwszy ten poszyt Przeglądu smutnym rzutem oka na grożący Europie socjalizm, zakończyć go możemy wzmianką o jednym z tych dzieł, które są najlepszym przeciw socjalizmowi lekarstwem i zaznaczają odrodzenie społeczeństw: mówimy o *stowarzyszeniu rzemieślników pod opieką św. Józefa*, które w Krakowie 21 lutego zaczęło swój byt od błogosławieństwa Kościoła.

Nasz wiek chciał spróbować, na polu pracy zastąpić chrześcijańską zasadę łączności przez odosobnienie, walkę, konkurencyę bez granic. Ale prędko i ciężko przeplacił tę próbę. Dziś już powszechnie i uczeni i rządy i parlamenta wracają do idei, którą przed kilkunastu jeezoze laty sami katolicy z Biskupem Ketteletem na czele głosili, t. j. do teoryi korporacyi w pracy. Ale nie każdy rodzaj takich korporacyi jest równie zdrowym i organicznym czynnikiem. Gdzie tylko przymus prawny, albo wyłącznie interes osobisty gra rolę, tam pewien cel materialny da się osiągnąć, moralny i socyalny nie łatwo; gdzie tylko jedna klasa ma przystęp, tam łatwo gnieźdzą się zawiści przeciw innym klasom. Najlepsze, najżywotniejsze, najpiękniejsze są te stowarzyszenia, gdzie obok korzyści własnej, zajęcie się dobrem ogółu i nawet poświęcenie miejsce znajduje—gdzie ludzie większym majątkiem i wykształceniem od Boga obdarzeni podają rękę mniej obdarzonym, już nie jałmużną, ale osobistym wpływem, radą, pomocą, stowarzyszeniem się z nimi—gdzie w końcu religia, która bądź co bądź najlepiej umie ludzi łączyć i szlachetne wzniecać uczucia, nadaje całemu dziełu swą sankcyę, ciepło i żywotność.

Takie stowarzyszenia już zakwitły we Francyi (*cercles des ouvriers catholiques*), w Niemczech i we Włoszech. W takim duchu założonem zostało we Lwowie „stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczej“ przez ks. Odelgiewicza i najlepsze przyniosło owoce: do dziś dnia rzemieślnicy z tej szkoły odznaczają się moralnością, powodzeniem i niezwykłym jak na nasz kraj wykształceniem. Takim jest świeżo założone „stowarzyszenie św. Józefa“, które ma jeszcze nad poprzedniem tę korzyść, że towarzyszków rękodzielnicych z majstrami łączy i ludzi z wyższego stanu nie już jako gości, ale jako członków czynnych przyzywa.

Cel stowarzyszenia zakreślony wybornie: „utwierdzenie za-

sad wiary, moralności chrześcijańskiej i uczuć narodowych“. Środki gruntownie obmyślane: gospoda, czytelnia, odczyty kształcące, miejsce i sposoby rozrywek, wydział złożony z majstrów i czeladników i paru mężów wyższego towarzystwa, zamierzone wystawy wyrobów, spółki spożywcze i zarobkowe, wzajemna pomoc w chorobie — wszystko na zupełne zasługuje uznanie i najlepszą rokuje przyszłość.

Cześć za to należy się dostojnemu Protektorowi stowarzyszenia X. Biskupowi krakowskiemu i innym jego szlachetnym twórcom, uznanie i pochwała zacnym rzemieślnikom, którzy tak piękny dają krajowi przykład. Szczęść im Boże!

Ale jeśli w Krakowie dała się uczuć potrzeba takiego dzieła, o ileż potrzebniejsze są podobne stowarzyszenia w mniejszych miasteczkach, gdzie walka z przeważną liczbą rzemieślników i przedsiębiorców izraelitów, gdzie między rękodzielnikami jeszcze więcej niedoli, a mniej zasobów materyalnych i moralnych. Nie wdaję się tu w smutne szczegóły, bo znają je najlepiej miejscowi, którzy cierpią z tych niedostatków, a może przy pomocy Bożej zdołaliby podobnem dziełem stanowi rzemieślniczemu i dobru bytowi kraju walną oddać przysługę.

X. M. Morawski.